Christopher Moore

BARANEK

NOWA POWIEŚĆ
AUTORA BESTSELLEROWEGO
NAJGŁUPSZEGO ANIOŁA

Moore Christopher

Baranek

BLOGOSLAWIENSTWO AUTORA

Jesli trafiles na te strony, szukajac smiechu, obys go znalazl.

Jesli pragniesz byc urazony, niech wzbierze Twoj gniew i krew zawrze w zylach.

Jesli pragniesz przygody, niech ta opowiesc kolysze Cie az po szczesliwe zakonczenie.

Jesli chcesz proby lub potwierdzenia swej wiary, obys doszedl do krzepiacych wnioskow.

Wszystkie ksiazki prezentuja doskonalosc-przez to, czym sa, albo czym nie sa.

Obys wiec znalazl to, czego szukasz, na tych stronicach lub poza nimi.

Obys odnalazl doskonalosc i rozpoznal ja.

PROLOG

Aniol sprzatal w szafach, kiedy nadeszlo wezwanie. Aureole i promienie ksiezyca lezaly w stosach, posortowane wedlug jasnosci, sakwy gniewu i pochwy na blyskawice wisialy na hakach, czekajac na odkurzenie. Buklak glorii przeciekal troche w rogu i aniol osuszyl go kawalkiem tkaniny. Za kazdym razem, kiedy go strzepywal, z szafy dobiegal stlumiony spiew chorow, jakby zdejmowal pokrywke ze sloja pelnego choralnego Alleluja.

–Razielu, w imie niebios, co ty wyprawiasz?

Archaniol Szczepan stal nad nim, trzymajac zwoj niczym zwinieta gazete nad siusiajacym szczeniakiem. – Rozkazy? – zapytal aniol. – Zlatujesz do brudu. – Dopiero co tam bylem. – Dwa tysiaclecia temu. – Naprawde? – Aniol sprawdzil zegarek, po czym zastukal w krysztal. – Jestes pewien? – A jak myslisz? Szczepan pokazal mu zwoj, tak by Raziel dokladnie zobaczyl pieczec Krzewu Gorejacego. – Kiedy mam wyruszyc? Juz tu prawie skonczylem. – Natychmiast. Zapakuj dar jezykow i pare pomniejszych cudow. Zadnej broni, to nie robota z gniewem. Bedziesz dzialal tajnie. Sprawa bardzo dyskretna, ale wazna. Wszystko tu przeczytasz. Szczepan wreczyl mu zwoj. – Dlaczego ja? – Tez o to spytalem. – I…? – Przypomniano mi, dlaczego anioly zostaly stracone. – Oj! To az takie wazne? Szczepan zakaszlal, wyraznie dla efektu, poniewaz anioly nie oddychaja. – Nie jestem pewien, czy powinienem o tym wiedziec, ale kraza plotki, ze chodzi o nowa ksiege.– – Chyba zartujesz. Kontynuacja? Apokalipsa Dwa, akurat kiedy wszyscy mysleli, ze moga bezpiecznie grzeszyc? – To Ewangelia. – Ewangelia? Po tak dlugim czasie? Kto? – Lewi, ktorego nazywali Biffem. Raziel upuscil szmatke i wstal. – To na pewno jakas pomylka. – Rozkazy pochodza bezposrednio od Syna. – Wiesz przeciez, ze Biff nie bez powodu nie zostal wspomniany w innych ksiegach, prawda? To absolutny… – Nie mow tego. – Ale to taki dupek… – Gadaj tak dalej, tylko sie potem nie dziw, ze dostajesz robote w brudzie. – Dlaczego teraz, po tylu latach? Cztery Ewangelie jakos do tej pory wystarczaly, i dlaczego on? – Bo w rachubie czasu

mieszkancow brudu jest jakas rocznica narodzin Syna i uznal, ze nadeszla pora opowiedziec cala historie. Raziel zwiesil glowe. – Lepiej zaczne sie pakowac. – Dar jezykow – przypomnial mu Szczepan. – Jasne, bym mogl sluchac przeklenstw w tysiacu jezykow. – Idz, przynies dobra nowine, Razielu. I przywiez mi troche czekolady. – Czekolady? – To taka przekaska mieszkancow brudu. Szatan ja wymyslil. – Diabelskie pozywienie? – Nie mozna stale jesc oplatkow.

Polnoc. Aniol stal na nagim zboczu wzgorza na obrzezach swietego miasta Jeruzalem. Wzniosl rece i suchy wiatr szarpnal jego biala szate. – Wstan, Lewi, ktory jestes zwany Biffem. Wir zakrecil sie przed nim, sciagajac kurz ze zbocza i formujac kolumne, ktora przybrala ksztalt czlowieka. – Wstan, Biffie. Nadszedl twoj czas. Wiatr dmuchnal z furia, aniol zas przetarl twarz rekawem szaty. – Wstan, Biffie, by znowu chodzic posrod zywych. Wir zaczal sie uspokajac, pozostawiajac na zboczu tylko czlekoksztaltna kolumne pylu. Po chwili wokol znow zapanowal spokoj. Aniol wyjal z sakwy zloty puchar i oblal kolumne. Kurz splynal odslaniajac ubloconego nagiego mezczyzne, parskajacego w swietle ksiezyca. – Witaj wsrod zywych – powiedzial aniol. Mezczyzna zamrugal, po czym uniosl dlon do oczu, jakby sie spodziewal, ze bedzie mogl przez nia patrzec. – Zyje – oswiadczyl w jezyku, ktorego nigdy przedtem nie slyszal. – Tak – potwierdzil aniol. – Co to za dzwieki, za slowa? – Otrzymales dar jezykow. – Zawsze mialem dar jezykow, zapytaj dowolnej dziewczyny, jaka znalem. Co to za slowa? – Obca mowa. Zostal ci dany dar rozumienia kazdej obcej mowy, jak wszystkim apostolom. – A zatem Krolestwo nastalo. – Tak. – Jak dawno? – Dwa tysiace lat temu. – Ty nedzna kupo gowna! – rzekl Lewi, ktory byl nazywany Biffem, wymierzajac aniolowi cios w usta. – Spozniles sie. Aniol wstal i delikatnie dotknal wargi. – Ladnie sie odnosisz do poslanca Pana. – To dar – wyjasnil Biff.

CZESC PIERWSZA

CHLOPIEC

Bog jest komediantem, grajacym dla publicznosci, ktora boi sie rozesmiac. Voltaire

Wydaje sie wam, ze wiecie, jak ta historia sie skonczy, ale to nieprawda. Mozecie mi wierzyc. Bylem tam. Wiem.

Kiedy pierwszy raz zobaczylem czlowieka, ktory mial zbawic swiat, siedzial niedaleko glownej studni w Nazarecie, z jaszczurka wystajaca mu spomiedzy warg. Tylko ogon i tylne lapki byly widoczne na zewnatrz; przednie lapki i glowa zniknely w ustach. Mial szesc lat, jak ja, i broda jeszcze mu nie wyrosla, wiec nie przypominal tych portretow, jakie znacie. Oczy byly jak ciemny miod i usmiechaly sie do mnie spod strzechy blekitnoczarnych lokow otaczajacych jego twarz. W tych oczach jarzylo sie swiatlo starsze niz Mojzesz. – Nieczysty! Nieczysty! – wrzasnalem, wskazujac chlopca, by moja matka wiedziala, ze znam Prawo.

Ale nie zwrocila na mnie uwagi, podobnie jak wszystkie inne matki napelniajace dzbany przy studni.

Chlopiec wyjal jaszczurke z ust i oddal mlodszemu bratu, siedzacemu obok na piasku.

Maluch bawil sie z nia przez chwile i draznil, az uniosla sie, jakby chciala go ukasic. Wtedy chwycil kamien i rozbil jej glowe. Zaskoczony, popychal jaszczurke palcem, a kiedy doszedl do wniosku, ze nic juz nie zrobi, podniosl ja i oddal z powrotem starszemu bratu. Ponownie trafila do ust, ale zanim zdazylem wykrzyczec oskarzenie, wysunela sie zywa, wijaca sie, gotowa znowu kasac. Podal ja mlodszemu bratu, a ten uderzyl mocno kamieniem, raz jeszcze konczac, czy rozpoczynajac, caly proces. Patrzylem, jak jaszczurka ginie kolejne trzy razy. Wtedy sie odezwalem. – Tez chce tak robic. Zbawiciel wyjal jaszczurke z ust i zapytal: – Ktora czesc?

Przy okazji, mial na imie Joszua. Jezus to grecka wersja Yeshuy, czyli Joszuy. Chrystus nie jest nazwiskiem. To greckie tlumaczenie slowa "mesjasz", messiah, co po hebrajsku oznacza namaszczonego. Nie mam pojecia, od czego pochodzi "S" w "Jezus S. Chrystus". To jedna z tych rzeczy, o ktore powinienem go zapytac. Ja? Ja jestem Lewi, zwany Biffem. Bez drugiego imienia. Joszua byl moim najlepszym przyjacielem.

Aniol mowi, ze powinienem tu siedziec, spisywac swoja opowiesc i zapomniec o wszystkim, co zobaczylem w tym swiecie, ale jak mam tego dokonac? Przez ostatnie trzy dni widzialem wiecej ludzi, wiecej obrazow, wiecej cudow niz przez cale trzydziesci trzy lata zycia, a aniol twierdzi, ze mam je zignorowac… Tak, otrzymalem dar jezykow i nie widze nic, czego nie potrafilbym okreslic slowem, ale co z tego? Czy pomogla mi w Jeruzalem wiedza, ze to "mercedes" mnie przerazil do tego stopnia, ze skoczylem do "pojemnika na smieci"? A potem, kiedy Raziel wyciagnal mnie, lamiac mi przy tym paznokcie, gdy walczylem, by pozostac w kryjowce, czy pomogla mi swiadomosc, ze to "Boeing 747" zmusil mnie, bym zwinal sie w klebek, probujac pohamowac lzy i odciac od ognia i huku? Czy jestem malenkim dzieckiem, bojacym sie wlasnego cienia, czy tez spedzilem dwadziescia siedem lat u boku Syna Bozego?

Na tym wzgorzu, gdzie wyciagnal mnie z ziemi, aniol powiedzial: "Zobaczysz wiele dziwnych zjawisk. Nie lekaj sie. Masz swieta misje i ja bede cie chronil".

Bezczelny palant. Gdybym wiedzial, co ze mna zrobi, przylozylbym mu jeszcze raz. Lezy teraz na lozku po drugiej stronie pokoju, patrzy, jak na ekranie poruszaja sie obrazy, i je lepki smakolyk zwany snickersem, gdy ja tymczasem spisuje opowiesc na kartkach miekkiego jak jedwab papieru z wypisanymi u gory slowami "Hyatt Regency, St. Louis". Slowa, slowa, slowa… Miliony, miliony slow kraza w mojej glowie niczym jastrzebie, czekajac, by zanurkowac na strony i porwac, rozedrzec jedyne dwa, ktore chcialbym zapisac.

Dlaczego ja?

Bylo nas pietnastu – nie, czternastu po tym, jak powiesilem Judasza – wiec czemu akurat ja? Joszua stale powtarzal, zebym sie nie lekal, ze zawsze bedzie przy mnie. Gdzie teraz jestes, przyjacielu? Czemus mnie opuscil? Ty bys tu nie czul strachu. Wieze, maszyny, blichtr i smrod tego swiata by cie nie zniechecily. Za chwile zamowie sobie pizze do pokoju. Smakowalaby ci pizza. Sluga, ktory ja przynosi, ma na imie Jesus, a nie jest nawet Zydem. Zawsze lubiles ironie.

No dalej, Joszua, aniol twierdzi, ze ciagle jestes z nami, moglbys go przytrzymac, kiedy ja mu wleje, a potem obaj zjemy pizze.

Raziel obejrzal moje zapiski i upiera sie, ze powinienem przestac jeczec i przejsc do glownej opowiesci. Latwo mu mowic, to nie on spedzil ostatnie dwa tysiace lat pogrzebany w ziemi na wzgorzu. Wszystko jedno, nie pozwoli mi zamowic pizzy, dopoki nie skoncze rozdzialu, wiec oto on…

Urodzilem sie w Galilei, w miasteczku Nazaret, w czasach Heroda Wielkiego. Moj ojciec, Alfeusz, byl kamieniarzem, a matke, Naomi, nekaly demony, a przynajmniej tak wszystkim mowilem. Joszua uwazal chyba, ze miala tylko trudny charakter. Moje prawdziwe imie, Lewi, pochodzi od brata Mojzesza, przodka klanu kaplanow; moje przezwisko, Biff, bierze sie ze slangowego okreslenia trzepniecia w glowe – czego wedlug matki wymagalem przynajmniej raz dziennie juz od wczesnego dziecinstwa.

Dorastalem pod wladza Rzymu, choc do dziesiatego roku zycia nie ogladalem zbyt wielu Rzymian. Rzymianie siedzieli zwykle w ufortyfikowanym miescie Seforis, godzine marszu na polnoc od Nazaretu. To tam zobaczylismy z Joszua zamordowanego rzymskiego zolnierza. Ale za bardzo wybiegam naprzod. Na razie, zalozmy, ze zolnierz jest zdrowy, bezpieczny i zadowolony z noszenia miotly na glowie.

Wiekszosc mieszkancow Nazaretu stanowili farmerzy; hodowali winogrona i oliwki na kamienistych wzgorzach za miastem oraz pszenice i jeczmien w dolinach. Byli tez pasterze koz i owiec, ktorych rodziny zyly w miasteczku, gdy mezczyzni i starsi chlopcy pilnowali stad w gorach. Nasze domy byly zbudowane z kamienia, a moj mial tez kamienna podloge, choc wielu wystarczala mocno ubita ziemia.

Bylem najstarszym z trzech synow, wiec juz w wieku szesciu lat przygotowywano mnie, zebym poznal ojcowskie rzemioslo. Matka nauczala mnie Prawa oraz opowiadala historie z Tory po hebrajsku, a ojciec zabieral do synagogi, bym sluchal, jak starsi czytaja Biblie. Moim jezykiem naturalnym byl aramejski, ale zanim skonczylem dziesiec lat, umialem mowic i czytac po hebrajsku nie gorzej od wiekszosci mezczyzn.

Nauce hebrajskiego i Tory pomogla na pewno moja przyjazn z Joszua. Kiedy inni chlopcy bawili sie w "podraznij owce" albo w "kopnij Kananejczyka", my z Joszua bawilismy sie w rabinow, a on sie upieral, zeby przy ceremoniach uzywac autentycznego hebrajskiego. Byla to lepsza zabawa, niz moze sie wydawac – a w kazdym razie byla do czasu, kiedy matka przylapala nas, jak probujemy obrzezac ostrym kamieniem mojego mlodszego brata Sema. Alez zrobila nam awanture… Moje argumenty, ze Sem potrzebowal odnowienia swego przymierza z Panem, jakos jej nie przekonaly. Pobila mnie do krwi oliwkowa rozga i zakazala bawic sie z Joszua przez miesiac. Wspominalem juz, ze byla opetana przez demony?

Ogolnie rzecz biorac, uwazam, ze maly Sem tylko na tym skorzystal. Byl jedynym znanym mi dzieciakiem, ktory mogl sikac zza rogu. Z taka umiejetnoscia mozna sie niezle urzadzic jako

zebrak. Ale nigdy mi nie podziekowal.

Bracia.

Dzieci widza magie, poniewaz jej szukaja.

Kiedy pierwszy raz zobaczylem Joszue, nie wiedzialem, ze jest Zbawicielem, zreszta on tez nie wiedzial. Wiedzialem tylko, ze sie nie boi. Posrod narodu pokonanych wojownikow, ludzi usilujacych zachowac dume, kiedy padaja na twarz przed Rzymem i Bogiem, jasnial niczym kwiat na pustyni. Ale moze tylko ja to zauwazylem, poniewaz tylko ja tego szukalem. Wszystkim innym wydawal sie calkiem zwyczajnym dzieckiem: te same potrzeby co u innych, ta sama szansa, ze umrze, zanim dorosnie.

Kiedy opowiedzialem matce o tej jego sztuczce z jaszczurka, najpierw sprawdzila, czy nie mam goraczki, a potem kazala mi pojsc spac, dajac tylko miske rosolu na kolacje. – Slyszalam rozne historie o matce tego chlopca – powiedziala mojemu ojcu. – Twierdzi, ze rozmawiala z aniolem Pana. Mowila Esterze, ze urodzila Syna Bozego. – I co odpowiedzialas Esterze? – Ze tamta powinna uwazac, by faryzeusze nie dowiedzieli sie o jej bredniach, bo niedlugo zaczniemy zbierac kamienie, by ja ukarac. – W takim razie nie powinnas wiecej o tym wspominac. Znam jej meza, to prawy czlowiek. – Przeklety oblakana dziewczyna za zone. – Biedactwo… – mruknal ojciec, odlamujac kawal chleba. Dlonie mial twarde jak rog, kanciaste jak mloty i szare jak u tredowatego – od wapienia, przy ktorym pracowal. Jego uscisk pozostawial mi na plecach szramy, ktore niekiedy plakaly krwia, a jednak, kiedy wracal z pracy, bracia i ja walczylismy o to, kto pierwszy znajdzie sie w jego ramionach. Gdyby te same rany zadal nam w gniewie, pewnie z placzem pobieglibysmy chowac sie pod mamina spodnica. Co wieczor zasypialem, czujac na plecach jego dlon niby tarcze. Ojcowie. – Chcesz polamac jakies jaszczurki? – spytalem Joszue, kiedy znow go zobaczylem.

Drapal patykiem po ziemi i nie zwracal na mnie uwagi. Postawilem stope na jego rysunku. – Wiedziales, ze twoja matka jest oblakana? – Moj ojciec jej to robi – odparl ze smutkiem, nie unoszac glowy. Usiadlem obok. – Niekiedy noca moja matka wydaje takie skomlace odglosy, jak dzikie psy – oznajmilem. – Jest oblakana? – spytal Joszua. – Rankiem wyglada calkiem zdrowo. Spiewa, kiedy szykuje sniadanie. Joszua kiwnal glowa. Chyba sie ucieszyl, ze obled czasem mija. – Kiedys mieszkalismy w Egipcie – powiedzial. – Nie, nie mieszkaliscie. To za daleko. Dalej nawet niz Swiatynia. Swiatynia w Jeruzalem byla najdalszym miejscem, ktore odwiedzilem w dziecinstwie. Kazdej wiosny moja rodzina wyruszala na pieciodniowa piesza wedrowke do Jeruzalem, na swieto Paschy. Zdawalo sie, ze trwa to cala wiecznosc. – Mieszkalismy tutaj, potem mieszkalismy w Egipcie, a teraz znowu tutaj – upieral sie Joszua. – To byla daleka droga. – Klamiesz! Trzeba czterdziestu lat, zeby dotrzec do Egiptu! – Juz nie. Teraz jest blizej. – Tak jest napisane w Torze. Moj abba mi przeczytal. Izraelici wedrowali przez pustynie cale czterdziesci lat. – Izraelici sie zgubili. – Na czterdziesci lat? – Zasmialem sie. – Izraelici musieli byc glupi. – My jestesmy Izraelitami. – My? – Tak. – Musze znalezc swoja mame – powiedzialem. – Jak wrocisz, pobawimy sie w Mojzesza i faraona.

Aniol zwierzyl mi sie, ze zapyta Pana, czy nie moglby zostac Spidermanem. Bez przerwy oglada telewizje, nawet kiedy zasypiam, i dostal obsesji na punkcie bohatera, ktory walczy ze zlem, skaczac z dachow. Aniol twierdzi, ze zlo jest teraz grozniejsze niz za moich czasow, wiec wymaga wspanialszych bohaterow. Dzieci potrzebuja bohaterow, jak twierdzi. Osobiscie mysle, ze tylko chcialby bujac sie w obcislych czerwonych gatkach miedzy budynkami. Zreszta jaki bohater potrafilby dotrzec do tych dzieci z ich maszynami, lekarstwami, odleglosciami, ktore staly sie niedostrzegalne? (Taki Raziel: niecaly tydzien tutaj, a juz zamienilby Miecz Bozy na pojemnik do wystrzeliwania pajeczyny). Za moich czasow bohaterowie byli nieliczni, ale prawdziwi – niektorzy z nas potrafili nawet przesledzic swoje z nimi pokrewienstwo. Joszua zawsze odgrywal bohaterow – Dawida, Joszue, Mojzesza – gdy dla mnie pozostawaly role tych zlych: faraona, Achaba i Nabuchodo-nozora. Gdybym dostawal szekle za kazdym razem, kiedy ginalem jako Filistyn, no coz, powiem wam uczciwie, ze niepredko jechalbym na wielbladzie przez ucho igielne. I kiedy wspominam to teraz, mam wrazenie, ze Joszua cwiczyl przed tym, czym mial sie stac. – Wypusc moj lud – rzekl Joszua jako Mojzesz. – Dobra. – Nie mozesz tak sobie powiedziec: dobra. – Nie moge? – Nie. Pan uporem napelnil twe serce, zebys nie sluchal moich prosb. – Ale dlaczego tak zrobil? – Nie wiem. Zrobil i juz. A teraz wypusc moj lud. – Nie. Skrzyzowalem rece na piersi i odwrocilem sie jak ktos o upartym sercu. – Patrz oto, jak przemienie te laske w weza! A teraz wypusc moj lud! – Zgoda. – Nie mozesz tak sie zgadzac! – Dlaczego? To calkiem niezla sztuczka z ta laska. – Ale to nie tak szlo! – Niech ci bedzie. Nic z tego, Mojzeszu, twoj lud musi tu zostac. Joszua pomachal mi laska przed twarza. – Strzez sie, zesle na ciebie plage zab! Wejda do palacu twego, do loza twego i wcisna sie w twoje rzeczy. – I co? – I to zle. Wypusc moj lud, faraonie. – Ale ja dosyc lubie zaby. – Martwe zaby – zagrozil Mojzesz. – Cale stosy parujacych, cuchnacych zdechlych zab. – Ach, w takim razie lepiej zabierz swoj lud i odejdz. 1 tak musze zbudowac pare sfinksow i roznych takich. – Do licha, Biff, nie mozesz tak odpowiadac! Mam jeszcze dla ciebie inne plagi! – Chce byc Mojzeszem. – Nie mozesz. – Czemu? – To ja mam laske. – Hm…

I tak to sie toczylo. Nie jestem pewien, czy odgrywanie zloczyncow przychodzilo mi rownie latwo, jak jemu odgrywanie bohaterow. Czasami zatrudnialismy mlodszych braci, zeby powierzyc im co bardziej obrzydliwe role. Mali bracia Joszuy, Juda i Jakub, grali cale populacje, na przyklad mieszkancow Sodomy przed drzwiami domu Lota. – Przyslij nam tych dwoch aniolow, zebysmy mogli sie z nimi zapoznac. – Nie uczynie tego – odparlem, grajac Lota (porzadnego goscia, ale tylko dlatego, ze Joszua chcial grac aniolow). – Ale mam dwie corki, ktore nikogo jeszcze nie znaja, z nimi mozecie sie zapoznac. – Zgoda – rzekl Juda. Otworzylem szeroko drzwi i wyprowadzilem swoje wyimaginowane corki. – Milo mi pania poznac. – Jestem zaszczycona. – Bardzo mi przyjemnie. – TO NIE TAK BYLO! – wrzasnal Joszua. – Powinniscie probowac wylamac te drzwi, a wtedy ja poraze was slepota! – A potem zniszczysz miasto? – upewnil sie Jakub. – Tak. – To wolimy raczej poznac corki Lota. – Wypusc moj lud – odezwal sie Juda.

Mial tylko cztery lata i historie czesto mu sie mylily. Najbardziej lubil Ksiege Wyjscia, bo mogli z Jakubem oblewac mnie woda z wiadra, kiedy w poscigu za Mojzeszem prowadzilem swoje wojska przez Morze Czerwone. – Dosc tego – zirytowal sie Joszua. – Judo, bedziesz

zona Lota. Idz i stan tam. Czasami Juda musial grac zone Lota niezaleznie od przedstawianej opowiesci. – Nie chce byc zona Lota. – Cicho! Slupy soli nie mowia. – Nie chce byc dziewczyna.

Nasi bracia zawsze grali zenskie role. Ja sam nie mialem siostr do dreczenia, a jedyna wowczas siostra Joszuy, Elzbieta, wciaz byla jeszcze noworodkiem. Tak bylo, zanim spotkalismy Magdalene. Magdalena zmienila wszystko.

Kiedy podsluchalem, jak moi rodzice rozmawiaja o szalenstwie matki Joszuy, czesto ja obserwowalem, wypatrujac objawow. Ale wydawalo sie, ze zajmuje sie swoimi sprawami jak wszystkie inne matki – opiekuje sie maluchami, pracuje w ogrodzie, nosi wode albo szykuje jedzenie. Nie zauwazylem zadnych sklonnosci do biegania na czworakach czy piany na ustach, ktorych sie spodziewalem. Byla mlodsza niz wiele innych matek i o wiele mlodsza od swojego meza, Jozefa – starego czlowieka, wedlug standardow naszych czasow. Joszua mowil, ze Jozef nie jest jego prawdziwym ojcem, ale nie chcial zdradzic, kto nim jest. Kiedy poruszalem ten temat, a Maria byla w zasiegu glosu, wolala Josha, a potem przykladala palec do warg, nakazujac milczenie. – To jeszcze nie czas, Joszua. Biff by nie zrozumial.

Wystarczylo, ze uslyszalem, jak wymawia moje imie, a serce walilo mi mocno. Bardzo wczesnie pojawilo sie u mnie uczucie szczeniecej milosci do matki Joszuy; snulem fantazje o malzenstwie, rodzinie i przyszlosci. – Twoj ojciec jest stary, Josh, prawda? – Nie tak bardzo. – Kiedy umrze, czy twoja matka wyjdzie za jego brata? – Moj ojciec nie ma braci. A czemu pytasz? – Bez powodu. A co bys pomyslal, gdyby twoj ojciec byl nizszy od ciebie? – Nie jest. – Ale kiedy twoj ojciec umrze, matka moze poslubic kogos nizszego od ciebie i wtedy on bedzie twoim ojcem. Bedziesz musial robic, co ci kaze. – Moj ojciec nigdy nie umrze. Jest wieczny. – Ty tak uwazasz. Ale mysle sobie, ze kiedy bede juz mezczyzna, a twoj ojciec umrze, wezme sobie twoja matke za zone. Joszua skrzywil sie, jakby nadgryzl niedojrzala fige. – Nie mow takich rzeczy, Biff. – Nie przeszkadza mi, ze jest oblakana. Podoba mi sie jej niebieski plaszcz. I jej usmiech. Bede dobrym ojcem. Naucze cie kamieniarstwa i bede cie bil tylko wtedy, kiedy bedziesz bezczelny. – Wole bawic sie z tredowatymi niz tego sluchac – oswiadczyl Joszua i zaczal odchodzic. – Czekaj! Badz mily dla swojego ojca, Joszuo bar Biff. – Moj wlasny ojciec uzywal mojego pelnego imienia wtedy, kiedy chcial cos podkreslic. – Czyz nie nakazal Mojzesz, ze masz mnie czcic? Maly Joszua odwrocil sie na piecie. – Nie mam na imie Joszua bar Biff, zreszta Joszua bar Jozef tez nie. Moje imie to Joszua bar Jahwe!

Rozejrzalem sie w nadziei, ze nikt go nie slyszal. Nie chcialem, zeby moj jedyny syn (planowalem sprzedac Jakuba i Jude w niewole) zostal ukamienowany na smierc za wymawianie imienia Boga nadaremno. – Nie mow tak, Josh. Nie ozenie sie z twoja matka. – Nie, nie ozenisz sie. – Przepraszam. – Wybaczam ci. – Ale bedzie z niej doskonala konkubina.

Nie pozwolcie sobie wmawiac, ze Ksiaze Pokoju nigdy nikogo nie uderzyl. W tych dniach poczatkowych, zanim stal sie tym, kim mial sie stac, nie raz rozbil mi nos. Wtedy po raz pierwszy. Maria miala pozostac moja jedyna prawdziwa miloscia, dopoki nie zobaczylem Magdaleny.

Jesli mieszkancy Nazaretu uwazali matke Joszuy za szalona, niewiele o tym mowili z szacunku dla jej meza, Jozefa. Znal Prawo, Prorokow i Psalmy, a niewiele zon w Nazarecie nie podawalo kolacji w jednej z jego gladkich mis z oliwkowego drewna. Byl sprawiedliwy, silny i madry. Ludzie mowili, ze nalezal kiedys do essenczykow, tych surowych, ascetycznych Zydow, ktorzy trzymali sie z dala od innych, nigdy sie nie zenili i nie scinali wlosow. Nie utrzymywal jednak z nimi kontaktow i w przeciwienstwie do nich, wciaz potrafil sie usmiechac.

W tych wczesnych latach widywalem go rzadko, gdyz stale przebywal w Seforis, pracujac dla Rzymian, dla Grekow i dla zydowskich posiadaczy ziemskich z tego miasta. Jednakze co roku, kiedy zblizalo sie Swieto Pierwszych, Jozef opuszczal ufortyfikowane miasto i zostawal w domu, by rzezbic misy i lyzki przeznaczone dla Swiatyni. Podczas Swieta Pierwszych tradycja nakazywala oddawac kaplanom ze Swiatyni pierwsze jagnieta, pierwsze ziarno i pierwsze owoce. Nawet pierworodni synowie, ktorzy przyszli na swiat w ciagu roku, byli przeznaczani dla Swiatyni – albo poprzez obietnice oddania ich do pracy, kiedy juz podrosna, albo poprzez dar pieniedzy. Rzemieslnicy, tacy jak moj ojciec i Jozef, mogli oddawac rzeczy, ktore wykonali; w niektorych latach ojciec szykowal mozdzierze i tluczki albo mlynskie kamienie na danine, kiedy indziej oddawal dziesiecine w monecie. Na to swieto niektorzy wyruszali na pielgrzymke do Jeruzalem, ale ze wypadalo zaledwie siedem tygodni po Passze, wiele rodzin nie moglo sobie na to pozwolic. Dary trafialy wiec do naszej skromnej wiejskiej synagogi.

W ciagu tygodni poprzedzajacych swieto Jozef siedzial przed domem, w cieniu daszku, jaki zrobil, i siekiera oraz dlutem dreczyl oliwkowe drewno. Joszua i ja bawilismy sie u jego stop. Mial na sobie jednoczesciowa tunike, jakie nosilismy wszyscy – prostokat materialu z dziura na glowe posrodku, przepasany szarfa, tak ze rekawy opadaly do lokci, a skraj siegal kolan.

–Moze w tym roku powinienem oddac Swiatyni mojego pierwszego syna, co, Joszua? Czy nie chcialbys czyscic oltarza po ofiarach? – Jozef usmiechnal sie, nie unoszac glowy znad pracy. – Wiesz przeciez, ze jestem im winien pierwszego syna. W czasie Swieta Pierwszych, kiedy sie urodziles, bylismy w Egipcie.

Mysl o bezposrednim kontakcie z krwia wyraznie przerazila Joszue, jak zreszta przerazilaby kazdego zydowskiego chlopca. – Oddaj im Jakuba, abba. On jest twoim pierwszym synem.

Jozef zerknal w moja strone, by sie przekonac, czy zareagowalem. Owszem, ale to dlatego, ze myslalem o swojej pozycji pierwszego syna; mialem nadzieje, ze moj ojciec nie wpadl na taki pomysl. – Jakub jest drugim synem. Kaplani nie chca drugich synow. To musisz byc ty. Zanim odpowiedzial, Joszua popatrzyl na mnie, a potem na ojca. I usmiechnal sie. – Ale, abba, gdybys umarl, kto sie zajmie mama, jesli ja bede w Swiatyni? – Ktos sie nia zaopiekuje – wtracilem. – Jestem tego pewien. – Nie umre jeszcze przez dlugi czas. – Jozef szarpnal siwa brode. – Broda juz mi bieleje, ale mam w sobie jeszcze wiele zycia. – Nie badz taki pewny, abba – rzucil Joszua. Jozef upuscil mise, nad ktora pracowal, i wpatrzyl sie w swoje dlonie. – Biegnijcie sie bawic, wy dwaj – powiedzial glosem brzmiacym jak szept.

Joszua wstal i odszedl. Chcialem zarzucic Jozefowi rece na szyje, nigdy bowiem nie widzialem tak wystraszonego doroslego i mnie rowniez to przerazilo. – Moge pomoc? – spytalem, wskazujac niedokonczona mise na kolanach Jozefa. – Idz z Joszua. Potrzebny mu przyjaciel, ktory nauczy go byc czlowiekiem. Wtedy ja bede mogl go nauczyc byc mezczyzna.

Aniol chce, zebym ukazal wiecej lask Joszuy. Laska? Na rany Chrystusa, pisze przeciez o szesciolatku, jakiez laski mogl wtedy okazywac? To by do niego nie pasowalo, gdyby chodzil i codziennie obwieszczal, ze jest Synem Bozym. Byl calkiem normalnym dzieciakiem, na ogol. Owszem, robil te sztuczke z jaszczurka, a raz znalazl martwego skowronka i przywrocil go do zycia. No i kiedys, kiedy mielismy juz po osiem lat, uleczyl peknieta czaszke swojego brata Judy, kiedy zabawa w kamienowanie cudzoloznicy wymknela sie spod kontroli. (Juda nie mogl jakos zalapac, o co chodzi w byciu cudzoloznica. Stal sztywno jak zona Lota. Tak nie mozna. Cudzoloznica musi byc chytra i chyzostopa. Cuda, jakich Joszua dokonywal, bywaly skromne i dyskretne, jak zwykle cuda, kiedy czlowiek juz sie do nich przyzwyczai. Klopoty braly sie raczej z cudow, ktore dzialy sie wokol niego, bez jego woli. Chleb i weze od razu przychodza do glowy.

Dzialo sie to na kilka dni przed swietem Paschy i wiele rodzin z Nazaretu nie wybieralo sie na pielgrzymke do Jeruzalem. W porze zimowej spadlo malo deszczu, wiec zapowiadal sie ciezki rok. Farmerzy nie mogli sobie pozwolic na opuszczenie pol, by powedrowac do swietego miasta i z powrotem. Ojcowie, moj i Joszuy, pracowali obaj w Seforis, a Rzymianie dawali im wolne tylko na swieta. Moja matka piekla przasny chleb, kiedy wrocilem z zabawy na placu.

Miala przed soba z tuzin plaskich plackow i wygladala, jakby chciala lada moment cisnac je na ziemie. – Biff, gdzie jest twoj przyjaciel Joszua? – zapytala. Moi mali bracia szczerzyli zeby, ukryci za jej spodnica. – W domu, jak sadze. Niedawno go tam zostawilem. – A co razem robiliscie? – Nic.

Probowalem sobie przypomniec, czy zrobilem cos, co mogloby tak ja rozgniewac, ale naprawde nic nie przychodzilo mi do glowy. To byl wyjatkowy dzien i raczej nie rozrabialem. O ile wiedzialem, obaj moi mlodsi bracia pozostawali cali i zdrowi. – Co zrobiliscie, by sprawic cos takiego?

Pokazala mi placek, a na nim, w chrupkiej brazowej plaskorzezbie na zlocistej skorce, zobaczylem wizerunek twarzy mojego przyjaciela Joszuy. Chwycila nastepny i na nim znow byl moj przyjaciel Josh. Rzezbiony wizerunek – wielki grzech. Josh sie usmiechal. Mama krzywo patrzyla na usmiechy. – No wiec? Czy mam isc do domu Joszuy i zapytac jego nieszczesna oblakana matke? – Ja to zrobilem – wyznalem. – To ja umiescilem twarz Joszuy na chlebie. Mialem tylko nadzieje, ze nie zapyta, jak tego dokonalem. – Ojciec wymierzy ci kare, kiedy wieczorem wroci do domu. A teraz idz, wynos sie stad.

Slyszalem chichot mlodszych braci, kiedy chylkiem wysuwalem sie za drzwi. Ale na zewnatrz sytuacja wygladala jeszcze gorzej. Kobiety odchodzily od kamieni do pieczenia, kazda trzymala tace z przasnym chlebem i kazda mruczala pod nosem jakas wersje zdania "Hej, na

moim chlebie jest jakis dzieciak".

Pobieglem do domu Joszuy i bez pukania wpadlem do srodka. Jadl razem z bracmi przy stole, Maria karmila Miriam, najnowsza siostrzyczke Josha. – Masz powazny klopot – szepnalem mu do ucha z takim im petem, ze moglby mu peknac bebenek.

Joszua pokazal mi placek, ktory wlasnie jadl, i usmiechnal sie, calkiem jak jego oblicze na macy. – To cud. – I calkiem smaczny – dodal Jakub, odgryzajac kawalek glowy brata. – To sie dzieje w calym miescie, Joszua. Nie tylko u ciebie w domu. Wszystkie bochenki chleba maja twoja twarz. – W istocie jest Synem Bozym – oswiadczyla z anielskim usmiechem Maria. – No nie, mamo… – jeknal Jakub. – Tak, mamo, no nie… – zgodzil sie z nim Juda. – Jego geba jest wszedzie, na calym swiecie Paschy. Trzeba cos zrobic.

Chyba nie rozumieli powagi sytuacji. Ja juz mialem klopoty, a przeciez moja matka nie podejrzewala nawet niczego nadprzyrodzonego. – Musimy obciac ci wlosy. – Co? – Nie mozemy obcinac jego wlosow – oswiadczyla Maria.

Zawsze pozwalala Joshowi nosic dlugie wlosy, na modle essenczykow; mowila, ze jest nazarejczykiem, jak Samson. To byl kolejny powod, dla ktorego ludzie w wiosce uwazali ja za szalona. My wszyscy scinalismy wlosy na krotko, jak Grecy, ktorzy wladali naszym krajem od czasow Aleksandra, a po nich Rzymianie. – Jesli zetniemy mu wlosy, bedzie wygladal jak wszyscy. Moze my wtedy powiedziec, ze na chlebie jest ktos inny. – Mojzesz – zaproponowala Maria. – Mlody Mojzesz. – Tak! – Przyniose noz. – Jakub, Juda, pojdziecie ze mna – polecilem. – Musimy po wiedziec calemu miastu, ze na czas Paschy przybylo do nas oblicze Mojzesza. Maria odsunela Miriam od piersi, schylila sie i pocalowala mnie w czolo. – Jestes dobrym przyjacielem, Biff. Niemal sie rozplynalem, ale zauwazylem, ze Joszua marszczy brwi. – To przeciez nieprawda – powiedzial. – Ale powstrzyma faryzeuszy przed osadzeniem cie. – Nie boje sie ich – zapewnil ten dziewieciolatek. – Nic nie zrobilem z chlebem. – Wiec czemu chcesz brac na siebie wine i kare za to? – Nie wiem, ale wydaje sie, ze powinienem. Prawda? – Siedz tutaj, zeby mama mogla ci sciac wlosy. Wybieglem przed drzwi. Juda i Jakub pedzili tuz za mna i beczelismy wszyscy jak owce na wiosne: – Zobaczcie! Mojzesz zeslal swe oblicze w chlebie na Pasche! Zobaczcie!

Cuda. Pocalowala mnie. Swiety Mojzeszu na macy! Pocalowala mnie. Cud weza? To byl w pewnym sensie omen, choc moge tak powiedziec jedynie z powodu tego, co wydarzylo sie pozniej miedzy Joszua i faryzeuszami. Jednakze w danej chwili Joszua uwazal to za spelnienie proroctwa, a przynajmniej tak probowal to sprzedac matce i ojcu.

Bylo pozne lato i bawilismy sie na polu pszenicy za miastem, kiedy Joszua znalazl gniazdo wezy. – Gniazdo wezy! – zawolal. Pszenica rosla tak wysoko, ze nie widzialem, skad dobiega jego glos. – Zaraza na twoja rodzine – odpowiedzialem. – Nie, tutaj jest gniazdo wezy. Naprawde. – Aha… Bo myslalem, ze chcesz mnie rozdraznic. Przepraszam, zaraza z twojej rodziny. – Chodz zobacz.

Przedarlem sie przez pszenice i znalazlem Joszue stojacego przy stosie kamieni, ktore ulozyl farmer, by zaznaczyc granice swego pola. Wrzasnalem i zaczalem sie cofac tak szybko, ze stracilem rownowage i upadlem. Platanina wezy wila sie u stop Joszuy; pelzaly po jego sandalach i owijaly sie wokol kostek. – Uciekaj stamtad, Joszua! – Nie zrobia mi krzywdy. Tak jest napisane w Izajaszu. – Ale moze one nie czytaly Prorokow…

Joszua odstapil, rozrzucajac weze po ziemi, a za nim ujrzalem najwieksza kobre, jaka kiedykolwiek widzialem. Kiedy sie uniosla, byla wyzsza od mojego przyjaciela, i rozlozyla kaptur niczym plaszcz. – Uciekaj! Joszua sie usmiechnal. – Nazwe ja Sara, od zony Abrahama. To sa jej dzieci. – Powaznie? Pozegnajmy sie, Josh. – Chce ja pokazac matce. Ona kocha proroctwa.

I pomaszerowal do wioski, a ogromny waz podazal za nim jak cien. Mlode zostaly w gniezdzie, a ja wycofalem sie wolno, po czym pobieglem za przyjacielem.

Kiedys przynioslem do domu zabe, w nadziei ze bede mogl ja zatrzymac. Nieduza zabe, taka na jedna dlon, spokojna i dobrze wychowana. Matka kazala mi ja wypuscic, potem oczyscic sie w zbiorniku ablucyjnym (mykwie) w synagodze. Ale i tak nie wpuscila mnie do domu az do zachodu slonca, poniewaz bylem nieczysty. Joszua przyprowadzil do domu czternastostopowa kobre, a jego matka piszczala z radosci. Moja matka nigdy nie piszczala. Maria umocowala sobie dziecko na biodrze, kleknela przed synem i zacytowala Izajasza: – Wtedy wilk zamieszka wraz z barankiem, pantera z kozleciem razem lezec beda, ciele i lew pasc sie beda spolem i maly chlopiec bedzie je poganial. Krowa i niedzwiedzica przestawac beda przyjaznie, mlode ich razem legna. Lew tez jak wol bedzie jadal slome. Niemowle igrac bedzie na norze kobry, dziecko wlozy reke do kryjowki zmii. Jakub, Juda i Elzbieta kulili sie w kacie, zbyt przerazeni, by plakac. Ja stalem przed drzwiami i patrzylem. Waz kolysal sie przed Joszua, jakby sie szykowal do ataku. – Ma na imie Sara. – Nie wiadomo, czy to odpowiednia odmiana kobry – powiedzialem. – A bylo ich tam mnostwo. – Mozemy ja zatrzymac? – spytal Joszua. – Bede lapal dla niej szczury i przygotuje legowisko obok Elzbiety. – Stanowczo nie jest to zmija. Poznalbym zmije, gdybym ja zobaczyl. Stanowczo kobra, ale czy wlasciwy rodzaj? (Prawde mowiac nie odroznilbym zmii od dziury w ziemi). – Cicho badz, Biff – rzucila Maria. Serce mi peklo, gdy uslyszalem taka surowosc w glosie ukochanej. W tej wlasnie chwili pojawil sie Jozef i przeszedl przez drzwi, zanim zdazylem go powstrzymac. Zadna strata, bo natychmiast wyskoczyl z powrotem. – Jeczacy Jozafacie!

Obejrzalem sie, by sprawdzic, czy serce Jozefa nie stanelo. Szybko postanowilem, ze kiedy juz ozenie sie z Maria, waz bedzie musial odejsc, a przynajmniej spac na dworze. Jednak krzepki ciesla wydawal sie tylko troche wstrzasniety i nieco zakurzony po swoim skoku do tylu. – Nie zmija, prawda? – spytalem. – Zmije sa stworzone jako nieduze, by pasowac do piersi egipskich krolowych. Jozef nie zwracal na mnie uwagi. – Cofaj sie powoli, synu. Przyniose noz z warsztatu. – Nie skrzywdzi nas – uspokoil go Joszua. – Ma na imie Sara. Jest z Izajasza. – Wystepuje w proroctwie, Jozefie – wyjasnila Maria.

Widzialem, jak Jozef szuka w pamieci odpowiedniego wersetu. Byl czlowiekiem swieckim,

ale znal Pismo nie gorzej od innych. – Nie pamietam fragmentu o Sarze. – Nie wydaje mi sie, zeby o nia chodzilo w proroctwie – wtracilem. – Ono mowi o zmijach, a to stanowczo nie jest zmija. Mowi co prawda o kobrach, ale ta jest jakas dziwna. Mysle, ze odgryzie Joszui tylek, jesli jej nie zlapiesz, Jozefie. (Zawsze warto sprobowac). – Moge ja zatrzymac? – poprosil Joszua.

Jozef zdazyl sie opanowac. Najwyrazniej, kiedy czlowiek juz uznal, ze jego zona spala z Bogiem, niezwykle wydarzenia staja sie dosc pospolite. – Zabierz ja tam, gdzie ja znalazles, Joszua. Proroctwo zostalo spelnione. – Ale ja chce ja zatrzymac! – Nie, Joszua. – Nie bedziesz mi rozkazywal! Podejrzewam, ze Jozef slyszal juz ten argument. – Mimo to – powiedzial. – Prosze cie, odprowadz Sare tam, gdzie ja znalazles. Joszua wybiegl z domu, a jego waz sunal za nim. Jozef i ja zrobilismy im przejscie. – Postaraj sie, zeby nikt cie nie widzial – ostrzegl Jozef. – Nie zrozumieja.

Mial racje, oczywiscie. Po drodze natrafilismy na bande starszych chlopakow, prowadzonych przez Akana, syna faryzeusza Ibana. Nie zrozumieli.

W Nazarecie bylo moze kilkunastu faryzeuszy – ludzi uczonych, nauczycieli klasy pracujacej, ktorzy wiekszosc czasu spedzali w synagodze, dyskutujac o Prawie. Czesto wynajmowano ich jako sedziow czy skrybow, co dawalo im wielkie wplywy. Tak wielkie, ze Rzymianie czesto wykorzystywali ich jako swoich rzecznikow wobec naszego ludu. Za wplywami idzie wladza, a za wladza jej naduzywanie. Akan byl jedynym synem faryzeusza. Ledwie dwa lata starszy ode mnie i Joszuy, posunal sie calkiem daleko na drodze do opanowania okrucienstwa. Jesli cokolwiek moze cieszyc w tym, ze wszyscy, ktorych znalem, nie zyja od dwoch tysiecy lat, to fakt, ze Akan jest miedzy nimi. Oby jego tluszcz skwierczal po wiecznosc na ogniu piekielnym! Joszua nauczal nas, ze powinnismy wyrzec sie nienawisci – lekcja, ktorej jakos nigdy nie moglem opanowac, tak samo jak geometrii. To pierwsze przez Akana, drugie przez Euklidesa. Joszua biegl za domami i warsztatami wioski, waz dziesiec krokow za nim, a ja kolejne dziesiec krokow z tylu. Kiedy skrecil za rog kuzni, zderzyl sie z Akanem i przewrocil go na ziemie. – Ty idioto! – krzyknal Akan. Wstal i sie otrzepal. Jego trzej koledzy wybuchneli smiechem, ale odwrocil sie do nich jak wsciekly tygrys. – Ten chlopak wymaga, zeby wyszorowac mu gebe lajnem. Przytrzymajcie go.

Chlopcy zajeli sie wiec Joszua – dwoch chwycilo go za ramiona, trzeci wymierzyl cios w brzuch. Akan rozejrzal sie za jakims stosikiem, w ktory moglby wepchnac twarz mojego przyjaciela. Sara wysunela sie zza rogu i uniosla nad Joszua, rozwijajac swoj wspanialy kaptur wysoko nad naszymi glowami. – Hej! – zawolalem, kiedy i ja wylonilem sie zza rogu. – Myslicie, chlopaki, ze to zmija? Strach przed wezem zmienil sie w cos w rodzaju ostroznej sympatii. Zdawalo sie, ze Sara sie usmiecha; ja usmiechalem sie na pewno. Kolysala sie z boku na bok niczym zdzblo pszenicy na wietrze. Chlopcy puscili rece Joszuy i pobiegli do Akana, ktory odwrocil sie i zaczal powoli wycofywac. – Joszua opowiadal o zmijach – ciagnalem. – Ale musze zaznaczyc, ze to jest kobra. Joszua stal zgiety wpol, wciaz usilujac odzyskac oddech, ale zerknal na mnie i wyszczerzyl zeby. – Oczywiscie nie jestem synem faryzeusza, ale… – Dziala w zmowie z wezem! – wrzasnal Akan. – Zadaje sie z demonami! – Demony! – wykrzykneli

pozostali chlopcy, probujac ukryc sie za swoim tlustym przyjacielem. – Powiem o tym mojemu ojcu i bedziesz ukamienowany! Jakis glos rozlegl sie za plecami Akana: – Co to za krzyki? Byl to slodki glos.

Wyszla z domu przy kuzni. Jej skora lsnila jak miedz, oczy zas miala jasnoniebieskie, jak ludzie z polnocnych pustkowi. Kosmyki rudokasztanowych wlosow wystawaly spod purpurowego szala. Nie mogla miec wiecej niz dziewiec czy dziesiec lat, ale w jej oczach bylo cos bardzo starego. Przestalem oddychac, kiedy ja zobaczylem. Akan nadal sie jak ropucha. – Nie podchodz. Ci dwaj zadaja sie z demonem. Powiem starszym i beda osadzeni.

Splunela mu pod stopy. Nigdy wczesniej nie widzialem, zeby dziewczyny pluly. To bylo urzekajace. – Jak dla mnie wyglada na kobre. – Widzicie? Mowilem.

Zblizyla sie do Sary, jakby podchodzila do figowego drzewa, szukajac owocow – bez sladu leku, a jedynie z ciekawoscia. – Myslisz, ze to demon? – rzucila, nie ogladajac sie na Akana. – Czy nie bedzie ci wstyd, kiedy starsi odkryja, ze pospolitego weza z pol wziales za demona? – To demon!

Dziewczyna wyciagnela reke, a waz wzniosl sie, jakby do ataku. Potem jednak opuscil glowe, a jego rozdwojony jezyk musnal palce dziewczyny. – Stanowczo jest to kobra, chlopczyku. A ci dwaj prawdopodobnie prowadza ja z powrotem na pola, gdzie pomoze farmerom, zjadajac szczury. – Tak, wlasnie to robilismy – zapewnilem. – Absolutnie – zgodzil sie Joszua. Dziewczyna odwrocila sie do Akana i jego kolegow. – Demon? Akan tupnal noga jak rozzloszczony osiol. – Jestes z nimi w zmowie! – Nie badz glupi. Moja rodzina dopiero co przybyla tu z Mag-dali, nigdy tych dwoch wczesniej nie widzialam, ale to oczywiste, co robia. W Magdali robimy tak caly czas. No ale to w koncu zacofana wioska. – Tutaj tez tak robimy – oswiadczyl Akan. – Ja tylko… no… Ci dwaj sprawiaja klopoty. – Klopoty – potwierdzili jego przyjaciele. – To moze pozwolimy im skonczyc, co zaczeli.

Akan, przeskakujac wzrokiem od dziewczyny do weza i znowu do dziewczyny, zaczal sie wycofywac. Jego koledzy rowniez. – Z wami dwoma policze sie kiedy indziej.

Gdy tylko znikneli za rogiem, dziewczyna odskoczyla od weza i pobiegla do drzwi swego domu. – Czekaj! – zawolal za nia Joszua. – Musze isc. – Jak ci na imie? – Jestem Maria z Magdali, corka Izaaka – odparla. – Mozesz mnie nazywac Maggie. – Chodz z nami, Maggie. – Nie moge. Musze wracac. – Dlaczego? – Bo sie posiusialam. I zniknela za drzwiami. Cuda.

Kiedy wrocilismy juz na tamto pole pszenicy, Sara skierowala sie do swojego gniazda. Przygladalismy sie z daleka, jak sie wsuwa do otworu. – Josh… Jak to zrobiles? – Nie mam pojecia. – Czy takie rzeczy beda sie ciagle zdarzaly? – Prawdopodobnie. – To wpakujemy sie w spore klopoty, prawda? – A co ja jestem, prorok? – Ja pierwszy zapytalem. Joszua patrzyl w niebo, jakby wpadl w trans. – Widziales ja? Niczego sie nie bala. – Jest ogromnym wezem. Czego ma sie bac? Joszua zmarszczyl brwi. – Nie udawaj glupka, Biff. Ocalily nas kobra i dziewczyna. Sam nie wiem co o tym myslec. – A po co w ogole myslec? To sie po prostu

zdarzylo. – Nic sie nie zdarza bez woli Pana – odparl Joszua. – Ale nie zgadza sie to z testamentem Mojzesza. – Moze to nowy testament – mruknalem. – Wcale nie udajesz, prawda? – powiedzial Joszua. – Naprawde jestes glupkiem. – Mysle, ze lubi ciebie bardziej niz mnie – oswiadczylem. – Kobra? – No dobrze, jestem glupkiem.

Nie wiem, czy teraz – kiedy przezylem zycie mezczyzny, kiedy umarlem – potrafie pisac o swojej dzieciecej milosci. Ale kiedy wspominam ja dzisiaj, wydaje sie najpiekniejszym bolem, jakiego doznalem. Milosc bez pozadania, bezwarunkowa, bez granic – czyste, promienne lsnienie serca, ktore potrafilo wywolac jednoczesnie zawrot glowy, smutek i radosc. Gdzie ono sie podzialo? Dlaczego, po wszystkich eksperymentach, Medrcy nigdy nie probowali zamknac tej czystosci w butelkach? Moze nie potrafili. Moze jest dla nas stracona od chwili, kiedy stajemy sie istotami seksualnymi i zadna magia nie potrafi jej przywrocic.

Moze pamietam to uczucie tylko dlatego, ze tak wiele czasu poswiecilem, by zrozumiec milosc, jaka Joszua czul dla wszystkich ludzi. Na Wschodzie uczyli nas, ze wszelkie cierpienie bierze sie z zadzy, i ta kosmata bestia miala mnie scigac przez cale zycie. Ale tego popoludnia – i jeszcze przez jakis czas pozniej – doznalem laski. Nocami nie spalem, tylko lezalem, sluchajac oddechow moich braci, a oczyma duszy widzialem jej oczy niby blekitne plomienie w mroku. Cudowna tortura. Zastanawiam sie teraz, czy przez Joszue cale jej zycie nie bylo wlasnie takie. Maggie – byla najsilniejsza z nas wszystkich. Po cudzie weza Joszua i ja szukalismy pretekstow, zeby przechodzic obok kuzni, gdzie moglismy spotkac Maggie. Kazdego ranka wstawalismy wczesnie i szlismy do Jozefa, proponujac, ze pobiegniemy do kuzni po gwozdzie albo zeby naprawic jakies narzedzie. Biedny Jozef przyjmowal to za dowod naszego entuzjazmu dla ciesielstwa.

–Moze, chlopcy, wybralibyscie sie ze mna jutro do Seforis? – zaproponowal pewnego dnia, kiedy meczylismy go o przynoszenie gwozdzi. – BifF, czy twoj ojciec pozwoli ci zaczac nauke ciesielstwa?

Bylem przerazony. W wieku dziesieciu lat chlopiec powinien rozpoczac nauke fachu swojego ojca, ale zostal mi jeszcze rok – to cala wiecznosc, kiedy ma sie ich dziewiec. – Ja… Ja wciaz sie zastanawiam, co bede robil, kiedy dorosne – powiedzialem. Moj wlasny ojciec dzien wczesniej zlozyl podobna oferte Jo-szui. – Wiec nie zostaniesz kamieniarzem? – Myslalem, czy nie zostac wiejskim glupkiem, jesli tylko ojciec mi pozwoli. – Ma talent dany od Boga – wtracil Joszua.

–Rozmawialem juz z glupkiem Bartlomiejem – dodalem. – Ma mnie nauczyc, jak rzucac wlasnym lajnem i jak zderzac sie glowa ze scianami. Jozef spojrzal na mnie groznie. – Chyba jestescie jeszcze za mlodzi. W przyszlym roku. – Tak – zgodzil sie Joszua. – W przyszlym roku. Mozemy juz isc, Jozefie? Biff umowil sie na lekcje z Bartlomiejem.

Jozef skinal glowa, a my wybieglismy, zanim zdazyl nam sie narzucic z kolejnymi przejawami zyczliwosci. Rzeczywiscie zaprzyjaznilismy sie z glupkiem Bartlomiejem. Byl brudny i czesto sie slinil, ale byl tez duzy i w pewnym stopniu dawal ochrone przed Akanem i jego zbirami. Bart

spedzal czas, zebrzac w poblizu rynku, gdzie kobiety przychodzily po wode ze studni. Niekiedy widywalismy tam Maggie, przechodzaca z dzbanem na glowie. – Wiesz, niedlugo bedziemy musieli uczyc sie fachu – stwierdzil Joszua. – I nie bede sie z toba spotykal, kiedy zaczne pracowac z ojcem. – Rozejrzyj sie, Joszua. Widzisz tu duzo drzew? – Nie. – A te, ktore mamy, oliwkowe… Sa poskrecane, sekate, wykrzywione. Zgadza sie? – Tak. – Ale zostaniesz ciesla, jak twoj ojciec? – Jest na to duza szansa. – Jedno slowo, Josh: kamienie. – Kamienie? – Popatrz dookola: kamienie, jak okiem siegnac. Galilea to tylko kamienie, ziemia i znowu kamienie. Zostan kamieniarzem, jak moj ojciec. Mozemy budowac miasta dla Rzymian. – Prawde mowiac, myslalem raczej o zbawieniu ludzkosci. – Zapomnij o tych bzdurach, Josh. Mowie ci: tylko kamienie.

Aniol nie chce mi zdradzic, co sie stalo z moimi przyjaciolmi, z dwunastoma, z Maggie… Mowi tylko, ze juz nie zyja i mam teraz spisac wlasna wersje tej historii. Och, powtarza mi bezuzyteczne anielskie anegdotki-jak to Gabriel znikal kiedys na szescdziesiat lat i znalezli go na ziemi, ukrywajacego sie w ciele czlowieka nazwiskiem Miles Davis, albo jak Rafael wymknal sie z nieba, by odwiedzic Szatana, i wrocil z czyms zwanym telefonem komorkowym. (Najwyrazniej teraz w piekle wszyscy je maja). Oglada telewizje, a kiedy pokazuja trzesienie ziemi albo tornado, mowi "Kiedys takim jednym zniszczylem miasto. Moje bylo lepsze". Mam juz po dziurki w nosie tych bezsensownych anielskich plotek. Ale o moich czasach nie wiem nic procz tego, co sam widzialem. A kiedy w telewizji wspominaja o Joszui, nazywajac go grecka wersja imienia, Raziel zmienia kanal, zanim zdaze cokolwiek zobaczyc.

Nigdy nie spi. Obserwuje mnie tylko, gapi sie w telewizor i je. Nie wychodzi z pokoju.

Dzisiaj, kiedy szukalem zapasowych recznikow, otworzylem szuflade. Tam, pod plastikowym workiem na pranie, znalazlem ksiazke. Biblia, glosil napis na okladce. Dzieki niech beda Panu, ze nie wyjalem jej z szuflady, ale zajrzalem do niej, odwrocony do aniola plecami. Sa tam rozdzialy, jakich nie pamietam z zadnej znanej mi Biblii. Zobaczylem imiona Mateusza i Jana, zobaczylem Rzymian i Galatow – to ksiazka o moich czasach.

–Co robisz? – zapytal aniol.

Zakrylem Biblie i wsunalem szuflade.

40

* Szukam recznikow. Musze sie wykapac. * Kapales sie wczoraj. * Czystosc jest bardzo wazna dla mojego ludu. * Wiem o tym. Co, myslisz, ze nie wiedzialem? * Nie jestes raczej najjasniejsza aureola w zespole. * No to sie wykap. I trzymaj sie z daleka od telewizora. * Dlaczego nie przyniesiesz mi recznikow? * Zadzwonie do recepcji.

I tak zrobil. Jesli mam w ogole zajrzec do tej ksiazki, musze sklonic aniola, zeby wyszedl z pokoju.

Zdarzylo sie, ze w Jafii, blizniaczej wiosce Nazaretu, umarla na zle powietrze matka jednego z kaplanow w Swiatyni. Kaplani lewitow, albo saduceusze, wzbogacili sie z danin skladanych Swiatyni, wiec wynajeto zalobnikow ze wszystkich okolicznych wiosek. Rodziny z Nazaretu ruszyly w droge do sasiedniego wzgorza na pogrzeb i po raz pierwszy Joszua i ja moglismy, idac, spedzic troche czasu z Maggie.

–1 jak? – spytala, nie patrzac na nas. – Bawiliscie sie ostatnio z jakimis wezami? * Czekalismy, az lew legnie obok baranka – odparl Joszua. – To druga czesc proroctwa. * Jakiego proroctwa? * Mniejsza z tym – wtracilem. – Weze sa dla chlopcow. My jestesmy juz prawie mezczyznami. Zaczniemy pracowac po Swiecie Namiotow. W Seforis.

Staralem sie mowic jak swiatowiec. Na Maggie chyba nie robilo to wrazenia. * I bedziesz sie uczyl na ciesle? – zwrocila sie do Joszuy. * Bede wykonywal prace mojego ojca, w koncu. Tak. * A ty? – spytala mnie. * Mysle, czy nie zostac zawodowym zalobnikiem. Przeciez to nie moze byc trudne. Szarpac sie za wlosy, zaspiewac jedna

41

czy druga piesn pogrzebowa, a potem wolne przez reszte tygodnia.

–Jego ojciec jest kamieniarzem – wyjasnil Joszua. – Byc moze obaj zaczniemy poznawac to rzemioslo.

Po moich naleganiach, ojciec zaproponowal, ze przyjmie Jo-szue na ucznia, o ile Jozef sie zgodzi.

–Albo pasterzem – dodalem szybko. – Pasterstwo jest chyba latwe. W zeszlym tygodniu poszedlem z Kalielem, zeby pilno wac jego stada. Prawo mowi, ze zawsze dwoch musi wyruszyc ze stadem, zeby nie dopuscic do obrzydliwosci. Potrafie dostrzec obrzydliwosc na piecdziesiat krokow.

Maggie usmiechnela sie. * I powstrzymales jakies obrzydliwosci? * O tak. Bronilem nas przed obrzydliwosciami, kiedy Kaliel bawil sie za krzakami ze swoja ulubiona owca. * Biff – odezwal sie z powaga Joszua. – To wlasnie byla ta obrzydliwosc, do ktorej miales nie dopuscic.

–Naprawde? – Tak. * Oj… Co tam, mysle, ze bede swietnym zalobnikiem. Maggie, znasz slowa jakichs piesni pogrzebowych? Bede musial sie ich nauczyc. * Mysle, ze kiedy dorosne – oznajmila Maggie – wroce do Magdali i zostane rybakiem na Jeziorze Galilejskim.

Rozesmialem sie. * Nie badz gluptasem. Jestes przeciez dziewczyna. Nie mozesz zostac rybakiem. * Wlasnie ze moge. * Nie, nie mozesz. Musisz wyjsc za maz i miec synow. A przy okazji, jestes juz zareczona?

Joszua rzekl:

–Pojdz za mna, Maggie, a uczynie cie rybakiem wsrod ludzi.

–Co to ma znaczyc, u licha? – zdziwila sie. Zlapalem Joszue za tyl jego tuniki i zaczalem odciagac.

42

–Nie zwracaj na niego uwagi. Jest szalony. Ma to po matce. Piekna kobieta, ale zwariowana. Chodzmy, Josh, zaspiewamy piesn zalobna.

Zaczalem improwizowac cos, co uwazalem za calkiem niezla piesn.

–La-la-la, Bardzo nam smutno, kaplanie drogi, ze twoja mat ka wyciagnela nogi. Szkoda, ze jestes saduceuszem, nie wierzysz w zycie pozagrobowe, wiec twoja matka bedzie karma robakow, la-la. A moze chcialbys sie jeszcze raz zastanowic, co? Fa-la-la-la- -la-la-uaki-uaka.

(Po aramejsku brzmialo to rewelacyjnie. Naprawde). * Obaj jestescie wariaci. * Musimy isc. Zaloba czeka. Na razie. * Rybak wsrod kobiet? – mruknal Joszua. * Fa-la-la-la, nie masz czego plakac, byla juz stara i po zebach ani znaku, la-la-la. No dalej, ludziska, przeciez znacie slowa!

–Josh – powiedzialem troche pozniej. – Nie mozesz mowic takich rzeczy, od ktorych cierpnie skora. "Rybak wsrod ludzi"… Chcesz, zeby faryzeusze cie ukamienowali? Na tym ci zalezy? * Wykonuje tylko prace mojego ojca. Poza tym Maggie jest naszym przyjacielem. Nikomu nie powtorzy. * W koncu ja odstraszysz. * Nie, na pewno nie. Ona bedzie przy nas, Biff. * Masz zamiar sie z nia ozenic? * Nie wiem nawet, czy w ogole wolno mi sie zenic, Biff. Patrz.

Dotarlismy na szczyt wzgorza przed Jafia i widzielismy juz tlum zalobnikow zgromadzonych wokol wioski. Joszua wskazywal czerwony pioropusz, wystajacy ponad glowami ludzi – pioropusz na helmie rzymskiego centuriona. Centurion rozmawial z kaplanem lewita, odzianym w biel i zloto, z siwa broda siegajaca

43

ponizej pasa. Kiedy weszlismy do wioski, zauwazylismy jeszcze dwudziestu, moze trzydziestu zolnierzy obserwujacych tlum. * Co oni tu robia? * Nie lubia, kiedy sie gromadzimy – wyjasnil Joszua. Stanal, by przyjrzec sie rzymskiemu dowodcy. – Sa tutaj, by dopilnowac, zebysmy sie nie zbuntowali. * A dlaczego kaplan z nim rozmawia? * Saduceusz chce przekonac Rzymianina, ze nad nami panuje. Nie chcialby, zeby w dzien pogrzebu jego matki doszlo do masakry. * Czyli troszczy sie o nas… * Troszczy sie o siebie. Tylko o siebie. * Nie powinienes opowiadac takich rzeczy o kaplanie ze Swiatyni, Joszua.

Pierwszy raz uslyszalem, jak Joszua wystepuje przeciwko saduceuszom, i to mnie przerazilo.

–Mysle, ze dzisiaj kaplan sie przekona, do kogo naprawde nalezy Swiatynia. * Nie cierpie,

kiedy tak mowisz, Josh. Moze lepiej wrocimy do domu? * Pamietasz tego martwego skowronka, ktorego znalezlismy? * Mam naprawde zle przeczucie.

Joszua usmiechnal sie do mnie. Widzialem zlote plamki skrzace sie w jego oczach.

–Zaspiewaj swoja piesn, Biff. Wydaje mi sie, ze twoj spiew zrobil wrazenie na Maggie.

–Naprawde tak myslisz? – Nie.

Chyba z piecset osob zebralo sie przed grobem. Z przodu mezczyzni okryli glowy pasiastymi szalami i kolysali sie, pograzeni w modlach. Kobiety stanely z tylu i jesli nie liczyc zawodzenia wynajetych placzek, bylo tak, jakby nie istnialy. Usilowalem

wypatrzyc gdzies Maggie, ale nie widzialem jej przez tlum. Kiedy znow sie odwrocilem, Joszua przecisnal sie miedzy mezczyznami, do miejsca gdzie saduceusz stal przy ciele swej zmarlej matki i czytal Tore ze zwoju.

Kobiety owinely cialo w plotno i namascily wonnymi olejkami. Kiedy przepchnalem sie do Joszuy, wyczulem drzewo sandalowe i jasmin, zmieszane z odorem potu zalobnikow. Josh patrzyl na zwloki; w skupieniu mruzyl oczy. Drzal, jakby dmuchnal na niego zimny wiatr.

Kaplan skonczyl czytac i zaczal spiewac. Dolaczyli do niego wynajeci spiewacy, ktorzy przybyli tutaj az ze Swiatyni w Jeruzalem.

–Dobrze jest byc bogatym, nie? – szepnalem do Joszui, sztur chajac go lokciem w zebra.

Nie zwracal na mnie uwagi. Zacisnal piesci. Zyla wystapila mu na czolo, kiedy plomiennym spojrzeniem wpatrywal sie w cialo kobiety.

Poruszyla sie.

Z poczatku jedynie drgnela. Szarpnela reka pod lnianym calunem. Mysle, ze nikt oprocz mnie tego nie zauwazyl.

–Nie, Joszua, przestan – szepnalem.

Obejrzalem sie na Rzymian. Stali w piecioosobowych grupkach w roznych punktach wokol tlumu zalobnikow. Miny mieli znudzone, a dlonie wsparte na rekojesciach krotkich mieczy.

Zwloki znowu zadygotaly. Martwa kobieta uniosla reke. W tlumie rozlegly sie sapniecia, krzyknal jakis chlopiec. Mezczyzni zaczeli sie cofac, a kobiety przesuwac do przodu, by zobaczyc, co sie dzieje. Joszua osunal sie na kolana i przycisnal piesci do skroni. Kaplan spiewal dalej.

Trup usiadl.

Spiewacy zamilkli i w koncu kaplan takze sie odwrocil, by popatrzec na zmarla matke, ktora zsunela nogi z katafalku i wygladala, jakby probowala wstac. Kaplan zatoczyl sie do tylu, w tlum; rozczapierzonymi palcami odgarnial powietrze sprzed twarzy, jak gdyby to jakis opar wywolywal te przerazajaca wizje.

Joszua kolysal sie na kolanach, a lzy sciekaly mu po policzkach. Trup wstal i – wciaz owiniety calunem – obrocil sie, jakby sie rozgladal. Widzialem, ze niektorzy Rzymianie dobyli mieczy. Obejrzalem sie – centurion stal na wozie i dawal swoim ludziom sygnaly, by zachowali spokoj. I nagle zorientowalem sie, ze zalobnicy sie wycofali, a Joszua i ja pozostalismy sami na odkrytej przestrzeni.

–Przestan natychmiast, Josh – szepnalem, ale on nadal sie kolysal, skoncentrowany na trupie, ktory wykonal pierwszy krok.

Widok chodzacego trupa sparalizowal caly tlum. Ale bylismy zbyt odseparowani, zbyt samotni ze zmarla, i wiedzialem, ze za kilka sekund ktos zwroci uwage na kleczacego na ziemi Joszue. Objalem go reka za szyje i odciagnalem od trupa, w grupe mezczyzn, ktorzy wycofywali sie, zawodzac glosno. – Nic mu nie jest? – uslyszalem nagle. Obok mnie stala Maggie. – Pomoz mi go stad zabrac.

Maggie chwycila Josha pod ramie, ja pod drugie, i razem pociagnelismy go w tyl. Byl sztywny jak kij i ciagle wpatrywal sie w trupa. Martwa kobieta szla w strone swego syna, kaplana, ktory sie cofal, wznoszac zwoj niczym miecz. Oczy mial wielkie jak spodki. W koncu upadla na ziemie, drgnela kilka razy i znieruchomiala. Josh opadl bezwladnie w naszych ramionach. – Zabierzmy go stad – powiedzialem do Maggie. Kiwnela glowa i pomogla mi odciagnac go za woz, z ktorego centurion wydawal rozkazy swoim ludziom. – Nie zyje? – zapytal centurion. Joszua mrugal niepewnie, jakby wlasnie przebudzil sie z glebokiego snu. – Nigdy nie ma pewnosci, prosze pana – odpowiedzialem.

Centurion odchylil glowe i zasmial sie glosno. Luskowa zbroja brzeczala od drzenia ramion. Byl starszy od pozostalych zolnierzy, siwowlosy, ale wyraznie szczuply i silny. Zupelnie sie nie przejmowal przedstawieniem przy grobie. – Dobra odpowiedz, chlopcze. Jak sie nazywasz? – Biff, prosze pana. Lewi bar Alfeusz, zwany Biffem. Z Nazaretu. – A ja, Biffie, jestem Gajus Justus Gallicus, zastepca komendanta w Seforis. I sadze, ze wy, Zydzi, powinniscie rzeczywiscie sie upewnic, czy wasi zmarli naprawde zmarli, zanim ich pochowacie. – Tak, prosze pana. – Ty, dziewczyno. Prawdziwa z ciebie slicznotka. Jak ci na imie? Widzialem, ze Maggie jest poruszona tym, ze zwraca sie do niej Rzymianin. – Jestem Maria z Magdali, prosze pana. Skrawkiem chusty otarla Joszui czolo. – Pewnego dnia zlamiesz komus serce, co, malenka? Maggie nie odpowiedziala. Ale ja musialem zdradzic jakas reakcje na to pytanie, bo Justus znow sie rozesmial. – A moze juz zlamala, co, Biffie? – Taki mamy zwyczaj, prosze pana. Dlatego my, Zydzi, grzebiemy nasze kobiety, kiedy jeszcze sa zywe. To pozwala zaoszczedzic na zlamanych sercach. Rzymianin zdjal helm, przeczesal palcami krotkie wlosy i strzepnal z dloni pot. – No dalej, przeniescie waszego przyjaciela do cienia. Jest za goraco dla tego chorego dzieciaka. Juz.

Maggie i ja pomoglismy Joszui wstac i chcielismy go odprowadzic. Ale po zaledwie kilku krokach zatrzymal sie i obejrzal przez ramie na Rzymianina. – Czy bedziecie zabijac moj lud jesli podazy za swoim Bogiem?! – zawolal. Trzepnalem go w kark. – Josh, czys ty zwariowal? Justus zmruzyl oczy, z ktorych zniknal usmiech. – Cokolwiek ci mowia, moj chlopcze, Rzym ma tylko dwie reguly: plac podatki i sie nie buntuj. Przestrzegaj ich, a zachowasz zycie. Maggie szarpnela Joszue do przodu. Usmiechnela sie do Rzymianina. – Dziekujemy panu. Musimy go zabrac ze slonca. Potem zwrocila sie do Josha: Czy jest cos, co powinniscie mi wytlumaczyc? To nie ja – powiedzialem. – To on.

Nastepnego dnia po raz pierwszy spotkalismy aniola. Maria i Jozef powiedzieli, ze Joszua

wyszedl z domu o swicie i od tego czasu sie nie pokazal. Wloczylem sie po wiosce przez caly poranek, szukajac go, ale z nadzieja, ze spotkam Maggie. Na rynku wszyscy mowili o chodzacej martwej kobiecie, ale moich przyjaciol nie zauwazylem. W poludnie matka kazala mi przypilnowac mlodszych braci, gdyz sama z innymi kobietami szla do pracy w winnicy. Wrocila zmierzchu, pachnaca potem i slodkim winem, ze stopami fioletowymi od deptania gron w tloczni. Wolny, pobieglem na szczyt wzgorza, sprawdzajac nasze ulubione miejsca zabaw, az w koncu znalazlem Joszue na kolanach w oliwnym gaju; modlil sie, kolyszac w przod i w tyl. Byl zlany potem i przestraszylem sie, ze ma goraczke. Dziwne, ale nigdy nie przejmowalem sie tak wlasnymi bracmi; Joszua jednak budzil we mnie natchniona przez Boga troske. Patrzylem i czekalem, a kiedy przestal sie bujac i usiadl, zeby odpoczac, chrzaknalem, zeby dac mu znac o swojej obecnosci. – Moze powinienes jeszcze troche pocwiczyc z jaszczurkami? – Nie udalo mi sie. Zawiodlem mojego ojca. – Powiedzial ci to czy po prostu wiesz?

Zastanawial sie chwile, zrobil gest, jakby chcial odgarnac z czola wlosy, przypomnial sobie, ze teraz nosi je krotkie, i opuscil dlonie na kolana.– – Prosilem o przewodnictwo, ale nie dostalem odpowiedzi. Czuje, ze powinienem cos zrobic, ale nie wiem co. I nie wiem jak. – No, nie przejmuj sie tak. Kaplan byl chyba zaskoczony. Ja bylem na pewno. I Maggie tez. Ludzie beda o tym gadac miesiacami. – Ale ja chcialem, zeby ta kobieta znow zyla. Chodzila miedzy nami. Zaswiadczyla o cudzie. – Wiesz, jest napisane, ze dwa z trzech to calkiem niezle. – Gdzie to jest napisane? – Dalmacjanie, rozdzial dziewiaty, wiersz siodmy, o ile pamietam. To niewazne, przeciez nikt nie moglby zrobic tego, co ty. Joszua skinal glowa. – Co mowia ludzie? – Uwazaja, ze to cos, czego kobiety uzyly do namaszczania zwlok. Jeszcze przez dwa dni maja sie oczyszczac, wiec nie da sie ich zapytac. – Czyli nie wiedza, ze to ja? – Mam nadzieje, ze nie. Joszua, czy nie rozumiesz, ze nie mozesz przy ludziach robic takich rzeczy? Nie sa na to gotowi. – Ale wiekszosc chce tego. Przez caly czas opowiadaja o Mesjaszu, ktory przyjdzie nas wybawic. Czy nie powinienem im pokazac, ze przyszedlem?

Co mozna na to powiedziec? Mial racje; pamietalem, ze zawsze sie mowilo o przybyciu Mesjasza, o nadejsciu Krolestwa Bozego, o wyzwoleniu naszego ludu spod wladzy Rzymian. W gorach roilo sie od roznych frakcji zelotow, ktorzy walczyli z Rzymianami, w nadziei ze doprowadza do zmiany. Zostalismy wybrani przez Boga, blogoslawieni i karani jak nikt inny na tej ziemi. Kiedy mowili Zydzi, Bog sluchal. Teraz nadeszla Jego kolej, by przemowic. A moj najlepszy przyjaciel najwyrazniej mial byc Jego rzecznikiem. Ale w tej chwili zwyczajnie w to nie wierzylem. Mimo tego, co widzialem, Joszua byl moim kumplem, nie Mesjaszem. – Jestem prawie pewny, ze Mesjasz powinien nosic brode – stwierdzilem. – Czyli to jeszcze nie czas? To chciales powiedziec? – Slusznie, Josh, przeciez bym wiedzial, choc ty nie wiesz… Bog przyslal do mnie poslanca i powiedzial: "A przy okazji, przekaz Joszui, zeby zaczekal z wyprowadzaniem mojego ludu z niewoli, dopoki nie zacznie sie golic". – To moglo sie zdarzyc. – Nie mnie pytaj, ale Boga. – To wlasnie robilem, ale On nie odpowiada.

W oliwnym gaju z kazda chwila robilo sie ciemniej i ledwie juz widzialem blysk oczy Joszuy, kiedy nagle wokol nas zapanowala jasnosc jak w dzien. Unieslismy glowy i zobaczylismy straszliwego Raziela, ktory opuszczal sie ku nam znad drzew. Oczywiscie wtedy nie wiedzialem, ze to straszliwy Raziel – bylem zwyczajnie przerazony. Aniol gorzal nad nami jak

gwiazda, a rysy mial tak doskonale, ze w porownaniu z nim bladla nawet uroda mojej ukochanej Maggie. Joszua ukryl twarz w dloniach i skulil sie pod oliwkowym drzewem. Mysle, ze zjawiska nadprzyrodzone zaskakiwaly go bardziej niz mnie. Ja tylko gapilem sie z rozdziawionymi ustami, jak wiejski glupek. – Nie bojcie sie! Oto zwiastuje wam radosc wielka, ktora bedzie udzialem calego narodu: dzis w miescie Dawida narodzil sie wam Zbawiciel, ktorym jest Mesjasz, Pan. Aniol zawisl na chwile nieruchomo, czekajac, az zrozumiemy wiadomosc. Joszua odslonil twarz i zaryzykowal spojrzenie. – I co? – zapytal aniol.

Przetrawienie znaczenia tych slow zajelo mi sekunde. Czekalem, az Joszua cos powie, ale on tylko wzniosl twarz ku niebu i zdawalo sie, ze kapie sie w swiatlosci, z glupawym usmiechem na twarzy. W koncu wskazalem na Josha kciukiem. – On sie urodzil w miescie Dawida – oznajmilem. – Naprawde? – zdziwil sie aniol. – Tak. – Jego matka ma na imie Maria? – Tak. – Jest dziewica? – W tej chwili on ma juz czworke rodzenstwa, ale kiedys tak.

Aniol rozejrzal sie niespokojnie, jakby oczekiwal, ze lada chwila pojawia sie hufce niebieskie. – Ile masz lat, chlopczyku? Joszua patrzyl tylko z usmiechem. – Dziesiec – odpowiedzialem.

Aniol odchrzaknal i przez chwile krecil sie nerwowo, przy okazji opadajac o kilka stop nizej.

–No to mam powazne klopoty. Zatrzymalem sie po drodze, zeby pogadac chwile z Michalem, on mial karty… Wiedzialem, ze minelo troche czasu, ale… – Zwrocil sie do Joszuy. – Chlopczyku, urodziles sie w stajence? Owiniety w pieluszki lezales w zlobie? Joszua nie odpowiadal. – Tak twierdzi jego mama – powiedzialem. – Czy on jest opozniony w rozwoju? – Mysle, ze jestes jego pierwszym aniolem. Chyba zrobiles na nim wrazenie. – A co z toba? – Ja bede mial klopoty, bo spoznie sie godzine na kolacje. – Rozumiem, co masz na mysli. Lepiej wroce do siebie i wszystko sprawdze. A gdybys spotkal jakichs pasterzy, trzymajacych straz nocna nad swoja trzoda, powiedz im moze… no, powiedz… ze w pewnym momencie, prawdopodobnie jakies, no… dziesiec lat temu, narodzil sie Zbawiciel. Mozesz to dla mnie zrobic? – Pewnie. – Oki-doki. Chwala Bogu na wysokosciach, a na Ziemi pokoj ludziom Jego upodobania. – I tobie wzajemnie. – Dzieki. Czesc.

I rownie szybko, jak sie pojawil, aniol odlecial niczym gwiazda spadajaca w gore, a w gaju oliwnym znowu zapadl mrok. Ledwie rozroznialem twarz Joszuy, kiedy zwrocil ja ku mnie. – No i sam widzisz – powiedzialem. – Masz jeszcze jakies pytania?

Przypuszczam, ze kazdy chlopiec sie zastanawia, kim zostanie, kiedy dorosnie. Przypuszczam, ze wielu obserwuje, jak ich rowiesnicy dokonuja wielkich czynow, i mysli "Czy ja tez bylbym do tego zdolny?". Dla mnie fakt, ze moj najlepszy przyjaciel jest Mesjaszem, a ja bede zyl i umre jako kamieniarz, byl brzemieniem zbyt ciezkim dla dziesieciolatka. Rankiem po spotkaniu z aniolem poszedlem na plac i usiadlem z Bartlomiejem, wioskowym glupkiem. Mialem nadzieje, ze Maggie przyjdzie do studni. Jesli juz mam zostac kamieniarzem, to moge przynajmniej zyskac milosc czarujacej kobiety. W owych czasach zaczynalismy sie uczyc zawodu w wieku dziesieciu lat, w trzynastym roku otrzymywalismy szale modlitewne i

filakterie, co oznaczalo wejscie w wiek meski. Wkrotce potem powinnismy sie zareczyc, a w czternastym roku zycia ozenic i zalozyc rodzine. Widzicie zatem, ze nie bylem wcale za mlody, by myslec o poslubieniu Maggie (a zawsze moglbym zachowac opcje rezerwowa slubu z matka Joszuy, kiedy umrze Jozef). Kobiety przybywaly i odchodzily, nabieraly wody albo praly ubrania, a kiedy slonce wznioslo sie wyzej i rynek opustoszal, Bartlomiej usiadl w cieniu wystrzepionej palmy daktylowej i dlubal w nosie. Maggie sie nie pojawila. Zabawne, jak latwo peka serce… Zawsze mialem do tego talent. – Czemu placzesz? – zapytal Bartlomiej.

Byl wiekszy od wszystkich mezczyzn w wiosce, wlosy i brode nosil dlugie i splatane, a zolty kurz, jaki pokrywal go od stop do glowy, nadawal mu wyglad niezwykle glupiego lwa. Tunike mial poszarpana i chodzil boso. Jedynym jego majatkiem byla drewniana misa, z ktorej jadal i wylizywal do czysta. Zyl na lasce wioski, a takze zbierajac ziarno z pol (zawsze na polach pozostawiano troche ziarna dla ubogich – tak nakazuje Prawo). Nie mialem pojecia, ile ma lat. Cale dnie spedzal na rynku, bawil sie z wiejskimi psami, chichotal albo drapal sie w kroczu. Kiedy mijaly go kobiety, wystawial jezyk i mowil "Ble". Moja matka twierdzila, ze ma umysl dziecka. Mylila sie jak zwykle. Polozyl mi na ramieniu swoja wielka lape i pogladzil, pozostawiajac na koszuli zolte kolko sympatii. – Czemu placzesz? – zapytal ponownie. – Jestem smutny. Nie zrozumiesz.

Bartlomiej rozejrzal sie, a kiedy byl pewien, ze jestesmy na rynku sami – nie liczac jego psich kolegow – powiedzial: – Za duzo myslisz. Myslenie nie da ci nic procz cierpienia. Zyj w prostocie. – Co? To byla najbardziej spojna wypowiedz, jaka od niego w zyciu slyszalem. – Widziales kiedys, zebym ja plakal? Nie mam niczego, wiec nie jestem niewolnikiem niczego. Nie mam nic do roboty, wiec nic nie czyni mnie swym niewolnikiem. – Co ty mozesz wiedziec? – burknalem. – Zyjesz w brudzie. Jestes nieczysty! Nic nie robisz. Ja musze w przyszlym tygodniu rozpoczac prace i pracowac do konca zycia, dopoki nie umre ze zlamanym karkiem. Dziewczyna, ktorej pragne, kocha mojego najlepszego przyjaciela, a on jest Mesjaszem. Ja jestem nikim, a ty… ty… ty jestes glupkiem. – Nie, nie jestem. Jestem Grekiem. Cynikiem.

Odwrocilem sie i po raz pierwszy naprawde na niego spojrzalem. Jego oczy, zwykle metne jak bloto, blyszczaly teraz niby czarne klejnoty na zapylonej pustyni twarzy. – Co to jest cynik? – Filozof. Jestem studentem Diogenesa. Slyszales o Diogenesie? – Nie, ale czego mogl cie nauczyc? Twoi jedyni przyjaciele to psy. – Diogenes w bialy dzien chodzil z lampka po Atenach, oswietlal przechodniom twarze i mowil, ze szuka uczciwego czlowieka. – Czyli byl takim prorokiem dla glupkow? – Nie, nie, nie. – Bart chwycil malego teriera i gestykulowal nim, akcentujac slowa. – Wszyscy oni byli oglupieni przez wlasna kulture. Diogenes nauczal, ze wszelkie sztucznosci wspolczesnego zycia sa falszem, ze czlowiek powinien zyc w prostocie, pod golym niebem, niczego ze soba nie nosic, nie tworzyc zadnej sztuki, poezji, nie wyznawac religii… – Jak pies. – Tak! – Bart zatoczyl terierem krag w powietrzu. – Dokladnie!

Piesek wykrzywil sie, jakby chcial zwymiotowac po tej karuzeli. Bart postawil go na ziemi, a on odbiegl chwiejnie. Zycie bez zmartwien… W owej chwili brzmialo to wspaniale. To znaczy, pewnie, nie chcialbym zyc w brudzie, uwazany przez innych za szalenca, jak Bartlomiej, ale psie zycie naprawde nie wydawalo sie takie zle. Przez tyle lat glupek ukrywal gleboka madrosc.

– Probuje sie nauczyc lizac wlasne genitalia – oznajmil Bart. Moze jednak nie… – Musze isc szukac Joszuy. – Wiesz, ze on jest Mesjaszem, prawda? – Czekaj chwile… Przeciez nie jestes Zydem. Nie wierzysz w zadna religie. – Psy mi powiedzialy, ze jest Mesjaszem. Im wierze. Powiedz Joszui, ze im wierze. – Psy ci powiedzialy? – To zydowskie psy. – No tak… Daj mi znac, jak ci idzie z tym lizaniem. – Szalom.

Kto by pomyslal, ze Joszua znajdzie swojego pierwszego apostola w brudzie, miedzy psami w Nazarecie? Ble.

Joszue znalazlem w synagodze. Sluchal, jak faryzeusz naucza Prawa. Przeszedlem miedzy siedzacymi na podlodze chlopcami i szepnalem mu do ucha: – Bartlomiej mowi, ze wie, ze jestes Mesjaszem. – Ten glupek? A spytales go, od kiedy wie? – Mowi, ze wiejskie psy mu powiedzialy. – Nie przyszloby mi do glowy, zeby pytac psy. – Mowi, ze powinnismy zyc w prostocie, jak psy, bez niczego i bez sztucznosci, cokolwiek to znaczy. – Bartlomiej tak powiedzial? Brzmi jak essenczyk. Jest o wiele madrzejszy, niz sie zdaje. – Probuje sie nauczyc lizac wlasne genitalia. – Jestem pewien, ze w Prawie jest cos, co tego zakazuje. Zapytam rabbiego. – Nie jestem pewien, czy chcialbys rozmawiac o tym z faryzeuszem. – Powiedziales swojemu ojcu o aniele? – Nie. – To dobrze. Rozmawialem z Jozefem, pozwoli mi uczyc sie razem z toba na kamieniarza. Nie chce, zeby twoj ojciec zmienil zdanie co do mojej nauki. Aniol chybaby go wystraszyl. – Joszua po raz pierwszy spojrzal na mnie, odwracajac wzrok do faryzeusza, ktory mowil monotonnie po hebrajsku. – Plakales? – Ja? Nie. To od smrodu Barta oczy zaczely mi lzawic. – Joszua polozyl mi dlon na czole, a caly smutek i niepokoj tak jakby splynely ze mnie w jednej chwili. Usmiechnal sie. – Lepiej? – Jestem zazdrosny o ciebie i Maggie. – To moze zaszkodzic szyi. – Co? – Lizanie wlasnych genitaliow. Trzeba strasznie wyginac szyje. – Nie slyszales? Jestem zazdrosny o ciebie i Maggie! – Wciaz jeszcze sie ucze, Biff. Pewnych rzeczy jeszcze nie rozumiem. Pan powiedzial "Jestem Bogiem zazdrosnym". Czyli zazdrosc powinna byc czyms dobrym. – Ale ja zle sie z nia czuje. – Czyli dostrzegasz te zagadke? Zle sie czujesz z zazdroscia, ale Bog jest zazdrosny, czyli zazdrosc musi byc dobra. A przeciez, kiedy pies lize swoje genitalia, wyraznie sprawia mu to przyjemnosc, ale na pewno jest zle wobec Prawa.

Nagle ktos szarpnieciem za ucho postawil Joszue na nogi. Faryzeusz przygladal mu sie gniewnie. – Czy Prawo Mojzesza jest dla ciebie zbyt nudne, Joszuo bar Jozef? – Mam pytanie, rabbi – rzekl Joszua. – O rany… – Ukrylem glowe w ramionach.

Jeszcze jeden powod, dla ktorego nie cierpie tego niebianskiego smiecia, z ktorym dziele pokoj: dzisiaj odkrylem, ze obrazilem naszego dzielnego kelnera z obslugi hotelowej, Jesusa. Skad moglem wiedziec? Kiedy przyniosl pizze na kolacje, dalem mu jedna z amerykanskich srebrnych monet, jakie dostalem w lotniskowym sklepie ze slodyczami o nazwie Cinnabon. Spojrzal na mnie szyderczo – naprawde – ale potem chyba sie opamietal.

–Senor – powiedzial. – Wiem, ze jest pan cudzoziemcem, wiec nie zdaje pan sobie z tego sprawy, ale to bardzo obrazliwy napiwek. Lepiej niech pan podpisze kwit obslugi pokojowej, zebym dostal oplate wliczana automatycznie. Mowie o tym, gdyz byl pan bardzo mily i wiem, ze

nie chcial mnie pan urazic. Ale inni kelnerzy pluliby panu do jedzenia, gdyby im pan dal cos takiego.

Spojrzalem gniewnie na aniola, ktory – jak zwykle – lezal na lozku i ogladal telewizje, i po raz pierwszy sobie uswiadomilem, ze nie rozumie mowy Jesusa. Nie posiadal daru jezykow, ktory mnie przekazal. Ze mna rozmawial po aramejsku, znal chyba hebrajski i angielski w dostatecznym stopniu, zeby wiedziec, co mowia w telewizji, ale po hiszpansku nie rozumial ani slowa. Przeprosilem Jesusa i odeslalem go z obietnica, ze wynagrodze mu te pomylke. A potem podszedlem do aniola. – Ty durniu, te monety, te dziesieciocentowki, sa w tym kraju bezwartosciowe! – O co ci chodzi? Wygladaja jak te srebrne dinary, ktore wykopalismy w Jeruzalem. Sa warte fortune.

W pewnym sensie mial racje. Kiedy przywolal mnie z martwych, zaprowadzilem go na cmentarz w dolinie Ben Hiddon, i tam – ukryte za nagrobkiem, gdzie dwa tysiace lat wczesniej umiescil je Judasz – lezaly pieniadze za zdrade: trzydziesci srebrnych dinarow. Jesli nie liczyc lekkiego zmatowienia, wygladaly zupelnie jak tego dnia, kiedy je odebralem, i byly niemal identyczne z monetami, ktore w tym kraju nazywaja dziesieciocentowkami (tyle ze na dinarach jest portret Tyberiusza, a na dziesieciocentowkach jakiegos innego cezara). Zabralismy te dinary do handlarza antykami na starym miescie (ktore wygladalo prawie tak samo jak wtedy, kiedy ostatni raz po nim chodzilem, tyle ze nie bylo Swiatyni, a na jej miejscu stanely dwa wielkie meczety). Kupiec dal nam za nie dwadziescia tysiecy dolarow w amerykanskiej walucie. Za te pieniadze odbylismy podroz i zdeponowalismy je w hotelowej recepcji na pokrycie naszych wydatkow. Aniol powiedzial mi, ze dziesieciocentowki musza byc warte tyle, co dinary, a ja mu uwierzylem jak idiota. – Mogles mnie uprzedzic – powiedzialem aniolowi. – Gdybym mogl wyjsc z tego pokoju, sam bym to odkryl. – Masz prace do wykonania – odparl. A potem zerwal sie z lozka i wrzasnal do telewizora: – Oby gniew bozy cie porazil, Stephanos! – Na kogo tak krzyczysz? Aniol wskazal palcem ekran. – On zamienil dziecko Catherine na zlego blizniaka, ktorego splodzil z jej siostra, kiedy lezala w spiaczce, ale Catherine nie zdaje sobie sprawy z tego niecnego uczynku, bo zmienil sobie twarz, aby udawac dyrektora banku i utrudniac interesy meza Catherine. Gdybym nie musial tu tkwic, osobiscie zawloklbym tego potwora wprost do piekla.

Od wielu dni aniol ogladal rozne seriale, na przemian krzyczac na telewizor albo zalewajac sie lzami. Przestal mi czytac przez ramie, wiec staralem sie po prostu nie zwracac na niego uwagi, ale teraz zrozumialem, co sie dzieje. – To nie jest prawda, Razielu. – Co masz na mysli? – To sztuka, taka, jakie wystawiali Grecy. Aktorzy odgrywaja swoje role. – Nie, nikt nie moglby udawac takiego potwora. – To nie wszystko. Spiderman i dr Octopus? Nie sa prawdziwi. Postaci w sztuce. – Ty klamliwy psie! – Gdybys kiedys wyszedl z tego pokoju i popatrzyl, jak sie zachowuja prawdziwi ludzie, od razu bys wiedzial, ty blond-kretynie. Ale nie, ty tylko tkwisz mi na ramieniu jak tresowany ptak. Nie zyje od dwoch tysiecy lat, ale i tak wiem wiecej od ciebie!

(Nadal musialem jakos zajrzec do tej ksiazki w szufladzie. Pomyslalem, ze moze uda mi sie sprowokowac aniola i zostawi mnie na piec minut samego). – Nic nie wiesz – oswiadczyl Raziel.

– W swoim czasie niszczylem cale miasta. – Tak jakos nie mam pewnosci, czy zniszczyles te wlasciwe. To by bylo klopotliwe, co?

Wtedy na ekranie ukazala sie reklama magazynu, ktory "wyjasni wszelkie niejasnosci" i zdradzi tajemnice fabuly wszystkich seriali: Panorama seriali. Widzialem, jak aniol szeroko otwiera oczy. Chwycil telefon i zadzwonil do recepcji. – Co ty robisz? – Musze miec te ksiege. – Niech przysla tu Jesusa – poradzilem. – On ci pomoze ja zdobyc.

Pierwszego dnia pracy Joszua i ja wstalismy przed switem. Spotkalismy sie niedaleko studni, gdzie napelnilismy buklaki, jakie dali nam nasi ojcowie. Sniadanie – mace i ser – jedlismy, maszerujac do Seforis. Droga, choc w wiekszej czesci byla tylko pasem ubitej ziemi, wydawala sie gladka i latwo sie po niej szlo. (Jesli Rzym dbal o cokolwiek na swych terytoriach, to wlasnie o arterie swej armii). Idac, patrzylismy, jak zasypane glazami wzgorza rozowieja w blasku wschodzacego slonca. Zauwazylem, ze Joszua zadrzal, jakby zimny wiatr objal mu plecy. – Chwala Boza jest we wszystkim, co widzimy – powiedzial. – Nie wolno nam o tym zapominac. – Wlasnie wdepnalem w wielbladzia kupe. Jutro lepiej wyruszyc, kiedy juz bedzie widno. – Wlasnie zrozumialem, dlaczego ta stara kobieta nie ozyla znowu. Zapomnialem, ze to nie moja moc kazala jej powstac, ale moc Pana. Ozywilem ja z niewlasciwych przyczyn, z arogancji, i dlatego umarla jeszcze raz. – Upaprala mi sandal… Teraz bedzie smierdzial przez caly dzien. – Ale moze to dlatego, ze jej nie dotknalem. Kiedy przywracalem do zycia inne stworzenia, zawsze ich dotykalem. – Czy w Prawie nie ma czegos na temat sprowadzania wielblada z drogi, zeby zalatwil swoje sprawy? Powinno byc. Jesli nie w Prawie Mojzeszowym, to przynajmniej Rzymianie powinni nakazac cos takiego. Wiesz, nie wahaja sie przed ukrzyzowaniem Zyda, ktory sie buntuje, wiec powinni wyznaczyc jakas kare za paskudzenie na ich drogach. Nie sadzisz? Nie mowie o ukrzyzowaniu, ale jakis porzadny cios w szczeke albo co… – Ale jak moglbym dotknac ciala, skoro jest to zakazane przez Prawo? Zalobnicy by mnie zatrzymali. – Mozemy stanac na chwile, zebym mogl zeskrobac to lajno z sandala? Pomoz mi znalezc jakis patyk. Ta kupa byla wielka jak moja glowa. – Nie sluchasz mnie, Biff. – Slucham. Wiesz, Joszua, nie wydaje mi sie, zeby Prawo cie obowiazywalo. Jestes Mesjaszem. Bog powinien ci mowic, co masz robic, zgadza sie? – Pytam, ale nie dostaje odpowiedzi. – Calkiem dobrze sobie radzisz. Moze ta kobieta nie ozyla ponownie, bo byla uparta? Starzy ludzie bywaja tacy. Mojego dziadka musielismy polewac woda, zeby zbudzil sie z drzemki. Nastepnym razem sprobuj z kims mlodszym. – A jesli naprawde nie jestem Mesjaszem? – Chcesz powiedziec, ze nie jestes pewien? Aniol cie nie przekonal? Myslisz, ze Bog sobie z ciebie zazartowal? Nie wydaje mi sie. Nie znam Tory tak dobrze jak ty, Joszua, ale nie przypominam sobie, zeby Bog mial poczucie humoru. Wreszcie usmiech. – Dal mi ciebie jako najlepszego przyjaciela, prawda? – Pomoz mi znalezc jakis patyk. – Myslisz, ze bede dobrym kamieniarzem? – Bylebys tylko nie byl lepszym ode mnie. O nic wiecej nie prosze. – Smierdzisz. – A o czym mowie bez przerwy? – Naprawde myslisz, ze Maggie mnie lubi? – Czy kazdego ranka bedziesz tak gadal? Bo jesli tak, mozesz chodzic do pracy sam.

Brama Seforis byla niczym lej czlowieczenstwa. Farmerzy wylewali sie z niej, zdazajac na swe pola i zagony, rzemieslnicy i budowniczowie tloczyli sie do wnetrza, kupcy zachwalali swoje towary, a zebracy jeczeli obok drogi. Joszua i ja zatrzymalismy sie przed brama, zeby to

podziwiac, i o malo co nie rozdeptal nas czlowiek prowadzacy karawane oslow niosacych kosze pelne kamieni.

Nie chodzi o to, ze nigdy wczesniej nie widzielismy miasta. Jeruzalem bylo piecdziesiat razy wieksze niz Seforis, a wedrowalismy tam juz wiele razy z okazji swiat, ale Jeruzalem to miasto zydowskie – glowne zydowskie miasto. Seforis za to bylo ufortyfikowanym rzymskim miastem w Galilei, a kiedy tylko zobaczylismy u bramy posag Wenus, od razu zrozumielismy, ze to wielka roznica. Szturchnalem Joszue. – Rzezbiony wizerunek. Nigdy wczesniej nie widzialem przedstawionej ludzkiej postaci. – Grzeszny – stwierdzil Joszua. – Ona jest naga. – Nie patrz. – Kompletnie gola. – To zakazane. Powinnismy stad odejsc i poszukac twojego ojca. Chwycil mnie za rekaw i pociagnal za brame miasta. – Jak moga na to pozwolic? – zdziwilem sie. – Myslalem, ze nasi ludzie rozbija go na kawalki. – Zrobili to. Oddzial zelotow. Jozef mi mowil. Rzymianie wylapali ich i ukrzyzowali wzdluz tej drogi. – Nie powiedziales mi o tym. – Jozef prosil, zeby nikomu nie powtarzac. – Mozna obejrzec jej piersi. – Nie mysl o nich. – Jak moge nie myslec? Nigdy jeszcze nie widzialem piersi bez przyczepionego niemowlaka. Sa bardziej… bardziej przyjazne parami, tak jak te. – Ktoredy mamy dojsc do tego miejsca, gdzie bedziemy pracowac? – Ojciec mowil, zeby przejsc do zachodniego kranca miasta i tam zobaczymy, gdzie trwa budowa. – No to chodzmy. Wciaz mnie ciagnal. Szedl ze spuszczona glowa, tupiac przy tym jak gniewny mul. – Myslisz, ze piersi Maggie tez tak wygladaja?

Moj ojciec dostal zlecenie na budowe domu dla bogatego Greka w zachodniej czesci miasta. Kiedy Joszua i ja tam dotarlismy, ojciec juz byl i kierowal niewolnikami, ktorzy dzwigali wyciety kamien na wlasciwe miejsce w murze. Chyba spodziewalem sie czegos innego. Chyba mnie zaskoczylo, ze ktokolwiek, nawet niewolnik, wykonuje polecenia ojca. Niewolnikami byli Nubijczycy, Egipcjanie, Fenicjanie, przestepcy, dluznicy, jency wojenni, pechowo urodzeni; zylasci i brudni, czesto nie mieli na sobie niczego oprocz sandalow i przepaski biodrowej. W innym zyciu mogliby dowodzic armiami albo mieszkac w palacach, ale teraz pocili sie mimo porannego chlodu, dzwigajac kamienie dosc ciezkie, by przelamaly grzbiet osla. – Czy to twoi niewolnicy, Alfeuszu? – zapytal mojego ojca Joszua. – A czy jestem czlowiekiem bogatym, Joszuo? Nie, ci niewolnicy naleza do Rzymian. Grek, ktory buduje ten dom, wynajal ich do pracy. – A dlaczego robia, co im kazesz? Jest ich wielu, a ty tylko jeden. Ojciec zwiesil glowe. – Mam nadzieje, ze nigdy nie zobaczysz, co robia z ludzkim cialem olowiane konce rzymskiego bata. Wszyscy ci ludzie widzieli i sam ten widok zlamal w nich ducha. Co noc modle sie za nich. – Nienawidze Rzymian – oswiadczylem. – Naprawde, moj maly? Naprawde? – rozlegl sie za mna meski glos. – Witaj, centurionie. – Ojciec szeroko otworzyl oczy. Joszua i ja odwrocilismy sie. Przy niewolnikach stal Gajus Justus Gallicus, centurion z pogrzebu w Jani. – Zdaje sie, Alfeuszu, ze wychowujesz mlodych zelotow. Ojciec polozyl dlonie na naszych ramionach. – To moj syn Lewi i jego przyjaciel Joszua. Dzisiaj zaczynaja swoja nauke. To tylko chlopcy – powiedzial tonem przeprosin. Justus podszedl, zmierzyl mnie wzrokiem, a potem dlugo przygladal sie Joszui. – Znam cie, chlopcze. Juz cie gdzies wdzialem. – Na pogrzebie w Jani – podpowiedzialem szybko. Nie moglem oderwac spojrzenia od miecza o talii osy, wiszacego u pasa centuriona. – Nie… – Rzymianin szukal w pamieci. – Nie Jafia. Widzialem te twarz na obrazku. – To niemozliwe – stwierdzil moj ojciec. – Wiara zabrania nam przedstawiania

ludzkich wizerunkow. Justus popatrzyl na niego gniewnie. – Nie sa mi obce prymitywne wierzenia twego ludu, Alfeuszu. Mimo to chlopak wydaje sie znajomy. Joszua spogladal na centuriona z wyrazem calkowitej obojetnosci. – Zal ci tych niewolnikow, moj chlopcze? Uwolnilbys ich, gdybys mogl? Joszua przytaknal. – Uwolnilbym. Duch czlowieka powinien nalezec tylko do niego, by mogl go ofiarowac Bogu. – A wiesz, jakies osiemdziesiat lat temu byl taki niewolnik, ktory mowil calkiem jak ty. Ruszyl z armia niewolnikow przeciwko nam, pobil dwa nasze korpusy, zajal wszystkie terytoria na poludnie od Rzymu. To historia, jaka musi poznac kazdy rzymski zolnierz. – Dlaczego? Co sie potem stalo? – spytalem. – Ukrzyzowalismy go – odparl Justus. – Przy drodze, a jego cialo zostalo pozarte przez kruki. To lekcja, ktorej uczymy sie wszyscy: nic nie moze stanac przeciwko Rzymowi. Lekcja, ktora i ty musisz opanowac, chlopcze, obok swego kamieniarstwa. Zblizyl sie inny rzymski zolnierz, legionista, bez peleryny ani pioropusza centuriona. Powiedzial cos do Justusa po lacinie, zauwazyl Joszue i urwal. – Zaraz – odezwal sie lamanym aramejskim. – Czy ja nie widzialem kiedys tego chlopaka na chlebie? – To nie byl on – zapewnilem. – Naprawde? Bo wyglada calkiem jak on. – Nie, na chlebie byl jakis inny dzieciak. – To bylem ja – odezwal sie Joszua. Trzepnalem go w czolo i powalilem na ziemie. – Nie, to nie on. Jest szalony. Przepraszam. Zolnierz pokrecil glowa i odszedl razem z Justusem. Wyciagnalem reke, by pomoc Joszui wstac. – Bedziesz musial nauczyc sie klamac. – Tak? Ale czuje, ze jestem tu, by mowic prawde. – Pewno, oczywiscie. Tyle ze jeszcze nie teraz.

Nie wiem wlasciwie, czego sie spodziewalem po pracy kamieniarza. Wiem jednak, ze nie minal tydzien, a Joszua zaczal zalowac, ze nie chcial zostac ciesla. Wycinanie wielkich kamieni malymi zelaznymi dlutami to bardzo ciezka praca. Kto mogl to przewidziec? – Rozejrzyj sie, widzisz tu duzo drzew? – drwil Joszua. – Kamienie, Josh, kamienie. – To takie trudne, bo nie wiemy, co robimy. Potem bedzie latwiej.

Joszua spojrzal na mojego ojca, ktory – nagi do pasa – wyrownywal dlutem kamien wielkosci osla. Tuzin niewolnikow czekal, by wciagnac go na miejsce. Ojca pokrywal szary pyl, a strumyki potu rysowaly czarne linie miedzy wezlami miesni na grzbiecie i ramionach. – Alfeuszu! – zawolal Joszua. – Czy praca jest latwiejsza, kiedy czlowiek juz wie, co robi? – Pluca staja sie ciezkie od kamiennego pylu, oczy zachodza mgla od slonca i odlamkow wyrzucanych spod dluta. Wlasna krwia spajasz kamienie w budowlach dla Rzymian, a oni odbieraja ci pieniadze w podatkach na wyzywienie zolnierzy, ktorzy przybijaja twoich rodakow do krzyzy za to, ze chca byc wolni. Grzbiet ci peka, kosci trzeszcza, zona na ciebie krzyczy, a dzieci drecza cie swymi rozwartymi blagalnie buziami, niczym lakome piskleta w gniezdzie. Co wieczor kladziesz sie do loza tak zmeczony i rozbity, ze modlisz sie do Pana, by przyslal aniola smierci i zabral cie we snie, bys nie musial juz ogladac nastepnego ranka. Ale sa tez zle strony. – Dzieki – rzucil Joszua. Spojrzal na mnie, unoszac brew.

–Ja na przyklad jestem bardzo podniecony – oswiadczylem. – I gotow polupac troche kamieni. Cofnij sie, Josh, moje dluto plonie… Zycie rozciaga sie przed nami jak wielki bazar i nie moge sie doczekac, by skosztowac slodyczy, jakie mozna tam znalezc. Josh przechylil glowe jak zdumiony pies. – Jakos nie slyszalem tego w odpowiedzi twojego ojca. – To sarkazm, Josh. – Sarkazm? – Z greckiego sarkasmos. Przygryzac wargi. To znaczy, ze nie mowisz tego,

co naprawde myslisz, ale ludzie rozumieja, o co ci chodzi. Ja go wynalazlem, a Bartlomiej wymyslil nazwe. – No tak, jesli wiejski glupek podal nazwe, to musi byc cos dobrego. – No widzisz, zlapales. – Co zlapalem? – Sarkazm. – Nie, naprawde tak mysle. – Jasne, myslisz. – Czy to sarkazm? – Nie, chyba ironia. – Jaka jest roznica? – Nie mam pojecia. – Czyli teraz jestes ironiczny, tak? – Nie, naprawde nie wiem. – Moze powinienes zapytac glupka. – Teraz trafiles. – W co? – W sarkazm. – Biff, jestes pewien, ze nie przyslal cie tu diabel, zebys mnie draznil? – Mozliwe. A jak sobie dotad radze? Jestes rozdrazniony? – Tak. I rece mnie bola od sciskania dluta i mlotka. Uderzyl drewnianym mlotkiem w dluto i zasypal nas obu odlamkami kamienia. – Moze Bog mnie przyslal, zebym cie namowil na nauke kamieniarstwa, bo wtedy szybciej bedziesz chcial zostac Mesjaszem? Znowu uderzyl w dluto, a potem plul i parskal sypiacymi sie odlamkami. – Nie wiem, jak byc Mesjaszem. – Co z tego? Tydzien temu nie wiedzielismy, jak byc kamieniarzami, a teraz spojrz tylko na nas. Jest latwiej, kiedy juz wiesz, co robisz. – Znowu jestes ironiczny? – Boze, mam nadzieje, ze nie.

Minely dwa miesiace, zanim w koncu zobaczylismy Greka, ktory wynajal mojego ojca do budowy domu. Byl niskim, troche zniewiescialym czlowieczkiem w szacie tak bialej, jak noszone przez kaplanow lewitow, z obramowaniem w ksztalcie splatajacych sie kwadratow, wyhaftowanym zlotem nad skrajem. Przybyl para rydwanow, a za nim bieglo dwoch pieszych niewolnikow i pol tuzina gwardzistow, ktorzy wygladali na Fenicjan. Mowie: para rydwanow, poniewaz on i woznica przyjechali pierwszym, a za soba ciagneli drugi, w ktorym stal dziesieciostopowy posag mezczyzny. Grek wysiadl ze swojego rydwanu i ruszyl wprost do mojego ojca. Joszua i ja mieszalismy wlasnie zaprawe, ale wyprostowalismy sie, zeby popatrzec. – Rzezbiony wizerunek – stwierdzil Joszua. – Zauwazylem. I jesli chodzi o rzezbione wizerunki, bardziej mi sie podoba Wenus przy bramie. – Ten posag nie jest zydowski – uznal Joszua. – Stanowczo nie. Meskosc posagu, choc pokazna, nie byla obrzezana. – Alfeuszu! – zawolal Grek. – Dlaczego nie ulozyles jeszcze podlogi gimnazjum? Przywiozlem ten posag, zeby go tutaj ustawic, a zastaje dziure w ziemi zamiast gimnazjum. – Mowilem ci, grunt tutaj nie jest odpowiedni do budowy. Nie moge budowac na piasku. Kazalem niewolnikom odkopywac ten piasek, az dotarli do skaly. Teraz trzeba zasypac wykop kamieniem i ubic. – Ale ja chce ustawic moj posag – jeczal Grek. – Przybyl tu az z Aten. – Wolisz, zeby dom zawalil ci sie wokol tego cennego posagu? – Nie mow do mnie tym tonem, Zydzie. Dobrze ci place za zbudowanie tego domu. – A ja dobrze ten dom buduje, a to znaczy, ze nie na piasku. Wiec postaw gdzies ten posag i pozwol mi pracowac. – No trudno, wyladujcie go! Wy, niewolnicy, pomozcie wyladowac moj posag. – Grek mowil do Joszuy i do mnie. – Wy wszyscy, pomozcie wyladowac moj posag.

Wskazal niewolnikow, ktorzy od chwili jego przybycia udawali, ze pracuja, ale nie byli pewni, czy lezy w ich interesie zbyt wyrazne zaangazowanie w projekt, z ktorego ich pan wydawal sie niezadowolony. Teraz wszyscy uniesli glowy, robiac zdumione miny, mowiace: "Kto, ja?". Zauwazylem, ze wyglada to tak samo w dowolnym jezyku. Po chwili podeszli do rydwanu i zaczeli odwiazywac powrozy utrzymujace posag w pionie. Grek spojrzal na nas. – Ogluchliscie, niewolnicy? Pomozcie im! Podbiegl z powrotem do rydwanu i wyrwal bat z reki woznicy. – Nie sa niewolnikami – oswiadczyl moj ojciec. – To moi uczniowie. Grek zwrocil sie ku niemu. – A

mnie to ma obchodzic? Ruszac sie, chlopcy! Ale juz! – Nie – powiedzial Joszua. Myslalem, ze Grek eksploduje. Uniosl bat, jakby do uderzenia. – Cos ty powiedzial? – Powiedzial, ze nie. – Stanalem u boku przyjaciela. – Moj lud wierzy, ze rzezbione wizerunki, posagi, sa grzeszne – wyjasnil moj ojciec. Ton wskazywal, ze jest na granicy paniki. – Chlopcy sa tylko wierni naszemu Bogu. – No wiec to jest posag Apolla, prawdziwego boga, a oni pomoga go wyladowac, tak samo jak ty, albo poszukam innego kamieniarza, zeby budowal mi dom. – Nie – powtorzyl Joszua. – Nie pomozemy. – Wlasnie, ty ropiejacy dzbanie wielbladzich smarkow – dodalem. Joszua spojrzal na mnie z niesmakiem. – Rany, Biff… – Za ostro?

Grek zaskrzeczal i zamachnal sie batem. Ostatnim, co zobaczylem, nim zaslonilem twarz, byl skaczacy do niego moj ojciec. Moglem oberwac za Joszue, ale nie chcialem stracic oka. Przygotowalem sie wiec na uderzenie, ktore nie nastapilo. Uslyszalem gluchy lomot, potem brzek, a kiedy odslonilem twarz, Grek lezal na plecach na ziemi, biala szate mial pokryta kurzem, a twarz czerwona ze zlosci. Bat lezal za nim, a na czubku spoczywal pancerny, podkuty but Gajusa Justusa Gallicusa, centuriona. Grek przetoczyl sie po ziemi, gotow wylac swa zolc na tego, kto powstrzymal jego reke, ale kiedy zobaczyl, kto to taki, sflaczal nagle i udal, ze kaszle. Jeden z jego gwardzistow chcial wystapic naprzod, ale Justus wystawil w jego strone palec. – Cofniesz sie czy wolisz poczuc na karku stope Rzymskiego Imperium?

Gwardzista szybko odstapil i stanal w szeregu z towarzyszami. Rzymianin usmiechal sie jak mul gryzacy jablko. Wcale nie dbal o to, czy Grek zachowa twarz.

–No wiec jak, Castorze? Mam rozumiec, ze chcesz zatrudnic wiecej rzymskich niewolnikow do budowy domu? A moze to prawda, co slyszalem o Grekach, ze chlostanie mlodych chlopcow to dla was rozrywka, a nie dzialanie dyscyplinujace? Grek wyplul z ust kurz i podniosl sie na nogi. – Niewolnicy, ktorych juz mam, wystarcza do moich zadan. Prawda, Alfeuszu?

Odwrocil sie do mojego ojca i spojrzal blagalnie. Ojciec sprawial wrazenie, jakby stanal miedzy jednym a drugim zlem i nie potrafil sie zdecydowac, ktore z nich jest mniejsze. – Prawdopodobnie – uznal w koncu. – Bardzo dobrze – rzekl Justus. – Bede oczekiwal specjalnej oplaty za dodatkowe zadania, jakie wykonuja. Wracajcie do pracy.

Justus przeszedl przez plac budowy, zachowujac sie tak, jakby wszystkie oczy nie byly na niego skierowane, albo jakby calkiem o to nie dbal. Przystanal, kiedy mijal Joszue i mnie. – Ropiejacy dzban wielbladzich smarkow? – mruknal. – Stare zydowskie blogoslawienstwo… – sprobowalem. – Wy dwaj powinniscie siedziec w gorach, z innymi zydowskimi buntownikami. – Rzymianin rozesmial sie, zwichrzyl nam wlosy i odszedl.

Zachod slonca zabarwial zbocza wzgorz na rozowo, kiedy tego wieczoru wracalismy droga do Nazaretu. Poza tym, ze byl prawie calkiem wycienczony po pracy, Joszua wydawal sie tez rozdrazniony wydarzeniami tego dnia. – Wiedziales o tym? – zapytal. – Ze nie mozna budowac na piasku? – Oczywiscie, moj ojciec opowiadal o tym od dawna. Mozesz budowac na piasku, ale to, co zbudujesz, sie zawali. Joszua kiwal w zamysleniu glowa. – A ziemia? Da sie na niej budowac? – Najlepsza jest skala, ale mysle, ze twarda ziemia tez moze byc. – Musze to

zapamietac.

Rzadko widywalismy Maggie w czasie, kiedy juz zaczelismy prace u ojca. Odkrylem, ze nie moge sie doczekac szabatu. Szlismy wtedy do synagogi; krecilem sie na zewnatrz, miedzy kobietami, gdy mezczyzni w srodku sluchali Tory albo dyskusji faryzeuszy. Byla to jedna z nielicznych okazji, kiedy moglem porozmawiac z Maggie bez Joszuy. Choc bowiem juz wtedy nie lubil faryzeuszy, wiedzial, ze moze sie od nich uczyc, wiec spedzal szabat, sluchajac ich nauk. Wciaz sie zastanawiam, czy ten wykradziony czas z Maggie nie byl dowodem nielojalnosci wobec Joszuy. Pozniej, kiedy go o to spytalem, powiedzial: – Bog jest sklonny wybaczyc ci grzech, ktory nosisz, bedac dzieckiem czlowieczym. Ale musisz sam sobie wybaczyc to, ze kiedys byles dzieckiem. – Chyba masz racje. – Oczywiscie, ze mam racje. Jestem Synem Bozym, ty osle. Poza tym Maggie i tak zawsze chciala rozmawiac o mnie, zgadza sie? – Nie zawsze – sklamalem.

W szabat przed zabojstwem spotkalem Maggie przed synagoga. Siedziala samotnie pod daktylowa palma. Podszedlem do niej, zeby porozmawiac, ale patrzylem na wlasne stopy. Wiedzialem, ze jesli spojrze jej w oczy, zapomne, o czym mowilem. Dlatego przygladalem sie jej w krotkich dawkach, tak jak czlowiek moze zerkac na slonce w upalny dzien, zeby sobie potwierdzic, ze to ono jest zrodlem ciepla. – Gdzie Joszua? Oczywiscie tak wlasnie brzmialy pierwsze slowa, jakie padly z jej ust. – Studiuje razem z mezczyznami. Przez chwile wydawala sie rozczarowana, ale zaraz odzyskala humor. – Jak tam wasza praca? – Ciezka. Wolalem zabawe. – A jakie jest Seforis? Podobne do Jeruzalem? – Nie, mniejsze. Ale jest tam wielu Rzymian. – Rzymian juz widziala. Potrzebowalem czegos, co jej zaimponuje. – I sa rzezbione wizerunki, posagi ludzi. Maggie zakryla dlonia usta, zeby stlumic chichot. – Naprawde posagi? Chcialabym je zobaczyc. – Wiec wybierz sie z nami. Wyruszamy jutro bardzo wczesnie, zanim ktokolwiek sie obudzi. – Nie moge. Co bym powiedziala matce? – Powiedz, ze idziesz do Seforis z Mesjaszem i jego kumplem. Otworzyla szeroko oczy, a ja szybko odwrocilem wzrok, by mnie nie zaczarowaly. – Nie powinienes mowic takich rzeczy, Biff. – Widzialem aniola. – Sam uprzedzales, ze nie powinnismy o tym opowiadac. – Zartowalem tylko. Powiedz matce, ze powiedzialem ci o gniezdzie pszczol, ktore znalazlem, i ze chcesz wybrac troche miodu, dopoki pszczoly sa jeszcze senne w porannym chlodzie. Jest pelnia, wiec bedziesz wszystko widziala. Moze akurat ci uwierzy. – Moze. Ale odkryje, ze klamalam, kiedy nie przyniose do domu zadnego miodu. – Powiesz jej, ze to bylo gniazdo szerszeni. I tak przeciez uwaza Joszue i mnie za glupich, prawda? – Mysli, ze Joszua ma cos nie tak z glowa, ale ty… Tak. Mysli, ze jestes glupi.

–Widzisz, moj plan juz dziala. Czyz nie jest bowiem napisane, ze "kiedy czlowiek madry udaje glupca, jego porazki nie rozczarowuja, a jego sukcesy sa mila niespodzianka"? Maggie klepnela mnie w noge. – To nie jest napisane. – Oczywiscie, ze jest. Imbecyle, rozdzial trzeci, wers siodmy. – Nie ma zadnej Ksiegi Imbecyli. – Harowka piec-cztery? – Wymyslasz to sobie. – Chodz z nami, mozesz wrocic do Nazaretu, zanim trzeba bedzie rankiem isc po wode. – Czemu tak wczesnie? Co wy dwaj planujecie? – Chcemy obrzezac Apolla.

Nic nie powiedziala. Patrzyla tylko na mnie, jakby widziala slowo "Klamca", wypisane

ognistymi literami na mojej twarzy. – To nie moj pomysl – zaznaczylem. – To Joszuy. – No to pojde – postanowila.

No wiec udalo sie. Wreszcie sklonilem aniola, zeby wyszedl z pokoju. A bylo tak: Raziel zadzwonil do recepcji i poprosil, zeby przyslali Jesusa. Kilka minut pozniej nasz latynoski kolega stal na bacznosc u stop anielskiego lozka. – Powiedz mu – rzekl Raziel – ze potrzebna mi Panorama seriali. – Dzien dobry, Jesus – powiedzialem po hiszpansku. – Jak sie dzisiaj czujesz? – Calkiem dobrze, prosze pana. A pan? – Tak dobrze, jak mozna by oczekiwac, biorac pod uwage, ze jestem wiezniem tego czlowieka. – Powiedz mu, zeby sie pospieszyl – dodal Raziel. – On nie zna hiszpanskiego? – upewnil sie Jesus. – Ani slowa, ale nie zacznij mowic po hebrajsku, bo bedzie po mnie. – Naprawde jest pan wiezniem? Zastanawialem sie, dlaczego nigdy nie wychodzicie z pokoju. Mam wezwac policje? – Nie, to nie bedzie konieczne. Ale prosze cie, potrzasnij glowa i zrob przepraszajaca mine. – Czemu to tak dlugo trwa? – irytowal sie Raziel. – Daj mu pieniadze i niech juz idzie. – Mowi, ze nie wolno mu kupowac dla ciebie zadnych publikacji, ale moze cie skierowac do miejsca, gdzie sam je sobie kupisz. – To smieszne! Przeciez jest sluga, tak? Ma robic, co mu kaze. – Och, Jesus, on wlasnie zapytal, czy chcialbys poczuc moc jego meskiej nagosci. – Oszalal? Mam zone i dwojke dzieci. – To smutne, ale tak. Okaz mu prosze, jak bardzo cie obrazil. Napluj na niego i wybiegnij z pokoju. – No, nie wiem, prosze pana. Opluc goscia… Wreczylem mu garsc banknotow, o ktorych mowil mi, ze sa odpowiednim dowodem wdziecznosci. – Prosze. Dobrze mu to zrobi. – Jak pan chce, panie Biff.

Charknal imponujaco i splunal na przod szaty aniola. Flegma rozprysnela sie i splynela w dol. Raziel poderwal sie na nogi. – Doskonale, Jesus. Teraz przeklinaj. – Ty fiucie polamany! – Po hiszpansku. – Przepraszam, chcialem sie popisac angielskim. Znam bardzo duzo przeklenstw po angielsku. – Swietnie. Ale prosze po hiszpansku. – Pendejo! – Rewelacja. A teraz wyjdz wsciekly. Jesus odwrocil sie na piecie i wyszedl, trzaskajac mocno drzwiami. – Oplul mnie – wykrztusil Raziel, jakby nie mogl uwierzyc. – Jestem aniolem Pana, a on mnie oplul… – Tak, bo go obraziles. – Nazwal mnie polamanym fiutem! Slyszalem! – W jego kulturze afrontem jest prosic innego mezczyzne, zeby kupowal dla kogos Panorame seriali. Bedziemy mieli szczescie, jesli jeszcze kiedys przyniesie nam pizze. – Ale ja chce Panorame seriali. – Powiedzial, ze mozesz sam sobie kupic, kawalek stad, na tej samej ulicy. Chetnie pojde po ten magazyn. – Nie tak szybko, apostole. Zadnych takich sztuczek. Sam to zalatwie, a ty zostan tutaj. – Beda ci potrzebne pieniadze. – Wreczylem mu kilka banknotow. – - Jesli wyjdziesz z pokoju, dowiem sie o tym natychmiast. Rozumiesz? – Absolutnie. – Nie zdolasz sie przede mna ukryc. – Nawet o tym nie mysle. A teraz spiesz sie. Szurajac nogami, sunal bokiem do drzwi. – Nie probuj nawet sie zamykac. Zabieram klucz. Nie dlatego ze go potrzebuje albo co, jako Aniol Panski. – I jeszcze polamany fiut na dodatek. – Nie wiem nawet, co to znaczy… – Idz, idz, idz. – Wypchnalem go za drzwi. – Z Bogiem, Razielu. – Pracuj nad Ewangelia, dopoki nie wroce. – Jasne.

Zatrzasnalem mu drzwi przed nosem i zasunalem zasuwke. Raziel obejrzal juz setki godzin amerykanskich programow. Moglby zauwazyc, ze ludzie tu nosza buty, kiedy wychodza na zewnatrz.

Ksiazka jest tym, czym przypuszczalem – Biblia, ale napisana kwiecista wersja tego angielskiego, ktorym i ja sie posluguje. Tlumaczenie Tory i prorokow z hebrajskiego jest miejscami dosc metne, ale pierwsza czesc wydaje sie nasza Biblia. Ten jezyk jest zadziwiajacy – ma tyle slow. Za moich czasow mielismy niewiele slow, moze kolo setki, uzywanych przez caly czas, a trzydziesci z nich bylo synonimami winy. W tym jezyku mozna przeklinac przez godzine i nie uzyc dwukrotnie tego samego slowa. Cale stada, grupy, lawice slow… Dlatego tego wlasnie jezyka mam uzywac, zeby opowiedziec historie Joszuy.

Ukrylem ksiazke w lazience, zebym mogl sie wymykac i zagladac do niej, kiedy aniol bedzie w pokoju. Nie mialem czasu, zeby przeczytac dokladniej te jej czesc, ktora nazywaja Nowym Testamentem, ale to oczywiste, ze opowiada o zyciu Joszuy. A przynajmniej jego czesci. Przestudiuje ja pozniej, a teraz powinienem wrocic do prawdziwej historii. Przypuszczam, ze nim zaprosilem Maggie, by sie do nas przylaczyla, powinienem sie zastanowic nad natura tego, co chcielismy uczynic. Chodzi o to, ze jest znaczaca roznica miedzy obrzezaniem osmiodniowego chlopczyka – co widywala juz wczesniej – a ta sama operacja przeprowadzona na dziesieciostopowym posagu greckiego boga. – Wielkie nieba, to rzeczywiscie… ehm… imponujace – stwierdzila, patrzac na marmurowy czlonek. – Rzezbiony wizerunek – mruknal Joszua. Nawet w swietle ksiezyca widzialem, jak sie zarumienil. – Zalatwmy to. Wyjalem z sakwy male zelazne dluto. Joszua owinal skora obuch swojego mlotka, by stlumic dzwiek. Wokol nas spalo Seforis; cisze zaklocalo tylko czasem beczenie owcy. Wieczorne ogniska domowe juz dawno zmienily sie w dogasajacy zar, opadl oblok kurzu, za dnia okrywajacy cale miasto, a powietrze bylo chlodne i czyste. Od czasu do czasu wyczuwalem od Maggie won drzewa sandalowego i gubilem mysl. Zabawne sa rzeczy, ktore sie pamieta.

Znalezlismy cebrzyk i ulozylismy go dnem do gory, zeby Joszua mial na czym stanac przy pracy. Ustawil ostrze mojego dluta na napletku Apolla i zaryzykowal lekkie uderzenie mlotka. Odlecial malutki kawalek marmuru. – Walnij porzadnie – poradzilem. – Nie moge, narobie halasu. – Wcale nie. Skora to wyciszy. – A jesli caly czubek mu odpadnie? – Moze sobie na to pozwolic – orzekla Maggie, a my obaj spojrzelismy na nia z rozdziawionymi ustami. – Chyba – dodala szybko. – Tylko zgaduje. Co ja moge wiedziec, jestem tylko dziewczyna. Sluchajcie, nie czujecie tu czegos?

Wyczulismy Rzymianina, zanim go uslyszelismy, a uslyszelismy, zanim zobaczylismy. Przed kapiela Rzymianie smarowali sie oliwa, wiec przy sprzyjajacym wietrze, albo w bardzo goracy dzien, dalo sie ich wyczuc na trzydziesci krokow. Ta oliwa, z ktora brali kapiel, czosnek i pasta anchois, ktora jadali ze swoja kasza, sprawialy pewnie, ze kiedy legiony maszerowaly do bitwy, pachnialy jak inwazja dostawcow pizzy. Gdyby mieli wtedy pizze, ale nie mieli.

Joszua szybko machnal mlotkiem, dluto sie zesliznelo i elegancko pozbawilo Apolla meskosci, ktora z gluchym uderzeniem spadla na piasek. – Oj… – powiedzial Zbawiciel. – Psst – uciszylem go.

Slyszelismy juz zgrzytajace o kamien cwieki w rzymskich butach. Joszua zeskoczyl z cebra i zaczelismy goraczkowo rozgladac sie za kryjowka. Sciany lazni Greka byly juz prawie gotowe

dookola posagu, wiec oprocz wejscia, skad zblizal sie Rzymianin, nie mielismy ktoredy uciekac. – Hej, co wy tam robicie?

Stalismy nieruchomo jak sam posag. Poznalem, ze to ten legionista, ktory rozmawial z Justusem naszego pierwszego dnia w Seforis. – To my, Biff i Joszua, prosze pana. Na pewno pan pamieta. Ten dzieciak z chleba…

Zolnierz zblizyl sie z dlonia na rekojesci wysunietego do polowy miecza. Uspokoil sie troche, kiedy zobaczyl Joszue. – Co tu robicie tak wczesnie? Nikomu nie wolno chodzic po miescie o tej porze.

Nagle cos szarpnelo go w tyl. Upadl na ziemie, a jakas ciemna postac skoczyla na niego, raz za razem wbijajac ostrze w piers. Maggie krzyknela i napastnik zwrocil sie ku nam. Rzucilem sie do ucieczki. – Stoj! – syknal morderca.

Zamarlem, drzacy. Maggie objela mnie i ukryla twarz w mojej koszuli. Zolnierz wydal bulgoczacy odglos, ale lezal nieruchomo. Joszua zrobil krok w strone mordercy, a ja wyciagnalem reke i zagrodzilem mu droge. – To bylo zle – oswiadczyl Joszua, niemal placzac. – Niesluszne postapiles, zabijajac tego czlowieka. Morderca uniosl do twarzy zakrwawione ostrze i wyszczerzyl zeby. – Czyz nie jest napisane, ze Mojzesz zostal prorokiem dopiero kiedy zabil egipskiego dozorce niewolnikow? Nie ma pana procz Boga! – Sykariusz – powiedzialem. – Tak, chlopcze. Sykariusz. Dopiero kiedy zgina wszyscy Rzymianie, przybedzie Mesjasz, by nas uwolnic. Sluzylem Bogu, zabijajac tego tyrana! – Sluzyles zlu – odparl Joszua. – Mesjasz nie zadal krwi tego Rzymianina.

Zabojca wzniosl sztylet i podszedl do Joszuy. Maggie i ja odskoczylismy, ale Josh sie nie cofnal. Zabojca chwycil go za koszule i przyciagnal do siebie. – Co ty mozesz o tym wiedziec, chlopcze? W blasku ksiezyca wyraznie zobaczylismy jego twarz. – Jeremiasz… – szepnela Maggie.

Otworzyl szeroko oczy, nie wiem, czy ze strachu, czy dlatego, ze ja poznal. Wypuscil Joszue i zrobil ruch, jakby chcial zlapac Maggie. Odciagnalem ja. – Maria? – Caly gniew wyparowal z jego glosu. – Malenka Maria? Maggie milczala, ale czulem, jak drza jej ramiona, kiedy zaczela szlochac.

–Nikomu o tym nie mowcie – nakazal morderca. Zachowywal sie, jakby wpadl w trans. Cofnal sie i stanal nad zabitym zolnierzem. – Nie ma pana procz Boga – oznajmil jeszcze, odwrocil sie i odbiegl w noc. Joszua polozyl Maggie dlon na czole i natychmiast przestala plakac. – Jeremiasz jest bratem mojego ojca – powiedziala.

Zanim przejde dalej, powinniscie sie dowiedziec czegos o sykariuszach, a zeby o nich wiedziec, musicie tez wiedziec o Herodach. A zatem do dziela. Mniej wiecej w czasie, kiedy Joszua i ja spotkalismy sie po raz pierwszy, zmarl krol Herod Wielki, ktorzy rzadzil Izraelem (pod Rzymianami) przez czterdziesci lat. Prawde mowiac, to wlasnie wiadomosc o jego smierci

sklonila Jozefa, by wrocic z rodzina z Egiptu do Nazaretu, ale to juz inna historia. Teraz opowiem troche o Herodzie.

Heroda nie dlatego nazywano "Wielkim", ze byl kochanym wladca. Herod Wielki byl w rzeczywistosci tlustym, paranoidalnym typem, dziobatym tyranem, ktory wymordowal tysiace Zydow, w tym wlasna zone i wielu swoich synow. Nazywano go "Wielkim", poniewaz budowal rozne rzeczy. Zadziwiajace rzeczy: fortece, palace, teatry, porty… cale miasto Cezarea, wzorowane na rzymskim ideale tego, czym powinno byc miasto. Jedynym, co uczynil dla zydowskiego ludu – ktory go nienawidzil – byla odbudowa Swiatyni Salomona, na gorze Moria, centrum naszej wiary. Kiedy HW umarl, Rzym podzielil krolestwo miedzy jego trzech synow, Archelaosa, Heroda Filipa i Heroda Antypasa. To Antypas wydal ostateczny wyrok na Jana Chrzciciela i oddal Joszue Pilatowi. Antypasie, ty obsmarkany polamany fiucie (gdybysmy tylko znali wtedy to okreslenie…). To Antypas, przez swoje namietne podlizywanie sie Rzymianom, sprawil, ze zydowscy rebelianci setkami chwytali za bron i szli w gory. Rzymianie nazywali tych buntownikow zelotami, jakby byli zjednoczeni nie tylko celem, ale i metodami dzialania. Jedna z grup, ktora powstala w Galilei, nazywala sie sykariuszami. Okazywali dezaprobate dla rzymskiej wladzy, mordujac rzymskich zolnierzy i urzednikow. Choc liczebnie nie byli najwieksza frakcja wsrod zelotow, swoimi akcjami najbardziej zwracali na siebie uwage. Nikt nie wiedzial, skad przychodza ani gdzie sie ukrywaja po zabojstwach. Jednak po kazdym ich ataku Rzymianie starali sie zmienic nasze zycie w pieklo i zmusic do ich wydania. A kiedy Rzymianie schwytali zelotow, krzyzowali nie tylko dowodce oddzialu, ale caly oddzial, ich rodziny i wszystkich podejrzanych o udzielanie pomocy. Nie raz widzielismy droge do Seforis biegnaca miedzy rzedami krzyzy i trupow. Mojego ludu.

Przebieglismy przez uspione miasto i zatrzymalismy sie dopiero za Brama Wenus. Tam, dyszac, zwalilismy sie na ziemie. – Musimy odprowadzic Maggie do domu, a potem wrocic tu do pracy – stwierdzil Joszua. – Mozecie zostac – zaprotestowala Maggie. – Sama trafie do domu. – Nie, musimy isc. – Joszua rozlozyl rece i zobaczylismy krwawe odciski dloni, jakie na jego koszuli zostawil morderca. – Musze to wyczyscic, zanim ktos zauwazy. – Nie mozesz zwyczajnie sprawic, zeby zniknely? – spytala Maggie. – To tylko plamy. Myslalam, ze Mesjasz potrafi usunac plamy. – Badz mila – upomnialem ja. – On jeszcze nie radzi sobie za dobrze z tymi Mesjaszowymi sztuczkami. W koncu, to byl twoj wuj… Maggie poderwala sie na nogi. – Ale to ty chciales zrobic te glupia rzecz… – Przestancie! – Joszua uniosl dlon, jakby chcial nas pokropic milczeniem. – Gdyby nie bylo z nami Maggie, moglibysmy juz nie zyc. I nadal cos moze nam grozic, kiedy sykariusz przypomni sobie, ze zostawil trzech zywych swiadkow.

Godzine pozniej Maggie byla juz bezpieczna w swoim domu, a Joszua wyszedl z rytualnej kapieli przy synagodze. Ubranie mial przemoczone, a strumyki wody sciekaly mu z wlosow. (Wielu z nas mialo takie mykwy kolo domu, a byly ich setki wokol Swiatyni w Jeruzalem – kamienne wanny ze schodami prowadzacymi do wody z obu stron, tak ze mozna bylo wejsc z jednej strony, a wyjsc z drugiej, po dokonaniu rytualnego oczyszczenia. Wedlug Prawa dowolny kontakt z krwia wymagal oczyszczenia. Joszua uznal, ze to dobra okazja, zeby zmyc tez plamy krwi ze swej szaty). – Zimno. – Joszua dygotal i przeskakiwal z nogi na noge, jak by stal na goracych weglach. – Bardzo zimno.

(Nad wannami wzniesiono mala kamienna chate, wiec swiatlo slonca nigdy nie docieralo tam bezposrednio, a w konsekwencji woda nigdy sie nie nagrzewala. Parowanie w suchym powietrzu Galilei czynilo ja jeszcze zimniejsza). – Moze lepiej chodz do mojego domu. Matka na pewno rozpalila juz ogien przed sniadaniem, wiec sie rozgrzejesz. Wykrecil pole koszuli i kaskada wody poplynela mu po nogach. – A jak jej wytlumacze to? – No… Zgrzeszyles, wiec musiales sie szybko oczyscic. – Zgrzeszylem? O swicie? Jaki grzech mozna popelnic przed wschodem slonca? – Grzech Onana? – zaproponowalem. Joszua szeroko otworzyl oczy. – Czy popelniles grzech Onana? – Nie, ale bardzo niecierpliwie na to czekam. – Nie moge powiedziec twojej matce, ze popelnilem grzech Onana. Bo nie popelnilem. – Moglbys, gdybys byl szybki. – Bede cierpial zimno – postanowil. Stary, dobry grzech Onana… Przywodzi wspomnienia.

Grzech Onana. Wylewanie nasienia na ziemie. Walenie wielblada. Wymiatanie osla. Chlostanie faryzeusza. Onanizm, grzech, ktory wymaga setek godzin praktyki, by popelnic go poprawnie, a przynajmniej tak sobie powtarzalem. Bog zeslal smierc na Onana za wylewanie swojego nasienia na ziemie. (To znaczy nasienia Onana, nie Boga; nasienie Boga okazalo sie moim najlepszym kumplem, Joszua. Wyobrazcie sobie, jakie mielibyscie klopoty, gdybyscie wylali na ziemie nasienie Boga. Sprobujcie sie z tego wytlumaczyc). Wedlug Prawa, jesli ktos mial jakikolwiek kontakt z "nocnymi emisjami" (nie chodzi tu o to, co noca wylatuje z rury wydechowej – nie mielismy wtedy samochodow), musial oczyscic sie przez zanurzenie i nie wolno mu bylo spotykac innych ludzi az do nastepnego dnia. Mniej wiecej w wieku trzynastu lat wiele czasu spedzalem w naszej mykwie, ale migalem sie od tej samotniczej czesci pokuty. W koncu raczej nie rozwiazaloby to problemu.

Czesto rankiem wciaz jeszcze ociekalem woda i trzaslem sie po kapieli, kiedy spotykalem idacego do pracy Joszue. – Znowu wylewales nasienie na ziemie? – pytal. – Tak. – Jestes nieczysty, wiesz? – Akurat. Caly jestem pomarszczony od oczyszczania sie. – Moglbys przestac. – Probowalem. Mysle, ze to demon mnie zmusza. – Moge sprobowac cie uzdrowic. – Nic z tego, Josh. Mam dosc klopotow z kladzeniem na sobie wlasnych rak. – Nie chcesz, zebym wypedzil twojego demona? – Pomyslalem, ze najpierw sprobuje go zmeczyc. – Moglbym powiedziec pisarzom, a oni kaza cie ukamienowac. (Zawsze staral sie pomoc – niezawodny Josh). – To by chyba bylo skuteczne, ale czy nie jest napisane "kiedy wypali sie oliwa w lampach, onanista sam oswietli sobie droge do zbawienia"? – To nie jest napisane. – Wlasnie ze jest. U, no… u Izajasza. – Wcale nie. – Musisz studiowac Prorokow, Josh. Jak chcesz byc Mesjaszem, jesli nie znasz swoich Prorokow? Joszua zwiesil glowe. – Masz racje, oczywiscie. Klepnalem go w ramie. – Masz jeszcze czas, zeby nauczyc sie Prorokow. Chodz, przejdziemy droga przez rynek i zobaczymy, czy jakies dziewczyny nie przyszly po wode.

Oczywiscie to Maggie chcialem spotkac. Zawsze szukalem Maggie.

Zanim znow dotarlismy do Seforis, slonce stalo juz wysoko. Brakowalo jednak strumienia kupcowi farmerow, przelewajacego sie zwykle przez Brame Wenus. Rzymscy zolnierze zatrzymywali i przeszukiwali, a potem odsylali z powrotem kazdego, kto chcial opuscic miasto. Grupka mezczyzn i kobiet czekala przed brama na wejscie, a wsrod nich moj ojciec i kilku jego pomocnikow. – Lewi! – zawolal do mnie. Podbiegl i sprowadzil nas z drogi na bok. – Co sie

dzieje? – spytalem, starajac sie wygladac niewinnie. – Tej nocy zamordowano rzymskiego zolnierza! Nie bedzie dzis pracy. Wracajcie do domu i tam zostancie. Powiedzcie matkom, zeby nie wypuszczaly dzieci z domow. Jesli Rzymianie nie znajda zabojcy, jeszcze przed poludniem zolnierze zjawia sie w Nazarecie. – Gdzie jest Jozef? – zapytal Joszua. Moj ojciec objal go za ramiona. – Aresztowali go. Musial bardzo wczesnie przyjsc do pracy. Znalezli go o swicie, niedaleko ciala tego zabitego zolnierza. Wiem tylko tyle, ile krzykneli nam przez brame; Rzymianie nikogo nie wypuszczaja ani nie wpuszczaja do miasta. Joszua, powiedz swojej matce, zeby sie nie martwila. Jozef jest dobrym czlowiekiem. Pan go ochroni. Poza tym, gdyby Rzymianie uwazali, ze jest winny, juz by go skazali.

Joszua odsunal sie od mojego ojca i odszedl sztywnym, niepewnym krokiem. Patrzyl wprost przed siebie, ale najwyrazniej niczego nie widzial.

–Zabierz go do domu, Biff. Wroce, jak tylko bede mogl. Sprobuje sie dowiedziec, co zrobili z Jozefem. Kiwnalem glowa i poprowadzilem Joszue, obejmujac go ramieniem. – Jozef przyszedl tam, bo mnie szukal – powiedzial, kiedy oddalilismy sie o kilka krokow. – Pracowal po drugiej stronie miasta. Jedyny powod, zeby znalazl sie przy domu Greka, to ten, ze mnie szukal. – Powiemy centurionowi, ze wiemy, kto zabil zolnierza. Uwierzy nam. – Ale jesli nam uwierzy, jesli uwierzy, ze to byl sykariusz, co sie stanie z Maggie i jej rodzina?

Nie wiedzialem co odpowiedziec. Joszua mial racje, a moj ojciec sie mylil. Z Jozefem nie bylo dobrze. Rzymianie pewnie przesluchuja go teraz, moze torturuja, zeby odkryc, kim byli jego wspolnicy. To, ze niczego nie wie, na pewno go nie ocali. Zeznanie jego syna nie tylko go nie ocali, ale jeszcze wiecej ludzi posle wraz z nim na krzyz. Tak czy inaczej, miala sie polac zydowska krew.

Joszua stracil z ramienia moja reke i zbiegl z drogi do oliwnego gaju. Ruszylem za nim ale odwrocil sie i wscieklosc jego spojrzenia zatrzymala mnie w pol kroku. – Czekaj – powiedzial. – Musze porozmawiac z ojcem.

Czekalem przy drodze prawie godzine. Kiedy Joszua wreszcie wyszedl z gaju, wygladal, jakby cien trwale padl na jego twarz. – Jestem zgubiony – powiedzial. Wskazalem palcem przez ramie. – Tam lezy Nazaret, Seforis z drugiej strony. Jestes posrodku. Juz lepiej? – Wiesz, o co mi chodzi. – Czyli zadnej pomocy od ojca?

Zawsze troche dziwnie sie czulem, wypytujac Joszue o jego modly. Trzeba bylo widziec go modlacego sie, zwlaszcza w tamtych czasach, zanim wyruszylismy na wedrowke. Bylo w tym wiele napiecia i drzenia, jakby ktos chcial sama sila woli zmusic do ustapienia goraczke. Nie bylo spokoju. – Jestem sam – stwierdzil Joszua. Uderzylem go w ramie, mocno. – W takim razie nic nie poczules. – Au. Dlaczego to zrobiles? – Przykro mi, nie ma tu nikogo, kto moglby odpowiedziec. Jestes taaaaki sam. – Jestem sam. Zrobilem zamach do ciosu z polobrotu, z calej sily. – No to nie bedzie ci przeszkadzac, jesli przyloze ci porzadnie? Uniosl rece i odskoczyl. – Nie, przestan. – Czyli nie jestes sam? – Chyba nie. – Dobrze. Teraz zaczekaj tutaj. Zamierzam porozmawiac z twoim ojcem. I ruszylem do gaju. – Nie musisz tam chodzic, zeby z nim

rozmawiac. On jest wszedzie. – Tak, akurat, znasz sie na tym. Skoro jest wszedzie, to jak mozesz byc sam? – Sluszna uwaga. Zostawilem Joszue stojacego na drodze, a sam poszedlem sie modlic. A modlilem sie tak: – Ojcze niebieski, Boze mojego ojca i ojca mojego ojca, Boze Abrahama i Izaaka, Boze Mojzesza, ktory wyprowadzil nasz lud z Egiptu, Boze Dawida i Salomona… zreszta sam wiesz, kim jestes. Ojcze niebieski, daleko mi do tego, by kwestionowac Twoje sady, jako ze jestes wszechmocny, jestes Bogiem Mojzesza i wszystko co powyzej, ale co Ty wlasciwie robisz temu biednemu dzieciakowi? Znaczy, przeciez to Twoj syn, tak? Jest Mesjaszem, tak? Chcesz mu przeprowadzic ktoras z tych Abrahamowych prob wiary? Na wypadek, gdybys nie zauwazyl, w jak paskudnej jest sytuacji, bo byl swiadkiem morderstwa, jego ojciec zostal aresztowany przez Rzymian, a wedlug wszelkiego prawdopodobienstwa wielu z naszego ludu, o ktorym przy niejednej okazji zapewniales, ze jest Twoim ludem wybranym, ukochanym przez Ciebie (i do ktorego ja tez naleze, nawiasem mowiac), bedzie torturowanych i zginie, chyba ze cos zrobimy, to znaczy on cos zrobi. No wiec chodzi mi o to, zebys, to znaczy, czy moglbys, tak jak wtedy z Samsonem, kiedy znalazl sie w slepym zaulku, bezbronny wobec Filistynow, rzucic chlopakowi jakas kosc? Z calym naleznym szacunkiem, Twoj dobry przyjaciel Biff. Amen.

Nigdy nie bylem dobry w modlitwach. Opowiadanie, owszem, z tym sobie radze. To ja, na przyklad, jestem tworca uniwersalnej opowiesci, o ktorej wiem, ze przetrwala do tych czasow, bo slyszalem ja w telewizji. Zaczyna sie: "Wchodzi dwoch Zydow do baru…". Co za dwoch Zydow? Ja i Josh. Nie zartuje.

W kazdym razie z modlitwa tak mi nie idzie. Ale zanim uznacie, ze bylem wobec Boga troche szorstki, powinniscie sie jeszcze czegos dowiedziec o moim ludzie. Nasze stosunki z Bogiem byly calkiem rozne od innych ludow z ich Bogami. Pewnie, byl strach, ofiary i cala reszta, ale zasadniczo to nie my do Niego poszlismy, ale On przyszedl do nas. Powiedzial nam, ze jestesmy wybrani i ze pomoze nam sie mnozyc az po krance ziemi, ze da nam kraine mlekiem i miodem plynaca. Nie chodzilismy do Niego. Nie prosilismy. A ze to On do nas przyszedl, uwazamy, ze jest wobec nas odpowiedzialny za to, co robi i co sie z nami dzieje. Albowiem jest napisane "Ten, ktory moze odejsc, trzyma drugiego w reku". I jesli mozna sie z Biblii czegos nauczyc, to ze moj lud czesto odchodzil. Nie da sie zaprzeczyc, ze odeszlismy w Babilonie, czczac falszywych bogow, stawiajac falszywe oltarze i sypiajac z niewlasciwymi kobietami (choc to ostatnie moglo byc raczej postepkiem typowo meskim niz typowo zydowskim). A kiedy to robilismy, Bog nie mial nic przeciwko oddaniu nas w niewole albo zmasakrowaniu. Takie wlasnie mamy stosunki z Bogiem. Jestesmy rodzina.

No wiec nie jestem mistrzem modlitw, ale ta modlitwa byla chyba niezla, poniewaz Bog odpowiedzial. No, w kazdym razie zostawil wiadomosc. Kiedy wynurzylem sie z oliwnego gaju, Joszua wyciagnal reke i powiedzial: – Bog zostawil wiadomosc. – To jaszczurka – zauwazylem. I byla. Joszua trzymal w wyciagnietej dloni mala jaszczurke. – Tak, to wlasnie wiadomosc. Nie rozumiesz?

Skad mialem wiedziec, o co tu chodzi? Joszua nigdy mnie nie oklamal, nigdy. Skoro twierdzil, ze ta jaszczurka jest wiadomoscia od Boga, kim bylem, zeby mu zaprzeczac? Padlem wiec na

kolana i sklonilem glowe pod wyciagnieta reka Joszuy. – Panie, zmiluj sie nade mna, spodziewalem sie raczej krzewu gorejacego albo czegos w tym rodzaju. Przepraszam. Naprawde. – Po czym zwrocilem sie do Josha: – Nie jestem pewien, czy powinienes tak powaznie to traktowac, Josh. Gady nie maja swietnych wynikow w przekazywaniu wiadomosci. Jak na przyklad, czekaj, niech pomysle, na przyklad ta historia z Adamem i Ewa. – To nie ten rodzaj wiadomosci, Biff. Ojciec nie przemowil slowami, ale wiadomosc jest tak jasna, jakby jego glos splynal ku mnie z nieba. – Wiedzialem – zapewnilem. – A ta wiadomosc? – W moim umysle. Nie bylo cie zaledwie pare minut, kiedy ta jaszczurka wbiegla mi po nodze i przysiadla na dloni. Zrozumialem, ze to moj ojciec podpowiada mi rozwiazanie problemu. – A ta wiadomosc? – Pamietasz, jak bylismy mali? Pamietasz, jak sie wtedy bawilismy z jaszczurkami? – Pewnie, ze tak. A ta wiadomosc? – Pamietasz, ze umialem przywrocic je do zycia? – Swietna sztuczka, Josh. Ale wracajac do wiadomosci… – Nie rozumiesz? Jesli zolnierz nie jest martwy, to zadnego morderstwa nie bylo. Jesli nie bylo morderstwa, to nie ma powodu, zeby Rzymianie krzywdzili Jozefa. Czyli musze tylko dopilnowac, zeby zolnierz nie byl martwy. Proste. – Pewnie, ze proste. – Przez chwile ogladalem jaszczurke, patrzylem na nia z roznych katow. Byla brazowozielona i chyba calkiem zadowolona z tego, ze siedzi Joszui na dloni. – Zapytaj go, co wlasciwie powinnismy robic teraz.

Myslalem, ze kiedy wrocimy do Nazaretu, zastaniemy matke Joszuy histeryzujaca i przerazona. Tymczasem przeciwnie, zebrala braci i siostry Joszuy przed domem, ustawila w kolejce i myla im buzie i rece, jakby szykowala ich do posilku w szabat. – Joszua, pomoz mi przygotowac maluchy, idziemy wszyscy do Seforis. Joszua byl zdumiony. – Idziemy? – Cala wies chce poprosic Rzymian, zeby uwolnili Jozefa. Jakub byl chyba jedynym sposrod dzieci, ktory zrozumial, co spotkalo jego ojca. Na policzkach mial slady lez. Objalem go za ramiona. – Da sobie rade – powiedzialem, starajac sie, by zabrzmialo to pogodnie. – Twoj tato jest silny. Beda musieli go torturowac przez dlugie dni, zanim odda ducha.

Usmiechnalem sie pocieszajaco. Jakub wyrwal sie z moich objec i z placzem uciekl do domu. Maria odwrocila sie i spojrzala na mnie gniewnie. – Biff, czy nie powinienes byc teraz ze swoja rodzina?

Och, moje pekniete serce, moje poobijane ego… Choc Maria zajmowala teraz stanowisko mojej rezerwowej zony, na wszelki wypadek, i tak bylem zalamany tym wyrazem dezaprobaty. Na moja korzysc przemawia to, ze ani razu podczas calej tej trudnej sytuacji nie zyczylem Jozefowi niczego zlego. Ani razu. W koncu bylem jeszcze za mlody, zeby brac sobie zone. Gdyby Jozef umarl, zanim skoncze czternascie lat, jakis paskudny staruch moglby wyrwac mi Marie, zanim bede dosc dorosly, by jej pomoc. – Moze przyprowadzilbys Maggie? – zaproponowal Joszua, zajety zdrapywaniem skory z twarzy swego brata Judy. – Jej rodzina na pewno zechce sie z nami wybrac. – Jasne – odparlem i pobieglem szukac aprobaty u mojej podstawowej przyszlej zony.

Kiedy sie zjawilem, Maggie siedziala przed ojcowska kuznia razem z bracmi i siostrami. Wygladala na tak przerazona jak wtedy, kiedy widzielismy morderstwo. Mialem ochote objac ja i pocieszyc. – Mamy plan – oznajmilem. – To znaczy Joszua ma plan. Idziecie ze wszystkimi

do Seforis? – Cala rodzina – potwierdzila. – Moj ojciec zrobil gwozdzie dla Jozefa, sa przyjaciolmi.

Skinela glowa w strone otwartej szopy, gdzie jej ojciec mial kuznie. Dwaj mezczyzni pracowali przy palenisku. – Idzcie przodem, Biff. Idzcie przodem razem z Joszua. My dolaczymy pozniej.

Zaczela machac na mnie, zebym odszedl. Mowila tez bezglosnie cos, czego nie zrozumialem. – Kim jest twoj przyjaciel, Maggie? – rozlegl sie meski glos od strony kuzni. Unioslem glowe i nagle pojalem, co Maggie probowala mi powiedziec. – Wujku Jeremiaszu, to jest Lewi bar Alfeusz. Nazywamy go Biffem. Musi juz isc. Zaczalem sie cofac przed zabojca. – Tak, musze isc. – Zerkalem na Maggie, nie wiedzac, co teraz robic. – Ja… my… Musze… – Zobaczymy sie w Seforis – rzucila Maggie. – Wlasnie.

A potem odwrocilem sie i odbieglem. Czulem sie jak tchorz – bardziej niz kiedykolwiek w zyciu. Gdy dotarlismy znowu do Seforis, pod murami zebrala sie juz spora grupa Zydow, moze ze dwiescie osob; wiekszosc rozpoznalem jako pochodzacych z Nazaretu. Nie byl to gniewny tlum, raczej lekliwe zgromadzenie. Ponad polowe stanowily kobiety i dzieci. Posrodku oddzial kilkunastu rzymskich zolnierzy odpychal gapiow, a dwaj niewolnicy kopali grob. Podobnie jak moj lud, Rzymianie nie marnowali czasu na swych zmarlych. Jesli nie trwala akurat bitwa, rzymscy zolnierze trafiali czesto do grobow, zanim jeszcze ich zwloki ostygly.

Joszua i ja zauwazylismy Maggie stojaca na skraju grupy miedzy ojcem i jej morderczym wujem. Joszua ruszyl w jej strone. Poszedlem za nim, ale zanim sie zblizylem, chwycil Maggie za reke i pociagnal w tlum. Widzialem, jak Jeremiasz probuje ich gonic. Zanurkowalem i poczolgalem sie miedzy ludzkimi nogami, az trafilem na pare podkutych butow, bedaca dolnym koncem rzymskiego zolnierza. Gorny koniec, tak samo rzymski, patrzyl na mnie groznie. Wstalem. – Semper fido – powiedzialem w mojej najlepszej lacinie, po czym obdarzylem go swoim najbardziej ujmujacym usmiechem.

Zolnierz zmarszczyl brwi jeszcze bardziej. Nagle poczulem zapach kwiatow, a slodkie, cieple wargi musnely moje ucho. – Zdaje sie, ze wlasnie powiedziales "zawsze pies" – szepnela Maggie. – Pewnie dlatego tak ponuro wyglada – odpowiedzialem kacikiem ujmujacego usmiechu. W drugim uchu zabrzmial inny znajomy, choc nie tak slodki szept: – Spiewaj, Biff. Pamietaj o planie – powiedzial Joszua. – Jasne. – I zaczalem jedna z moich slynnych piesni zalobnych: – La-la-la, hej, Rzymianinie, fatalnie, ze cie zadzgali. La-la-la. Moze to jest przekaz od Boga albo co. La-la-la. Ktory mowi ci, ze powinienes wrocic do domu. La-la-la. Zamiast dreczyc jego lud wybrany, ktoremu sam osobiscie powiedzial, ze lubi ich bardziej niz ciebie. Fa, la, la, la.

Zolnierz nie znal aramejskiego, wiec slowa nie poruszyly go tak, jak mialem nadzieje. Ale sadze, ze pewien hipnotyczny rytm piesni zaczynal do niego docierac. Przeszedlem do drugiej zwrotki. – La-la-la. Czy nie tlumaczylismy, zebys nie jadl wieprzowiny, la-la. Chociaz patrzac na twoje rany w piersi, mysle, zmiana diety raczej by ci nie pomogla. Bum, szaka-laka-laka-

laka, bum, szaka-laka-laka-laka. No dalej, przeciez znacie slowa! – Dosc!

Zolnierz zostal odepchniety i przed nami stanal Gajus Justus Gallicus w towarzystwie dwoch swoich oficerow. Za nimi na ziemi lezalo cialo zabitego zolnierza. – Swietnie, Biff – szepnal Joszua. – Proponujemy nasze uslugi jako zawodowi zalobnicy – powiedzialem z usmiechem, na ktory centurion z zapalem staral sie nie reagowac. – Ten zolnierz nie potrzebuje zalobnikow. Ma mscicieli. – Alez, centurionie – dobiegl glos z tlumu. – Wypusccie Jozefa z Nazaretu. Nie jest morderca.

Justus uniosl glowe. Ludzie rozstapili sie, otwierajac przejscie miedzy nim a Ibanem, faryzeuszem, stojacym w otoczeniu kilku innych faryzeuszy z Nazaretu. – Chcesz zajac jego miejsce? – spytal Justus. Faryzeusz cofnal sie szybko. Jego stanowczosc ulotnila sie wobec grozby. – Wiec jak? – Justus zrobil krok naprzod, a tlum rozstepowal sie przed nim. – Mowisz w imieniu swego ludu, faryzeuszu. Powiedz im, zeby wydali mi zabojce. Czy wolicie raczej, zebym krzyzowal Zydow po kolei, az trafie na tego wlasciwego?

Iban calkiem stracil glowe i zaczal belkotac jakies pomieszane wersety z Tory. Zauwazylem wuja Maggie, Jeremiasza. Stal o kilka krokow ode mnie. Kiedy spojrzal mi w oczy, wsunal dlon pod koszule – na pewno chwytajac rekojesc noza. – Jozef nie zabil tego zolnierza! – zawolal Joszua. Justus popatrzyl na niego, a faryzeusze skorzystali z okazji, by wycofac sie w tlum. – Wiem o tym – oswiadczyl Justus. – Tak? – Oczywiscie, chlopcze. Zaden ciesla nie zabil tego zolnierza. – Ale skad pan wie? – zdziwilem sie.

Justus machnal reka, Ktorys z jego legionistow podszedl, niosac niewielki koszyk. Centurion skinal glowa, zolnierz odwrocil koszyk do gory dnem i na piasek wypadl kamienny wizerunek Apollowego penisa. – Oj-oj – powiedzialem. – Poniewaz to byl kamieniarz – stwierdzil Justus. – Alez jest imponujacy – odezwala sie Maggie. Zauwazylem, ze Joszua przesuwa sie ostroznie w strone ciala zabitego zolnierza. Musialem jakos odwrocic uwage Justusa. – Aha – powiedzialem. – Ktos pobil tego zolnierza na smierc kamiennym ptaszkiem. Najwyrazniej to dzielo Greka albo Samarytanina… Zaden Zyd nie zrobilby czegos takiego. – Nie? – spytala Maggie. – O rany, Maggie… – Chyba masz mi cos do powiedzenia, moj chlopcze – rzekl Justus. Joszua polozyl dlonie na zabitym.

Czulem na sobie spojrzenia wszystkich wokol. Zastanowilem sie, gdzie jest w tej chwili Jeremiasz. Czy stoi za mna, gotow uciszyc mnie nozem, czy raczej zdazyl juz uciec? Tak czy siak, nie moglem powiedziec ani slowa. Sykariusze nie dzialali sami. Gdybym wydal Jeremiasza, jeszcze przed szabatem zginalbym od sykaryjskiego sztyletu. – Nie moze panu powiedziec, centurionie, nawet gdyby wiedzial – oznajmil Joszua, ktory stanal przy boku Maggie. – Jest bowiem zapisane w naszych swietych ksiegach, ze zaden Zyd nie wkopie innego Zyda, niezaleznie od tego, jakim szczurem moglby byc jeden albo drugi. – Jest napisane? – szepnela Maggie. – Teraz jest – odpowiedzial jej szeptem Joszua. – Patrzcie!

Kobieta w pierwszym rzedzie wyciagnela reke w strone martwego zolnierza. Ktos krzyknal. Cialo sie poruszylo.

Justus ruszyl ku centrum zamieszania, a ja skorzystalem z okazji, by rozejrzec sie za Jeremiaszem. Ciagle stal za mna, dzielilo nas tylko kilkoro ludzi, ale z rozdziawionymi ustami gapil sie na trupa, ktory wlasnie wstawal i otrzepywal tunike. Joszua patrzyl na zolnierza bardzo skoncentrowany, ale bez zadnego potu ani drzenia, jak na pogrzebie w Jafii. Trzeba Justusowi przyznac, ze choc z poczatku wystraszony, nie cofnal sie, kiedy zolnierz ruszyl sztywno ku niemu. Inni legionisci odstepowali wraz z Zydami, oprocz Maggie, Joszuy i mnie. – Chce zameldowac o napadzie, centurionie! – oznajmil martwy niedawno zolnierz, wykonujac nieco drzaca reka rzymski salut. – Jestes… jestes trupem – powiedzial Justus. – Nie jestem. – Masz rany od noza na calej piersi. Zolnierz spojrzal w dol i delikatnie dotknal ran. – Wyglada na to, ze mnie pokaleczyli. – Pokaleczyli? Pokaleczyli? Dzgneli cie z szesc razy! Jestes martwy jak glaz. – Nie wydaje mi sie, centurionie. Prosze spojrzec, nawet nie krwawie. – To dlatego, ze juz sie wykrwawiles, synu. Jestes martwy. Zolnierz zachwial sie i stracil rownowage, ale ustal. – Czuje sie troche slabo. Zostalem napadniety zeszlej nocy, centurionie, w tym miejscu gdzie buduja dom tego Greka. O, ten tam byl. – Wskazal na mnie. – I on tez. – Pokazal Joszue. – I ta dziewczynka. – Chlopcy cie napadli? – Nie, nie oni. To tamten czlowiek.

Zolnierz wskazal reka Jeremiasza, ktory wygladal jak zwierze w pulapce. Wszyscy tak sie skupili na ogladaniu spektaklu z gadajacym trupem, ze zesztywnieli na miejscach. Zabojca nie mogl sie przecisnac przez tlum i uciec. – Aresztowac go! – rozkazal Justus, ale zolnierze byli rownie oslupiali, widzac zmartwychwstanie swego towarzysza. – Teraz, kiedy o tym mysle – dodal martwy zolnierz – rzeczywiscie pamietam, ze mnie zadzgal.

Nie mogac wyrwac sie z tlumu, Jeremiasz zwrocil sie ku swemu oskarzycielowi. Wyszarpnal spod koszuli sztylet. Zdawalo sie, ze ten gest wyrwal legionistow z transu. Z mieczami w dloniach zaczeli zblizac sie do niego ze wszystkich stron. Widzac klinge, ludzie odsuneli sie od zabojcy. Pozostal sam na otwartej przestrzeni. Nie mial przed soba innej drogi niz ku nam. – Nie ma pana procz Boga! – wykrzyknal, zrobil trzy szybkie kroki, po czym skoczyl na nas ze wzniesionym sztyletem.

Rzucilem sie na Maggie i Joszue, by ich oslonic, ale kiedy czekalem na ostry bol miedzy lopatkami, uslyszalem krzyk zabojcy, pozniej stekniecie, a potem wydluzony jek, ktory wraz z powietrzem w plucach zakonczyl sie zalosnym piskiem. Przetoczylem sie i zobaczylem, ze Gajus Justus Gallicus trzyma miecz wbity po rekojesc w splot sloneczny Jeremiasza. Morderca upuscil noz i patrzyl na reke Rzymianina z taka mina, jakby byl urazony. Osunal sie na kolana. Justus wyszarpnal miecz, po czym wytarl klinge o koszule Jeremiasza, nim sie cofnal i pozwolil mu upasc. – To byl on – oswiadczyl martwy zolnierz. – Ten dran mniezamordowal. Upadl obok swego zabojcy i znieruchomial. – O wiele lepiej niz ostatnim razem, Josh – pochwalilem. – Tak, o wiele – zgodzila sie Maggie. – Chodzil i mowil. Udalo ci sie. – Czulem sie silny i spokojny, ale to byl wysilek zespolowy – odparl Joszua. – Nie dokonalbym tego, gdyby nie wspierali mnie wszyscy, nie wylaczajac Boga.

Poczulem nagle cos ostrego na policzku. Czubkiem miecza Justus skierowal moje spojrzenie na kamienny penis Apolla, lezacy na ziemi obok dwoch cial. – Czy zechcesz mi wyjasnic, jak to sie stalo? – Syfilis? – sprobowalem. – Syfilis moze zrobic cos takiego – potwierdzila Maggie. –

Gnije i odpada. – Skad o tym wiesz? – zdziwil sie Joszua. – Zgaduje. Ale ciesze sie, ze juz po wszystkim. Justus opuscil miecz i westchnal. – Wracajcie do domow. Wszyscy. Z rozkazu Gajusa Justusa Gallicusa, zastepcy dowodcy Szostego Legionu, dowodcy trzeciej i czwartej centurii, na mocy wladzy nadanej mi przez cesarza Tyberiusza oraz Imperium Rzymskie, wszyscy macie wrocic do domu i nie probowac zadnych piekielnych numerow, dopoki nie upije sie solidnie i nie bede mial paru dni, zeby to odespac. – Czyli wypuscicie Jozefa? – upewnila sie Maggie. – Jest w koszarach. Idzcie go zabrac i wracajcie do domow. – Amen – rzekl Joszua. – Semperfido – dodalem po lacinie.

Maly brat Joszuy, Juda, ktory mial wtedy siedem lat, biegal dookola rzymskich koszar i wrzeszczal: "Wypusc moj lud! Wypusc moj lud!", az dostal chrypy. (Juda juz wczesniej postanowil, ze bedzie Mojzeszem, tyle ze teraz Mojzesz wjedzie do Ziemi Obiecanej na kucyku). Okazalo sie, ze Jozef czeka na nas przy Bramie Wenus. Byl troche zagubiony, ale poza tym nic mu sie nie stalo. – Powiedzieli mi, ze martwy przemowil – oswiadczyl. Maria szalala z radosci. – Tak. I chodzil. Wskazal swojego zabojce, a potem znowu umarl. – Przykro mi – rzekl Joszua. – Probowalem zrobic tak, zeby zyl dalej, ale wytrzymal tylko minute. Jozef zmarszczyl czolo. – Czy wszyscy widzieli, ze to zrobiles, Joszuo? – Nie wiedzieli, ze to moje dzielo, ale je widzieli. – Odwrocilem ich uwage jedna z moich wspanialych piesni pogrzebowych – wtracilem. – Nie mozesz sie tak narazac – powiedzial Jozef do Joszuy. – Jeszcze nie nadszedl czas. – Jesli nie wtedy, gdy trzeba ratowac mojego ojca, to kiedy? – Nie jestem twoim ojcem. – Jozef sie usmiechnal. – Wlasnie ze jestes. – Joszua zwiesil glowe. – Ale nie moge ci rozkazywac. – Usmiech Jozefa stal sie wyraznie szerszy. – Nie, chyba nie. – Nie musiales sie martwic, Jozefie – powiedzialem. – Gdyby Rzymianie cie zabili, troskliwie bym sie zaopiekowal Maria i dziecmi. Maggie uderzyla mnie w ramie. – Dobrze wiedziec – stwierdzil Jozef.

W drodze do Nazaretu moglem isc razem z Maggie o kilka krokow za Jozefem i jego rodzina. Jej rodzina byla tak zrozpaczona tym, co sie stalo z Jeremiaszem, ze w ogole nie zauwazyli jej nieobecnosci. – Jest o wiele silniejszy, niz byl ostatnim razem – zauwazyla Maggie. – Nie martw sie, jutro bedzie zalamany. "Och, co uczynilem niewlasciwie. Och, moja wiara nie byla dostatecznie silna. Och, nie jestem godzien tego zadania". Przez tydzien czy dwa bedzie nie do wytrzymania. Prawdziwe szczescie, jesli przerwie swoje modly na czas dosc dlugi, zeby cos zjesc. – Nie zartuj sobie z niego. Tak bardzo sie stara. – Latwo ci mowic. Ty nie musisz lazic z wiejskim glupkiem i czekac, dopoki Joshowi nie przejdzie. – Ale czy nie jestes poruszony tym, kim on jest i czym jest? – A co by mi z tego przyszlo? Gdybym przez caly czas plawil sie w blasku jego swietosci, to kto by sie nim opiekowal? Kto zalatwialby za niego wszystkie te klamstwa i oszustwa? Maggie, nawet sam Josh nie moze przez caly czas myslec o tym, kim jest. – Ja mysle o nim przez caly czas. I przez caly czas modle sie za niego. – Naprawde? A modlisz sie czasem za mnie? – Wspomnialam o tobie w modlitwie. Raz. – Tak? W jaki sposob? – Prosilam Boga, by ci pomogl nie byc takim durniem, zebys mogl dbac o Joszue. – Ale chodzilo ci o atrakcyjnego durnia, prawda? – Oczywiscie.

I powiedzial aniol: – Jakiz prorok to napisal? Albowiem sa w tej ksiedze przepowiedziane zdarzenia, jakie nadejda w przyszlym tygodniu w krainie Mody na sukces i Santa Barbara. A ja odparlem aniolowi: – Ty wybitnie slaby na umysle tobole pior, nie potrzeba zadnego proroka.

Wiedza, co sie stanie, bo pisza to z wyprzedzeniem, a aktorzy to odgrywaja. – Tak jest napisane, zatem tak sie stanie – rzekl aniol. Przeszedlem przez pokoj i usiadlem na lozku obok Raziela. Jego wzrok ani na moment nie opuszczal kart Panoramy seriali. Pchnalem magazyn w dol, tak ze aniol musial spojrzec mi w twarz. – Razielu, czy pamietasz czasy przed ludzkoscia, czasy, kiedy istnialy tylko hufce niebieskie i Pan? – Tak. To byly wspaniale czasy. Oprocz wojny, oczywiscie. Ale poza tym, owszem, cudowne czasy. – A wy, aniolowie, byliscie silni i piekni jak boska wyobraznia, wasze glosy wielbily Pana i spiewaly chwale jego az po krance wszechswiata. A jednak Pan uznal, ze lepiej jest stworzyc nas, ludzi, slabych, pokrzywionych i bluznierczych. Zgadza sie? – Wtedy wlasnie wszystko zaczelo sie sypac, moim zdaniem. – No, a wiesz, dlaczego Pan postanowil nas stworzyc? – Nie. Nie do nas nalezy kwestionowanie Jego woli. – Poniewaz wszyscy jestescie tepakami, oto dlaczego. Jestescie bezmyslni jak maszyneria gwiazd. Anioly to tylko piekne owady. Moda na sukces to przedstawienie, Razielu. Sztuka. Nie jest rzeczywista, rozumiesz? – Nie.

I nie rozumial. Dowiedzialem sie, ze jest w tych czasach tradycja opowiadania zabawnych historyjek o glupocie ludzi o zoltych wlosach. Zgadnijcie, od czego sie zaczela.

Wszyscy chyba sie spodziewalismy, ze po znalezieniu mordercy sprawy sie uspokoja. Wydawalo sie jednak, ze Rzymian bardziej interesuje zalatwienie wszystkich sykariuszy niz jakies pojedyncze zmartwychwstanie. Trzeba zreszta uczciwie przyznac, ze zmartwychwstania nie byly wtedy tak rzadkie. Jak wspomnialem, my, Zydzi, szybko zakopywalismy naszych umarlych w ziemi, a przy szybkim dzialaniu musza sie zdarzac pomylki. Bywalo, ze jakas nieszczesna duszyczka padala od goraczki, a budzila sie juz owinieta plotnem i gotowa do grobu. Ale pogrzeby to dobry sposob zebrania w jednym miejscu calej rodziny, i zawsze na zakonczenie podawano doskonaly posilek, wiec nikt tak naprawde nie narzekal – byc moze oprocz tych ludzi, ktorzy nie obudzili sie przed zlozeniem w ziemi. Ale jesli oni narzekali, to coz… jestem pewien, ze Bog ich wysluchal. (Za moich czasow warto bylo miec lekki sen). Zatem, choc chodzacy nieboszczyk pewnie zrobil na nich wrazenie, Rzymianie zaczeli wylapywac podejrzanych konspiratorow. Mezczyzn z rodziny Maggie pognali o swicie do Seforis.

Zadne cuda nie mialy sie zdarzyc, by spowodowac uwolnienie wiezniow, ale tez w kolejnych dniach nie zapowiedziano zadnych ukrzyzowan. Gdy minely dwa tygodnie i nie nadeszla zadna wiadomosc o losie czy stanie mezczyzn, Maggie, jej matka, ciotki i siostry udaly sie do synagogi prosic faryzeuszy o pomoc.

Pewnego dnia faryzeusze z Nazaretu, Jani i Seforis zjawili sie przed siedziba rzymskiego garnizonu i zaapelowali do Justusa uwolnienie wiezniow. Nie wiem, co powiedzieli ani jakich naciskow mogli ewentualnie uzyc, by poruszyc Rzymian, ale nastepnego dnia, zaraz po wschodzie slonca, mezczyzni z rodziny Maggie weszli chwiejnym krokiem do wioski – poobijani, wyglodzeni i brudni, ale zdecydowanie zywi.

Nie bylo uczty, nie swietowalismy ich powrotu – my, Zydzi, przez kilka tygodni chodzilismy na paluszkach, by dac Rzymianom czas na uspokojenie. W nastepnych tygodniach Maggie byla

jakby oddalona; Josh i ja nie ogladalismy jej usmiechu, od ktorego obaj tracilismy oddech. Wydawalo sie, ze nas unika: odbiegala z rynku, kiedy tylko ja tam zobaczylismy, a w szabat trzymala sie blisko kobiet ze swej rodziny, wiec nie moglismy z nia porozmawiac. Wreszcie, gdy minal miesiac, calkowicie lekcewazac obyczaje i zwyczajna uprzejmosc, Joszua namowil mnie, zeby nie isc do pracy, i zaciagnal mnie za rekaw do domu Maggie. Kleczala na ziemi przed drzwiami i ma zarnach mella ziarno jeczmienia. Widzielismy, jak jej matka krzata sie po domu, slyszelismy ojca i starszego brata Szymona (zwanego Lazarzem), jak pracuja obok w kuzni. Maggie tak sie zapamietala w rytmie mielenia, ze nie zauwazyla, jak sie zblizamy. Joszua polozyl jej dlon na ramieniu, a ona usmiechnela sie, nie unoszac glowy. – Powinniscie teraz budowac dom w Seforis – powiedziala. – Uznalismy, ze wazniejsze sa odwiedziny u chorego przyjaciela. – Ktoz moglby nim byc? – A jak ci sie zdaje? – Nie jestem chora. Prawde mowiac, uzdrowil mnie dotyk Mesjasza. – Nie sadze – stwierdzil Joszua. Spojrzala wreszcie na niego i jej usmiech ulotnil sie bez sladu. – Nie moge sie juz przyjaznic z wami dwoma – oznajmila. – Wszystko sie zmienilo. – Co? Dlatego ze twoj wuj byl sykariuszem? Nie zartuj. – Nie. Dlatego ze moja matka zawarla umowe z Ibanem, zeby sie zgodzil przekonac innych faryzeuszy, isc do Seforis i prosic o zycie naszych krewnych. – Jaka umowe? – zapytal Joszua. – Jestem zareczona. – Znowu spuscila glowe nad zarnami i lza kapnela na zmielone ziarno.

Obaj bylismy wstrzasnieci. Josh cofnal reke i odstapil, a potem spojrzal na mnie, jakbym mogl cos na to poradzic. Ja czulem, ze lada chwila sie rozplacze. – Z kim? – zdolalem wykrztusic. – Z Akanem. – Maggie chlipnela. – Synem Ibana? Ta menda? Tym zbirem?

Maggie przytaknela. Joszua zakryl dlonia usta, odbiegl kilka krokow i zwymiotowal. Mialem ochote przylaczyc sie do niego, ale tylko przykucnalem przed Maggie. – Kiedy macie sie pobrac? – zapytalem. – Zaslubiny maja sie odbyc miesiac po swiecie Paschy. Matka kazala mu odczekac szesc miesiecy. – Szesc miesiecy! Szesc miesiecy! To cala wiecznosc, Maggie. Przez szesc miesiecy Akan moze byc zabity na tysiac ohydnych sposobow, a to tylko te, ktore przychodza mi do glowy w tej chwili. Ktos moze wydac go Rzymianom jako buntownika. Nie mowie kto, ale ktos przeciez moze. Takie rzeczy sie zdarzaja. – Przykro mi, Biff. – Niech ci nie bedzie przykro z mojego powodu. Czemu ma ci byc przykro z mojego powodu? – Wiem, co czujesz, i dlatego mi przykro.

Przez moment nie wiedzialem co powiedziec. Zerknalem na Joszue, czy nie moglby mi jakos pomoc, ale on nadal byl zajety rozchlapywaniem na piasku swojego sniadania. – Ale to przeciez Joszue kochasz? – spytalem w koncu. – Czy od tego czujesz sie choc troche lepiej? – No wiec nie. – Zatem przykro mi. – Zrobila gest, jakby chciala poglaskac mnie po policzku, ale matka zawolala ja, zanim zdazyla mnie dotknac. – Mario, wracaj do domu, natychmiast! – Maggie skinela glowa w strone rzygajacego Mesjasza. – Uwazaj na niego. – Nic mu nie bedzie. – I na siebie tez uwazaj. – Ja tez sobie poradze, Maggie. Nie zapominaj, ze na wszelki wypadek mam zone rezerwowa. Poza tym to przeciez szesc miesiecy. Wiele moze sie zdarzyc w ciagu szesciu miesiecy. W koncu bedziemy cie czasem widywac. Probowalem mowic z wiekszym optymizmem, niz odczuwalem. – Odprowadz Joszue do domu – powiedziala. A potem szybko pocalowala mnie w policzek i uciekla.

Joszua stanowczo sprzeciwial sie pomyslowi zamordowania Akana, czy nawet modlenia sie, by spotkalo go jakies nieszczescie. Jesli juz, to sprawial wrazenie bardziej zyczliwie usposobionego niz wczesniej. Posunal sie nawet do tego, ze odszukal Akana i pogratulowal zareczyn z Maggie – przez co poczulem sie zdradzony i wsciekly. Poszedlem za nim do oliwnego gaju, gdzie modlil sie wsrod poskrecanych pni drzew. – Ty tchorzu – powiedzialem. – Moglbys go porazic, gdybys tylko zechcial. – Tak samo jak ty – odparl. – Tak, ale ty mozesz sciagnac na niego gniew bozy, a ja musialbym zakrasc sie od tylu i rozbic mu glowe kamieniem. To wielka roznica. – I chcialbys, zebym zabil Akana za co? Za to, ze masz pecha? – Jak dla mnie to calkiem dobry powod. – Tak trudno ci zrezygnowac z czegos, czego nigdy nie miales? – Mialem nadzieje, Josh. Przeciez rozumiesz nadzieje, prawda?

Czasami potrafil byc straszliwie tepy, a raczej tak wtedy myslalem. Nie mialem pojecia, jak bardzo cierpi, jak bardzo chcialby cos zrobic. – Mysle, ze rozumiem nadzieje. Nie jestem tylko pewien, czy wolno mi jakas miec. – No nie, nie zaczynaj tego kazania "Kazdy cos ma oprocz mnie". Masz bardzo duzo. Stanal przede mna, a oczy mu plonely. – Na przyklad co? Co takiego mam? – No… – Chcialem powiedziec cos na temat bardzo seksownej matki, ale jakos nie wydawalo sie to odpowiedzia, jaka chcialby uslyszec. – No, masz Boga. – Tak samo jak ty. Tak samo jak kazdy. – Naprawde? – Tak. – Ale nie Rzymianie. – Sa przeciez rzymscy Zydzi. – No to masz… no, to takie z uzdrawianiem i wskrzeszaniem z martwych. – O tak, i to rzeczywiscie swietnie dziala. – Przeciez jestes Mesjaszem, nie? A to juz cos. Gdybys powiedzial ludziom, ze jestes Mesjaszem, musieliby robic, co im kazesz. – Nie moge im powiedziec. – Dlaczego nie? – Bo nie wiem, jak byc Mesjaszem. – W takim razie zrob chociaz cos w sprawie Maggie. – Nie moze – zabrzmial glos za drzewem. Zlocisty blask zajasnial po obu stronach pnia. – Kto tam jest?! – zawolal Joszua. Aniol Raziel wyszedl zza drzewa. – Aniol Panski – mruknalem do Josha. – Wiem – rzucil tonem dajacym do zrozumienia, ze "kto widzial jednego, widzial wszystkich". – Nic nie moze zrobic – powtorzyl aniol. – Dlaczego nie? – spytalem. – Ponieważ nie moze poznac zadnej kobiety. – Nie moge? – Joszua wcale nie wydawal sie szczesliwy. – Nie moze w sensie, ze nie powinien, czy nie jest zdolny? – upewnilem sie. Aniol poskrobal sie po zlotowlosej glowie. – Nie przyszlo mi na mysl, zeby zapytac. – Ale to dosyc wazne. – W kazdym razie nic nie moze zrobic w sprawie Marii Magdaleny, to wiem na pewno. Kazali mi przybyc i mu to przekazac. Jak rowniez, ze czas juz, by wyruszyl. – Dokad wyruszyl? – Nie pomyslalem, zeby spytac.

Przypuszczam, ze powinienem byc wystraszony, ale zdaje sie, ze przeskoczylem przez strach wprost do irytacji. Podszedlem do aniola i stuknalem go palcem w piers. – Czy jestes tym samym aniolem, ktory przybyl do nas wczesniej, by objawic narodziny zbawiciela? – Wola Boga bylo, bym przekazal te radosna wiesc. – Wolalem sie upewnic, na wypadek gdyby wszystkie anioly wygladaly podobnie albo co. Czyli, kiedy juz zjawiles sie spozniony o dziesiec lat, przyslali cie z kolejna wiadomoscia? – Jestem tu, by przekazac Zbawicielowi, ze czas juz, by wyruszyl. – Ale nie wiesz dokad? – Nie. – A to zlociste cos wokol ciebie, to swiatlo… Co to takiego? – To chwala Pana. – Jestes pewien, ze to nie twoja glupota przecieka? – Biff, badz uprzejmy, to poslaniec Pana. – Do diabla, Josh, przeciez on wcale nie pomaga. Jesli maja nas odwiedzac aniolowie z nieba, to powinni przynajmniej wiedziec, co robia. Obalic mury czy cos,

zniszczyc miasto, no, sam nie wiem… zapamietac cala wiadomosc? – Przykro mi – odparl aniol. – Czy chcielibyscie, zebym zniszczyl miasto? – Dowiedz sie lepiej, dokad Josh powinien wyruszyc. Co ty na to? – Moge to uczynic. – No to uczyn. – Zaraz wracam. – Z Bogiem – rzekl Joszua.

W jednej chwili aniol skryl sie za innym pniem. Z cieplym podmuchem zniknal z oliwnego gaju zloty blask. – Byles dla niego dosc surowy – zganil mnie Joszua. – Josh, bycie milym nie zawsze pozwala zalatwic sprawe. – Ale mozna probowac. – Czy Mojzesz byl mily dla faraona?

Zanim Joszua zdazyl odpowiedziec, cieply wiatr znow dmuchnal przez gaj i aniol wylonil sie zza drzewa. – Aby odnalezc swoje przeznaczenie – powiedzial. – Co? – spytalem. – Co? – spytal Joszua. – Powinienes wyruszyc, by odnalezc swoje przeznaczenie. – To wszystko? – zdziwil sie Joszua. – Tak. – A co z tym poznawaniem kobiety? – wtracilem. – Musze juz odejsc. – Lap go, Josh. Ty go przytrzymasz, a ja mu przywale. Ale aniol zniknal wraz z cieplym wiatrem. – Moje przeznaczenie? – Joszua spogladal na swe puste, otwarte dlonie. – Powinnismy go zlac i zmusic do odpowiedzi – uznalem. – Nie sadze, zeby sie nam udalo. – Czyli wracamy do milych strategii? Czy Mojzesz… – Mojzesz powinien powiedziec: wypusc moj lud, prosze. – I to by zrobilo jakas roznice? – Mogloby mu sie udac. Nigdy nie wiadomo. – Co zamierzasz zrobic w sprawie swojego przeznaczenia? – Mam zamiar spytac Swiete Swietych, kiedy pojdziemy na Pasche do Swiatyni.

I tak zdarzylo sie, ze wiosna Zydzi z Galilei ruszyli do Jeruzalem z pielgrzymka z okazji Swieta Paschy, a Joszua rozpoczal poszukiwanie swego przeznaczenia. Traktem podazaly rodziny zmierzajace do swietego miasta. Wielblady, wozki i osly niosly wielkie ladunki zapasow na droge, a wzdluz calej kolumny pielgrzymow rozlegalo sie beczenie owiec, ktore mialy byc ofiarowane na Swieto Paschy. Tego roku ziemia byla sucha i brunatno-czerwona chmura kurzu wila sie ponad traktem tak daleko, jak tylko wzrok siegal w obu kierunkach.

Poniewaz obaj bylismy najstarsi w naszych rodzinach, na Jo-szue i mnie spadl obowiazek pilnowania mlodszych braci i siostr. Uznalismy, ze najprostsza metoda osiagniecia celu bedzie powiazanie ich lina, wedlug wzrostu – moich dwoch braci oraz trzech braci i dwie siostryJoszuy. Zarzucilem im na szyje petle dosc luzne, by zaczeli sie dlawic tylko wtedy, kiedy sprobuja wyjsc z kolumny. – Moge to odwiazac – oznajmil Jakub. – Ja tez – powiedzial moj brat Sem. – Ale tego nie zrobicie. To jest ta czesc Paschy, kiedy odtwarzacie Mojzesza prowadzacego was do Ziemi Obiecanej. Musicie zostac z mlodszymi. – Nie jestes Mojzeszem – stwierdzil Sem. – Nie… nie jestem Mojzeszem, sprytnie to zauwazyles. – Przywiazalem koniec liny do jadacego obok wozu, zaladowanego wysoko dzbanami wina. – Ten woz jest Mojzeszem. Idzcie za nim. – Ten woz nie jest… – Zamknij sie, do diabla, i maszeruj za Mojzeszem.

To uwolnilo nas od obowiazkow. Joszua i ja ruszylismy wiec szukac Maggie i jej rodziny. Wiedzielismy, ze Maggie ze swoim klanem wyszli po nas, wiec przeciskalismy sie pod prad rzeki pielgrzymow, narazajac sie na ugryzienia oslow i plucie wielbladow, az na wzgorzu, jakies pol mili za nami, zobaczylismy blekitny szal. Zamiast przebijac sie przez tlum wedrowcow, postanowilismy raczej usiasc przy drodze i zaczekac, az Maggie sama do nas dotrze. Nagle

jednak kolumna pielgrzymow zaczela wielka fala schodzic z traktu na boki. Kiedy zobaczylismy wylaniajacy sie zza wzgorza pioropusz centuriona, zrozumielismy: nasz lud robil przejscie dla rzymskiej armii. (Na Pasche w Jeruzalem przybywal prawie milion Zydow – milion Zydow swietujacych wyzwolenie z niewoli stanowilo, z punktu widzenia Rzymian, bardzo niebezpieczna mieszanke. Rzymski gubernator przybywal z Cezarei ze swoim pelnym legionem, szescioma tysiacami ludzi, a kazdy z garnizonow w Judei, Samarii i Galilei takze przysylal do swietego miasta centurie czy dwie).

Wykorzystalismy okazje, by pobiec do Maggie, i dotarlismy tam w tym samym czasie co rzymska armia. Centurion prowadzacy konnice probowal mnie kopnac, gdy go mijalem – podkuty but o wlos minal moja glowe. Powinienem chyba sie cieszyc, ze nie byl to chorazy, bo moglbym wtedy oberwac rzymskim orlem. – Jak dlugo mam czekac, Joszua, zanim przepedzisz ich z tej ziemi i odrodzi sie krolestwo naszego ludu?

Maggie stala z dlonmi na biodrach i usilowala robic surowa mine, ale niebieskie oczy zdradzaly, ze zaraz wybuchnie smiechem. – Ehm… I tobie szalom, Maggie. – A co z toba, Biff, wiesz juz, jak byc glupkiem, czy wciaz jestes opozniony w nauce?

Te rozesmiane oczy, choc Rzymianie mijali nas na odleglosc wyciagnietej reki… Boze, jak za nia tesknilem… 1 Ucze sie – odpowiedzialem. Maggie odstawila dzban, ktory niosla, i wyciagnela rece, by nas objac. Od wielu miesiecy widywalismy ja tylko przechodzaca przez rynek. Tego dnia pachniala cytryna i cynamonem. Przez kilka godzin szlismy z Maggie i jej rodzina. Rozmawialismy, zartowalismy i unikalismy tematu, o ktorym myslelismy wszyscy. Wreszcie Maggie spytala: – Przyjdziecie na moj slub? Joszua i ja spojrzelismy na siebie, jakby nagle wyrwano nam obu jezyki. Przekonalem sie, ze on takze bez powodzenia szuka wlasciwych slow, a Maggie wyraznie zaczynala sie irytowac. – No? – Wiesz, Maggie, nie o to chodzi, ze nie cieszymy sie twoim szczesciem…

Trzepnela mnie grzbietem dloni w usta. Dzban, ktory niosla na glowie, nawet sie nie zakolysal. Niezwykla gracje miala w sobie ta dziewczyna. – Auc. – Szczesciem? Oszalales? Moj maz to ropucha. Niedobrze mi sie robi na sama mysl o nim. Mialam tylko nadzieje, ze przyjdziecie obaj i pomozecie mi przetrwac te ceremonie. – Chyba warga mi krwawi. Joszua spojrzal na mnie i nagle otworzyl szeroko oczy. – Oj-oj. Przechylil glowe, jakby nasluchiwal szumu wiatru. – Co za oj-oj?

Ale wtedy i ja uslyszalem odglosy zamieszania przed nami. Tlum zebral sie wokol nieduzego mostku – wiele krzykow i wymachiwania rekami. Poniewaz Rzymianie dawno juz przejechali, uznalem, ze ktos musial wpasc do wody. – Oj-oj – powtorzyl Joszua i pobiegl w strone mostku. – Przepraszam. – Spojrzalem na Maggie, zruszylem ramionami i pognalem za nim.

Przy brzegu rzeki (wlasciwie raczej strumienia) zobaczylismy stojacego po piers w wodzie chlopca w naszym wieku, ze zwichrzonymi dziko wlosami i plonacymi jeszcze bardziej dziko oczami. Trzymal cos pod powierzchnia i krzyczal ile sil w plucach. – Musisz okazac skruche i odpokutowac, pokutowac i okazywac skruche! Twoje grzechy uczynily cie nieczystym!

Oczyszczam cie ze zla, ktore nosisz niby sakwe. – To moj kuzyn, Jan – wyjasnil Joszua.

Po obu stronach Jana stali rzedem nasi bracia i siostry, wciaz powiazani razem. Ale brakujacym ogniwem w lancuchu rodzenstwa byl moj brat Sem, zastapiony przez chlapanie i bulgotanie w metnej wodzie przed Janem. Patrzacy krzyczeli na czesc Chrzciciela, ktory mial pewne problemy z utrzymaniem Sema pod woda. – Wydaje mi sie, ze on topi Sema. – Chrzci. – Moja matka bedzie szczesliwa, ze Sem zostal oczyszczony z grzechow, ale sadze, ze bedziemy mieli duze klopoty, jesli utonie w trakcie tego procesu. – Sluszna uwaga – zgodzil sie Josh. Wszedl do wody. – Janie! Przestan! Jan popatrzyl na niego troche zmieszany. – Kuzyn Joszua? – Tak. Wypusc go, Janie. – On zgrzeszyl – odparl Jan takim tonem, jakby to tlumaczylo wszystko. – Ja zajme sie jego grzechami. – Myslisz, ze jestes tym pomazancem, tak? No wiec nie jestes. Moje narodziny tez zapowiedzial aniol. Proroctwo mowi, ze bede prowadzil. To nie ty nim jestes. – Powinnismy porozmawiac o tym gdzie indziej. Pusc go, Janie, zostal oczyszczony.

Jan pozwolil mojemu bratu wynurzyc sie na powierzchnie. Podbieglem i wyciagnalem go z wody razem z reszta dzieci. – Czekaj, inni nie sa oczyszczeni. Sa brudni od grzechu. – Kiedy go wczesniej spotkales? – Nie spotkalem. – To skad wiesz, ze to on? – Po prostu wiem. – To wariat – uznal Jakub. – Obaj jestescie wariaci. – Tak, to rodzinne. Moze kiedy urosniesz, tez zostaniesz wariatem. Nie mow nic mamie. – Nie powiem. – Dobrze – pochwalil Joszua. – Ty i Biff poprowadzicie dzieci dalej. Kiwnalem glowa i jeszcze raz zerknalem na Jana. – Jakub ma racje, Josh. To wariat. – Slyszalem to, grzeszniku! – krzyknal Jan. – Moze ty tez potrzebujesz oczyszczenia!

Tego wieczoru Jan z rodzina jedli z nami kolacje. Bylem zaskoczony, ze jego rodzice sa starsi niz Jozef – starsi nawet niz moi dziadkowie. Joszua powiedzial mi, ze narodziny Jana byly cudem zwiastowanym przez aniola. Elzbieta, matka Jana, opowiadala o tym przez caly czas przy kolacji, jakby zdarzylo sie to wczoraj, a nie trzynascie lat temu. Kiedy starsza pani przerywala, by nabrac tchu, matka Joszuy wchodzila ze swoja opowiescia o boskim zwiastowaniu narodzin jej syna. Od czasu do czasu moja matka, czujac potrzebe okazania matczynej dumy, ktorej tak naprawde nie czula, takze do nich dolaczala. – No coz, Biffa nie zapowiedzial aniol, ale szarancza pozarla nasz ogrod, a Alfeusz mial gazy przez miesiac mniej wiecej w czasie, kiedy Biff zostal poczety. Mysle, ze to byl znak. Z cala pewnoscia nic takiego nie zdarzylo sie przy moich pozostalych chlopcach. Ach, mama… Czy wspominalem, ze opetaly ja demony?

Po kolacji Joszua i ja rozpalilismy wlasne ognisko, z dala od pozostalych. Mielismy nadzieje, ze Maggie nas odszuka, ale okazalo sie, ze tylko Jan do nas dolaczyl. – Nie jestes pomazancem – zwrocil sie do Joszuy. – Do mojego ojca przybyl Gabriel. Twoj aniol nie mial nawet imienia. – Nie powinnismy rozmawiac o tych sprawach – odparl Joszua. – Aniol oznajmil mojemu ojcu, ze jego syn przygotuje droge Panu. To ja. – Swietnie. Niczego bardziej dla ciebie nie pragne, niz abys to ty byl Mesjaszem. – Naprawde? – zdziwil sie Jan. – Ale twoja matka wydaje sie taka… taka… – Josh umie wskrzeszac z martwych – wtracilem.

Jan przeniosl na mnie swoje oblakane spojrzenie, a ja odsunalem sie na wypadek, gdyby chcial mnie uderzyc. – Nie umie – rzekl. – Sam widzialem. Dwa razy. – Daj spokoj, Biff – poprosil Josh. – Klamiesz. Dawanie falszywego swiadectwa jest grzechem. Chrzciciel wydawal sie bardziej wystraszony niz rozgniewany. – Nie wychodzi mi to za dobrze – przyznal Joszua. Jan szeroko otworzyl oczy. – Robiles to? Wskrzeszales zmarlych? – I uzdrawial chorych – dodalem.

Jan chwycil mnie za tunike i przyciagnal do siebie. Patrzyl mi w oczy, jakby zagladal do wnetrza glowy. – Nie klamiesz, prawda? – Obejrzal sie na Joszue. – On nie klamie, prawda? Joszua pokrecil glowa. – Chyba nie.

Jan puscil mnie, odetchnal gleboko i usiadl na ziemi. Blask ognia odbijal sie od lez w jego oczach, gdy spogladal w pustke. – To prawdziwa ulga. Nie wiedzialem co robic. Nie wiem jak byc Mesjaszem. – Ja tez nie – oswiadczyl Joszua. – W kazdym razie mam nadzieje, ze naprawde potrafisz wskrzeszac z martwych – rzekl Jan. – Bo moja matke to zabije.

Szlismy z Janem trzy kolejne dni, przez Samarie do Judei i wreszcie do swietego miasta. Na szczescie, po drodze nie spotykalismy zbyt wielu rzek czy strumieni, wiec udalo nam sie ograniczyc jego chrzty do minimum. Mial serce na wlasciwym miejscu, naprawde chcial oczyscic nasz lud z grzechow, tyle ze nikt nie chcial uwierzyc, by Bog powierzyl taka misje trzynastolatkowi. Zeby nie psuc mu humoru, pozwalalismy chrzcic naszych mlodszych braci i siostry w kazdym zrodle, jakie mijalismy, az w koncu Miriam, mala siostrzyczka Josha, dostala kataru i Joszua musial dokonac na niej naglego uzdrowienia. – Naprawde potrafisz uzdrawiac! – zawolal Jan. – Wiesz, katar jest latwy – zapewnil Joszua. – Troche sluzu w nosie jest niczym wobec potegi Pana. – Czy… czy moglbys?

Jan uniosl tunike, demonstrujac swoje nagie czesci intymne, pokryte wrzodami i zielonkawymi naciekami. – Zakryj sie, prosze! Zakryj! – wrzasnalem. – Opusc te koszule i odstap! – To obrzydliwe – stwierdzil Joszua. – Czy jestem nieczysty? Balem sie pytac ojca, a nie moge isc do faryzeusza, przeciez moj ojciec jest kaplanem. Mysle, ze to przez wystawanie caly czas w wodzie. Mozesz mnie uzdrowic?

(Musze tu zaznaczyc, ze moim zdaniem mlodsza siostra Joszuy, Miriam, wtedy wlasnie pierwszy raz zobaczyla meskie czesci intymne. Miala dopiero szesc lat, ale to przezycie tak ja przerazilo, ze nigdy nie wyszla za maz. Ostatnie, co o niej slyszelismy, to ze sciela wlosy na krotko, wlozyla meskie ubranie i poplynela na grecka wyspe Lesbos. Ale to pozniej). – Sprobuj, Josh – powiedzialem. – Poloz dlonie na schorzeniu i ulecz je.

Joszua rzucil mi wsciekle spojrzenie, ale kiedy zwrocil sie znowu do swego kuzyna Jana, w oczach mial jedynie wspolczucie. – Moja matka ma troche masci, ktora mozesz nakladac – powiedzial. – Sprawdzmy najpierw, czy ona podziala. – Probowalem masci – zapewnil Jan. – Tego sie obawialem – mruknal Joszua. – A probowales wcierac oliwe? – spytalem. – Prawdopodobnie cie to nie wyleczy, ale pozwoli zajac czyms umysl. – Prosze cie, Biff. Jan jest chory. – Przepraszam. – Podejdz tu, Janie. – O rany, Joszua – powiedzialem. – Nie chcesz

chyba tego dotykac, co? On jest nieczysty. Niech mieszka wsrod tredowatych. Joszua polozyl dlonie na glowie Jana. Chrzciciel wywrocil oczami, jakby chcial sobie zajrzec do glowy. Myslalem, ze sie przewroci, i rzeczywiscie sie zachwial, ale nie upadl. – Ojcze, poslales tego czlowieka, by przygotowal droge. Pozwol mu byc rownie czystym na ciele, jak w duszy. Puscil kuzyna i odstapil. Jan otworzyl oczy i sie usmiechnal. – Jestem uleczony – krzyknal. – Uleczony! Zaczal podnosic koszule, ale zlapalem go za reke. – Wierzymy ci na slowo. Chrzciciel padl na kolana, a potem rozciagnal sie na ziemi, czolgajac sie do stop Joszuy. – Zaiste jestes Mesjaszem. Przepraszam, ze w ciebie watpilem. Bede glosil twoja swietosc w calej krainie. – Uhm, moze kiedys, ale jeszcze nie teraz – sprzeciwil sie Joszua. Jan uniosl glowe z ziemi, obejmujac Josha za kostki. – Nie teraz? – Staramy sie utrzymywac to w sekrecie – wyjasnilem. Josh poglaskal kuzyna po glowie. – Tak, Janie. Lepiej bedzie, jesli nikomu nie powiesz o uzdrowieniu. – Ale dlaczego? – Nim Joszua zacznie byc Mesjaszem, musimy jeszcze sprawdzic kilka rzeczy. – Jakich na przyklad? – Jan wygladal, jakby chcial sie znowu rozplakac. – No, na przyklad, gdzie Joszua zostawil swoje przeznaczenie i czy wolno mu, albo nie, miec, no… obrzydliwosc z kobieta. – Jesli z kobieta, to nie obrzydliwosc – stwierdzil Josh. – Nie? – Nie. Z owca, koza, wlasciwie z kazdym zwierzeciem, to jest obrzydliwosc. Ale z kobieta to cos zupelnie innego. – A jesli kobieta i koziol, to co to jest? – spytal Jan. – To piec szekli w Damaszku – odparlem. – Szesc, jesli sam chcesz pomoc. Joszua uderzyl mnie piescia w ramie. – Przepraszam. To stary zart. – Usmiechnalem sie. – Nie moglem sie powstrzymac.

Jan zamknal oczy i potarl skronie, jak gdyby sadzil, ze jesli tylko przylozy dostateczna sile, wycisnie z umyslu jakies zrozumienie. – Czyli nie chcesz, zeby ktokolwiek sie dowiedzial o twojej mocy uzdrawiania, bo nie wiesz, czy mozesz obcowac z kobieta? – Poza tym nie mam pojecia, jak sie zabrac do bycia Mesjaszem – wyjasnil Joszua. – Tak, to takze – zgodzilem sie. – Powinienes zapytac Hillela – poradzil Jan. – Moj ojciec uwaza, ze jest najmedrszym ze wszystkich kaplanow. – Chce zapytac Swiete Swietych – odparl Joszua.

(Swiete Swietych to Arka Przymierza – skrzynia zawierajaca tablice wreczone przez Boga Mojzeszowi. Nie znalem nikogo, kto ja widzial, a stala w wewnetrznej komnacie Swiatyni). – Przeciez to zakazane. Tylko kaplan moze wejsc do komnaty Arki. – Tak, to bedzie pewien klopot – przyznalem.

Miasto bylo niczym ogromna misa, po brzegi wypelniona pielgrzymami, ktorzy sie przelewali we wrzace morze czlowieczenstwa dookola. Kiedy dotarlismy, ludzie stali w kolejce az do bramy a drodze z Damaszku, czekajac ze swymi owcami, by wejsc do swiatyni. Wiatr niosl stamtad tlusty czarny dym. W Swiatyni az dziesiec tysiecy kaplanow zarzynalo teraz owce, by spalic na okazach krew i tluste fragmenty. Wokol miasta plonely ogniska – to kobiety szykowaly mieso owiec. Mgla unosila sie w powietrzu – ara i odor miliona ludzi i tylu zwierzat. Zapach czerstwego chleba i potu, smrod moczu wznosily sie w upale, laczac sie z beczeniem owiec, rykami wielbladow, krzykami dzieci, spiewnymi wolaniami kobiet i niskim brzeczeniem zbyt wielu ludzkich glosow, az powietrze bylo geste od dzwiekow, zapachow, Boga i historii. To tutaj Bog oznajmil Abrahamowi, ze jego lud bedzie Wybrany, tutaj Hebrajczycy zostali uwolnieni z Egiptu, tutaj Salomon zbudowal pierwsza Swiatynie, tutaj chadzali prorocy i

krolowie Hebrajczykow, i tutaj spoczywala Arka Przymierza. Jeruzalem. Tutaj przybylismy ja, Chrystus i Jan Chrzciciel, by poznac wole Boga, a jesli bedziemy mieli szczescie, spotkamy jakies rzeczywiscie swietne dziewczyny. (A co, mysleliscie, ze chodzi tylko o religie i filozofie?).

Nasze rodziny zalozyly oboz na zewnatrz polnocnych murow miasta, ponizej blankow Antonii – twierdzy, ktora wzniosl Herod w holdzie swojemu dobroczyncy, Markowi Antoniuszowi. Dwie rzymskie kohorty w sile okolo tysiaca dwustu ludzi obserwowaly dziedziniec Swiatyni z murow twierdzy. Kobiety karmily i myly dzieci, a ja i Joszua wraz z naszymi ojcami nieslismy owce na ofiare.

Bylo cos niepokojacego w takim niesieniu zwierzecia na smierc. Nie o to chodzi, ze przedtem nie widzialem ofiar czy nie jadlem paschalnego baranka, ale pierwszy raz sam uczestniczylem w tym procesie. Czulem, jak zwierze dmucha mi w kark, poniewaz nioslem je zarzucone na ramiona. I posrod halasow, zapachow i ruchu wokol Swiatyni, nagle – tylko na moment – zapadla cisza, tylko na jeden oddech i jedno uderzenie serca owcy. Chyba zostalem w tyle, bo ojciec odwrocil sie i cos do mnie zawolal, ale nie zrozumialem slow.

Przeszlismy przez brame na zewnetrzny dziedziniec, gdzie kupcy sprzedawali ptaki na ofiare, a kantory wymienialy szekle na setke innych walut ze wszystkich zakatkow swiata. Kiedy przechodzilismy przez ten gigantyczny plac, gdzie tysiac ludzi czekalo z owcami na ramionach, az dostana sie na dziedziniec wewnetrzny, do oltarza, do rzezi, nie widzialem ani jednej ludzkiej twarzy. Widzialem tylko pyszczki owiec – jedne spokojne i bezmyslne, inne dziko przewracajace oczami i beczace ze zgrozy, jeszcze inne z pozoru ogluszone. Zdjalem moja owce z ramion i chwycilem ja na rece, jak dziecko. Zaczalem sie wycofywac do bramy. Wiedzialem, ze moj ojciec i Jozef ida za mna, ale nie moglem zobaczyc ich twarzy, jedynie pustke w miejscach, gdzie powinny byc oczy; patrzylem tylko w oczy owiec, ktore niesli. Nie moglem oddychac i nie moglem wydostac sie ze swiatyni dostatecznie szybko. Nie wiedzialem, dokad pojde, ale na pewno nie do oltarza. Odwrocilem sie, by uciekac, ale czyjas dlon chwycila mnie za koszule i pociagnela z powrotem. Odwrocilem sie i spojrzalem prosto w oczy Joszuy. – To wola boza – powiedzial. Polozyl dlonie na mojej glowie i znowu moglem oddychac. – Juz dobrze, Biff. Wola boska. Usmiechnal sie. Joszua polozyl przyniesiona przez siebie owce na ziemi, ale ona nie uciekala. Przypuszczam, ze juz wtedy moglem sie domyslic. Nie jadlem baraniny w to swieto Paschy. Od tego dnia nie jadlem owcy juz nigdy.

Udalo mi sie wymknac do lazienki na dostatecznie dlugo, zeby przeczytac kilka rozdzialow tego Nowego Testamentu, ktory dodali do Biblii. Ten Mateusz, ktory najwyrazniej nie jest Mateuszem, ktorego znalismy, calkiem sporo pominal. Na przyklad wszystko od narodzin Joszuy do czasu, kiedy mial juz trzydziesci lat! Nic dziwnego, ze aniol sprowadzil mnie tutaj, bym napisal te ksiazke. Ten Mateusz na razie jeszcze o mnie nie wspomnial, ale jestem ciagle przy poczatkowych rozdzialach. Musze racjonowac sobie lekture, zeby aniol nie zaczal czegos podejrzewac. Dzisiaj zaczepil mnie, kiedy wyszedlem z lazienki. – Spedzasz tam duzo czasu – powiedzial. – Nie musisz tam spedzac tyle czasu. – Mowilem ci, czystosc jest bardzo wazna dla mojego ludu. – Nie kapales sie. Slyszalbym plynaca wode. Uznalem, ze jesli nie chce, by aniol

znalazl Biblie, musze przejsc do ofensywy. Przebieglem przez pokoj, wskoczylem na jego lozko i chwycilem oburacz za gardlo. Dusilem go i spiewalem: – Nie spalem z nikim od dwoch tysiecy lat! Nie spalem z nikim od dwoch tysiecy lat! Nie spalem z nikim od dwoch tysiecy lat!

Brzmialo to niezle, mialo swoj rytm, a przy tym przy kazdej sylabie tak jakby sciskalem go za gardlo troche mocniej. Przerwalem na moment duszenie mojego niebianskiego opiekuna, zeby przylozyc mu w alabastrowy policzek. To byl blad. Chwycil moja reke, potem druga zlapal za wlosy i wstal spokojnie, podnoszac mnie w powietrze. – Au, au, au, au, au – powiedzialem. – No wiec nie spales z nikim od dwoch tysiecy lat. Co to wlasciwie znaczy? – Au, au, au, au – odpowiedzialem. Aniol postawil mnie na nogach, ale ciagle trzymal mocno za wlosy. – No wiec? – To znaczy, ze przez ostatnie dwa tysiaclecia nie mialem kobiety. Czy ty nie lapiesz z telewizji zadnych nowych okreslen? Zerknal na telewizor, jak zwykle wlaczony. – Nie mam twojego daru jezykow. Ale co to ma wspolnego z duszeniem mnie? – Dusilem cie, poniewaz znowu okazales sie tepy jak glaz. Od dwoch tysiecy lat nie uprawialem seksu. Mezczyzni maja swoje potrzeby. Do diabla, myslisz, ze po co bez przerwy chodze do lazienki? – Och… – Aniol puscil moj e wlosy. – Czyli ty… To tam… Jest… – Sprowadz mi kobiete, a moze nie bede siedzial tak dlugo w lazience, jesli lapiesz, co mam na mysli. Blyskotliwy podstep, moim zdaniem. – Kobiete? Nie, tego uczynic nie moge. Jeszcze nie. – Jeszcze? Czy to znaczy… – O, patrz. – Aniol odwrocil sie ode mnie, jakbym byl tylko klebem mgly. – Zaczyna sie Ostry dyzur. Tak wiec mojej tajnej Biblii nic juz nie grozilo. Co mial na mysli, mowiac "jeszcze"? Ten Mateusz wspomina przynajmniej o Medrcach. Jedno zdanie, ale to o jedno wiecej, niz do tej pory ja mam w Ewangeliach.

Drugiego dnia w Jeruzalem poszlismy odwiedzic wielkiego rabbiego Hillela (rabbi po hebrajsku oznacza, nauczyciela – wiedzieliscie o tym, prawda?). Hillel wygladal na sto lat, oczy mial zamglone, a zrenice mlecznobiale. Jego skora byla sucha i brazowa od siedzenia na sloncu, a nos dlugi i zakrzywiony, przez co wygladal troche jak wielki, slepy orzel. Przez caly ranek wyglaszal swoje nauki na zewnetrznym dziedzincu Swiatyni. Siedzielismy spokojnie, sluchajac, jak recytuje Tore i interpretuje wersy, slucha pytan i prowadzi dyskusje z faryzeuszami, ktorzy usilowali podporzadkowac Prawu kazdy najdrobniejszy fragment zycia.

Pod koniec porannych wykladow Hillela odezwal sie Akan, ten ssacy wielblady przyszly maz mojej ukochanej Maggie. Zapytal, czy grzechem jest zjedzenie jajka, ktore zostalo zniesione w szabat. – Czy jestes glupi? Pana nic nie obchodzi, co kura robi w szabat, nimrodzie jeden! Gdyby Zyd zniosl jajko w szabat, to pewnie byloby grzechem. Wtedy przyjdz do mnie. A na razie nie marnuj takimi bzdurami mojego czasu. Teraz idz, jestem glodny i musze sie zdrzemnac. Wy wszyscy tez. Joszua spojrzal na mnie z szerokim usmiechem. – Nie jest taki, jak sie spodziewalem. – Umie rozpoznac nimroda, kiedy go zobaczy… to znaczy uslyszy.

(Nimrod byl starozytnym krolem, ktory zmarl od uduszenia, kiedy w obecnosci swoich gwardzistow glosno sie zastanawial, jak by to bylo miec wlasna glowe wepchnieta we wlasny tylek). Mlodszy od nas chlopiec pomogl starcowi wstac i poprowadzil go ku bramie Swiatyni. Podbieglem do nich i chwycilem kaplana za druga reke. – Rabbi, moj przyjaciel przybyl z daleka, by z toba porozmawiac. Czy zechcesz mu pomoc? Starzec zatrzymal sie. – Gdzie jest

twoj przyjaciel? – Tutaj. Wiec dlaczego sam sie nie odzywa? Skad jestes, chlopcze? – Z Nazaretu – odparl Joszua. – Ale urodzilem sie w Betlejem. Jestem Joszua bar Jozef. – A tak, rozmawialem z twoja matka. – Naprawde? – Pewnie. Wlasciwie za kazdym razem, kiedy na swieto przybywaja z twoim ojcem do Jeruzalem, stara sie ze mna spotkac. Uwaza, ze jestes Mesjaszem. Joszua przelknal nerwowo sline. – A jestem? Hillel parsknal. – Czy chcesz byc Mesjaszem? Joszua spojrzal na mnie, jakbym to ja znal odpowiedz. Wzruszylem ramionami. – Nie wiem – powiedzial w koncu. – Myslalem, ze powinienem sie tym zajac. – Czy myslisz, ze jestes Mesjaszem? – Nie jestem pewien, czy powinienem mowic. – To rozsadne – pochwalil Hillel. – Nie powinienes mowic. Mozesz sobie ile chcesz myslec, ze jestes Mesjaszem, ale nikomu nie mow. – Ale jesli nie powiem, ludzie nie beda wiedzieli. – Otoz to. Mozesz sobie myslec, ze jestes palma, tylko nikomu o tym nie mow. Mozesz myslec, ze jestes stadem mew, ale nikomu nie mow. Rozumiesz, o co mi chodzi? A teraz musze cos zjesc. Jestem stary i jestem glodny, wiec chce najesc sie teraz, bo gdybym tak umarl przed kolacja, to umre syty. – Ale on naprawde jest Mesjaszem – powiedzialem. – O, tak… – Hillel chwycil mnie za ramie, a potem obmacal glowe, zeby moc wrzasnac mi do ucha. – Co ty wiesz? Jestes niedouczonym dzieciakiem. Ile masz lat? Dwanascie? Trzynascie? – Trzynascie. – To jak w wieku trzynastu lat mozesz cokolwiek wiedziec? Ja mam osiemdziesiat cztery i lajno wiem. – Ale jestes madry. – Dostatecznie madry, zeby wiedziec, ze lajno wiem. A teraz idzcie sobie. – Czy powinienem zapytac Swiete Swietych? – spytal jeszcze Joszua. Hillel machnal reka w powietrzu, jakby chcial trzepnac Joszue w ucho, ale chybil o stope. – To jest skrzynia. Widzialem ja, kiedy moglem jeszcze widziec, i zapewniam cie, ze to skrzynia. I wiesz, co jeszcze? Jesli kiedys byly w niej tablice, to teraz ich nie ma. No wiec jesli chcesz pogadac ze skrzynia i prawdopodobnie zostac stracony za probe wejscia do komory, gdzie ja trzymaja, to sie nie krepuj.

Zdawalo sie, ze Joszua nie moze zlapac tchu. Myslalem juz, ze zemdleje na miejscu. Jak najwiekszy nauczyciel calego Izraela moze mowic w ten sposob o Arce Przymierza? Jak czlowiek, ktory najwyrazniej zna kazde slowo Tory i wszystkich nauk, jakie napisano pozniej, moze twierdzic, ze nic nie wie? Hillel wyczuwal chyba zagubienie Joszuy. – Posluchaj, maly. Twoja matka mowila, ze jacys bardzo madrzy ludzie przybyli do Betlejem, kiedy sie urodziles. Najwyrazniej wiedzieli cos, czego nie wie nikt inny. Moze z nimi sie spotkasz? Zapytaj ich, jak byc Mesjaszem. – A wiec ty mu nie powiesz, jak byc Mesjaszem? – spytalem. Hillel znowu wyciagnal reke do Joszuy, choc tym razem bez gniewu. Odszukal policzek i pogladzil go drzaca dlonia. – Nie wierze, ze nadejdzie Mesjasz, zreszta w tym wieku nie jestem pewien, czy zrobi mi to jakas roznice. Nasz lud wiecej czasu przezyl w niewoli albo pod butem roznych obcych krolow, niz wolny. Ktoz wiec moze twierdzic, ze wola boza jest, abysmy byli wolni? Kto moze twierdzic, ze Bog w ogole troszczy sie o nas, poza tym, ze pozwala nam istniec? Ja nie sadze, zeby sie troszczyl. Posluchaj mnie wiec, moj maly. Czy jestes Mesjaszem, czy zostaniesz rabbim, czy nawet bedziesz zwyklym farmerem, oto jest suma wszystkiego, czego moglbym cie nauczyc, i wszystkiego, co wiem: traktuj innych tak, jak sam chcialbys byc traktowany. Zdolasz to zapamietac?

Joszua kiwnal glowa, a starzec sie usmiechnal. – Idz szukac swoich medrcow, Joszuo bar Jozef. Tymczasem jednak zostalismy w Swiatyni, a Joszua wypytywal kazdego kaplana,

straznika, a nawet faryzeusza o Medrcow, ktorzy trzynascie lat temu przybyli do Jeruzalem. Najwyrazniej jednak dla innych nie bylo to tak waznym wydarzeniem, jak dla rodziny Josha, poniewaz nikt nie mial pojecia, o czym on mowi. Po kilku godzinach tych poszukiwan zaczal doslownie wrzeszczec na grupe faryzeuszy. – Trzech ich bylo. Medrcy. Przybyli, bo zobaczyli gwiazde nad Betlejem. Niesli zloto, kadzidlo i mirre. Przeciez jestescie starzy. Powinniscie byc madrzy. Pomyslcie! Nie trzeba chyba tlumaczyc, ze nie byli zachwyceni. – Kim jest ten chlopiec, ktory podaje w watpliwosc nasza wiedze? Nic nie wie o Torze i prorokach, a jednak gromi nas za to, ze nie pamietamy o trojce niewaznych wedrowcow.

Nie byly to wlasciwe slowa. Nikt dokladniej od Joszuy nie studiowal Tory. Nikt lepiej od niego nie znal Pisma. – Zadaj mi jakies pytanie, faryzeuszu – rzekl. – Spytaj o cokolwiek.

W retrospekcji, kiedy juz troche doroslem, przezylem swoje, umarlem i zostalem wskrzeszony z prochu, zdaje sobie sprawe, ze malo jest rzeczy bardziej irytujacych niz nastolatek, ktory wie wszystko. Oczywiscie, to symptom wieku – wydaje im sie, ze wiedza wszystko. Dzis jednak mam nieco wspolczucia dla tych biednych ludzi, ktorzy tamtego dnia w Swiatyni rzucili Joszui wyzwanie. Oczywiscie, wtedy krzyknalem: – Poraz tych sukinsynow, Josh!

Tkwil tam cale dnie. Nie wychodzil nawet, zeby cos zjesc, wiec to ja wyruszalem do miasta i przynosilem mu pozywienie. Najpierw faryzeusze, a potem nawet kilku kaplanow przybywali, zeby przepytac Joszue, sprobowac zadac mu pytanie o jakiegos nieznanego hebrajskiego krola czy wodza. Kazali mu recytowac drzewa genealogiczne ze wszystkich ksiag Biblii, ale ani razu sie nie zajaknal. Zostawilem go wiec, zeby sie z nimi klocil, a sam wloczylem sie po swietym miescie w poszukiwaniu Maggie, a potem, kiedy nie moglem jej znalezc, ogolnie jakichs dziewczat. Spalem w obozie moich rodzicow, caly czas wierzac, ze Joszua wraca na noc do swoich – ale sie mylilem. Kiedy swieto Paschy minelo i pakowalismy sie juz przed droga powrotna, zjawila sie wystraszona Maria, matka Josha. – Biff, nie widziales Joszuy?

Nieszczesna kobieta byla w rozpaczy. Chcialem ja uspokoic, wiec wyciagnalem race, by obdarzyc ja pocieszajacym usciskiem. – Biedna Mario, uspokoj sie. Joszua jest caly i zdrowy. Chodz, niech cie przytule na pocieszenie. – Biffi! Myslalem, ze mnie spoliczkuje. – Jest w Swiatyni. Rany, czlowiek chce okazac wspolczucie i co go za to spotyka? Ale ona juz odbiegla. Dogonilem ja, kiedy za reke wywlekala Joszue ze Swiatyni. – Zamartwialismy sie przez ciebie na smierc. – Powinnas wiedziec, ze znajdziesz mnie w domu mojego ojca. – Nie zaczynaj mi tu z gadaniem o swoim ojcu, Joszuo bar Jozef. Przykazanie mowi, bys czcil ojca swego i matke swoja. W tej chwili, mlody czlowieku, nie czuje sie szczegolnie uczczona. Mogles przeslac wiadomosc, mogles zajrzec do obozu… Joszua spojrzal na mnie, blagajac wzrokiem o pomoc. – Probowalem ja pocieszyc, Josh, ale nie chciala.

Pozniej odszukalem oboje na drodze do Nazaretu. Joszua skinal na mnie, bym szedl z nimi. – Mama uwaza, ze moze uda sie nam odszukac przynajmniej jednego z Medrcow. A kiedy znajdziemy jednego, moze bedzie wiedzial, gdzie sa pozostali. Maria przytaknela. – Ten o imieniu Baltazar, ten czarny, mowil, ze przybywa z wioski na polnoc od Antiochii. Byl jedynym

z tej trojki, ktory znal troche hebrajski.

Nie wygladalo to dobrze. Chociaz nigdy nie widzialem mapy, "na polnoc od Antiochii" wydawalo sie wielkim, nieokreslonym i groznym miejscem. – Wiadomo cos wiecej? – Tak. Dwaj pozostali przybyli ze Wschodu, Jedwabnym Szlakiem. Nazywali sie Melchior i Kacper. – Czyli trzeba mi do Antiochii – stwierdzil Joszua.

Wydawal sie zadowolony z informacji, jakie podala mu matka. Calkiem jakby wystarczylo mu poznac imiona trzech Medrcow, a on juz prawie by ich znalazl. – Wybierasz sie do Antiochii – powiedzialem – zakladajac, ze ktos tam pamieta czlowieka, ktory zyl na polnocy trzynascie lat temu? – Medrzec. Mag – przypomniala Maria. – Bogaty etiopski mag. Ilu moglo byc takich? – No, moglo ich nie byc wcale. Pomyslalas o tym? Mogl umrzec. Mogl wyniesc sie do innego miasta. – W takim razie, kiedy bede juz w Antiochii – stwierdzil Joszua – stamtad moge wyruszyc Jedwabnym Szlakiem i znalezc dwoch pozostalych. Nie wierzylem wlasnym uszom. – Nie chcesz chyba wyruszyc sam? – Oczywiscie. – Alez, Josh, bedziesz tam calkiem bezradny. Znasz tylko Nazaret, gdzie ludzie sa ubodzy i glupi. Bez urazy, Mario. Bedziesz jak, no… jak owca wsrod wilkow. Potrzebujesz mnie, zebym cie pilnowal. – A co ty wiesz takiego, czego ja nie wiem? Po lacinie mowisz potwornie, po grecku ledwie ujdzie, a twoj hebrajski budzi przerazenie. – Zgadza sie. A jesli jakis obcy spotka cie w drodze do Antiochii i zapyta, ile masz przy sobie pieniedzy, co mu odpowiesz? – To bedzie zalezalo od tego, ile bede mial przy sobie pieniedzy. – Wcale nie. Nie masz dosc nawet na skorke od chleba. Jestes nedznym zebrakiem. – Przeciez to nieprawda. – No wlasnie. Maria objela syna za ramiona. – On ma troche racji, Joszua.

Joszua zmarszczyl czolo, jakby sie zastanawial, ale widzialem, jak jest ucieszony, ze chce isc z nim. – Kiedy chcesz wyruszyc? – A kiedy Maggie wychodzi za maz? – Za miesiac. – No to wczesniej. Nie chce tu byc, kiedy to sie stanie. – Ja tez nie – zgodzil sie Joszua.

Nastepne pare tygodni poswiecilismy na przygotowania do drogi. Moj ojciec uznal, ze zwariowalem, ale matka byla chyba zadowolona, ze w domu zwolni sie troche miejsca. No i dzieki temu rodzina nie musiala wykladac pieniedzy, zeby zaplacic za moja zone. – I jak dlugo cie nie bedzie? – spytala. – Nie wiem. Droga do Antiochii nie jest strasznie dluga, ale nie mam pojecia, ile tam zostaniemy. Potem powedrujemy Jedwabnym Szlakiem. Wydaje mi sie, ze to bardzo daleko. Nigdy nie widzialem, zeby gdzies w poblizu rosl jedwab. – Zabierz welniana tunike, bo moze sie zrobic zimno.

I tyle tylko uslyszalem od matki. Nie: "Dlaczego chcesz odejsc?" albo: "Kogo tam szukacie?". Tylko: "Zabierz welniana tunike". Rany… Moj ojciec okazal sie bardziej pomocny. – Moge dac ci troche pieniedzy na droge albo kupic osla. – Pieniadze beda lepsze. Osiol i tak nie poniesie nas obu. – A kim sa ci ludzie, ktorych szukacie? – Chyba czarownikami. – A chcecie spotkac tych czarownikow, poniewaz… – Poniewaz Josh chce sie dowiedziec, jak byc Mesjaszem. – Aha, rozumiem. A wierzysz, ze Joszua jest Mesjaszem? – Tak. Ale co wazniejsze, jest moim przyjacielem. Nie moge go puscic samego. – A jesli on nie jest Mesjaszem? Jesli znajdziecie tych czarownikow, a oni powiedza, ze Joszua nie jest tym, kim

mysli, ze jest, ale calkiem zwyczajnym chlopcem? – No… Wtedy naprawde bedzie mnie tam potrzebowal, prawda? Ojciec zasmial sie. – Tak, chyba tak. Wracaj zdrow, Lewi, i przyprowadz swojego przyjaciela Mesjasza. Teraz bedziemy musieli na Pasche stawiac na stole trzy puste nakrycia. Jedno dla Eliasza, jedno dla mojego zagubionego syna i jedno dla jego przyjaciela Mesjasza. – Tylko nie sadzajcie Joszuy obok Eliasza. Bo jak zaczna gadac o religii, nie bedzie chwili spokoju.

Zostalo juz tylko cztery dni do zaslubin Maggie, kiedy Joszua i ja zgodzilismy sie, ze jeden z nas musi powiedziec jej o tym, ze wyruszamy. Po prawie calym dniu klotni wyszlo na to, ze pojde ja. Widzialem, jak Joszua walczy ze swymi lekami, ktore zlamalyby innych ludzi, ale przekazanie Maggie zlych wiesci okazalo sie ponad jego sily. Wzialem wiec to zadanie na siebie i probowalem nie urazac godnosci Joszuy. – Ty mieczaku! – Jak moge jej powiedziec, ze to zbyt bolesne patrzec na jej slub z ta ropucha? – Po pierwsze, obrazasz wszystkie ropuchy, a po drugie, skad ci przyszlo do glowy, ze mnie bedzie latwiej? – Jestes twardszy niz ja. – Nie probuj tego. Nie mozesz sie tak zwinac i liczyc, ze nie zauwaze, jak mna manipulujesz. Ona bedzie plakac. Nie znosze, kiedy placze. – Wiem – przyznal Josh. – Mnie takze to boli. Za bardzo. Polozyl mi dlon na czole i nagle poczulem sie lepszy, silniejszy. – Nie probuj na mnie tej swojej abrakadabry Syna Bozego. I tak jestes mieczak. – Jesli tak ma byc, to tak bedzie. I tak zostanie zapisane.

No wiec jest, Josh. Jest zapisane. (To dziwne, ale slowo "mieczak" jest tak samo obrazliwe w starozytnym aramejskim, jak w tej dzisiejszej mowie. Jakby czekalo na mnie te dwa tysiace lat, bym mogl je teraz zapisac. Dziwne).

Maggie prala ubrania przy studni, wraz z gromada innych kobiet. Zwrocilem jej uwage, wskakujac na ramiona mojego przyjaciela Bartlomieja, ktory radosnie sie obnazal dla wizualnej rozkoszy nazarejskich zon. Dyskretnym ruchem glowy dalem Maggie sygnal, by spotkala sie ze mna za pobliska kepa palm daktylowych. – Za tamtymi drzewami?! – krzyknela. – Tak – odpowiedzialem. – Przyprowadzisz ze soba glupka? – Nie. – Dobrze.

Oddala pranie ktorejs ze swoich mlodszych siostr i pobiegla ku drzewom. Zdziwilem sie, widzac ja usmiechnieta tak blisko zaslubin. Objela mnie i poczulem, ze zar ogarnia moja twarz, z milosci albo ze wstydu, jakby to byla jakas roznica. – Jestes w dobrym nastroju – powiedzialem. – Czemu nie? Zuzywam go przed slubem. A skoro juz o tym mowa, to co wy dwaj przyniesiecie mi w prezencie? Lepiej, zeby cos dobrego, co mi wynagrodzi to, z kim biore ten slub.

Byla wesola, w jej glosie brzmiala muzyka i smiech – cala Maggie. A jednak musialem sie odwrocic. – Nie, zartowalam tylko – zapewnila. – Nic nie musicie mi przynosic. – Odchodzimy, Maggie. Nie bedzie nas tutaj. Chwycila mnie za ramie i zmusila, bym spojrzal jej w oczy. – Odchodzicie? Ty i Joszua? Odchodzicie stad? – Tak, przed twoimi zaslubinami. Ruszamy do Antiochii, a stamtad dalej na Wschod, Jedwabnym Szlakiem.

Nie odpowiedziala. Lzy wzbieraly w jej oczach i czulem, ze w moich takze. Tym razem to

ona sie odwrocila. – Powinnismy ci wczesniej powiedziec, wiem, ale naprawde zdecydowalismy sie w czasie Paschy. Joszua chce odszukac Medrcow, ktorzy przybyli na jego narodziny, a ja bede sie nim opiekowal, bo musze. Odwrocila sie do mnie. – Musisz? Musisz? Wcale nie musisz! Mozesz tu zostac i byc moim przyjacielem, przyjsc na moje wesele, zakradac sie i rozmawiac ze mna tu albo w winnicy, moglibysmy smiac sie i zartowac, i niewazne, jak strasznie jest byc zona Akana, przynajmniej tyle by mi zostalo. Przynajmniej tyle!

Poczulem, ze robi mi sie niedobrze. Chcialem ja zapewnic, ze zostane, bede czekal, ze jesli jest choc najmniejsza szansa, by jej zycie nie stalo sie pustynia w ramionach jej paskudnego meza, moge zachowac nadzieje. Chcialem zrobic wszystko, co mozliwe, by choc odrobine ulzyc jej cierpieniu, nawet gdybym musial puscic Joszue samego. Ale myslac tak, zdalem sobie sprawe, ze Joszua musial czuc to samo. Dlatego powiedzialem tylko: – Przepraszam. – A co z Joszua, nie mial zamiaru nawet sie pozegnac? – Chcial, ale nie mogl. Zaden z nas nie moze, to znaczy nie chcielismy ogladac, jak bierzesz slub z Akanem. – Tchorze. Zaslugujecie na siebie nawzajem. Mozecie chowac sie jeden za drugim jak greccy chlopcy. Idzcie sobie. Dajcie mi spokoj.

Probowalem wymyslic, co odpowiedziec, ale w umysle mialem tylko chaos i wstyd, wiec zwiesilem glowe i odszedlem. Schodzilem juz prawie z rynku, kiedy dogonila mnie Maggie. Uslyszalem jej kroki i obejrzalem sie. – Powiedz mu, zeby spotkal sie ze mna za synagoga, Biff. W noc przed moim slubem, godzine po zachodzie slonca. – Nie jestem pewien, Maggie… On… – Powiedz mu.

A potem pobiegla z powrotem do studni, nie ogladajac sie wiecej. Powiedzialem Joszui, a w noc przed zaslubinami Maggie, w noc przed naszym wyruszeniem na wedrowke, Joszua zapakowal troche chleba i sera, i buklak wina, i poprosil, zebym spotkal sie z nim przy palmach daktylowych na rynku. Razem zjedlismy kolacje. – Musisz isc – powiedzial. – Ide. Rankiem, razem z toba. Myslisz, ze teraz zrezygnuje? – Nie, dzisiaj wieczorem. Musisz isc do Maggie. Ja nie moge. – Co? Znaczy: dlaczego?

Pewnie, bylem zalamany, kiedy Maggie poprosila o spotkanie z Joszua, a nie ze mna, ale jakos sie z tym pogodzilem. No, w kazdym razie tak, jak to mozliwe ze zlamanym sercem. – Musisz zajac moje miejsce, Biff. Dzis prawie nie widac ksiezyca, a jestesmy mniej wiecej tego samego wzrostu. Po prostu nie mow za wiele, a ona pomysli, ze to ja. Moze nie tak blyskotliwy jak zwykle, ale uzna, ze niepokoje sie podroza. – Bardzo chcialbym sie spotkac z Maggie, ale ona wolala z toba, wiec czemu nie mozesz tam pojsc? – Naprawde nie wiesz? – Naprawde nie. – No to uwierz mi na slowo. Zobaczysz. Zrobisz to dla mnie, Biff? Zajmiesz moje miejsce i bedziesz mnie udawal? – To by bylo oszustwo. A ty nigdy nie oszukujesz. – Nie rob sie nagle taki prawomyslny. Zreszta to nie ja bede oszukiwal, ale ty. – Aha. W takim razie dobrze, pojde.

Ale nie mialem nawet czasu na oszukiwanie. Noc byla tak ciemna, ze musialem powoli szukac drogi przez wioske, tylko przy swietle gwiazd, a kiedy skrecilem za rog naszej malej synagogi, uderzyla we mnie fala zapachu sandalowego drzewa i cytryn, i dziewczecego potu, cieplej skory, wilgotnych warg na moich wargach, rak na mojej szyi i nog na mojej talii. Upadlem na

plecy, a w glowie zaplonelo mi jaskrawe swiatlo, a reszta swiata istniala tylko poprzez zmysly dotyku, wechu i Boga. Tam, na ziemi przy synagodze, Maggie i ja zaspokoilismy pozadanie, jakie nosilismy w sobie od lat – moje dla niej i jej dla Joszuy. To, ze zadne z nas nie wiedzialo, co robi, nie sprawialo najmniejszej roznicy. To bylo czyste, stalo sie i bylo cudowne. Kiedy skonczylismy, lezelismy tam, obejmujac sie nawzajem, na wpol rozebrani, bez tchu i zlani potem, a Maggie powiedziala: – Kocham cie, Joszua. – Kocham cie Maggie – odparlem. A ona odrobine rozluznila objecia. – Nie moglabym poslubic Akana bez… nie moglam pozwolic ci odejsc, gdybym… gdybys o tym nie wiedzial. – On wie, Maggie. Wtedy naprawde sie odsunela. – Biff? – Och.

Mogla krzyknac, mogla poderwac sie i uciec, mogla zrobic kazda z tych setek rzeczy, jakie przenioslyby mnie z nieba do piekla… Ale po zaledwie sekundzie przytulila sie znowu. – Dzieki, ze tu jestes – szepnela.

Wyruszylismy o swicie, a nasi ojcowie szli z nami az do bram Seforis. Kiedy sie rozstawalismy, moj ojciec dal mi mlotek i dluto, bym nosil je w sakwie. – Z nimi zawsze zarobisz dosyc, by zaplacic za posilek, gdziekolwiek sie znajdziesz – powiedzial. Jozef dal Joszui drewniana miske. – Mozesz jesc z niej posilek, na ktory zarobi Biff. – Usmiechnal sie do mnie.

Przy bramie Seforis pocalowalem swojego ojca po raz ostatni. Przy bramie Seforis zostawilismy naszych ojcow i ruszylismy w swiat, by odnalezc trzech Medrcow. – Wracaj, Joszua, i przynies nam wolnosc! – krzyknal za nami Jozef. – Idz z Bogiem – powiedzial moj ojciec. – Ide, ide – odrzeklem. – Jest tutaj, obok mnie.

Joszua milczal, dopoki slonce nie wzeszlo wysoko i nie przystanelismy, by napic sie wody ze studni. – I co? – zapytal. – Odgadla, ze to ty? – Tak. Nie od poczatku, ale zanim sie rozstalismy. – Byla na mnie zla? – Nie. – Byla zla na ciebie? Usmiechnalem sie. – Nie. – Ty psie! – powiedzial. – Powinienes dowiedziec sie od tego aniola, o co mu chodzilo, – Wtedy mowil, ze nie mozesz poznac kobiety, Joszua. To naprawde wazne. – Teraz juz wiesz, dlaczego nie moglem tam pojsc. – Tak. Dziekuje. – Bede za nia tesknil. – Westchnal. – Nie masz pojecia, jak bardzo. – Kazdy szczegol. Chce poznac kazdy szczegol. – Nie teraz. Nie kiedy ciagle jeszcze czuje jej zapach na rekach. Joszua kopnal w ziemie. – Jestem wsciekly na ciebie, ciesze sie wraz z toba czy jestem o ciebie zazdrosny? Wytlumacz mi! – Josh, w tej chwili, pierwszy raz odkad pamietam, jestem szczesliwszy, bedac twoim przyjacielem, niz bylbym, bedac toba. Nie odbieraj mi tego.

Teraz, kiedy mysle o tej nocy z Maggie za synagoga, gdzie zostalismy razem prawie do switu, gdzie kochalismy sie znowu i znowu, i zasypialismy nadzy na naszych ubraniach… Kiedy teraz o tym mysle, mam ochote uciec stad, z tego pokoju, od tego aniola i jego misji, znalezc jezioro, zanurkowac w nim i ukryc sie przed okiem Boga w ciemnym, czarnym mule na samym dnie.

Dziwne.

CZESC DRUGA

ZMIANA

Jezus byl porzadnym gosciem, nie potrzebowal tego calego smiecia. John Prine

Powinienem miec jakis plan, zanim podjalem probe ucieczki z pokoju hotelowego. Teraz to widze. Ale wtedy skok przez drzwi w slodkie ramiona wolnosci wydawal sie planem wystarczajacym. Dotarlem az do lobby. To bylo wspaniale lobby, godne kazdego palacu, ale jesli chodzi o wolnosc, potrzebuje jednak czegos wiecej. Zauwazylem – zanim Raziel wciagnal mnie z powrotem do windy, o malo nie zwichnawszy mi przy tym ramienia – ze w lobby jest bardzo wielu starych ludzi. Prawde mowiac, w porownaniu z moimi czasami, wszedzie jest bardzo wielu starych ludzi… no, moze nie w telewizji, ale poza tym naprawde wszedzie. Czy wyscie tutaj juz zapomnieli, jak sie umiera? Czy moze wykorzystujecie wszystkich mlodych w telewizji, tak ze poza nia nie pozostaje nic procz siwych wlosow i pomarszczonej skory? W moich czasach, jesli ktos mial czterdziestke, pora mu byla myslec, zeby sie wyniesc i zrobic miejsce mlodszym. Jesli wytrwal piecdziesiat lat, mijani zalobnicy patrzyli na niego z niechecia, jakby umyslnie chcial im zepsuc interes. Tora twierdzi, ze Mojzesz zyl sto dwadziescia lat. Domyslam sie, ze dzieci Izraela podazaly za nim wszedzie, zeby sie przekonac, gdzie wreszcie padnie. Pewnie robiono zaklady. Jesli uda mi sie uciec aniolowi, to chyba nie zarobie na zycie jako zawodowy zalobnik, skoro wy tutaj nie macie dosc przyzwoitosci, zeby umierac. Moze i lepiej, bo musialbym sie uczyc wszystkich nowych piesni pogrzebowych. Probowalem namowic aniola, zeby ogladal MTV, bym mogl opanowac slownictwo dzisiejszej muzyki. Ale nawet z moim darem jezykow mam klopoty z rozumieniem hip-hopu. Dlaczego mozna dac dupy albo dac ciala, a nosa trzeba miec? Czemu jest kseroboj, a nie ma kserogirl? Czy mlodafoka to foczka? Jak mozna miec zlew, nie majac kuchni? Czy trzeba sie wczesniej podjarac? Nie bede spiewal zadnym umarlym matkom, dopoki sie tego nie naucze.

Wyprawa. Misja. Poszukiwanie Medrcow.

Najpierw powedrowalismy na wybrzeze. Ani Joszua, ani ja nigdy wczesniej nie widzielismy morza, wiec kiedy wspielismy sie na wzgorze niedaleko miasta Ptolemais i przed nami rozciagnela sie nieskonczona akwamaryna Morza Srodziemnego, Joszua padl na kolana i podziekowal swemu ojcu. – Niemalze widac stad krawedz swiata – powiedzial. Zmruzylem oczy w oslepiajacym sloncu, naprawde wypatrujac tej krawedzi. – Wydaje sie taka jakby zakrzywiona – stwierdzilem. – Co? Joszua przebiegl wzrokiem horyzont, ale najwyrazniej nie dostrzegl krzywizny. – Krawedz swiata wydaje sie zakrzywiona. Mysle, ze jest okragly. – Co jest okragle? – Swiat. Mysle, ze swiat jest okragly. – Oczywiscie, ze jest. Jak talerz. Jesli podplyniesz do krawedzi, to spadniesz. Kazdy zeglarz to wie. – Nie okragly jak talerz, ale okragly jak kula. – Nie badz glupi. Gdyby swiat byl okragly jak kula, to bysmy sie z niego zsuneli. – Nie, gdyby byl lepki. Joszua uniosl stope i zajrzal pod spod. Popatrzyl na mnie, potem na ziemie. – Lepki?

Takze zajrzalem pod podeszwe, w nadziei ze zobacze moze podobne do stopionego sera pasemka lepkosci, wiazace mnie z gruntem. Ale kiedy ma sie Syna Bozego za najlepszego przyjaciela, czlowiek zaczyna miec dosc przegrywania kazdej dyskusji. – To, ze nic nie widac, nie znaczy jeszcze, ze swiat nie jest lepki. Joszua przewrocil oczami. – Chodzmy sie wykapac. I ruszyl w dol. – A co z Bogiem? – spytalem. – Jego tez nie widac. Zatrzymal sie w polowie

zbocza i wyciagnal rece ku lsniacemu akwamarynowemu morzu. – Nie widac? – To nedzny argument, Josh. – Pobieglem za nim, krzyczac glosno. – Jesli nie masz zamiaru sie postarac, to nie bede wiecej z toba dyskutowal. No wiec, co wtedy, gdyby lepkosc byla podobna do Boga? Sam wiesz, jak opuszcza nasz lud i rzuca nas w niewole, kiedy tylko przestajemy w Niego wierzyc. Ta lepkosc moglaby byc podobna. I mozesz lada chwila odleciec w niebo, poniewaz nie wierzysz w lepkosc. – Dobrze, ze masz cos, w co wierzysz, Biff. Ja ide do wody. Zbiegl do plazy, zrzucajac po drodze ubranie, a potem nagi zanurkowal w falach.

Pozniej, kiedy obaj wypilismy tyle slonej wody, ze robilo sie nam niedobrze, ruszylismy brzegiem w strone miasta Ptolemais. – Nie myslalem, ze bedzie takie slone – powiedzial Joszua. – Fakt – zgodzilem sie. – Na oko trudno sie domyslic. – Dalej sie gniewasz o te swoja teorie lepkosci okraglej ziemi? – Nie spodziewalem sie, ze rozumiesz – odparlem. – Skoro jestes prawiczkiem i w ogole.

Joszua zatrzymal sie i chwycil mnie za ramie, zmuszajac, bym sie odwrocil i spojrzal mu w twarz. – Te noc, ktora spedziles z Maggie, ja spedzilem, modlac sie do mojego ojca, by uwolnil mnie od mysli o was dwojgu. Nie odpowiedzial mi. Bylo tak, jakbym probowal zasnac na cierniowym lozu. Odkad wyruszylismy, zaczynam o tym zapominac, a przynajmniej pozostawiam to za soba. Ale ty bez przerwy rzucasz mi to w twarz. – Masz racje – przyznalem. – Zapominam, jak wy, prawiczki, jestescie przeczuleni.

Wtedy po raz drugi, ale nie ostatni, Ksiaze Pokoju mnie znokautowal. Koscista piesc kamieniarza wyladowala tuz nad moim prawym okiem. Trafil mocniej niz poprzednim razem. Pamietam biale mewy nade mna i malenka smuzke chmur na niebie. Pamietam piane fal chlupiacych o moja twarz, pozostawiajacych piasek w uszach. Pamietam mysl, ze powinienem wstac i trzepnac Josha po lbie. Pamietam tez, jak pomyslalem, ze jesli wstane, Josh przylozy mi jeszcze raz, wiec lezalem sobie przez chwile i tylko myslalem. – Wiec czego wlasciwie chcesz? – zapytalem w koncu ze swego piaszczystego i wilgotnego loza. Stal nade mna z zacisnietymi piesciami. – Jesli zamierzasz ciagle do tego wracac, musisz mi opowiedziec o szczegolach. – To moge zrobic. – I niczego nie opuszczac. – Niczego? – Musze to wiedziec, jesli mam zrozumiec grzech. – No dobra. Moge juz wstac? Uszy mam pelne piasku. Pomogl mi sie podniesc. I kiedy wkraczalismy do nadmorskiego miasta Ptolemais, uczylem Joszue o seksie. Idac wzdluz waskich, kamiennych uliczek miedzy wysokimi kamiennymi murami… – No wiec wiekszosc tego, co sie dowiedzielismy od rabbich, nie jest calkiem dokladna.

Obok mezczyzn siedzacych przed domami i naprawiajacych sieci… Obok dzieci sprzedajacych kubki soku z granatow, kobiet wieszajacych miedzy oknami sznury pelne ryb, zeby je wysuszyc… – Na przyklad, pamietasz ten kawalek zaraz po tym, jak zona Lota zmienila sie w slup soli, a potem jego corki sie upily i cudzolozyly z nim? – Tak, zaraz po zniszczeniu Sodomy i Gomory. – No wiec nie bylo to takie zle, jak sie wydaje. Mijalismy fenickie kobiety, ktore spiewaly, uderzajac w ryby, aby zmienic je w posilek. Mijalismy stawy do odparowywania wody, gdzie dzieci zeskrobywaly z kamieni sol i pakowaly ja do workow. – Ale cudzolostwo to grzech, a cudzolostwo z wlasnymi corkami to… sam nie wiem… podwojny grzech. – Tak, ale jesli zapomnisz o tym na moment i skupisz sie na aspekcie dwoch mlodych

dziewczat, nie jest to nawet w przyblizeniu tak straszne, jak sie wydaje na poczatku. – Och.

Mijalismy handlarzy sprzedajacych owoce, chleb i oliwe, przyprawy i kadzidlo, zachwalajacych glosno jakosc i magiczne wlasciwosci swych towarow. W owych czasach wiele bylo magii na sprzedaz. – A Piesn Salomona, ta juz jest blizsza i mozesz tak jakby zrozumiec, czemu Salomon mial tysiac zon. Prawde mowiac, poniewaz jestes Synem Bozym, i w ogole, nie sadze, zeby czekaly cie jakies problemy w zdobyciu tylu dziewczat. To znaczy: jesli juz zrozumiesz, co robisz. – A duzo dziewczat to dobrze? – Oferma z ciebie i tyle. – Myslalem, ze bedziesz bardziej konkretny. Co Maggie ma wspolnego z Lotem i Salomonem? – Nie moge ci opowiedziec o mnie i Maggie. Po prostu nie moge.

Minelismy grupke prostytutek stojacych przy drzwiach oberzy. Twarze mialy umalowane, suknie rozciete z boku, by ukazywac lsniace od olejku nogi; gdy przechodzilismy, wolaly do nas w obcych jezykach i wykonywaly tance dlonmi. – Co one mowia, u diabla? – zapytalem Joszue. Lepiej ode mnie radzil sobie z jezykami. Wydawalo mi sie, ze uzywaja greki. – Cos o tym, jak lubia zydowskich chlopcow, bo bez napletka lepiej czujemy kobiecy jezyk. Spojrzal na mnie, jakbym mogl to potwierdzic albo zaprzeczyc. – Ile mamy pieniedzy? – spytalem.

Oberza wynajmowala do spania pokoje, zagrody w stajni i miejsca pod okapem. Zajelismy dwie sasiednie zagrody, co dla nas bylo raczej luksusem, ale waznym dla edukacji Joszuy. Czy w koncu nie wyruszylismy w podroz, aby mogl sie nauczyc, jak zajac nalezne sobie miejsce Mesjasza? – Nie jestem pewien, czy powinienem patrzec – zastanowil sie Joszua. – Pamietasz, jak Dawid biegl po dachach i przypadkiem zobaczyl Batszebe w kapieli? A to uruchomilo caly lancuch grzechu. – Ale sluchanie nie powinno byc problemem. – Nie sadze, zeby to bylo to samo. – Na pewno nie chcesz sam sprobowac, Josh? Wiesz, aniol nie wypowiadal sie zbyt jasno na ten temat.

Prawde mowiac, sam bylem troche przerazony. Moje doswiadczenia z Maggie nie kwalifikowaly mnie raczej do obcowania z jawnogrzesznica. – Nie, idz ty. Opisuj tylko, co sie dzieje i co czujesz. Musze zrozumiec grzech. – No dobrze. Skoro nalegasz… – Dziekuje, ze robisz to dla mnie, Biff. – Nie tylko dla ciebie, Josh. Dla naszego ludu.

W rezultacie mielismy dwie zagrody. Josh mial siedziec w jednej, a ja – razem z wybrana przez siebie jawnogrzesznica – mialem z sasiedniej instruowac go w pieknej sztuce cudzolostwa. Wrocilismy przed wejscie, by znalezc odpowiednia asystentke. To byla osmiojawnogrzesznicowa oberza, jesli klasyfikowac oberze w taki sposob. (Rozumiem, ze teraz klasyfikuje sie je za pomoca gwiazdek, ale nie wiem, jak przeliczac jedne na drugie). W kazdym razie tego dnia na ulicy przed drzwiami stalo osiem jawnogrzesznic. Byly w roznym wieku – od ledwie o kilka lat starszych od nas po starsze od naszych matek. Prezentowaly tez pelen zakres ksztaltow i rozmiarow; laczylo je tyle, ze wszystkie byly ostro umalowane i dobrze naoliwione. – One wszystkie wygladaja na takie… brzydkie. – To jawnogrzesznice, Josh. Powinny wygladac na niegodziwe. Wybierz ktoras. – Chodz, poszukamy innych.

Stalismy o kilka domow od nich, ale wiedzialy, ze sie im przygladamy. Podszedlem blizej i

zatrzymalem sie przed wyjatkowo soka.

–Przepraszam – powiedzialem. – Czy wiesz, gdzie moglibysmy znalezc inny zestaw jawnogrzesznic? Nie chce cie urazic, poprostu moj przyjaciel i ja…

A ona rozsunela bluzke, odslaniajac pelne piersi, blyszczace olejkiem i kawaleczkami miki; odrzucila na bok spodnice, podeszla i stanela tak, ze jej udo wsunelo sie za moje posladki. Poczulem, jak szorstkie wlosy miedzy jej nogami drapia o moje udo, a jej urozowane sutki musnely moj policzek i w tym samym momencie sztywny pal zaczal sterczec z mojej osoby. – Ta bedzie dobra, Josh. Kiedy odprowadzalismy nasza jawnogrzesznice, rozleglo sie wzniesione falujace zawodzenie pozostalych. (Znacie takie zawodzenie – to dzwiek syreny karetki. Dostaje erekcji, ile razy jakas przejezdza pod oknami, co wydawaloby sie chorobliwe, gdybyscie nie znali opowiesci "Jak Biff jawnogrzesznice wynajmowal"). Jawnogrzesznica miala na imie Set. Byla o poltorej glowy wyzsza ode mnie, o skorze koloru dojrzalych daktyli, oczach wielkich i brazowych ze zlotymi plamkami i o wlosach tak czarnych, ze w slabym swietle w stajni mienily sie blekitem. Miala idealna budowe jawnogrzesznicy – szeroka, gdzie jawnogrzesznica powinna byc szeroka, waska, gdzie jawnogrzesznica powinna byc waska, z delikatnymi kostkami i szyja, twardym sumieniem, smiala i skupiona na celu, kiedy juz dostala pieniadze. Byla Egipcjanka, ale nauczyla sie greki i troche laciny, by plynnie prowadzic rozmowy o swoim fachu. Nasza sytuacja wymagala wiekszej kreatywnosci, niz Set byla przyzwyczajona, ale westchnela tylko ciezko i mruknela cos, ze "jak pieprzysz Zyda, zrob w lozku miejsce dla poczucia winy", po czym wciagnela mnie do mojej zagrody i zamknela bramke. (Tak, to byly zagrody dla zwierzat. W tej naprzeciwko Josha stal osiol). – No wiec co ona robi? – spytal Josh. – Zdejmuje ze mnie ubranie. – A teraz? – Zdejmuje ubranie z siebie. O rany. Auc. – Co jest? Cudzolozycie? – Nie. Pociera calym swoim cialem o moje, tak dosc lekko. Kiedy probuje sie ruszyc, daje mi w twarz. – Jakie to uczucie? – A jak myslisz? Takie, jakby ktos dal ci w twarz, glupku. – Chodzi mi o to, jak odczuwasz jej cialo. Czy czujesz grzesznosc? Czy masz wrazenie, jakby ocieral sie o ciebie Szatan? Czy pali jak ogien? – Tak, trafiles. Prawie tak wlasnie. – Klamiesz. – Ozez…

Wtedy Josh powiedzial cos po grecku, czego nie zrozumialem, a jawnogrzesznica odpowiedziala – mniej wiecej. – Co powiedziala? – spytal Josh. – Nie mam pojecia. Wiesz, ze marnie znam grecki. – Ja znam dobrze, ale nie zrozumialem, co mowi. – Ma pelne usta. Set uniosla glowe. – Nie pelne – oswiadczyla po grecku. – Hej, zrozumialem to! – Ma cie w ustach? – Tak. – To ohydne. – Wcale nie wydaje sie ohydne. – Nie? – Nie, Josh. Musze powiedziec, ze to naprawde… o moj Boze! – Co? Co sie dzieje? – Ona sie ubiera. Jawnogrzesznica powiedziala po grecku cos, czego nie zrozumialem. – Co mowila? – spytalem. – Ze za te pieniadze, ktore jej dalismy, juz z toba skonczyla. – I jak myslisz? Rozumiesz juz, o co chodzi w cudzolostwie? – Niespecjalnie. – W takim razie daj jej jeszcze troche pieniedzy, Joszua. Zostaniemy tu, dopoki nie poznasz tego, co poznac powinienes. – Dobry z ciebie przyjaciel, ze godzisz sie to dla mnie znosic. – Nie ma o czym mowic. – Nie, naprawde – zapewnil Joszua. – Nikt nie ma wiekszej milosci od tej, gdy oddaje cos za przyjaciol swoich. – To bylo niezle, Josh. Powinienes zapamietac to na pozniej. Tym razem jawnogrzesznica mowila dluzej. – Chcesz wiedziec, jakie to dla mnie uczucie, maly? To praca. Co oznacza, ze jesli mam ja wykonac,

musisz zaplacic. (Josh mi to pozniej przetlumaczyl). – Co powiedziala? – spytalem. – Zada zaplaty za grzech. – To znaczy? – W tym przypadku, trzy szekle. – To prawdziwa okazja. Zaplac jej.

Chocbym nie wiem jak probowal – a naprawde probowalem – jakos nie potrafilem przekazac Joszui tego, co chcial wiedziec. W ciagu nastepnego tygodnia zaliczylem jeszcze pol tuzina jawnogrzesznic i odliczylem im polowe naszych pieniedzy, a on dalej nie rozumial. Zasugerowalem, ze moze to jedna z tych rzeczy, ktorych powinien sie dowiedziec od czarownika Baltazara. Szczerze mowiac, pojawilo sie u mnie uczucie pieczenia przy siusianiu i bylem gotow na przerwe w nauczaniu przyjaciela pieknej sztuki grzechu. – Tydzien, moze mniej, morzem do Selucii, a potem niecaly dzien marszu w glab ladu, do Antiochii – stwierdzil Joszua, kiedy porozmawial z kilkoma pijacymi w oberzy zeglarzami. – Ladem dwa do trzech tygodni. – Wiec morzem – powiedzialem.

Bardzo dzielnie, uznalem z duma, biorac pod uwage, ze nigdy w zyciu nie postawilem stopy na lodzi. Znalezlismy rzymski statek handlowy o szerokim pokladzie i wysokiej rufie. Plynal do Tarsu, ale mial sie zatrzymywac we wszystkich portach po drodze, w tym Selucii. Kapitanem byl zylasty Fenicjanin o waskiej twarzy, imieniem Tytus Inventius. Twierdzil, ze wyruszyl na morze, kiedy mial cztery lata, a dwukrotnie doplynal do krawedzi swiata, zanim jeszcze jaja mu opadly, choc nigdy nie zdolalem odgadnac, co jedno ma z drugim wspolnego. – Co umiecie? Jakie znacie rzemioslo? – zapytal spod wielkiego slomkowego kapelusza Tytus.

Pilnowal niewolnikow ladujacych na statek amfory z winem i oliwa. Oczy mial jak dwa czarne paciorki osadzone w jaskiniach zmarszczek, uformowanych przez cale zycie mruzenia oczu w sloncu. – Ja jestem kamieniarzem – odparlem. – A ten to Syn Bozy. Usmiechnalem sie szeroko. Uznalem, ze taka wersja zasugeruje wieksza roznorodnosc niz zwyklych dwoch kamieniarzy. Tytus zsunal slomkowy kapelusz na tyl glowy i przyjrzal sie Joshowi. – Syn Bozy, tak? A jak sie to oplaca? Joszua rzucil mi gniewne spojrzenie. – Znam sie na pracy w kamieniu i ciesielstwie, a obaj mamy mocne grzbiety. – Praca w kamieniu rzadko bywa przydatna na statku. Byliscie juz kiedys na morzu? – Tak – zapewnilem. – Nie – powiedzial Joszua. – On wtedy chorowal – wyjasnilem. – Ale ja plywalem po morzu. Tytus parsknal smiechem. – No dobrze. Pomozcie zaladowac te amfory. Zabieram do Sydonu transport swin. Postarajcie sie zachowac je przy zyciu, a moze wtedy bedziecie dla mnie cos warci. Ale zaplacic i tak musicie. – Ile? – spytal Joszua. – A ile macie? – Piec szekli – powiedzialem. – Dwadziescia szekli – oznajmil Joszua. Szturchnalem Mesjasza pod zebro tak mocno, ze az sie zgial. – Dziesiec szekli – poprawilem sie. – Piec na kazdego. To mialem na mysli, kiedy powiedzialem: piec. Czulem sie tak, jakbym sie targowal sam ze soba i jakby mi to calkiem nie wychodzilo. – Niech wiec bedzie dziesiec szekli plus wszelka robota, jaka dla was znajde. Ale jesli ktorys zarzyga mi poklad, wypada za burte, niezaleznie od tego, ile zaplacil. Jasne? – Absolutnie – potwierdzilem i pociagnalem Josha na nabrzeze, gdzie niewolnicy nosili amfory. Kiedy odeszlismy juz poza zasieg sluchu kapitana Tytusa, odezwal sie Joszua: – Musisz mu powiedziec, ze jestesmy Zydami. Nie mozemy zajmowac sie swiniami. Chwycilem za uszy jedna z amfor i raznie pociagnalem do statku. – Nic nie szkodzi, to sa rzymskie swinie. Im to nie przeszkadza. – Aha. No dobrze. – Joszua chwycil pelna amfore i zarzucil ja sobie na plecy.

Wtedy dopiero zrozumial i postawil z powrotem. – Czekaj, zaraz, to przeciez nie ma sensu.

Nastepnego ranka wyruszylismy razem z odplywem: Joszua, ja, zaloga w liczbie trzydziestu ludzi, Tytus i piecdziesiat rzekomo rzymskich swin. Dopiero kiedy odbilismy od nabrzeza – Josh i ja przy jednym z dlugich wiosel – i wyplynelismy z portu, kiedy wciagnelismy wiosla, a wielki prostokatny zagiel wydal sie nad pokladem jak brzuch lakomego dzinna, kiedy Joszua i ja wspielismy sie na rufe, gdzie stal Tytus, trzymajac jedno z dwoch dlugich wiosel sterowych, a ja spojrzalem w strone ladu i zobaczylem nie miasto, ale mala plamke na horyzoncie – otoz dopiero wtedy odkrylem, ze tkwi we mnie gleboki lek przed zegluga. – Jestesmy o wiele za daleko od ladu – powiedzialem. – O wiele za daleko. Naprawde, Tytusie, powinienes sterowac blizej brzegu.

Wskazalem reka lad, na wypadek gdyby Tytus nie byl pewien, w ktora strone sie zwrocic. To ma sens, nie uwazacie? To znaczy, dorastalem w pustynnej okolicy, w glebi ladu, gdzie rzeki niewiele sie roznia od wilgotnych rowow. Moj lud przybyl z pustyni. Ten jedyny raz, kiedy naprawde musielismy pokonac morze, przeszlismy pieszo. Zeglowanie wydawalo sie, no… nienaturalne. – Gdyby Pan chcial, zebysmy zeglowali, to rodzilibysmy sie z masztami. – To najglupsza rzecz, jaka w zyciu powiedziales – uznal Joszua. – Umiesz plywac? – zapytal Tytus. – Nie – odparlem. – Tak, umie – odparl Joszua. Tytus zlapal mnie za kark i wyrzucil za rufe statku.

Aniol i ja ogladalismy w telewizji film o Mojzeszu. Raziel sie zloscil, bo nie wystepowaly w nim anioly. W dodatku nikt w calym filmie nie byl podobny do zadnego Egipcjanina, jakiego w zyciu spotkalem. – Czy Mojzesz tak wygladal? – spytalem aniola, ktory w przerwach w pluciu jadem na ekran, zjadal gorna warstwe pizzy z kozim serem. – Nie – odpowiedzial. – Ale ten drugi jest podobny do faraona. – Naprawde? – Aha.

Raziel wyssal z glosnym bulgotem przez slomke resztke coca-coli i przez caly pokoj rzucil papierowy kubek prosto do kosza. – Czyli byles tam w czasie Wyjscia? – Troche wczesniej. Organizowalem szarancze. – I jak bylo? – Nie podobalo mi sie. Chcialem dostac plage zab. Lubie zaby. – Ja tez lubie zaby. – No to nie bylbys zachwycony plaga. Szczepan nia kierowal. Serafin. – Potrzasnal glowa, jakby sadzil, ze znam jakies smutne fakty na temat serafina. – Stracilismy wiele zab. Westchnal. – Ale to chyba lepiej. Nie mozna powierzac plagi zab komus, kto lubi zaby. Gdybym ja sie tym zajal, byloby to raczej cos w rodzaju przyjacielskiego zjazdu zab. – To nie byloby skuteczne. – I tak nie bylo, prawda? Rozumiesz, te plage wymyslil Mojzesz, Zyd. Dla Zydow zaby sa nieczyste. I dla Zydow to byla plaga. Dla Egipcjan to raczej spadajaca z nieba wielka uczta z zabich udek. Mojzesz zupelnie tego nie zalapal. Dobrze, ze nie posluchalismy go w kwestii plagi wieprzowiny. – Naprawde chcial sprowadzic plage wieprzowiny? Swinie spadajace z nieba? – W kawalkach. Zeberka, szynki, golonka. Chcial, zeby wszystko bylo we krwi. No wiesz, nieczysta wieprzowina i nieczysta krew. Ale Egipcjanie zjedliby mieso. Przekonalismy go, zeby ograniczyc sie do krwi. – Chcesz powiedziec, ze Mojzesz byl tepakiem?

To nie byla ironia, choc zdawalem sobie sprawe, ze pytam wiecznego tepaka nad tepakami.

Mimo to… – Nie, po prostu nie przejmowal sie efektami – wyjasnil aniol. – Pan sprawil, ze serce faraona bylo uparte, i nie chcial wypuscic Zydow. Chocbysmy zrzucali z nieba cale krowy, on i tak by nie zmienil zdania. – Bylby niezly widok – przyznalem. – To ja zaproponowalem ognisty deszcz – pochwalil sie aniol. – I jak sie udal? – Byl bardzo ladny. Skierowalismy go tylko na kamienne palace i pomniki. Spalenie wszystkich Zydow uniemozliwiloby osiagniecie celu. – Slusznie. – Wiesz, dobrze sobie radze z pogoda. – Tak, wiem.

A potem przypomnialem sobie, jak Raziel niemal zameczyl naszego biednego kelnera Jesusa, kazac mu dostarczac kolejne porcje zeberek, kiedy byly daniem dnia.

–Z poczatku wcale nie proponowales ognia, prawda? Proponowales, zeby spadl deszcz grillowanej wieprzowiny? – Ten gosc w ogole nie jest podobny do Mojzesza – stwierdzil Raziel.

Tamtego dnia, kiedy taplalem sie w wodzie i probowalem dogonic kupiecki statek, sunacy pod wydetym zaglem po falach, po raz pierwszy zobaczylem, ze Raziel – tak jak mowi – dobrze sobie radzi z pogoda. Joszua stal wychylony przez reling i krzyczal na przemian do mnie i do Tytusa. Bylo jasne, ze nawet przy tym lekkim wietrze nigdy nie doscigne statku, a kiedy patrzylem w strone brzegu, widzialem tylko wode. Dziwne, jakie mysli przychodza do glowy w takich chwilach. Pierwsze, co pomyslalem, to: "Alez to idiotyczna smierc". A potem: "Joszua nigdy nie da sobie beze mnie rady". I wtedy zaczalem sie modlic – nie o wlasne ocalenie, ale o Joszue. Modlilem sie do Pana, by czuwal nad jego bezpieczenstwem, a potem o bezpieczenstwo i szczescie Maggie. Pozniej, kiedy jakos zrzucilem z siebie koszule i zaczalem powoli czolgac sie w strone brzegu – choc wiedzialem, ze nigdy go nie zobacze – wiatr ustal. Po prostu ustal. Morze sie wygladzilo, a jedynymi odglosami, jakie slyszalem, byly przerazone wrzaski zalogi statku, ktory znieruchomial, jakby rzucil kotwice. – Biff, w te strone! – krzyknal Joszua.

Obejrzalem sie w wodzie i zobaczylem, jak przyjaciel macha do mnie z rufy nieruchomego statku. Obok niego jak przerazone dziecko kulil sie Tytus. Na maszcie ponad nim siedziala skrzydlata postac. Kiedy doplynalem i wystraszeni marynarze wciagneli mnie na poklad, rozpoznalem w niej aniola Raziela. W przeciwienstwie do poprzednich wizyt, tym razem nosil szaty czarne jak smola, a piora jego skrzydel lsnily blekitnoczarna barwa morza w swietle ksiezyca. Gdy stanalem obok Joszui na uniesionym pokladzie rufowym, aniol sfrunal i wyladowal delikatnie tuz przy nas. Tytus oslanial glowe rekami, jakby sie bronil przed napastnikiem; wygladal, jak gdyby chcial sie wtopic miedzy deski. – Ty – zwrocil sie aniol do Fenicjanina i Tytus wyjrzal miedzy rekami. – Tych dwoch ma nie spotkac zadna krzywda.

Tytus kiwnal glowa, sprobowal cos odpowiedziec i zrezygnowal, gdyz glos mu sie lamal. Ja sam bylem troche wystraszony. Caly w czerni, aniol wygladal przerazajaco, chociaz stal po naszej stronie. Natomiast Joszua wydawal sie calkiem swobodny. – Dziekuje ci – powiedzial do aniola. – To grzeszny pies, ale jest moim najlepszym przyjacielem. – Dobrze sobie radze z pogoda – odparl aniol.

I jakby to wszystko tlumaczylo, machnal wielkimi skrzydlami i uniosl sie w powietrze. Martwa cisza trwala, dopoki nie zniknal nad horyzontem, potem wiatr znow wypelnil zagiel i

woda zapluskala przed dziobem. Tytus zaryzykowal rzut oka w swej skulonej pozycji, wyprostowal sie wolno i chwycil pod pache jedno z wiosel sterowych. – Potrzebna mi nowa koszula – zauwazylem. – Wez jedna z moich – zaproponowal Tytus. – Powinnismy zeglowac troche blizej brzegu, nie sadzisz? – Juz sie robi, dobry panie. Juz sie robi. – Czyli dobrze sie rozumiemy? – Absolutnie – zapewnil Tytus. – A niech to… – mruknal Joszua. – Znow zapomnialem spytac aniola o to poznawanie kobiet.

Przez reszte podrozy Tytus byl o wiele bardziej ustepliwy; co dziwne, nie musielismy tez pracowac przy ciezkich wioslach, kiedy wchodzilismy do portu, ani pomagac w rozladunku ani zaladunku. Zaloga starala sie calkiem nas unikac i bez zadnej zachety zajmowala sie za nas swiniami. Moj lek przed zegluga zniknal po jednym dniu. I kiedy stala bryza pchala nas na polnoc, razem z Joszua obserwowalismy delfiny, ktore przybywaly, by sie bawic w odkosach dziobowych statku. Czasem lezelismy noca na pokladzie, wdychajac zapach cedtu z belek kadluba, sluchajac trzeszczenia lin i zagli, i probujac sobie wyobrazic, co sie stanie, kiedy odnajdziemy Baltazara. Gdyby nie bezustanne wypytywanie Joszuy o seks, bylaby to calkiem przyjemna podroz. – Cudzolostwo nie jest jedynym grzechem, Josh – probowalem tlumaczyc. – Chetnie ci pomagam, ale czy kazesz mi krasc, zebym mogl ci o tym opowiedziec? Kazesz mi kogos zabic, zebys mogl to zrozumiec? – Nie. Roznica polega na tym, ze nie chce nikogo zabijac. – No dobrze, sprobuje jeszcze raz. Ty masz swoje ledzwie, a ona ma swoje. I chociaz jedne i drugie nazywasz ledzwiami, sa calkiem inne… – Rozumiem mechanike tego wszystkiego. Czego nie rozumiem, to uczucia, jakie sie wtedy pojawia. – No wiec to jest przyjemne uczucie. Juz mowilem. – Ale to nie wydaje sie sluszne. Dlaczego Pan sprawia, ze grzech jest przyjemny, a potem karze za niego? – Sluchaj, a czemu sam nie sprobujesz? – spytalem. – Tak bedzie taniej. Albo jeszcze lepiej: ozen sie. Wtedy to nawet nie bedzie grzechem. – Wtedy to nie bedzie to samo, musisz przyznac – odparl Josh. – Skad moge wiedziec? Nigdy nie bylem zonaty. – Czy dla ciebie to zawsze takie samo uczucie? – No, w pewnym sensie tak. – W jakim sensie? – No, jak dotad, grzech wydaje sie wilgotny. – Wilgotny? – Tak. Ale trudno powiedziec, czy tak jest zawsze. To tylko moje osobiste doswiadczenia. Moze powinnismy zapytac jawnogrzesznice? – Mam lepszy pomysl. – Joszua rozejrzal sie dookola. – Spytam Tytusa. Jest starszy, a wyglada, jakby wiele nagrzeszyl. – Owszem. Jesli doliczysz wrzucanie Zydow do oceanu, uznalbym go nawet za eksperta. Ale to nie znaczy…

Joszua pobiegl juz jednak na tyl, wspial sie po schodkach na poklad rufowy i podszedl do malego namiotu z otwartymi sciankami, sluzacego kapitanowi za kwatere. Pod tym namiotem wypoczywal Tytus; lezal na stosie dywanow i popijal z buklaka. Zobaczylem, jak podaje go Joszui. Kiedy tam dotarlem, Tytus wlasnie mowil. – Wiec chcesz sie dowiedziec czegos o pieprzeniu? No to, synu, trafiles we wlasciwe miejsce. Przerznalem tysiac kobiet i z pieciuset chlopcow, troche owiec i swin, pare kur i jakiegos przypadkowego zolwia. Czego chcialbys sie dowiedziec? – Nie zblizaj sie do niego, Josh! – zawolalem. Odebralem Joszui buklak i oddalem go Tytusowi. Odepchnalem przyjaciela do tylu. – Gniew bozy moze go trafic lada moment. Rany, z zolwiem to przeciez musi byc obrzydliwosc.

Tytus drgnal, kiedy wspomnialem o gniewie bozym – jakby w kazdej sekundzie aniol mogl powrocic i znowu przysiasc na jego maszcie. Joszua nie ustapil. – Jesli nie masz nic przeciwko

temu, moze w tej chwili trzymajmy sie tej czesci z kobietami.

Poklepal Tytusa po ramieniu, by go uspokoic. Wiedzialem, jak to dziala – Tytus poczuje, ze strach splywa z niego niczym woda. – Pieprzylem wszystkie rasy kobiet, jakie tylko istnieja. Pieprzylem Egipcjanki, Greczynki, Rzymianki, Zydowki, Etiopki i kobiety z miejsc, ktore jeszcze nie zostaly nazwane. Pieprzylem tluste i chude, kobiety bez nog, kobiety bez… – Jestes zonaty? – przerwal mu Joszua, nim zeglarz zaczal wyliczac, jak to pieprzyl je na dragu, w przeciagu, w domu i po kryjomu… – Mam zone w Rzymie. – Czy z wlasna zona jest tak samo jak, powiedzmy, z jawnogrzesznica? – Co, pieprzenie? Nie, to cos zupelnie innego. – Jest wilgotne – wtracilem. – Zgadza sie? – No, owszem, jest wilgotne. Ale nie… Zlapalem Joszue za tunike i zaczalem go odciagac. – Teraz juz wiesz. Slyszales, Josh. Daj sobie spokoj. Dowiedziales sie, ze grzech jest wilgotny. Zapamietaj to sobie. A teraz zjedzmy jakas kolacje. Tytus smial sie z nas. – Wy, Zydzi, i ten wasz grzech… Gdybyscie tak mieli wiecej bogow, to byscie sie tak nie martwili, ze jednego rozgniewacie. – Jasne – odpowiedzialem. – Akurat bede przyjmowal duchowe porady od faceta, ktory pieprzy zolwie. – Nie powinienes zbyt latwo osadzac innych, Biff – upomnial mnie Joszua. – Sam tez nie jestes bez grzechu. – Ha, znowu to twoje "jestem swiatobliwszy niz ty"! Od dzisiaj sam mozesz sobie grzeszyc. Myslisz, ze mi sie podoba to sypianie z jawnogrzesznicami noc po nocy i opowiadanie ci o wszystkim raz za razem? – No, owszem, tak mysle. – Nie o to chodzi. Chodzi o to, ze… chodzi o to… No, o wine. Znaczy… zolwie… Znaczy…

No dobra, stracilem glowe. Mozecie mnie oskarzyc. Ale nigdy juz nie popatrze na zolwia, nie wyobrazajac sobie, ze jest molestowany przez parszywego fenickiego zeglarza. To was nie niepokoi? Wiec wyobrazcie to sobie, najlepiej juz. Ja zaczekam. Widzicie? – On oszalal – stwierdzil Tytus. – Zamknij sie, podla zmijo – rzucil mu Joszua. – A co sie z stalo z sugestia, zeby nie osadzac? – spytal Tytus. – To bylo do niego. Ze mna jest inaczej.

I nagle, kiedy to powiedzial, Joszua posmutnial tak, ze bardziej chyba nie pamietam. Powlokl sie ku zagrodzie dla swin, usiadl obok i oparl glowe na rekach, jak gdyby zostal wlasnie ukoronowany wszystkimi troskami swiata. Trzymal sie z dala od ludzi, dopoki nie zeszlismy ze statku.

Jedwabny Szlak, glowna arteria wymiany handlowej, obyczajowej i kulturalnej rzymskiego swiata i Dalekiego Wschodu, konczyl sie w miejscu, gdzie trafial na morze – w Selucia Pieria, miescie portowym i twierdzy morskiej, ktore karmilo i strzeglo Antiochii od czasow Aleksandra. Kiedy wraz z reszta zalogi schodzilismy z pokladu, kapitan Tytus zatrzymal nas przy trapie. Wyciagnal przed siebie rece. Joszua i ja wyciagnelismy swoje, a Tytus upuscil w nie monety, ktorymi zaplacilismy za podroz. – Moglem trzymac pare skorpionow, a jednak siegneliscie bez wahania. – To byla uczciwa cena – zapewnil Joszua. – Nie musisz zwracac nam pieniedzy. – O malo co nie utopilem twojego przyjaciela. Przepraszam. – Spytales, czy umie plywac, zanim wyrzuciles go za burte. Mial szanse. Spojrzalem Joszui w oczy, by sprawdzic, czy zartuje – ale bylo jasne, ze wcale nie. – Mimo wszystko – mruknal Tytus. – Moze wiec i ty pewnego dnia dostaniesz swoja szanse – rzekl Joszua. – Bardzo mala pieprzona szanse – dodalem. Tytus wyszczerzyl zeby. – Idzcie brzegiem zatoki, az stanie sie ona rzeka. To

Orontes. Ruszycie jego lewym brzegiem, a dotrzecie do Antiochii przed noca. Na rynku znajdziecie stara kobiete, ktora sprzedaje ziola i czary. Nie pamietam jej imienia, ale ma tylko jedno oko i nosi tunike w kolorze tyrenskiej purpury. Jesli mag jest w Antiochii, ona bedzie wiedziala, gdzie go szukac. – Skad znasz te stara kobiete? – zdziwilem sie. – Kupuje od niej proszek z tygrysiego penisa. Joszua spojrzal na mnie pytajaco. – No co? – spytalem. – Mialem pare jawnogrzesznic, ale nie wymienialem z nimi przepisow. – Zerknalem na Tytusa. – A powinienem? – To na kolana – wyjasnil kapitan. – Bola, kiedy pada deszcz. Joszua ujal mnie za ramie i poprowadzil trapem na lad. – Ruszaj z Bogiem, Tytusie. – Powiedzcie o mnie dobre slowo czarnoskrzydlemu – poprosil Tytus. Po chwili zanurzylismy sie w tlumie kupcow i zeglarzy wokol portu. – Oddal nam pieniadze, bo aniol go wystraszyl – powiedzialem. – Wiesz o tym? – Zatem jego dobroc ukoila lek, a przy tym okazala sie dla nas korzystna. Tym lepiej. Myslisz, ze kaplani maja lepsze powody, by w czasie Paschy zarzynac owce na oltarzach? – Niech ci bedzie. – Nie mialem pojecia, co ma wspolnego jedno z drugim. (Ciagle sie zastanawialem, czy tygrysy nie maja nic przeciwko proszkowaniu ich penisow. Dzieki temu sie nie przegrzewaja, uznalem. Ale robota jest pewnie bardzo niebezpieczna). – Poszukajmy tej staruchy – zdecydowalem.

Brzeg rzeki Orontes okazal sie strumieniem zycia, barw, faktur i zapachow, od zatoki az po rynek w Antiochii. Byli tu ludzie wszelkich rozmiarow i kolorow, jakie moglem sobie wyobrazic, niektorzy w lachmanach, inni odziani w kosztowne jedwabie i purpurowa materie z Tyru, podobno barwiona krwia jadowitego slimaka. Poruszaly sie tedy wozy zaprzezone w woly, reczne wozki i lektyki, niesione czasem az przez osmiu niewolnikow. Tlumu pilnowali rzymscy zolnierze konni i piesi, a zeglarze tuzina narodowosci szaleli upojeni alkoholem, gwarem i poczuciem stalego ladu pod nogami. Kupcy, zebracy i jawnogrzesznice czekali na szczesliwy traf, a samozwanczy prorocy wykrzykiwali dogmaty z pali cumowniczych w miejscach, gdzie statki czekaly przy brzegu rzeki – swiatobliwi mezowie stojacy rzedem i wznoszacy modly niby szereg halasliwych greckich kolumn. Dym – blekitny i aromatyczny – unosil sie nad sunacym tlumem, niosac zapachy przypraw i tluszczu z palenisk na straganach z jedzeniem, gdzie mezczyzni i kobiety zachwalali swoj towar rytmicznymi, powtarzanymi nawolywaniami, w uszach przechodnia zlewajacymi sie razem, jak gdyby jeden przekazywal swoja piesn nastepnemu, by nie dalo sie doswiadczyc chocby sekundy ciszy.

Jedynym choc troche podobnym zjawiskiem, jakie dotad widzialem, byla kolumna pielgrzymow zmierzajaca do Jeruzalem w czasie swiat – nigdy jednak nie ogladalismy tylu kolorow, nie slyszelismy takiego gwaru, nie czulismy takiego podniecenia.

Zatrzymalismy sie przy straganie i kupilismy goracy, czarny napoj od mezczyzny noszacego na glowie spreparowanego ptaka. Pokazal nam, jak wytwarza ten napoj z pestek owocow, ktore najpierw wyprazal, potem mell na proszek i zalewal go wrzaca woda. Cala te historie przekazal pantomima, jako ze nie mowil w zadnym znanym nam jezyku. Zmieszal ow napoj z miodem i podal nam, ale kiedy go skosztowalem, jakos nie smakowal wlasciwie. Wydawal sie… sam nie wiem… zbyt ciemny. Zauwazylem niedaleko kobiete prowadzaca koze, wiec zabralem kubek Joszui i pobieglem za nia. Z jej pozwoleniem, trysnalem mlekiem z wymienia prosto do obu kubkow. Starzec protestowal, jakbym popelnil swietokradztwo, ale cieple i pieniste mleko

zlagodzilo gorycz czarnego napoju. Joszua wychylil swoj kubek i poprosil starca o jeszcze dwa; wreczyl tez kobiecie miedziaka za pomoc. Drugi kubek podal starcowi do skosztowania, a ten, choc krzywil sie mocno, w koncu wypil lyk. Na jego bezzebnych ustach pojawil sie usmiech, a kiedy odchodzilismy, dogadywal sie juz z wlascicielka kozy. Patrzylem, jak miele ziarna w miedzianym walcu, a kobieta doi koze do glebokiej glinianej misy. Obok na straganie sprzedawano przyprawy – czulem cynamon, gozdziki i curry, lezace w koszach na ziemi. – Wiesz – odezwalem sie do kobiety po lacinie – kiedy juz wszystko sobie ustalicie, sprobujcie posypac napoj odrobina cynamonowego proszku. Wtedy powinien byc idealny. – Zgubisz swojego przyjaciela – odparla.

Joszua zderzal sie z ludzmi w tlumie, chyba celowo, i mruczal dostatecznie glosno, bym go slyszal za kazdym razem, kiedy trafil kogos lokciem czy ramieniem. – Uzdrowilem go. Uzdrowilem ja. Ulzylem jej cierpieniu. Uzdrowilem go. Pocieszylem go. Ooo, ten zwyczajnie smierdzial. Uzdrowilem ja. Oj, chybilem. Uzdrowiony. Uzdrowiony. Pocieszona. Ukojony.

Ludzie odwracali sie za nim – jak czlowiek oglada sie za obcym, ktory nadepnal mu na noge, tyle ze usmiechali sie albo byli zdumieni, a nie poirytowani, jak moglbym sie spodziewac. – Co robisz? – spytalem. – Cwicze. Oj, paskudna grzybica. – Odwrocil sie na piecie tak szybko, ze niemal wyrwal stope z sandala, i trzepnal malego lysego czlowieczka w potylice. – Teraz juz lepiej.

Lysy czlowieczek odwrocil sie, by sprawdzic, kto go uderzyl. Joszua wycofywal sie powoli. – Jak twoje palce? – spytal po lacinie. – Dobrze. – Lysy czlowieczek usmiechnal sie, troche oglupialy i rozmarzony, jakby palce stop wlasnie przeslaly mu wiadomosc, ze ze swiatem wszystko jest w najlepszym porzadku. – Idz z Bogiem i… – Joszua odwrocil sie, podskoczyl i wyladowal, oburacz klepiac jakiegos przechodnia po ramionach. – Tak! Podwojne uzdrowienie! Idz z Bogiem, przyjacielu, dwa razy.

Sytuacja stawala sie klopotliwa. Ludzie szli za nami przez tlum – niezbyt wielu, ale moze piatka czy szostka, a kazdy z rozmarzonym usmiechem na twarzy. – Joszua, moze powinienes, no, troche sie uspokoic? * Czy uwierzysz, ze wszyscy ci ludzie potrzebuja uzdrowienia? Uzdrowilem go. – Josh pochylil sie i szepnal mi do ucha: – Ten typ mial syfilis. Po raz pierwszy od lat bedzie dzis siusial bez bolu. Przepraszam cie… – Znowu odwrocil sie do tlumu. – Uzdrowiony, uzdrowiona, ukojony, pocieszony… – Jestesmy tu obcy, Josh. Zwracasz uwage. To moze nie byc bezpieczne – Nie to, ze sa slepi albo stracili konczyny. Bede musial przestac, kiedy trafimy na cos powazniejszego. Uzdrowiony! Niech cie Bog prowadzi. Och, nie mowisz po lacinie? Hm… Grecki? Hebrajski? Nie? – Sam to odkryje, Josh – powiedzialem. – Powinnismy znalezc te stara kobiete. – No dobra… Uzdrowiona! – Josh mocno uderzyl w twarz piekna kobiete.

Jej maz, potezny mezczyzna w skorzanej tunice, nie wygladal na zachwyconego. Wyjal zza pasa sztylet i ruszyl w strone Joszuy. – Przepraszam pana. – Joszua nie cofnal sie przed nim. – Nie bylo innej rady. Pomniejszy demon, musialem go z niej wypedzic. Przenioslem go do tego psa, o tam. Idzcie z Bogiem. Dziekuje, bardzo dziekuje.

Kobieta chwycila meza za reke i odwrocila go do siebie. Na policzku wciaz miala slady palcow Josha, ale sie usmiechala. – Wrocilam.

Szarpnela meza, a z niego nagle splynal gniew. Popatrzyl na Joszue z wyrazem takiego leku, ze sie wystraszylem, ze zemdleje. Upuscil sztylet i objal zone. Joszua podbiegl i objal oboje. – Czy mozesz przestac? – prosilem. – Ale ja kocham tych ludzi. – Kochasz, tak? – Tak. – Przeciez on chcial cie zabic. – Zdarza sie. Nie zrozumial. Teraz juz wie. – Milo, ze sie zorientowal. Chodzmy poszukac tej starej kobiety. – Dobrze. A potem wrocimy i wypijemy jeszcze po kubku tego goracego napoju – rzekl Joszua.

Odnalezlismy wiedzme, kiedy sprzedawala wiadro malpich stop tlustemu kupcowi ubranemu w pasiasty jedwab. Na glowie mial szeroki, stozkowy kapelusz, upleciony z twardej trzciny. – Ale to wszystko tylne stopy – protestowal. – Taka sama magia, a lepsza cena – zapewnila wiedzma. Zsunela szal, ktorym zaslaniala czesc twarzy, i ukazala mlecznobiale oko. Najwyrazniej byl to jej manewr zastraszajacy. Kupiec sie nie poddawal. – Powszechnie wiadomo, ze przednia lapka malpy to najlepszy talizman do przepowiadania przyszlosci, ale tylne… – Mozna by pomyslec, ze malpa cos przewidzi – wtracilem, a oni oboje popatrzyli na mnie, jakbym kichnal na ich falafel. Stara kobieta wyprostowala sie, jakby chciala rzucic we mnie urokiem albo kamieniem. – Gdyby to byla prawda… – ciagnalem. – Znaczy, z tym przewidywaniem przyszlosci malpia lapka… no wiecie, przeciez taka malpa ma az cztery… te lapki, znaczy… no i… ehm… niewazne. – Za ile to? – spytal Joszua, wyjmujac z kosza staruchy garsc suszonych jaszczurek. Kobieta odwrocila sie do niego. – Nie dasz rady tylu zuzyc – oswiadczyla. – Sa bezwartosciowe – uznal kupiec, machajac tylnymi lapkami i stopami dwoch i pol bylych malp. Wygladaly calkiem jak male ludzkie stopy, tyle ze byly owlosione i mialy dluzsze palce. – Gdybys byl malpa, na pewno by sie przydaly, zeby nie wlec tylka po ziemi – powiedzialem, jak zawsze dazac do porozumienia. – To ilu potrzebuje? – chcial wiedziec Joszua. – A ile twoich wielbladow ma zatwardzenie? – spytala starucha. Joszua wrzucil jaszczurki z powrotem do kosza. – No, tego… – A one dzialaja? – zainteresowal sie kupiec. – Na zatkane wielblady, oczywiscie? – Nigdy nie zawodza. Kupiec poskrobal sie po brodzie malpia lapka. – Zaplace, ile zadasz za te bezwartosciowe malpie stopy, jesli dorzucisz garsc jaszczurek. – Zgoda – powiedziala szybko wiedzma.

Kupiec rozwiazal sakwe, ktora nosil na ramieniu, po czym wrzucil do niej malpie lapki i suszone jaszczurki. – A jak sie je podaje? Trzeba zaparzyc z nich herbate i dac wielbladowi do picia? – Nie, z drugiego konca – odparla wiedzma. – Wtykasz je w calosci. Potem liczysz do stu i odskakujesz na bok. Kupiec szeroko otworzyl oczy, potem zmruzyl je i zwrocil sie do mnie: – Maly, jezeli umiesz liczyc do stu, to mam dla ciebie robote. – Naprawde chcialby pracowac dla wielmoznego pana – zapewnil go Joszua. – Ale musimy odszukac medrca Baltazara.

Starucha zasyczala i cofnela sie w kat straganu. Przeslonila sobie cala twarz z wyjatkiem mlecznego oka. – Skad wiecie o Baltazarze? Wysunela przed siebie dlonie z palcami jak szpony. Widzialem, ze drzy. – Baltazar! – wrzasnalem na nia i malo brakowalo, a wyskoczylaby przez tylna scianke straganu. Parsknalem i juz chcialem zbaltazarowac ja jeszcze raz, kiedy przeszkodzil mi Joszua. – Baltazar przybyl stad do Betlejem, by byc swiadkiem moich narodzin

– powiedzial. – Potrzebna mi jego rada. Jego madrosc. – Pragniesz objac ciemnosc, pragniesz obcowac z demonami, pragniesz latac na dzinnie jak Baltazar? Nie chce cie widziec przy moim straganie. Odejdz stad! Wykonala znak zlego oka, ktory w jej przypadku byl calkiem zbedny. – Nie, nie, nie – uspokoilem ja. – Nic z tych rzeczy. Mag zostawil w domu Joszuy troche, ee… kadzidla. Chcemy mu je zwrocic. Starucha przyjrzala mi sie zdrowym okiem. – Klamiesz. – Zgadza sie, klamie – potwierdzil Josh. – BALTAZAR! – wrzasnalem jej prosto w twarz. Nie mialo to takiego efektu jak za pierwszym razem, wiec bylem troche zawiedziony. – Przestan – rzucila. Joszua ujal jej pomarszczona dlon. – Babciu – rzekl. – Tytus Inventius, kapitan naszego statku, twierdzil, ze wiesz, gdzie szukac Baltazara. Pomoz nam, prosze.

Stara kobieta uspokoila sie. I kiedy juz myslalem, ze zaraz sie usmiechnie, przejechala pazurami po dloni Joszuy i odskoczyla. – Tytus Inventius to dran! – krzyknela. Joszua przygladal sie, jak w zadrapaniach wzbiera krew. Przez moment zdawalo sie, ze zemdleje. Nigdy nie mogl zrozumiec, dlaczego ktos jest gwaltowny albo niedobry. Trzeba bedzie pol dnia, zeby mu wytlumaczyc, czemu ta wiedzma go podrapala, ale w tej chwili bylem wsciekly. – Wiesz co? Wiesz co? Wiesz co? – Machalem jej palcem przed nosem. – Podrapalas Syna Bozego! Modl sie o swoj tylek, ot co! – Mag wyniosl sie z Antiochii i niech lepiej nie wraca! – zaskrzeczala.

Tlusty kupiec obserwowal cale zajscie w milczeniu, ale teraz zaczal sie smiac tak glosno, ze ledwie slyszalem, jak starucha chrypi swoje przeklenstwa. – A wiec chcesz spotkac Baltazara, Synu Bozy? Joszua oderwal wzrok od swoich ran. – Tak. Czy znasz go, panie? – A myslisz, ze dla kogo sa te malpie stopy? Chodzcie ze mna. Odwrocil sie na piecie i odszedl, nie mowiac juz ani slowa. Ruszylismy za nim uliczka tak waska, ze ramionami dotykal niemal scian po obu stronach. Obejrzalem sie jeszcze na staruche i krzyknalem: – Twoj tylek, wiedzmo! Zapamietaj moje slowa! Syknela i znow wykonala znak zlego oka. – Dreszcz przechodzi na jej widok – stwierdzil Josh, znow ogladajac zadrapania na reku. – Nie osadzaj tak latwo, Josh. Sam tez czasem wywolujesz lekkie dreszcze. – Jak myslisz, gdzie nas prowadzi ten czlowiek? – Pewnie w jakies miejsce, gdzie bedzie mogl nas zamordowac i zabic. – Tak, przynajmniej jedno z tych dwoch.

Od mojej proby ucieczki, nie moge sklonic aniola, zeby choc na chwile wyszedl z pokoju. Nawet po jego ukochana Panorame seriali. (Owszem, moglem sprobowac, kiedy poszedl kupic swoj pierwszy numer, ale wtedy o tym nie myslalem, wiec dajcie spokoj). Dzisiaj probowalem go namowic, zeby mi przyniosl mape. – Bo nikt nie bedzie znal tych miejsc, o ktorych pisze. Dlatego – tlumaczylem. – Mam uzywac tych idiomow, zeby ludzie rozumieli, co mowie, wiec dlaczego odwolywac sie do nazw, ktore zniknely tysiace lat temu? Potrzebna mi mapa. – Nie – odparl aniol. – Kiedy pisze, ze droga zajela nam dwa miesiace na wielbladach, co to powie ludziom, ktorzy w kilka godzin moga przeskoczyc ocean? Musze poznac wspolczesne odleglosci. – Nie – odparl aniol.

(Czy wiecie, ze w hotelach przykrecaja nocna lampke do szafki, przez co staje sie bezuzyteczna jako instrument perswazji dla kogos, kto probuje przekonac upartego aniola do swojego sposobu myslenia? Pomyslalem, ze warto o tym powiedziec. Szkoda – to taka solidna

lampka). – Ale jak moge opowiadac o heroicznych dzielach ar chaniola Raziela, jesli nie jestem w stanie podac lokalizacji jego czynow? Mam napisac "A potem, mniej wiecej na lewo od Wielkiego Muru, pojawil sie ten szczurzy bekart Raziel i wygladal jak wszystkie demony, biorac pod uwage, ze moze pokonal wielka odleglosc, a moze i nie"? Czy wolisz raczej "Wtedy, zaledwie mile od portu Ptolemais, splynela na nas laska lsniacej wspanialosci archaniola Raziela"? No wiec jak ma byc?

(Wiem, co myslicie: aniol uratowal mi zycie, kiedy Tytus wyrzucil mnie za burte, i powinienem byc wobec niego bardziej wyrozumialy, zgadza sie? Nie powinienem manipulowac ta biedna istota, ktora otrzymala ego, ale zadnej wolnej woli ani zdolnosci do tworczego myslenia, tak? To fakt, sluszna uwaga. Ale pamietajcie, ze aniol interweniowal tylko dlatego, ze Joszua modlil sie o moje ocalenie. I jeszcze to, ze przez te lata moglby oszczedzic nam wielu klopotow, gdyby zechcial pomagac troche czesciej. Nie zapominajcie rowniez, ze – choc byl moze najpiekniejsza istota, jaka w zyciu widzialem – Raziel byl rowniez patentowanym tumanem. Mimo wszystko odwolanie sie do ego poskutkowalo). – Zdobede dla ciebie mape.

Niestety, portier znalazl tylko mape swiata dostarczana przez wspolpracujace z hotelem linie lotnicze. Nastepny etap naszej podrozy mial na niej pietnascie centymetrow i kosztowalby trzydziesci tysiecy mil w programie Friendly Flyer. Mam nadzieje, ze to troche wyjasnia sytuacje.

Kupiec nazywal sie Ahmad Mahadd Ubaidullaganji, ale powiedzial, ze mozemy do niego mowic: Mistrzu. Mowilismy: Ahmadzie. Poprowadzil nas przez miasto na zbocze wzgorza, gdzie czekala jego karawana. Mial setke wielbladow, ktore prowadzil wzdluz Jedwabnego Szlaku, wraz z tuzinem ludzi, dwiema kozami, trzema konmi i zaskakujaco brzydka kobieta imieniem Ka-nuni. Zabral nas do swojego namiotu, wiekszego niz oba domy, w ktorych sie wychowywalismy, razem wziete. Usiedlismy na cennych dywanach, a Kanuni podawala nam nadziewane daktyle i nalewala wina z dzbana w ksztalcie smoka. – No wiec, czego Syn Bozy chce od mojego przyjaciela Baltazara? – zapytal Ahmad.

I zanim zdazylismy odpowiedziec, prychnal i wybuchnal smiechem, az ramiona mu sie trzesly i o malo nie rozlal wina. Mial okragla twarz, wysokie kosci policzkowe i waskie oczy ze zmarszczkami w kacikach – od smiechu i pustynnego wiatru. – Wybaczcie, przyjaciele, ale nigdy jeszcze nie przebywalem w obecnosci syna boga. Ktory bog jest twoim ojcem, tak przy okazji? – No… jedyny Bog – odpowiedzialem. – Tak – potwierdzil Joszua. – Wlasnie on. – A czy wasz Bog ma jakies imie? – Tato – odparl Josh. – Nie wolno nam wymawiac Jego imienia. – Tato – powtorzyl Ahmad. – Podoba mi sie. – Znow zachichotal. – Wiedzialem, ze jestescie Hebrajczykami i nie wolno wam wymawiac imienia waszego Boga, chcialem tylko sprawdzic, czy jednak to zrobicie. Tato… Swietne. – Nie chcialbym byc niegrzeczny – wtracilem. – I oczywiscie jestesmy wdzieczni za posilek, ale robi sie pozno, a obiecales, ze zaprowadzisz nas do Baltazara. – Rzeczywiscie tak uczynie. Wyruszamy o swicie. – Wyruszamy dokad? – spytal Joszua. – Do Kabulu. To miasto, w ktorym Baltazar obecnie mieszka. Nigdy nie slyszalem o Kabulu i mialem wrazenie, ze to niedobrze. – Jak daleko lezy Kabul? – Na wielbladach powinnismy tam dotrzec w niecale dwa miesiace.

Gdybym wiedzial to, co wiem teraz, wstalbym wtedy i wykrzyknal: "Przeklenstwo, czleku, to przeciez ledwie pietnascie centymetrow i trzydziesci tysiecy mil Friendly Flyer!". Ale ze tego nie wiedzialem, rzucilem tylko: – Szlag! – Zabiore was do Kabulu – rzekl Ahmad. – Ale co potraficie, co pomoze zaplacic za wasza podroz? – Znam sie na ciesielstwie – odparl Joszua. – Moj ojczym na uczyl mnie, jak naprawiac wielbladzie siodla. – A ty? – Spojrzal na mnie. – Co umiesz?

Pomyslalem o moich doswiadczeniach w kamieniarstwie i natychmiast odrzucilem ten pomysl. Moje szkolenie w fachu wiejskiego glupka, do ktorego – sadzilem – zawsze moge powrocic, tez raczej by nie pomoglo. Zyskalem niedawno nowy zawod w edukacji seksualnej, ale jakos nie wydawalo sie, by bylo na nia zapotrzebowanie podczas dwumiesiecznej wedrowki z czternastoma mezczyznami i jedna brzydka kobieta. A zatem: co potrafilem, jaki talent moglby ulatwic mi droge do Kabulu? – Gdyby ktos w karawanie wyciagnal nogi, jestem swietnym zalobnikiem – oswiadczylem. – Chcesz posluchac piesni?

Ahmad az sie zatrzasl ze smiechu. Potem zawolal Kanuni, ktora przyniosla jego sakwe. Wzial ja, pogrzebal w srodku i wyciagnal kupione u staruchy suszone jaszczurki. – Trzymaj, beda ci potrzebne – rzekl.

Wielblady gryza. Wielblad moze bez zadnego powodu czlowieka opluc, nadepnac, kopnac, ryknac na niego, czknac albo pierdnac. W najlepszej sytuacji sa uparte, w najgorszej nieznosne i nie do wytrzymania. Jesli je sprowokowac, gryza. Jesli wetknac odwodnionego plaza gleboko po lokiec w wielbladzi tylek, wielblad uwaza sie za sprowokowanego; podwojnie, jesli procedura jest wykonywana podczas snu zwierzecia. Wielblady potrafia sie skradac. I gryza. – Moge ci to uleczyc – powiedzial Joszua, ogladajac wielkie slady zebow na moim czole.

Podazalismy z karawana Ahmada Jedwabnym Szlakiem, ktory ani nie byl prawdziwym szlakiem, ani nie byl zrobiony z jedwabiu. Byl w rzeczywistosci waska sciezka przez kamienista, niegoscinna, pustynna wyzyne tam, gdzie dzisiaj jest Syria, prowadzaca w niegoscinna pustynna nizine tam, gdzie dzis jest Irak. – Powiedzial: szescdziesiat dni na wielbladach. Czy to nie oznacza, ze powinnismy jechac, a nie isc piechota? – Tesknisz za swoimi wielbladzimi przyjaciolmi, co? – Josh wyszczerzyl zeby w tym swoim zarozumialym usmiechu Syna Bozego. A moze to byl jego zwyczajny usmiech? – Jestem po prostu zmeczony. Przez pol nocy musialem sie do nich podkradac. – Wiem – przyznal Joszua. – Sam musialem wstac o swicie, zeby przed wyruszeniem naprawic siodlo. Narzedzia Ahmada pozostawiaja sporo do zyczenia. – Nie krepuj sie i badz sobie meczennikiem, Josh. Po prostu zapomnij, co robilem przez noc. Ja chce tylko powiedziec, ze powinnismy jechac wierzchem, a nie isc pieszo. – Tak bedzie – obiecal Josh. – Ale jeszcze nie teraz. Wszyscy mezczyzni z karawany jechali, choc kilku z nich, a takze Kanuni, konno. Wielblady niosly potezne ladunki zelaznych narzedzi, sproszkowanych barwnikow i drzewa sandalowego, przeznaczonego dla Orientu. W pierwszej napotkanej oazie Ahmad wymienil konie na cztery dodatkowe wielblady i ja i Joszua moglismy wreszcie pojechac. Wieczorami jedlismy z reszta ludzi, dzielac z nimi gotowany ryz albo chleb z pasta sezamowa, niekiedy kawalek sera, ugnieciony groch z czosnkiem, czasem takze pilismy ten czarny napoj, ktory odkrylismy w Antiochii (zmieszany z daktylowym cukrem i po dodaniu

pienistego koziego mleka i cynamonu, co bylo moja sugestia). Ahmad spozywal posilki samotnie w swoim namiocie, reszta na powietrzu, pod otwartym zadaszeniem, ktore wznosilismy, by oslanialo nas przed sloncem w najgoretszej porze dnia. Na pustyni dzien jest tym cieplejszy, im trwa dluzej, wiec najgoretsza pora przypada na popoludnie, zanim zachod slonca sciagnie gorace wiatry, by wyssaly ze skory resztki wilgoci.

Zaden z ludzi Ahmada nie mowil po hebrajsku ani aramej-sku. Opanowali jednak dostatecznie potoczna lacine i greke, by pokpiwac ze mnie i Joszuy na dowolny temat; ich ulubionym byla, oczywiscie, moja funkcja glownego odtwardzacza wielbladow. Pochodzili z pol tuzina roznych krain, z ktorych o wielu nawet nie slyszelismy. Niektorzy byli czarni jak Etiopczycy, mieli wysokie czola i dlugie, zgrabne rece i nogi; inni krepi i krzywo-nodzy, z poteznymi ramionami, wysokimi koscmi policzkowymi i dlugimi cienkimi wasami, jak Ahmad. Ani jeden nie wydawal sie gruby, leniwy czy powolny. Nie minal nawet tydzien od wyruszenia z Antiochii, a zorientowalismy sie, ze do opieki i prowadzenia karawany wielbladow wystarczy tylko dwojka. Nie moglismy zrozumiec, czemu ktos tak skapy jak Ahmad zatrudnial tylu zbytecznych pracownikow. – Bandyci – wytlumaczyl nam Ahmad, probujac znalezc dla swego poteznego ciala jakas wygodniejsza pozycje na grzbiecie wielblada. – Potrzebowalbym tylko dwoch takich cwokow jak wy, gdyby chodzilo jedynie o dogladanie zwierzat. To straznicy. Myslicie, ze po co wieziemy wszystkie te luki i lance? – No tak… – Rzucilem Joszui zlosliwe spojrzenie. – Nie widziales tych lanc? To straznicy. Ehm, Ahmadzie… Czy Josh i ja tez nie powinnismy dostac lanc… Znaczy, kiedy znajdziemy sie juz na tetenach bandytow? – Bandyci sledza nas od pieciu dni – oswiadczyl Ahmad. – Niepotrzebne nam lance – stwierdzil Joszua. – Nie kaze blizniemu grzeszyc aktem kradziezy. Jesli ktos chcialby miec cos mojego, wystarczy mu poprosic, a chetnie to oddam. – Oddaj mi reszte swoich pieniedzy – powiedzialem. – Nie licz na to. – Przeciez mowiles… – Tak, ale nie do ciebie.

Przez wiekszosc nocy Joszua i ja spalismy pod golym niebem, obok namiotu Ahrnada. Jesli noc byla szczegolnie zimna, kladlismy sie miedzy wielbladami; znosilismy ich parskania i stekania, a one za to oslanialy nas od wiatru. Straznicy sypiali w dwuosobowych namiotach, z wyjatkiem dwojki, ktora przez cala noc trzymala warte. Czesto, kiedy oboz juz ucichl, lezelismy z Joszua, patrzac w gwiazdy, i rozwazalismy wielkie problemy zycia. – Jak myslisz, Josh, ci bandyci obrabuja nas i zabija czy tylko obrabuja? – Obrabuja, a potem zabija, moim zdaniem – odparl. – Na wypadek, gdyby przeoczyli cos, co ukrylismy, moga nas torturowac, zeby sie dowiedziec o kryjowce. – Slusznie – przyznalem. – Myslisz, ze Ahmad uprawia seks z Kanuni? – zapytal Josh. – Wiem, ze tak. Powiedzial mi. – I myslisz, ze jak to jest? Z nimi, znaczy? On taki gruby, a ona taka… no wiesz? – Szczerze mowiac, Josh, wolalbym o tym nie myslec. Ale dzieki, ze skierowales moje mysli na ten obrazek. – Chcesz powiedziec, ze potrafisz ich sobie razem wyobrazic? – Przestan, Joszua. Nie umiem ci wytlumaczyc, jak to jest grzeszyc. Musisz sam sprobowac. Czego zazadasz potem? Bede musial kogos zamordowac, zeby ci wyjasnic, jak to jest z zabijaniem? – Nie. Nie chce zabijac. – Moze to akurat bedziesz musial robic, Josh. Nie sadze, by Rzymianie sobie poszli tylko dlatego, ze ich o to poprosisz. – Znajde sposob. Po prostu teraz jeszcze go nie znam. – Czy nie byloby zabawne, gdybys jednak nie byl Mesjaszem? Rozumiesz, przez cale zycie powstrzymujesz sie od obcowania z

kobietami, a na koncu sie dowiadujesz, ze jestes tylko pomniejszym prorokiem? – Tak, to by bylo zabawne – przyznal Joszua. Ale sie nie usmiechnal. – W pewnym sensie?

Odkad sie dowiedzielismy, ze sledza nas bandyci, podroz uplywala zaskakujaco szybko. Dzieki nim mielismy o czym rozmawiac, a nasze grzbiety stawaly sie bardziej gietkie, jako ze bez przerwy odwracalismy sie w siodlach i obserwowalismy horyzont. Kiedy po dziesieciu dniach na szlaku postanowili zaatakowac, ogarnal nas niemal smutek. Ahmad, jadacy zwykle na czele karawany, tym razem zostal z tylu, obok nas. – Bandyci zaatakuja z zasadzki w tej przeleczy przed nami – powiedzial.

Droga wsuwala sie do wawozu o stromych zboczach. Na krawedziach staly wielkie glazy i rzezbione wiatrem wieze. – Kryja sie za tymi glazami po obu stronach – wyjasnil Ahmad. – Nie patrzcie, bo nas zdradzicie. – Skoro wiesz, ze zaatakuja, dlaczego nie staniemy, zeby sie bronic? – zapytal Joszua. – Zaatakuja tak czy inaczej. Lepsza zasadzka, o ktorej wiemy, od takiej, o ktorej nie mamy pojecia. A oni nie wiedza, ze wiemy.

Zauwazylem, ze krepi straznicy z wasami wyciagaja z toreb za siodlami krotkie luki. Potem delikatnie, jak czlowiek moglby strzepywac z rzes nic pajeczyny, zakladaja cieciwy. Ktos, kto obserwowalby ich z daleka, z trudem zauwazylby jakiekolwiek ruchy. – Co mamy robic? – zapytalem Ahmada. – Probujcie nie dac sie zabic. Zwlaszcza ty, Joszua. Baltazar bardzo by sie rozgniewal, gdybym dotarl na miejsce z wiescia o twojej smierci. – Czekaj… – zdziwil sie Joszua. – Baltazar wie, ze przybywamy? – Oczywiscie. – Ahmad sie zasmial. – Kazal mi was szukac. Myslisz, ze pomagam kazdej parze dzieciakow, ktore pojawia sie na rynku w Antiochii? – Dzieciakow? – Na chwile zapomnialem o zasadzce. – Jak dawno kazal ci nas szukac? – Nie wiem. Zaraz po tym, jak wyjechal z Antiochii do Kabulu, jakies dziesiec lat temu. To teraz niewazne. Musze wracac do Kanuni, ona boi sie bandytow. – Pozwol im dobrze sie jej przyjrzec – poradzilem. – Zobaczymy, kto sie kogo przestraszy. – Nie patrzcie na granie – rzucil jeszcze Ahmad i odjechal.

Bandyci ruszyli z obu stron wawozu jak zsynchronizowane lawiny, poganiajac swoje wielblady do granic utraty rownowagi i pchajac przed soba rzeki kamieni i piasku. Bylo ich dwudziestu pieciu, moze trzydziestu, wszyscy ubrani na czarno; polowa na wielbladach, wymachujaca mieczami i maczugami, polowa pieszo, z wloczniami do przebijania jezdzcow.

Kiedy nie mogli juz zatrzymac tego zjazdu ze zboczy, nasi straznicy rozdzielili karawane, zostawiajac pusta droge w miejscu, gdzie obie szarze mialy sie spotkac. Rozped okazal sie tak wielki, ze bandyci nie potrafili juz zmienic kierunku jazdy. Trzy ich wielblady upadly, probujac wyhamowac. Nasi ludzie staneli w dwoch grupach – na przodzie trojka z dlugimi lancami, za nimi lucznicy. Kiedy byli gotowi, wypuscili w bandytow strzaly. Kazdy, ktory padal, pociagal za soba dwoch lub trzech towarzyszy, az w ciagu kilku sekund szarza zmienila sie w prawdziwa lawine toczacych sie kamieni, ludzi i wielbladow. Wielblady ryczaly; slyszelismy trzask pekajacych kosci i wrzaski ludzi, kiedy w krwawej masie staczali sie na sciezke Jedwabnego Szlaku. Gdy ktorys probowal wstac i ruszyc na naszych straznikow, strzala powalala go na miejscu. Jeden z bandytow poderwal sie wraz ze swym wielbladem i pognal do tylnej czesci

karawany, ale tam trzech lansjerow zrzucilo go z wierzchowca w fontannach krwi. Kazde poruszenie w wawozie sciagalo strzale. Bandyta ze zlamana noga probowal odczolgac sie na zbocze wawozu, ale strzala trafila go w tyl glowy.

Uslyszalem za soba wycie i zanim zdazylem sie obejrzec, Jo-szua przejechal galopem, mijajac lucznikow i lansjerow po naszej stronie. Pedzil ku masie konajacych i martwych bandytow. Zeskoczyl z siodla i jak szaleniec biegal wokol cial, machal rekami i wrzeszczal ile sil w plucach, az zaczal chrypiec, kiedy zdarl sobie gardlo. – Przestancie! Przestancie!

Jeden z bandytow poruszyl sie, probujac wstac. Nasi lucznicy napieli cieciwy, ale Joszua rzucil sie, powalil rannego na ziemie i oslonil wlasnym cialem. Uslyszalem, jak Ahmad nakazuje wstrzymac ostrzal.

Lekki wiatr oczyscil wawoz z klebow pylu. Zaryczal wielblad ze zlamana noga, ale strzal w oko skrocil jego cierpienia. Ahmad wyrwal straznikowi lance i podjechal do Joszuy oslaniajacego rannego bandyte. – Odsun sie, Joszuo – nakazal z bronia gotowa do ciosu. – Trzeba to skonczyc.

Joszua sie rozejrzal. Wszyscy napastnicy byli martwi, tak samo jak wszystkie ich zwierzeta. Strumyki krwi plynely w pyle na ziemi, a muchy zbieraly sie juz na uczte. Joszua szedl przez to pole trupow, az jego piers zetknela sie ze spizowym grotem lancy Ahmada. Lzy splywaly mu po policzkach. – To bylo zle! – wychrypial. – To bandyci. Gdybysmy ich nie zabili, oni by nas pozabijali i zabrali wszystko, co mamy. Czy twoj wlasny Bog, twoj ojciec, nie niszczy tych, co zgrzeszyli? A teraz odsun sie, Joszuo. Niech to sie zakonczy. – Nie jestem moim ojcem i ty tez nie. Nie zabijesz tego czlowieka. Ahmad opuscil lance i pokrecil ze smutkiem glowa. – On i tak umrze, Joszuo. Wyczuwalem, ze straznicy obok kreca sie niepewnie. Nie wiedzieli co robic. – Podaj mi buklak – nakazal Joszua.

Ahmad rzucil mu buklak, zawrocil i odjechal tam, gdzie czekali na niego straznicy. Joszua podal wode rannemu i przytrzymal mu glowe, gdy ten pil. Strzala sterczala bandycie z brzucha, a czarna tunika blyszczala od krwi. Joszua delikatnie zakryl mu dlonia oczy, jakby mowil, by zasnal, po czym wyrwal strzale i odrzucil ja na bok. Bandyta nawet nie drgnal. Joszua przylozyl dlon do rany.

Od chwili, gdy Ahmad nakazal straznikom przerwac ostrzal, zaden sie nie poruszyl. Patrzyli. Po kilku minutach Joszua odsunal sie z usmiechem, a bandyta usiadl. I w tej samej chwili padl martwy, ze strzala sterczaca mu z czola. – Nie!

Joszua odwrocil sie i spojrzal w strone karawany. Straznik, ktory wystrzelil, nadal trzymal luk, jak gdyby szykowal sie do wypuszczenia nastepnej strzaly, by zakonczyc sprawe. Wrzeszczac z wscieklosci, Joszua zrobil gest, jakby otwarta dlonia uderzal powietrze. Straznik spadl z wielblada i runal na ziemie. – Dosc tego! – wrzeszczal Joszua. Kiedy straznik usiadl, jego oczy przypominaly dwa srebrne ksiezyce. Byl slepy.

Przez dwa dni zaden z nas sie nie odzywal. Joszua i ja zostalismy odeslani na sam koniec karawany, bo straznicy sie nas bali. W koncu wypilem lyk wody i podalem buklak Joszui. On takze sie napil i oddal mi go z powrotem. – Dzieki – powiedzial. Usmiechnal sie i wiedzialem, ze wroci do siebie. – Wiesz co, Joszua? Wyswiadcz mi przysluge. – Co takiego? – Przypominaj mi, zeby cie nie wkurzac, dobrze?

Miasto Kabul zostalo wzniesione na pieciu poszarpanych wzgorzach. Ulice biegly tarasami, a domy czesciowo wbudowano w zbocza. Architektura nie zdradzala ani sladu wplywow rzymskich czy greckich – wieksze budynki mialy dachy kryte dachowka i podwiniete na rogach do gory. Zanim nasza wyprawa dobiegla konca, mielismy z Joszua ogladac ten styl w calej Azji.

Mieszkali tu ludzie chudzi i zylasci, ktorzy wygladali jak Arabowie, ale bez tego polysku skory, ktory daje bogata w oliwe dieta. Ich twarze jednak wydawaly sie bardziej wychudzone, pomarszczone od zimnych i suchych wiatrow pustyni. Na rynku spotkalismy kupcow i handlarzy z Chin, oraz ludzi podobnych do Ahmada i jego lucznikow – pochodzacych z rasy, ktora Chinczycy nazywali krotko "barbarzyncami". – Chinczycy tak sie boja mojego ludu, ze dla obrony zbudowali mur wysoki jak najwyzsze palace, szeroki jak najszersze aleje w Rzymie, a ciagnacy sie dziesiec razy dalej, niz siega wzrok – powiedzial Ahmad. – Aha – mruknalem, myslac "Ty klamliwy worku flakow". Joszua nie odzywal sie do Ahmada od bitwy z bandytami, ale usmiechnal sie drwiaco, slyszac opowiesc o wielkim murze. – Mniejsza – rzekl Ahmad. – Dzisiaj zatrzymamy sie w zajez dzie. Jutro zabiore was do Baltazara. Jesli wyruszymy wczesnie, dotrzemy na miejsce kolo poludnia. Potem bedziecie juz klopotem czarownika, nie moim. Spotkamy sie przed zajazdem o swicie.

Tej nocy oberzysta z zona podali nam przyprawiona mocno baranine z ryzem, a do tego jakis rodzaj piwa, tez warzonego z ryzu. Splukalo nam z gardel dwa miesiace pustynnego kurzu, a umysly spowilo przyjemna mgielka. Aby zaoszczedzic pieniedzy, zaplacilismy za sienniki pod szerokim, wygietym okapem budynku. I choc dobrze bylo po raz pierwszy od miesiecy znowu miec dach nad glowa, troche mi brakowalo patrzenia w gwiazdy przed snem. Przez dlugi czas lezalem tam przytomny i na wpol pijany. Joszua zasnal snem niewiniatka.

Nastepnego dnia Ahmad czekal na nas przed zajazdem z dwoma afrykanskimi straznikami i dwoma jucznymi wielbladami. – Pospieszcie sie! – zawolal. – Dla was to moze koniec podrozy, ale ja tylko zbaczam z drogi.

Rzucil nam po skorce z chleba i kawalku sera, z czego wywnioskowalem, ze sniadanie mamy zjesc po drodze. Wyjechalismy z Kabulu i zaglebilismy sie w labirynt wawozow, ktore meandrami wily sie przez skaliste gory. Wygladaly, jakby Bog uformowal je z gliny, a potem zostawil do wypalenia na sloncu, az glina nabrala glebokiej zlocistej barwy, odbijajac swiatlo w rozpryskach, ktore pochlanialy cienie i niszczyly mrok. W poludnie nie mialem juz pojecia, gdzie sie znalezlismy; nie moglbym tez przysiac, ze nie przejezdzamy po wielekroc przez te same wawozy. Jednakze straznicy Ahmada znali droge i w koncu za zakretem zobaczylismy strome zbocze kanionu, wysokie na jakies dwiescie stop, a od innych urwisk rozniace sie tym, ze mialo okna i balkony – palac wykuty w nagiej skale. U podstawy tkwily okute zelazem

wrota, ktore wygladaly, jakby dwudziestu mezczyzn nie moglo ich poruszyc. – Dom Baltazara – oznajmil Ahmad. Kazal wielbladowi ukleknac i zsunal sie na ziemie. Joszua tracil mnie swoim kijem. – Hej, spodziewales sie czegos takiego? Pokrecilem glowa. – Sam nie wiem, czego sie spodziewalem. Ale chyba czegos… bo ja wiem… mniejszego. – Gdybys musial, potrafilbys znalezc droge powrotna przez te kaniony? – Nie. A ty? – Nie ma szans.

Ahmad poczlapal do wrot i szarpnal za zwisajacy z otworu powroz. Gdzies w srodku uslyszelismy bicie wielkiego dzwonu (dopiero pozniej odkrylismy, ze to dzwiek gongu). Drzwiczki we wrotach uchylily sie, a przez nie wysunela glowe jakas dziewczyna. – Czego?

Miala okragla twarz i wysokie kosci policzkowe, zdradzajace pochodzenie z Orientu, a nad oczami wymalowane wielkie blekitne skrzydla. – Ahmad. Ahmad Mahadd Ubaidullaganji. Przyprowadzilem Baltazarowi chlopca, na ktorego czekal. – Ahmad wskazal nas. Dziewczyna przyjrzala sie nam sceptycznie. – Chudy jakis. To na pewno ten? – To on. Przekaz Baltazarowi, ze jest mi za to cos winien. – A kto to jest ten obok? – To jego glupi przyjaciel. Bez dodatkowych oplat. – Przywiozles malpie lapki? – zapytala jeszcze dziewczyna. – Tak. Oraz inne ziola i mineraly, o ktore prosil Baltazar. – Dobrze, zaczekaj tam. – Zamknela drzwiczki i po sekundzie otworzyla je znowu. – Przyslij tych dwoch, samych. Baltazar musi ich sprawdzic. Potem rozliczy sie z toba. – Daj spokoj z ta tajemniczoscia, kobieto. Setki razy bywalem w domu Baltazara. Przestan marudzic i otworz wrota. – Cisza! – krzyknela dziewczyna. – Wielki Baltazar nie pozwoli drwic z siebie. Przyslij tu chlopcow, samych. Potem zatrzasnela drzwiczki, a z wysokich okien slyszelismy echo jej chichotu. Ahmad pokrecil glowa i wskazal nam wrota. – Idzcie. Nie wiem, co on wymyslil. Po prostu wejdzcie tam.

Joszua i ja zeskoczylismy na ziemie, zdjelismy z wielbladow nasze sakwy i ostroznie zblizylismy sie do wielkich wrot. Joszua zerknal na mnie, jakby nie byl pewien, co robic, po czym wyciagnal reke do wiszacego powrozu, ale wtedy wrota uchylily sie ze zgrzytem – akurat tyle, zebysmy mogli wejsc pojedynczo, a i wtedy bokiem. W srodku panowala calkowita ciemnosc – procz waskiego paska swiatla, ktory niczego nie ukazywal. Joszua raz jeszcze spojrzal na mnie i uniosl brwi. – Jestem tylko glupim przyjacielem bez dodatkowych oplat – przypomnialem i sklonilem sie. – Ty pierwszy.

Joszua przecisnal sie przez wrota, a ja za nim. Przeszlismy ledwie kilka krokow i uslyszelismy, jak zatrzasnely sie z hukiem gromu. Zostalismy w kompletnej ciemnosci. Jestem pewien, ze czulem, jak cos ociera mi sie o stopy.

Blysnelo nagle i przed nami wyrosla wielka kolumna czerwonego dymu, widoczna w padajacym z gory swietle. Zapach siarki drapal w nosie. Joszua zakaszlal i obaj odskoczylismy, gdy z dymu wynurzyla sie ogromna postac. Byla… a raczej byl… wysoki jak dwoch mezczyzn, choc bardzo chudy. Nosil dluga purpurowa szate, haftowana zlotem i srebrem w dziwaczne symbole, z kapturem, wiec nie widzielismy twarzy, a tylko rozjarzone czerwone slepia na tle czerni. Trzymal lampe, jakby chcial przyjrzec sie nam w jej blasku. – Szatan – mruknalem do Joszuy.

Tak mocno przyciskalem plecy do zelaznych wrot, ze czulem, jak przez tunike wbijaja mi sie w skore platki rdzy. – To nie Szatan – stwierdzil Joszua. – Kto narusza swietosc mojej fortecy? – zahuczal olbrzym. Prawie sie posiusialem, slyszac ten glos.

–Jestem Joszua z Nazaretu – odparl Joszua. Staral sie mowic spokojnie, ale glos mu sie zalamal przy slowie "Nazaret". – A to jest Biff, rowniez z Nazaretu. Szukamy Baltazara. Przybyl do Betlejem, kiedy sie narodzilem, wiele lat temu. Szukal mnie. Musze mu zadac wiele pytan. – Baltazar nie nalezy juz do tego swiata.

Mroczny olbrzym siegnal pod szate i wydobyl jasniejacy sztylet, ktory uniosl wysoko, a potem wbil we wlasna piers. Zajasnial blysk eksplozji, a potem rozlegl sie ryk, jakby ktos ugodzil lwa. Joszua i ja odwrocilismy sie i zaczelismy drapac zelazne wrota, rozpaczliwie szukajac zamka. Obaj wydawalismy z siebie nieartykulowane i przerazone odglosy, ktore moge opisac jedynie jako werbalna wersje ucieczki, rodzaj przedluzonego, rytmicznego jeku, przerywanego tylko wtedy, kiedy ktoremus braklo juz w plucach powietrza.

Wtedy uslyszalem smiech, a Joszua chwycil mnie za ramie. Smiech rozbrzmiewal coraz glosniej. Joszua obrocil mnie twarza do smierci w purpurze. Kiedy spojrzalem, mroczna postac zrzucila kaptur, odslaniajac usmiechnieta czarna twarz i ogolona glowe czlowieka – bardzo wysokiego, ale jednak czlowieka. Rozchylil szate i przekonalem sie, ze to rzeczywiscie czlowiek. Czlowiek, stojacy na ramionach dwoch mlodych Azjatek, ukrytych pod polami bardzo dlugiej szaty. – Zazartowalem z was – powiedzial. I zachichotal.

Zeskoczyl z ramion kobiet, odetchnal gleboko i zgial sie wpol ze smiechu. Lzy ciekly z jego wielkich orzechowych oczu. – Powinniscie zobaczyc swoje miny. Widzialyscie, dziewczeta?

Kobiety, odziane w proste plocienne szaty, nie byly tak rozbawione. Sprawialy raczej wrazenie zaklopotanych i troche zniecierpliwionych, jakby wolaly byc teraz gdzie indziej i robic cokolwiek innego. – Baltazar? – zapytal Joszua. – Tak – przyznal Baltazar. Wyprostowal sie i byl teraz niewiele wyzszy ode mnie. – Przepraszam, ale rzadko miewam tu gosci. Wiec ty jestes Joszua? – Tak – potwierdzil Joszua troche zirytowany. – Nie poznalem cie bez powijakow. A to twoj sluga? – Moj przyjaciel Biff. – Na jedno wychodzi. Zabierz swojego przyjaciela. Wejdzcie. Dziewczeta zajma sie Ahmadem.

Odszedl korytarzem wiodacym w glab gory, a dluga purpurowa szata wlokla sie za nim niczym ogon smoka. Stalismy obok wrot, dopoki nie uswiadomilismy sobie, ze kiedy Baltazar skreci za rog, znowu zostaniemy w ciemnosciach. Pogonilismy wiec za nim. A kiedy bieglismy korytarzem, myslalem, jak daleko dotarlismy i kogo zostawilismy za soba, i czulem, ze zaraz brzuch mnie rozboli z zalu. – Medrzec? – rzucilem do Joszuy. – Matka nigdy mnie nie oklamala – zapewnil. – A przynajmniej ty nic o tym nie wiesz – odpowiedzialem.

No wiec, udajac pewna nadmierna aktywnosc pecherza, udalo mi sie wymykac do lazienki tak czesto, ze dokonczylem Ewangelie Mateusza. Nie wiem, co to za Mateusz ja napisal, ale z pewnoscia nie nasz. Nasz Mateusz byl prawdziwym czarodziejem, jesli chodzi o liczby (czego

mozna oczekiwac od poborcy podatkow), ale nie potrafil wlasnego imienia napisac palcem na piasku, zeby nie zrobic przy tym co najmniej trzech bledow. Ten, ktory pisal Ewangelie, wyraznie mial swoje informacje z drugiej, moze nawet trzeciej reki. Nie do mnie nalezy krytyka, ale przepraszam, on w ogole o mnie nie wspomnial. Ani razu. Wiem, ze moje protesty sa wbrew nakazowi pokory, ktorej nauczal Joszua, ale przeciez bylem jego najlepszym kumplem. Nie wspominajac juz o tym, ze ten Mateusz (jesli naprawde tak mial na imie) bardzo starannie opisuje genealogie Joszuy az do krola Dawida, ale kiedy Joszua juz sie rodzi i trzech medrcow zjawia sie w stajence betlejemskiej, nic o nim nie slychac az do trzydziestego roku zycia. Trzydziestego! Jakby nic sie nie dzialo miedzy zlobem a ta chwila, kiedy Jan nas ochrzcil. Rany… W kazdym razie teraz juz rozumiem, dlaczego zostalem wskrzeszony, by napisac te Ewangelie. Jesli reszta tego "Nowego Testamentu" jest podobna do ksiegi Mateusza, naprawde potrzebowali kogos, kto opisze zycie Joszuy porzadnie. Kogos, kto tam naprawde byl. Czyli mnie. Nie moge uwierzyc, ze w ogole o mnie nie wspomina. Ledwie sie powstrzymuje, zeby nie spytac Raziela, jak, u diabla, do tego doszlo. Pewnie zjawil sie sto lat spozniony, zeby poprawic tego Mateusza. Och, to przerazajaca mysl – zostalem wyciety z powodu aniola-idioty. Nie moge tak tego zostawic. A zakonczenie? Skad on je wytrzasnal? Zobacze, co ma do powiedzenia nastepny gosc, ten Marek, ale nie zywie wielkich nadziei.

Pierwsze, co zauwazylem w fortecy Baltazara, to ze nie bylo w niej katow prostych. W ogole zadnych katow, kropka. Tylko luki. Kiedy szlismy za magiem po korytarzach i z pietra na pietro, nie znalezlismy nawet prostokatnego stopnia, jedynie prowadzace z poziomu na poziom spiralne rampy. I chociaz forteca ciagnela sie na calej scianie urwiska, zadne pomieszczenie nie znajdowalo sie dalej niz o jedno przejscie od okna. Gdy juz weszlismy powyzej poziomu gruntu, wszedzie przez okna docieralo dzienne swiatlo, i to nieprzyjemne uczucie, jakie ogarnelo nas za wrotami, szybko zniknelo. Skala miala kolor bardziej zolty niz wapien z Jeruzalem, ale byla tak samo gladka. Ogolnie odnosilo sie wrazenie, ze spaceruje sie po wypolerowanych wnetrznosciach jakiejs ogromnej zywej istoty. – Czy to ty zbudowales te fortece, Baltazarze? – spytalem. – Alez nie – odparl, nie odwracajac glowy. – Zawsze tu byla. Musialem tylko usunac wypelniajacy ja kamien. – Och – mruknalem, nie dowiedziawszy sie absolutnie niczego.

Nie napotkalismy zadnych drzwi, a jedynie niezliczone otwarte przejscia i okragle portale, prowadzace do komnat najrozmaitszych ksztaltow i wymiarow. – Dziewczeta przebywaja tutaj – rzucil Baltazar, kiedy mijalismy owalne przejscie, zasloniete sznurami paciorkow. – Dziewczeta? – zdziwilem sie. – Dziewczeta? – zdziwil sie Joszua. – Tak, dziewczeta, wy ciamajdy. Istoty ludzkie, takie jak wy, tylko ze sa bystrzejsze i ladniej pachna.

Przeciez wiedzialem, o czym mowi. To znaczy: widzielismy dwie z nich, prawda? Wiedzialem, co to sa dziewczeta.

Maszerowal dalej, az dotarlismy do jedynych drzwi, jakie napotkalem od wejscia do fortecy – kolejne wielkie, obite zelazem, zamkniete na trzy zelazne sztaby, grube jak moja reka, i ciezki mosiezny zamek z dziwnymi znakami. Mag przystanal i przylozyl do nich ucho. Potem odwrocil sie do nas i po raz pierwszy zobaczylem, ze jest bardzo stary, mimo dzwiecznego

smiechu i sprezystego kroku. – Dopoki tu jestescie, mozecie chodzic, gdzie tylko zechcecie, ale nie wolno wam otwierac tych drzwi. Xiong zai. – Xiong zai – powtorzylem, na wypadek gdyby Joszua nie doslyszal. – Xiong zai. – Josh kiwnal glowa z calkowitym brakiem zrozumienia.

Baltazar wprowadzil nas do wielkiej komory. Jedwabne zaslony zwisaly ze sklepienia, a podloge pokrywaly piekne dywany i poduszki. Na kilku niskich stolach czekaly wino, owoce, ser i chleb. – Odpoczywajcie i sie posilajcie – zachecil nas. – Wroce, jak tylko zakoncze sprawy z Ahmadem. I wyszedl, zostawiajac nas samych. – No dobra – powiedzialem. – Dowiedz sie od niego, co ci tam potrzebne, a potem wracamy na szlak i ruszamy do nastepnego medrca. – Nie jestem pewien, czy to nastapi tak szybko. Mozemy tu spedzic sporo czasu. Moze nawet lata. – Lata? Joszua, jestesmy w samym srodku jakiegos odludzia, nie mozemy siedziec tu latami! – Biff, wyrastalismy w srodku odludzia. Jaka to roznica? – Dziewczeta – stwierdzilem. – Co z nimi? – Nie zaczynaj.

Uslyszelismy glosny smiech na korytarzu, a zaraz potem zjawili sie Baltazar z Ahmadem. Rozsiedli sie miedzy poduszkami i zaczeli jesc rozlozone sery i owoce. – Ahmad opowiadal mi, ze probowales ocalic jednego z bandytow – zaczal Baltazar. – I przy okazji oslepiles ktoregos z jego ludzi, nawet go nie dotykajac. Imponujace. Joszua zwiesil glowe. – To byla masakra. – Przykre. Ale nie zapominaj, ze mistrz Lao-tzu powiedzial, iz bron jest instrumentem nieszczescia, a ci, ktorzy uzywaja przemocy, nie umieraja naturalna smiercia. – Ahmadzie – odezwal sie Joszua. – Co sie stanie z tym straznikiem, ktorego… – Na nic mi sie juz nie przyda – odparl Ahmad. – Szkoda, naprawde, byl najlepszym lucznikiem. Zostawie go w Kabulu. Prosil, zeby oddac nalezna mu zaplate zonie w Antiochii i drugiej zonie w Dunhuang. Mysle, ze zostanie zebrakiem. – Kto to jest Lao-tzu? – zapytalem. – Bedziesz mial mnostwo czasu, by dowiedziec sie o mistrzu Lao-tzu – odpowiedzial Baltazar. – Jutro przydziele wam nauczyciela, ktory pokaze wam qi, droge Smoczego Oddechu, ale na razie jedzcie i odpoczywajcie. – Potraficie uwierzyc w takiego czarnego Chinczyka? – Ahmad sie zasmial. – Widzieliscie kiedy cos podobnego? – Nosilem lamparcia skore szamana, kiedy twoj ojciec byl zaledwie mrugnieciem w wielkiej rzece gwiazd. Opanowalem zwierzeca magie, kiedy ty uczyles sie chodzic. Poznalem tajemnice swietych egipskich tekstow magicznych, zanim jeszcze wyrosla ci broda. Jezeli niesmiertelnosc kryje sie w madrosciach chinskich mistrzow, to bede Chinczykiem tak dlugo, jak bedzie mi to potrzebne, niezaleznie od koloru mej skory i miejsca mego urodzenia.

Usilowalem odgadnac wiek Baltazara. Z tego, co mowil, wynikalo, ze jest naprawde bardzo stary, gdyz sam Ahmad nie nalezal juz do najmlodszych. Ale krok mial sprezysty, a z tego, co zauwazylem, mial takze wszystkie zeby, i to w doskonalym stanie. Nie przejawial sladu slabosci czy zdziecinnienia, jakie obserwowalem u starcow w naszej wiosce. – W jaki sposob zachowujesz tyle sil, Baltazarze? – zapytalem. – Magia. – Usmiechnal sie. – Nie ma zadnej magii procz tej, ktora zsyla Pan – oswiadczyl Joszua. Baltazar poskrobal sie po brodzie. – A wiec zapewne tez zadnej bez Jego przyzwolenia, co, Joszuo? – odpowiedzial spokojnie. Joszua przygarbil sie i zwiesil glowe. Ahmad wybuchnal smiechem. – Jego magia nie jest az tak tajemnicza, chlopcy. Baltazar ma osiem mlodych konkubin, ktore wyciagaja trucizny z tego starego ciala. W ten sposob zachowuje mlodosc. – Swieta pieta! Osiem? – Bylem zdumiony.

Podniecony. Zazdrosny. – Czy ten pokoj z drzwiami okutymi zelazem ma jakis zwiazek z twoja magia? – spytal z powaga Joszua. Baltazar przestal sie usmiechac. Zaskoczony Ahmad spogladal to na niego, to na Josha. – Pokaze wam wasze sypialnie – rzekl Baltazar. – Powinniscie sie wykapac i isc na spoczynek. Od jutra lekcje. Pozegnajcie sie z Ahmadem, niepredko znow go zobaczycie.

Nasze pokoje byly przestronne, wieksze niz domy, w ktorych dorastalismy, z dywanami na podlodze, krzeslami z egzotycznego drewna, rzezbionymi w postaci lwow i smokow, oraz stolem, na ktorym stal dzban i misa do mycia. W kazdym pokoju bylo tez biurko i szafka pelna narzedzi do pisania i malowania, oraz cos, czego zaden z nas jeszcze nigdy nie widzial: lozko. Miedzy pokojem Josha i moim sciana siegala tylko polowy wysokosci, wiec moglismy lezec w lozkach i rozmawiac przed snem, tak jak w drodze przez pustynie. Pierwszej nocy zauwazylem, ze Joszua jest czyms gleboko zatroskany. – Wydajesz sie… sam nie wiem., gleboko zatroskany, Josh. – To ci bandyci. Czy moglem ich wskrzesic? – Wszystkich? Nie mam pojecia. A mogles? – Zastanawialem sie nad tym. Myslalem, ze zdolam sprawic, by znow chodzili i oddychali. Myslalem, ze zdolam przywrocic im zycie. Ale nawet nie sprobowalem. – Dlaczego? – Bo sie balem, ze gdybym to zrobil, zabiliby nas i obrabowali. Jest tak, jak powiedzial Baltazar: ci, ktorzy uzywaja przemocy, nie umieraja naturalna smiercia. – Tora mowi: "oko za oko, zab za zab". Byli bandytami. – A czy byli bandytami zawsze? Czy zostaliby bandytami w latach, ktore nadejda? – Pewnie. Kto raz zostal bandyta, zawsze bedzie bandyta. Skladaja przysiege czy cos w tym rodzaju. Poza tym nie ty ich zabiles. – Ale ich nie ocalilem i oslepilem lucznika. To nie bylo sprawiedliwe. – Rozzlosciles sie. – To zadne wytlumaczenie. – Jak to, zadne wytlumaczenie? Jestes Synem Bozym. Bog potopem usunal wszystkich na calej ziemi, bo sie rozgniewal. – Nie jestem pewien, czy to bylo sluszne. – Slucham? – Musimy jechac do Kabulu. Sprobuje przywrocic temu czlowiekowi wzrok… jesli zdolam. – Joszua, to lozko jest najwygodniejszym miejscem, w jakim sie znalazlem. Mozemy zaczekac z tym wyjazdem do Kabulu? – Chyba tak.

Joszua milczal przez dluzszy czas i juz myslalem, ze zasnal. Nie chcialem jeszcze spac, ale tez nie mialem ochoty na dalsza rozmowe o martwych bandytach. – Hej, Josh? – Co? – Jak myslisz, co jest w tym pokoju za zelaznymi drzwiami? Jak on to nazwal? – Xiong zai. – Wlasnie, Xiong zai. Jak myslisz, co to takiego? – Nie wiem, Biff. Moze powinnismy zapytac naszego nauczyciela. – Xiong zai oznacza dom zguby w mowie feng shui – wyjasnila Drobne Stopki Boskiego Tanca Radosnego Orgazmu.

Kleczala przed niskim kamiennym stolikiem, na ktorym staly ceramiczny czajnik i filizanki. Miala na sobie czerwona jedwabna szate, wyszywana w zlote smoki i przewiazana czarnym pasem. Jej wlosy byly czarne i tak dlugie, ze wiazala je w wezel, by nie wlokly sie po podlodze, kiedy podaje nam herbate. Twarz w ksztalcie serca o skorze gladkiej jak polerowany alabaster; jesli kiedykolwiek przebywala na sloncu, to wszelkie slady tego zdarzenia dawno zniknely. Nosila tez drewniane sandaly, jedwabnymi wstazkami utrzymywane na stopach, ktore – jak mozna wnioskowac z jej imienia – byly malenkie. Minely trzy dni lekcji, nim zebralem sie na odwage i spytalem ja o zamkniety pokoj.

Nalala herbaty wykwintnie, ale bez zbednych ceremonii, jak przez te trzy dni przed zajeciami. Ale tym razem, zanim podala mi filizanke, dolala jeszcze krople plynu z malenkiej porcelanowej buteleczki, jaka nosila zawieszona na lancuszku na szyi. – Co jest w tej buteleczce, Radosna?

Nazywalem ja Radosna, Pelne imie bylo za dlugie i niewygodne w uzyciu podczas rozmowy. Kiedy probowalem innych zdrobnien (Drobne Stopki, Boski Taniec i Orgazm), nie reagowala przychylnie. – Trucizna – powiedziala z usmiechem Radosna. Wargi w tym usmiechu byly wstydliwe i dziewczece, ale oczy usmiechaly sie tysiacletnia przebiegloscia. – Ach…

Sprobowalem herbaty. Byla mocna i aromatyczna, jak wczesniej; dzis jednak wyczulem w niej sugestie goryczy. – Biff, czy domyslisz sie, jaka jest dzisiejsza lekcja? – spytala Radosna. – Myslalem, ze powiesz mi, co jest w tym pokoju domu zguby. – Nie, to nie jest dzisiejsza lekcja. Baltazar nie chce, zebys wiedzial, co jest w tym pokoju. Zgaduj dalej.

Palce rak i nog zaczely mi dretwiec i nagle uswiadomilem sobie, ze nie czuje skory na glowie. – Nauczysz mnie, jak robic ten ognisty proszek, ktorego uzyl Baltazar, kiedy tu przybylismy? – Nie, gluptasie.

Smiech Radosnej pobrzmiewal muzycznym dzwiekiem plusku czystego strumyka na kamieniach. Pchnela mnie lekko w piers, a ja upadlem na plecy, niezdolny do wykonania zadnego ruchu. – Dzisiejsza lekcja to… jestes gotow? Steknalem. Tylko tyle moglem zrobic. Usta tez mialem sparalizowane. – Dzisiejsza lekcja to: jesli ktos doleje ci trucizny do herbaty, nie pij jej. – Uch-och… – wybelkotalem. – No tak – rzekl Baltazar. – Widze, ze Drobne Stopki Boskiego Tanca Radosnego Orgazmu ujawnila, co trzyma w tej malej buteleczce na szyi. – Zasmial sie i oparl na poduszkach. – On nie zyje? – zapytal Joszua.

Dziewczeta ulozyly moje sparalizowane cialo obok Joszuy, a potem uniosly mnie, zebym mogl patrzec na Baltazara. Cudowna Brama Niebianskiej Wilgoci Numer Szesc, ktora dopiero poznalem i nie zdazylem jeszcze nazwac, wpuscila mi jakies krople do oczu, by pozostaly wilgotne, gdyz wyraznie stracilem zdolnosc mrugania. – Nie – uspokoil Josha Baltazar. – Nie jest martwy. Tylko rozluzniony. Joszua dzgnal mnie palcem w zebra, na co oczywiscie nie zareagowalem. – Naprawde rozluzniony – stwierdzil.

Cudowna Brama Niebianskiej Wilgoci Numer Szesc wreczyla Joszui fiolke z kroplami, po czym wyszla wraz z innymi dziewczetami. – Moze nas widziec i slyszec? – spytal Joszua. – O tak, jest calkowicie przytomny. – Hej, Biff, ucze sie o Chi! – krzyknal mi Josh prosto w ucho. – Plynie wszedzie wokol nas. Nie mozna jej zobaczyc, uslyszec ani wyczuc, ale jest. – Nie musisz tak krzyczec – powiedzial Baltazar. Co i ja bym powiedzial, gdybym mogl mowic. Joszua wpuscil mi krople do oczu. – Przepraszam. – Zwrocil sie do Baltazara: – Ta trucizna… skad ona pochodzi? – Studiowalem u pewnego medrca w Chinach. Byl nadwornym trucicielem cesarza. On mnie tego nauczyl, wraz z wieloma innymi elementami magii pieciu pierwiastkow. – Na co cesarzowi jest potrzebny truciciel? – Pytanie, jakie moglby zadac tylko wiesniak. – Odpowiedz, jakiej tylko glupek moglby udzielic – odparl Joszua. Baltazar sie rozesmial. – Niech wiec tak

bedzie, dziecie gwiazdy. Pytanie szczerze zadane zasluguje na szczera odpowiedz. Otoz cesarz ma wielu przeciwnikow, ktorych chcialby sie pozbyc. Ale co wazniejsze, ma tez wielu przeciwnikow, ktorzy chcieliby pozbyc sie jego. Ow medrzec przez wiekszosc czasu sporzadzal wiec glownie odtrutki. – Czyli istnieje antidotum na te trucizne? – upewnil sie Joszua, klujac mnie palcem w zebra po raz drugi. – W swoim czasie. W swoim czasie. Napij sie jeszcze wina, Joszua. Chcialbym podyskutowac z toba o trzech klejnotach Tao. Trzy klejnoty Tao to wspolczucie, umiarkowanie i pokora…

Godzine pozniej przyszly cztery chinskie dziewczyny, podniosly mnie, wytarly podloge w miejscu, gdzie ja zaslinilem, i przeniosly do mojego pokoju. Kiedy mijaly okute zelazem drzwi, uslyszalem skrobanie, a glos w mojej glowie powiedzial: "Otworz te drzwi, maly". Dziewczeta jednak nic nie zauwazyly. W moim pokoju umyly mnie, wlaly mi w usta mocny bulion, ulozyly na lozku i zamknely mi oczy. Slyszalem, jak wchodzi Joszua i jak sie krzata, szykujac do snu. – Baltazar obiecal, ze niedlugo kaze Radosnej podac ci odtrutke – zapewnil. – Ale najpierw musisz opanowac pewna lekcje. Twierdzi, ze to chinska metoda nauczania. Dziwna, nie sadzisz? Gdybym potrafil wydac z siebie glos, zgodzilbym sie, ze istotnie bardzo dziwna.

No wiec juz wiecie:

Konkubin Baltazara bylo osiem, a ich imiona brzmialy:

Drobne Stopki Boskiego Tanca Radosnego Orgazmu, Cudowne Wrota Niebianskiej Wilgoci Numer Szesc, Kusicielka Zlotego Blasku Ksiezyca Plonow, Delikatna Postac Dwoch Psow Fu Walczacych pod Kocem, Kobieca Strazniczka Trzech Tuneli Nadmiernej Przyjazni, Jedwabiste Poduszki Niebianskiej Miekkosci Oblokow, Straczki Grochu w Sosie z Kaczki z Chrupkim Makaronem, oraz

Sue.

Zastanawialem sie, jak kazdy mezczyzna, nad pochodzeniem, motywacjami i tak dalej. A ze kazda z konkubin byla piekniejsza od poprzedniej – niezaleznie od porzadku, w jakim by sie je ustawilo, co jest niezwykle – po kilku tygodniach nie moglem juz opanowac ciekawosci, drapiacej moj mozg niczym kot w koszyku. Zaczekalem na jedna z tych rzadkich okazji, kiedy zostalem sam z Baltazarem, i zapytalem. – Dlaczego Sue? – Zdrobnienie od Susanna – wyjasnil Baltazar. No i macie.

Ich pelne imiona byly troche niewygodne, a proba wymowienia ich po chinsku dawala dzwiek, jakby ktos zrzucil ze schodow worek sztuccow (ting, tong, yang, wing itd.), wiec Joszua i ja nazywalismy dziewczeta tak:

Radosna,

Numer Szesc,

Ksiezyc,

Dwa Psy Fu,

Tunele,

Poduszki,

Straczki, oraz oczywiscie

Sue, ktorej nie potrafilem skrocic.

Oprocz grupy mezczyzn, ktorzy co dwa tygodnie dostarczali z Kabulu zapasy, a przy okazji wykonywali wszystkie ciezkie prace, osiem kobiet zajmowalo sie wszystkim. Mimo polozenia na odludziu i oczywistego bogactwa fortecy, nie bylo tu zadnych strazy. Uznalem, ze to interesujace.

Przez nastepny tydzien Radosna uczyla mnie znakow, ktore musialem poznac, by przeczytac Ksiege boskich eliksirow albo dziewiec trojnogow Zoltego Cesarza oraz Ksiege plynnej perly w dziewieciu cyklach oraz dziewieciu eliksirow boskich niesmiertelnych. Plan byl taki, ze kiedy juz dobrze poznam te starozytne teksty, moge pomagac Baltazarowi w jego poszukiwaniach niesmiertelnosci. Co zreszta bylo przyczyna, dla ktorej sie tu znalezlismy, powodem, ze Baltazar podazyl za gwiazda do Betlejem po narodzinach Joszuy i polecil Ahmadowi wypatrywac Zyda, pytajacego o afrykanskiego maga. Baltazar pragnal niesmiertelnosci i wierzyl, ze klucz do niej znajdzie u Joszuy. Oczywiscie wtedy nie mielismy o tym pojecia.

Moja koncentracja przy studiowaniu znakow byla wyjatkowo silna, wspomagana jeszcze przez fakt, ze nie moglem poruszyc zadnym miesniem. Co rano Dwa Psy Fu i Poduszki (obie nazwane tak ze wzgledu na swe kragle ksztalty, ktorym najwyrazniej towarzyszyla spora sila) wyciagaly mnie z lozka, wyciskaly nad latryna, kapaly, wlewaly we mnie bulion, a potem niosly do biblioteki i sadzaly na krzesle. Radosna zaczynala wyklad o chinskich znakach, ktore malowala wilgotnym pedzelkiem na wielkich tabliczkach ustawionych na sztalugach. Czasami inne dziewczeta zostawaly takze i ustawialy moje cialo w roznych pozycjach, ktore je smieszyly. I chociaz powinienem sie irytowac tym ponizaniem, to, prawde mowiac, obserwowanie, jak paroksyzmy dziewczecego smiechu wstrzasaja Poduszkami i Dwoma Psami Fu, szybko stalo sie najciekawszym punktem moich sparalizowanych dni.

W poludnie Radosna robila przerwe. Dwie lub wiecej z pozostalych dziewczat wyciskaly mnie nad latryna, wlewaly wiecej bulionu, a potem draznily sie ze mna bezlitosnie, az wracala Radosna, klaskala glosno i odsylala je mocno zbesztane. (Radosna byla tu glowna konkubina i baly sie jej, mimo drobnych stopek).

Czasami podczas tych przerw Joszua opuszczal lekcje i skladal mi wizyte w bibliotece. – Dlaczego pomalowalyscie go na niebiesko? – zapytal kiedys. – Dobrze wyglada w niebieskim – odparla Straczki. Dwa Psy Fu i Tunele staly obok z mokrymi pedzlami i podziwialy swe dzielo. – Nie bedzie z tego zadowolony, kiedy juz dostanie antidotum, to moge wam obiecac. – Po czym Joszua zwrocil sie domnie: – A wiesz, rzeczywiscie calkiem dobrze wygladasz taki nie bieski.

Biff, wstawilem sie za ciebie u Radosnej, ale uwaza, ze jeszcze nie opanowales tej lekcji. Ale opanowales, prawda? Przestan oddychac na sekunde, jesli odpowiedz brzmi: tak. Przestalem. – Tak myslalem. – Joszua schylil sie do mojego ucha. – Chodzi o ten pokoj za zelaznymi drzwiami. To jest ta lekcja, ktora masz sobie przyswoic. Mam przeczucie, ze gdybym zapytal o ten pokoj, teraz stalbym oparty obok ciebie. – Wyprostowal sie. – Musze juz isc. Sam rozumiesz, trzy klejnoty do nauki. Jestem przy wspolczuciu. To nie takie trudne, jak sie wydaje.

Dwa dni pozniej Radosna przyniosla mi do pokoju herbate. Spod swej szaty w smoki wyciagnela mala buteleczke i podsunela mi ja przed oczy. – Widzisz te dwa male koreczki, bialy z jednej strony naczynia, a czarny z drugiej? Pod tym czarnym jest trucizna, ktora ci podalam. Pod bialym jest antidotum. Mysle, ze opanowales juz swoja lekcje.

Zaslinilem sie w odpowiedzi. Mialem szczera nadzieje, ze nie pomylila koreczkow. Przechylila buteleczke nad filizanka herbaty, a potem wlala mi herbate do gardla. Polowa oblala mi tunike. – Minie troche czasu, nim zacznie dzialac. Mozesz doznac pewnych niewygod, nim trucizna calkiem zniknie z ciala.

Radosna upuscila buteleczke do jej gniazda w szczelinie chinskich piersi, pocalowala mnie w czolo i wyszla. Gdybym mogl, zasmialbym sie z niebieskiej farby, ktora miala na wargach. Ha!

Pewnych niewygod, mowila. Przez prawie dziesiec dni niczego nie czulem, a potem nagle wszystko wrocilo. Wyobrazcie sobie, ze wytaczacie sie z lozka prosto do… bo ja wiem… do jeziora wrzacego oleju. – Jeczacy Jozafacie! Joszua, zaraz wyczolgam sie z wlasnej skory.

Bylismy w naszej kwaterze, jakas godzine po przyjeciu antidotum. Baltazar wyslal Joszue, by mnie odszukal i przyprowadzil do biblioteki. Pewnie chcial sprawdzic, jak sobie radze.

Josh polozyl mi dlon na czole, ale zamiast zwyklego ukojenia, jakie przynosil ten gest, mialem wrazenie, ze polozyl mi na skorze rozzarzone zelazo. Odepchnalem jego rece. – Dzieki, ale to nie pomaga. – Moze kapiel? – zaproponowal. – Probowalem. Rany, to mnie doprowadzi do obledu! Skakalem w kolko, bo nie wiedzialem, co jeszcze moglbym zrobic. – Moze Baltazar ma cos, co ci pomoze… – Prowadz – powiedzialem. – Wszystko lepsze niz siedzenie tutaj.

Ruszylismy korytarzem, kilka poziomow w dol, do biblioteki. Kiedy schodzilismy jedna ze spiralnych ramp, chwycilem Joszue za ramie. – Josh, przyjrzyj sie tej rampie! Widzisz cos? Obejrzal powierzchnie, potem sie odchylil, by zbadac boczne sciany. – Nie. A powinienem? – Te sciany, podloga, sklepienie… Niczego nie zauwazyles? Rozejrzal sie. – Sa z litej skaly? – Tak, ale co jeszcze? Patrz dobrze. Przypomnij sobie domy, ktore budowalismy w Seforis. Czy teraz tez niczego nie widzisz? – Nie ma sladow po narzedziach? – Wlasnie. Przez ostatnie dwa tygodnie wciaz gapilem sie na sufity i sciany, bo nie mialem nic lepszego do ogladania. Nie ma zadnych sladow uzycia dluta, kilofa, mlotka, niczego. Calkiem jakby wszystkie te pomieszczenia przez tysiace lat rzezbil wiatr, ale wiesz przeciez, ze tak nie bylo. – Co z tego

wynika? – spytal Josh. – Z tego wynika, ze z Baltazarem i dziewczetami chodzi o cos wiecej, niz on mowi. – Powinnismy ich zapytac. – Nie, nie powinnismy, Josh. Nie rozumiesz? Musimy odkryc, co sie dzieje, ale tak, zeby nie odgadli, ze wiemy. – Dlaczego? – Dlaczego! Dlaczego! Bo kiedy ostatni raz zadalem pytanie, zostalem otruty. Dlatego. I mysle, ze gdyby Baltazar nie wierzyl, ze masz cos, na czym mu zalezy, nigdy nie zobaczylbym odtrutki. – Ale ja niczego nie mam – oswiadczyl szczerze Joszua. – Moze masz cos, o czym nie wiesz, i nie wolno ci zwyczajnie zapytac, co to takiego. Musimy byc podstepni. Sprytni. Przebiegli. – Ale ja sobie z tym nie radze… Objalem przyjaciela ramieniem. – Nie zawsze tak swietnie jest byc Mesjaszem, co?

Moglbym skopac tylek temu gnojkowi – oswiadczyl aniol. Podskakiwal na lozku i wymachiwal piescia w strone ekranu. – Razielu – powiedzialem. – Jestes aniolem Pana, a on to zawodowy zapasnik. Mysle, ze zdolnosc skopania jego gnojkowatego tylka rozumie sie sama przez sie.

Trwalo to juz od kilku dni. Aniol odkryl w sobie nowa pasje. Recepcja dzwonila z dziesiec razy i dwa razy przyslali portiera z prosba, zeby sie uspokoil. – Poza tym oni tylko udaja. Raziel spojrzal na mnie, jakbym go spoliczkowal. – Nie zaczynaj od poczatku. To nie sa aktorzy. – Padl na wznak na lozko. – Ooo, ooo, widziales? Przylozyla mu krzeslem. I luzik, zasuwaj, dziewczyno! Ostra jest.

Tak to teraz wyglada. Talk-show z jakimis wybitnymi ignorantami, seriale i zapasy. A aniol strzeze pilota jakby to byla Arka Przymierza. – Wlasnie dlatego – powiedzialem – anioly nigdy nie otrzymaly wolnej woli. Powod widzimy tutaj. Poniewaz caly swoj czas poswiecalibyscie na cos takiego. – Doprawdy? – Raziel przyciszyl telewizor, chyba po raz pierwszy od paru dni. – Wytlumacz mi zatem, Lewi, ktory zwany jestes BifFem: jesli ogladajac to, zle wykorzystuje te odrobine wolnosci, jaka otrzymalem przy wypelnianiu tej misji, co pomyslisz o swoim ludzie? – Przez "moj lud" rozumiesz wszystkie ludzkie istoty? – Gralem na czas. Nie pamietalem, zeby kiedykolwiek wczesniej aniol wyglosil jakas sensowna uwage, wiec nie bylem przygotowany. – Ale to nie moja wina. Bylem martwy przez dwa tysiace lat. Nie dopuscilbym do czegos takiego. – Aha… – Aniol skrzyzowal rece na piersi i przyjal poze niedowierzania, ktora podpatrzyl u jakiegos gangsta-rapera z MTV

Jesli juz czegos sie nauczylem od Jana Chrzciciela, to ze im szybciej czlowiek przyzna sie do bledu, tym szybciej bedzie mogl popelniac nowe i lepsze. Aha… i zeby nie wkurzac Salome. To tez bylo niezle. – No dobra, spapralismy – przyznalem. – I o to biega – odparl aniol, wyraznie bardzo z siebie zadowolony.

Tak? A gdzie byl, kiedy potrzebowalismy go wraz z jego mieczem sprawiedliwosci w fortecy Baltazara? Pewnie w Grecji i ogladal zapasy.

Kiedy dotarlismy do biblioteki, Baltazar siedzial przy ciezkim, rzezbionym w smoki stoliku, jadl kawal sera i popijal winem. Tunele i Straczki wylewaly na jego lysa glowe zolty wosk i rozprowadzaly go drewnianymi lopatkami. Sztalugi i tabliczki z moich lekcji staly oparte o polki pelne zwojow i woluminow. – Dobrze ci w niebieskim – zauwazyl Baltazar. – Tak, wszyscy mi

to mowia.

Farba, kiedy juz wyschla, nie dawala sie zmyc. Ale przynajmniej skora przestala mnie swedziec. – Wejdzcie, siadajcie. Napijcie sie wina. Rano przywiezli ser z Kabulu. Sprobujcie.

Joszua i ja zajelismy miejsca na krzeslach, naprzeciwko maga. Josh, calkowicie w swoim stylu, zlekcewazyl moja rade i wprost zapytal Baltazara o drzwi.

Wesoly czarownik nagle spowaznial. – Istnieja tajemnice, z ktorymi musicie nauczyc sie zyc. Czy wasz wlasny Bog nie powiedzial Mojzeszowi, ze nikt nie moze spojrzec na Jego twarz, a prorok sie z tym pogodzil? Tak i wy musicie pogodzic sie z tym, ze nie mozecie wiedziec, co jest w pokoju za zelaznymi drzwiami. – On zna Tore, Prorokow i Pisma rowniez – zapewnil mnie Joszua. – Baltazar wie o Salomonie wiecej niz wszyscy rabini i kaplani w Izraelu. – I swietnie, Josh. – Wreczylem mu kawalek sera, zeby mial jakies zajecie. I zwrocilem sie do Baltazara: – Ale zapomniales o boskim tylku.

Czlowiek nie moze wloczyc sie z Mesjaszem przez wieksza czesc zycia, zeby nie liznac przy tym Tory. – Co? – zdziwil sie mag.

W tej wlasnie chwili dziewczeta chwycily za brzegi stwardnialej woskowej skorupy i jednym szybkim ruchem zerwaly ja z glowy Baltazara. – Au, wy drapiezne harpie! Nie mozecie mnie ostrzegac, kiedy chcecie to robic? Wynocha!

Dziewczeta zachichotaly, kryjac pelne satysfakcji usmieszki za delikatnymi wachlarzami, malowanymi w bazanty i kwiaty sliwy. Wybiegly z biblioteki, pozostawiajac za soba echo dziewczecego smiechu. – Nie ma na to jakiegos latwiejszego sposobu? – zdziwil sie Joszua. Baltazar zmarszczyl gniewnie brwi. – Nie wydaje ci sie, ze gdyby taki sposob istnial, to przez dwie scie lat bym go odkryl? Joszua upuscil ser. – Dwiescie lat? – Masz fryzure, jaka lubisz, wiec jej nie zmieniaj – wtracilem. – Choc trudno to nazwac fryzura w scislym sensie. Baltazara to nie rozbawilo. – O co chodzi z tym boskim tylkiem? – Taka moda raczej sie nie przyjmie – dodalem.

Wstalem i podszedlem do polki, na ktorej zauwazylem egzemplarz Tory. Na szczescie byl to kodeks – cos podobnego do wspolczesnej ksiazki; inaczej musialbym przez dwadziescia minut przewijac zwoj i stracilbym caly dramatyczny efekt. Szybko znalazlem Ksiege Wyjscia. – O, tutaj mam fragment, o ktory ci chodzi. "I znowu rzekl: Nie bedziesz mogl ogladac mojego oblicza, gdyz zaden czlowiek nie moze ogladac mojego oblicza i pozostac przy zyciu". Zgadza sie? A potem Pan kladzie reke na Mojzeszu, kiedy przechodzi, i mowi: "A gdy cofne reke, ujrzysz mie z tylu, lecz oblicza mojego tobie nie ukaze". – I co? – zdziwil sie Baltazar. – Czyli Bog pozwolil Mojzeszowi ogladac swoj tylek. Zatem, skoro wykorzystales ten przyklad, winien nam jestes boski tylek. Dlatego powiedz, co sie dzieje w tym pokoju za zelaznymi drzwiami. Genialne. Umilklem i rozkoszujac sie zwyciestwem, studiowalem blekit moich paznokci. – To najglupsza rzecz, jaka slyszalem – oswiadczyl Baltazar. Chwilowe zmieszanie zastapil spokoj i lekkie rozbawienie mistrza wobec prob uczniow. – A jesli powiem, ze wiedza o tym, co znajduje

sie za zelaznymi drzwiami, jest dla was teraz zbyt niebezpieczna, natomiast kiedy ukonczycie szkolenie, nie tylko poznacie te wiedze, ale tez da wam wielka moc? Gdy uznam, ze jestescie gotowi, obiecuje, ze pokaze wam, co przebywa za tymi drzwiami. Ale wy musicie obiecac, ze bedziecie pilnie studiowac i przykladac sie do lekcji. Czy mozecie to zrobic? – Czy zabraniasz nam zadawania pytan? – upewnil sie Jo-szua. – Alez nie. Po prostu na pewien czas odmawiam niektorych odpowiedzi. A mozecie mi wierzyc, czas to jedna z rzeczy, ktorych mi nie brakuje. Joszua spojrzal na mnie. – Wciaz nie wiem, czego powinienem sie tutaj nauczyc, ale jestem pewien, ze jeszcze sie nie nauczylem.

Blagal wzrokiem, by nie naciskac w tej sprawie. Postanowilem ustapic. Zreszta nie mialem ochoty znow skosztowac trucizny. – Ile one potrwaja? – zapytalem. – Znaczy, te lekcje? – Niektorzy z uczniow potrzebuja lat, by poznac nature Chi. Ale w czasie nauki niczego wam nie zabraknie. – Lat? Mozemy sie zastanowic? – Jak dlugo chcecie. – Baltazar wstal. – Musze teraz pojsc do komnaty dziewczat. Lubia pocierac nagimi piersiami o moja glowe zaraz po woskowaniu, kiedy jest najgladsza.

Przelknalem sline. Joszua usmiechnal sie tylko, patrzac na blat stolu. Czesto sie zastanawialem – nie tylko wtedy, ale wlasciwie bez przerwy – czy Joszua posiadl umiejetnosc wylaczania w razie potrzeby wyobrazni. Na pewno… Inaczej nie wiem, jak moglby przezwyciezac pokusy. Ja przeciwnie, bylem niewolnikiem swej wyobrazni, a ona teraz szalala wizjami masazu glowy Baltazara. – Zostaniemy. Bedziemy sie uczyc. Zrobimy to co konieczne – rzeklem. Joszua wybuchnal smiechem. Dopiero po chwili uspokoil sie na tyle, by mowic. – Tak, zostaniemy i bedziemy sie uczyc, Baltazarze. Ale najpierw musze wrocic do Kabulu i zakonczyc pewna sprawe. – Oczywiscie – zgodzil sie Baltazar. – Mozesz jechac juz jutro. Ktoras z dziewczat wskaze ci droge. Ale teraz musze sie pozegnac.

Czarownik wyszedl. Joszua znowu dostal ataku smiechu, a ja zaczalem sie zastanawiac, jak wygladalbym z ogolona glowa.

Rankiem przyszla do naszego pokoju Radosna, ubrana w stroj pustynnego kupca: luzna tunika, miekkie skorzane buty i pan-talony. Wlosy ukryla pod turbanem, a w reku trzymala dluga szpicrute. Poprowadzila nas korytarzem, siegajacym gleboko we wnetrze gory, a konczacym sie na stromej scianie urwiska. Po sznurowej drabince dotarlismy na szczyt plaskowyzu, gdzie czekaly juz Poduszki i Sue z trzema wielbladami, osiodlanymi i wyekwipowanymi na krotka wyprawe. Na plaskowyzu znajdowala sie niewielka farma, kilka klatek pelnych kur, troche koz i pare swin w zagrodzie. – Trudno bedzie sprowadzic te wielblady po sznurowej drabince – zauwazylem. Radosna zmarszczyla brwi i owinela twarz turbanem tak, ze tylko oczy pozostaly odkryte. – Jest sciezka na sam dol – wyjasnila.

Uklula wielblada szpicruta i odjechala. Joszua i ja musielismy szybko wdrapywac sie na wierzchowce, by za nia nadazyc. Sciezka prowadzaca z plaskowyzu byla akurat tak szeroka, by przeszedl nia pojedynczy rozkolysany wielblad. Przekonalem sie jednak, ze z dolu nie da sie jej wypatrzyc – tak jak wejscia do tego wawozu, w ktorym znajdowala sie glowna brama. Dodatkowy srodek bezpieczenstwa dla fortecy bez zadnych strazy – tak wtedy pomyslalem. –

Pewnie jest zla, bo nie moze sie nade mna znecac – zgadywalem. – Rozumiem, ze moglo to zepsuc jej nastroj – zgodzil sie Joszua. – Moze gdybys pozwolil wielbladowi sie ugryzc… Wiesz, mnie to zawsze poprawia humor.

Wyprzedzilem go i jechalem dalej bez slowa. Naprawde mozna sie zdenerwowac, kiedy czlowiek wynajduje cos tak rewolucyjnego jak sarkazm, a potem widzi, jak marnie wykorzystuja jego odkrycie amatorzy.

W Kabulu Radosna rozpoczela poszukiwania oslepionego straznika, pytajac kazdego napotkanego niewidomego zebraka, czy nie widzial slepego lucznika, ktory troche ponad tydzien temu przybyl z karawana wielbladow.

Joszua i ja szlismy za nia i rozpaczliwie usilowalismy zachowac powage za kazdym razem, kiedy sie na nas obejrzala. Joszua chcial jej wskazac zasadniczy blad stosowanej metody, ja natomiast wolalem smakowac jej bezmyslnosc jako swego rodzaju bierna zemste za to, ze mnie otrula. W jej zachowaniu nie bylo tej pewnosci i kompetencji, jakie okazywala w fortecy. Wyraznie byla nie w swoim zywiole i bardzo mnie to bawilo. – Rozumiesz – tlumaczylem Joszui – to, co robi Radosna, jest ironiczne, choc nie wynika z jej intencji. To podstawowa roznica miedzy ironia i sarkazmem. Ironia moze sie pojawiac spontanicznie, ale sarkazm wymaga udzialu woli. Sarkazm trzeba tworzyc. – Powaznie? – spytal Josh. – Po co ja w ogole marnuje na ciebie czas…

Pozwolilismy Radosnej szukac slepca jeszcze przez godzine, nim poradzilismy, zeby zaczela raczej wypytywac widzacych, a takze ludzi z wielbladzich karawan. Kiedy posluchala, szybko zostalismy skierowani do swiatyni, gdzie podobno oslepiony straznik wybral sobie terytorium. – Tam jest – stwierdzil Joszua.

Wskazal zebraka w lachmanach, przyzywajacego wiernych wchodzacych i wychodzacych ze swiatyni. – Wyglada na to, ze nie bylo mu latwo – uznalem.

Bylem zdumiony, ze straznik, jeden z najbardziej zywotnych (i przerazajacych) ludzi, jakich poznalem, w tak krotkim czasie stal sie istota tak zalosna. Z drugiej strony, nie bralem pod uwage efektow teatralnych. – Doznal wielkiej niesprawiedliwosci – oswiadczyl Joszua. Podszedl i delikatnie polozyl dlon na ramieniu slepca. – Bracie, przybylem, by ulzyc ci w cierpieniu. – Ulitujcie sie nad niewidomym. – Straznik zakolysal drewniana miseczka. – Uspokoj sie. – Joszua zaslonil mu dlonia oczy. – Kiedy cofne reke, znow bedziesz widzial.

Na jego twarzy pojawil sie wyraz koncentracji. Lzy splywaly mu po policzkach i kapaly na bruk. Przypomnialem sobie, jak bez trudu uzdrawial ludzi w Antiochii, i zrozumialem, ze wysilek nie wynika z samego aktu, ale z poczucia winy, ze to wlasnie on oslepil nieszczesnika. Kiedy cofnal reke i odstapil, obaj ze straznikiem zadygotali.

Radosna odsunela sie od nas i zaslonila twarz, jakby chciala sie ochronic przed zlym powietrzem. – Czy widzisz? – zapytal Joszua. – Widze, ale nic sie nie zgadza. Ludzie wydaja

sie niebiescy. – Nie, on jest niebieski. Pamietasz go? To moj przyjaciel Biff. – Zawsze byles niebieski? – Nie, dopiero od niedawna.

Zdawalo sie, ze straznik dopiero teraz zobaczyl Joszue. Wyraz oszolomienia na jego twarzy ustapil nienawisci. Skoczyl, wyciagajac spod lachmanow sztylet. I jednym szybkim ciosem przebilby piers mojego przyjaciela, gdyby w ostatniej chwili Radosna nie podciela mu nog. Mimo to poderwal sie natychmiast i zaatakowal znowu. Zdazylem uniesc reke, by dzgnac go palcami w oczy akurat w chwili, gdy Radosna kopnela go w tyl glowy. Upadl w agonii. – Moje oczy! – wrzeszczal. – Przepraszam – mruknalem.

Radosna odtracila kopnieciem sztylet poza jego zasieg. Chwycilem Joszue i odepchnalem go do tylu. – Lepiej odejdzmy stad, nim znowu bedzie mogl widziec – poradzilem. – Ale przeciez chcialem tylko mu pomoc – tlumaczyl Joszua. – Oslepienie go bylo pomylka. – Josh, jego to nie interesuje. Wie tylko, ze jestes nieprzyjacielem. Wie, ze chce cie zniszczyc. – Sam nie wiem, co wlasciwie robie. Nawet kiedy probuje uczynic to co wlasciwe, wszystko sie zle konczy. – Musimy isc – powiedziala Radosna.

Chwycila Josha pod jedno ramie, a ja pod drugie, i razem go odciagnelismy, nim straznik zdolal wrocic do siebie i sprobowac ponownie.

Radosna miala liste zakupow, ktore Baltazar polecil jej przywiezc z Kabulu. Przez jakis czas szukalismy w koszach mineralu zwanego cynobrem, z ktorego mielismy uzyskac rtec, a takze pewnych barwnikow i przypraw. Joszua podazal za nami w oszolomieniu, dopoki nie trafilismy na kupca sprzedajacego czarne ziarna do przyrzadzania napoju, jaki pilismy w Antiochii. – Kup mi troche – odezwal sie Joszua. – Radosna, kup troche tych ziaren.

Tak zrobila, a Joszua przez cala droge powrotna do fortecy sciskal worek z ziarnami niczym niemowle. Jechalismy w milczeniu i dopiero tuz przed poczatkiem ukrytej sciezki na plaskowyz przygalopowala do mnie Radosna. – Jak on to zrobil? – spytala. – Co? – Widzialam, jak wyleczyl oczy tego czlowieka. Jak to zrobil? Znam wiele rodzajow magii, ale nie zauwazylam zadnych rzucanych zaklec, zadnych mieszanych eliksirow. – Rzeczywiscie, to bardzo potezna magia.

Obejrzalem sie, czy Josh przypadkiem nie slucha. Tulil swoje ziarna kawy i mamrotal pod nosem, tak jak przez cala droge. Pewnie sie modlil. – Powiedz mi, jak to sie robi – poprosila Radosna. – Pytalam Joszue, ale on tylko recytuje cos i wyglada jak oglupialy. – Dobrze, moge ci wytlumaczyc, ale ty za to mi powiesz, co jest za zelaznymi drzwiami. – Nie moge. Moge jednak zaproponowac inna wymiane. – Odsunela z twarzy turban i sie usmiechnela. W swietle ksiezyca byla oszalamiajaco piekna, nawet w meskim ubraniu. – Znam ponad tysiac sposobow dawania mezczyznie rozkoszy, a to tylko te, ktore opanowalam osobiscie. Inne dziewczeta tez znaja wiele sztuczek i chetnie ci je pokaza. – Tak, ale na co mi sie to przyda? Po co mi wiedziec, jak dawac mezczyznie rozkosz?

Radosna zerwala turban z glowy i trzepnela mnie nim po glowie. Obloczek kurzu odplynal w

mrok. – Jestes glupi, jestes niebieski, a kiedy nastepnym razem cie otruje, na pewno uzyje czegos, na co nie ma antidotum! Czyli nawet madra i nieprzenikniona Radosna moze sie zdenerwowac… Usmiechnalem sie. – Przyjme wasze skromne dary – oswiadczylem tak pompatycznie, jak tylko potrafi dorastajacy chlopak. – W zamian naucze was najwiekszego sekretu naszej magii. Sekretu, ktory jest moim wynalazkiem. Nazywa sie sarkazm. – Kiedy wrocimy do domu, zrobimy sobie kawe – odezwal sie Joszua.

Nielatwo bylo przeciagac proces tlumaczenia, w jaki sposob Joszua przywrocil straznikowi wzrok – zwlaszcza ze nie mialem o tym pojecia. Ale dzieki starannemu prowadzeniu na manowce, sciemnianiu, wykretom, podstepom i calkowitym bredniom zdolalem wymienic brak wiedzy na miesiace bezwstydnego polerowania laski przez piekna Radosna i jej sliczne podwladne. W jakis sposob zmniejszylo sie u mnie pragnienie wiedzy o tym, co jest za zelaznymi drzwiami, i wyjasnienia innych tajemnic fortecy Baltazara; bylem calkiem zadowolony, za dnia opanowujac wyznaczone przez maga lekcje, a noca do granic wysilajac wyobraznie nad matematycznymi kombinacjami. Pewna wada tej sytuacji bylo to, ze Baltazar zabilby mnie, gdyby sie dowiedzial, ze korzystam z urokow jego konkubin, ale czy wykradziony owoc nie jest slodszy? Och, byc mlodym i zakochanym (w osmiu chinskich konkubinach).

Tymczasem Joszua przystapil do studiow z typowym dla siebie zapalem, pchany w duzej czesci kawa, ktora pil co rano i tak wibrowal z entuzjazmu, ze niemal czulo sie to przez podloge. – Spojrz tylko, Biff. Widzisz? Zapytany, mistrz Konfucjusz odpowiedzial: "Za krzywde plac sprawiedliwoscia, a za dobro dobrem". A jednak Lao-tzu mowi: "Za krzywde dobrem odplacaj". Nie rozumiesz?

Joszua prawie tanczyl, wlokac za soba wstegi zwojow, w nadziei ze jakos sie zaraze entuzjazmem dla starozytnych tekstow. A ja probowalem. Naprawde. – Nie, nie rozumiem. Tora mowi "oko za oko, zab za zab". To jest sprawiedliwosc. – Otoz to. Uwazam, ze Lao-tzu ma racje. Dobroc jest wazniejsza od sprawiedliwosci. Jesli szukasz sprawiedliwosci poprzez kare, mozesz jedynie sprawic wiecej cierpienia. To nie moze byc sluszne! A to przeciez rewelacja! – Nauczylem sie dzisiaj, jak gotowac kozia uryne, zeby uzyskac material wybuchowy – powiedzialem. – To tez niezle – przyznal Joszua.

Cos takiego moglo sie zdarzyc o kazdej porze. Joszua przybiegal rozgoraczkowany z biblioteki, czesto w srodku nocy, przerywal mi jakis zlozony, sliski wezel ze Straczkami, Poduszkami i Tunelami – gdy Numer Szesc zaznajamiala nas z pieciuset nefrytowymi bozkami roznej glebokosci i faktury – odwracal wzrok, bym mogl sie wytrzec, a potem wciskal mi w reke jakis tom i zmuszal do czytania fragmentu, a sam opisywal entuzjastycznie mysli jakiegos dawno zmarlego medrca. – Mistrz mowi: "istota doskonalsza potrafi w istocie pokonac zadze, ale istota nizsza, kiedy napotyka zadze, oddaje sie wyuzdanym ekscesom". On pisze o tobie, Biff. Ty jestes nizsza istota. – Bardzo mi to pochlebia – zapewnilem, patrzac, jak Numer Szesc smetnie pakuje swoich bozkow do ogrzewanej mosieznej skrzynki, gdzie zamieszkiwali. – Dziekuje, ze przyszedles, by mi to powiedziec.

Powierzono mi zadanie opanowania waidan, czyli alchemii swiata zewnetrznego. Moja

wiedza miala pochodzic z manipulacji elementami fizycznymi. Joszua za to uczyl sie neidan, alchemii wnetrza. Jego wiedza miala pochodzic ze studiowania wlasnej wewnetrznej natury poprzez kontemplacje mistrzow. Gdy wiec Joszua czytal zwoje i ksiegi, ja spedzalem czas, mieszajac rtec z olowiem, fosfor z siarka, wegiel drzewny z kamieniem filozoficznym, i probowalem jakos pojac nature Tao. Joszua uczyl sie byc Mesjaszem, ja uczylem sie truc ludzi i wysadzac rzeczy. Swiat wydawal sie uporzadkowany. Ja bylem szczesliwy, Joszua byl szczesliwy, Baltazar byl szczesliwy, a dziewczeta… dziewczeta

byly zapracowane. Wprawdzie codziennie mijalem zelazne drzwi (a natretny glos nie ustepowal), ale to, co krylo sie za nimi, przestalo byc dla mnie istotne, podobnie jak kilkanascie innych pytan, ktore wraz z Joszua powinnismy zadac naszemu wspanialomyslnemu gospodarzowi.

Zanim sie obejrzelismy, minal rok, po nim dwa kolejne i obchodzilismy w fortecy siedemnaste urodziny Joszuy. Baltazar nakazal dziewczetom, by przygotowaly uczte z chinskich smakolykow, a po niej do poznej nocy pilismy wino. (Jeszcze dlugo, nawet kiedy wrocilismy juz do Izraela, w urodziny Josha zawsze jedlismy chinskie potrawy. Jak slyszalem, stalo sie to tradycja nie tylko wsrod tych z nas, ktorzy znalismy Joszue, ale wsrod Zydow na calym swiecie). – Czy wspominasz czasem dom? – zapytal mnie Josh w noc swego urodzinowego przyjecia. – Czasem – odrzeklem. – A o czym myslisz? – O Maggie. Niekiedy o moich braciach. Niekiedy o matce i ojcu, ale zawsze o Maggie. – Po tych wszystkich swoich doswiadczeniach od tego czasu, nadal myslisz o Maggie?

Joszua coraz mniej sie interesowal natura pozadania. Poczatkowo sadzilem, ze ma to zwiazek z jego studiami, ale wtedy zrozumialem, ze zaciekawienie niknie wobec wspomnien o Maggie. – Joszua, moje wspomnienia o Maggie nie dotycza tego, co sie zdarzylo w noc przed wyruszeniem na nasza wedrowke. Kiedy szedlem na to spotkanie, nie sadzilem, ze bedziemy sie kochac. Pocalunek bylby czyms wiecej, niz sie spodziewalem. Mysle o Maggie, poniewaz zrobilem dla niej miejsce w swoim sercu, i to miejsce jest puste. Zawsze bedzie. Zawsze bylo. Ona kochala ciebie. – Przykro mi, Biff. Nie wiem, jak to uleczyc. Zrobilbym to, gdybym umial. – Wiem, Josh. Wiem. – Nie chcialem rozmawiac o domu, ale Joszua zaslugiwal na to, by zrzucic z siebie to, co go dreczy. A komu jesli nie mnie mial sie zwierzyc? – Czy ty myslisz o domu?

–Tak. Dlatego spytalem. Wiesz, dziewczeta gotowaly dzis bekon i to przypomnialo mi dom. – Czemu? Nie przypominam sobie, zeby ktokolwiek w domu gotowal bekon. – Wiem. Ale gdybysmy troche zjedli, nikt w domu by sie nie dowiedzial.

Wstalem i podszedlem do scianki rozdzielajacej nasze pokoje. Przez okno swiecil ksiezyc i w jego blasku twarz Joszuy jasniala w ten irytujacy sposob, jak to sie czasem zdarzalo. – Joszua, jestes Synem Bozym. Jestes Mesjaszem. Z tego wynika… no, sam nie wiem… wynika, ze jestes Zydem! Nie mozesz jesc bekonu! – Bog nie dba o to, czy jemy bekon. Czuje to. – Naprawde? A w sprawie cudzolostwa nie zmienil zdania? – Nie. – Masturbacji? – Tez nie. –

Zabijania? Kradziezy? Dawania falszywego swiadectwa? Pozadania zony blizniego swego i tak dalej? Wciaz ma te sama opinie? – Tak. – Tylko bekon… Ciekawe. Mozna by sie spodziewac, ze w proroctwach Izajasza znajdzie sie cos na temat bekonu. – Owszem, to zastanawiajace. – Bedziesz potrzebowal czegos wiecej, by wprowadzic nas do Krolestwa Bozego, Josh. Bez urazy… Nie mozemy wrocic do domu z nowina "Hej, jestem Mesjaszem, Bog chcial, zebyscie jedli bekon". – Wiem, Biff. Musimy sie jeszcze wiele nauczyc. Ale przynajmniej sniadania beda bardziej urozmaicone. – Idz juz spac, Josh.

Czas mijal, a ja rzadko widywalem Joszue poza posilkami i kiedy kladlismy sie spac. Prawie caly czas zajmowala mi nauka i pomoc dziewczetom w utrzymywaniu porzadku w fortecy. Tymczasem Josh prawie caly czas spedzal z Baltazarem, co w koncu mialo stac sie problemem.

–To nie jest dobre, Biff – powiedziala po chinsku Radosna. Poznalem jej mowe dostatecznie dobrze i teraz rzadko kiedy odzywala sie do mnie po grecku lub po lacinie. – Baltazar za bardzo zbliza sie do Joszuy. Ostatnio prawie wcale nie posyla po zadna z nas, by towarzyszyla mu w lozu. – Nie sugerujesz chyba, ze Joszua i Baltazar no… hm… bawia sie w pasterzy? Poniewaz wiem, ze to nieprawda. Joszui nie wolno.

Oczywiscie aniol powiedzial, ze Josh nie moze poznac kobiety. Nie wspominal o dziwacznym afrykanskim czarowniku. – Och, jak dla mnie moga sie pieprzyc, az im oczy powypadaja. Ale Baltazar nie moze sie zakochac. Jak sadzisz, czemu jest nas az osiem? – Myslalem, ze to kwestia budzetu. – Nie zauwazyles, ze zadna z nas nie spedza z Baltazarem dwoch nocy z rzedu, albo ze rozmawiamy z nim tylko o tym, co jest konieczne dla naszych obowiazkow i nauk?

Zauwazylem, ale nie przyszlo mi do glowy, ze to cos niezwyklego. W podrecznikach nie doszlismy jeszcze do rozdzialu o wzajemnych stosunkach maga i konkubiny. – I co? – Mam wrazenie, ze on sie zakochuje w Joszui. To niedobrze. – W tej sprawie jestem z toba. Wcale mi sie nie podobalo, kiedy ostatnim razem ktos sie w nim zakochal. Dlaczego dla ciebie to takie wazne? – Nie moge ci powiedziec. Ale wyczuwam ostatnio wieksze poruszenie w domu zguby – odparla Radosna. – Musisz mi pomoc. Jesli mam racje, trzeba Baltazara powstrzymac. Jutro bedziemy ich obserwowac, kiedy zaczniemy regulowac przeplyw Chi w bibliotece. – Nie, Radosna. Tylko nie biblioteczne Chi. Rzeczy w bibliotece sa za ciezkie. Nie znosze tamtejszego Chi.

Chi albo Qi: Oddech Smoka, odwieczna energia plynaca przez wszelkie rzeczy; w rownowadze, w jakiej znajdowac sie powinna, jest w polowie yin, w polowie yang, w polowie swiatlem, w polowie mrokiem, w polowie meska, w polowie zenska. Chi w bibliotece zawsze sie platalo, podczas gdy Chi w pokojach, gdzie byly tylko poduszki albo leciutkie meble, wydawalo sie dobrze uregulowane i zbalansowane. Nie wiem czemu, ale podejrzewalem, ze ma to zwiazek z checia Radosnej, by zmuszac mnie do przenoszenia ciezkich przedmiotow.

Nastepnego ranka Radosna i ja poszlismy do biblioteki, by pod pozorem przekierowywania bibliotecznego Chi szpiegowac Joszue i Baltazara. Radosna niosla skomplikowany mosiezny

instrument, ktory nazywala zegarem Chi – mial podobno wykrywac przeplywy energii. Kiedy tylko weszlismy, mag okazal wyrazna irytacje. – Czy musicie to robic teraz? Radosna sklonila sie nisko. – Bardzo przepraszam, panie, ale to nagly wypadek. Obejrzala sie na mnie i zaczela wydawac rozkazy niczym rzymski centurion. – Przesun ten stolik tam, nie widzisz, ze spoczywa na jadrach tygrysa? A potem ustaw te krzesla przodem do wejscia, stoja na pepku smoka. Mamy szczescie, ze nikt jeszcze nie zlamal tu nogi. – Szczescie, akurat – mruczalem, mocujac sie z ciezkim rzezbionym stolem.

Zalowalem, ze Radosna nie sprowadzila do pomocy dwojki dziewczat. Studiowalem feng shui od ponad trzech lat i wciaz nie umialem wykryc nawet sladu Chi, naplywajacego ani odplywajacego. Joszua godzil sie z istnieniem tej nieuchwytnej energii, tlumaczac, ze to jedynie orientalna metoda wyrazania Boga, obecnego wokol nas i we wszystkim. Moze pomagalo mu to w osiagnieciu jakiegos duchowego zrozumienia, ale jesli chodzilo o ustawianie mebli, bylo rownie skuteczne jak tresowana owca. – Moze pomoge? – zaproponowal. – Nie! – krzyknal Baltazar i wstal. – Bedziemy kontynuowac w moich komnatach – oznajmil. Spojrzal na nas z niechecia. – Pod zadnym pozorem nie wolno nam przeszkadzac. Objal Joszue za ramie i wyprowadzil na korytarz. – To tyle z naszego szpiegowania – stwierdzilem.

Radosna sprawdzila zegar Chi i klepnela dlonia w szafke pelna materialow do nauki kaligrafii. – To z cala pewnoscia tkwi na rogu wolu – oswiadczyla. – Trzeba to przesunac. – Oni juz poszli – przypomnialem. – Nie musimy dluzej udawac. – A kto udaje? Ta szafka przekierowuje cale yin do holu, gdy tymczasem yang krazy niczym drapiezny ptak… – Przestan, Radosna. Wymyslasz to wszystko. Opuscila reke z mosieznym aparatem. – Wcale nie. – Wlasnie, ze tak. – Pomyslalem, ze warto zaryzykowac, by sie przekonac. – Wczoraj sprawdzalem yang w tym pomieszczeniu. Jest w doskonalej rownowadze.

Radosna opadla na kolana, potem na czworakach wpelzla pod jeden z wielkich, rzezbionych smoczych stolow. Tam zwinela sie w klebek i rozplakala. – Nie umiem tego! Baltazar zada, zebysmy wszystkie sie nauczyly, ale ja nigdy nie moglam zrozumiec. Jesli zyczysz sobie Eleganckiej Tortury Tysiaca Rozkosznych Dotkniec, potrafie ja wykonac; chcesz kogos otruc, wykastrowac, wysadzic, jestem wlasciwa osoba. Ale cale to feng shui jest zwyczajnie… – Glupie? – zasugerowalem. – Nie, chcialam powiedziec: za trudne. Teraz rozgniewalam Baltazara i nie dowiemy sie, co sie dzieje miedzy nim a Joszua. A musimy. – Moge sie dowiedziec – oznajmilem, polerujac paznokcie o material tuniki. – Ale musze wiedziec, po co sie dowiaduje. – A jak sie dowiesz? – Znam sposoby bardziej subtelne i chytre niz cala wasza chinska alchemia i kierowanie energii. – I kto teraz zmysla?

Prawie calkiem stracilem w ich oczach wiarygodnosc, przeciagajac gre z wymiana tajemnej wiedzy hebrajskiej na uslugi seksualne az do etapu, kiedy przypisalem sobie odebranie tablic z Dziesiecioma Przykazaniami oraz skonstruowanie Arki Przymierza. (Co? To nie moja wina. To Joszua nigdy nie pozwalal mi byc Mojzeszem, kiedy bawilismy sie jako dzieci). – A jesli sie dowiem, powiesz mi, o co chodzi? Glowna konkubina przygryzla lakierowany paznokiec i zastanowila sie. – A jesli ci powiem, obiecujesz, ze nikomu nie powtorzysz? Nawet swojemu przyjacielowi Joszui? – Obiecuje. – Rob zatem co nalezy. Ale nie zapominaj o swoich lekcjach

ze Sztuki wojny.

Rozwazylem slowa Sun-tzu, ktorych uczyla mnie Radosna: "Badz niezwykle subtelny, az do granic nieprecyzyjnosci. Badz niezwykle tajemniczy, az do granic bezglosnosci. W ten sposob mozesz pokierowac losem nieprzyjaciela". Dlatego, po starannym rozwazeniu strategii, analizujac w myslach i odrzucajac kolejne scenariusze, opracowawszy cos, co wydawalo sie prawie niezawodnym planem, i upewniwszy sie, ze chwila jest idealna, przystapilem do akcji. Tej samej nocy, kiedy lezalem w swoim lozku, a Joszua w swoim, przywolalem cala swoja subtelnosc i tajemniczosc. – Hej, Josh – odezwalem sie. – Czy Baltazar cie sodomizuje? – Nie! – A vice versa? – Absolutnie nie! – A masz wrazenie, ze by chcial? Milczal przez sekunde, nim odpowiedzial. – Ostatnio stal sie bardzo troskliwy. I chichocze ze wszystkiego, co powiem. Dlaczego pytasz? – Bo Radosna uwaza, ze nie byloby dobrze, gdyby sie w tobie zakochal. – Niedobrze, jesli oczekuje jakiejs sodomizacji, to pewne. Bo bedziemy tu mieli bardzo rozczarowanego maga. – Nie, to cos gorszego. Ona nie chce mi powiedziec, ale cos bardzo, bardzo zlego. – Biff, zdaje sobie sprawe, ze mozesz tak nie uwazac, ale w mojej opinii sodomizowanie Syna Bozego jest naprawde bardzo, bardzo zle. – Sluszna uwaga. Ale wydaje mi sie, ze jej chodzi o cos zwiazanego z tym, co sie kryje za zelaznymi drzwiami. Dopoki nie odgadne, w czym rzecz, nie mozesz dopuscic, zeby Baltazar cie pokochal. – Zaloze sie, ze byl tym z mirra – stwierdzil Joszua. – Dran. Przyniosl najtanszy podarunek, a teraz chcialby mnie sodomizowac. A do tego matka mowila mi, ze po tygodniu mirra sie popsula. Wspominalem wam juz, ze Josh nie byl fanem mirry?

Tymczasem w hotelu Raziel zrezygnowal z nadziei na kariere zawodowego zapasnika i powrocil do swych ambicji zostania Spidermanem. Podjal te decyzje, kiedy mu przypomnialem, ze w Ksiedze Rodzaju Jakub zmaga sie z aniolem i zwycieza. Krotko mowiac, czlowiek moze pokonac aniola. Raziel upieral sie, ze niczego takiego nie pamieta, a ja mialem ochote przyniesc mu z lazienki Biblie i pokazac odpowiedni wers. Jednakze zaczalem dopiero czytac Ewangelie Marka i stracilbym ksiazke, gdyby aniol ja odkryl.

Myslalem, ze Mateusz jest marny, bo przeskoczyl od narodzin Joszuy od razu do jego chrztu, ale Marek nie przejmuje sie nawet narodzinami. Calkiem jakby Joszua od razu wyskoczyl dorosly z glowy Zeusa (no dobrze, slaba metafora, ale wiecie, o co mi chodzi). Marek zaczyna od chrztu, w wieku trzydziestu lat! Skad ci faceci wytrzasneli te historie? "Spotkalem kiedys w knajpie goscia. Najlepszy kumpel jego siostry byl przy chrzcie Joszuy bar Jozefa z Nazaretu, a to jest jego opowiesc tak, jak zapamietalem".

Ale przynajmniej Marek wspomina o mnie – raz. Za to calkiem bez kontekstu, jakbym sobie po prostu siedzial i nic nie robil, a Joszua akurat przechodzil i poprosil, zebym sie z nim zabral. Marek opowiada tez o demonie imieniem Legion. Owszem, pamietam go. W porownaniu z tym, ktorego przywolal Baltazar, Legion to mieczak. – Spytalem Baltazara, czy sie we mnie durzy – oswiadczyl Joszua przy kolacji. – No, nie – jeknela Radosna.

Jedlismy w kwaterze dziewczat. Ladnie tu pachnialo, a one podczas jedzenia masowaly nam ramiona. Akurat tego potrzebowalismy po calym dniu ciezkiej nauki. – Nie powinienes mu

zdradzac, ze sie czegos domyslamy. Co powiedzial? – Ze ma za soba trudne zerwanie i nie jest gotow do nastepnego zwiazku. Potrzebuje czasu, zeby lepiej poznac siebie. Ale bedzie szczesliwy, jesli zostaniemy przyjaciolmi. – Klamie – stwierdzila Radosna. – Od stu lat nie przezyl zerwania. – Josh, jestes taki latwowierny – powiedzialem. – Faceci zawsze klamia w takich sprawach. Caly problem w tym, ze nie wolno ci poznawac kobiet. To znaczy, ze nie rozumiesz najbardziej fundamentalnej natury mezczyzn. – To znaczy? – Jestesmy klamliwymi wieprzami. Powiemy cokolwiek, byle tylko dostac to, na czym nam zalezy. – To prawda – zgodzila sie Radosna, a dziewczeta przytaknely. – Ale mezczyzna bedacy istota wyzsza nawet na czas jednego posilku nie zbacza z drogi cnoty – przypomnial Joszua. – Tak twierdzi Konfucjusz. – Oczywiscie – przyznalem. – Ale jest istota wyzsza, wiec potrafi wyrwac dziewczyne bez uciekania sie do klamstwa. Mowilem o pozostalych z nas. – Czyli powinna mnie niepokoic ta wyprawa, na ktora chce mnie zabrac? Radosna kiwnela z powaga glowa, a inne dziewczeta poszly za jej przykladem. – Nie rozumiem czemu – zdziwilem sie. – Jaka wyprawa? – Mowi, ze wyjedziemy tylko na pare tygodni. Chce udac sie do swiatyni w jakims miescie w gorach. Wierzy, ze swiatynie zbudowal Salomon. Nazywa ja Swiatynia Pieczeci. – A po co masz z nim jechac? – Chce mi cos pokazac. – Uch-och – powiedzialem. – Uch-och – powtorzyly dziewczeta, calkiem podobnie do greckiego choru, tyle ze oczywiscie mowily po chinsku.

W ciagu tygodnia przed wyjazdem Joszuy i Baltazara udalo mi sie namowic Straczki, by w czasie swego dyzuru w lozu Baltazara podjela ogromne ryzyko. Wybralem Straczki nie dlatego, ze byla najsilniejsza i najzwinniejsza z dziewczat, choc byla; nie dlatego, ze miala najlzejszy krok i najlepiej umiala sie skradac, choc to takze prawda. Wybralem ja dlatego, ze wlasnie ona nauczyla mnie robic z brazu odlewy chinskich liter oznaczajacych moje imie (na moj stempel) i wierzylem, ze najdokladniej pobierze odcisk z klucza, jaki Baltazar nosil na lancuszku na szyi. (Tak, istnial tez klucz do okutych zelazem drzwi. Radosna wygadala sie, gdzie Baltazar go trzyma, ale byla wobec niego zbyt lojalna, by cokolwiek wykrasc. Straczki za to byla dosc niestala w swej lojalnosci, a ostatnio spedzalem w niej sporo czasu). – Zanim wrocicie, bede wiedzial, co sie tu dzieje – szepnalem do ucha Joszuy, zanim dosiadl swego wielblada. – Dowiedz sie od Baltazara ile zdolasz. – Sprobuje. Ale badz ostrozny. Nic nie rob, dopoki nie wroce. Sadze, ze ta wyprawa, cokolwiek mamy w jej trakcie zobaczyc, ma zwiazek z domem zguby. – Planuje tylko sie rozejrzec. Uwazaj na siebie.

Stalem z dziewczetami na plaskowyzu i machalem, dopoki Joszua z magiem, prowadzac za soba jucznego wielblada z zapasami, nie znikneli nam z oczu. Potem kolejno zeszlismy po sznurowej drabince do tunelu w scianie urwiska. Wejscie oraz sam tunel mialy przez jakies trzydziesci lokci szerokosc pozwalajaca na to, by przeszedl tamtedy jeden czlowiek – jesli sie schylil. Co chwila udawalo mi sie uderzac o skale lokciem albo ramieniem; w efekcie moglem sie popisywac umiejetnoscia przeklinania w czterech jezykach.

Zanim wrocilem do komnaty pierwiastkow, gdzie praktykowalismy sztuke Dziewieciu Eliksirow, Straczki zdazyla rozgrzac male palenisko i teraz wrzucala brylki mosiadzu do niewielkiego kamiennego tygla. Na podstawie woskowego wycisku przygotowalismy woskowa kopie klucza, z niej zrobilismy gipsowa forme, ktora rozgrzalismy, zeby wytopic wosk. Teraz mielismy jedyna szanse, by odlac klucz – poniewaz kiedy metal zastygnie juz w formie, mozna

go wydobyc, jedynie rozbijajac gips.

Kiedy usunelismy forme, zobaczylem, ze Straczki trzyma w dloni cos, co wyglada jak maly mosiezny smok na patyku. – Niezly klucz – stwierdzilem.

Jedyne zamki, jakie dotad spotykalem, byly wielkimi zelaznymi mechanizmami. Nic az tak eleganckiego, zeby pasowalo do takiego klucza. – Kiedy chcesz go wykorzystac? – zapytala Straczki.

Oczy otwierala szeroko, jak podniecone dziecko. W takich chwilach moglbym sie w niej zakochac, ale na szczescie zawsze powstrzymywaly mnie wyrafinowanie Radosnej, matczyna troska Poduszek, gibkosc Numeru Szesc czy dowolny z czarow, jakie rzucaly na mnie kazdego dnia. Doskonale rozumialem strategie Baltazara, dzieki ktorej nie pokochal zadnej z nich. Sytuacje Jo-szuy trudniej bylo pojac. Lubil towarzystwo dziewczat; wymienial opowiesci z Tory na legendy o smokach burzy i malpim krolu. Twierdzil, ze w kobietach jest wrodzona wewnetrzna lagodnosc, jakiej nie widzial jeszcze u zadnego mezczyzny, i ze lubi z nimi przebywac. Sila, z jaka opieral sie ich fizycznym urokom, zdumiewala mnie nawet bardziej niz inne cudowne wyczyny, ktorych swiadkiem bylem przez lata. Trudno to porownywac z aktem wskrzeszenia kogos z martwych, ale odepchniecie pieknej kobiety naprawde wymaga odwagi, przekraczajacej moja zdolnosc rozumienia. – Teraz juz sam sie wszystkim zajme – oswiadczylem Straczkom. Nie chcialem wciagac jej w te sprawe, na wypadek gdyby cos zle sie potoczylo. – Kiedy? – zapytala. Chodzilo jej o to, kiedy sprobuje otworzyc drzwi. – Dzis wieczorem, kiedy wy wszystkie odejdziecie, by zamieszkac w krainie rozkosznych snow.

Czule uszczypnalem ja w nosek, a ona zachichotala. Wtedy po raz ostatni widzialem ja w jednym kawalku.

W nocy korytarze fortecy oswietlal tylko padajacy przez okna blask gwiazd i ksiezyca. Gdy gdzies szlismy, bralismy gliniane lampki oliwne, a wtedy serpentynowe korytarze jeszcze bardziej przypominaly wnetrznosci ogromnego stwora, polykajacego metne pomaranczowe swiatelko. Po kilku latach u Baltazara moglem wedrowac po czesci mieszkalnej fortecy bez zadnego swiatla, nioslem wiec niezapalona lampke az do pokoju dziewczat. Przystanalem przy zaslonie z paciorkow i nasluchiwalem ich cichego pochrapywania.

Kiedy juz sie oddalilem, zapalilem lampke, uzywajac jednego z ogniowych patyczkow, ktore sam wynalazlem; stosowalem w nich te same chemikalia, co przy wytwarzaniu wybuchowego czarnego prochu. Ogniowy patyczek puknal cicho, kiedy potarlem nim o kamienna sciane; moglbym przysiac, ze z korytarza przede mna dobieglo echo. Gdy dotarlem do zelaznych drzwi, wyczulem plonaca siarke i zdziwilem sie troche, ze zapach siega tak daleko. Me wtedy zobaczylem Radosna – stala przy drzwiach, trzymajac lampke i zweglone resztki ogniowego patyczka, ktorym ja zapalila. – Pokaz mi klucz – powiedziala. – Jaki klucz? – Nie udawaj glupiego. Widzialam, co zostalo z formy w komnacie pierwiastkow.

Wyjalem ukryty za pasem klucz i wreczylem jej. Obracajac go w palcach, przygladala mu sie

w swietle lampki. – Straczki to odlewala – stwierdzila rzeczowo. – Czy ona tez brala wycisk?

Przytaknalem. Radosna nie wygladala na zagniewana, a Straczki jako jedyna z dziewczat znala sie dostatecznie na metalurgii, zeby wykonac odlew. Po co wiec mialem zaprzeczac? – Najtrudniejsze bylo pewnie zrobienie wycisku – stwierdzi la Radosna. – Baltazar bardzo pilnie strzeze tego klucza. Musze spytac, co zrobila, by odwrocic jego uwage. Ta wiedza moze byc przydatna, nie sadzisz? Dla nas obojga.

Usmiechnela sie uwodzicielsko, podeszla do drzwi i odsunela mosiezna plytke, zaslaniajaca dziurke od klucza. W tej samej chwili doznalem wrazenia, jakby ktos przejechal mi po plecach lodowatym sztyletem. – Nie! – Chwycilem ja za reke. – Nie rob tego! Ogarnelo mnie skrecajace wnetrznosci uczucie wstretu. – Nie mozemy! Radosna znowu sie usmiechnela i odepchnela moja reke. – Odkad tu przybylam, widzialam wiele niezwyklych rzeczy, ale zadna nie byla grozna. Zaplanowales to, wiec tak samo jak ja pragniesz sie dowiedziec, co jest za tymi drzwiami.

Chcialem ja powstrzymac, staralem sie nawet wyrwac jej klucz, ale chwycila mnie za reke i wbila palec w jeden z punktow nacisku, od czego zdretwialo mi cale ramie. Uniosla brew, jakby pytala: "Naprawde chcesz probowac, wiedzac, co moge ci zrobic?". Odstapilem.

Wsunela smoczy klucz do zamka i przekrecila trzy razy. Rozleglo sie stukanie maszynerii, delikatniejsze, niz kiedykolwiek slyszalem… Radosna wyjela klucz i odsunela trzy ciezkie zelazne sztaby. A kiedy otworzyla drzwi, dmuchnelo, jakby cos przebieglo bardzo szybko obok nas. Moja lampka zgasla.

Pozniej Joszua opowiedzial mi, co sie dzialo, a ja zgralem jakos czas. Kiedy Radosna i ja otwieralismy drzwi do komnaty zwanej domem zguby, Joszua z Baltazarem biwakowali w jalowych gorach w miejscu, ktore dzisiaj jest Afganistanem. Noc byla czysta, gwiazdy lsnily zimnym, blekitnym blaskiem niby samotnosc bo nieskonczonosc. Obaj zjedli juz kolacje zlozona z chleba i sera, po czym usiedli blisko ognia, by wypic flaszke wzmocnionego wina, dla Baltazara juz druga tego wieczoru. – Mowilem ci o proroctwie, ktore kazalo mi ciebie szukac, kiedy przyszedles na swiat? – Mowiles o gwiezdzie. Moja matka opowiadala mi o gwiezdzie. – Tak. Trzech nas bylo, ktorzy podazyli za gwiazda. Spotkalismy sie przypadkiem w gorach na wschod od Kabulu i razem dokonczylismy podroz. Ale gwiazda nie byla powodem, dla ktorego wyruszylem. Byla dla nas raczej sposobem nawigacji. Podjelismy te wyprawe, gdyz kazdy z nas spodziewal sie czegos u jej konca. – Mnie? – spytal Joszua. – Tak, ale nie po prostu ciebie, tylko czegos, co miales ze soba przyniesc. W swiatyni, do ktorej sie udajemy, znajduje sie zestaw glinianych tabliczek, bardzo starych. Kaplani twierdza, ze pochodza z czasow Salomona. Przepowiadaja nadejscie dziecka, majacego wladze nad zlem i moc zwyciezania smierci. Glosza, ze dziecko bedzie miec klucz do niesmiertelnosci. – Ja? Do niesmiertelnosci? Nic z tego. – Mysle, ze tak. Po prostu jeszcze o tym nie wiesz. – Jestem pewien, ze nie – upieral sie Joszua. – Owszem, wskrzeszalem juz ludzi z martwych, ale nigdy na dlugo. Lepiej mi teraz idzie uzdrawianie, ale przywracanie do zycia wciaz wymaga pracy. Musze sie jeszcze duzo uczyc. – Dlatego wlasnie cie uczylem i dlatego zabieram cie do swiatyni, zebys sam mogl

przeczytac te tabliczki. Ale musisz posiadac moc niesmiertelnosci. – Nie, powaznie. Nic o tym nie wiem. – Mam dwiescie szescdziesiat lat, Joszuo. – Slyszalem o tym, ale nie potrafie ci pomoc. Zreszta dobrze sie trzymasz jak na dwustuszescdziesieciolatka. Wtedy w glosie Baltazara zabrzmiala rozpacz. – Joszuo, wiem, ze masz wladze nad zlem. Biff opowiadal mi, jak w Antiochii wypedzales demony. – Takie pomniejsze – wyjasnil skromnie Joszua. – Musisz wiec miec tez wladze nad smiercia. Inaczej nic mi z tego nie przyjdzie. – To, czego potrafie dokonac, pochodzi od mego ojca. Nie prosilem o to. – Joszuo, przy zyciu utrzymuje mnie pakt z demonem. Jesli nie masz wladzy zapowiedzianej w proroctwie, to nigdy nie bede wolny, nigdy nie zaznam spokoju, nie poznam milosci. W kazdej chwili mojego zycia koncentruje umysl na kontrolowaniu demona. Jesli moja wola oslabnie, nastapi katastrofa, jakiej swiat jeszcze nie widzial. – Wiem, jak to jest – odparl Joszua. – Nie wolno mi poznac kobiety. Co prawda mowil mi to aniol, a nie demon. Ale i tak, rozumiesz, czasem jest trudno. Naprawde lubie twoje konkubiny. Wczorajszego wieczoru Poduszki masowala mi plecy po dlugim dniu nauki i zaczalem doznawac poteznej… – Na Zlota Poledwice Cielecia! – wykrzyknal Baltazar.

Poderwal sie na nogi, a oczy mial rozszerzone ze zgrozy. Biegajac jak szaleniec w ciemnosci, zaczal siodlac swojego wielblada. Joszua podazal za nim i probowal uspokajac, w obawie, ze lada chwila starzec dostanie ataku. – Co? Co sie stalo? – Wyrwal sie! – odparl mag. – Pomoz mi sie pakowac. Musimy wracac. Demon wyrwal sie na wolnosc.

Stalem przerazony w ciemnosci, czekajac, az nadciagnie katastrofa i zapanuje chaos, cierpienia i choroby oraz calkowity brak manifestacji dobra. I wtedy Radosna zapalila ogniowym patyczkiem nasze lampki. Zelazne drzwi staly otworem, odslaniajac bardzo maly pokoj o scianach takze wylozonych zelazem. W srodku bylo akurat tyle miejsca, by pomiescic male lozko i krzeslo. Czarne zelazne sciany pokrywaly zlote symbole pentagramow i heksow oraz kilkanascie innych, jakich jeszcze nigdy nie widzialem. Radosna przysunela do nich lampke. – To znaki uwiezienia – powiedziala. – Slyszalem dochodzace stad glosy. – Niczego tu nie bylo, kiedy otworzylam drzwi. Widzialam przez sekunde, zanim zgasla lampka. – A co ja zgasilo? – Wiatr? – Nie wydaje mi sie. Poczulem, jak cos ociera sie o mnie w przelocie.

Wtedy wlasnie w pokoju dziewczat ktos krzyknal i natychmiast rozlegl sie chor krzykow – pierwotnych wrzaskow absolutnej grozy i cierpienia. Oczy Radosnej blysnely od lez. – Co ja zrobilam?

Chwycilem ja za rekaw i pociagnalem korytarzem w strone pokoju dziewczat. Po drodze zlapalem dwie ciezkie wlocznie podtrzymujace gobelin. Podalem jej jedna. Mijalismy zakrety i juz widzialem przed nami pomaranczowe swiatlo, a po chwili zobaczylismy plomienie na scianach – to palila sie oliwa z rozbitych lamp. Krzyki wznosily sie coraz wyzej, ale co kilka sekund z choru ubywal jakis glos, az pozostal tylko jeden. Stanelismy przed zaslona z paciorkow przy wejsciu do komnaty konkubin, a wtedy i on zamilkl, a pod nasze nogi potoczyla sie urwana ludzka glowa.

Stwor wynurzyl sie zza zaslony, nie zwazajac na lizace kamien plomienie. Jego masywne cielsko wypelnialo korytarz, gadzia skora na ramionach i dlugich, szpiczastych uszach

szorowala o sciany i strop. – Czesc, maly – powiedzial takim glosem, jakby ktos ostrzem miecza drapal kamien. Wielkie jak talerze oczy jarzyly sie zoltym blaskiem. – Nie spieszyles sie z tym. W drodze powrotnej Baltazar opowiadal Joszui o demonie. – Nazywa sie Hak i jest demonem dwudziestego siodmego stopnia; przed upadkiem byl niszczycielskim aniolem. O ile wiem, pierwszy wezwal go Salomon, by pomagal przy budowie wielkiej swiatyni, ale cos sie nie udalo i z pomoca dzinna Salomon zdolal odeslac demona do piekla. Prawie dwiescie lat temu w Swiatyni Pieczeci odnalazlem pieczec Salomona oraz inkantacje przywolujaca demona. – Aha – mruknal Joszua. – Wiec dlatego sie tak nazywa. Myslalem, ze ma to jakis zwiazek z pieczeniem. – Musialem zostac akolita i przez dlugie lata studiowac wraz z kaplanami, zanim dopuscili mnie do pieczeci. Czym jednak jest kilka lat wobec niesmiertelnosci? Otrzymalem te niesmiertelnosc, ale tylko dopoty, dopoki demon przebywa na ziemi. A kiedy przebywa na ziemi, musi byc karmiony, Joszuo. To jest klatwa, ktora spada na dozorce tego niszczyciela. Trzeba go karmic. – Nie rozumiem. Zywi sie twoja wola? – Nie, zywi sie ludzkimi istotami. Tylko moja wola go powstrzymuje, a raczej powstrzymywala, dopoki nie zbudowalem zelaznego pokoju i nie umiescilem na scianach zlotych symboli, ktore moga uwiezic demona. Od dwudziestu lat trzymam go w fortecy, dzieki czemu mialem troche spokoju. Wczesniej towarzyszyl mi bez przerwy, wszedzie, gdzie sie udalem. – Czy nie sciagal na ciebie nieprzyjaciol? – Nie. Jesli nie przyjmie swej zarlocznej formy, tylko ja moge zobaczyc Haka. W niezarlocznej formie jest nieduzy, wielkosci dziecka, i nie moze wyrzadzic wielkich szkod. Tyle ze bywa niezwykle irytujacy. Ale kiedy sie zywi, ma pelne dziesiec lokci wzrostu, a jednym ciosem pazurow moze rozerwac czlowieka. Nie, Joszuo, wrogowie nie stwarzali mi problemow. Jak myslisz, dlaczego w fortecy nie ma zadnych strazy? W latach, zanim zamieszkaly ze mna dziewczeta, raz napadli mnie bandyci. To, co sie z nimi stalo, jest teraz w Kabulu legenda. Nikt wiecej nie probowal. Problem polega na tym, ze jesli moja wola oslabnie, on znow odzyska wolnosc, jak za Salomona. Nie wiem, co mogloby go wtedy powstrzymac. – A nie mozesz odeslac go z powrotem do piekla? – zapytal Joszua. – Moglbym, z pomoca pieczeci i wlasciwej inkantacji. Po to wlasnie jechalismy do Swiatyni Pieczeci. Jezeli jestes Mesjaszem zapowiadanym przez Izajasza i przez gliniane tabliczki w swiatyni, to pochodzisz w prostej linii od Dawida, a zatem od Salomona. Wierze, ze potrafisz odeslac demona, a mnie ochronic przed losem, jaki by mnie czekal po jego odejsciu. – Czemu? Co sie stanie, jesli demon wroci do piekla? – Przyjme na siebie aspekt prawdziwego wieku. Po tylu latach podejrzewam, ze bedzie to kupka pylu. Ale ty posiadasz dar niesmiertelnosci. Mozesz do tego nie dopuscic. – Czyli ten demon z piekiel krazy swobodnie, a my wracamy do fortecy bez Pieczeci Salomona i inkantacji, zeby wlasciwie… co zrobic? – Mam nadzieje, ze jeszcze raz zapanuje nad nim swoja wola. Ten pokoj zawsze dotad go powstrzymywal. Nie wiedzialem, naprawde nie wiedzialem… – O czym nie wiedziales? – Ze milosc do ciebie skruszy moja wole. – Kochasz mnie? – Skad moglem wiedziec? – Mag westchnal ciezko. A Joszua, mimo dramatycznych okolicznosci, wybuchnal smiechem. – Oczywiscie, ze kochasz, ale nie mnie, tylko to, co reprezentuje. Nie mam jeszcze pewnosci, co zrobie, ale wiem, ze przybylem w imieniu mojego ojca. Kochasz zycie tak bardzo, ze wyzwales pieklo, bo je zachowac. To naturalne, ze kochasz tego, ktory dal ci owo zycie. – A wiec potrafisz wypedzic demona i zachowac moje zycie? – Oczywiscie, ze nie. Mowie tylko, ze rozumiem, co czujesz.

Nie wiem, jak znalazla sile, ale drobniutka Radosna wysunela sie zza mnie i cisnela wlocznia mocno jak zolnierz. (Ja sam czulem, ze na widok demona uginaja sie pode mna kolana). Spizowe ostrze trafilo chyba miedzy dwie pancerne luski na piersi potwora i pchane ciezkim drzewcem wbilo sie gleboko na piedz. Demon sapnal i zaryczal, otwierajac wielka paszcze i ukazujac rzedy ostrych zebow. Chwycil wlocznie i probowal ja wyrwac, a wielkie muskuly drzaly mu od wysilku. Popatrzyl smetnie na ostrze, potem na Radosna. – Och, biada ci, bowiem zabilas mnie i calkiem umieram – oswiadczyl.

A potem upadl na wznak, a kamienna podloga zadygotala od uderzenia jego wielkiego cielska. – Co on powiedzial? Co powiedzial? – dopytywala sie Radosna, wbijajac mi paznokcie w ramie. Demon mowil po hebrajsku. – Ze go zabilas. – Aha – mruknela z satysfakcja konkubina. (To dziwne, ale takie "Aha" we wszystkich jezykach brzmi tak samo).

Zaczalem przesuwac sie powoli, by sprawdzic, czy ktoras z dziewczat pozostala przy zyciu. Wtedy demon usiadl. – Zartowalem tylko – stwierdzil. – Nie jestem zabity. Wyrwal z piersi wlocznie latwiej, niz ktos moglby odpedzac muche.

Cisnalem swoja wlocznie, ale nie czekalem, by zobaczyc, gdzie uderzy. Zlapalem Radosna za reke i rzucilem sie do ucieczki. – Dokad? – spytala. – Daleko. – Nie.

Chwycila mnie za tunike i pociagnela za rog tak, ze prawie rozbilem sobie czaszke o sciane. – Do przejscia na urwisko.

Znajdowalismy sie teraz w calkowitej ciemnosci – zadne nie pamietalo, by porwac ze soba lampke. Musialem wierzyc, ze Radosna pamieta rozklad tych kamiennych hal.

Biegnac, slyszelismy, jak demon ociera sie o sciany; od czasu do czasu klal po hebrajsku, gdy trafial na niski strop. Moze i widzial w ciemnosci, ale niewiele lepiej od nas. – Schyl sie – rzucila Radosna i pchnela mi glowe w dol, kiedy wkroczylismy do waskiego przejscia prowadzacego na urwisko.

Musialem przykucnac w tunelu, tak samo jak potwor w kucki pokonywal normalne korytarze. I nagle uswiadomilem sobie, jak genialny byl pomysl Radosnej, by wybrac te droge. Widzielismy juz blask ksiezyca w otworze wyjscia, kiedy uslyszalem, jak demon trafia w przewezenie. – Szlag! Auc! Wy oszukancze szczury! Zgryze zebami wasze glowy jak kandyzowane daktyle! – Co powiedzial? – spytala Radosna. – Ze jestes slodka i niezwykle delikatna. – Wcale tego nie mowil. – Wierz mi, nie chcesz, zebym przetlumaczyl to wierniej. Straszliwy zgrzyt dobiegl z glebi tunelu, gdy wspinalismy sie po sznurowej drabince na plaskowyz. Radosna pomogla mi wstac, a potem wciagnela drabinke. Pobieglismy do stajni, gdzie zwykle lezaly wielbladzie siodla i inny ekwipunek. Byly tylko trzy wielblady – zabrali je Joszua z Baltazarem – i zadnych koni, wiec nie rozumialem, po co marnujemy czas. Radosna podbiegla jednak do cysterny za stajnia i napelnila woda dwa buklaki. – Bez wody nie dotrzemy do Kabulu – wyjasnila. – A co bedzie, kiedy juz dotrzemy do Kabulu? Ktos moze nam pomoc? Co to za stwor, u diabla? – Gdybym wiedziala, czy otwieralabym te drzwi?

Byla zadziwiajaco spokojna jak na kogos, komu straszliwa bestia zabila wlasnie wszystkie przyjaciolki. – Chyba nie. Ale nie widzialem, zeby stamtad wybiegl. Poczulem cos, ale nie tej wielkosci. – Dzialaj, Biff. Nie mysl. Dzialaj.

Podala mi buklak, a ja zanurzylem go w wodzie, nasluchujac przez bulgotanie, czy nie zbliza sie potwor. Slyszalem tylko beczenie koz i dudnienie krwi w uszach. Radosna zakorkowala buklak i pobiegla otwierac zagrody. Wygonila zwierzeta na zewnatrz. – Idziemy! – krzyknela do mnie.

Pobiegla do sciezki prowadzacej na ukryta droge. Wyciagnalem buklak z cysterny i jak najszybciej ruszylem za nia. Ksiezyc swiecil dosc jasno i marsz nie byl trudny, ale po tym, co widzialem w swietle dnia, wolalem bez przewodnika nie pokonywac smiertelnych zakretow sciezki.

Pokonalismy niemal pierwszy etap, kiedy uslyszalem przerazajace wycie i cos ciezkiego wyladowalo w pyle przed nami. Kiedy odzyskalem oddech, podszedlem i znalazlem pokrwawione scierwo kozy. – Tam.

Radosna wskazala na zbocze, gdzie cos przesuwalo sie miedzy kamieniami. Kiedy uniosło leb, poznalem lsniace zolte slepia. – Z powrotem. – Radosna sciagnela mnie z drogi. – Czy to jedyna droga w dol? – Ona albo skok w przepasc. To przeciez forteca, zapomniales? Wejscie i wyjscie nie powinny byc latwe.

Dotarlismy z powrotem do sznurowej drabinki, zrzucilismy ja w dol i zaczelismy schodzic. Radosna dotarla juz do polki i ukryla sie w otworze tunelu, kiedy cos ciezkiego trafilo mnie w ramie. Reka zdretwiala mi od uderzenia i wypuscilem z palcow drabinke – na szczescie, kiedy spadalem, stopy zaplataly sie w szczeble i zawislem glowa w dol, zagladajac do otworu, gdzie czekala Radosna. Slyszalem, jak koza, ktora mnie trafila, z przerazonym beczeniem spada w przepasc; potem rozlegl sie gluchy stuk i jej wrzask ucichl. – Hej, maly! Jestes Zydem, prawda? – odezwal sie z gory potwor. – Nie twoj interes – odpowiedzialem.

Radosna chwycila wiszaca drabinke i wciagnela mnie do tunelu w chwili, gdy przeleciala nastepna koza. Upadlem twarza w dol i prychalem, probujac nabrac powietrza i jednoczesnie wypluc z ust pyl. – Dawno juz nie jadlem Zyda. Dobry Zyd dodaje ciala. To wlasnie klopot z Chinczykami, mozesz zjesc szesciu czy siedmiu, a po polgodzinie znow jestes glodny. Bez urazy, panienko. – Co powiedzial? – spytala Radosna. – Mowi, ze lubi koszerne jedzenie. Ta drabinka go utrzyma? – Sama ja robilam. – No swietnie…

Uslyszelismy trzeszczenie lin, kiedy zawislo na nich cielsko potwora. Joszua i Baltazar wjechali do Kabulu w porze, kiedy po ulicach krazyli tylko zboje i nierzadnice (po polnocy nierzadnice oferowaly "zbojecka znizke", by promowac interes). Stary mag zamknal oczy, uspiony rozkolysanym krokiem swego wierzchowca – wyczyn, ktory u Joszuy wzbudzil zdumienie nie mniejsze niz cala sprawa z demonem, jako ze on sam na wielbladzie prawie caly czas walczyl, by nie zwymiotowac – nazywaja to morska choroba pustyni. Teraz uderzyl starca

w noge luznym koncem uzdy, a mag chrapnal i sie ocknal. – Co sie stalo? Gdzie jestesmy? – Czy mozesz stad zapanowac nad demonem, starcze? Czy jestesmy juz dosc blisko, bys przejal nad nim kontrole?

Baltazar zamknal oczy i Joszua przestraszyl sie, ze znowu zasypia – choc dlonie drzaly mu z nieokreslonego wysilku. Po kilku sekundach rozwarl powieki. – Nie wiem. – Ale wiedziales, ze sie wydostal. – To bylo jak fala bolu w mej duszy. Nie utrzymuje bliskiego kontaktu z demonem przez caly czas. Ale prawdopodobnie wciaz jestesmy za daleko. – Konie – rzekl Joszua. – Konie beda szybsze. Trzeba obudzic wlasciciela stajni.

Poprowadzil ich pustymi ulicami do stajni, gdzie zostawilismy wielblady, kiedy wrocilismy do miasta, zeby uzdrowic oslepionego straznika. W srodku nie palily sie lampy, ale polnaga nierzadnica stala w bramie w uwodzicielskiej pozie. – Specjalna znizka dla zbojow – powiedziala po lacinie. – Dwoch za cene jednego, ale zadnych zwrotow, gdyby staruszek nie dal rady. Joszua juz tak dawno nie slyszal tej mowy, ze odpowiedzial dopiero po chwili. – Dziekuje, ale nie jestesmy zbojami.

Wyminal ja i uderzyl piescia w drzwi. Kiedy czekal, przesunela mu paznokciem po kregoslupie. – A kim jestescie? Moze trafi sie inna znizka. Joszua nawet sie nie obejrzal. – On to dwustuszescdziesiecioletni mag, a ja jestem albo Mesjaszem, albo beznadziejnym oszustem. – Hm… Tak, mysle, ze jest specjalna promocja dla oszustow, ale mag musi zaplacic pelna cene.

Joszua slyszal poruszenie w domu wlasciciela stajni i glos, wolajacy, by powstrzymal konie – wlasciciele stajni zawsze to mowia, kiedy kaza czlowiekowi czekac. Odwrocil sie do nierzadnicy i delikatnie dotknal jej czola. – Idz i nie grzesz wiecej – powiedzial po lacinie. – Jasne. A jak zarobie na zycie, ty dupku?

Akurat wtedy wlasciciel stajni otworzyl drzwi. Byl niski, mial krzywe nogi i wasy, nadajace mu wyglad zasuszonego suma. – Co jest takiego waznego, ze nie moze tego zalatwic moja zona? I – Twoja zona?

Nierzadnica wyminela Joszue i weszla do domu. Po drodze przesunela mu paznokciami po karku. – Straciles okazje – rzucila. – Kobieto, a co ty tu wlasciwie robisz? – zdziwil sie wlasciciel stajni.

Radosna wybiegla na platforme i wydobyla spod szaty krotki czarny sztylet o szerokim ostrzu. Konce sznurowej drabinki kolysaly sie przed nia – potwor schodzil coraz nizej. – Nie, Radosna. – Siegnalem, by wciagnac ja z powrotem do tunelu. – Nie mozesz go zranic. – Nie badz taki pewny.

Obejrzala sie, usmiechnela do mnie, a potem dwa razy przejechala sztyletem po pionowej linie drabinki, tak ze pozostalo z niej tylko kilka calych wlokien. Potem siegnela o kilka szczebli wyzej i przeciela druga line. Nie moglem uwierzyc, jak latwo ostrze radzi sobie z powrozem. Cofnela sie w glab tunelu i uniosla sztylet, az odbil swiatlo gwiazd. – Szklo – wyjasnila. – Z

wulkanu. Jest tysiac razy ostrzejsze niz dowolna zelazna klinga.

Schowala sztylet i wciagnela mnie glebiej w tunel, ale tak, zebysmy mogli obserwowac wejscie i skalna polke.

Slyszalem, jak potwor sie zbliza. W otworze wejscia pojawil sie kontur wielkiej, uzbrojonej w pazury stopy, potem drugiej. Wstrzymalismy oddechy, gdy potwor dotarl do nacietej czesci drabinki. Widac bylo juz prawie cale masywne udo, a jedna ze szponiastych lap siegnela do nizszego szczebla… i wtedy drabinka pekla. Potwor zawisl ukosnie na pojedynczej linie przed wylotem tunelu. Patrzyl prosto na nas. Wsciekłosc w slepiach na moment ustapila miejsca zaskoczeniu. Skorzaste nietoperze uszy uniosly sie w zaciekawieniu. – Hej… – powiedzial. Wtedy pekla druga lina, a on runal w dol i zniknal nam z oczu.

Podbieglismy do otworu i wyjrzelismy poza krawedz. Od dna wawozu dzielilo nas przynajmniej tysiac stop, jednak w ciemnosci widzielismy najwyzej kilkaset. Ale bylo to kilkaset stop wyraznie bezpotworzego urwiska. – Ladnie – pochwalilem Radosna. – Musimy isc. Teraz. – Nie sadzisz, ze to go zalatwilo? – A slyszales, jak uderza o ziemie? – Nie – przyznalem. – Ja tez nie – odparla. – Lepiej stad chodzmy.

Nasze buklaki zostawilismy na plaskowyzu, wiec Radosna chciala wziac inne z kuchni, ale powloklem ja za kolnierz do glownej bramy. – Musimy uciec stad jak najdalej. Smierc z pragnienia jest najmniejszym z moich zmartwien.

Wrocilismy do centralnych regionow fortecy i przez okna wpadalo dosyc swiatla, by pokonywac korytarze bez lampy – to dobrze, bo nie pozwolilbym sie Radosnej zatrzymac, zeby ja zapalic. Kiedy zbieglismy rampa na trzeci poziom, szarpnela mnie tak, ze prawie upadlem. Odwrocilem sie do niej, wsciekly jak kot. – Co? Uciekajmy stad! – wrzasnalem. – Nie. To jest ostatni poziom z oknami. Nie wyjde przez wrota, dopoki nie sprawdze, czy nie ma przed nimi tego stwora. – Nie badz smieszna, czlowiek na szybkim koniu potrzebuje z pol godziny, zeby objechac fortece. – A jesli nie spadl na sam dol? Jesli wspial sie z powrotem? – To by trwalo pare godzin. Chodz, Radosna, bedziemy cale mile stad, zanim on dotrze z drugiej strony. – Nie.

Podciela mi nogi i wyladowalem plasko na plecach na kamiennej podlodze. Zanim wstalem, przebiegla przez pokoj i wychylila sie za okno. Podszedlem, a ona przytknela palec do warg. – Jest tam, na dole. Czeka.

Odsunalem ja i wyjrzalem. Rzeczywiscie, bestia tkwila przed zelaznymi wrotami, gotowa zlapac pazurami skrzydlo, szarpnac i otworzyc na osciez, kiedy tylko zdejmiemy sztaby. – Moze nie potrafi wejsc? – szepnalem. – Nie umial sie prze dostac przez tamte zelazne drzwi. – Nie zrozumiales tych symboli w calym pokoju, prawda? Pokrecilem glowa. – To byly znaki uwiezienia, powstrzymujace dzinna albo de mona. Glowne wrota takich nie maja. Nie przeszkodza mu. – Wiec dlaczego nie wchodzi? – Po co ma nas gonic, skoro i tak do niego przyjdziemy? Wtedy potwor uniosl leb, a ja odskoczylem od okna. – Chyba mnie nie zauwazyl – szepnalem zdenerwowany, spryskujac Radosna slina.

Potwor zaczal pogwizdywac. To byla wesola melodyjka, lekka – cos, co mozna sobie gwizdac przy polerowaniu czaszki ostatniej ofiary. – Na nikogo sie nie czaje ani nic – powiedzial znacznie glos niej, niz gdyby po prostu mowil do siebie. – Nie, ja nie z tych. Po prostu stanalem tu sobie na chwile. Ale chyba nikogo nie ma, wiec pojde swoja droga.

Znow zaczal gwizdac. Uslyszelismy kroki, cichnace powoli wraz z gwizdaniem. Nie oddalaly sie, tylko cichly… Radosna i ja wyjrzelismy przez okno – potwor w dole wykonywal teatralna pantomime marszu; gwizdanie przeszlo w syk. – Co jest?! – wrzasnalem z okna, teraz juz zly. – Myslales, ze nie wyjrzymy? Potwor wzruszyl ramionami. – Warto bylo sprobowac. Zgadlem, ze nie mam do czynienia z geniuszami, kiedy w ogole otworzyliscie tamte drzwi. – Co on powiedzial? Co mowi? – powtarzala Radosna za moimi plecami. – Powiedzial, ze nie uwaza cie za zbyt madra. – A ty mu powiedz, ze to nie ja tkwilam tyle lat w ciemnosci i musialam sama sie ze soba bawic. Odsunalem sie i spojrzalem na nia. – Myslisz, ze zmiescilby sie w tym oknie? Zmierzyla je wzrokiem. – Tak. – W takim razie mu nie powiem. Moglby sie rozzloscic. Radosna odepchnela mnie, wskoczyla na parapet, odwrocila sie twarza do srodka, podciagnela szate i wysiusiala sie na zewnatrz. Miala niesamowite wyczucie rownowagi. Sadzac z dobiegajacego z dolu warczenia, jej celnosc tez byla na niezlym poziomie.

Skonczyla i zeskoczyla. Wyjrzalem na potwora, ktory jak mokry pies strzasal z uszu mocz. – Przepraszam! – zawolalem. – Problemy jezykowe. Nie wiedzialem jak przetlumaczyc.

Potwor ryknal; miesnie barkow napiely sie pod luskami. Wyprowadzil cios, a jego piesc przebila na wylot okute zelazem wrota. – Uciekamy – powiedziala Radosna. – Dokad? – Do korytarza na urwisko. – Odcielas drabinke. – Po prostu uciekamy.

Pociagnela mnie za soba, prowadzac przez ciemnosc, tak jak poprzednio. – Schyl sie! – krzyknela sekunde po tym, jak przy uzyciu czulych, wykrywajacych kamienne sufity nerwow na czole uswiadomilem sobie, ze dotarlismy do waskiego korytarza.

Bylismy w polowie drogi do urwiska, gdy uslyszalem, jak potwor trafia w skale i przeklina.

Przez chwile trwala cisza, a potem rozlegl sie przerazliwy zgrzyt, tak glosny, ze musielismy zatykac sobie uszy. Potem wyczulismy zapach palonego ciala.

Nastal swit, gdy Joszua z Baltazarem wjechali do wawozu, skad prowadzilo glowne wejscie do fortecy. – No i jak? – zapytal Joszua. – Wyczuwasz demona? Baltazar pokrecil glowa. – Przybylismy za pozno.

Wskazal miejsce, gdzie kiedys tkwily zelazne wrota. Teraz pozostal tylko stos pogietych, polamanych kawalkow, i jakies resztki wiszace na tym, co kiedys bylo wielkimi zawiasami. – Cos ty narobil, w imie Szatana? – mruknal Joszua. Zeskoczyl z konia i wbiegl do fortecy, zostawiajac Baltazara samego, by podazal za nim.

Halas w waskim przejsciu byl tak glosny, ze sztyletem Radosnej odcialem kawalki rekawow mojej szaty i wcisnelismy je sobie do uszu. Potem zapalilem ogniowy patyczek, by sprawdzic,

co robi potwor.

I stanelismy oboje z rozdziawionymi ustami, patrzac, jak bestia wydziera kamien ze scian korytarza. Szpony rozmazywaly sie od szybkosci, dym, pyl i kamienne odpryski wzlatywaly w powietrze, luski zarzyly sie od tarcia i odrastaly natychmiast po spaleniu. Nie dotarl daleko, moze jakies piec stop w nasza strone, ale w koncu poszerzy tunel dostatecznie, by wyciagnac nas jak borsuk termity z kopca. Teraz rozumialem, dlaczego na scianach fortecy nie bylo sladow narzedzi. Stwor poruszal sie tak szybko, ze doslownie scieral sciany szponami i luskami – wycinal kamien, a rownoczesnie go polerowal.

Zdazylismy dwa razy wejsc na szczyt plaskowyzu po tym, co zostalo z drabinki, ale za kazdym potwor obiegal fortece i zaganial nas z powrotem, nim dotarlismy do drogi. Za drugim razem wciagnal drabinke na gore, nim wrocil do fortecy i podjal piekielne rycie. – Skocze, zanim pozwole mu mnie dorwac – oznajmilem Radosnej. Spojrzala za krawedz, w nieskonczona ciemnosc pod nami. – Tak zrob – powiedziala. – I daj mi znac, jak ci leci. – Tak zrobie. Ale najpierw sie pomodle.

I modlilem sie. Modlilem sie tak goraco, ze krople potu wystapily mi na czolo i pociekly po zacisnietych powiekach. Tak goraco, ze przycichl nawet bezustanny zgrzyt lusek potwora o skale. Przez jedna chwile bylem pewien, ze istnieje tylko ja i Bog. Jak mial w zwyczaju wobec mnie, Bog zachowywal milczenie. Nagle zrozumialem, jak zawiedziony musial sie czuc Joszua, gdy pytal, jaka podazyc sciezka, jakie podjac dzialanie, i w odpowiedzi slyszal tylko cisze.

Kiedy znow otworzylem oczy, nad gorami wzeszlo slonce i do korytarza wlalo sie swiatlo. W blasku dnia potwor wygladal jeszcze bardziej przerazajaco. Caly byl zachlapany krwia i posoka po masakrze w komnacie dziewczat, i choc nieublaganie wydzieral skale, wokol niego krazyly muchy. Probowaly na nim siadac i natychmiast padaly martwe na ziemie. Smrod martwego ciala i palonych lusek niemal odbieral oddech; juz samo to prawie wystarczalo, by sklonic mnie do skoku. Bestii pozostalo do nas jeszcze trzy, moze cztery lokcie; co kilka minut cofala sie, po czym siegala lapa, by chwycic nas w swoje szpony.

Radosna i ja kulilismy sie na skalnej polce nad przepascia, szukajac jakiegokolwiek zaczepu, chwytu z gory, z dolu czy z boku na scianie urwiska, byle tylko oddalic sie od potwora. Lek wysokosci stal sie nagle czyms nieistotnym.

Zaczynalem juz czuc podmuch wzbudzony szponami potwora, kiedy siegal do nas przez otwor, gdy nagle uslyszelismy gleboki basowy glos Baltazara, wolajacego cos z tunelu. Potwor wypelnial soba caly przeswit, wiec nie widzialem, co sie dzieje za nim, ale odwrocil sie i jego plasko zakonczony ogon przemknal obok nas, niemal zdzierajac nam skore. Radosna wyrwala szklany sztylet i chlasnela dwa razy, kaleczac luski, jednak najwyrazniej nie zabolalo go az tak, zeby sie odwrocil. – Baltazar cie poskromi, ty synu jaszczurczego gownojada! – wrzasnela Radosna.

Musielismy gwaltownie sie uchylic przed czyms, co przelecialo przez otwor, poplynelo w

powietrzu i runelo ku ziemi, znikajac nam z oczu. Skrzeczalo przy tym jak nurkujacy sokol. – Co to bylo? – spytala Radosna. Wpatrywala sie w pustke, by zobaczyc, czym rzucil potwor. – To byl Baltazar – odparlem. – Oj…

Joszua szarpnal za szeroki, plaski ogon i demon odwrocil sie, warczac wsciekle. Joszua nie puszczal ogona, choc pazury swisnely mu tuz przed twarza. – Jak masz na imie, demonie? – zapytal. – Nie pozyjesz tak dlugo, by wymowic me imie – rzekl demon. Znow uniosl szpony. Joszua szarpnal ogon i demon znieruchomial. – Nie. To nie tak. Jak masz na imie? – Mam na imie Hak – odparl demon. Opuscil lape w gescie kapitulacji. – Znam cie. Jestes tym chlopcem, prawda? Mowili o tobie za dawnych dni. – Pora, zebys wrocil do domu. – A moge najpierw zjesc te dwojke za wylotem tunelu? – Nie. Szatan na ciebie czeka. – Sa naprawde denerwujacy. Dziewczyna mnie obsikala. – Nie. – Wyswiadcze ci tym przysluge. – Nie chcesz ich juz krzywdzic, prawda? Demon polozyl uszy po sobie i sklonil wielka glowe. – Nie. Nie chce ich krzywdzic. – Nie jestes juz rozgniewany – powiedzial Joszua.

Potwor potrzasnal lbem. Stal zgiety wpol w waskim tunelu, ale teraz padl przed Joszua jak dlugi i zakryl pazurami oczy. – Ale ja ciagle jestem! – wrzasnal Baltazar.

Joszua sie obejrzal. Starzec byl brudny i pokrwawiony, szate mial podarta w miejscach, gdzie przebily ja polamane przy upadku kosci. Wyleczyl sie w ciagu zaledwie minut, ale nie poprawilo mu to humoru. – Przezyles ten upadek? – Mowilem ci: dopoki demon przebywa na Ziemi, jestem niesmiertelny. Ale to pierwszy raz. Nigdy wczesniej nie byl w stanie mi zaszkodzic. – Juz tego nie zrobi. – Panujesz nad nim? Bo ja nie. Joszua odwrocil sie i polozyl dlon na glowie demona. – Ta zla istota spogladala kiedys w twarz Boga. Ten potwor sluzyl kiedys w niebie, wsrod piekna, zyl w lasce, chodzil w swietle. Teraz jest narzedziem cierpienia. Jest ohydny z wygladu i falszywy z natury. – Moment! Nie przesadzaj! – odezwal sie demon. – Chcialem przez to powiedziec, ze nie mozna go winic za to, kim sie stal. Nigdy nie mial tego, co masz ty i kazda ludzka istota. Nigdy nie mial wolnej woli. – To takie smutne – wymruczal demon. – Na jedna chwile, Haku, dam ci posmakowac tego, czego nigdy nie zaznales. Na jedna chwile obdarze cie wolna wola. Demon chlipnal.

Joszua zabral dlon z jego lba, puscil ogon i wyszedl z waskiego tunelu na korytarz fortecy. Baltazar stal obok i czekal, az demon sie wynurzy. – Naprawde potrafisz to zrobic? Dac mu wolna wole? – Przekonamy sie, prawda?

Hak wyczolgal sie i stanal prosto – teraz musial tylko pochylac glowe. Wielkie lepkie lzy splywaly mu po luskach na policzkach, po paszczy, i kapaly na kamienna podloge, syczac jak kwas. – Dziekuje – warknal. – Wolna wola… – powiedzial Baltazar. – Jak sie z nia czujesz? Demon zlapal starca jak szmaciana lalke i wcisnal sobie pod pache. – Czuje, ze mam ochote znowu cie zrzucic z tego pieprzonego urwiska! – Nie – rzekl Joszua.

Przyskoczyl i dotknal piersi demona. Rozleglo sie glosne pukniecie, kiedy powietrze wypelnilo proznie w miejscu, gdzie stal Hak. Baltazar upadl na podloge i jeknal. – Wiesz, ta wolna wola to jednak nie byl dobry pomysl – stwierdzil. – Przepraszam. Wspolczucie pokonalo

rozsadek. – Nie czuje sie dobrze…

Mag usiadl ciezko na podlodze i chrapliwie wypuscil po wietrze. Kiedy Radosna i ja wyszlismy z tunelu, Joszua pochylal sie nad Baltazarem, ktory sie starzal w oczach. – Ma dwiescie szescdziesiat lat – stwierdzil Josh. – Teraz, kiedy Hak odszedl, czas zaczyna go doganiac.

Skora maga poszarzala, a bialka oczu pozolkly. Radosna usiadla na podlodze i oparla glowe starca na kolanach. – Gdzie potwor? – spytalem. – Wrocil do piekla – odparl Josh. – Pomoz mi zaniesc Baltazara do lozka. Potem wszystko wytlumacze.

Przenieslismy Baltazara do jego sypialni. Radosna probowala wlac mu do ust troche bulionu, ale zasnal z czarka przy wargach. – Mozna mu pomoc? – spytalem, nie zwracajac sie do nikogo konkretnego. Radosna pokrecila glowa. – On nie jest chory. On jest po prostu stary. – Napisane zostalo "Wszystko ma swoj czas" – rzekl Joszua. – Nie moge tego odmienic. Czas przeszedl w koncu i na Baltazara. – Spojrzal na Radosna i uniosl brew. – Obsiusialas demona? – spytal. – Nie ma co sie skarzyc. Zanim tu przybylam, znalam z Hu-nan czlowieka, ktory dobrze by za to zaplacil.

Baltazar wytrwal jeszcze dziesiec dni. Pod koniec wygladal bardziej jak obciagniety skora szkielet niz jak czlowiek. W ostatnich dniach blagal Joszue, by wybaczyl mu proznosc. Wzywal nas do swojego loza i raz po raz powtarzal to samo, gdyz zapominal, co mowil kilka godzin wczesniej. – Znajdziesz Kaspra w Swiatyni Niebianskiego Buddy, w gorach na wschodzie. W bibliotece jest mapa. Kasper cie nauczy. To prawdziwie madry czlowiek, nie taki szarlatan jak ja. Pomoze ci stac sie tym, kim powinienes, Joszuo, bys mogl dokonac tego, co musisz. A ty, Biff, coz, moze jednak nie bedziesz taki bezuzyteczny. Tam, gdzie wyruszacie, jest bardzo zimno. Kupcie po drodze futra i wymiencie wielblady na takie z dluzsza sierscia i dwoma garbami. – On majaczy – stwierdzilem. – Nie – zaprotestowala Radosna. – Naprawde sa takie wielblady z dluzsza sierscia i dwoma garbami. – Och… Przepraszam. – Joszuo! – zawolal jeszcze Baltazar. – Jesli nawet nic wiecej, to zapamietaj trzy klejnoty… Po czym starzec zamknal oczy i przestal oddychac. – Umarl? – spytalem. Joszua przylozyl ucho do piersi starca. – Umarl. – O co chodzi z tymi klejnotami? – Trzy klejnoty Tao: wspolczucie, umiarkowanie i pokora. Baltazar mowil, ze wspolczucie wiedzie do odwagi, umiarkowanie do szczodrosci, a pokora do przywodztwa. – Dziwne – uznalem. – Wspolczucie – szepnal Josh i skinieniem glowy wskazal Radosna, ktora szlochala bezglosnie nad cialem Baltazara. Objalem ja za ramiona, a ona odwrocila sie i lkala mi na piersi. – Co teraz zrobie? Baltazar nie zyje. Moje przyjaciolki nie zyja. A wy dwaj odchodzicie. – Jedz z nami – zaproponowal Joszua. – Ehm… Pewnie, jedz z nami.

Ale Radosna nie pojechala z nami. Zostalismy w fortecy Baltazara jeszcze szesc miesiecy, czekajac, az minie zima, nim wyruszymy ku gorom na wschodzie. Zmylem krew w komnacie dziewczat, a Radosna pomagala Joszui tlumaczyc niektore ze starozytnych tekstow w bibliotece Baltazara. We trojke jedlismy posilki, czasami Radosna i ja szlismy razem do lozka, przez pamiec dawnych dni. Ale wydawalo sie, ze z fortecy odplynelo zycie. Kiedy nadszedl czas

wyjazdu, Radosna poinformowala nas o swojej decyzji. – Nie moge jechac z wami i szukac Kaspra. Kobiet nie wpuszczaja do klasztorow, a nie mam ochoty mieszkac w jakiejs nedznej wiosce w poblizu. Baltazar zostawil mi duzo zlota i wszystko, co jest w bibliotece, ale tutaj, w gorach, nic mi z tego nie przyjdzie. Nie zostane w tym grobowcu, majac za towarzystwo tylko duchy moich przyjaciolek. Wkrotce zjawi sie Ahmad, tak jak zjawia sie kazdej wiosny. Pomoze mi przewiezc skarbiec i zwoje do Kabulu. Tam kupie wielki dom, wynajme sluzacych i kaze im sprowadzac sobie mlodych chlopcow do zepsucia. – Tez chcialbym miec jakis plan. – Westchnalem. – I ja – zgodzil sie Josh.

We trojke uczcilismy osiemnaste urodziny Josha, spozywajac tradycyjne chinskie dania. Nastepnego ranka osiodlalismy wielblady i przygotowalismy sie do jazdy na wschod. – Na pewno sobie poradzisz do przyjazdu Ahmada? – upewnil sie Joszua. – Nie martw sie o mnie. Ucz sie, jak byc Mesjaszem – odparla i pocalowala go mocno w usta. Wyrywal sie, a kiedy wsiadal na wielblada, wciaz byl zaczerwieniony. – A ty – zwrocila sie do mnie – odwiedz mnie w Kabulu, kiedy bedziecie wracac do Izraela. Inaczej rzuce na ciebie taka klatwe, ze nigdy sie od niej nie uwolnisz.

Zdjela z szyi mala fiolke yin-yang z trucizna i antidotum, i wsunela mi przez glowe lancuszek. Dla kogos innego moglo sie to wydac dziwnym podarunkiem, ale ja bylem uczniem czarodziejki i dla mnie byl idealny. Potem wsunela mi za pas szklany sztylet. – Niewazne, ile to potrwa, musisz mnie znowu odwiedzic. Daje slowo, ze nie pomaluje cie na niebiesko.

Obiecalem jej, pocalowalismy sie, wsiadlem na wielblada i odjechalismy z Joszua. Znowu staralem sie nie ogladac na kolejna kobiete, ktora skradla mi serce.

Jechalismy o piecdziesiat sazni od siebie, kazdy zamyslony nad swoja przeszloscia i przyszloscia, nad tym, kim sie stanie… Dopiero po kilku godzinach dogonilem Joszue i przelamalem milczenie.

Wspominalem, jak Radosna uczyla mnie czytac i mowic po chinsku, mieszac eliksiry i trucizny, oszukiwac w grach hazardowych, robic sztuczki magiczne i gdzie nalezy dotykac kobiete. A wszystko to, nie oczekujac niczego w zamian. – Czy wszystkie kobiety sa silniejsze i lepsze ode mnie? – Tak – odparl. Minal dzien, nim znow zaczelismy rozmawiac.

CZESC TRZECIA

WSPOLCZUCIE

Tora! Tora! Tora!

Okrzyk bojowy rabinow-kamikaze

W dwunastym dniu podrozy wedlug wskazowek starannie wykreslonej mapy Baltazara dotarlismy do muru. – I jak? – spytalem. – Co sadzisz o tym murze? – Jest wielki – stwierdzil Joszua. – Nie az taki wielki – odparlem.

Dluga kolejka czekala na przejscie przez ogromna brame, gdzie dziesiatki urzednikow zbieralo podatki od prowadzacych karawany. Same wartownie przy bramie byly wielkie jak ktorys z palacow Heroda, a konne patrole jezdzily po szczycie muru, daleko jak okiem siegnac. Mielismy jeszcze dobra mile do bramy, a kolejka prawie sie nie posuwala. – Bedziemy tu czekac caly dzien – narzekalem. – Po co w ogole zbudowali cos takiego? Jesli ktos potrafi wzniesc taki mur, to z pewnoscia moze wystawic armie dostatecznie wielka, by pokonala wszelkich najezdzcow. – Ten mur wzniosl Lao-tzu – odparl Joszua. – Ten dawny mistrz, ktory napisal Tao? Nie wydaje mi sie. – A co Tao ceni ponad wszystko inne? – Wspolczucie? Moze ktoras z tych dwoch pozostalych klejnotowych cech? – Nie. Bezczynnosc. Kontemplacje. Niezmiennosc. Konserwatyzm. Mur to sposob obrony kraju, ktory ceni bezczynnosc. Jednak taki mur nie tylko broni mieszkancow, ale tez ich wiezi. Dlatego Baltazar wskazal nam te droge. Chcial, bym dostrzegl blad w Tao. Nie moze byc wolnym ktos, kto wyrzeka sie dzialania. – Czyli poswiecil tyle czasu, uczac nas Tao, zebysmy zobaczyli, ze jest bledne? – Nie, wcale nie bledne. Nie w calosci. Wskazywane przez Tao wspolczucie, pokora i umiarkowanie to cechy czlowieka prawego. Ale nie bezczynnosc. Ci ludzie sa niewolnikami bezczynnosci. – Pracowales jako kamieniarz, Josh. – Wskazalem potezny mur. – Myslisz, ze cos takiego powstalo w wyniku bezczynnosci? – Mag nie nauczal nas o dzialaniu w sensie pracy, ale o dzialaniu w sensie zmiany. Dlatego najpierw poznawalismy Konfucjusza: wszystko powinno wynikac z porzadku naszych ojcow, prawa, manier… Konfucjusz jest jak Tora: to reguly, ktorych nalezy przestrzegac. A Lao-tzu jest nawet bardziej konserwatywny; twierdzi, ze kto nic nie robi, ten nie narusza zadnych regul. Pod czas gdy w rzeczywistosci trzeba czasem zlamac tradycje, trzeba podjac dzialanie, trzeba zjesc bekon. Tego wlasnie probowal mnie nauczyc Baltazar. – Juz raz to mowilem, Josh… a wiesz, jak lubie bekon. Nie sadze, zeby Mesjasz mogl przyniesc tylko bekon. To nie wystarczy. – Zmiana – rzekl Joszua. – Mesjasz musi przyniesc zmiane. Zmiana pojawia sie wskutek dzialania. Baltazar powiedzial mi kiedys: "Nie ma czegos takiego jak konserwatywny bohater". Bardzo madry byl ten starzec.

Myslalem o starym magu, spogladajac na mur ciagnacy sie przez wzgorza, a potem na kolejke podroznych przed nami. Kolo bramy wyroslo male miasteczko, by zaspokajac potrzeby czekajacych wedrowcow z Jedwabnego Szlaku. Wzdluz kolejki chodzili sprzedawcy, zachwalajacy jedzenie i napoje. – Dajmy sobie spokoj – zdecydowalem. – Jak dlugi moze byc ten mur? Objedziemy go dookola.

Miesiac pozniej, kiedy wrocilismy do tej samej bramy i czekalismy w kolejce, by przez nia

przejsc, Joszua zapytal: – No i co teraz myslisz o tym murze? Wiesz, widziales go o wiele wiecej. – Uwazam, ze jest ostentacyjny i nieprzyjemny – oswiadczylem. – Jesli nie maja jeszcze dla niego nazwy, powinienes to zaproponowac.

I stalo sie tak, ze przez wieki mur byl znany jako Ostentacyjny i Nieprzyjemny Chinski Mur. Przynajmniej mam nadzieje, ze tak sie stalo. Nie ma go na mojej mapie Friendly Flyer, wiec nie jestem calkiem pewien.

Gore, na ktorej zboczu stal klasztor Kaspra, zobaczylismy z bardzo daleka. Jak inne szczyty w sasiedztwie, wbijala sie w niebo niczym gigantyczny zab. U podnoza lezala wioska, otoczona gorskimi pastwiskami. Zatrzymalismy sie w niej, by odpoczac i napoic wielblady. Wszyscy mieszkancy wyszli nam na spotkanie; dziwili sie naszym niezwyklym oczom i kedzierzawym wlosom Joszuy, jakbysmy byli bogami zeslanymi tu z nieba (co chyba bylo prawda w przypadku Josha, ale czlowiek zapomina o takich rzeczach, kiedy dlugo z kims przebywa). Stara bezzebna kobieta, mowiaca chinskim dialektem podobnym do tego, ktorego nauczyla mnie Radosna, przekonala nas, by zostawic wielblady we wsi. Koscistym palcem pokazala nam sciezke i bylo oczywiste, ze dla zwierzat jest ona zbyt waska i zbyt stroma.

Wiesniacy podali nam ostro przyprawione mieso i misy spienionego mleka do popicia. Zawahalem sie i zerknalem na Joszue. Tora zabrania spozywania miesa i mleka podczas tego samego posilku. – Wydaje mi sie, ze to calkiem podobne do kwestii bekonu – stwierdzil Joszua. – Nie sadze, by Pana interesowalo, czy popijemy naszego jaka czara mleka. – Jaka? – Mieso jest z jaka. Stara kobieta mi powiedziala. – Grzech czy nie, nie bede tego jadl. Wypije tylko mleko. – To rowniez mleko jaka. – To nie pije. – Uzyj wlasnego osadu. W przeszlosci tak dobrze ci przeciez sluzyl, jak chocby, no… kiedy postanowiles, ze nalezy objechac mur dookola. – Wiesz – powiedzialem, znuzony tym ciaglym powracaniem do sprawy muru. – Nigdy nie mowilem, ze mozesz uzywac sarkazmu, kiedy tylko przyjdzie ci ochota. Uwazam, ze wykorzystujesz moj wynalazek w sposob, w jaki nie powinien byc wykorzystywany. – Na przyklad przeciwko tobie? – No widzisz? Widzisz, o co mi chodzi?

Opuscilismy wioske rankiem nastepnego dnia, biorac tylko troche ryzowych kulek, nasze buklaki i skromna resztke pieniedzy. Trzy wielblady zostawilismy pod opieka bezzebnej kobiety, ktora obiecala, ze przypilnuje ich do naszego powrotu. Bede za nimi tesknil. To byly solidne dwugarbne zwierzaki, kupione w Kabulu. Dobrze sie na nich jezdzilo, a co wazniejsze, zaden nie probowal mnie ugryzc. – Oni zjedza nasze wielblady, wiesz? Nie minie godzina od naszego wyjscia, a juz pierwszy bedzie sie krecil na roznie. – Nie zjedza wielbladow. Joszua jak zawsze wierzyl w ludzka dobroc. – Nie wiedza, co to takiego. Pomysla, ze to po prostu wysokie jedzenie. Zjedza je. Przeciez jedyne mieso, jakie tu maja, to jak. – Nie wiesz nawet, co to jest jak. – Wlasnie ze wiem – zapewnilem.

Ale powietrze bylo juz zbyt rozrzedzone, a ja zbyt zmeczony, by od razu wykazac prawde moich slow. Slonce krylo sie juz za gora, kiedy wreszcie stanelismy przed klasztorem. Poza wielkimi drewnianymi wrotami z mala klapka, byl w calosci zbudowany z czarnego bazaltu, tak jak gora, na ktorej sie wznosil. Wygladal bardziej jak twierdza niz miejsce kultu.

–Ciekawe, czy wszyscy trzej twoi medrcy mieszkaja w fortecach – powiedzialem. – Uderz w gong – polecil Joszua.

Przed brama wisial gong z brazu i owinieta skora palka, a obok tabliczka z napisem w jezyku, ktorego nie potrafilem odczytac. Uderzylem w gong. Czekalismy. Uderzylem znowu. I znowu czekalismy. Slonce zaszlo i na zboczu zrobilo sie bardzo zimno. Zjedlismy ryzowe kulki, wypilismy wieksza czesc wody i czekalismy. Stluklem gong do nieprzytomnosci i klapka sie uchylila. Slaby blask z wnetrza oswietlil gladkie policzki Chinczyka mniej wiecej w naszym wieku. – Czego chcecie? – zapytal po chinsku. – Przyszlismy zobaczyc sie z Kasprem – odparlem. – Baltazar nas przysyla. – Kasper nikogo nie przyjmuje. Wasz aspekt jest niejasny, a wasze oczy zbyt okragle. Zatrzasnal klapke. Tym razem to Joszua walil w gong, az mnich powrocil. – Pokaz no mi te palke – powiedzial i wyciagnal reke przez okienko. Joszua podal mu palke i odstapil. – Odejdzcie stad i wroccie rano – nakazal mnich. – Ale my szlismy przez caly dzien – poskarzyl sie Joszua. – Jestesmy zmarznieci i glodni. – Zycie jest cierpieniem – stwierdzil mnich i zatrzasnal klapke, pozostawiajac nas prawie w calkowitej ciemnosci. – Moze tego wlasnie mielismy sie nauczyc – powiedzialem. – Wracajmy do domu. – Nie – sprzeciwil sie Joszua. – Zaczekamy.

Przespalismy te noc przed brama, przytuleni do siebie, by nie tracic ciepla. Rankiem mnich otworzyl klapke. – Wciaz tu jestescie?

Nie widzial nas, gdyz lezelismy bezposrednio pod jego okienkiem.– Tak – odpowiedzialem. – Mozemy juz zobaczyc sie z Kasprem?

Wyciagnal szyje przez okienko, potem cofnal sie i wysunal drewniana miseczke, z ktorej polal woda nasze glowy. – Odejdzcie. Wasze stopy sa zniekształcone, a wasze brwi zrosniete w sposob sugerujacy grozbe. – Ale…

Zatrzasnal klapke. Caly dzien spedzilismy pod brama; ja chcialem zejsc na dol, Joszua upieral sie, zeby czekac. Kiedy zbudzilismy sie nastepnego ranka, mielismy szron na wlosach i czulem, ze bola mnie nawet kosci. Mnich otworzyl klapke o pierwszym brzasku. – Jestescie tak glupi, ze cech wioskowych glupkow uzywa was jako wzorca przy egzaminach – powiedzial. – Prawde mowiac, jestem czlonkiem cechu wioskowych glupkow – odparowalem. – W takim razie – rzekl mnich – idzcie stad.

Przeklinalem elokwentnie w pieciu jezykach i juz zaczynalem wyrywac sobie wlosy z glowy, kiedy zauwazylem, ze po niebie sunie cos duzego. Kiedy sie zblizylo, rozpoznalem aniola w jego aspekcie czarnej szaty i skrzydel. Niosl plonaca wiazke chrustu i smoly, i wlokl za soba warkocz ognia i czarnego dymu. Przelecial nad nami kilka razy i zniknal za horyzontem, pozostawiajac dymne slady ukladajace sie w chinskie znaki. Wypisana na niebie wiadomosc brzmiala: PODDAJ SIE, DOROTKO!

Tak tylko was wkrecam (jak mawial czasem Baltazar). Tak naprawde Raziel nie wypisal na niebie PODDAJ SIE, DOROTKO. Razem z aniolem ogladalismy wczoraj w telewizji Czarnoksieznika z Krainy Oz i scena pod bramami Oz przypomniala mi, jak z Joszua czekalismy przed brama klasztoru. Raziel powiedzial, ze identyfikuje sie z Gladiola, Dobra Czarownica Polnocy (moim zdaniem bardziej by pasowala latajaca malpa, ale mam wrazenie, ze wybral po prostu kogos z wlosami blond). Musze wyznac, ze czulem sympatie do Stracha na Wroble, ale nie wierze, zebym mial ochote spiewac o braku mozgu. Prawde mowiac, wsrod tych muzycznych lamentow nad brakiem mozgu, serca i odwagi, czy ktos zauwazyl, ze nie mieli ani jednego penisa? U Lwa i Blaszanego Drwala byloby widac, a kiedy Strach na Wroble zostaje wybebeszony, nie pokazuja przeciez na ekranie latajacej malpy, wymachujacej zagubionym slomianym fiutem, prawda? Chyba wiem, jaka piosenke bym spiewal:

Chetnie lezalbym na bloniach, Posrod kwiatow walac konia, Kiedy piesn wypelnia serce me. Liliom dodalbym urody, Gdyz moj fiut jak rumak mlody Bylby pewnie. Ach ptaszka miec chce.

I kiedy komponowalem ten opus, przyszlo mi nagle do glowy, ze wprawdzie Raziel zawsze wygladal na mezczyzne, ale nie mam pojecia, czy anioly w ogole maja plec. W koncu on jest przeciez jedynym, ktorego poznalem. Poderwalem sie z krzesla i stanalem przed nim, w samym srodku popoludniowego festiwalu Looney Tunes. – Razielu, czy jestes wyposazony? – Wyposazony? – Czy masz freda, fiuta, laske… Masz? – Nie – odparl aniol, zdziwiony, ze o to pytam. – A po co bylby mi potrzebny? – Do seksu. Czy anioly uprawiaja seks? – No owszem, ale nie uzywamy tego.– Czyli istnieja anioly zenskie i anioly meskie? – Tak. – I uprawiasz seks z zenskimi aniolami? – Zgadza sie. – A z czym uprawiasz ten seks? – Z zenskimi aniolami, przeciez mowie. – Nie… Czy masz organ plciowy? – Tak. – Pokazesz? – Nie mam go ze soba. – Aha. Zrozumialem, ze sa pewne sprawy, o ktorych naprawde wolalbym nie wiedziec.

W kazdym razie nie napisal nic na niebie. W ogole nie widzielismy juz Raziela, ale po trzech dniach mnisi wpuscili nas do klasztoru. Powiedzieli, ze wszystkim kaza czekac trzy dni. To eliminuje tych nieszczerych.

Cala pietrowa budowla stanowiaca klasztor zostala wzniesiona z surowych kamieni, takiej wielkosci, z jaka moglby poradzic sobie jeden czlowiek. Tylna czesc zaglebiala sie w zbocze gory. Budynek stanal chyba pod istniejaca wczesniej skalna przewieszka, by odslaniac zywiolom jak najmniejsza czesc dachu. Ta czesc wznosila sie stromo i pokrywaly ja terakotowe dachowki, wyraznie po to, zeby nie dopuscic do nagromadzenia sniegu.

Niski, bezwlosy mnich w szacie koloru szafranu przeprowadzil nas przez zewnetrzny brukowany dziedziniec i przez surowa brame do wnetrza budynku. Podlogi byly tu kamienne, a choc nieskazitelnie czyste, to jednak wygladzone nie bardziej od bruku na dziedzincu. Nieliczne wyciete wysoko w scianach okna przypominaly raczej szczeliny strzeleckie i, po zamknieciu drzwi, do srodka wpadalo niewiele swiatla. Powietrze bylo geste od dymu kadzidla; wibrowalo chorem meskich glosow, spiewajacych rytmiczna, monotonna piesn, ktora dobiegala zewszad i znikad rownoczesnie; wywolywala wrazenie, ze wibruja mizebra i kolana. Choc spiewali w jezyku, ktorego nie rozumialem, przekaz byl jasny – przywolywali cos, co wykracza poza

granice tego swiata.

Weszlismy za mnichem po waskich stopniach do waskiego korytarza. Z obu stron mial szeregi waskich, siegajacych mi do pasa otworow. Gdy je mijalismy, zobaczylem, ze prowadza do cel mnichow, dostatecznie duzych, by pomiescic lezacego, niewysokiego czlowieka. W kazdej na podlodze lezala pleciona mata, a pod sciana naprzeciw drzwi zwiniete welniane przykrycie, ale nie dostrzeglem zadnych przedmiotow osobistych ani miejsca, gdzie mozna je przechowywac. Nie bylo drzwi, by zamknac je dla zachowania prywatnosci. Krotko mowiac, cele byly calkiem podobne do miejsca, w ktorym sie wychowywalem, co jednak nie sprawilo, ze bardziej mi sie spodobaly. Rozpiescilo mnie prawie piec lat relatywnego bogactwa fortecy Baltazara. Tesknilem za miekkim lozkiem i kilkoma chinskimi konkubinami, ktore by mnie karmily i nacieraly cialo aromatycznymi olejkami. (Przeciez mowilem, ze bylem rozpieszczony).

W koncu mnich wprowadzil nas do rozleglego otwartego pomieszczenia z wysokim kamiennym sklepieniem i uswiadomilem sobie, ze nie jest ono dzielem czlowieka – znalezlismy sie w wielkiej grocie. Na jej drugim koncu zobaczylem kamienny posag mezczyzny; siedzial ze skrzyzowanymi nogami, oczy mial zamkniete, a dlonie wyciagniete przed soba, z palcami ulozonymi tak, ze wskazujacy i kciuk tworzyly zamkniete okregi. Oswietlony pomaranczowymi plomykami swiec, z wiszacym nad ogolona glowa oblokiem kadzidlanego dymu, wygladal jak pograzony w modlitwie. Mnich, nasz przewodnik, zniknal gdzies w mroku spowijajacym boczne czesci groty, a Joszua i ja zblizylismy sie do posagu, stapajac ostroznie po szorstkiej kamiennej posadzce.

(Rzezbione wizerunki dawno juz przestaly budzic nasze zdziwienie i oburzenie. Szeroki swiat i dziela sztuki, jakie ogladalismy podczas wedrowki, ostudzily nasza gorliwosc nawet wobec tego surowego przykazania. "Bekon", stwierdzil krotko Joszua, kiedy go o to zapytalem).

Z tej wielkiej hali dobiegal spiew, ktory slyszelismy od chwili wejscia do klasztoru. Kiedy mijalismy cele mnichow, ocenilismy, ze musi byc ich przynajmniej dwudziestu, laczacych glosy w monotonnym brzeczeniu, choc echa w grocie sprawialy, ze rownie dobrze mogl byc tylko jeden – albo tysiac.

Kiedy podeszlismy do posagu, probujac ocenic, z jakiego kamienia go wyrzezbiono, otworzyl oczy. – Czy to ty, Joszuo? – zapytal w bezblednym aramejskim. – Tak – potwierdzil Joszua. – A on kim jest? – To moj przyjaciel, Biff. – Od teraz bedzie sie zwal Dwudziesty Pierwszy, kiedy trzeba bedzie go wezwac, a ty bedziesz Dwudziestym Drugim. Dopoki przebywacie tutaj, nie macie imion.

Posag nie byl posagiem, oczywiscie – to byl Kasper. Pomaranczowy blask swiec i calkowity bezruch sprawily, ze tylko sie wydawalo, ze jest z kamienia. Przypuszczam, ze dalismy sie oszukac rowniez dlatego, ze spodziewalismy sie Chinczyka. Tymczasem Kasper wygladal, jakby pochodzil z Indii. Skore mial jeszcze ciemniejsza niz my, a na czole czerwona plamke, jakie widywalismy u indyjskich kupcow w Kabulu i Antiochii. Trudno byloby ocenic jego wiek,

nie mial bowiem wlosow ani zarostu, a takze zmarszczek na twarzy. – On jest Mesjaszem – oswiadczylem. – Synem Bozym. Przybyles, by zobaczyc go po narodzinach. Kasper wciaz nie zmienial wyrazu twarzy. – Mesjasz musi umrzec, jesli chcecie sie uczyc – rzekl. – Zabijcie go jutro. – Przepraszam? – Jutro sie dowiecie. Nakarmic ich – polecil Kasper.

Z mroku wynurzyl sie nastepny mnich, prawie identyczny z pierwszym. Ujal Joszue za ramie i wyprowadzil nas ze swiatyni w grocie z powrotem do cel. Tam pokazal Joszui i mnie nasze sypialnie. Odebral nam sakwy i odszedl, by wrocic po kilku minutach z miseczka ryzu i kubkiem slabej herbaty dla kazdego. Potem znowu odszedl. Przez caly czas nie odezwal sie ani slowem. – Prawdziwy gadula z niego – zauwazylem. Joszua wlozyl do ust garsc ryzu i skrzywil sie – ryz byl zimny i nieslony. – Jak myslisz? – spytal. – Czy powinienem sie martwic tym, co powiedzial Kasper, ze jutro Mesjasz umrze? – Pamietasz, ze nigdy nie byles calkiem pewien, czy jestes Mesjaszem, czy nie? – Owszem. – No wiec jutro, jesli nie zabija cie zaraz o swicie, powiedz im to.

Nastepnego ranka mnich Numer Siedem zbudzil Joszue i mnie, bijac nas w stopy bambusowym kijem. Trzeba go pochwalic, ze usmiechnal sie, kiedy w koncu starlem z oczu sen, ale niewielka to pociecha. Numer Siodmy byl niski i chudy, mial wysokie kosci policzkowe i szeroko rozstawione oczy. Nosil dluga pomaranczowa szate z surowej bawelny, i chodzil boso. Byl gladko ogolony, takze na glowie – z wyjatkiem zwiazanego sznurkiem cienkiego warkoczyka, wyrastajacego z czubka glowy. Wygladal, jakby mogl byc w kazdym wieku, od siedemnastu do trzydziestu pieciu lat – nie dalo sie tego okreslic. (Jesli interesuje was wyglad mnichow od Drugiego do Szostego i od Osmego do Dwudziestego, wyobrazcie sobie dziewietnascie razy Numer Siodmy. A przynajmniej tacy mi sie wydawali przez pierwsze kilka miesiecy. Jestem przekonany, ze pozniej – jesli pominac fakt, ze bylismy wyzsi i okragloocy – tez zaczelismy pasowac do tego opisu. Kiedy czlowiek stara sie zrzucic wiezy jazni, niepowtarzalny wyglad staje sie przeszkoda. Dlatego nazywaja to "uniformem". Ale przepraszam, za bardzo wybieglem w przod).

Numer Siodmy pokazal nam okno, wyraznie uzywane jako latryna, poczekal, az z niego skorzystamy, a potem zabral nas do malego pokoju, gdzie przy niskim stoliku, z nogami skrzyzowanymi w pozornie niemozliwej pozycji, siedzial Kasper. Numer Siodmy sklonil sie i odszedl, a Kasper poprosil – znowu w naszym ojczystym aramejskim – bysmy usiedli.

Usiedlismy wiec naprzeciw niego na podlodze – nie, wlasciwie nie; nie usiedlismy, a raczej polozylismy sie na bokach, wsparci na lokciach, tak jak przy niskich stolach w domu. Usiedlismy dopiero wtedy, gdy Kasper wyjal spod stolika bambusowy kij i ruchem szybkim jak atakujaca kobra trzepnal nas kolejno po glowach. – Powiedzialem: usiadzcie – rzekl. Wtedy usiedlismy. – O rany – jeknalem, rozcierajac rosnacego za uchem guza. – Sluchajcie. – Kasper uniosl kij, by wyraznie dac nam do zrozumienia, o co mu chodzi.

Sluchalismy, jakby lada chwila mieli calkiem wylaczyc dzwiek i trzeba bylo zrobic zapas. Wydaje mi sie, ze na chwile wstrzymalem oddech. – Dobrze – pochwalil Kasper.

Odlozyl kij i nalal herbaty do trzech prostych czarek na stoliku. Patrzylismy na te parujaca herbate… Tylko patrzylismy. Kasper rozesmial sie jak maly chlopiec; widoczne jeszcze przed chwila wladczosc i powaga calkiem zniknely z jego twarzy. Moglby byc teraz dobrodusznym wujem. Wlasciwie to – mimo wyraznie indyjskich rysow – bardzo mi przypominal Jozefa, ojczyma Josha. – Zadnego Mesjasza – powiedzial, przechodzac na chinski. – Rozumiecie? – Tak – odpowiedzielismy.

W ulamku sekundy bambusowy kij znalazl sie w jego dloni, a drugi koniec odbil sie od glowy Joszuy. Oslonilem glowe rekami, czekajac na cios, ktory nie nadszedl. – Czy uderzylem Mesjasza? – zapytal Joszue Kasper. Joszua wydawal sie szczerze zdumiony.

Milczal, rozcierajac glowe, gdy kolejny cios trafil go nad drugim uchem. W kamiennym pokoju dzwiek uderzenia zabrzmial ostro i glosno. – Czy uderzylem Mesjasza? – powtorzyl Kasper. Ciemnobrazowe oczy Josha nie ukazywaly ani bolu, ani leku, a tylko dezorientacje – taka jak dezorientacja cielecia, ktoremu kaplan ze Swiatyni wlasnie poderznal gardlo. Kij swisnal znowu, ale tym razem zlapalem go w powietrzu, wyrwalem Kasprowi z dloni i wyrzucilem przez waskie okno za jego plecami. – Blagam o wybaczenie, mistrzu – powiedzialem. – Ale jesli jeszcze raz go uderzysz, zabije cie. Kasper wstal, ale balem sie na niego spojrzec (na Joszue tez, musze przyznac). – Ego – rzekl mnich. I bez slowa wyszedl z pokoju.

Przez kilka minut Joszua i ja siedzielismy w milczeniu, myslac i rozcierajac guzy. No coz, odbylismy interesujaca podroz i w ogole, ale Joszua nie nauczy sie raczej, jak byc Mesjaszem, od kogos, kto tlucze go kijem, ile razy sie o tym wspomni. A przeciez, o ile wiem, przybyl wlasnie po nauke. Trzeba wiec ruszac dalej. Wypilem stojaca przede mna czarke herbaty, potem te, ktora zostawil Kasper. – Dwoch Medrcow zaliczonych, zostal jeden – powiedzialem. – Lepiej zjedzmy jakies sniadanie, skoro mamy wyruszyc. Joszua spojrzal na mnie tak samo zdziwiony, jak przed chwila na Kaspra. – Myslisz, ze potrzebny mu ten kij?

Mnich Numer Siedem oddal nam sakwy, sklonil sie gleboko i wrocil do klasztoru, zamykajac brame. Joszua i ja stalismy obok gongu. Byl jasny ranek i widzielismy, jak nad wioska w dole unosza sie smugi dymu z palenisk. – Powinnismy poprosic o sniadanie – powiedzialem. – Czeka nas dluga droga w dol. – Ja nie ide – oswiadczyl Joszua. – Chyba zartujesz. – Wiele moge sie tu nauczyc. – Na przyklad, jak przyjmowac lanie? – Mozliwe. – Nie jestem pewien, czy Kasper przyjmie mnie z powrotem. Nie byl chyba ze mnie zadowolony. – Groziles, ze go zabijesz. – Wcale nie. Ostrzeglem, ze go zabije. To wielka roznica. – Wiec nie masz zamiaru tu zostac?

I oto padlo pytanie: czy chce zostac z moim najlepszym przyjacielem, jesc zimny ryz, spac na zimnej posadzce, godzic sie na maltretowanie przez oblakanego mnicha i zapewne skonczyc z rozlupana czaszka, czy chce odejsc? Ale dokad? Do domu? Z powrotem do Kabulu i Radosnej? Mimo dalekiej podrozy, wydawalo sie, ze latwiej wracac droga, ktora przyszedlem. Przynajmniej zdazylem ja juz troche poznac. Ale jesli wolalem latwe wybory, to co w ogole tutaj robilem? – Na pewno chcesz zostac, Josh? Nie mozemy poszukac Melchiora? – Wiem, ze wielu rzeczy musze sie tu nauczyc.

Joszua chwycil palke i uderzyl w gong. Po chwili otworzylo sie okienko we wrotach i w otworze pojawila sie twarz mnicha, ktorego jeszcze nie znalismy. – Idzcie sobie – powiedzial. – Nature macie tepa, a wasz oddech cuchnie jak tylek jaka. Zatrzasnal klapke. Joszua uderzyl w gong jeszcze raz. – Nie podoba mi sie to gadanie o zabiciu Mesjasza. Nie moge tu zostac, Joszua. Nie, jesli on nadal zamierza cie bic. – Mam przeczucie, ze oberwe jeszcze pare razy, zanim naucze sie tego, co chce mi pokazac. – Musze odejsc. – Tak, musisz. – Ale moglbym zostac. – Nie. Zaufaj mi, musisz zostawic mnie teraz, zebys nie zrobil tego pozniej. Zobaczymy sie jeszcze. Odwrocil sie ode mnie i stanal twarza do wrot. – Aha… Czyli nic wiecej nie wiesz, ale to wiesz? Tak nagle? – Tak. Idz, Biff. Zegnaj.

Ruszylem w dol waska sciezka i prawie spadlem w przepasc, kiedy uslyszalem, ze otwiera sie klapka we wrotach. – Dokad idziesz?! – krzyknal mnich. – Do domu – odpowiedzialem. – I dobrze. Idz, postrasz jakies dzieci swoja wybitna ignorancja. – Tak zrobie.

Staralem sie opanowac drzenie ramion, ale mialem uczucie, jakby przez miesnie grzbietu ktos wyrywal ze mnie dusze. Nie zawroce, przyrzeklem sobie. Powoli, z trudem podazalem sciezka w dol, przekonany, ze juz nigdy nie zobacze Joszuy.

Zycie w hotelu wpadlo w monotonna rutyne, przez co przypomina mi tamte dni w Chinach. Godziny jawy wypelniam spisywaniem tych stron, ogladaniem telewizji, draznieniem aniola i wymykaniem sie do lazienki, gdzie czytam Ewangelie. Mysle, ze to ostatnie wpycha godziny snu w pejzaz koszmarow, przez co budze sie wyczerpany. Skonczylem Marka i on tez opowiada o zmartwychwstaniu, o dzielach poza czasem smierci mojej i Joszuy. Historia jest podobna do opowiedzianej przez tego Mateusza, wydarzenia troche poplatane, ale zasadniczo to historia Joszuowej poslugi. Jednakze to opowiesc o ostatnim tygodniu Paschy napelnia mnie lekiem. Aniol nie zdolal ukryc przede mna, ze nauki Joszuy przetrwaly i zyskaly wielka popularnosc. (Przestal nawet zmieniac kanal, kiedy w TV wspominaja o Joszui, jak to robil na samym poczatku). Ale czy to wlasnie jest ksiega, z ktorej czerpane sa nauki Joszuy? Snie o krwi, o cierpieniu, o samotnosci tak wielkiej, ze nawet echo nie moze jej przetrwac, i zrywam sie z krzykiem, mokry od potu. Nawet kiedy sie budze, samotnosc pozostaje jeszcze przez chwile.

Zeszlej nocy, kiedy sie przebudzilem, zdawalo mi sie, ze widze u stop swego lozka kobiete, a obok niej aniola. Rozpostarte czarne skrzydla dotykaly scian z obu stron pokoju. Potem, zanim sie zorientowalem, aniol otulil kobiete skrzydlami, a ona zniknela w ich cieniu i juz jej nie bylo. Mysle, ze wtedy naprawde sie obudzilem, bo aniol lezal obok, na sasiednim lozku i patrzyl w ciemnosc. Jego oczy byly jak czarne perly i odbijaly czerwone mrugajace swiatla ostrzegawcze, swiecace slabo przez okno ze szczytow budynkow po drugiej stronie ulicy. Nie bylo skrzydel, czarnej szaty ani kobiety. Tylko Raziel, zapatrzony w mrok. – Koszmary? – zapytal. – Wspomnienia – odpowiedzialem.

Czy spalem? Pamietam to samo mrugajace czerwone swiatlo, tak samo slabe, igrajace na policzku i grzbiecie nosa kobiety z mojego koszmaru (tylko tyle widzialem z jej twarzy). A te eleganckie linie pasowaly do zakamarkow mojej pamieci jak klucz do zapadek zamka; uwalnialy cynamon, drzewo sandalowe i smiech, slodszy niz najpiekniejszy dzien dziecinstwa.

Dwa dni po moim odejsciu z klasztoru uderzylem w gong przed brama, a klapka uchylila sie i zobaczylem twarz niedawno ogolonego mnicha. Skora na glowie wciaz byla o kilkanascie odcieni jasniejsza niz ta na jego twarzy. – Czego? – zapytal. – Wiesniacy zjedli nasze wielblady – powiedzialem. – Odejdz stad. W nieprzyjemny sposob wydymasz nozdrza, a twoja dusza jest brylowata. – Wpusc mnie, Joszua. Nie mam dokad pojsc. – Nie moge cie tak zwyczajnie wpuscic – szepnal Josh. – Musisz odczekac trzy dni, jak wszyscy. – A potem dodal glosno, wyraznie, tak by byc slyszanym w srodku: – Wydajesz sie zarazony Beduinami! Odejdz! Stalem tam. I czekalem, Po kilku minutach otworzyl klapke. – Zarazony Beduinami? – spytalem. – Nie czepiaj sie. Jestem nowy. Przyniosles jedzenie i wode, zeby tu przezyc? – Tak. Ta bezzebna kobieta sprzedala mi troche suszonego wielbladziego miesa. To danie dnia. – Na pewno jest nieczyste – uznal Josh. – Bekon, Joszua. Zapomniales? – A tak. Przepraszam. Sprobuje wyniesc ci troche herbaty i derke, ale raczej nie zaraz. – Wiec Kasper pozwoli mi wrocic? – Nie mogl zrozumiec, dlaczego w ogole odszedles. Powiedzial, ze jesli juz ktos potrzebuje nauczyc sie dyscypliny, no, zreszta sam wiesz. Mysle, ze dostaniesz jakas kare. – Przepraszam, ze cie opuscilem. – Nie opusciles. – Usmiechnal sie. Ze swoja dwukolorowa glowa wygladal glupiej niz normalnie. – Powiem ci, ze jednej rzeczy juz sie tu nauczylem. – Czego? – Kiedy ja bede szefem, to gdy ktos zapuka, bedzie mogl wejsc. Zmuszac kogos, kto szuka pociechy, zeby stal na zimnie, to garnek zjelczalego masla jaka. – Amen – rzeklem.

Zatrzasnal klapke, co bylo najwyrazniej nakazanym sposobem jej zamykania. Stalem przed brama i zastanawialem sie, jak Joszua – gdy w koncu nauczy sie juz byc Mesjaszem – umiesci w kazaniu fraze "garnek zjelczalego masla jaka". Akurat tego potrzeba nam, Zydom, myslalem: kolejnych restrykcji zywieniowych.

Mnisi rozebrali mnie do naga i lali na glowe zimna wode, potem szorowali energicznie szczotkami zrobionymi ze szczeciny dzika, potem oblewali goraca woda, znowu szorowali, potem znow zimna, az wrzeszczalem, zeby przestali. Wtedy ogolili mi glowe, przy okazji szczodrze znaczac ja zadrapaniami, splukali przyklejone do ciala wlosy, podali swieza pomaranczowa szate, derke i drewniana miseczke na ryz. Pozniej dostalem jeszcze lapcie uplecione z jakiejs trawy i sam zrobilem sobie skarpety z tkanej siersci jaka. Przez szesc lat bylo to miara mojego bogactwa: szata, koc, miseczka, lapcie i skarpety.

Kiedy Mnich Numer Osiem prowadzil mnie na spotkanie z Kasprem, myslalem o moim dawnym przyjacielu Bartlomieju i o tym, jak bardzo podobalaby mu sie ta nowo osiagnieta skromnosc. Czesto opowiadal, jak jego patriarcha, cynik Diogenes, przez lata nosil ze soba miseczke, az raz zobaczyl czlowieka pijacego ze zwinietej dloni. Powiedzial wtedy: "Bylem glupcem, dzwigajac przez tyle lat ciezar miseczki, kiedy calkiem dobre naczynie znajduje sie na koncu mego ramienia".

No, owszem, pewnie, moze to i dobre dla Diogenesa, ale poniewaz bylo to wszystko, co mialem, to gdyby ktos probowal odebrac mi miseczke, stracilby owo naczynie na koncu ramienia.

Kasper siedzial na podlodze w tym samym malym pokoiku: oczy zamkniete, dlonie zlozone na

kolanach. Joszua siedzial naprzeciwko w tej samej pozycji. Mnich Numer Osiem sklonil sie i wyszedl, a Kasper otworzyl oczy. – Usiadz. Usiadlem. – Sa cztery reguly, ktorych zlamanie powoduje wydalenie z klasztoru. Pierwsza: mnich nie ma stosunkow plciowych z nikim, az do poziomu zwierzecia.

Joszua spojrzal na mnie i zgarbil sie, jakby oczekiwal, ze powiem cos, co rozgniewa Kaspra. – Jasne – zgodzilem sie. – Zadnych stosunkow. – Druga: mnich, czy w klasztorze, czy w wiosce, nie wezmie zadnej rzeczy, ktora nie jest mu dana. Trzecia: jesli mnich umyslnie odbierze zycie czlowiekowi albo podobnemu do czlowieka, czy to reka, czy bronia, zostanie wydalony. – Podobnemu do czlowieka? – zdziwilem sie. – Zobaczysz – odparl Kasper. – Czwarta: mnich, ktory twierdzi, ze osiagnal stany nadludzkie, albo twierdzi, ze posiadl madrosc swietych, gdy w rzeczywistosci tak nie jest, zostanie wydalony. Czy zrozumieliscie te cztery reguly? – Tak – potwierdzilem. Joszua kiwnal glowa. – Pamietajcie, ze nie ma zadnych okolicznosci lagodzacych. Jesli inni mnisi osadza, ze popelnicie ktorekolwiek z tych wykroczen, musicie odejsc z klasztoru.

Znow powiedzialem: "tak", a Kasper przeszedl do trzynastu regul, za zlamanie ktorych mnich moze byc zawieszony i usuniety na dwa tygodnie (pierwsza zlamala mi serce: "zadnej emisji nasienia, chyba ze we snie"). A potem dziewiecdziesiat wykroczen, za ktore czeka niepomyslne odrodzenie, o ile grzech nie bedzie odpokutowany (ich zakres obejmowal wiele rzeczy, od niszczenia dowolnej roslinnosci albo umyslnego pozbawienia zycia zwierzecia, poprzez siedzenie z kobieta na otwartej przestrzeni, po wyznanie laikowi, ze ma sie nadludzkie moce, nawet jesli ma sie je rzeczywiscie). Ogolnie, poznalismy niesamowita liczbe regul, ponad sto o normach zachowania, dziesiatki o rozstrzyganiu dyskusji… Pamietajcie jednak, ze bylismy Zydami, wychowanymi pod wplywem faryzeuszy, ktorzy w zasadzie kazde zdarzenie codziennego zycia osadzali wedlug prawa mojzeszowego. U Baltazara studiowalismy Konfucjusza, ktorego filozofia byla wlasciwie rozszerzonym systemem etykiety. Nie watpilem, ze Joszua sobie poradzi, istniala tez szansa, ze i mnie sie uda, jesli tylko Kasper nie bedzie zbyt swobodnie uzywal bambusowego kija i jesli zdolam dostatecznie czesto wywolywac nocne zmazy. (Hej, przeciez mialem osiemnascie lat i wlasnie przezylem piec z nich w fortecy pelnej dostepnych konkubin. Przyzwyczailem sie, jasne?). – Mnichu Numer Dwudziesty Drugi – zwrocil sie Kasper do Joszuy – zaczniesz od nauki siedzenia. – Ja umiem siedziec – wtracilem. – A ty, Numerze Dwudziesty Pierwszy, ostrzyzesz jaka. – To jest tylko takie powiedzenie, prawda? Nie bylo.

Jak jest niezwykle wielkim, niezwykle kudlatym, podobnym do bawolu zwierzeciem, uzbrojonym w grozne z wygladu rogi. Jesli widzieliscie kiedys bawolu, wyobrazcie go sobie noszacego na calym ciele peruke z wlosami wlokacymi sie po ziemi. Potem spryskajcie go pizmem, gnojowka i skwasnialym mlekiem – i macie jaka. W oborze w jaskini mnisi trzymali jedna samice, ktora za dnia wypuszczali, by pasla sie na gorskich sciezkach. Nie wiem czym. Wydawalo sie, ze nie ma tu dosc roslinnosci, by wykarmic zwierzaka tych rozmiarow (jak jest w klebie wyzszy niz ja). Ale przeciez zdawalo sie, ze w calej Judei nie ma dosc roslinnosci, by wystarczylo dla stada koz, a mimo to pasterstwo jest jednym z glownych zajec. Coz ja moge o tym wiedziec?

Jak dostarczal akurat tyle mleka i sera, by przypomniec mnichom, ze z jednego jaka nie uzyskaja dosc mleka i sera dla dwudziestu dwoch mnichow. Zwierze bylo tez zrodlem szorstkiej welny, ktora nalezalo scinac dwa razy w roku. Ten chwalebny obowiazek – wraz z grabieniem gnoju i wyczesywaniem z siersci trawy i rzepow – spadl na mnie.

O jakach nie trzeba wiedziec wiele, poza tym, o czym wspomnialem wyzej. Z wyjatkiem pewnej waznej informacji. Kasper uznal, ze powinienem odkryc ja droga praktyki: jaki nienawidza strzyzenia.

Mnisi Osmy i Siodmy zabandazowali mnie, nastawili polamane nogi i reke i oczyscili z nawozu jaka, dokladnie wdeptanego w moje cialo. Opisalbym wam roznice miedzy tymi dwoma powaznymi uczniami, ale nie potrafie. Celem wszystkich mnichow bylo uwolnienie sie od ego, wlasnej jazni, i poza kilkoma dodatkowymi zmarszczkami na twarzach starszych mezczyzn, wszyscy wygladali tak samo, ubierali sie tak samo i zachowywali tak samo. Ja przeciwnie – mimo ogolonej glowy i szafranowej szaty, bardzo sie od nich roznilem, gdyz mialem polowe ciala w bandazach i trzy z czterech konczyn ujete w bambusowe lupki.

Po katastrofie z jakiem Joszua czekal do nocy, nim przekradl sie do mojej celi. W korytarzu rozbrzmiewaly ciche pochrapywania mnichow, a lekkie turbulencje nietoperzy, ktore przez klasztor docieraly do swojej groty, niosly sie wsrod kamiennych scian niby smiertelne tchnienia epileptycznych cieni. – Boli? – zapytal Joszua. Mimo chlodu pot splywal mi z twarzy. – Ledwie oddycham.

Siodmy i Osmy nastawili mi zlamane zebra, ale i tak kazdy oddech byl jak noz wbity w piers. Joszua polozyl mi dlon na czole. – Wyjde z tego, Josh. Nie musisz sie tak meczyc. – A dlaczego nie? – zdziwil sie. – Nie mow za glosno.

Po kilku sekundach bol minal i znowu moglem oddychac. Wtedy zasnalem, a moze zemdlalem z wdziecznosci, trudno powiedziec. Gdy przebudzilem sie o swicie, Joszua wciaz kleczal przy mnie, wciaz z dlonia na moim czole. Usnal w tej pozycji.

Zanioslem wyczesana welne jaka Kasprowi, ktory spiewal w wielkiej grocie swiatyni. Byl tego spory pakunek, ktory ulozylem za mnichem na ziemi i wycofalem sie. – Czekaj – rzekl Kasper, unoszac palec. Dokonczyl inkantacje i zwrocil sie do mnie: – Herbata – rzekl.

Poszedl pierwszy, a ja za nim, do malego pokoiku, gdzie przyjmowal mnie i Joszue zaraz po naszym przybyciu. – Siadz – nakazal. – Siadz, nie czekaj.

Usiadlem i patrzylem, jak rozpala wegiel drzewny na malym kamiennym palenisku. Uzywal luku i kolka, by rozniecic plomienie najpierw na suchym mchu, a potem rozdmuchac je, by zajal sie wegiel. – Wynalazlem patyczki, ktore natychmiast sie zapalaja – powiedzialem. – Moglbym nauczyc…

Kasper spojrzal na mnie gniewnie i znow wystawil palec, jakby chcial nim stracic z powietrza moje slowa. – Siedz – rzekl. – Nie mow. Nie czekaj.

Zagotowal wode w miedzianym kociolku, potem wylal wrzatek na herbaciane liscie w glinianym naczyniu. Ustawil na stoliku dwie male czarki i zaczal nalewac do nich herbate. – Uwazaj, glupku! – krzyknalem. – Rozlewasz wszystko na stol! Kasper usmiechnal sie i odstawil naczynie. – Jak moge podac ci herbate, jesli twoja czarka jest juz pelna? – Co? – odpowiedzialem elokwentnie.

Przypowiesci nigdy nie byly moja mocna strona. Jesli czlowiek chce cos powiedziec, niech mowi. Dlatego, oczywiscie, Joszua i buddysci byli dla mnie idealnym towarzystwem, jako wzor bezposrednich rozmowcow.

Kasper nalal sobie herbaty, potem odetchnal gleboko i zamknal oczy. Minela chyba pelna minuta, nim znow je otworzyl. – Jezeli wiesz juz wszystko, jak moge cie czegos nauczyc? Musisz oproznic czarke, zanim naleje ci herbaty. – Czemu od razu nie mowiles?

Chwycilem czarke i wylalem herbate przez to samo okno, przez ktore wczesniej wyrzucilem kij Kaspra. Potem energicznie postawilem ja na stoliku. – Jestem gotow – oswiadczylem. – Idz do swiatyni i usiadz – polecil Kasper.

Bez herbaty? Wyraznie wciaz mial pretensje o te moje prawie grozby. Wycofalem sie do drzwi i poklonilem (uprzejmosc, jakiej nauczyla mnie Radosna). – Jeszcze jedno – odezwal sie Kasper. Zatrzymalem sie i czekalem. – Numer Siodmy uznal, ze nie przezyjesz nocy. Numer Osmy zgodzil sie z nim. Jak to sie stalo, ze jestes nie tylko zywy, ale tez caly i zdrowy? Zastanowilem sie sekunde, nim odpowiedzialem – cos, co robie nieczesto. – Byc moze owi mnisi zbyt wysoko cenia wlasne opinie. Moge tylko miec nadzieje, ze nie wywarli zlego wplywu na myslenie innych. – Idz, usiadz – rzekl Kasper.

Siedzenie – tym sie zajmowalismy. Pragnienie siedzenia w bezruchu, by slyszec muzyke wszechswiata, bylo najwyrazniej tym, co nas tu prowadzilo przez pol swiata. Uwolnienia sie od ego – nie indywidualnosci, ale tego, co nas odroznia od wszystkich innych istot. – Kiedy siedzisz, siedz. Kiedy oddychasz, oddychaj. Kiedy jesz, jedz – mawial Kasper.

Chodzilo mu o to, ze kazdy element naszej istoty powinien istniec w danej chwili, calkowicie swiadom terazniejszosci, bez przeszlosci ani przyszlosci, niczego oddzielajacego nas od wszystkiego, co jest.

Mnie, Zydowi, trudno bylo istniec jedynie w chwili terazniejszej. Bez przeszlosci, gdzie jest wina? Bez przyszlosci, gdzie jest strach? A bez winy i strachu, kim jestem ja? – Mysl o swej skorze jako czyms, co laczy cie z reszta wszech swiata, nie czyms, co cie od niego oddziela – tlumaczyl mi Kasper, probujac nauczyc esencji tego, co znaczy oswiecenie. Przyznawal jednak, ze to jest cos, czego nie da sie nauczyc. Mogl nauczyc metod. Kasper potrafil siedziec.

Wedlug legendy (ktora ulozylem w calosc z niedomowien rzucanych przez mistrza i uczniow) Kasper zbudowal ten klasztor jako miejsce do siedzenia. Wiele lat temu przybyl do Chin z Indii, gdzie przyszedl na swiat jako ksiaze, by nauczac cesarza prawdziwego sensu buddyzmu,

zagubionego w dlugich latach tworzenia dogmatow i nadinterpretacji pism.

Kiedy przybyl, zapytal go cesarz: – Co osiagnalem za wszystkie swe dobre uczynki? – Nic – odparl Kasper.

Cesarz byl przerazony mysla, ze przez wiele lat na darmo okazywal wielkodusznosc swemu ludowi. – A zatem – rzekl – jaka jest esencja buddyzmu? – Niezmierna puszka – odparl Kasper.

Cesarz nakazal wypedzic Kaspra ze swiatyni, a wtedy mlody mnich podjal dwa postanowienia. Po pierwsze, przygotuje sobie lepsza odpowiedz na nastepny raz, kiedy ktos zada mu to pytanie. I po drugie, nim zacznie rozmowe z kims waznym, musi nauczyc sie lepiej mowic po chinsku. Zamierzal bowiem odpowiedziec "niezmierna pustka", ale pomylil slowa.

Legenda mowila dalej, ze Kasper przybyl do groty, gdzie teraz wznosi sie klasztor, i usiadl, by medytowac. Postanowil siedziec w niej, dopoki nie osiagnie oswiecenia. Dziewiec lat pozniej zszedl z gory, a mieszkancy wioski czekali na niego z pozywieniem i darami. – Mistrzu, pragniemy twego swiatobliwego przewodnictwa! – zawolali. – Co mozesz nam powiedziec? – Naprawde musze sie wysiusiac – odparl Kasper.

A po tych slowach wszyscy wiesniacy zrozumieli, ze osiagnal stan umyslu wszystkich Buddow, czy tez "bezumysl", jak to nazywalismy. Wiesniacy blagali Kaspra, by z nimi zostal, i pomogli mu wzniesc klasztor przy tej wlasnie jaskini, gdzie doznal oswiecenia. Podczas budowy wiele razy napadali ich grozni bandyci. A choc Kasper wierzyl, ze zadnej istoty nie nalezy pozbawiac zycia, to uwazal rowniez, ze ludzie powinni miec jakas mozliwosc obrony. Medytowal wiec o tym, az opracowal metode samoobrony, oparta na rozmaitych poruszeniach, ktorych nauczyl sie od joginow w swych ojczystych Indiach. Pokazal ja wiesniakom, a potem wszystkim mnichom, ktorzy przybywali do klasztoru. Nazwal ja kung-fu, co tlumaczy sie luzno jako "metoda, dzieki ktorej niscy lysi faceci potrafia spuscic porzadne lanie".

Nasze szkolenie w kung-fu zaczelo sie od skakania po slupkach. Po sniadaniu i porannych medytacjach mnich Numer Trzeci, ktory wydawal sie najstarszy w klasztorze, zaprowadzil nas na dziedziniec. Zobaczylismy tam stos palikow, wysokich na jakies dwie stopy i grubych na szerokosc dloni. Kazal nam ustawic je pionowo w linii prostej, mniej wiecej co pol kroku. Potem mielismy wskoczyc na jeden z palikow i stanac na nim w rownowadze. Wieksza czesc poranka spedzilismy na podnoszeniu sie z szorstkich kamieni bruku, ale w koncu obaj stanelismy na jednej nodze na pionowych slupkach. – Co teraz? – spytalem. – Teraz nic – odpowiedzial Numer Trzeci. – Po prostu stojcie. No wiec stalismy. Godzinami. Slonce przesuwalo sie po niebie, nogi i grzbiet zaczynaly bolec, spadalismy raz po raz, a Numer Trzeci krzyczal na nas i kazal znowu wskakiwac na paliki. Kiedy zapadl zmierzch i obaj stalismy bez upadku od kilku godzin, Numer Trzy powiedzial: – A teraz przeskoczcie na sasiedni slupek.

Uslyszalem ciezkie westchnienie Joszuy. Spojrzalem na szereg slupkow i widzialem, jakie nas czeka cierpienie, jesli mamy skakac po calym tym plocie. Joszua stal na koncu szeregu, obok mnie, wiec musial przeskoczyc na moj slupek. Czyli ja nie tylko powinienem skoczyc na

sasiedni i wyladowac bez upadku, ale tez postarac sie, by przy starcie nie przewrocic tego, na ktorym dotad stalem. – Juz! – rzucil Numer Trzeci.

Skoczylem i nie trafilem z ladowaniem. Slupek zachwial sie pode mna i glowa naprzod runalem na kamienie. Pod powiekami blysnelo mi biale swiatlo, a strumien ognia poplynal po karku. Zanim zdazylem sie otrzasnac, potoczyl sie na mnie Joszua. – Dzieki – szepnal, wdzieczny, ze wyladowal na miekkim Zydzie zamiast na twardych kamieniach. – Jeszcze raz – nakazal Numer Trzeci. Ustawilismy slupki i wskoczylismy na nie znowu. Tym razem udalo sie nam przy pierwszej probie. Potem czekalismy na polecenie kolejnego skoku. Ksiezyc wzniosl sie jasny i pelny, a my obaj spogladalismy na linie slupkow i myslelismy, ile czasu minie, zanim dotrzemy na sam koniec, jak dlugo Numer Trzeci kaze nam tu tkwic… i wspominalismy opowiesc o tym, jak Kasper siedzial w grocie przez dziewiec lat. Nie pamietam, zebym czul kiedys taki bol, a to powazne wyznanie u czlowieka, ktory zostal niedawno stratowany przez jaka. Probowalem sobie wyobrazic, ile zmeczenia i pragnienia zniose, nim spadne… I nagle Numer Trzeci powiedzial: – Wystarczy. Idzcie spac. – To wszystko? – zapytal Joszua. Zeskoczyl i skrzywil sie przy ladowaniu. – Po co ustawialismy dwadziescia slupkow, jesli uzylismy tylko trzech? – A czemu myslicie o dwudziestu, skoro mozecie stanac tylko na jednym? – odpowiedzial Numer Trzeci. – Musze sie wysiusiac – oznajmilem. – Otoz to – pochwalil mnich. No i tak to wyglada: buddyzm.

Co rano wychodzilismy na dziedziniec i ustawialismy slupki inaczej, przypadkowo. Numer Trzeci dodawal tez slupki o roznej wysokosci i srednicy. Czasami mielismy przeskakiwac z jednego na drugi jak najszybciej, kiedy indziej stalismy w miejscu godzinami, gotowi ruszyc w jednej chwili, gdy tylko Numer Trzeci wyda polecenie. Chodzilo chyba o to, zebysmy niczego nie mogli przewidziec, nie mogli wczuc sie w rytm cwiczenia. Musielismy stale trwac w gotowosci do skoku w dowolnym kierunku, bez zadnego przygotowania. Numer Trzeci nazywal to kontrolowana spontanicznoscia i przez pierwsze szesc miesiecy w klasztorze tyle samo czasu spedzalismy na slupkach, co siedzac pograzeni w medytacjach. Joszue natychmiast ogarnal entuzjazm dla tych cwiczen i kung-fu. Ja bylem – jak to ujmuja buddysci – bardziej tepy.

Oprocz normalnych obowiazkow gospodarskich w klasztorze, uprawy zagonow i dojenia jaka (zadanie, jakiego milosiernie nigdy mi nie powierzono), co mniej wiecej dziesiec dni grupa szesciu mnichow schodzila z miseczkami do wioski, by zebrac od mieszkancow jalmuzne – zwykle ryz i herbate, czasami ciemne sosy, maslo jaka, ser, przy rzadkich okazjach plotno na nowe szaty. Przez pierwszy rok Joszui ani mnie nie pozwalano na opuszczanie klasztoru, ale zaczalem zauwazac pewne niezwykle zachowania. Po kazdej wyprawie po jalmuzne do wioski, czterech czy pieciu mnichow znikalo na pare dni w gorach. Nikt o tym nie wspominal ani przed wyruszeniem, ani po powrocie, ale zachodzila jakas rotacja – mnisi chodzili na te wyprawy co trzeci, czwarty raz, oprocz Kaspra, ktory wyruszal czesciej. Wreszcie zebralem sie na odwage i zapytalem o to Kaspra. – To specjalne medytacje – wyjasnil. – Nie jestes jeszcze gotow. Idz i usiadz.

Na wiekszosc pytan odpowiedz brzmiala: "Idz i usiadz", a moja uraza oznaczala, ze nie pokonalem przywiazania do ego, a zatem moje medytacje do niczego nie prowadza. Za to

Joszua wydawal sie calkowicie pogodzony z tym, co tu robilismy. Potrafil godzinami siedziec nieruchomo, a potem wykonywac cwiczenia na slupkach, jakby poswiecil te godziny na rozgrzewke. – Jak ty to robisz? – pytalem. – Jak potrafisz o niczym nie myslec i nie zasnac?

To byla jedna z glownych przeszkod na mojej drodze ku oswieceniu. Jesli za dlugo siedzialem nieruchomo, zapadalem w sen i najwyrazniej rozlegajacy sie w korytarzach odglos chrapania zaklocal medytacje innych mnichow. Sugerowanym lekarstwem na te przypadlosc byly duze ilosci zielonej herbaty. Rzeczywiscie pozwalala zachowac przytomnosc, ale stan "bezumyslu" zastepowala ciaglymi myslami o pecherzu. Przyznam, ze przed uplywem roku osiagnalem calkowita swiadomosc pecherza. Taki Joszua za to potrafil w pelni uwolnic sie od ego, zgodnie z naukami. W dziewiatym miesiacu naszego pobytu w klasztorze, w srodku najsrozszej zimy, jaka moge sobie wyobrazic, Joszua, zrzuciwszy wszelkie ograniczenia proznosci i jazni, stal sie niewidzialny.

Bylem wsrod was, jadlem, rozmawialem i chodzilem, chodzilem i chodzilem, cale godziny, podczas ktorych nie musialem zawracac z powodu sciany na drodze. Aniol obudzil mnie rano i wreczyl nowe ubranie, dziwne w dotyku, ale znajome z wygladu (z telewizji). Dzinsy, bluza i tenisowki, do tego skarpety i bokserki. – Wloz to. Zabieram cie na spacer – powiedzial Raziel. – Jakbym byl psem – zauwazylem. – Dokladnie jakbys byl psem.

Aniol takze mial na sobie kostium wspolczesnego Amerykanina, i choc nadal byl oszalamiajaco przystojny, wygladal bardzo nieswojo, jakby te ciuchy ktos przybil mu do ciala plonacymi gwozdziami. – Dokad idziemy? – Juz ci mowilem, na spacer. – Skad wziales ubrania? – Zadzwonilem na dol i Jesus je przyniosl. W hotelu jest sklep z odzieza. Chodzmy juz.

Raziel zamknal za nami drzwi, a klucz schowal do kieszeni dzinsow, razem z pieniedzmi. Ciekawe, czy mial juz kiedys kieszenie. Mnie by nie przyszlo do glowy, zeby z nich korzystac. Nie odezwalem sie ani slowem, kiedy zjezdzalismy winda do lobby i szlismy do glownych drzwi. Nie chcialem niczego zepsuc, powiedziec czegos, co przywroci aniolowi rozsadek. Halas na ulicy wydawal sie cudowny: samochody, mloty pneumatyczne, jacys wariaci mamroczacy do siebie… To swiatlo! Te zapachy! Wydawalo sie, ze musialem byc w szoku, kiedy za pierwszym razem przybylismy tu z Jeruzalem. Nie pamietalem, zeby to miejsce bylo tak jaskrawe. Ruszylem ulica, ale aniol chwycil mnie za ramie. Palce wbily mi sie w skore jak szpony. – Wiesz, ze nie zdolasz mi umknac, a jesli sprobujesz, dogonie cie i polamie nogi, zebys juz nigdy nie mogl biegac? Wiesz, ze gdybys uciekl chocby na kilka minut, nie zdolasz sie przede mna ukryc? Wiesz, ze potrafie cie znalezc, jak kiedys znajdowalem kazdego z twojego ludu? Wiesz o tym wszystkim? – Tak. Pusc mnie. Chodzmy. – Nie cierpie chodzenia. Widziales kiedys, jak orzel patrzy na wrobla? Tak wlasnie sie czuje wobec ciebie i twojego chodzenia.

Powinienem chyba wyjasnic, o czym mowil Raziel, kiedy powiedzial, ze kiedys znajdowal kazdego z mojego ludu. Wydaje sie, ze wieki temu pracowal jako Aniol Smierci, ale zwolnili go z obowiazkow, bo marnie sobie radzil. Sam przyznaje, ze uwielbia historie o okrutnym losie (to moze tlumaczyc jego fascynacje serialami). W kazdym razie, kiedy czytacie w Torze, ze Noe zyl dziewiecset lat, a Mojzesz sto czterdziesci, jak myslicie, kto prowadzil chorek wykonujacy

"Wiezy ciala z siebie zrzuc"? Wtedy otrzymal aspekt czarnych skrzydel, o ktorym juz opowiadalem. I chociaz go zwolnili, pozwolili zachowac stroj roboczy. (Uwierzycie, ze Noe zdolal odsunac zgon o osiemset lat, tlumaczac aniolowi, ze ma zaleglosci w papierach? Czy Raziel nie moglby byc taki niekompetentny takze w tej misji?). – Patrz, Razielu, pizza! – Wskazalem mu szyld. – Kup nam pizze! Wyjal z kieszeni i wreczyl mi troche pieniedzy. – Ty to zrob. Potrafisz, prawda? – Tak, w moich czasach mielismy juz handel – mruknalem sarkastycznie. – Nie bylo pizzy, ale handel istnial. – Dobrze. A potrafisz obsluzyc to urzadzenie? – Wskazal skrzynke, gdzie za szyba lezaly gazety. – Jesli nie otwiera sie ta mala dzwignia, to nie. Aniol sie zaniepokoil. – Jak to jest, ze otrzymujesz dar jezykow i nagle potrafisz zrozumiec kazda mowe, a nie ma daru, ktory nauczylby cie, jak w tych czasach dzialaja rozne urzadzenia? Wytlumacz mi to. – Wiesz, moze gdybys tak nie sciskal pilota do telewizora, nauczylbym sie ich uzywac.

Chodzilo mi o to, ze dowiedzialbym sie z telewizji czegos wiecej o zewnetrznym swiecie, ale Raziel zrozumial, ze chcialbym pocwiczyc naciskanie guzikow i zmiane kanalow. – Nie wystarczy wiedziec, jak dziala telewizor. Musisz wiedziec, jak dziala wszystko w tym swiecie.

Aniol odwrocil sie i przez okno wystawowe pizzerii patrzyl na ludzi, ktorzy podrzucali krazki ciasta. – Czemu, Razielu? Czemu powinienem wiedziec, jak funkcjonuje ten swiat? Jesli juz, to dotad probowales nie dopuscic, zebym sie czegokolwiek dowiedzial. – Juz nie. Zjedzmy pizze. – Razielu…

Nie chcial powiedziec nic wiecej, ale przez reszte dnia wloczylismy sie po miescie, wydawalismy pieniadze, rozmawialismy z ludzmi… Uczylem sie. Poznym popoludniem Raziel zapytal kierowce autobusu, gdzie moglby spotkac Spidermana. Moglbym wytrzymac jeszcze dwa tysiace lat, nie ogladajac tego rozczarowania, jakie zobaczylem na twarzy aniola, gdy kierowca mu odpowiedzial. Wrocilismy tutaj, do naszego pokoju, i Raziel westchnal. – Brakuje mi niszczenia miast pelnych ludzi – rzekl. – Rozumiem, o co ci chodzi – powiedzialem, chociaz to moj najlepszy przyjaciel sprawil, ze takie rzeczy wyszly z mody. Ale aniolowi nalezaly sie te slowa. Istnieje wielka roznica miedzy dawaniem falszywego swiadectwa a ratowaniem czyichs uczuc. Nawet Joszua to wiedzial.

–Przerazasz mnie, Joszua – powiedzialem, zwracajac sie do bezcielesnego glosu, ktory unosil sie przede mna w swiatyni. – Gdzie jestes? – Jestem wszedzie i nigdzie – oznajmil glos Joszuy. – Wiec jak to sie dzieje, ze twoj glos rozlega sie przede mna? Wcale mi sie to nie podobalo. Owszem, te lata w towarzystwie Joszuy uodpornily mnie na rozne nadprzyrodzone zjawiska, ale medytacje nie doprowadzily jeszcze do stanu, w ktorym nie reagowalbym na niewidzialnosc przyjaciela. – Jak przypuszczam, natura glosu jest, ze musi skads dobiegac, ale tylko po to, by mozna bylo go wydac.

Kasper siedzial w swiatyni; slyszac nasza rozmowe, wstal i podszedl do mnie. Nie wydawal sie zagniewany, ale z drugiej strony nigdy sie taki nie wydawal. – Dlaczego? – zapytal, co oznaczalo: Dlaczego gadasz i przeszkadzasz wszystkim w medytacjach tym piekielnym halasem, ty barbarzynco? – Joszua osiagnal oswiecenie – wyjasnilem. Kasper milczal, co

oznaczalo: / co? Przeciez o to wlasnie chodzi, niegodny pomiocie poharatanego brzytwa jaka. – I teraz jest niewidzialny. – Mu – zabrzmial glos Joszuy. Mu oznacza po chinsku nic poza nicoscia.

W akcie wyraznie niekontrolowanej spontanicznosci Kasper wrzasnal jak mala dziewczynka i wyskoczyl na cztery stopy w gore. Mnisi spojrzeli na nas, przerywajac spiew. – Co to bylo? – To Joszua. – Jestem uwolniony od jazni, uwolniony od ego – oswiadczyl Joszua.

Cos pisnelo i owial nas paskudny odor. Popatrzylem na Kaspra, a on pokrecil glowa. Popatrzyl na mnie, a ja wzruszylem ramionami. – Czy to ty? – zapytal Joszue Kasper. – Ja w takim sensie, ze jestem czastka wszystkich rzeczy, czy w takim, ze to ja wypuscilem ten gefilte gaz? – upewnil sie Josh. – To drugie. – Nie. – Klamiesz – stwierdzilem, rownie mocno zdziwiony tym, jak faktem, ze nie widze przyjaciela. – Powinienem teraz przestac z wami rozmawiac. Posiadanie glosu oddziela mnie od wszystkiego, co jest. Po tych slowach ucichl, a Kasper wygladal, jakby ogarniala go panika. – Nie odchodz, Joszuo – powiedzial. – Zostan jaki jestes, skoro musisz, ale zjaw sie jutro o swicie w pokoju herbacianym. – Kasper popatrzyl na mnie. – Ty tez przyjdz – polecil. – Rano mam cwiczyc na slupkach – przypomnialem. – Jestes zwolniony. A gdyby Joszua jeszcze z toba dzisiaj rozmawial, przekonaj go, by dzielil z nami egzystencje.

Po czym odszedl szybko, w sposob bardzo nieoswiecony. Tej nocy zasypialem juz w mojej celi, kiedy uslyszalem jakis pisk, a potem rozbudzil mnie nieopisanie paskudny smrod. – Joszua?

Wyczolgalem sie z celi na korytarz. Wysoko na scianach waskie szczeliny wpuszczaly swiatlo ksiezyca, ale nie zobaczylem niczego procz delikatnego blekitnego blasku na kamieniach. – Joszua, czy to ty? – Skad wiedziales? – zdziwil sie bezcielesny glos Joszuy. – No wiesz… Prawde mowiac, strasznie smierdzisz, Josh. – Kiedy ostatnio zeszlismy do wioski po jalmuzne, jakas kobieta dala Numerowi Czternastemu i mnie tysiacletnie jajo. Lezy mi na zoladku. – Nie rozumiem czemu. Myslalem, ze nie powinno sie juz zjadac jajka po… no nie wiem… jakichs dwustu latach. – Oni je zakopuja, zostawiaja na jakis czas, a potem wykopuja. – Czy dlatego cie nie widze? – Nie, to efekt moich medytacji. Oswobodzilem sie od wszystkiego. Osiagnalem wolnosc absolutna. – Byles wolny, odkad opuscilismy Galilee. – To nie to samo. To wlasnie chcialem ci powiedziec: ze nie moge uwolnic naszego ludu spod wladzy Rzymian. – Dlaczego nie? – Bo to nie jest prawdziwa wolnosc. Kazda wolnosc, ktora mozna komus dac, mozna rowniez odebrac. Mojzesz nie musial prosic faraona, by uwolnil nasz lud, nasz lud nie potrzebowal wyzwolenia z niewoli babilonskiej, niepotrzebne im uwolnienie spod wladzy Rzymian. Nie moge dac im wolnosci. Wolnosc jest w ich sercach, musza ja tylko odnalezc. – Chcesz powiedziec, ze nie jestes Mesjaszem? – Jak moglbym byc? Jak nedzna istota moze wierzyc, ze ofiaruje cos, co przeciez do niej nie nalezy? – Jesli nie ty, to kto, Josh? Anioly, cuda, twoja zdolnosc uzdrawiania i pocieszania? Kto jeszcze moglby byc wybrancem oprocz ciebie? – Nie wiem. Niczego nie wiem. Chcialem sie pozegnac. Pozostane przy tobie jako czastka wszystkich rzeczy, ale nie bedziesz mnie dostrzegal, dopoki nie osiagniesz oswiecenia. Nie wyobrazasz sobie, jakie to uczucie, Biff. Jestes wszystkim, kochasz wszystko i nie potrzebujesz niczego. – Jasne. Czyli buty nie beda ci juz potrzebne, tak? – To, co posiadasz,

staje pomiedzy toba a wolnoscia. – Dla mnie to brzmi jak potwierdzenie. Ale wyswiadcz mi pewna przysluge, dobrze? – Oczywiscie. – Wysluchaj, co Kasper bedzie mial ci jutro do powiedzenia.

I daj mi czas na wymyslenie inteligentnej odpowiedzi dla kogos, kto jest niewidzialny i szalony, pomyslalem. Joszua byl naiwny, ale przeciez nie glupi. Musialem znalezc cos, co pozwoli mi uratowac Mesjasza, zeby potem on uratowal nas wszystkich. – Ide do swiatyni, zeby siedziec. Zobacze cie rano. – Nie, jesli ja zobacze cie pierwszy. – Zabawne – stwierdzil Josh.

Kiedy tego ranka zobaczylem Kaspra w pokoju herbacianym, wydawal sie bardzo stary. Jego kwatera skladala sie z celi nie wiekszej niz moja, ale polozonej tuz przy pokoju herbacianym; miala tez drzwi, ktore mogl zamykac. Rankiem w klasztorze panowal chlod i widzialem pare naszych oddechow, gdy Kasper gotowal wode na herbate. Po chwili zauwazylem trzeci klab pary, unoszacy sie po mojej stronie stolu, chociaz nikogo tam nie bylo. – Dzien dobry, Joszuo – powiedzial Kasper. – Spales czy jestes wolny od takich potrzeb? – Nie, nie potrzebuje juz snu – odparl Josh. – Wybacz Dwudziestemu Pierwszemu i mnie, ale nadal musimy sie odzywiac.

Kasper nalal nam herbaty, a z polki, gdzie trzymal herbaciane liscie, zdjal dwie ryzowe kulki. Podal mi jedna. – Nie mam swojej miseczki.

Troche sie obawialem, ze Kasper sie na mnie rozgniewa. Ale skad moglem wiedziec? Mnisi zawsze jadali sniadanie razem. Sytuacja byla niezwykla. – Rece masz czyste – stwierdzil Kasper.

Wypil lyk herbaty i przez chwile siedzial swobodnie, nie mowiac ani slowa. Pokoj zagrzal sie od ognia, na ktorym Kasper gotowal wode, i teraz nie widzialem juz oddechu Joszuy. Najwyrazniej przezwyciezyl tez klopoty zoladkowe po spozyciu tysiacletniego jajka. Zaczynalem sie denerwowac – Numer Trzeci na pewno czekal juz na nas na dziedzincu, gdzie mielismy przyjsc na cwiczenia. Juz mialem sie odezwac, gdy Kasper uniosl palec, nakazujac milczenie. – Joszuo – rzekl. – Czy wiesz, co to jest bodhisattwa? – Nie, mistrzu. Nie wiem. – Gautama Budda byl bodhisattwa. Dwudziestu siedmiu patriarchow, ktorzy przyszli po nim, takze bylo bodhisattwami. Niektorzy mowia, ze ja jestem bodhisattwa, ale to nie jest moje stwierdzenie. – Nie ma Buddow – oswiadczyl Joszua. – Istotnie – zgodzil sie Kasper. – Ale kiedy ktos osiagnie miejsce buddystosci i zrozumie, ze nie ma Buddy, albowiem wszystko jest Budda, kiedy zyska oswiecenie, ale podejmie decyzje, by nie ewoluowac do nirwany, dopoki nie osiagna jej przed nim wszystkie swiadome istoty, wtedy staje sie bodhisattwa. Zbawca. Bodhisattwa, podejmujac taka decyzje, dowodzi, ze posiadl jedyne, co mozna posiasc: wspolczucie dla cierpien innych ludzi. Czy rozumiesz? – Chyba tak. Ale decyzja, by stac sie bodhisattwa, wyglada mi na akt ego, odrzucenie oswiecenia. – Tak bowiem jest, Joszuo. To samolubne dzialanie. – Czy prosisz mnie, bym zostal bodhisattwa? – Gdybym powiedzial do ciebie: miluj blizniego swego jak siebie samego, czy nakazywalbym ci egoizm?

Na chwile zapadla cisza. Spojrzalem w miejsce, skad dochodzil glos Joszuy i zobaczylem, ze moj przyjaciel znow staje sie widoczny. – Nie – odrzekl. – Dlaczego? – zapytal Kasper. – Miluj

blizniego swego jak siebie samego… – Josh zamilkl na dluga chwile i wyobrazalem sobie, ze szuka odpowiedzi w niebie, jak czesto czynil. – On bowiem jest toba, ty jestes nim, a wszystko, co w ogole warto kochac, to wszystko.

Joszua zmaterializowal sie na naszych oczach, calkowicie ubrany. Niewidzialnosc wcale mu nie zaszkodzila. Kasper usmiechnal sie i nagle zniknely te dodatkowe lata, widoczne dotad na jego twarzy. Osiagnal spokoj i przez chwile wydawal sie mlody jak my. – Slusznie, Joszuo. Jestes istota prawdziwie oswiecona. – Bede bodhisattwa dla mego ludu – oswiadczyl Joszua. – Dobrze. A teraz idz ostrzyc jaka. Upuscilem ryzowa kulke. – Co? – Ty zas odszukasz Numer Trzeci i rozpoczniesz swoje cwiczenia na slupkach. – Pozwol mnie ostrzyc jaka – poprosilem. – Juz to robilem. Joszua polozyl mi dlon na ramieniu. – Nic mi nie bedzie. Kasper mowil dalej: – A przy nastepnym ksiezycu, po powrocie z jalmuzna, obaj wyruszycie z grupa mnichow w gory, na specjalne medytacje. Wasza nauka rozpocznie sie jeszcze dzisiaj. Przez dwa dni nie dostaniecie posilku, a jeszcze przed zachodem slonca macie mi oddac wasze derki. – Ale ja juz jestem oswiecony – zaprotestowal Joszua. – Dobrze. Ostrzyz jaka – odparl mistrz.

Chyba nie powinienem byc zdziwiony, kiedy nastepnego dnia Joszua zjawil sie w jadalni bez zadnego drasniecia, niosac bele siersci jaka. Inni mnisi wcale nie wydawali sie zaskoczeni. Prawde mowiac, bardzo trudno jest zaskoczyc buddyjskiego mnicha, zwlaszcza znajacego kung-fu. Tak byli skupieni na chwili obecnej, ze czlowiek musialby stac sie prawie niewidzialny i absolutnie bezglosny, zeby sie do takiego podkrasc. A nawet wtedy zwykle wyskoczenie na niego z okrzykiem "Buu!" nie wystarczalo, by wstrzasnac jego czakra. Aby uzyskac jakas reakcje, nalezaloby walnac mnicha w glowe kijem bojowym, a gdyby uslyszal jego swist w powietrzu, istnieje spora szansa, ze by go zlapal, wyrwal i rozbil nim czlowieka na miazge. Wiec nie, nie zdziwili sie, kiedy Joszua bez najmniejszego zadrapania dostarczyl kudlaty plon. – Jak? – spytalem, gdyz bylo to wszystko, co chcialem obecnie wiedziec. – Wytlumaczylem jej, co robie – wyjasnil Josh. – Stala calkiem nieruchomo. – Tak zwyczajnie powiedziales, co masz zamiar zrobic? – Tak. Nie bala sie, wiec sie nie opierala. Caly lek bierze sie z tego, ze usilujemy przewidziec przyszlosc, Biff. Kiedy wiesz, co nadejdzie, juz sie nie boisz. – To nieprawda. Ja przeciez wiedzialem, co nadejdzie. A konkretnie, ze ten jak cie stratuje, a ja nie radze sobie z uzdrawianiem nawet w przyblizeniu tak dobrze jak ty… I balem sie. – Och, czyli sie pomylilem. Przepraszam. Pewnie zwyczajnie cie nie lubi. – W to moge uwierzyc – przyznalem usatysfakcjonowany. Joszua usiadl na podlodze naprzeciw mnie. Podobnie jak ja, tez mial nic nie jesc, ale pozwolili nam pic herbate. – Glodny? – Tak, a ty? – Umieram z glodu. Jak ci sie spalo w nocy? Znaczy, bez przykrycia? – Bylo zimno, ale wykorzystalem nasze szkolenie i udalo mi sie zasnac. – Ja probowalem, ale dygotalem przez cala noc. Josh, przeciez jeszcze nie zaczela sie zima. Kiedy spadnie snieg, zamarzniemy tu na smierc bez derek. Nienawidze zimna. – Musisz stac sie zimnem – odparl Joszua. – Bardziej cie lubilem, zanim doznales oswiecenia – stwierdzilem.

Kasper zaczal osobiscie nadzorowac nasze treningi. Byl przy nas bez przerwy, kiedy przeskakiwalismy ze slupka na slupek, musztrowal bezlitosnie, kiedy w ramach cwiczen kung-fu wykonywalismy zlozone ruchy dloni i stop. (Mialem dziwne wrazenie, ze widzialem juz te gesty, zanim nam je pokazal, a potem przypomnialem sobie Radosna i jej skomplikowane tance

w fortecy Baltazara. Czy to mag byl uczniem Kaspra, czy na odwrot?). Kiedy siedzielismy pograzeni w medytacjach, czasami przez cala noc, stal za nami ze swoim bambusowym pretem i co pewien czas tlukl nas nim po glowach, bez zadnego powodu. – Dlaczego on nas bije? Przeciez niczego nie zrobilem – poskarzylem sie Joszui przy herbacie. – Nie uderza, by cie ukarac, ale by ci ulatwic pozostawanie w chwili terazniejszej. – No wiec teraz pozostaje w chwili terazniejszej i chwilowo mam ochote tak mu przylac, zeby sie zesral. – Tak naprawde wcale nie chcesz. – Ach, tak? To co, powinienem chciec stac sie tym, co wysra, kiedy go spiore? – Tak, Biff – odparl z powaga Josh. – Musisz byc tym, co wysra.

Ale nie potrafil zachowac takiej miny. Zaczal parskac herbata, az w koncu trysnal z nozdrzy fontanna goracego plynu i padl na ziemie w ataku smiechu. Inni mnisi, ktorzy wyraznie podsluchiwali, takze zachichotali. Paru turlalo sie po podlodze i trzymalo rekami za brzuchy.

Bardzo trudno jest trwac w gniewie, kiedy pelna sala lysych facetow w pomaranczowych szatach zaczyna chichotac. Buddyzm.

Kasper kazal nam czekac dwa miesiace, nim zabral na te specjalne medytacje, zatem trwala juz zima, kiedy podjelismy monumentalna wyprawe. Napadalo tyle sniegu, ze aby dotrzec na cwiczenia, co rano musielismy doslownie drazyc tunel. Zanim pozwalano nam zaczac, Joszua i ja odkopywalismy ze sniegu caly dziedziniec, wiec niekiedy mijalo poludnie, nim przystepowalismy do lekcji. Kiedy indziej wiatr z gor dmuchal tak mocno, ze nie widzielismy dalej niz na kilka cali od twarzy. Wtedy Kasper wymyslal specjalne zajecia, ktore odbywalismy w budynku.

Joszua i ja nie dostalismy z powrotem naszych derek, wiec przynajmniej ja co wieczor zasypialem, trzesac sie z zimna. Wprawdzie waskie okna zaslonieto okiennicami, a piecyki na wegiel drzewny stanely we wszystkich uzywanych pomieszczeniach, jednak przez cala zime ani razu nie zrobilo sie naprawde cieplo. Z ulga sie przekonalem, ze inni mnisi takze nie byli niewrazliwi; powszechna postawa na sniadaniu bylo owiniecie sie calym cialem wokol parujacego kubka herbaty, tak by nie zmarnowac nawet odrobiny bezcennego ciepla. Ktos, kto zajrzalby do jadalni i zobaczyl nas skulonych w naszych pomaranczowych szatach, moglby pomyslec, ze wszedl na parujacy zagon ogromnych dyn.

Inni, wsrod nich Joszua, potrafili chociaz w medytacjach znalezc ucieczke od chlodu. Osiagneli bowiem stan, jak mi tlumaczyli, w ktorym potrafili generowac wlasne cieplo. Osobiscie wciaz probowalem sie tego nauczyc. Niekiedy zastanawialem sie, czy nie wspiac sie po skale w glebi swiatyni; grota zwezala sie tam i setki kosmatych nietoperzy hibernowalo na sklepieniu w ogromnej masie futra i skory. Smrod panowal pewnie straszny, ale przynajmniej bylo cieplo.

Kiedy wreszcie nadeszla pora, by wyruszyc na pielgrzymke, generowanie wlasnego ciepla szlo mi nie lepiej niz na poczatku. Kiedy wiec Kasper zaprowadzil pieciu z nas do gabinetu, z ulga przyjalem od niego welniane nogawice i buty. – Zycie jest cierpieniem – rzekl, wreczajac nogawice Joszui. – Ale praktyczniej jest kroczyc przez nie na zdrowych nogach. Wyruszylismy

o swicie. Poranek wstal krystalicznie czysty, a w nocy wsciekly wicher zwial z podnoza gory wiekszosc sniegu. Kasper sprowadzil nasza piatke w dol, do wioski.

Czasami brnelismy w sniegu do piersi, czasami przeskakiwalismy po odslonietych czubkach glazow – nagle nasze cwiczenia na slupkach wydaly sie bardziej sensowne, niz uwazalem za mozliwe. Na zboczu zeslizniecie sie z takiego glazu moglo nas stracic w wypelniona puchem szczeline, gdzie bysmy sie podusili pod piecdziesiecioma stopami sniegu.

Wiesniacy powitali nas bardzo uroczyscie. Wychodzili z kamiennych i glinianych domow, by napelnic nasze miseczki ryzem i warzywami, potrzasali malymi mosieznymi dzwonkami albo deli w rogi jakow, po czym szybko wycofywali sie do swoich ognisk i zatrzaskiwali drzwi przed zimnem. Wszystko odbywalo sie radosnie, ale pospiesznie. Kasper zaprowadzil nas do domu bezzebnej staruchy, ktora Joszua i ja poznalismy dawno temu. Tam ulozylismy sie do snu na sianie jej niewielkiej obory, miedzy kozami i para jakow. (Jej jaki byly o wiele mniejsze od samicy, ktora trzymalismy w klasztorze; przypominaly rozmiarem zwykle bydlo. Dowiedzialem sie pozniej, ze nasze zwierze bylo potomkiem dzikich jakow, zyjacych wysoko w gorach, a jej pochodzily z odmiany udomowionej od tysiecy lat).

Kiedy wszyscy zasneli, wymknalem sie do domu staruchy, zeby poszukac jakiegos jedzenia. Byl to niewielki kamienny budynek z dwiema izbami. Frontowa slabo rozjasnialo pojedyncze okno, zasloniete wyprawiona i naciagnieta zwierzeca skora, ktora blask ksiezyca w pelni zmieniala w mgliste zolte lsnienie. Rozroznialem tylko ksztalty, nie same obiekty, ale macalem rekami wokol siebie, az natrafilem na cos, co musialo byc torba rzepy. Wydobylem z worka guzowata bulwe, oczyscilem dlonia, wbilem w nia zeby i zaczalem chrupac krucha, ziemista rozkosz. Do tej chwili nie przepadalem za rzepa, ale wlasnie postanowilem, ze zostane tutaj, dopoki calej zawartosci worka nie przeniose do wlasnego zoladka. I nagle uslyszalem jakis szelest w drugiej izbie.

Przestalem zuc i nasluchiwalem. I nagle zobaczylem kogos w przejsciu miedzy izbami. Wstrzymalem oddech. Wtedy uslyszalem glos staruchy, recytujacej po chinsku z tym jej szczegolnym akcentem: – Odebrac zycie czlowiekowi lub podobnemu do czlowieka. Wziac rzecz, ktora nie jest dana. Twierdzic, ze ma sie nadludzkie moce.

Chwile to trwalo, ale zrozumialem, ze stara kobieta wymienia reguly, za zlamanie ktorych mnich moze byc wydalony z klasztoru. Kiedy stanela w mglistym blasku padajacym z okna, powiedziala: – Miec stosunek plciowy z kimkolwiek, az do poziomu zwierzecia.

I w tym momencie zdalem sobie sprawe, ze bezzebna starucha jest naga. Nadgryziony kes rzepy wypadl mi z ust i potoczyl sie po szacie. Starucha, teraz juz calkiem blisko mnie, wyciagnela reke. Myslalem, ze chce zlapac te rzepe, ale ona chwycila to, co mialem pod szata. – Czy masz nadludzka moc? – zapytala, ciagnac za moja meskosc. A ta, ku mojemu zdumieniu, przytaknela.

Musze zaznaczyc, ze minely prawie dwa lata, odkad opuscilismy fortece Baltazara, a kolejne

szesc miesiecy od dnia, kiedy demon wyrwal sie na wolnosc i zabil wszystkie dziewczeta procz Radosnej – tym samym redukujac moje rezerwy partnerek seksualnych. Chce zapewnic, ze scisle przestrzegalem klasztornych regul i pozwalalem jedynie na takie nocne emisje, ktore nastepowaly we snie (chociaz nauczylem sie calkiem sprawnie kierowac moje sny ku odpowiednim tematom, wiec cala ta umyslowa dyscyplina i medytacje nie byly calkiem bezuzyteczne).

Jednakze znalazlem sie w stanie oslabienia woli oporu, kiedy stara kobieta, choc koscista i bezzebna, grozbami i strachem sklonila mnie, bym wykonal z nia to, co Chinczycy nazywaja Zakazanym Tancem Malpy. Piec razy.

Wyobrazcie sobie moj smutek, kiedy czlowiek, ktory mial zbawic swiat, znalazl mnie rankiem z kanciastym suplem ciala chinskiej staruchy oralnie uczepionym cielesnej pagody wydluzalnej rozkoszy. Ja sam chrapalem w transcendentalnym, rzepo-trawiennym zapomnieniu. – Achhhhhhh! – zawolal Joszua.

Odwrocil sie do sciany i zarzucil sobie szate na glowe. – Achhhhhhh! – odpowiedzialem, zbudzony z drzemki zdegustowanym okrzykiem przyjaciela. – Achhhhhhh! – dodala stara kobieta. Tak mysle. (Jej zdolnosc mowy byla szczodrze ograniczona, choc to ja sam stwierdzam te szczodrosc). – O rany, Biff… – jakal sie Joszua. – Nie mozesz… Zadza to… Rany, Biff! – Co? – spytalem, jakbym nie wiedzial. – Obrzydziles mi seks juz na zawsze – oswiadczyl. – Kiedy tylko o nim pomysle, ujrze w myslach ten obrazek. – A wiec? Odepchnalem staruche i przegnalem ja do drugiej izby. – A wiec… – Josh odwrocil sie, spojrzal mi w oczy, a potem usmiechnal sie tak szeroko, ze zagrozil bezpieczenstwu wlasnych uszu. – A wiec dzieki. Wstalem i sklonilem sie. – Jestem tu po to, by ci sluzyc. I usmiechnalem sie takze. – Kasper kazal mi cie znalezc. Jest gotow do wymarszu. – Dobrze. Tylko moze… no wiesz… lepiej sie pozegnam. Skinalem w strone drugiej izby. Joszua zadrzal. – Bez urazy! – zawolal do staruchy, ktora wolala sie nie pokazywac. – Po prostu bylem zaskoczony. – Chcesz rzepe? – spytalem, podnoszac bulwiasty smakolyk. Joszua odwrocil sie i ruszyl do drzwi. – O rany, Biff – powiedzial, wychodzac.

Kolejny dzien spedzony na wedrowkach po miescie w towarzystwie aniola, kolejny sen o kobiecie stojacej przy moim lozku. Obudzilem sie, rozumiejac w koncu – po tylu latach – co musial czuc Joszua, przynajmniej czasami, jako jedyny ze swego rodzaju. Wiem, powtarzal nam wielokrotnie, ze jest synem czlowieczym, zrodzonym z kobiety, jednym z nas, ale jednak ojcowskie dziedzictwo czynilo go innym. Teraz, kiedy wlasciwie mam pewnosc, ze jestem jedynym czlowiekiem na Ziemi, ktory chodzil po niej dwa tysiace lat temu, odczuwam bolesna swiadomosc, co to znaczy byc kims innym, jednym jedynym. Jestem samotny. Dlatego pewnie Joszua tak czesto wyprawial sie w te gory, tak dlugo przebywal w towarzystwie stwora.

Ostatniej nocy snilem, ze aniol rozmawia z kims w pokoju, kiedy spie. I we snie slyszalem, jak mowi: "Moze najlepiej byloby go zabic, kiedy juz skonczy. Skrecic mu kark i wepchnac cialo do kanalu burzowego". Dziwne jednak, ze w glosie aniola nie bylo ani sladu zlosci. Wprost przeciwnie, brzmial bardzo smutno. Stad wiem, ze to byl sen.

Nigdy bym nie przypuszczal, ze bede sie cieszyl z powrotu do klasztoru, ale po brnieciu przez pol dnia w sniegu perspektywa wilgotnych kamiennych scian i ciemnych korytarzy byla tak kuszaca, jak wizja ognia na kominku. Polowa ryzu, jaki przynieslismy z wyprawy, zostala natychmiast ugotowana i umieszczona w bambusowych rurach srednicy dloni i dlugich jak meska noga. Polowe jarzyn wyniesiono do magazynu, a druga zapakowano do sakw razem z sola. Kolejne bambusowe rury napelniono zimna herbata. Mielismy akurat tyle czasu, by rozgrzac sie troche przy ogniu. Potem Kasper kazal nam zabrac rury i sakwy, i wyruszylismy w gory. Jakos nigdy nie zauwazylem, zeby mnisi udajacy sie na te tajemnicze medytacje brali ze soba tyle zywnosci. A skoro tyle jej bylo – o wiele wiecej, niz moglibysmy zjesc przez te cztery czy piec dni – dlaczego Joszua i ja musielismy poscic, przygotowujac sie do wyprawy?

Marsz w gore przez pewien czas byl nawet latwiejszy, jako ze wiatr oczyscil sciezke ze sniegu. Dopiero gdy dotarlismy na wysokie hale, gdzie pasly sie jaki, a zaspy byly glebokie, droga stala sie trudniejsza. Zmienialismy sie na czele kolumny, torujac szlak.

Wspinalismy sie coraz wyzej. Powietrze tak sie rozrzedzilo, ze nawet przyzwyczajeni do gor mnisi czesto musieli przystawac, by lapac oddech. A rownoczesnie wiatr przenikal nasze szaty i nogawke, jakbysmy wcale ich nie mieli. To, ze brakowalo powietrza do oddychania, a rownoczesnie od ruchu tego powietrza marzlismy do kosci, jest chyba ironiczne. Jednakze trudno mi bylo to docenic nawet wtedy. – Dlaczego nie moglbys zwyczajnie isc do rabbich i uczyc sie byc Mesjaszem jak wszyscy? – zwrocilem sie do Joszuy. – Czy w historii o Mojzeszu wystepuje jakis snieg? Nie. Czy pan objawil sie Mojzeszowi w postaci snieznej zaspy? Nie wydaje mi sie. Czy Eliasz wstapil do nieba w rydwanie z lodu? Nie. Czy Daniel wyszedl ze snieznej zawiei bez zadnej rany? Tez nie. Nasz lud dba o ogien, Josh, nie o lod. Nie przypominam sobie sniegu w ca lej Torze. Pan zapewne nawet nie odwiedza miejsc, gdzie pada snieg. To straszna pomylka, w ogole nie nalezalo tu przychodzic, powinnismy wracac do domu, jak tylko to wszystko sie skonczy, a konkludujac: nie czuje wlasnych stop. – Daniel nie wyszedl z ognia – zauwazyl spokojnie Joszua. – Wiesz, trudno miec pretensje. Ale pewnie bylo tam dosc cieplo. – Daniel wyszedl bez zadnej rany z jaskini lwow. – Tutaj – oznajmil Kasper, przerywajac dalsza dyskusje. Zlozyl pakunki na ziemi i usiadl. – Gdzie?

Stanelismy pod niska przewieszka, oslonieci od wiatru i czesciowo od sniegu, ale trudno byloby uznac to za schronienie. Mimo to mnisi, nie wylaczajac Joszuy, zrzucili bagaze i usiedli, przyjmujac poze medytacji. Dlonie ulozyli w mudre wszechogarniajacego wspolczucia (ktora, co zaskakujace, ma taki sam uklad, jakiego ludzie wspolczesni uzywaja do powiedzenia "OK"; zastanawiajace). – Nie mozemy sie tutaj zatrzymac. Tutaj nie ma zadnego tu taj – powiedzialem. – Otoz to – zgodzil sie Kasper. – Sprobuj to kontemplowac. Usiadlem wiec.

Joszua i pozostali wydawali sie calkiem nieczuli na zimno. Moje ubranie i rzesy pokryl szron, a tymczasem wokol nich zaczal sie topic drobny pyl lodowych krysztalkow, pokrywajacy ziemie i kamienie. Calkiem jakby w ich cialach plonal ogien. Kiedy cichl wiatr, widzialem obloki pary nad Kasprem – to jego zmoczona szata oddawala wilgoc zimnemu powietrzu. Kiedy z Joszua uczylismy sie medytacji, mowiono nam, ze powinnismy byc nadswiadomi wszystkiego dookola, polaczeni… Jednakze w tej chwili moi towarzysze zapadli w trans, stan separacji, rozlaczenia.

Zbudowali sobie cos w rodzaju myslowego schronienia, w ktorym siedzieli zadowoleni, gdy tymczasem ja doslownie zamarzalem na smierc. – Joszua, musisz mi pomoc – powiedzialem, ale mojemu przyjacielowi nie drgnal nawet jeden miesien. Stuknalem go w ramie, nie doczekalem sie jednak reakcji. Probowalem zwrocic na siebie uwage ktoregos z pozostalej czworki, ale oni rowniez jakby nie czuli moich szturchniec. W pewnej chwili nawet pchnalem Kaspra, tak mocno, ze sie przewrocil, ale trwal w pozycji siedzacej i przypominal posag Buddy, ktory spadl z piedestalu. A jednak, dotykajac towarzyszy, czulem promieniujace z nich cieplo. Poniewaz nie bylo szansy, bym nauczyl sie osiagac taki trans dosc szybko, by ocalic zycie, nie mialem wyboru – musialem skorzystac z ich transu.

Na poczatku ulozylem mnichow w stos, pilnujac tylko, by lokcie i kolana ustawiac z dala od oczu i kroczy, z szacunku, w duchu nieskonczenie wspolczujacego Buddy i w ogole. Co prawda promieniowali imponujacym cieplem, ale przekonalem sie, ze w ten sposob moge ogrzac tylko jedna strone ciala na raz. Usadzilem wiec moich towarzyszy w kregu, twarzami na zewnatrz, dzieki czemu powstala chroniaca mnie przed zimnem otoczka komfortu. Prawde mowiac, przydaloby sie jeszcze ze dwoch mnichow, zeby rozciagnac ich na gorze tego szalasu z cial i zyskac oslone od wiatru, ale zycie jest cierpieniem, jak nauczal Budda. Zatem cierpialem. Zagrzalem herbate na glowie Numeru Siodmego, a rure z ryzem wsadzilem Kasprowi pod pache, dzieki czemu zjadlem cieply posilek i moglem zasnac z pelnym brzuchem.

Obudzil mnie taki odglos, jakby cala rzymska armia probowala wyssac anchois z Morza Srodziemnego. Otworzylem oczy, zobaczylem zrodlo tego halasu i o malo nie upadlem na plecy, probujac sie cofnac. Wielki kudlaty stwor, o polowe wyzszy od czlowieka, probowal wyssac z bambusowej rury herbate. Ale herbata zamarzla i wygladalo na to, ze jesli stwor nie przestanie, za chwile wciagnie do zoladka czubek wlasnej glowy. Owszem, byl troche podobny do czlowieka, tyle ze cale cialo porastala, mu dluga biala siersc. Oczy mial wielkie jak ciele, o krystalicznie blekitnych teczowkach i malenkich zrenicach. Dlugie czarne rzesy splataly sie przy kazdym mrugnieciu. Mial dlugie czarne pazury u dloni, wygladajacych jak ludzkie, ale dwa razy wiekszych. Jedyna odziez stanowily buty, zrobione chyba ze skory jaka. Pokazny sprzet dyndajacy stworowi miedzy nogami pozwolil mi odgadnac, ze mam do czynienia z samcem.

Spojrzalem na mnichow, by sprawdzic, czy ktos zauwazyl, ze kudlata bestia kradnie nasze zapasy, ale wszyscy tkwili pograzeni w glebokim transie. Stwor znow possal rure, a potem lapa stuknal w nia z boku, jak gdyby chcial obruszyc zawartosc. Popatrzyl na mnie proszaco. Groza, jaka odczuwalem, rozwiala sie w jednej chwili, gdy spojrzalem w jego oczy – nie bylo w nich zadnego blysku agresji, sladu przemocy czy grozby. Siegnalem po rure z herbata, ktora podgrzalem na glowie Numeru Siodmego. Potrzasnalem nia, az zachlupotala, dowodzac, ze nie zamarzla podczas mojej drzemki, i podalem stworowi. Siegnal nad Joszua, chwycil rure, wyrwal z niej korek i zaczal pic lapczywie. Wykorzystalem ten moment, by kopnac przyjaciela w nerke. – Josh, ocknij sie! Musisz to zobaczyc!

Nie zareagowal, wiec wyciagnalem reke i zatkalem mu palcami nos. Aby opanowac medytacje, uczen musi najpierw opanowac oddech. Zbawca prychnal i wyrwal sie z transu, sapiac i szarpiac sie w moim chwycie. Patrzyl na mnie gniewnie, kiedy wreszcie go puscilem. –

Co? – zapytal.

Wskazalem za niego. Joszua odwrocil sie i zobaczyl wielkiego, kudlatego, bialego typa w pelnej krasie. – Swieta pieta!

Wielki Futrzak odskoczyl, obejmujac rure z herbata jak zagrozone niemowle. Wydal odglos, ktory nie calkiem byl artykulowana wypowiedzia (ale gdyby byl, tez tlumaczyloby sie go jako "swieta pieta"). Przyjemnie bylo patrzec, jak absolutna samokontrola Joszuy odplywa, odslaniajac miekkie podbrzusze zmieszania. – Co… To znaczy, kto… To znaczy, co to takiego? – Nie Zyd – zauwazylem usluznie, wskazujac na dwa lokcie napletka. – Przeciez widze, ze nie Zyd, ale niewiele to wnosi, prawda? Dziwne, ale wydawalo sie, ze sytuacja bawi mnie o wiele bardziej niz dwoch pozostalych, wyraznie przestraszonych. – Pamietasz, jak Kasper podawal nam reguly obowiazujace w klasztorze, a my nie wiedzielismy, o co mu chodzi, kiedy mowil, ze nie wolno zabic czlowieka ani podobnego do czlowieka? – No tak. – No wiec on jest chyba podobny do czlowieka. – No dobra.

Joszua wstal i przyjrzal sie Wielkiemu Futrzakowi. Wielki Futrzak wyprostowal sie i przyjrzal Joszui, przechylajac glowe z boku na bok. Joszua sie usmiechnal. Wielki Futrzak odpowiedzial usmiechem. Czarne wargi, bardzo dlugie i ostre kly… – Wielkie zeby – zauwazylem. – Bardzo wielkie zeby. Joszua podal stworowi reke. Stwor wyciagnal swoja i bardzo delikatnie ujal wielka lapa drobna dlon Mesjasza… po czym poderwal go w powietrze, zlapal w uscisku i chwycil tak mocno, az rozanielone oczy wyszly Joshowi z orbit. – Ratunku! – pisnal. Dlugim niebieskim jezykiem stwor polizal mu czubek glowy. – Lubi cie – stwierdzilem. – On mnie kosztuje…

Wspomnialem, jak moj przyjaciel nieustraszenie szarpnal za ogon demona Haka, jak z calkowitym spokojem stawial czolo tak wielu niebezpieczenstwom. Wspomnialem okazje, kiedy mnie uratowal, zarowno przed zewnetrznym zagrozeniem, jak i przed samym soba. I myslalem o lagodnosci w jego oczach, glebszych niz samo morze. – Nie. Lubi cie – powiedzialem. Uznalem, ze sprobuje inne go jezyka, a wtedy moze stwor lepiej zrozumie znaczenie moich slow. – Lubisz Joszue, prawda? Tak, lubisz. Tak, lubisz. Stfol jubi Ziosiue, cio? Jubi, jubi.

Dzieciecy jezyk jest uniwersalny. Slowa sie roznia, ale znaczenie i ton sa takie same. Stwor tracil Josha nosem pod brode, a potem znow polizal mu glowe. Tym razem na skorze mojego przyjaciela pozostal parujacy slad zabarwionej zielona herbata sliny. – Ble. – Josh sie skrzywil. – Co to za istota? – To yeti – wyjasnil Kasper. Stal za mna, wyraznie rozbudzony z transu. – Obrzydliwy czlowiek sniegu. – Wiec to sie dzieje, kiedy ktos pieprzy owce! Obrzydliwosc – wykrzyknalem. – Nie obrzydliwosc – poprawil mnie Joszua. – Obrzydliwy. Yeti liznal go po policzku. Joszua sprobowal go odepchnac. – Czy cos mi grozi? – zapytal Kaspra. Ten wzruszyl ramionami. – Czy pies ma nature Buddy? – Prosze cie, Kasprze… To bylo pytanie o zastosowaniu praktycznym, bez zwiazku z rozwojem duchowym.

Yeti sapnal i znow liznal policzek Joszuy. Domyslalem sie, ze jezyk ma szorstki jak kot, bo skora Mesjasza zaczerwienila sie juz od tarcia. – Nadstaw drugi policzek, Josh – poradzilem. –

Zeby obcieral je po rowno. – Zapamietam to sobie – rzekl Joszua. – Kasprze, czy on zrobi mi krzywde? – Nie wiem. Zaden z nas jeszcze nigdy nie znalazl sie tak blisko niego. Zwykle przychodzi, kiedy jestesmy w transie, i znika z zywnoscia. Mamy szczescie, jesli w ogole uda nam sie go zobaczyc. – Postaw mnie na ziemi, prosze – zwrocil sie Josh do stwora. – Prosze, pusc mnie.

Yeti ostroznie postawil Joszue na nogi. Tymczasem inni mnisi budzili sie z transu. Numer Siedemnasty zapiszczal, widzac stwora tak blisko siebie. Yeti przykucnal i odslonil zeby. – Przestan! – warknal Josh do Numeru Siedemnastego. – Przestraszyles go! – Daj mu ryzu – poradzil Kasper.

Siegnalem po ogrzana wczesniej bambusowa rure i wreczylem ja yeti. Zerwal pokrywke i zaczal wygrzebywac ryz dlugim palcem; zlizywal z dloni ziarenka, jakby to byly probujace uciekac termity. Joszua wycofywal sie powoli i teraz stanal obok Kaspra. – Dlatego tu przychodzicie? Dlatego po powrocie z wioski tak duzo zywnosci zabieracie w gory? Kasper skinal glowa. – Jest ostatnim ze swojej rasy. Nie ma nikogo, kto by mu pomogl zdobywac pozywienie. Nikogo, z kim moglby rozmawiac. – Ale czym jest? Co to jest yeti? – Lubimy myslec o nim jak o darze. Jest wizja jednego z wielu zywotow, ktore moze przezyc czlowiek, zanim osiagnie nirwane. Wierzymy, ze jest tak bliski istoty doskonalej, jak to tylko mozliwe na tej plaszczyznie egzystencji. – Skad wiesz, ze jest jedyny? – Powiedzial mi. – On mowi? – Nie, spiewa. Zaczekaj.

Patrzylismy, jak yeti sie posila, a mnisi podchodzili do niego kolejno i skladali przed nim swoje pojemniki z zywnoscia i herbata. Yeti tylko z rzadka unosil glowe, jak gdyby caly jego swiat ograniczal sie do tej bambusowej rury z ryzem. A jednak widac bylo, ze za blekitnymi oczami umysl stwora liczy, ocenia, racjonuje dostarczone zapasy. – Gdzie on mieszka? – zapytalem Kaspra. – Nie wiemy. Mysle, ze gdzies w jaskini. Nigdy nas do niej nie zabral, a my nie szukamy.

Kiedy juz cala zywnosc zostala ulozona przed yeti, Kasper skinal na mnichow. Zaczeli wycofywac sie spod przewieszki w snieg, klaniajac sie stworowi, gdy go mijali. Yeti spogladal za nami. Za kazdym razem, kiedy sie ogladalem, on ciagle patrzyl. W koncu oddalilismy sie tak, ze byl jedynie sylwetka na tle bialego zbocza. Gdy wreszcie wydostalismy sie z doliny i nawet chroniaca nas przewieszka zniknela z oczu, uslyszelismy piesn yeti. Nic – nawet gra na baranim rogu w domu, wojenne okrzyki bandytow czy spiew zalobnikow – nic, co w zyciu slyszalem, nie poruszylo mnie tak, jak ta piesn. Byla wysokim zawodzeniem, ale z przerwami i rytmem – jak stlumiony odglos bijacego serca – i niosla sie przez cala doline. Yeti ciagnal swe przejmujace nuty o wiele dluzej, niz pozwolilyby na to ludzkie pluca. Efekt byl taki, jakby ktos wlewal mi do gardla wielka beczke smutku, az zdawalo sie, ze rune albo eksploduje z zalu. To byl glos tysiaca placzacych z glodu dzieci, dziesieciu tysiecy wdow wyrywajacych sobie wlosy nad grobami mezow, chor aniolow spiewajacych ostatnia piesn pogrzebowa w dzien smierci Boga. Zatkalem uszy i osunalem sie na kolana w snieg. Spojrzalem na Joszue – lzy splywaly mu po twarzy. Inni mnisi stali przygarbieni, jakby sie oslaniali przed gradem. Kasper kulil sie, patrzac na nas, i widzialem, ze naprawde jest juz bardzo stary. Moze nie tak stary jak Baltazar, ale

mial na twarzy cierpienie. – Widzisz wiec – powiedzial – ze jest jedynym ze swej rasy. Jest samotny. Nie trzeba bylo znac jezyka yeti, jesli go mial, by wiedziec, ze Kasper ma racje. – Nie jest – sprzeciwil sie Joszua. – Wracam do niego. Kasper chwycil go za ramie, probujac zatrzymac. – Wszystko jest tak, jak byc powinno – rzekl. – Nie – odparl Joszua. – Nie jest.

Kasper cofnal reke, jakby wsunal ja w ogien – dziwna reakcja, widzialem bowiem mnicha, ktory w ramach cwiczen kung-fu naprawde wlozyl reke w ogien. I nie zareagowal tak gwaltownie. – Zostaw go – powiedzialem, nie wiedzac wtedy dlaczego. Joszua ruszyl samotnie do doliny. Nie odezwal sie juz do nas ani slowem. – Wroci, kiedy nadejdzie czas – powiedzialem. – Co ty tam wiesz – burknal Kasper wyraznie nieoswieconym tonem. – Przez tysiac lat bedziesz odpracowywal swoja karme jako zuk gnojak, zanim wyewoluujesz do etapu bycia tepym.

Nie odpowiedzialem, Poklonilem sie tylko, a potem ruszylem za moimi bracmi-mnichami do klasztoru. Minal tydzien, nim Joszua do nas wrocil, i jeszcze dzien, zanim znalezlismy czas, zeby porozmawiac. Siedzielismy w jadalni, a Joszua jadl swoj ryz oraz moj. Tymczasem wiele myslalem o sytuacji obrzydliwego czlowieka sniegu, a co wazniejsze, jego pochodzeniu. – Myslisz, Josh, ze kiedys bylo ich wiecej? – Tak. Nigdy tyle, ile ludzi, ale o wiele wiecej. – A co sie z nimi stalo? – Nie jestem pewien. Kiedy yeti spiewa, widze w glowie obrazy. Zobaczylem, jak ludzie przybyli w te gory i wybili yeti. Nie mialy instynktu walki, wiekszosc stala w miejscu i patrzyla, jak ich morduja, zdumiona ukrytym w ludziach zlem. Inne uciekaly wyzej i wyzej w gory. Wydaje mi sie, ze ten nasz mial partnerke i rodzine. Umarli z glodu albo od jakiejs choroby, nie jestem pewien. – Czy jest czlowiekiem? – Nie sadze, zeby byl czlowiekiem – odparl Joszua. – Czy jest zwierzeciem? – Nie, nie wydaje mi sie tez, by byl zwierzeciem. On wie, kim jest. I wie, ze jest ostatni. – Mysle, ze wiem, czym on jest. Joszua spojrzal na mnie ponad brzegiem miseczki. – No? – Pamietasz malpie stopy, ktore Baltazar kupowal od tej starej kobiety w Antiochii? Wygladaly jak ludzkie. – Tak. – I musisz przyznac, ze yeti jest bardzo podobny do czlowieka. Bardziej podobny niz jakiekolwiek inne stworzenie, prawda? Wiec moze jest stworzeniem, ktore staje sie czlowiekiem? Moze nie jest ostatnim ze swojej rasy, ale pierwszym z naszej? Zaczalem sie nad tym zastanawiac, bo Kasper ciagle tlumaczy, jak to musimy odpracowywac nasza karme w roznych inkarnacjach, jako rozne stworzenia. W kazdym zyciu uczymy sie wiecej i mozemy sie odrodzic jako wyzsza istota. I wiesz, moze tak samo jest z innymi stworzeniami? Moze kiedy yeti musi zamieszkac tam, gdzie jest cieplej, traci futro. Albo kiedy malpy musza, sam nie wiem, hodowac bydlo i owce, robia sie wyzsze? Nie wszystkie naraz, ale przez wiele inkarnacji. Moze stworzenia ewoluuja tak, jak wedlug Kaspra ewoluuje dusza? Jak myslisz?

Joszua przez chwile gladzil sie po brodzie i patrzyl na mnie, jakby byl pograzony w myslach. A rownoczesnie mialem uczucie, ze lada chwila moze wybuchnac smiechem. Zastanawialem sie nad tym przez caly tydzien. Ta teoria meczyla mnie przez wszystkie moje medytacje, wszystkie cwiczenia – od czasu naszej, pielgrzymki do doliny yeti. Pragnalem uznania, jezeli nie czegos wiecej. – Biff – rzekl. – To najglupsza teoria, jaka wymysliles. – Wiec uwazasz, ze to niemozliwe? – Dlaczego Pan mialby stwarzac istoty tylko po to, zeby potem wymarly? Czemu mialby na to pozwolic? – A co z potopem? Wszyscy zgineli oprocz Noego i jego rodziny. – Ale to bylo dlatego, ze ludzie stali sie niegodziwi. Yeti nie jest niegodziwy. Jesli juz, to jego

rasa wyginela, poniewaz nie byla zdolna do niegodziwosci. – Ty jestes Synem Bozym, wiec mi to wytlumacz. – Wola boza jest – odparl Joszua – by yeti zniknely. – Bo nie ma w nich ani sladu niegodziwosci? – spytalem sarkastycznie. – A jesli yeti nie jest czlowiekiem, to nie jest tez grzeszny. Czyli jest niewinny. Joszua kiwnal glowa, wpatrzony w swa pusta miseczke. – Tak. Jest niewinny. Wstal i sklonil mi sie, czego prawie nigdy nie robil, chyba ze w ramach zajec. – Jestem teraz zmeczony, Biff. Bede spal i sie modlil… – Przepraszam, Josh, nie chcialem cie zasmucac. Pomyslalem, ze to interesujaca teoria. Usmiechnal sie do mnie slabo, po czym zwiesil glowe i powlokl sie do celi.

Przez kolejne lata Joszua w kazdym miesiacu przynajmniej tydzien spedzal z yeti w gorach. Wyprawial sie do niego nie tylko z kazda grupa mnichow, ale czesto sam, by zniknac na cale dnie, a latem nawet tygodnie. Nigdy nie opowiadal, co tam robi; zdradzil mi tylko, ze yeti zabral go do jaskini, gdzie mieszkal, i pokazal kosci swego ludu. Moj przyjaciel odnalazl cos w kontaktach z czlowiekiem sniegu i choc nie mialem odwagi, by zapytac, podejrzewam, ze laczylo ich przekonanie, ze obaj sa istotami wyjatkowymi. Niezaleznie od zwiazkow, jakie mogli odczuwac z Bogiem i wszechswiatem, w tamtym miejscu i czasie mieli tylko siebie. Byli samotni.

Kasper nie zabranial Joszui tych pielgrzymek. Jak mogl, staral sie udawac, ze nie dostrzega nieobecnosci Numeru Dwudziestego Drugiego. Widzialem jednak, ze jest niespokojny za kazdym razem, gdy Joszua znikal.

Obaj nadal cwiczylismy na slupkach, a po dwoch latach skokow i balansowania, do szkolenia dolaczono taniec i uzycie broni. Joszua nie chcial brac w reke zadnej broni; odmawial cwiczenia dowolnej sztuki, ktora moglaby skrzywdzic inna istote. Nie chcial nawet bambusowymi kijami nasladowac walki na miecze czy piki. Kasper poczatkowo irytowal sie ta postawa, a nawet zagrozil, ze wydali Josha z klasztoru. Ustapil jednak, kiedy wzialem go na strone i opowiedzialem o luczniku, ktorego Joszua oslepil podczas wedrowki do fortecy Baltazara. Wraz z dwoma starszymi mnichami, ktorzy sluzyli kiedys jako zolnierze, opracowal dla Josha cwiczenia w walce bez broni; sztuka ta nie obejmowala zadnych atakow ani ciosow, ale wykorzystywala energie atakujacego przeciw niemu. Poniewaz uprawial ja jedynie Joszua (i czasami takze ja), mnisi nazwali ja Zyd-do (wymawiali z chinska dzud-do), co oznacza droge Zyda.

Oprocz cwiczen kung-fu i Zyd-do, na polecenie Kaspra uczylismy sie mowic i pisac w sanskrycie. Wiekszosc swietych ksiag buddyzmu powstala w tym jezyku i czekaly dopiero na tlumaczenie na chinski – ktorego z Joszua uzywalismy juz plynnie. – To jezyk mojego dziecinstwa – wyznal Kasper, nim zacze lismy lekcje. – Musicie go poznac, jesli chcecie poznac slowa Gautamy Buddy, ale bedzie wam tez potrzebny, gdy zechcecie podazyc za wasza dharma do kolejnego celu.

Joszua i ja spojrzelismy na siebie. Dawno juz nie rozmawialismy o opuszczeniu klasztoru i wspomnienie o tym nas zaniepokoilo. Rutyna daje poczucie bezpieczenstwa, a w klasztorze zycie toczylo sie zgodnie z rutyna. – Kiedy mamy odejsc, mistrzu? – spytalem. – Kiedy

nadejdzie czas – odpowiedzial. – A jak poznamy, ze nadszedl czas odejscia? – Wtedy dobiegnie konca czas pozostawania. – A dowiemy sie tego, poniewaz w koncu udzielisz nam odpowiedzi prostej i zrozumialej zamiast metnej i niejasnej? – Czy mloda kijanka zna wszechswiat doroslej zaby? – Oczywiscie nie – przyznal Joszua. – Zgadza sie – potwierdzil mistrz. – Pomedytujcie o tym. A kiedy wraz z Joszua wkroczylismy do swiatyni, by zaczac medytacje, mruknalem: – Mowie powaznie: jeszcze pozaluje, ze nauczyl mnie walczyc. – Jestem tego pewien. Ja juz zaluje. – Wiesz, nie musi byc jedynym ze skopanym tylkiem, kiedy nadejdzie wreszcie czas kopania tylkow. Joszua spojrzal na mnie, jakbym wyrwal go z drzemki. – Przez caly ten czas, ktory spedzamy na medytacjach, co ty wlasciwie robisz, Biff? – Medytuje… czasami. Wsluchuje sie w glos wszechswiata i takie tam. – Ale na ogol po prostu siedzisz? – Nauczylem sie spac z otwartymi oczami. – To ci nie pomaga w drodze do oswiecenia. – Wiesz, kiedy juz osiagne nirwane, chce byc dobrze wypoczety. – Nie martw sie o to. Nie warto marnowac czasu. – Ale przeciez mam wewnetrzna dyscypline. Droga praktyki nauczylem sie wywolywac spontaniczne nocne emisje. – To duze osiagniecie – stwierdzil sarkastycznie Mesjasz. – Nabijaj sie, prosze bardzo. Ale kiedy wrocimy do Galilei, ty bedziesz probowal ludziom sprzedac to swoje "miluj blizniego swego, bo on jest toba", a ja zaproponuje program "nocne zmazy na zyczenie". I zobaczymy, kto bedzie mial wiecej chetnych. Joszua usmiechnal sie szeroko. – Sadze, ze obu nam pojdzie lepiej niz kuzynowi Janowi z jego "trzymaj ich pod woda, dopoki nie zgodza sie z tym, co glosisz". – Od lat o nim nie myslalem. Myslisz, ze nadal to robi? Wtedy wlasnie Numer Drugi, z bardzo surowa i nieoswiecona mina, ruszyl ku nam przez sale z bambusowym kijem w dloni. – Przepraszam, Josh, ale przechodze do bezumyslu.

Przybralem pozycje lotosu, palce ulozylem w mudre wspolczujacego Buddy i raz dwa wyruszylem w siedzaca wedrowke ku jednosci i takietamnosci. Mimo zawoalowanych sugestii Kaspra, ze bedziemy musieli wyruszyc, znowu popadlismy w rutyne. Obejmowala nauke czytania i pisania sutr w sanskrycie, ale tez wizyty Joszuy u yeti. Nabralem takiej sprawnosci w sztukach walki, ze potrafilem rozbic glowa kamienna plyte, gruba jak moja reka; potrafilem podkrasc sie do najbardziej czujnego mnicha, przylozyc mu w ucho i wrocic do pozycji kwiatu lotosu, zanim zdazyl sie odwrocic i wyrwac mi z piersi bijace serce. (Prawde mowiac, nikt nie byl pewien, czy to w ogole mozliwe. Codziennie mnich Numer Trzeci oglaszal, ze nadeszla pora na cwiczenie "wyrywania z piersi bijacego serca" i codziennie wzywal ochotnikow. Po kilku chwilach, gdy nikt sie nie zglaszal, przechodzil do nastepnego cwiczenia, zwykle "okaleczania przeciwnika wachlarzem". Wszyscy sie zastanawiali, czy Numer Trzeci to potrafi, ale nikt nie chcial sprawdzac. Wiedzielismy, jak ci buddyjscy mnisi lubia nauczac. W jednej chwili czlowiek jest zwyczajnie ciekawy, w nastepnej lysy facet trzyma mu przed nosem pulsujacy kawal miecha, a on sie zastanawia, skad ten nagly przeciag w piersiowym fragmencie szaty. Nie, dzieki; az tak nam na tej wiedzy nie zalezalo).

Tymczasem Joszua nabral takiej wprawy w unikaniu ciosow, jakby znowu stal sie niewidzialny. Nawet najlepsi z walczacych mnichow (do ktorych ja sam sie nie zaliczalem) mieli klopoty z trafieniem mojego przyjaciela, a czesto mimo wysilkow ladowali na wznak na bruku. Joszua podczas cwiczen wydawal sie najszczesliwszy; smial sie, o wlos unikajac pchniecia miecza, ktory trafilby go w oko. Czasem odbieral Numerowi Trzeciemu pike, po czym klanial

sie i wreczal mu ja, szczerzac zeby – jak gdyby posiwialy stary zolnierz upuscil bron, a nie pozwolil jej sobie wyrwac. Kiedy Kasper ogladal te pokazy, schodzil z dziedzinca, krecac glowa i mamroczac cos o ego. Reszta z nas zwijala sie ze smiechu z opata. Nawet Numery Drugi i Trzeci, bardzo surowo przestrzegajacy dyscypliny, blysneli kilkoma usmiechami spod swych wiecznie zmarszczonych groznie brwi.

To byl dobry czas dla Joszuy. Medytacje, modly, cwiczenia i odwiedziny u yeti pomagaly mu zapomniec o tym gigantycznym brzemieniu, ktore musial dzwigac. Po raz pierwszy wydawal sie naprawde szczesliwy. Dlatego zdumialem sie, kiedy pewnego dnia wszedl na dziedziniec zalany lzami. Rzucilem pike, z ktora cwiczylem, i podbieglem do niego. – Joszua? – On nie zyje – odpowiedzial.

Objalem go, a on szlochal mi w ramionach. Mial na sobie nogawice i buty, wiec od razu zrozumialem, ze wrocil z wyprawy w gory. – Kawal lodu oderwal sie od stropu jaskini. Znalazlem go pod nim. Zmiazdzonego. Zamarzl na kamien. – Wiec nie mogles… Odsunal sie, trzymajac mnie za ramiona. – To koniec. Nie przyszedlem na czas. Nie tylko nie moglem go ocalic, ale nie bylo mnie przy nim, by go pocieszyc. – Owszem, byles – odparlem.

Joszua chwycil mnie mocno za ramiona i potrzasnal, jakbym wpadl w histerie, a on probowal mnie z niej wyrwac. Potem nagle puscil i wzruszyl ramionami. – Ide do swiatyni sie modlic. – Niedlugo do ciebie dolacze. Pietnasty i ja mamy jeszcze przecwiczyc trzy manewry.

Moj sparring partner czekal cierpliwie na skraju dziedzinca. Trzymal w dloni pike i patrzyl na nas. Joszua dotarl juz prawie do drzwi, gdy sie obejrzal. – Biff, wiesz, jaka jest roznica miedzy modlitwa i medytacja? Pokrecilem glowa. – Modlitwa jest rozmowa z Bogiem. Medytacja to sluchanie. Wieksza czesc ostatnich szesciu lat sluchalem. I wiesz, co uslyszalem? Nadal milczalem. – Absolutnie nic, Biff. A teraz to ja mam Mu cos do powiedzenia. – Przykro mi z powodu twojego przyjaciela – zapewnilem. – Wiem. – Odwrocil sie i ruszyl dalej. – Josh! – zawolalem. Przystanal i spojrzal na mnie przez ramie. – Nie dopuszcze, zeby cos takiego spotkalo ciebie. Wiesz o tym, prawda? – Wiem – odparl. Wszedl do srodka, zeby urzadzic ojcu swiatobliwa awanture.

Nastepnego ranka Kasper wezwal nas do pokoju herbacianego. Opat wygladal, jakby nie spal od wielu dni. Nie wiem, ile naprawde mial lat, ale w oczach widzialem wieki cierpienia. – Siadzcie – nakazal, a my posluchalismy. – Starzec z gory nie zyje. – Kto? – Tak nazywalismy yeti: starcem z gory. Przeszedl do nastepnego zycia, a wam pora odejsc. Joszua milczal. Siedzial ze zlozonymi dlonmi i wpatrywal sie w blat stolu. – A co jedno ma z drugim wspolnego? – spytalem. – Dlaczego mamy odejsc? Bo yeti nie zyje? Nawet o tym, ze istnieje, dowiedzielismy sie dopiero po dwoch latach tutaj. – Ale ja wiedzialem – rzekl Kasper.

Poczulem, jak zar ogarnia mi twarz – z pewnoscia nawet skora na czaszce i uszy plonely czerwienia, poniewaz Kasper mnie skarcil. – Nic wiecej tu dla was nie ma. Dla ciebie nic tu nie bylo od samego poczatku. Nie pozwolilbym ci zostac, gdybys nie byl przyjacielem Joszuy. – Po raz pierwszy od naszego przybycia wymowil imie ktoregos z nas. – Numer Czwarty spotka sie z

wami za brama. Ma to, z czym do nas przybyliscie, a takze troche zywnosci na droge. – Nie mozemy wracac do domu – odezwal sie w koncu Joszua. – Nie wiem jeszcze wielu rzeczy. – Nie – zgodzil sie Kasper. – Przypuszczam, ze nie wiesz. Ale wiesz wszystko, czego mogles sie nauczyc tutaj. Gdy docierasz do rzeki i znajdujesz na brzegu lodz, korzystasz z niej, by sie przedostac, i dobrze ci sluzy. Ale po drugiej stronie, czy zarzucisz sobie te lodz na ramiona i poniesiesz ze soba przez dalsza czesc drogi? – Jak duza jest ta lodz? – spytalem. – Jakiego jest koloru? – zainteresowal sie Joszua. – Jak wiele drogi nam jeszcze pozostalo? – Czy Biff jest ze mna, zeby poniesc wiosla, czy ja sam mam wszystko dzwigac? – Nie! – wrzasnal Kasper. – Nie zabieracie lodzi w dalsza droge. Byla przydatna, ale potem staje sie tylko ciezarem. To przypowiesc, wy kretyni!

Joszua i ja schylilismy glowy pod lawina gniewu Kaspra. Opat wsciekal sie dalej, a Josh mrugnal do mnie i usmiechnal sie. A kiedy zobaczylem ten usmiech, wiedzialem, ze wszystko z nim bedzie dobrze.

Kasper zakonczyl tyrade, odetchnal gleboko i znow przemowil tonem tolerancyjnego mnicha, do ktorego bylismy przyzwyczajeni. – Jak juz mowilem, niczego wiecej sie tu nie dowiecie. Idz wiec, Joszuo, i badz bodhisattwa dla swego ludu. A ty, Biff, staraj sie nie zabic nikogo ta sztuka, ktorej cie tu nauczylismy. – Czyli teraz dostaniemy te lodz? – zapytal Joszua.

Kasper wygladal, jakby mial eksplodowac, ale Joszua uniosl reke i opat zachowal milczenie. – Jestesmy ci wdzieczni, Kasprze, za czas, jaki tu spedzilismy. Mnisi sa ludzmi szlachetnymi i honorowymi; wiele sie od nich nauczylismy. Ty jednak, szacowny opacie, tylko udajesz. Opanowales kilka cielesnych sztuczek i potrafisz osiagnac stan transu, nie jestes jednak istota oswiecona. Choc wydaje mi sie, ze dostrzegles oswiecenie. Szukasz odpowiedzi wszedzie, tylko nie tam, gdzie sie znajduja. Mimo to twe oszustwo nie powstrzymalo cie przed udzieleniem nam nauk. Dziekujemy ci, Kasprze. Hipokryto. Medrcu. Bodhisattwo.

Kasper wpatrywal sie w Joszue, ktory przemawial do niego jak do dziecka. Potem zaczal przygotowywac herbate, ale mialem wrazenie, ze jego ruchy sa niepewne. A moze tylko mi sie zdawalo? – Wiedzieliscie o tym? – zwrocil sie do mnie. Wzruszylem ramionami. – Jaka istota oswiecona wyruszy za gwiazda wokol polowy swiata, tylko z powodu plotki, ze narodzil sie Mesjasz? – Chcial powiedziec, ze przez polowe swiata – poprawil mnie Joszua. – Chcialem powiedziec: wokol. – Szturchnalem go lokciem w zebra, gdyz bylo to prostsze niz tlumaczenie Kasprowi mojej teorii uniwersalnej lepkosci. Starzec i tak mial dzis ciezki dzien. Kasper nalal herbaty sobie i nam, po czym usiadl i westchnal ciezko. – Nie sprawiles nam zawodu, Joszuo. Kiedy tylko cie zobaczylismy, wszyscy trzej zdalismy sobie sprawe, ze jestes istota niepodobna do innych. Wcieleniem bramina, jak to okreslil moj brat. – A co pozwolilo wam to odgadnac? – spytalem. – Anioly na dachu stajni? Kasper nie zwracal na mnie uwagi. – Ale wciaz byles niemowleciem. Czegokolwiek u ciebie szukalismy, ty tego nie miales, przynajmniej jeszcze nie. Pewnie moglismy zostac, pomoc cie wychowywac, ochraniac cie, ale okazalismy sie tepi. Baltazar pragnal klucza do niesmiertelnosci, a ty w zaden sposob nie mogles mu go dac. Moj brat i ja chcielismy kluczy do wszechswiata, a tych rowniez nie dalo sie znalezc w Betlejem. Ostrzeglismy wiec twojego ojca, ze Herod chce cie zgladzic, dalismy mu zloto na wyjazd z

kraju i powrocilismy na Wschod. – Melchior jest twoim bratem? Kasper przytaknal. – Bylismy ksiazetami Tamilnadu. Melchior jest starszy, wiec odziedziczylby nasze ziemie, ale i ja dostalbym niewielkie lenno. Jak Siddhartha, wyrzeklismy sie ziemskich rozkoszy, by szukac oswiecenia. – Jak to sie stalo, ze trafiles w te gory? – spytalem. – Podazalem sladem Buddow. – Kasper usmiechnal sie lekko. – Uslyszalem, ze w tych gorach mieszka pewien medrzec. Miejscowi nazywali go starcem z gory. Przybylem, szukajac medrca, a znalazlem yeti. Ktoz moze wiedziec, ile naprawde mial lat i jak dlugo tutaj przebywal. Ja zrozumialem tylko, ze jest ostatnim ze swej rasy i ze bez pomocy zginie. Zostalem wiec tutaj i zbudowalem klasztor. Wraz z mnichami, ktorzy przybywali, by pobierac nauke, opiekowalismy sie yeti od czasow, gdy wy dwaj byliscie jeszcze niemowletami. Teraz on odszedl. Nie mam juz celu i niczego sie nie nauczylem. Wszystko, czego moglbym sie dowiedziec, zginelo pod ta bryla lodu. Joszua wyciagnal reke nad stolikiem i ujal dlon starca. – Codziennie kazesz nam powtarzac te same ruchy, raz po raz cwiczymy te same pociagniecia pedzelka, spiewamy te same mantry. Dlaczego? Aby te dzialania staly sie naturalne, spontaniczne, niehamowane mysla. Prawda? – Tak – przyznal Kasper. – Wspolczucie jest takie samo. To wlasnie wiedzial yeti. Kochal stale, natychmiastowo, spontanicznie, bez mysli ani slow. Tego mnie nauczyl. Milosc nie jest tym, o czym sie mysli. Milosc to stan, w jakim sie przebywa. To byl jego dar. – No, no – mruknalem. – Przybylem, by sie tego nauczyc – oswiadczyl Joszua. – I ty mnie tego nauczyles, tak samo jak yeti. – Ja?

Kasper nalewal herbate, sluchajac Joszuy, az zauwazyl, ze napoj z przepelnionej czarki rozlewa sie po stole. – Kto sie nim zaopiekowal? Karmil go? Dbal o niego? Czy musiales sie zastanawiac, zanim sie tego podjales? – Nie – odparl Kasper. Joszua wstal. – Dziekuje ci za lodz.

Kasper nie odprowadzil nas. Tak jak obiecal, za brama czekal Numer Czwarty z naszymi ubraniami i pieniedzmi, jakie przynieslismy tu szesc lat temu. Siegnalem po fiolke yin-yang z trucizna, ktora dostalem od Radosnej. Nalozylem na szyje lancuszek, potem wcisnalem za pas szaty szklany sztylet. Ubranie chwycilem pod pache. – Wyruszycie szukac brata Kaspra? – zapytal Numer Czwarty.

Numer Czwarty byl jednym ze starszych mnichow, jednym z tych, ktorzy sluzyli cesarzowi jako zolnierze. Dluga rozwidlona biala blizna biegla od srodka jego ogolonej czaszki do prawego ucha. – Tamilnad, tak? – upewnil sie Joszua. – Idzcie na poludnie. To bardzo daleko i wiele niebezpieczenstw czeka was w drodze. Pamietajcie, czego sie tu nauczyliscie. – Bedziemy pamietac – obiecal Joszua. – Dobrze.

Numer Czwarty odwrocil sie na piecie, wrocil do klasztoru i zamknal ciezkie drewniane wrota. – Nie, nie, Numerze Czwarty, daruj sobie placzliwe pozegnania – powiedzialem do bramy. – Naprawde, nie robmy scen. Joszua liczyl pieniadze, ktore wysypal ze skorzanej sakiewki. – Jest tyle, ile im zostawilismy. – To dobrze. – Wcale nie. Tkwilismy tutaj szesc lat, Biff. Przez ten czas suma powinna sie podwoic albo i potroic. – Niby jak? Magicznie? – Nie. Powinni je zainwestowac. – Obejrzal sie na wrota. – Wy, tepaki, moze powinniscie mniej czasu poswiecac na nauke, jak sie ze soba bic, a wiecej na zarzadzanie pieniedzmi. – Spontaniczna

milosc? – zapytalem. – Tak. Tego tez Kasper nie zrozumie. Dlatego wybili yeti… Wiesz o tym, prawda? – Kto? – Ludzie z gor. Wybili yeti, bo nie potrafili zrozumiec istoty nie majacej w sobie zla, jak oni. – Ludzie z gor sa zli? – Wszyscy ludzie sa zli. O tym wlasnie rozmawialem z ojcem. – I co on na to powiedzial? – Pieprz ich. – Powaznie? – Tak. – Przynajmniej ci odpowiedzial. – Mam wrazenie, ze jego zdaniem teraz to juz moj problem. – Zastanawiam sie, dlaczego nie wypisal tego na kamiennych tablicach. "OTO, MOJZESZU, TWOJE DZIESIEC PRZYKAZAN, A TU JESZCZE JEDNO DODATKOWE, KTORE MOWI: PIEPRZ ICH". – Jego glos wcale tak nie brzmi. – "NA NIEPRZEWIDZIANE SYTUACJE" – ciagnalem, perfekcyjnie nasladujac glos Pana. – Mam nadzieje, ze w Indiach jest cieplo. – Joszua westchnal. I tak oto, w wieku dwudziestu czterech lat Joszua z Nazaretu podazyl do Indii.

CZESC CZWARTA

DUCH

Ten, ktory widzi mnie we wszystkim i wszystko we mnie nigdy nie jest daleko ode mnie i ja nie jestem daleko od niego. Bhagawad Gita

Szlak mial akurat taka szerokosc, zebysmy we dwoch mogli isc obok siebie. Trawa po obu stronach siegala na wysokosc oczu slonia. Nad soba widzielismy blekitne niebo, a z przodu tylko sciezke do nastepnego zakretu, od ktorego mogla nas dzielic dowolna odleglosc, gdyz w tym nieprzerwanym zielonym okopie nie istniala zadna perspektywa. Szlismy tak prawie caly dzien, a minal nas tylko jeden czlowiek i pare krow. Teraz jednak slyszelismy zblizajaca sie spora grupe – niedaleko, moze ze sto sazni za nami. Dobiegaly do nas liczne meskie glosy, tupot krokow, nieharmonijne brzmienie metalowych bebnow oraz – najbardziej niepokojace – ciagle wrzaski kobiety, albo cierpiacej, albo przerazonej, albo jedno i drugie. – Mlodzi panowie! – rozlegl sie glos gdzies blisko nas.

Az podskoczylem i wyladowalem w pozycji obronnej, ze szklanym nozem w dloni. Josh rozejrzal sie, szukajac zrodla glosu. Wrzaski wciaz sie zblizaly. Kilka stop od szlaku zaszelescily trawy i znow uslyszelismy glos. – Mlodzi panowie, musicie sie ukryc.

Niesamowicie chuda meska twarz, z oczami o polowe za wielkimi w stosunku do czaszki, wysunela sie ze sciany traw obok nas. – Musicie isc ze mna. Kali przybywa, by wybrac swoje ofiary. Chodzcie zaraz albo zginiecie.

Twarz zniknela, a w jej miejsce pojawila sie chuda brazowa reka, kiwajaca na nas, bysmy za jej wlascicielem weszli w trawy. Krzyk kobiety wzniosl sie w crescendo i zamilkl, jak gdyby glos sie zerwal niczym zbyt mocno naciagnieta struna. – Idz… – Joszua mnie popchnal.

Gdy tylko zszedlem ze sciezki, ktos zlapal mnie za reke i pociagnal przez morze traw. Joszua chwycil tyl mojej koszuli i pozwalal sie wlec. Zdzbla uderzaly nas i ciely; czulem krew wzbierajaca na rekach i twarzy. Brazowe widmo wciagalo mnie coraz glebiej w zielony ocean. Mimo ciezkiego oddechu, slyszalem za nami krzyki ludzi, a potem szelest deptanej trawy. – Scigaja nas – rzucilo przez ramie brazowe widmo. – Biegiem, jesli nie chcecie, zeby wasze glowy ozdobily oltarz Kali. Biegiem! Obejrzalem sie na Josha. – Mowi: biegiem albo zle z wami.

Za nim na tle nieba widzialem dlugie, podobne do mieczy groty wloczni tego rodzaju, jakich mozna uzywac do scinania glow. – Oki-doki – odparl Josh.

Prawie miesiac zajela nam droga do Indii. Prowadzila w wiekszosci przez setki mil najbardziej gorzystych i skalistych terenow, jakie w zyciu ogladalem. Zadziwiajace, ale w calych gorach trafialismy na wioski, a gdy ich mieszkancy widzieli nasze pomaranczowe szaty, otwierali przed nami drzwi i spizarnie. Zawsze bylismy nakarmieni, spalismy w cieple i moglismy zostac dowolnie dlugo. W zamian oferowalismy metne przypowiesci i irytujace spiewy, zgodnie z nakazami tradycji.

Dopiero kiedy zeszlismy z gor na brutalnie gorace i wilgotne, porosniete trawami rowniny, przekonalismy sie, ze nasze stroje budza raczej niechec niz entuzjazm. Jakis bogaty czlowiek

(jechal konno i mial na sobie jedwabne szaty) przeklinal i plul na nas, gdy go mijalismy. Inni, piesi, takze zaczeli zwracac na nas uwage, szybko wiec weszlismy w wysokie trawy i zmienilismy ubrania. Szklany sztylet od Radosnej wsunalem za szarfe. – O co mu chodzilo? – spytalem Joszuy. – Mowil cos o glosicielach falszywych proroctw. Oszustach. Nieprzyjaciolach Brahmanu. Nie jestem pewien co jeszcze. – Czyli wyglada na to, ze lepiej witaja tu Zydow niz buddystow. – Na razie – przypomnial. – Wszyscy ludzie maja te znaczki na czole, takie jak Kasper. Obawiam sie, ze bez nich musimy zachowywac ostroznosc.

Szlismy coraz dalej w doliny, az powietrze stalo sie geste jak ciepla smietana. Po tylu latach w gorach zaczynalem odczuwac w plucach jego ciezar. Dotarlismy do szerokiej blotnistej rzeki, a droga zaroila sie ludzmi wchodzacymi i wychodzacymi z miasta pelnego drewnianych chatek i kamiennych oltarzy. Wszedzie widzielismy garbate bydlo – zwierzeta pasly sie czesto nawet w ogrodach, ale nikt jakos nie mial im tego za zle. – Ostatnie mieso, jakie jadlem, to byly pozostalosci po na zych wielbladach – zauwazylem. – Poszukajmy jakiegos straganu, to kupimy troche wolowiny. Znalezlismy ziarna, owoce, chleb, jarzyny i rozne pasty na sprzedaz, ale nigdzie nie bylo miesa. Zadowolilismy sie chlebem z jakas ostra fasolowa pasta, za ktore zaplacilismy rzymskim miedziakiem. Potem zajelismy miejsce pod wielkim banianem, gdzie moglismy jesc i patrzec na rzeke.

Zapomnialem juz, jak pachnie miasto – ta mieszanina odoru ludzi, odpadkow, dymu i zwierzat. Zaczynalem tesknic za czystym powietrzem gor. – Nie chce tu spac, Joszua. Moze poszukamy noclegu gdzies we wsi. – Mamy podazac wzdluz tej rzeki az do morza, zeby dostac sie do kraju Tamilow. Gdzie plynie rzeka, tam sa ludzie.

Rzeka – szersza niz wszystkie w Izraelu, ale plytka i zolta od mulu, gladka w ciezkim powietrzu – wygladala raczej jak ogromny zatechly staw niz cos zyjacego i ruchomego. W kazdym razie o tej porze roku. W wodzie stalo z pol tuzina chudych, nagich mezczyzn o siwych wlosach, a chyba zaden nie mial trzech zebow obok siebie. Ile tchu wywrzaskiwali jakies gniewne poezje i chlapali woda na zwichrzone, migoczace czupryny. – Ciekawe, co slychac u mojego kuzyna Jana. – Josh westchnal.

Na blotnistym brzegu kobiety praly ubrania i kapaly dzieci, o kilka krokow od bydla, ktore brodzilo w wodzie i sralo. Mezczyzni lowili ryby albo popychali dragami dlugie plaskie lodzie, dzieci plywaly i bawily sie w mule. Tu i tam kolysal sie w powolnym nurcie rozdety trup psa. – Moze jest jakis szlak bardziej w glebi ladu, dalej od tego smrodu. Joszua wstal. – Tam – oznajmil, wskazujac droge, ktora zaczynala sie na drugim brzegu i znikala wsrod wysokich traw. – Trzeba sie tam przedostac – stwierdzilem. – Byloby milo, gdybysmy znalezli jakas lodz. – Nie sadzisz, ze warto by zapytac, dokad prowadzi ta droga? – Nie – odparl Joszua, zerkajac na ludzi, ktorzy zbierali sie w poblizu i przygladali nam. – Ci ludzie zachowuja sie wrogo. – Co takiego tlumaczyles Kasprowi o milosci, bedacej stanem, w jakim sie przebywa czy jakos tak? – Owszem, ale nie z tymi ludzmi. Skora mi cierpnie na ich widok. Idziemy.

Ten dziwaczny, brazowy czlowieczek, ktory wlokl mnie przez trawy, nazywal sie Rumi. I trzeba mu przyznac, ze posrod chaosu i biegu na oslep po tych rozleglych wilgotnych obszarach,

scigany przez mordercza bande bebniacych i wrzeszczacych entuzjastow dekapitacji, udalo mu sie znalezc tygrysa. To niemale osiagniecie, kiedy holuje sie mistrza kung-fu oraz zbawiciela swiata.

–Lik, tygrys – powiedzial Rumi, kiedy wpadlismy na niewielka polane, wlasciwie zwykle zaglebienie gruntu, gdzie kot wielki jak Jeruzalem rozgryzal z wyrazna satysfakcja czaszke antylopy.

Rumi dokladnie wyrazil takze moje uczucia, ale wybralbym raczej wieczne potepienie, niz pozwolil, by moje ostatnie slowa brzmialy "lik, tygrys". Dlatego nasluchiwalem czujnie, a mocz wypelnial moje buty. – Mozna by sadzic, ze ten halas go wystraszy – stwierdzil Jo- szua w chwili, gdy tygrys uniosl leb znad posilku. – Tak sie zwykle dzieje – wyjasnil Rumi. – Halas popycha tygrysa w strone lowcy. – Moze on o tym wie – mruknalem. – I dlatego nigdzie sie nie wybiera. Wiecie, sa wieksze, niz sobie wyobrazalem. Tygrysy, znaczy. – Usiadz – polecil Joszua. – Przepraszam? – Zaufaj mi. Pamietasz te kobre, ktora spotkalismy jako dzieci?

Skinalem na Rumiego i sklonilem go, by usiadl. Tygrys przykucnal i naprezyl miesnie tylnych lap, jakby szykowal sie do skoku. Zreszta, to wlasnie robil. Kiedy pierwsi z przesladowcow wybiegli za nami na polane, tygrys skoczyl i przeplynal nad nami na wysokosci polowy wzrostu czlowieka. Wyladowal na pierwszych dwoch, ktorzy wynurzyli sie sposrod traw, przewrocil ich wielkimi lapami, a potem rozoral pazurami plecy, kiedy odbil sie ponownie. Pozniej widzialem juz tylko rozbiegajace sie na tle nieba groty wloczni, gdy scigajacy stali sie… zreszta sami wiecie. Mezczyzni wrzeszczeli, kobieta wrzeszczala, a tych dwoch, ktorych powalil tygrys, podnioslo sie z trudem; wrzeszczac i utykajac, uciekli w strone drogi.

Rumi spogladal to na martwa antylope, to na Joszue, to na martwa antylope, to na Joszue, a jego oczy stawaly sie jeszcze wieksze niz dotad. – Jestem gleboko poruszony i nieskonczenie wdzieczny za twe porozumienie z tygrysem, ale to jego antylopa i wydaje sie, ze jeszcze nie skonczyl jedzenia, wiec moze… Joszua wstal. – Prowadz. – Nie wiem, w ktora strone. – Nie w tamta – zaznaczylem, wskazujac kierunek, gdzie uciekli z wrzaskiem ci zli.

Rumi doprowadzil nas przez trawy do innej drogi, ktora dotarlismy do miejsca, gdzie mieszkal. – To nora – stwierdzilem. – Nie jest taka zla – uspokoil mnie Joszua. Rozejrzal sie. Wokol byly tez inne nory i zyli w nich ludzie. – Mieszkasz w norze – powiedzialem. – Daj spokoj – upomnial mnie Josh. – Uratowal nam zycie. – To nedzna nora, ale dla mnie jest domem – rzekl Rumi. – Prosze, rozgosccie sie.

Przyjrzalem sie. Nora zostala wydlubana w piaskowcu na glebokosc mniej wiecej do ramienia i byla dostatecznie szeroka, by w srodku mogla obrocic sie krowa, co – jak mialem sie przekonac – bylo rozmiarem istotnym. Byla tez pusta, jesli nie liczyc jednego siegajacego kolan kamienia. – Usiadzcie. Mozecie zajac kamien – zachecil Rumi. Joszua usmiechnal sie i siadl na kamieniu. Rumi usiadl na dnie jamy, pokrytym gruba warstwa czarnego szlamu. – Prosze. Siadaj. – Wskazal mi miejsce obok. – Przykro mi, stac mnie tylko na jeden kamien. Nie usiadlem. – Rumi, mieszkasz w norze – powiedzialem. – No tak, to prawda. A gdzie mieszkaja

niedotykalni w waszym kraju? – Niedotykalni? – Tak, najnizsi z niskich. Smiecie tej ziemi. Zadna z wyzszych kast nie moze zauwazyc mojego istnienia. Jestem niedotykalny. – Chyba nic dziwnego. Zyjesz w pieprzonej norze! – Nie – odezwal sie Joszua. – On mieszka w norze, poniewaz jest niedotykalnym, a nie jest niedotykalnym, poniewaz mieszka w norze. Bylby niedotykalnym nawet gdyby zamieszkal w palacu. Prawda, Rumi? – Aha, akurat to mozliwe – rzucilem. Przykro mi, ale gosc mieszkal w norze. – Jest teraz wiecej miejsca, bo moja zona i wiekszosc dzieci nie zyja – wyznal Rumi. – Do dzisiejszego ranka bylismy tylko we dwoje, moja najmlodsza corka Vitra i ja, ale teraz ona tez odeszla. Jest dosc miejsca, gdybyscie chcieli zostac.

Joszua polozyl mu dlon na ramieniu i od razu zobaczylem efekt – cierpienie ulotnilo sie z twarzy niedotykalnego niczym poranna rosa w goracym sloncu. Stalem obok i czulem sie paskudnie. – Co sie stalo Vitrze? – zapytal Joszua. – Bramini przyszli i zabrali ja na ofiare podczas swieta Kali. Szukalem jej, kiedy was spotkalem. Zbieraja dzieci i doroslych, przestepcow, niedotykalnych i obcych. Schwytaliby was, a pojutrze ofiarowali Kali wasze glowy. – Czyli twoja corka nie zginela? – upewnilem sie. – Beda ja trzymac do polnocy w noc swieta, a potem zabija wraz z innymi dziecmi na drewnianych sloniach Kali. – Pojde do tych braminow i poprosze, zeby oddali ci corke – obiecal Joszua. – Zabija cie – ostrzegl Rumi. – Vitre juz stracilem, a ciebie nawet tygrys nie ocali przed zniszczeniem przez Kali. – Rumi, patrz na mnie – poprosilem. – I wytlumacz, o co chodzi z tymi braminami, Kali, sloniami i wszystkim. Tylko powoli, jakbym niczego nie wiedzial. – Nie musi wysilac wyobrazni – stwierdzil Joszua, naruszajac moje domyslne, choc nie wyrazone wprost, prawo autorskie do sarkazmu. (Owszem, mielismy w hotelu kanal telewizji sadowej, a co!). – Sa cztery kasty – zaczal Rumi. – Bramini czyli kaplani, kszatrija, czyli wojownicy, vajsjowie, ktorzy sa farmerami albo kupcami, oraz siudrowie, czyli robotnicy. Istnieja tez liczne pod-kasty, ale te cztery sa glowne. Kazdy czlowiek rodzi sie w jakiejs kascie i w tej kascie pozostaje, dopoki nie umrze i nie odrodzi sie w wyzszej albo nizszej. Decyduje o tym karma, albo jego uczynki w ostatnim zyciu. – Wiemy o karmie – wtracilem. – Jestesmy buddyjskimi mnichami. – Heretycy – zasyczal Rumi. – Moze mnie jeszcze ugryziesz, ty wylupiastooki brazowy chudzielcu? – warknalem. – Sam jestes brazowym chudzielcem! – Nie, ty jestes brazowym chudzielcem! – Nie, to ty jestes brazowym chudzielcem! – Wszyscy jestesmy brazowymi chudzielcami – uspokajal nas Joszua. – Tak, ale on ma wylupiaste oczy. – A ty jestes heretykiem. – Sam jestes heretykiem! – Wszyscy jestesmy chudymi brazowymi heretykami – wtracil znowu Joszua, by nas uspokoic. – No pewnie, ze jestem chudy – przyznalem. – Szesc lat na zimnym ryzu i herbacie, a tu w calym kraju nie ma na sprzedaz ani kawalka wolowiny. – Zjadlbys wolowine? Ty heretyku! – krzyknal Rumi. – Dosc! – zawolal Joszua. – Nikomu nie wolno zjadac krowy. Krowy to reinkarnacje dusz w drodze do nastepnego zycia. – Swieta krowa… – Wlasnie o to mi chodzi. Joszua potrzasnal glowa, jakby chcial uporzadkowac rozbiegane mysli. – Powiedziales, ze istnieja cztery kasty, ale nie wspomniales o niedotykalnych. – Harijanie, niedotykalni, nie maja kasty. Jestesmy najnizszymi z niskich. Musimy zyc wiele razy, zanim osiagniemy chocby poziom krowy, a wtedy dopiero mozemy sie odrodzic w wyzszej kascie. Jesli bedziemy podazac za nasza dharma, naszym obowiazkiem, mozemy sie stac jednoscia z Brahma, najwyzszym duchem. Trudno uwierzyc, ze tego nie wiecie. Zyliscie w jaskini, czy jak?

Juz mialem zaznaczyc, ze Rumi nie powinien sie wypowiadac w kwestii naszego mieszkania, ale Joszua machnal reka, zebym dal spokoj. Zapytalem wiec: – Czyli w tym systemie kastowym stoicie nizej niz krowy? – Tak. – I ci bramini nie moga zjesc krowy, ale moga porwac twoja corke i zlozyc ja w ofierze swej bogini? – I zjesc – uzupelnil Rumi. – O polnocy w noc swieta wyprowadza wszystkie dzieci i przywiaza je do drewnianych sloni. Potem odetna im palce i dadza po jednym glowie kazdego braminskiego rodu. Krew zleja do kubkow i kazdy z domownikow jej skosztuje. Palec moga zjesc albo zakopac na szczescie. Dopiero pozniej dzieci beda zasieczone na smierc na tych sloniach. – Nie moga tego zrobic – oswiadczyl Joszua. – Alez tak. Kult Kali moze robic, co tylko zechce. To ich miasto, Kalighat. – (Kalkuta na mojej mapce Friendly Flyer). – Moja mala Vitra jest zgubiona. Moge sie tylko modlic o jej reinkarnacje na wyzszym poziomie. Joszua poklepal dlon niedotykalnego. – Dlaczego nazwales Biffa heretykiem, kiedy powiedzial, ze jestesmy buddyjskimi mnichami? – Gautama twierdzil, ze czlowiek moze bezposrednio zlaczyc sie z Brahma z kazdego poziomu, nie wypelniajac swej dharmy. A to herezja. – Tak byloby dla ciebie lepiej, prawda? Skoro i tak jestes na najnizszym szczeblu. – Nie mozna uwierzyc w to, w co sie nie wierzy – odparl Rumi. – Jestem niedotykalny, poniewaz tak nakazuje moja karma. – No tak – odezwalem sie. – Po co siedziec pare godzin pod drzewem bodhi, skoro to samo mozna miec przez kolejne tysiace nedznych zywotow? – Oczywiscie, pomijajac fakt, ze jestes gojem, wiec tak czy tak, czeka cie wieczne potepienie. – Tak, pomijajac te kwestie zupelnie. – Ale odzyskamy twoja corke – obiecal Josh.

Joszua zamierzal biec do Kalighatu i w imie wszystkiego, co dobre i sluszne, zadac zwrotu corki Rumiego oraz uwolnienia pozostalych ofiar. Dla niego zawsze rozwiazaniem bylo pedzic ze swietym oburzeniem, ale jest na to wlasciwy czas i miejsce, i jest tez czas na chytrosc i podstep (Kohelet 9 czy jakos tak). Z uzyciem zelaznej logiki udalo mi sie go przekonac do alternatywnego planu. – Josh, czy Vegemici pokonali Marmitow, pedzac do nich i zadajac sprawiedliwosci pod ostrzem miecza? Nie sadze. Ci bramini odcinaja i zjadaja palce dzieci. Wiem, ze jest takie przykazanie, ktore zabrania obcinania palcow, ale ci ludzie rozumuja inaczej niz my. Budde nazywaja heretykiem, a przeciez byl jednym z ich ksiazat. Jak myslisz, jak przyjma chudego brazowego chlopaka, ktory twierdzi, ze jest Synem Bozym, a nawet nie mieszka w tej okolicy? – Sluszna uwaga. Ale musimy jakos uratowac to dziecko. – Oczywiscie. – Jak? – Metoda niezrownanej przebieglosci. – W takim razie ty bedziesz dowodzil. – Przede wszystkim musimy obejrzec miasto i swiatynie, gdzie beda skladac ofiary. Joszua poskrobal sie po glowie. – Vegemici pokonali Marmitow? – Tak. Ksiega Wydalania trzy-szesc. – Nie przypominam sobie. Bede musial odkurzyc Tore.

Posag Kali nad oltarzem byl wyrzezbiony z czarnego kamienia i wysoki jak dziesieciu ludzi. Miala naszyjnik z ludzkich glow, a w talii pas z odcietych ludzkich rak. Otwarte usta ukazywaly rzad zebow niczym pila, na ktora wylano strumien swiezej krwi. Nawet paznokcie u nog wyrastaly w grozne ostrza, wbijajace sie w stos rzezbionych poskrecanych trupow, na ktorych stala. Miala cztery rece; w jednej trzymala okrutna zakrzywiona klinge, w drugiej, za wlosy, odcieta ludzka glowe. Trzecia wyginala, jakby przyzywajac ofiary ku mrocznej zgubie, ktora wszystkich nas czeka, a dlon czwartej kierowala w dol, wskazujac przepasane rekami biodra, jak gdyby zadawala odwieczne pytanie: "Czy wygladam w tym grubo?".

Wysoki oltarz znajdowal sie posrodku otwartego ogrodu, w otoczeniu drzew. Byl tak szeroki, ze pieciuset ludzi moglo stanac w cieniu czarnej bogini. Glebokie rowki w kamieniu kierowaly krew ofiar do naczyn, skad wlewali ja w paszcze Kali. Do oltarza prowadzila brukowana kamieniami szeroka aleja, obstawiona z obu stron drewnianymi sloniami na obrotowych plytach. Na trabach i przednich nogach widzielismy rdzawobru-natne plamy, a gdzieniegdzie tez glebokie rysy w miejscach, gdzie ostrza rozciely dzieciece ciala i wbily sie w mahon. – Vitry nie trzymaja tutaj – stwierdzil Joszua.

Ukrylismy sie za drzewem przy swiatynnym ogrodzie, przebrani za miejscowych – z falszywymi znakami kasty i cala reszta. Przegralem w losowaniu, wiec to ja nosilem stroj kobiety. – Mysle, ze to ten specjalny figowiec, drzewo bodhi – powie dzialem. – Pod takim samym siedzial Budda! To takie podniecajace! Samo stanie w tym miejscu sprawia, ze czuje sie jakby oswiecony. Powaznie. Dojrzale figi mlaszcza mi pod stopami! Joszua spojrzal pod moje nogi. – Nie sadze, zeby to byly figi. Przed nami stala tu krowa. Unioslem zabrudzona stope. – W tym kraju przecenia sie krowy. Skandal. I to pod drzewem Buddy… Czy nie ma tutaj juz nic swietego? – Przy tej swiatyni nie ma zadnych zabudowan – stwierdzil Joszua. – Musimy zapytac Rumiego, gdzie trzymaja ofiary przed swietem. – Nie bedzie wiedzial. Jest niedotykalnym. A ci goscie to bramini, kaplani. Nic mu nie powiedza. To jakby saduceusz opowiadal Samarytaninowi, jak wyglada Swiete Swietych. – W takim razie sami musimy znalezc wiezniow. – Wiemy, gdzie beda o polnocy. Wtedy ich uwolnimy. – Moim zdaniem trzeba poszukac tych braminow i powiedziec im, zeby odwolali festiwal. – Wedrzemy sie do ich swiatyni i kazemy im przestac? – Tak. – I oni przestana? – Tak. – To slodkie, Josh. Wracajmy do Rumiego. Mam plan. – Jestes bardzo atrakcyjna kobieta – pochwalil mnie Rumi z zacisza swej nory. – Mowilem wam, ze moja zona odeszla do swej nastepnej inkarnacji i ze zostalem sam? – Tak, wspominales. Zrezygnowal juz chyba z nadziei, ze odzyskamy jego corke. – A wlasciwie co sie stalo z twoja rodzina? – Utoneli. – To przykre. W Gangesie? – Nie, w domu. To byla pora monsunowa. Mala Vitra i ja poszlismy na targ, zeby kupic jakies pomyje, i nagle spadla ulewa. Kiedy wrocilismy… – Wzruszyl ramionami. – Nie chce wydac ci sie niewrazliwy, Rumi, ale to mozliwe, ze przyczyna twej straty byl… och, sam nie wiem… moze fakt, ze MIESZKASZ W PIEPRZONEJ NORZE! – To nie pomaga, Biff – upomnial mnie Joszua. – Mowiles, ze masz jakis plan. – Zgadza sie. Rumi, nie pomyle sie chyba, uznajac, ze kiedy w tych waszych norach nikt nie mieszka, sa uzywane do garbowania skor? – Tak. To praca, ktora moga wykonywac tylko niedotykalni. – To by wyjasnialo piekne zapachy. Zakladam, ze w procesie garbowania wykorzystujecie uryne? – - Tak. Uryna, papka z mozgow i herbata to podstawowe skladniki. – Pokaz mi nore, gdzie kondensujecie uryne. – Mieszka tam rodzina Rajneesha. – Nie szkodzi, zaniesiemy im prezent. Josh, masz jakies nici i strzepki na dnie swojej sakwy? – Co ty planujesz? – To alchemia – wyjasnilem. – Subtelna manipulacja pierwiastkami. Patrz i ucz sie.

Kiedy nie byla w uzyciu, jama po urynie sluzyla za mieszkanie rodzinie Rajneesha. Z radoscia oddali nam cale narecza krysztalow pokrywajacych podloge ich domu. Rodzina skladala sie z szesciu osob: ojca, matki, prawie doroslej corki i trojki maluchow. Dowiedzielismy sie, ze jeden maly synek zostal schwytany i przeznaczony na ofiare w czasie festiwalu Kali. Podobnie jak

Rumi i inni niedotykalni, cala rodzina Rajneesha bardziej niz ludzi przypominala raczej szkielety obciagniete zmumifikowana brazowa skora. Niedotykalni mezczyzni chodzili po swoich norach nago, albo w przepaskach biodrowych, a nawet kobiety nosily tylko lachmany, ktore ledwie je okrywaly – nic tak eleganckiego i stylowego jak sari kupione przeze mnie na targu. Pan Rajneesh zauwazyl, ze jestem bardzo atrakcyjna kobieta; zasugerowal tez, bym zajrzal do nich po nastepnym monsunie.

Joszua rozcieral kawalki skrystalizowanego mineralu na drobny bialy proszek, a tymczasem Rumi i ja zebralismy wegiel drzewny z ogrzewanej nory garbarskiej (palenisko wydlubano w kamiennym podlozu). Niedotykalni uzywali jej, by przerobic kwiaty indygowca na barwnik do tkanin. – Potrzebna mi siarka, Rumi. Wiesz, co to jest? Zolty kamien, ktory pali sie niebieskim plomieniem i daje dym cuchnacy zgnilymi jajami. – O tak, sprzedaja go na targu jako lekarstwo. Wreczylem mu srebrna monete. – Idz tam i kup tyle, ile zdolasz uniesc. – Och, tych pieniedzy wystarczy az nadto. Czy za to, co zostanie, moge kupic troche soli? – Kup co chcesz, jesli ci wystarczy, ale idz juz.

Rumi odszedl, a ja poszedlem pomagac Joshowi przy obrobce saletry. Koncepcja obfitosci byla dla niedotykalnych abstraktem, chyba ze dotyczyla dwoch kategorii: cierpienia i czesci zwierzat. Jesli czlowiek szukal porzadnego jedzenia, noclegu albo czystej wody, wsrod niedotykalnych czekalo go rozczarowanie. Co innego, jesli obslugiwal rynek dziobow, kosci, zebow, skor, sciegien, kopyt, wlosow, kamieni zolciowych, pletw, pior, uszu, rogow, oczu, pecherzy, warg, nozdrzy, kuprow czy jakichkolwiek innych niejadalnych czesci dowolnego stworzenia biegajacego, plywajacego lub fruwajacego po indyjskim subkontynencie. Wtedy niedotykalni prawdopodobnie mieli wszystko, czego szukal, zmagazynowane w poblizu pod gruba warstwa much. Aby przygotowac sprzet potrzebny do realizacji mojego planu, musialem myslec w kategoriach czesci zwierzat. To proste, chyba ze sie potrzebuje, powiedzmy, tuzina krotkich mieczy, lukow ze strzalami oraz kolczug dla trzydziestu zolnierzy, a ma sie do dyspozycji stos nozdrzy i trzy niedopasowane kupry. To bylo wyzwanie, ale poradzilem sobie. Joszua chodzil wsrod niedotykalnych i dyskretnie leczyl ich przypadlosci, a ja rzucalem rozkazy. – Potrzebuje osmiu owczych pecherzy, raczej suchych, dwoch garsci zebow krokodyla, dwoch kawalkow surowej skory, dlugich jak moje rece i szerokich na polowe tego. Nie, to niewazne, z jakiego zwierzecia, byle nie bylo przejrzale, jesli to mozliwe. Potrzebuje wlosow z ogona slonia. I drewna na opal, ostatecznie wysuszonego nawozu, jesli nie da sie inaczej, osmiu wolowych ogonow, kosza welny i wiadra wytopionego tluszczu. A setka wychudzonych niedotykalnych stala wokol, z oczami wielkimi jak talerze. Patrzyli na mnie, gdy Joszua przesuwal sie miedzy nimi i uzdrawial rany, choroby i szalenstwa, a zaden nawet nie podejrzewal, co sie dzieje. (Uzgodnilismy, ze to najbezpieczniejsze rozwiazanie. Nie chcielismy, zeby gromada atletycznych niedotykalnych pobiegla przez Kalighat, gloszac, ze dziwny cudzoziemiec uleczyl ich ze wszystkich przypadlosci; w ten sposob sciagneliby na nas uwage i uniemozliwili realizacje mojego planu. Z drugiej strony, zaden z nas nie mogl patrzec na ich cierpienia, wiedzac, ze uzdrowienie jest w naszej – no, wlasciwie Joszuy – mocy). Josh dodatkowo klul ktoregos palcem w ramie za kazdym razem, gdy ktokolwiek wymowil slowo "niedotykalny". Wyjasnil mi pozniej, ze nie potrafil sie oprzec okazji do takiej namacalnej

ironii. Drgalem za kazdym razem, kiedy dotykal tredowatych, jakby nawet po tylu latach z dala od Izraela, malenki faryzeusz stal na mym ramieniu i wrzeszczal: "Nieczysty!". – No wiec? – spytalem, kiedy skonczylem wydawac polecenia. – Chcecie odzyskac swoje dzieci czy nie? – Nie mamy wiadra – oswiadczyla jedna z kobiet. – Ani kosza – dodala inna. – Dobrze, napelnijcie tluszczem owcze pecherze, a welne zawincie w jakas skore. Ale juz, nie mamy wiele czasu.

A oni ciagle stali i wpatrywali sie we mnie. Wielkie oczy. Wygojone wrzody. Usuniete pasozyty. I caly czas patrzyli. – Sluchajcie, wiem, ze nie mowie w sanskrycie doskonale, ale przeciez rozumiecie, o co prosze? Mlody czlowiek wystapil naprzod. – Nie chcemy rozgniewac Kali, pozbawiajac ja ofiar. – Zartujesz, prawda? – Kali przynosi zniszczenie, bez ktorego nie ma odrodzenia. Ona usuwa wiezy laczace nas ze swiatem materialnym. Jesli ja rozgniewamy, pozbawi nas swego boskiego zniszczenia. Poprzez tlum spojrzalem na Joszue. – Rozumiesz cos z tego? – Strach? – Mozesz jakos pomoc? – spytalem po aramejsku. – Ze strachem slabo sobie radze – odpowiedzial po hebrajsku.

Zastanawialem sie przez sekunde czy dwie, podczas gdy setki spojrzen przyszpilaly mnie do piaskowca, na ktorym stalem. Przypomnialem sobie poplamione naciecia na drewnianych posagach sloni przed oltarzem Kali… Smierc jest dla nich wyzwoleniem, tak? – Jak ci na imie? – zapytalem mlodego czlowieka, ktory wy stapil przed tlum. – Nagesh – odparl. – Wysun jezyk, Nageshu.

Uczynil to, a ja odrzucilem chuste okrywajaca ma glowe i poluzowalem ja przy szyi. Potem dotknalem jego jezyka. – Zniszczenie jest darem, ktory cenicie? – Tak – potwierdzil Nagesh. – A wiec ja bede instrumentem daru bogini.

Wyrwalem szklany sztylet z pochwy za szarfa i unioslem go, demonstrujac tlumowi. Nagesh stal w bezruchu, z szeroko otwartymi oczami, a ja wsunalem mu kciuk pod brode, pchnalem glowe do tylu i opuscilem sztylet na gardlo. Ulozylem go na ziemi, kiedy czerwona ciecz chlusnela na kamienie. Wyprostowalem sie i znowu zwrocilem do tlumu. Unioslem zakrwawione ostrze. – Jestescie mi cos winni, niewdzieczni popaprancy! Przynioslem wam dar Kali, wiec teraz wy mi przyniescie, o co prosze!

Poruszali sie calkiem szybko jak na ludzi bliskich smierci glodowej. Kiedy niedotykalni sie rozbiegli, by wypelnic moje polecenia, Joszua i ja stanelismy nad zalanym krwia cialem Nagesha. – To bylo fantastyczne – stwierdzil Joszua. – Absolutnie doskonale. – Dzieki. – Cwiczyles przez caly nasz pobyt w klasztorze? – Czyli nie zauwazyles, jak wbijam palec w punkt nacisku? – Nie, wcale. – To trening Kaspra w kung-fu. Reszte oczywiscie zawdzieczam Radosnej i Baltazarowi.

Pochylilem sie, otworzylem Nageshowi usta i z fiolki yin-yang, ktora nosilem na szyi, wlalem krople odtrutki. – Czyli on nas teraz slyszy, jak ty wtedy, kiedy Radosna cie otrula? – upewnil sie Joszua. Odciagnalem Nageshowi powieke i sprawdzilem, jak w blasku slonca zweza sie zrenica. – Nie, chyba ciagle jest nieprzytomny, bo przytrzymalem ten punkt nacisku. Nie bylem pewien, czy trucizna zadziala dostatecznie szybko. Kiedy rozluznialem sari, zdazylem nalac

sobie na palec tylko krople. Wiedzialem, ze to go unieruchomi, ale nie wiedzialem, czy powali. – Wiesz, Biff, teraz naprawde stales sie magiem. Jestem pod wrazeniem. – Joszua, uzdrowiles dzisiaj ze stu ludzi. Polowa z nich byla umierajaca. Ja zrobilem tylko sztuczke magiczna. Moj przyjaciel pozostawal niezrazony w swym entuzjazmie. – A ten czerwony plyn, co to bylo? Sok z granatow? Zupelnie nie wiem, gdzie go ukryles. – To nie byl sok i w zwiazku z tym mam do ciebie prosbe. – Co takiego?

Unioslem reke i pokazalem Joszui miejsce, gdzie rozcialem wlasny nadgarstek. Przyciskalem reke do uda, ale gdy tylko zmniejszylem nacisk, krew trysnela znowu. Usiadlem ciezko na kamieniu, a moje pole widzenia zaczelo sie zwezac do punktu. – Mialem nadzieje, ze cos na to zaradzisz – zdazylem jeszcze powiedziec, nim zemdlalem. – Nad ta czescia sztuczki musisz jeszcze popracowac – stwierdzil Joszua, kiedy odzyskalem przytomnosc. – Nie zawsze bede na miejscu, zeby uleczyc ci reke.

Mowil po hebrajsku – to znaczy, tylko ja moglem go zrozumiec. Zobaczylem, ze kleczy nade mna, a niebo za jego plecami przeslaniaja zaciekawione brazowe twarze. Niedawno zamordowany Nagesh stal przed tlumem. – Hej, Nagesh, jak ci poszlo odrodzenie? – zapytalem w sanskrycie. – W poprzednim zyciu musialem zboczyc z dharmy – odparl. – Zostalem reinkarnowany znowu jako niedotykalny i mam te sama brzydka zone. – Sprzeciwiles sie mistrzowi Lewiemu, ktory jest zwany Biffem – oswiadczylem. – To jasne, ze nie przesunales sie wyzej. Masz szczescie, ze nie jestes jakims chrzaszczem albo co. Sami widzicie, ze zniszczenie nie jest az takie cenne, jak wam sie wydawalo. – Przynieslismy to, o co prosiles. Zerwalem sie na nogi. Bylem niezwykle wypoczety i pelen energii. – Czuje sie, jakbym wypil taka mocna kawe, jaka parzyles u Baltazara. – Tesknie za kawa – wyznal Josh. Spojrzalem na Nagesha. – Nie sadze, zebyscie… – Mamy pomyje. – Niewazne. – A potem powiedzialem cos, czego dorastajacy w Galilei chlopiec nigdy nie spodziewa sie uslyszec z wlasnych ust. – A teraz, niedotykalni, przyniescie mi owcze pecherze.

Rumi mowil, ze bogini Kali sluzy zastep czarnoskorych zenskich demonow, ktore niekiedy podczas swieta sciagaja mezczyzn w katy oltarza i kopuluja z nimi, a krew scieka na nich z zebatej paszczy bogini. – Dobra, Josh, jestes jednym z nich – powiedzialem. – A ty kim bedziesz? – Boginia Kali, oczywiscie. Ostatnim razem to ty byles Bogiem. – Jakim ostatnim razem? – Wszystkimi ostatnimi razami. – Zwrocilem sie do moich nieustraszonych podkomendnych. – Niedotykalni, pomalujcie go! – Przeciez nie kupia tego, ze jakis ostrzyzony zydowski chlopak jest ich boginia zniszczenia. – O, czlowieku malej wiary – odparlem.

Trzy godziny pozniej znowu krylismy sie za drzewem w poblizu swiatyni Kali. Obaj bylismy przebrani za kobiety, od stop do glow owinieci w sari, chociaz ja wygladalem bardziej kanciasto, a to z powodu dodatkowych rak Kali i girlandy odcietych glow. W roli glow wystepowaly pomalowane owcze pecherze, wypelnione materialem wybuchowym i umocowane na szyi dlugimi pasmami wlosia z ogonow sloni. Ciekawskich, ktorzy mogliby zauwazyc moje wypuklosci, szybko odpedzal unoszacy sie nad nami zapach – pomalowalismy sie na czarno mazia z dna nory Rumiego. Niedotykalni wymalowali tez czerwone pierscienie wokol oczu Josha, dodali mu zaimprowizowana peruke z wolowych ogonow, a tors upiekszyli szescioma

sterczacymi cycuszkami ze smoly. – Nie zblizaj sie do otwartego ognia. Twoje cycuszki wybuchna jak wulkany. – Dlaczego ja musze miec szesc, a ty tylko dwa? – Bo ja jestem boginia i nosze girlande glow i dodatkowe rece.

Wykonalismy je z niewyprawionej skory, uzywajac moich prawdziwych rak jako modelu. Potem wysuszylismy uformowana skore nad ogniem. Kobiety zrobily uprzaz, do ktorej umocowalismy te rece pod moimi, a w koncu pomalowalismy je ta sama czarna mazia. Troche sie kolysaly, ale byly lekkie i w ciemnosci powinny wygladac bardzo realistycznie. Zostalo jeszcze kilka godzin do polnocy, kiedy to w kulminacyjnym punkcie ceremonii dzieci mialy byc zarabane na smierc. Chcielismy jednak, w miare mozliwosci, zapobiec ucinaniu im palcow. Drewniane slonie staly jeszcze puste na obrotowych platformach, ale oltarz Kali wypelnial sie juz makabrycznymi daninami. Glowy tysiaca koz zlozono przed boginia, lepka krew splywala po kamieniach do rowkow, a z nich do czterech mosieznych kotlow w rogach oltarza. Akolitki niosly te kotly po waskich stopniach za wielkim posagiem i oprozniały do jakiegos zbiornika, ktory wylewal krew przez szczeki Kali. W dole, w swietle pochodni, zlewani lepkim deszczem krwi, tanczyli czciciele bogini. – Patrz, te kobiety sa ubrane jak ja – zauwazyl Joszua. – Tyle ze maja po dwie piersi. – Technicznie rzecz biorac, nie sa ubrane, tylko pomalowane. Jestes bardzo atrakcyjnym zenskim demonem, Josh. Mowilem ci juz? – To sie nie uda. – Oczywiscie, ze sie uda.

Ocenilem, ze na placu przed oltarzem jest juz dziesiec tysiecy wiernych. Tanczyli, spiewali i bili w bebny. Glowna aleja przeszla procesja trzydziestu mezczyzn, a kazdy dzwigal pod pacha kosz. Kiedy dotarli do oltarza, kolejno oprozniali je na rzedy pokrwawionych kozich glow. – Co to jest? – zapytal Joszua. – Dokladnie to, co myslisz – odpowiedzialem. – Ale przeciez nie glowy dzieci? – Nie. Mysle, ze to glowy obcych, wedrujacych akurat po tej drodze, ktora szlismy, zanim Rumi wciagnal nas w trawy.

Kiedy odciete glowy rozsypaly sie na oltarzu, z tlumu wyszly akolitki, wlokac bezglowe cialo mezczyzny. Ulozyly je na stopniach wiodacych do oltarza. Kolejno udawaly, ze odbywaja z nim stosunek, po czym pocieraly genitaliami o krwawy kikut szyi i tanczyly, a krew i ochra sciekaly im po wewnetrznej stronie ud. – Rozwija sie tam jakis glowny temat – uznalem. – Chyba zwymiotuje – poskarzyl sie Joszua. – Swiadomy oddech – odpowiedzialem, uzywajac jednej z fraz, jakie stale powtarzal nam Kasper, kiedy uczylismy sie medytacji. Wiedzialem, ze Joszua potrafil przez dlugie dni przebywac z yeti i nie zamarzal, wiec z pewnoscia mogl tak kontrolowac swe cialo, by powstrzymac wymioty. Mnie samego od wymiotow ratowaly rozmach i skala tej rzezi – jak gdyby okropienstwo calej sceny nie miescilo sie w moim umysle, wiec widzialem tyle, ze moglem zapanowac nad myslami i zoladkiem.

Krzyk wzniosl sie ponad tlumem i zobaczylem oswietlona pochodniami lektyke. Siedzial w niej polnagi mezczyzna, owiniety w pasie skora tygrysa; jego cialo bylo pokryte popiolem. Wlosy mial posklejane tluszczem w kosmyki, a nakrycie glowy stanowily kosci ludzkiej reki. Z szyi zwisal mu lancuch ludzkich czaszek. – Najwyzszy kaplan – stwierdzilem. – Oni cie nawet nie zauwaza, Biff. Jak zwrocisz ich uwage po tym wszystkim, co tu widzieli? – Nie widzieli jeszcze tego, co zamierzam pokazac.

Kiedy lektyka wysunela sie spomiedzy wyznawcow przed oltarzem, zobaczylismy idaca za nia procesje: przywiazana z tylu kolumne nagich dzieci, w wiekszosci najwyzej piecio – czy szescioletnich, ze skrepowanymi rekami. Pomniejsi kaplani, w mniej wyrafinowanych kostiumach, szli z bokow, by je podtrzymywac. Po chwili zaczeli odwiazywac dzieci i prowadzic do wielkich drewnianych sloni. Tu i tam zauwazylem w tlumie ludzi siegajacych po bron: krotkie miecze, topory i te wlocznie z dlugimi grotami, jakie widzielismy z Joszua ponad morzem trawy. Najwyzszy kaplan siedzial na bezglowym trupie i wykrzykiwal jakis wiersz o boskim uwolnieniu zniszczenia Kali czy cos w tym stylu. – No to ruszamy – powiedzialem. Wyjalem spod sari sztylet z czarnego szkla. – Wez to. Joszua spojrzal na migoczaca w blasku ogni klinge. – Nikogo nie zabije – oswiadczyl.

Lzy splywaly mu po policzkach, kreslac czerwone linie na czerni. Wygladal z tym jeszcze bardziej przerazajaco. – Swietnie, ale przeciez musisz czyms je odciac. – Slusznie. Wzial ode mnie sztylet. – Josh, wiesz, co sie szykuje. Widziales juz takie rzeczy. Nikt tutaj jeszcze nie, a juz zwlaszcza te dzieciaki. Nie mozesz niesc ich wszystkich, wiec musza zachowac przytomnosc na tyle, zeby isc za toba. Wiem, ze potrafisz sprawic, by sie nie baly. Zaloz zeby.

Joszua kiwnal glowa, po czym wsunal pod gorna warge rzad polaczonych rzemieniem krokodylich zebow, tak ze sterczaly jak kly. Ja zalozylem swoje i odbieglem w ciemnosc, by okrazyc tlum.

Kiedy zblizylem sie od tylu do oltarza, spod pasa z ludzkich rak wyjalem specjalnie przygotowana pochodnie. (Tworzace pas ludzkie rece byly zrobione z wypchanych trawa wysuszonych kozich wymion; niedotykalne kobiety wykonaly swietna robote – byle tylko nikt nie probowal liczyc palcow). Zza kamiennych nog Kali widzialem, jak kaplani przywiazuja dzieci do sloniowych trab. Gdy zacisneli wiezy, kazdy wzniosl brazowa klinge, gotow do odciecia palca, gdy tylko najwyzszy kaplan da sygnal.

Uderzylem koncem pochodni o krawedz oltarza, wrzasnalem ile sil w plucach, zrzucilem sari i pobieglem schodami w gore. Pochodnia rozjarzyla sie oslepiajacym blekitnym plomieniem; za mna ciagnela sie struga iskier. Przeskoczylem przez kozie glowy i stanalem miedzy nogami Kali; w jednej rece wznosilem pochodnie, w drugiej kolysalem za wlosy jedna ze swoich odcietych glow. – Jestem Kali! – wrzasnalem. – Lekajcie sie!

Przez te falszywe zeby okrzyk byl troche niewyrazny. Niektore bebny zamilkly. Najwyzszy kaplan odwrocil sie i spojrzal na mnie, bardziej z powodu jasnego blasku pochodni niz mojej straszliwej proklamacji. – Jestem Kali! – krzyknalem znowu. – Bogini zniszczenia i ca lego tego obrzydliwego chlamu, jaki tu macie!

Nie docieralo to do nich. Kaplan skinal na innych, by sprobowali zajsc mnie z obu stron. Niektore akolitki staraly sie juz przedostac do mnie z tanecznego placu dekapitacji. – To prawda! Pokloncie sie!

Kaplani atakowali. Sciagnalem na siebie uwage wyznawcow, ale nie kulili sie ze strachu przed

moja gniewna boskoscia. Widzialem, ze Joszua obchodzi juz drewniane slonie – strzegacy ich kaplani opuscili posterunki, by ruszyc na mnie. – Powaznie! Nie zartuje!

Moze to wina zebow… Splunalem nimi w strone najblizszego z atakujacych. Bieg po morzu sliskich, zakrwawionych glow jest trudnym zadaniem. Co prawda nie dla kogos, kto spedzil szesc lat swego zycia, skaczac po waskich slupkach, czesto oblodzonych i zasniezonych, ale dla przecietnego morderczego kaplana to naprawde ciezka robota. Kaplani i akolitki slizgali sie i zsuwali miedzy kozie i ludzkie glowy, uderzali o stopy posagu, jeden nawet padajac nadzial sie na kozi rog.

Jakis kaplan znalazl sie o kilka stop ode mnie; usilowal nie przebic sie wlasnym mieczem, gdy sie ku mnie czolgal. – Przynosze zniszczenie… Zreszta, co tam…

Zapalilem lont w odcietej glowie, ktora trzymalem w reku, zamachnalem sie spomiedzy nog i cisnalem ja stromym lukiem nad glowa. Wlokac warkocz iskier, wpadla do paszczy bogini i zniknela.

Zblizajacego sie napastnika kopnalem w szczeke, zatanczylem na kozich lbach, przeskoczylem nad najwyzszym kaplanem i bylem juz w polowie drogi do pierwszego slonia i Joszuy, gdy Kali z ogluszajacym hukiem zionela ogniem. Wybuch zdmuchnal jej czerep.

Wreszcie cos osiagnalem. Deptali sie wzajemnie, probujac uciekac, ale zwrocilem ich uwage. Stalem posrodku alei, krecilem w powietrzu druga odcieta glowa i czekalem, az lont sie wypali. Po chwili poslalem ja ponad glowami przerazonego tlumu. Eksplodowala w powietrzu, rozpalajac pierscien ognia na niebie. Na pewno ogluszyla tych czcicieli, ktorzy znalezli sie najblizej.

Joszua mial ze soba siodemke dzieci. Chwytaly go za nogi, gdy szedl do nastepnego slonia. Niektorzy kaplani opamietali sie i teraz, z nozami w rekach, biegli po stopniach w dol. Zerwalem z mojej girlandy nastepna glowe, podpalilem lont i wyciagnalem w ich strone.

336

–Ach, ach! – zawolalem ostrzegawczo. – Kali. Bogini zniszczenia. Gniew i tak dalej. Na widok plonacego lontu zatrzymali sie i zaczeli wycofywac. – No, wreszcie szacunek, jaki powinniscie okazywac mi od poczatku.

Zakrecilem trzymana za wlosy glowa, a kaplani zapomnieli o wszelkich pozorach odwagi i rzucili sie do ucieczki. Cisnalem ja ponad aleja, do oltarza. Wybuchla, rozrzucajac na wszystkie strony grad prawdziwych odcietych glow. – Josh, uwazaj! Kozie lby!

Josh pchnal dzieci na ziemie i zaslanial je wlasnym cialem, dopoki lby nie opadly. Patrzyl na mnie gniewnie przez sekunde, potem pobiegl uwalniac nastepne. Rzucilem jeszcze trzy glowy w rozne strony i teraz plac przed swiatynia prawie calkiem opustoszal. Pozostali na nim tylko

Joszua, dzieci, kilku poranionych czcicieli i trupy. Zbudowalem bomby bez zadnych odlamkow, wiec ranni byli ci, ktorzy upadli i stratowal ich tlum, a zabici ci, ktorych juz wczesniej zlozono Kali w ofierze. Mysle, ze zalatwilismy wszystko bez strat.

Joszua poprowadzil dzieci szeroka aleja, a potem poza ogrod swiatyni, a ja oslanialem ich odwrot. Cofalem sie wolno aleja, z ostatnia wybuchowa glowa w jednej rece i pochodnia w drugiej. Kiedy zobaczylem, ze sa juz w bezpiecznej odleglosci, zapalilem lont, zakrecilem glowa i cisnalem ja w strone czarnej bogini. – Suka – powiedzialem. Zniknalem, zanim glowa wybuchla. Wraz z Joszua dotarlismy az na piaskowa skarpe nad Gangesem i tam musielismy dac dzieciom odpoczac. Byly zmeczone, a przede wszystkim glodne, a my nie zabralismy nic do jedzenia. Po dotknieciu Josha przynajmniej sie nie baly. Josh i ja bylismy zbyt podnieceni, by zasnac, wiec usiedlismy tam, a dzieci ulozyly sie dookola i pochrapywaly jak kociaki. Joszua trzymal na rekach Vitre, coreczke Rumiego; wtulala mu sie w ramiona, wiec w niedlugim czasie miala twarz usmarowana czarna farba. Przez cala noc, kiedy kolysal mala, slyszalem tylko, jak powtarza: – Dosc krwi. Nigdy wiecej krwi.

O pierwszym brzasku zobaczylismy tysiace, nie, dziesiatki tysiecy ludzi zbierajacych sie na brzegach rzeki; wszyscy byli odziani w biel, z wyjatkiem kilku starcow, ktorzy byli nadzy. Weszli do wody i staneli zwroceni ku wschodowi, wyczekujaco unoszac glowy. Jak okiem siegnac, ciagnely sie w wodzie ich szeregi. Gdy slonce stalo sie rozzarzonym skrawkiem paznokcia na horyzoncie, powierzchnia rzeki zmienila sie w zloto. Zlocisty blask odbijal sie od wody i padal na budynki, szalasy, drzewa i palace. Wszystko w polu widzenia, nie wylaczajac wyznawcow, wydawalo sie ozlocone. To byli wyznawcy, gdyz z naszego miejsca slyszelismy ich piesn i choc nie rozumielismy slow, wiedzielismy, ze to piesn Boga. – Czy to ci sami ludzie, co ostatniej nocy? – zdziwilem sie. – Chyba to musza byc oni, prawda? – Nie rozumiem ich. Nie rozumiem ich religii. Nie rozumiem ich sposobu myslenia.

Joszua stal i patrzyl, jak Hindusi klaniaja sie sloncu i spiewaja. Od czasu do czasu zerkal na spiace w jego ramionach dziecko. – To swiadectwo chwaly boskiego stworzenia. I niewazne, czy ci ludzie o tym wiedza, czy nie. – Jak mozesz tak mowic? Te ofiary dla Kali, to, jak sie traktuje niedotykalnych… W cokolwiek oni wierza, ich religia jest obrzydliwa. – Masz racje. Nie jest slusznym skazywanie tego dziecka, poniewaz nie urodzilo sie jako corka bramina? – Oczywiscie, ze nie! – Zatem czy sluszne jest skazywanie jej, poniewaz nie urodzila sie Zydowka? – O co ci chodzi? – Czlowiek, ktory urodzil sie gojem, nie zobaczy Krolestwa Bozego. Czy my, jako Hebrajczycy, tak bardzo sie od nich roznimy? Te owce w Swiatyni na Pasche? Bogactwo i wladza saduceuszy, kiedy inni gloduja? Niedotykalni osiagna w koncu swoja nagrode, poprzez karme i reinkarnacje. My nie pozwalamy na to zadnemu niewiernemu. – Nie mozesz porownywac tego, co oni tu robia, z prawem bozym. My nie skladamy w ofierze ludzkich istot. Karmimy nedzarzy, opiekujemy sie chorymi. – Chyba ze ci chorzy sa nieczysci. – Ale, Josh, my jestesmy wybrani. To wola boza. – Ale czy to sprawiedliwe? On nie chce mi powiedziec, co robic. Wiec sam powiem. I mowie: dosc tego. – Nie chodzi ci teraz tylko o jedzenie bekonu, co? – Gautama Budda pokazal ludziom droge do Bozej reki, niezaleznie od ich pochodzenia. Bez krwawych ofiar. Nasze drzwi zbyt dlugo juz byly naznaczone krwia, Biff. – I myslisz, ze co powinienes teraz zrobic? Poniesc wszystkim Boga? – Tak. Ale najpierw sie

zdrzemne. – Oczywiscie. Chodzilo mi o to, ze po drzemce.

Joszua uniosl dziewczynke, pograzona we snie na jego ramieniu. Dzieci obudzily sie i odprowadzilismy je do rodzin w norach. Oddalismy je matkom, ktore wyrywaly nam dzieci tak gwaltownie, jakbysmy byli diablami wcielonymi. Ogladaly sie na nas lekliwie, kiedy niosly je do nor. – Umieja okazac wdziecznosc – zauwazylem. – Boja sie, ze rozgniewalismy Kali. No i przyprowadzilismy im kolejne geby od wykarmienia. – Mimo wszystko… Wlasciwie dlaczego nam pomogli, jesli nie chcieli odzyskac dzieci? – Poniewaz powiedzielismy im, co robic. Zawsze robia… to, co sie im powie. W ten sposob bramini nad nimi panuja. Jesli robia, co sie im powie, to moze w nastepnym zyciu nie beda juz niedotykalnymi. – To smutne. Joszua kiwnal glowa.

Zostala z nami juz tylko mala Vitra, ktora mielismy oddac ojcu. Bylem pewien, ze Rumi bedzie szczesliwy, znowu widzac corke. Kiedy zaginela, to jego niepokoj sprawil, ze Rumi uratowal nam zycie. I kiedy dotarlismy do piaskowcowego wzniesienia, zobaczylismy, ze Rumi nie jest w norze sam. Stal na swoim kamieniu, posypywal sola swoj sztywny czlonek, a wielka garbata krowa, ktora prawie w calosci zajmowala pozostala czesc nory, zlizywala sol. Joszua odwrocil Vitre plecami do nory i zaczal sie cofac, by nie zaklocac tej chwili wolowej intymnosci. – Krowa, Rumi?! – krzyknalem. – Myslalem, ze wy tutaj w cos wierzycie! – To nie jest krowa, tylko byk – oswiadczyl Joszua. – Och, czyli masz superpremiowa obrzydliwosc. Tam, skad przychodzimy, Rumi, za takie rzeczy niszczy sie cale miasta. – Wyciagnalem reke i zaslonilem Vitrze oczy. – Nie zblizaj sie do tatusia, skarbie, bo zmienisz sie w slup soli. – Ale to moja zona, reinkarnowana! – Nie probuj mnie nabierac, Rumi. Przez szesc lat mieszkalem w buddyjskim klasztorze i jedynym damskim towarzystwem byla samica dzikiego jaka. Wiem co to desperacja. Joszua zlapal mnie za ramie. – Chyba nie… – Spokojnie, to tylko argument w dyskusji. Ty jestes tutaj Mesjaszem, Josh. Co myslisz? – Mysle, ze musimy ruszyc do kraju Tamilow i odszukac trzeciego Medrca.

Postawil Vitre na ziemi. Dziecko pobieglo do Rumiego, ktory szybko podciagnal biodrowa przepaske. – Zostan z Bogiem, Rumi – powiedzial Joszua. – Niech Sziwa was strzeze, heretycy. Dziekuje, ze zwrociliscie mi corke.

Joszua i ja zabralismy nasze ubrania i sakwy, kupilismy na rynku troche ryzu i powedrowalismy do kraju Tamilow. Podazalismy z biegiem Gangesu, az dotarlismy do morza, gdzie Joszua i ja zmylismy z cial posoke Kali.

Siedzielismy na plazy i suszylismy sie w sloncu, wydlubujac z wlosow na piersi resztki smoly. – Wiesz, Josh… – Walczylem z wyjatkowo upartym kawalkiem, ktory utknal mi pod pacha. – kiedy wyprowadzales z placu przed swiatynia te dzieci, byly takie male i slabe… ale zadne nie wydawalo sie przestraszone. Naprawde robilo sie cieplo na sercu. – Tak, kocham wszystkie dzieci na calym swiecie. Wiesz? – Naprawde? Skinal glowa. – Zielone i zolte, czarne i biale. – Dobrze wiedziec. Czekaj… zielone? – Nie, zielone nie. Tak cie tylko wkrecalem.

Tamil, jak sie okazalo, nie byl miasteczkiem w poludniowych Indiach, ale calym poludniowym polwyspem o powierzchni piec razy wiekszej od Izraela. Poszukiwanie Melchiora przypominalo

wiec wkroczenie pewnego dnia do Jeruzalem i wolanie: "Hej, szukam takiego jednego Zyda, moze ktos go widzial?!". Pomagalo nam to, ze wiedzielismy, czym Melchior sie zajmuje: byl ascetycznym swietym mezem, wiodacym niemal pustelniczy zywot gdzies na wybrzezu, no i – podobnie jak jego brat Kasper – byl synem ksiecia. Spotkalismy setki roznych swiatobliwych pustelnikow, czyli joginow; wiekszosc zyla bardzo prymitywnie w lesie albo w jaskiniach, i na ogol skrecali swoje ciala w jakies calkiem niemozliwe pozycje. Pierwszy, ktorego zobaczylem, mieszkal w szalasie przy wzgorzu nad mala rybacka wioska. Zarzucil sobie stopy na ramiona, przez co wygladal, jakby glowa wyrastala mu z niewlasciwego konca tulowia. – Patrz, Josh! Ten gosc probuje wylizac sobie jaja! Calkiem jak Bartlomiej, wiejski glupek! To moi ludzie, Josh! Moi ludzie! Znalazlem dom!

No wiec naprawde wcale nie znalazlem domu. Gosc wykonywal po prostu jakies cwiczenie wspomagajace duchowa dyscypline (tyle oznacza "joga" w sanskrycie: dyscypline) i nie chcial mnie nauczac, bo moje intencje nie byly czyste i podobne bzdury. I nie byl Melchiorem. Nim go znalezlismy, stracilismy jeszcze szesc miesiecy i resztke pieniedzy, i obaj przezylismy nasze dwudzieste piate urodziny. Melchior lezal w plytkim zaglebieniu urwiska nad brzegiem oceanu, a u jego stop gniezdzily sie mewy.

Okazal sie bardziej owlosiona wersja brata, co oznacza, ze byl drobnej budowy, mial okolo szescdziesieciu lat i znak kasty na czole. Jego wlosy i broda byly dlugie i siwe, z tylko kilkoma czarnymi pasemkami, oczy zas intensywnie blekitne i jakby calkiem pozbawione bialek. Za ubranie sluzyla mu tylko przepaska biodrowa, a wychudzeniem nie ustepowal poznanym w Kalighacie niedotykalnym.

Joszua i ja przylgnelismy do skaly, gdy tymczasem guru wyplatywal sie z tego supla, w ktory zawiazal swe cialo. Proces byl powolny i udawalismy, ze przygladamy sie mewom, by oznakami niecierpliwosci nie wprawic swietego meza w zaklopotanie. Gdy w koncu osiagnal taka posture, ktora nie sugerowala, ze przejechal po nim woz zaprzezony w woly, przemowil Joszua. – Przybywamy z Izraela. Spedzilismy szesc lat w klasztorze twojego brata Kaspra. Jestem… – Wiem, kim jestes – przerwal mu Melchior. Glos mial melodyjny, a kazde zdanie brzmialo tak, jakby zaczynal recytowac poemat. – Poznalem cie. Pierwszy raz widzialem cie w Betlejem. – Naprawde? – Jazn czlowieka sie nie zmienia, tylko jego cialo. Widze, ze wyrosles juz z powijakow. – Tak, jakis czas temu. – I nie spisz juz w zlobie? – Nie. – Sa dni, kiedy chetnie polozylbym sie w jakims milym zlobie, na wiazce siana, moze nawet pod derka. Nie chodzi o to, ze potrzebuje takich luksusow, ani ja, ani nikt, kto podaza sciezka ducha. Ale jednak… – Przyszedlem, by uczyc sie od ciebie – oznajmil Joszua. – Mam byc bodhisattwa swego ludu i nie jestem pewien, jak sie do tego zabrac. – On jest Mesjaszem – dodalem, chcac pomoc. – No wiesz, tym Mesjaszem. Wiesz, Synem Bozym. – Tak, Synem Bozym – potwierdzil Joszua. – Tak – powiedzialem. – Tak – powiedzial Joszua. – No wiec, co masz dla nas? – Kim ty jestes? – Biff – przedstawilem sie. – Moj przyjaciel – wyjasnil Josh. – A czego poszukujesz? – Prawde mowiac, chcialbym nie wisiec juz nad ta przepascia, bo palce mi dretwieja. – Tak – zgodzil sie Josh. – Tak – powiedzialem. – Znajdzcie sobie jakies zaglebienia w skale. Jest kilka opuszczonych. Joginowie Ramata i Mahara przeszli niedawno do swych kolejnych narodzin. – Jesli wiesz, gdzie mozna dostac cos do jedzenia, bylibysmy wdzieczni – dodal Joszua. – Nie

jedlismy od dawna. I nie mamy pieniedzy. – Czas na twa pierwsza lekcje, mlody Mesjaszu. Ja takze jestem glodny. Przynies mi ziarnko ryzu.

Joszua i ja przesuwalismy sie po urwisku, az znalezlismy dwa zaglebienia, wlasciwie raczej malutkie groty, polozone blisko siebie i nie az tak wysoko nad brzegiem, by upadek nas zabil. Kazde bylo wydlubane w litej stale, dosc szerokie, by sie polozyc, wysokie, by usiasc, i glebokie na tyle, by chronic od deszczu, o ile padalo prosto w dol. Kiedy juz sie rozlozylismy, przekopalem swoja sakwe i znalazlem trzy stare ziarnka ryzu, ktore zaczepily sie gdzies w szwie. Umiescilem je w miseczce, ktora potem chwycilem w zeby, i wrocilem do siedziby Melchiora. – Nie prosilem o miseczke – zauwazyl Melchior.

Joszua szybciej pokonal urwisko i teraz siedzial obok jogina, z nogami zwisajacymi nad przepascia. Na kolanach trzymal mewe. – Sposob podania to polowa posilku – odparlem, cytujac slowa wypowiedziane kiedys przez Radosna. Melchior obwachal ziarnka ryzu, potem wybral jedno i chwycil je w kosciste palce. – Jest surowe. – Tak, surowe. – Nie mozemy go zjesc na surowo. – Och, podalbym je gotowane, z ziarnkiem soli i molekula zielonej cebuli, gdybym tylko wiedzial, ze takie wlasnie lubisz. (Tak, mielismy juz wtedy molekuly. Odczepcie sie). – No coz, to musi nam wystarczyc.

Swiety maz umiescil miseczke z ziarenkami ryzu na kolanach i zamknal oczy. Jego oddech zwalnial, a po chwili zdawalo sie, ze juz w ogole nie oddycha.

Josh i ja czekalismy. I spogladalismy po sobie. A Melchior sie nie poruszal. Koscista jak u szkieletu piers nie unosila sie w oddechu. Bylem glodny i zmeczony, ale czekalem. A swiety maz nie poruszal sie juz prawie od godziny. Pamietajac o niedawnych zwolnieniach miejsc na urwisku, zaczalem sie obawiac, ze Melchior ulegl jakiejs zjadliwej, zabojczej dla joginow epidemii. – Umarl? – spytalem. – Trudno powiedziec. – Szturchnij go. – Nie, to moj nauczyciel, czlowiek swiety. Nie bede go szturchal. – Jest niedotykalnym!

Joszua nie mogl sie oprzec ironii i dzgnal Melchiora palcem. Jogin natychmiast otworzyl oczy, wskazal na morze i zawolal: – Patrzcie! Mewa! Popatrzylismy. A kiedy znow spojrzelismy na niego, trzymal pelna miseczke ryzu. – Macie. Ugotujcie to.

I tak zaczelo sie szkolenie Joszuy w poszukiwaniu tego, co Melchior nazywal Boska Iskra. Swiety maz byl wobec mnie surowy, ale Joshowi okazywal nieskonczona cierpliwosc. Szybko zrozumialem, ze chcac uczestniczyc w nauce Joszuy, w rzeczywistosci hamuje jego postepy. Dlatego trzeciego dnia od zamieszkania na urwisku wykonalem dlugi i przyjemny skok w bok (a czy istnieje cos przyjemniejszego niz smigniecie ze sporej wysokosci?), wyszedlem na brzeg i ruszylem do pobliskiego miasteczka, by poszukac pracy. Nawet jesli Melchior potrafil przyrzadzic posilek z trzech ziarenek ryzu, to wydlubalem juz wszystkie zaplatane w sakwach Joszuy i mojej. Moze joga potrafi czlowieka nauczyc, jak zwinac sie w supel i wylizac wlasne jaja, ale nie wydawalo mi sie to szczegolnie pozywne.

Miasteczko nazywalo sie Nicobar i bylo jakies dwa razy wieksze od Seforis w mojej

ojczyznie – ze dwadziescia tysiecy mieszkancow, z ktorych wiekszosc zyla z morza, zajmujac sie rybolowstwem, handlem albo szkutnictwem. Zapytalem w kilku miejscach i zrozumialem, ze tym razem nie brak umiejetnosci utrudnia mi zdobycie zatrudnienia, ale system kastowy. Siegal o wiele glebiej, niz mowil nam Rumi. Podkasty glownych czterech kast decydowaly, ze skoro czlowiek urodzil sie kamieniarzem, jego synowie beda kamieniarzami, a potem ich synowie; przypadek narodzin nie pozwalal nikomu nigdy wykonywac innego zawodu, niewazne, czy mial lub nie mial zdolnosci. Kto sie urodzil zalobnikiem albo magikiem, ten umieral zalobnikiem albo magikiem, a jedyna metoda wyrwania sie smierci albo magii bylo umrzec i odrodzic sie jako ktos inny. Jedynym zajeciem nie-wymagajacym przynaleznosci do kasty bylo stanowisko wiejskiego glupka, ale Hindusi chyba powierzali te funkcje najbardziej ekscentrycznym swiatobliwym mezom, wiec raczej nie mialem szans. Mialem za to swoja miseczke i doswiadczenie w zbieraniu jalmuzny, jeszcze w klasztorze, sprobowalem wiec zebrania. Jednakze gdy tylko zajmowalem sobie dogodny rog ulicy, zjawial sie jakis jednonogi slepiec i odbieral mi publicznosc. Do poznego popoludnia zarobilem jednego miedziaka. Przybyl natomiast przedstawiciel cechu zebrakow i ostrzegl mnie, ze jesli jeszcze raz przylapie mnie na zebraniu w Nicobarze, dopilnuje, by przyjeto mnie do cechu przez natychmiastowe usuniecie rak i nog.

Kupilem na rynku garsc ryzu i wloklem sie droga z miasta, z miseczka przed soba i ze spuszczona glowa, jak wypada dobremu mnichowi. I nagle zobaczylem przed soba najpiekniejszy zestaw paluszkow z paznokciami pomalowanymi cynobrem, dalej zgrabna stopke, elegancka kostke pobrzekujaca miedzianymi bransoletami, zachecajaca lydke udekorowana henna w delikatne jak koronka wzory. Od niej jaskrawa spodnica doprowadzila mnie wzdluz szwu do klejnotu w pepku, pelnych piersi ujetych w zolty jedwab, warg jak sliwy, nosa dlugiego i prostego niczym u rzymskich posagow, oraz szeroko otwartych brazowych oczu z niebieskimi powiekami i podkreslonych kredka tak, ze wydawaly sie wielkie jak u tygrysa. Pochlonely mnie bez reszty. – Jestes cudzoziemcem – powiedziala.

Dotknela dlugim palcem mej piersi, co zatrzymalo mnie w miejscu. Usilowalem schowac miseczke pod koszula i z niezwykla zrecznoscia rozsypalem caly ryz na siebie. – Przybylem z Galilei. W Izraelu. – Nigdy o niej nie slyszalam. To daleko?

Siegnela mi pod koszule i zaczela wylawiac ziarna ryzu, jakie wpadly pod szarfe. Przesuwala mi paznokciem po brzuchu i jedno po drugim wrzucala ziarnka do miseczki. – Bardzo daleko. Przybylem tu z przyjacielem, by uzyskac swieta, starozytna wiedze i w ogole. – Jak ci na imie? – Biff… A raczej Lewi, ktory jest nazywany Biffem. W Izraelu czesto uzywamy tego "ktory nazywany jest". – Pojdz ze mna, Biffie, a pokaze ci swieta i starozytna wiedze. Zaczepila palcem o moja szarfe i przeszla przez drzwi, z jakiegos powodu przekonana, ze za nia podaze.

W srodku, wsrod rozrzuconych po podlodze stosow kolorowych poduszek i puszystych dywanow, jakich nie ogladalem od czasow fortecy Baltazara, stal wyrzezbiony z kamforowego drewna pulpit, a na nim lezal wielki otwarty kodeks. Ksiazka byla oprawna w mosiadz inkrustowany miedzia i srebrem, a stronice miala z najcienszego pergaminu, jaki kiedykolwiek widzialem. Kobieta pchnela mnie w strone ksiegi, a kiedy patrzylem na zapisane karty, wciaz

trzymala mi dlon na karku. Reczne pismo bylo zlocone i tak ozdobne, ze ledwie moglem je odczytac. To jednak nie mialo znaczenia, jako ze moj wzrok przyciagnela ilustracja. Mezczyzna i kobieta, nadzy i doskonali. Kobieta lezala twarza w dol na dywanie, zaczepiwszy stopy o ramiona mezczyzny, a on trzymal jej rece z tylu, gdy w nia wchodzil. Musialem przywolac na pomoc cale buddyjskie szkolenie i dyscypline, by nie narobic sobie wstydu przed gospodynia. – Starozytna swieta wiedza – powiedziala. – Ta ksiega jest darem od klienta. To Kamasutra. Nic Pozadania. – Budda naucza, ze pozadanie jest zrodlem wszelkiego cierpienia – rzeklem, czujac sie, jak mistrz kung-fu, ktorym bylem. – Czy oni wygladaja, jakby cierpieli? – Nie. Zadrzalem. Juz za dlugo bylem pozbawiony towarzystwa kobiet. O wiele za dlugo. – Czy chcialbys tego sprobowac? Tego cierpienia? Ze mna? – Tak. Cale szkolenie, cala dyscyplina, cala samokontrola zaprzepaszczone jednym slowem. – Czy masz dwadziescia rupii? – Nie. – Wiec cierp. – Odsunela sie. – A widzisz? Mowilem.

Wtedy odeszla, roztaczajac wokol siebie aromat drzewa sandalowego i roz. Gdy przechodzila przez pokoj, jej biodra kolysaly sie na pozegnanie, a bransolety na ramionach i kostkach brzeczaly jak malenkie dzwony swiatyni, przyzywajace mnie, by czcic jej swieta grote. W drzwiach kiwnela na mnie palcem, zebym wyszedl za nia, co uczynilem. – Mam na imie Kaszmir – powiedziala. – Przekaze ci te starozytna i swieta wiedze. Strona po stronie. Dwadziescia rupii za kazda.

Zabralem moje glupie, zalosne, bezuzyteczne ziarna ryzu i wrocilem do mych swiatobliwych, zalosnych, glupich meskich przyjaciol na urwisku. – Przynioslem troche ryzu – poinformowalem Joszue, kiedy wspialem sie do mojej groty na urwisku. – Melchior moze zrobic te swoja sztuczke i bedziemy mieli kolacje.

Josh siedzial w swoim zaglebieniu, z nogami splecionymi w pozycji kwiatu lotosu, i palcami zlozonymi w mudrze wspolczujacego Buddy. – Melchior naucza sciezki do Boskiej Iskry – wyjasnil. – Przede wszystkim musisz uspokoic umysl. Dlatego niezbedna jest fizyczna dyscyplina i opanowanie oddechu. Musisz sie tak calkowicie kontrolowac, zeby spojrzec poza iluzje wlasnego ciala. – A czym sie to rozni od wszystkiego, co robilismy w klasztorze? – Roznica jest subtelna, ale istnieje, Biff. Tam umysl sunal na fali dzialania, mogles medytowac podczas skakania po slupkach, strzelania z luku, podczas walki. Nie bylo celu, poniewaz nie bylo miejsca, aby w nim przebywac, zadnego procz chwili obecnej. Tutaj celem jest spojrzenie poza chwile, w dusze. Chyba juz cos dostrzegam. Ucze sie podstaw. Melchior twierdzi, ze dobry jogin potrafi przesunac cale swe cialo przez petle wielkosci jego glowy. – To swietne, Josh. Uzyteczne. Ale pozwol, ze powiem ci o kobiecie, ktora spotkalem w miescie.

Przeskoczylem do dziury Joszuy i zaczalem opowiadac o calym dniu, o kobiecie, o Kamasutrze, oraz mojej opinii, ze taka wlasnie starozytna wiedza duchowa moze byc tym, czego potrzebuje mlody Mesjasz. – Ma na imie Kaszmir, co oznacza miekka i kosztowna. – Ale ona jest prostytutka, Biff. – Nie miales nic przeciwko nim, kiedy pomagalem ci zrozumiec seks. – Nadal nic nie mam… Chodzi mi o to, ze nie masz pieniedzy. – Wydaje mi sie, ze mnie polubila. Mysle, ze przyjmie mnie pro bono, jesli rozumiesz, o co mi chodzi. – Szturchnalem go i mrugnalem. – To znaczy "dla dobra publicznego". Zapomniales juz laciny? Pro bono znaczy, ze

dla publicznego dobra. – Och. Myslalem, ze cos innego. Nie, na to nie mam co liczyc. – Raczej nie – zgodzil sie Josh.

Tak wiec nastepnego dnia, z samego rana, ruszylem do N-cobaru. Postanowilem, ze musze znalezc jakas prace, ale w poludnie znowu siedzialem pod sciana obok jednego ze slepych i beznogich dzieci. Na ulicy tloczyli sie kupcy: targowali sie, dobijali targu, wymieniali gotowke na towary i uslugi, a dzieciak niezle zarabial na drobniakach. Bylem zdumiony, jak wiele mial w swojej miseczce; wystarczyloby pewnie na trzy stronice Kamasutry. Oczywiscie, nigdy bym nie okradl slepego dziecka. – Sluchaj no, mlody, wygladasz na zmeczonego. Moze przypilnuje twojej miseczki, a ty zrobisz sobie przerwe? – Zabierz te lape! – Dzieciak zlapal mnie za przegub (mnie, mistrza kung-fu). Szybki byl. – Wiem, co robisz! – Dobra, niech bedzie. A moze pokaze ci pare sztuczek magicznych? Troche iluzji? – To bedzie zabawne. Jestem slepy. – Moze bys sie zdecydowal? – Jesli sobie nie pojdziesz, zawolam starszego cechu.

Odszedlem wiec, zniechecony i pokonany, bez pieniedzy chocby na jedno spojrzenie na brzeg stronicy w Kamasutrze. Powloklem sie na urwisko, wspialem do mojej groty i postanowilem pocieszyc sie odrobina zimnego ryzu, pozostalego z wczorajszej kolacji. Otworzylem sakwe i… – Aaa! – wrzasnalem. – Josh, co ty tu robisz?

Bo on byl w srodku. Rozanielona twarz, podeszwy stop po obu jej stronach jak wielkie uszy, kilka kregow, jedna reka, moja fiolka yin-yang i garnuszek z mirra. – Wylaz stad. Jak sie tu dostales?

Wspominalem juz o naszych sakwach. Grecy nazywaja je torbami, dzisiaj pasowalaby nazwa "worek marynarski". Byly uszyte ze skory i mialy dlugi pas, ktory zarzucalismy na ramie. Przypuszczam, ze gdyby wczesniej ktos spytal, powiedzialbym, ze owszem, mozna w nich zmiescic czlowieka. Ale nie w jednym kawalku. – Melchior mnie nauczyl. Potrzebowalem calego ranka, zeby sie tutaj zmiescic. Pomyslalem, ze cie zaskocze. – Udalo ci sie. Mozesz wyjsc? – Raczej nie. Chyba zwichnalem sobie biodra. – No dobra. Gdzie moj szklany sztylet? – Na dnie torby. – Skad wiedzialem, ze to powiesz? – Jesli mnie wyciagniesz, pokaze ci, co jeszcze potrafie. Melchior nauczyl mnie pomnazac ryz.

Kilka minut pozniej siedzielismy z Joszua na krawedzi mojego zaglebienia, atakowani przez stada mew. Mewy sciagal wielki stos ryzu miedzy nami. – To najdziwniejsza rzecz, jaka widzialem…

Tyle ze nie dalo sie tego zobaczyc. W jednej chwili czlowiek mial garsc ryzu, w nastepnej garniec. – Melchior mowil, ze zwykle jogin potrzebuje wiecej czasu, by nauczyc sie w ten sposob manipulowac materia. – O ile wiecej? – Trzydziesci, czterdziesci lat. W wiekszosci przypadkow odchodza, zanim sie naucza. – Czyli to cos takiego jak uzdrawianie. Czesc twojego, hm… dziedzictwa? – To nie jest jak uzdrawianie, Biff. Tego mozna sie nauczyc, jesli wystarczy czasu. Rzucilem mewom garsc ryzu. – Wiesz co? Melchior wyraznie mnie nie lubi, wiec raczej niczego nie bedzie uczyl. Moze wymienimy sie wiedza?

Przynosilem Joszui ryz, on go pomnazal, ja sprzedawalem nadwyzke na targu. Po jakims czasie przerzucilem sie z handlu ryzem na ryby, bo w ten sposob moglem szybciej zarobic dwadziescia rupii. Wczesniej jednak poprosilem Joszue, zeby wybral sie ze mna do miasta. Poszlismy na rynek, gdzie tloczyli sie kupcy: targowali sie, dobijali targu, wymieniali gotowke na towary i uslugi, a z boku slepy i beznogi maly zebrak zarabial majatek w drobniakach. – Mlody, chce, zebys poznal mojego przyjaciela Joszue. – Nie nazywam sie Mlody – odparl bachor. Pol godziny pozniej Mlody znowu widzial, a jego nogi odrosly. – Wy dranie! – zawolal i odbiegl na swych nowych, czysciutkich rozowych pietach. – Idz z Bogiem – odpowiedzial mu Joszua. – Teraz sie przekonamy, jak latwo jest zarabiac na zycie! – krzyknalem za dzieciakiem. – Nie wydawal sie zadowolony – zauwazyl Joszua. – Dopiero uczy sie wyrazac wlasna osobowosc. Nie przejmuj sie nim. Sa tu inni, ktorzy takze cierpia.

Zatem Joszua z Nazaretu chodzil pomiedzy nimi, uzdrawial i czynil cuda, i wszystkie male niewidome dzieci z Nicobaru znowu odzyskaly wzrok, a wszyscy kalecy znowu mogli stanac i chodzic. Male dranie.

I tak zaczela sie wymiana wiedzy: to, czego uczylem sie od Kaszmir i z Kamasutry, na to, czego Joszua uczyl sie od swiatobliwego meza Melchiora. Co rano, zanim wyruszylem do miasta, a Josh po nauki u swego guru, spotykalismy sie na plazy, gdzie wymienialismy sie pomyslami i jedlismy sniadanie – zwykle ryz i pieczona nad ogniskiem swieza rybe. Uznalismy, ze juz wystarczajaco dlugo obywalismy sie bez miesa, niezaleznie od tego, co usilowali nam wpoic Kasper z Melchiorem. – Umiejetnosc pomnazania zywnosci… Wyobraz sobie tylko, co mozemy zrobic dla ludu Izraela, dla swiata. – Tak, Josh. Jest bowiem napisane: "Daj czlowiekowi rybe, a bedzie mial co jesc przez dzien, ale naucz czlowieka byc ryba, a jego przyjaciele beda mieli co jesc przez tydzien". – To nie jest napisane! Gdzie to jest napisane? – Ziemnowodnianie piec-siedem. – W Biblii nie ma zadnych glupich Ziemnowodnian! – A plaga zab? Ha! Przylapalem cie! – Ile czasu minelo, odkad ostatni raz oberwales? – Daj spokoj. Nie mozesz nikogo uderzyc, musisz pozostawac w pokoju z calym stworzeniem, zeby odnalezc Cudownego Ducha Skierke. – Boska Iskre. – Wszystko jed… Auc. No swietnie, co niby mam teraz zrobic, oddac Mesjaszowi? – Nadstaw drugi policzek. No dalej, nadstawiaj. Jak juz mowilem, rozpoczelismy wymiane swietych i starozytnych nauk. Mowi Kamasutra:

Kiedy kobieta wplecie palce stop we wlosy pod pachami mezczyzny, a mezczyzna podskakuje na jednej nodze, podtrzymujac kobiete na swym lingam i maselnicy, osiagnieta pozycja nazywa sie "Nosorozec balansujacy na paczku z galaretka". – Co to jest paczek? – zapytal Joszua. – Nie wiem. To pojecie wedyjskie, ktorego definicja zaginela w czasach pradawnych, ale podobno ma wielkie znaczenie dla straznikow prawa. – Aha. Mowi Katha Upaniszad:

Poza zmyslami istnieja obiekty, a poza obiektami istnieje umysl. Poza umyslem jest czysty rozum, a poza rozumem jest Duch w czlowieku. – Niby co to ma znaczyc? – Musisz troche nad tym pomyslec, ale ogolnie oznacza, ze w kazdym jest jakis pierwiastek wiecznosci. – Swietnie. A co to ma wspolnego z tymi facetami na gwozdziach? – Jesli jogin ma doswiadczyc tego co duchowe, musi uwolnic sie od tego co cielesne. – I uwalnia sie przez te male dziurki na plecach?

– Zacznijmy jeszcze raz. Mowi Kamasutra:

Jesli mezczyzna naciera joni kobiety woskiem z ziaren car-nauba i poleruje gladka sciereczka lub papirusowym recznikiem, az blyszczy niczym lustro, nazywa sie to "Przygotowaniem mangusty do wymiany". – Zobacz, ona sprzedaje mi kawalki owczego pergaminu i za kazdym razem, kiedy skonczymy, pozwala skopiowac rysunki. Mam zamiar kiedys spiac je razem i wydac wlasny kodeks. – Tak robiliscie? Wyglada, ze to bolesne doznanie. – I to mowi ktos, kogo wczoraj musialem mlotkiem wydobywac z amfory. – No wiesz, nie doszloby do tego, gdybym pamietal, zeby nasmarowac ramiona oliwa, jak mnie uczyl Melchior. – Joszua odwrocil rysunek, by przyjrzec mu sie pod innym katem. – To na pewno nie boli? – Nie, jesli tylko trzymasz tylek z daleka od kadzielnic. – Pytam o nia. – O nia? Kto to wie? Zapytam. Mowi Bhagawad Gita:

Jestem obojetny wobec wszystkich stworzen, a zadne nie jest mi nienawistne ani drogie, ale ludzie mi oddani sa we mnie, a ja w nich jestem. – Co to jest Bhagawad Gita? – To dlugi poemat, w ktorym bog Kriszna doradza wojownikowi Ardzunie, prowadzac jego rydwan do bitwy. – Naprawde? A co mu doradza? – Radzi, zeby nie zalowal zabitych wrogow, poniewaz zasadniczo sa juz martwi. – A wiesz, co ja bym radzil, gdybym byl bogiem? Zeby znalazl sobie kogos innego jako woznice do tego nieszczesnego rydwanu. Prawdziwy Bog nigdy nie dalby sie namowic do powozenia. – No wiesz, trzeba to rozumiec jako przypowiesc, inaczej tak jakby sugeruje falszywych bogow. – Nasz lud nie ma szczescia do falszywych bogow, Josh. Sa… no wiesz… zle widziani. Kiedy mamy z nimi do czynienia, zawsze ktos nas morduje i bierze w niewole. – Bede ostrozny. Mowi Kamasutra:

Kiedy kobieta opiera sie o stol i wdycha pare eukaliptusowej herbaty, jednoczesnie pluczac gardlo mieszanina cytryny, wody i miodu, a mezczyzna chwyta ja za uszy i wchodzi w nia od tylu, spogladajac przez okno na dziewczyne, ktora po drugiej stronie ulicy rozwiesza pranie, pozycja taka nazywa sie "Roztargniony tygrys rozrywajacy futrzaka". – Nie moglem tego znalezc w ksiazce, wiec podyktowala mi z pamieci. – Kaszmir to prawdziwa uczona. – Miala katar, ale mimo to zgodzila sie na lekcje. Mysle, ze zaczyna sie we mnie durzyc. – Jak moglaby sie oprzec? Jestes czarujacym facetem, Biff. – Och, dziekuje ci, Josh. – Nie ma za co, Biff. – No dobra, powiedz teraz cos o tej swojej jodze. Mowi Bhagawad Gita:

Tak jak wiatr mknacy szeroko jest bezustannie obecny w przestrzeni, tak wszystkie stworzenia istnieja we mnie. Niech bedzie to powiedziane. – Czy to jest rada, jakiej bys udzielil komus jadacemu na bitwe? Wydawalo by sie, ze Kriszna bedzie mowil cos w stylu "Uwazaj, strzala! Schyl sie!". – Wydawaloby sie. – Joszua westchnal. Mowi Kamasutra:

Pozycja "Nieokielznanej malpy zbierajacej kokosy" osiagana jest, gdy kobieta zahacza palcami o nozdrza mezczyzny i wykonuje biodrami kolyszace ruchy, a mezczyzna, mocno gladzac kciukiem jej jezyczek, przesuwa swoj lingam w jej joni w kierunku przeciwnym do tego, w jakim wiruje woda, splywajac do scieku. (Zaobserwowano, ze woda splywajaca do scieku wiruje w roznych kierunkach, zaleznie od miejsca. To tajemnica, ale najprostsza metoda uzyskania pozycji Nieokielznanej Malpy jest po prostu wybor kierunku przeciwnego do tego, w

jakim wiruje woda w twoim wlasnym scieku). – Twoje rysunki sa coraz lepsze – pochwalil Joszua. – Na pierwszym wydawalo sie, ze ona ma ogon. – Wykorzystuje techniki kaligraficzne, jakie poznalismy w klasztorze, tyle ze do kreslenia figur. Josh, na pewno cie to nie irytuje, ze rozmawiamy o rzeczach, ktorych nigdy nie bedzie ci wolno sprobowac? – Nie, to interesujace. Ciebie nie irytuje, kiedy mowie o niebie, prawda? – A powinno? – Patrz, mewa! Mowi Katha Upaniszad:

Dla tego, kto go poznal, jasnieje blask prawdy. Dla tego, kto nie poznal, trwa ciemnosc. Medrcy, ktorzy zobaczyli go w kazdej istocie, Opuszczajac to zycie, zyskuja zycie niesmiertelne. – I tego wlasnie szukasz, tak? Tej Boskiej Iskry? – To nie dla mnie, Biff. – Josh, nie jestem przeciez workiem piasku. Nie po to spedzilem tyle czasu, uczac sie i medytujac, zeby nie dostrzec blasku czegos wiecznego. – Dobrze to wiedziec. – Oczywiscie pomaga, kiedy zjawiaja sie anioly, a ty czynisz cuda i rozne takie. – No tak, zapewne pomaga. – Ale to nie takie zle. Przyda sie nam, kiedy wrocimy do domu. – Nie masz pojecia, o czym mowie, Biff. Prawda? – Nic a nic.

Nasze nauki trwaly dwa lata, nim zobaczylem znak wzywajacy nas do domu. Joszua coraz sprawniej pomnazal jedzenie i choc upieral sie przy surowym stylu zycia – by nic nie wiazalo go ze swiatem materialnym – mnie udalo sie odlozyc troche pieniedzy. Nie tylko placilem za lekcje, ale ozdobilem troche swoja grote (jakies erotyczne ryciny, kotary, pare jedwabnych poduszek) oraz kupilem kilka przedmiotow osobistych: nowa sakwe, puzderko na tusz i zestaw pedzelkow oraz slonice.

Nazwalem ja Vana, co w sanskrycie oznacza wiatr, i chociaz bez watpienia zaslugiwala na to imie, z zalem stwierdzam, ze nie dzieki swej oszalamiajacej szybkosci. Karmienie Vany nie bylo klopotliwe, skoro Joszua potrafil zmienic garsc trawy w pelna stodole, ale choc bardzo sie staral nauczyc ja jogi, jakos nie mogla sie zmiescic w moim zaglebieniu na skale. (Pocieszalem go, ze to wspinaczka zniecheca Vane, nie jego brak zdolnosci jako guru. "Gdyby miala palce, Josh, juz dzisiaj lezalaby tam ze mna i mewami"). Vana nie lubila przebywac na plazy, gdy nastepowal przyplyw i piasek ocieral sie o jej nogi; trzymalem ja wiec na lace nad urwiskiem. Uwielbiala za to plywac, wiec czasem, zamiast jechac wzdluz brzegu do Nicobaru, kazalem jej plynac tuz pod woda, tak ze wystawal tylko koniec traby i ja, stojacy na jej czole. – Patrz, Kaszmir, chodze po wodzie! – wolalem. – Chodze po wodzie!

Mojej erotycznej ksiezniczce tak pilno bylo do mych usciskow, ze zamiast podziwiac spektakl jak inni mieszkancy, potrafila tylko odpowiedziec: – Zaparkuj slonia za domem.

(Pierwsze kilka razy, gdy to mowila, sadzilem, ze ma na mysli jakas pozycje Kamasutry, ktora opuscilismy – byc moze kartki sie skleily. Potem jednak okazalo sie, ze nie o to chodzi). Kaszmir i ja zblizylismy sie do siebie w miare postepow moich studiow. Kiedy przerobilismy wszystkie pozycje Kamasutry dwukrotnie, Kaszmir przeszla na wyzszy poziom, wprowadzajac do naszych stosunkow dyscypline tantryczna. Tak bardzo rozwinelismy swe umiejetnosci w medytacyjnej sztuce milosnej, ze nawet w porywach zadzy Kaszmir mogla polerowac bizuterie, liczyc pieniadze, a nawet przeprac cos delikatnego. Ja z kolei tak doskonale opanowalem

dyscypline i kontrole ejakulacji, ze czesto bylem juz w polowie drogi do domu, nim wreszcie nastepowalo uwolnienie.

Wlasnie wracalem od Kaszmir – Vana i ja szlismy droga przez rynek, by pokazac moim przyjaciolom, bylym zebrakom, co moze zyskac czlowiek zdyscyplinowany i o mocnym charakterze (a konkretnie: ja mialem slonia, oni nie). I wtedy zobaczylem na scianie swiatyni Wisznu brudna wilgotna plame, a w niej wyrysowany kondensacja, plesnia i naniesionym przez wiatr kurzem, kontur twarzy matki mojego najlepszego przyjaciela – Marii. – Owszem, czesto tak robi – przyznal Joszua, kiedy wspialem sie przez krawedz jego zaglebienia i przekazalem wiadomosc. Medytowali z Melchiorem i jak zwykle starzec sprawial wrazenie martwego. – Kiedy bylismy mali, zdarzalo sie to bez przerwy – ciagnal Josh. – Posylala mnie i Jakuba, a my biegalismy po calej wsi i zmywalismy sciany, zanim ktos zauwazyl. Czasami jej twarz pojawiala sie w sladach kropli w kurzu, czasami skorki winogron tak sie ukladaly, kiedy zabierali je z tloczni. Ale najczesciej sciany. – Nigdy mi o tym nie mowiles. – Nie moglem. Tak ja czciles, ze zmienialbys te wizerunki w kaplice. – Czyli to byly nagie obrazki? Melchior odchrzaknal i obaj spojrzelismy na niego. – Joszua, albo twoja matka, albo twoj Bog, przesyla ci wiadomosc. Niewazne, od kogo pochodzi, jej znaczenie jest takie samo. Czas, bys wracal do domu.

Rankiem mielismy wyruszyc na polnoc, a Nicobar lezal na poludniu, wiec zostawilem Josha, zeby zapakowal nasze rzeczy, a ja wyruszylem do miasteczka, zeby zawiadomic o wszystkim Kaszmir. – Ojej! – zawolala. – Az do Galilei. Masz pieniadze na droge? – Troche. – Ale nie przy sobie? – Nie. – Aha. Trudno. Zegnaj.

Moglbym przysiac, ze kiedy zamykala drzwi, dostrzeglem w jej oku lze. Nastepnego ranka zaladowalismy na Vane moje rysunki i materialy malarskie, moje poduszki, kotary i dywany, moj mosiezny imbryk do kawy, moj zaparzacz do herbaty i moja kadzielnice, moja parke hodowlanych mangust, ich bambusowa klatke, moj zestaw bebenkow, moj parasol, moja jedwabna szate, moj kapelusz od slonca, moj kapelusz od deszczu, moja kolekcje erotycznych figurek oraz miseczke Joszuy. Potem zebralismy sie na brzegu, by sie pozegnac, Melchior stanal przed nami w swej przepasce biodrowej, a wiatr rozwiewal wokol twarzy pasma jego siwej brody i wlosow, niby strzepy chmur na niebie. Na jego obliczu nie bylo smutku, ale przeciez cale zycie poswiecil, by oderwac sie od swiata materialnego, ktorego bylismy czescia. Udalo mu sie to juz wiele lat temu.

Joszua zrobil ruch, jakby chcial objac starca, ale tylko stuknal go palcem w ramie. Ten jeden jedyny raz zobaczylem wtedy, jak Melchior sie usmiecha. – Ale nie nauczyles mnie wszystkiego, co powinienem wiedziec – rzekl Josh. – Masz racje. Nie nauczylem cie niczego i niczego nie moglem cie nauczyc. Wszystko, co powinienes wiedziec, juz tam bylo. Potrzebowales tylko wlasciwego slowa. Niektorzy wymagaja, by Kali i Sziwa zniszczyli swiat, bo wtedy moga poprzez iluzje zobaczyc w sobie boskosc. Innym trzeba, by Kriszna doprowadzil ich do miejsca, skad moga dostrzec to co w nich wieczne. Jeszcze inni widza w sobie Boska Iskre, pojmujac poprzez oswiecenie, ze iskra jest we wszystkim, i w ten sposob znajduja pokrewienstwo. Ale to, ze Boska Iskra istnieje w kazdym, nie oznacza, ze kazdy potrafi ja odkryc. Twoja dharma kaze ci nie uczyc sie, ale nauczac. – Jak mam nauczac moj lud o Boskiej

Iskrze? Zanim odpowiesz, pamietaj, ze mowimy rowniez o Biffie. – Musisz tylko znalezc wlasciwe slowo. Boska Iskra jest nieskonczona, ale wiodaca ku niej sciezka nie jest. A poczatkiem tej sciezki jest Slowo. – Czy dlatego ty, Kasper i Baltazar podazyliscie za gwiazda? By we wszystkich ludziach znalezc sciezke do Boskiej Iskry? Z tej samej przyczyny, dla ktorej ja przybylem do ciebie? – Jestesmy poszukiwaczami. Ty jestes tym, czego szukalismy, Joszuo. Ty jestes zrodlem. Koncem jest boskosc, a poczatkiem Slowo. Ty jestes tym Slowem.

CZESC PIATA

BARANEK

Teraz lekki jestem, teraz bujam, teraz widze siebie przed soba, teraz tanczy Bog jakis przeze mnie. Friedrich Nietzche

Jechalismy na Vanie na polnoc, ku Jedwabnemu Szlakowi, mijajac wielka indyjska pustynie, ktora trzysta lat wczesniej niemal wybila wojska Aleksandra Wielkiego, kiedy powracal do Persji po zawojowaniu polowy znanego swiata. Wprawdzie droga przez pustynie zaoszczedzilaby nam miesiac, ale Joszua nie byl pewien, czy potrafi przywolac dosc wody dla Vany. Czlowiek powinien wyciagac wnioski z historii. I chociaz upieralem sie, ze ludzie Aleksandra byli pewnie zmeczeni po tych wszystkich podbojach, podczas gdy my w zasadzie przez dwa lata tylko siedzielismy na plazy, Josh postanowil wybrac latwiejsza trase przez Delhi, a stamtad na polnoc, do dzisiejszego Pakistanu. Dopiero potem mielismy znowu podazyc Jedwabnym Szlakiem.

Przejechalismy nim niewielki kawalek, kiedy wydalo mi sie, ze otrzymalismy kolejna wiadomosc od Marii. Zatrzymalismy sie na krotki odpoczynek, a kiedy ruszalismy dalej, Vana wdepnela przypadkiem w miejsce, gdzie przed chwila zalatwila swoja potrzebe. Rozgniotla stos w idealny wizerunek kobiecej twarzy – ciemna kupa w jasnoszarym pyle. – Patrz, Josh, nastepna wiadomosc od twojej matki! Josh tylko zerknal i odwrocil glowe. – To nie jest moja matka. – Ale zobacz, w sloniowej kupie. To twarz kobiety! – Wiem, ale to nie moja matka. Jest troche zniekształcona ze wzgledu na tworzywo. Nawet niespecjalnie podobna… Przyjrzyj sie oczom.

Musialem przelezc na zad slonia, zeby popatrzec z innego kata. Mial racje, to nie byla jego matka. – Chyba rzeczywiscie. Tworzywo zaklocilo przekaz. – To wlasnie mowie. – Ale zaloze sie, ze wyglada calkiem jak jakas inna matka.

Z tym objazdem wokol pustyni droga do Kabulu zajela nam prawie dwa miesiace. Wprawdzie Vana nie znala zmeczenia, ale jak wspomnialem, wspinala sie mniej sprawnie i czesto musielismy mocno nadkladac drogi, by przeprowadzic ja przez afgan-skie gory. Josh i ja wiedzielismy, ze kiedy opuscimy Kabul, nie mozemy jej zabrac dalej, na kamienista pustynie. Postanowilismy wiec zostawic slonia Radosnej – jesli tylko uda sie odszukac dawna kurtyzane.

Na rynku w Kabulu rozpytywalismy wszedzie o chinska kobiete imieniem Drobne Stopki

Boskiego Tanca Radosnego Orgazmu, ale nikt o niej nie slyszal; nikt tez nie znal kobiety zwanej Radosna. Po calym dniu chcielismy juz zrezygnowac z poszukiwan przyjaciolki, kiedy przypomnialem sobie cos, co kiedys mi powiedziala. Zwrocilem sie wiec do miejscowego sprzedawcy herbaty. – Czy mieszka w tej okolicy kobieta, byc moze bardzo bogata kobieta, ktora nazywa sie Smocza Pania albo jakos podobnie? – O tak, moj panie – odparl sprzedawca i zadrzal, jakby robak przebiegl mu po karku. – Nazywana jest Okrutna i Przekleta Smocza Ksiezniczka. – Ladne imie – pochwalilem Radosna, kiedy przejechalismy przez masywna kamienna brame jej palacu. – Samotnej kobiecie jest latwiej, jesli zdobedzie odpowiednia reputacje – odparla Okrutna i Przekleta Smocza Ksiezniczka.

Wygladala prawie tak samo jak niemal dziewiec lat temu, kiedy odjezdzalismy; moze tylko nosila teraz wiecej bizuterii. Byla drobna, delikatna i piekna. Miala na sobie szate z bialego jedwabiu z wyhaftowanymi smokami, a granatowoczarne wlosy splywaly niemal do kolan, sciagniete jedna srebrna petla, tylko po to, by nie rozsypywaly sie na ramionach, kiedy sie odwracala. – Ladny slon – dodala. – To prezent – wyjasnil Joszua. – Jest sliczna. – Masz moze ze dwa zbedne wielblady, Radosna? – spytalem. – Och, Biff, naprawde mialam nadzieje, ze dzisiaj w nocy bedziecie spac ze mna. – Bylbym zachwycony, ale Josh odmawia tych slodyczy. – Woli mlodych chlopcow? Mam tu kilku. Trzymam ich do… no wiecie. – Tez nie – zapewnil Joszua. – Och, Joszuo, moj biedny maly Mesjaszu. Zaloze sie, ze w tym roku nikt nie przygotowal ci na urodziny chinskich potraw? – Jedlismy ryz. – No coz, przekonamy sie, czy Przekleta Smocza Ksiezniczka potrafi ci to jakos wynagrodzic.

Zeszlismy ze slonicy i uscisnelismy nasza stara przyjaciolke. Potem srogi gwardzista w spizowej kolczudze odprowadzil Vane do stajni, a czterech innych z wloczniami maszerowalo po bokach, gdy Radosna wprowadzila nas do glownego budynku. – Samotna kobieta? – zdziwilem sie, widzac straznikow przy kazdych drzwiach. – W swym sercu, kochanie – wyjasnila Radosna. – Ci ludzie to nie przyjaciele, krewni ani kochankowie. To tylko pracownicy. – O co chodzi z ta Przekleta czescia twojego nowego tytulu? – chcial wiedziec Joszua. – Moge z niej zrezygnowac i byc tylko Okrutna Smocza Ksiezniczka, jesli zechcecie zostac na dluzej. – Nie mozemy. Wezwano nas do domu.

Pokiwala ze smutkiem glowa i wprowadzila nas do biblioteki (pelnej ksiazek Baltazara). Tam podano kawe. Uslugiwali nam mlodzi mezczyzni i kobiety, ktorych Radosna najwyrazniej sciagnela z Chin. Myslalem o wszystkich dziewczetach, moich przyjaciolkach i kochankach, wiele lat temu zamordowanych przez demona; pilem kawe, splukujac wzbierajaca w gardle gorycz.

Joszua byl podniecony – dawno juz nie widzialem go w takim stanie. Moze z powodu kawy. – Nie uwierzysz, Radosna, jakich cudownych rzeczy sie na uczylem, odkad stad wyjechalismy. O byciu czynnikiem zmiany (zmiana tkwi u korzeni wiary, jak wiesz), o wspolczuciu dla kazdego, bo kazdy jest czastka innych, a co najwazniejsze, ze w kaz dym z nas jest odrobina Boga. W Indiach nazywaja to Boska Iskra.

Opowiadal tak przez godzine, az w koncu moja melancholia odplynela. Joszua zarazil mnie

swym entuzjazmem do tego, czego dowiedzial sie od Medrcow. – Tak – przyznalem. – I jeszcze Josh potrafi sie wcisnac do amfory typowych rozmiarow. Trzeba wyciagac go mlotkiem, ale widok jest ciekawy. – A ty, Bifft – Radosna usmiechnela sie ponad filizanka. – Po kolacji pokaze ci pewien drobiazg, ktory nazywam "Bawolem wydobywajacym nasiona granatu". – To brzmi… – Nie martw sie, latwo sie nauczysz. Mam rysunki.

W palacu Radosnej spedzilismy cztery dni, cieszac sie wygodami, jedzeniem i napojami, jakich nie zaznalismy, odkad rozstalismy sie z nia przed laty. Ale piatego rano Joszua stanal z sakwa na ramieniu przy drzwiach jej sypialni. Nie powiedzial ani slowa. Nie musial. Zjedlismy z Radosna sniadanie, a potem odprowadzila nas do bramy, by sie pozegnac. – Dziekuje za slonia – powiedziala. – Dziekujemy za wielblady – odparl Joszua. – Dzieki za ksiazke o seksie – powiedziala. – Dzieki za seks – odrzeklem. – Aha, zapomnialam… Jestes mi winien sto rupii. Opowiadalem jej o Kaszmir… – Zartowalam. – Okrutna i Przekleta Smocza Ksiezniczka usmiechnela sie szeroko. – Uwazaj na siebie, przyjacielu. Zachowaj amulet, ktory ci dalam, i nie zapominaj o mnie. – Oczywiscie.

Pocalowalem ja, potem wskoczylem na wielblada i kazalem mu wstac. Radosna objela Joszue i pocalowala go w usta, mocno i dlugo. Nie probowal jej odpychac. – Hej, Josh, musimy juz jechac! – zawolalem. Radosna odsunela Mesjasza na odleglosc ramion. – Zawsze bedziesz tu witany z radoscia. Wiesz o tym? Josh kiwnal glowa i wspial sie na wielblada. – Zostan z Bogiem, Radosna – rzekl.

Kiedy wyjechalismy za brame palacu, straznicy wystrzelili plonace strzaly. Przemknely po niebie, wlokac warkocze iskier, az eksplodowaly nad droga przed nami – ostatnie pozegnanie Radosnej, hold dla przyjazni i tajemnej wiedzy, jaka nas laczyla. Strzaly smiertelnie przerazily wielblady. Jechalismy juz przez jakis czas, nim Josh sie odezwal. – Pozegnales sie z Vana? – Zamierzalem, ale kiedy poszedlem do stajni, cwiczyla joge i nie chcialem przeszkadzac. – Zartujesz… – Naprawde. Siedziala w jednej z tych pozycji, ktorych ja uczyles.

Joszua usmiechnal sie. Na pewno nie zaszkodzi, jesli bedzie w to wierzyl. Podroz Jedwabnym Szlakiem przez gorskie pustynie zabrala nam prawie miesiac, ale uplynela spokojnie, jesli nie liczyc ataku malej grupy bandytow. Kiedy chwycilem dwie pierwsze wlocznie, ktorymi we mnie cisneli, i odrzucilem je ku nim, raniac obu rzucajacych, bandyci odwrocili sie i uciekli. Pogoda byla dosc umiarkowana – w kazdym razie tak umiarkowana, jak to mozliwe w okrutnej, zabojczej pustyni, ale przez te lata Joszua i ja czesto wedrowalismy po terenach tak trudnych, ze teraz malo co moglo zrobic na nas wrazenie. Jednakze niedaleko przed Antiochia rozpetala sie burza piaskowa. Przez dwa dni krylismy sie miedzy wielbladami, oddychalismy przez koszule i za kazdym razem, gdy chcielismy sie napic, musielismy wyplukiwac z ust bloto. W koncu burza przycichla tak, ze mozna bylo ruszyc dalej. Galopem wpadlismy na ulice Antiochii, i wtedy Joszua znalazl oberze – zderzajac sie czolem z jej szyldem. Spadl z wielblada i usiadl na ziemi; krew splywala mu po twarzy. – Mocno sie uderzyles? – spytalem, klekajac przy nim. Ledwie go widzialem w pedzonych wiatrem tumanach pylu. Joszua spojrzal na krwawe plamy na dloniach, w miejscach, ktorymi dotykal zranionego czola. – Nie wiem. Nie boli az tak bardzo, ale trudno powiedziec. – Do srodka – nakazalem. Pomoglem mu wstac i dojsc do oberzy. –

Zamykajcie drzwi! – wrzasnal oberzysta, kiedy wiatr dmuchnal przez sale. – Co wy, w stajni sie rodziliscie? – Tak – odpowiedzial Joszua. – Naprawde – potwierdzilem. – Ale z aniolami na dachu. – Zamknijcie te przeklete drzwi – powtorzyl oberzysta.

Usadzilem Joszue pod sciana, a sam wyszedlem szukac schronienia dla wielbladow. Gdy wrocilem, moj przyjaciel ocieral twarz plocienna chustka, ktora ktos mu podal. Wokol stalo kilku mezczyzn, wyraznie chetnych do pomocy. Oddalem ktoremus chustke i obejrzalem rany Josha. – Przezyjesz. Solidny guz i dwa rozciecia, ale wyjdziesz z tego. Nie moglbys sprobowac uzdrowienia na… Joszua pokrecil glowa.

–Hej, patrzcie na to! – zawolal jeden z podroznych pomagajacych Joshowi.

Wyciagnal przed siebie kawalek plotna, ktorym Joszua wytarl sobie twarz. Kurz i krew uformowaly na materiale dokladny wizerunek jego twarzy, lacznie z odciskami dloni, poplamionych krwia z rany na glowie. – Moge to zatrzymac? – zapytal ow czlowiek. Mowil po lacinie, ale z dziwnym akcentem. – Pewno. A skad jestescie, chlopaki? – Z plemienia Liguryjczykow, z terytoriow na polnoc od Rzymu. Miasto nad rzeka Pad, nazywa sie Turyn. Slyszales o nim? – Nie, nie slyszalem. Wiecie, chlopcy, z ta scierka mozecie robic co chcecie, ale na wielbladzie mam troche erotycznych rycin ze Wschodu. Pewnego dnia beda sporo warte. Sprzedam je wam za bardzo przyzwoita cene.

Turynczycy odeszli, trzymajac te nedzna, brudna szmate, jakby byla swieta relikwia. Bezmyslne dranie, nie potrafiliby rozpoznac prawdziwej sztuki, chocby ja do nich przybic. Opatrzylem rany Josha i wynajelismy pokoj na te noc.

Rankiem postanowilismy zatrzymac wielblady i dotrzec do domu droga ladowa przez Damaszek. Ale kiedy wyjezdzalismy juz przez brame miasta, rozpoczynajac ostatni etap podrozy, Joszua zaczal sie martwic. – Nie jestem gotowy, by zostac Mesjaszem, Biff. Wezwano mnie do domu, zebym poprowadzil nasz lud, a ja nie wiem nawet, od czego zaczac. Rozumiem, czego chce nauczac, ale nie mam na to slow. Melchior mial racje: przede wszystkim musisz miec slowo. – Wiesz, swiatlosc nie olsni cie nagle akurat tutaj, na drodze do Damaszku. Takie rzeczy sie nie zdarzaja. Zapewne tego, co musisz wiedziec, nauczysz sie w odpowiednim czasie. Wszystko ma swoj czas, yada yada yada… – Moj ojciec moglby mi tak bardzo ulatwic nauke. Wystarczyloby, zeby powiedzial, co mam robic. – Ciekawe, co slychac u Maggie. Moze utyla? Jak myslisz? – Probuje tu mowic o Bogu, o Boskiej Iskrze, o nastaniu Krolestwa dla naszego ludu! – Wiem. I ja tez. Zamierzasz to wszystko zalatwic bez pomocy? – Chyba nie. – No wiec dlatego pomyslalem o Maggie. Byla madrzejsza od nas, zanim odeszlismy. I pewnie nadal jest madrzejsza. – Byla madra, to fakt. Chciala zostac rybakiem. – Josh sie usmiechnal. Widzialem, ze mysl o spotkaniu z Maggie go polechtala. – Nie mozesz jej mowic o tych wszystkich nierzadnicach, Biff. – Nie powiem. – Ani o Radosnej i dziewczetach. I o tej starej kobiecie bez zebow. – Nie powiem jej o zadnej z nich. – Nawet o jaku. – Niczego nie bylo miedzy mna i jakiem. Nawet ze soba nie rozmawialismy. – Wiesz, teraz ma juz pewnie tuzin dzieci. – Wiem – westchnalem. – Powinny byc moje. – I moje – westchnal Joszua.

Popatrzylem na niego. Sunal obok po morzu lagodnie rozkolysanych wielbladzich fal i ze smetna mina wpatrywal sie w horyzont. – Twoje i moje? Uwazasz, ze powinny byc twoje i moje? – Pewno, czemu nie? Wiesz, ze kocham wszystkie male… – Czasami jestes taki tepy… – Myslisz, ze bedzie nas pamietac? Znaczy, jacy wtedy bylismy? Zastanowilem sie i zadrzalem. – Mam nadzieje, ze nie.

Gdy tylko wjechalismy do Galilei, zaczely do nas dochodzic wiesci o tym, co porabia w Judei Jan Chrzciciel. – Setki ruszyly za nim na pustynie – uslyszelismy w Gischali. – Niektorzy mowia, ze to Mesjasz – powiedzial nam jakis czlowiek w Baka. – Herod sie go obawia – mowila kobieta w Kanie. – Jeszcze jeden oblakany swiety – stwierdzil rzymski zolnierz w Seforis. – U Zydow rodza sie jak kroliki. Slyszalem, ze topi kazdego, kto sie z nim nie zgadza. Pierwszy rozsadny pomysl, o jakim slyszalem, odkad przyslali mnie na to przeklete terytorium. – Moge wiedziec, jak masz na imie, zolnierzu? – zapytalem. – Kajusz Juniusz, z Szostego Legionu. – Dziekuje. Bedziemy pamietac. – A zwracajac sie do Josha, dodalem: – Kajusz Juniusz: pierwszy w kolejce, kiedy zaczniemy z naszego Krolestwa spychac Rzymian w ognista otchlan. – Co powiedziales? – zainteresowal sie Rzymianin. – Nie, nie dziekuj, zasluzyles na to. Staniesz na samym czele kolejki, Kajuszu. – Biff – warknal Josh, a kiedy spojrzalem na niego, szepnal: – Postaraj sie, zebysmy nie trafili do wiezienia, zanim wrocimy do domu. Prosze. Kiwnalem glowa i pomachalem legioniscie na pozegnanie. – Takie tam gadanie zwariowanego Zyda. Nie zwracaj uwagi. Stekaj Fidelis – rzucilem. – Kiedy juz zobaczymy sie z rodzinami, musimy poszukac Jana – oswiadczyl Joszua. – Myslisz, ze naprawde podaje sie za Mesjasza? – Nie, ale wyglada na to, ze wie, jak glosic Slowo.

Pol godziny pozniej wjechalismy do Nazaretu. Przypuszczam, ze oczekiwalismy czegos wiecej. Moze wiwatujacych tlumow, malych dzieci biegnacych za nami i blagajacych o opowiesci o naszych wspanialych przygodach, lez i smiechu, calusow i usciskow, silnych ramion, ktore poniosa bohaterow po ulicach. Zapomnielismy jednak, ze kiedy my wedrowalismy, przezywalismy przygody i ogladalismy cuda, ludzie z Nazaretu mieli tylko zwykla, codzienna harowke. Minelo wiele dni i wiele harowki…

Kiedy zblizylismy sie do dawnego domu Joszuy, jego brat Jakub pracowal pod zadaszeniem; zestrugiwal kawalek oliwkowego drewna na zastrzal wielbladziego siodla. Poznalem, ze to Jakub, gdy tylko go zobaczylem. Mial waski, zgarbiony nos Josha i duze oczy, ale twarz bardziej poorana zmarszczkami niz Joszua, a cialo potezniejsze. Wygladal na dziesiec lat starszego niz Josh, zamiast na dwa lata mlodszego, jakim byl w rzeczywistosci. Odlozyl osnik i wyszedl na slonce, oslaniajac oczy od blasku slonca. – Joszua? Joszua stuknal wielblada szpicruta pod kolanem i zwierze opuscilo sie na ziemie. – Jakub! Zeskoczyl i podbiegl do brata, wyciagajac rece, ale Jakub sie cofnal. – Pojde i powiem mamie, ze wrocil jej ukochany syn. Odwrocil sie. Zobaczylem, ze lzy doslownie tryskaja Joshowi z oczu i kapia w pokrywajacy ziemie kurz. – Jakubie – prosil. – Nic nie wiedzialem. Kiedy?

Jakub odwrocil sie znowu i spoj rzal przyrodniemu bratu prosto w oczy. W jego wzroku nie bylo litosci ani zalu, tylko gniew. – Dwa miesiace temu, Joszuo. Jozef umarl dwa miesiace temu. Pytal o ciebie. – Nie wiedzialem… Joszua wciaz wyciagal rece, jakby czekal na uscisk, ktory

nie mial nadejsc. – Wejdz do srodka. Mama czekala na ciebie. Co rano sie zastanawia, czy to juz dzien twojego powrotu. Wejdz. Odsunal sie, gdy Joszua go mijal. A potem spojrzal na mnie. – Ostatnie jego slowa brzmialy: "Powiedzcie bekartowi, ze go kocham". – Bekartowi? – zdziwilem sie. Tracilem wielblada i opuscil mnie na ziemie. – Tak zawsze nazywal Joszue. "Ciekawe, jak sobie radzi bekart. Ciekawe, gdzie dzisiaj jest bekart". Stale mowil o bekarcie.

A mama paplala bez przerwy o rym, jak to Joszua zrobil to, Joszua zrobil tamto, jakich wielkich czynow Joszua dokona, kiedy juz wroci. Ale przez caly czas to ja dbam o braci i siostry, zajmuje sie nimi, odkad zachorowal ojciec, opiekuje sie wlasna rodzina. I ktos mi za to podziekuje? Rzuci mile slowo? Nie, nie robie nic wiecej, niz tylko szykuje droge dla Joszuy. Nie masz pojecia, jak to jest wiecznie byc drugim za Joszua. – Naprawde? – zdziwilem sie. – Bedziesz musial mi kiedys opowiedziec. Gdyby Josh mnie potrzebowal, przekaz mu, ze bede w domu mojego ojca. On ciagle zyje, prawda? – Tak. I twoja matka rowniez. – To dobrze. Nie chcialbym dreczyc ktoregos z braci przekazywaniem mi zlych wiesci. Odwrocilem sie i pociagnalem za soba wielblada. – Idz z Bogiem, Lewi – powiedzial Jakub. Obejrzalem sie. – Jakubie, napisane jest: "Do pracy masz prawo, ale nie do owocow jej". – Nigdy nie slyszalem. Gdzie to jest napisane? – W Bhagawad Gita, Jakubie. To dlugi poemat o bohaterze, ktory rusza do bitwy, a jego Bog mu tlumaczy, ze nie powinien sie przejmowac mordowaniem nieprzyjaciol, bo i tak sa juz martwi, tyle ze jeszcze o tym nie wiedza. Sam nie wiem, czemu mi to przyszlo do glowy.

Ojciec sciskal mnie, az sie wystraszylem, ze polamie mi zebra, a potem przekazal matce, ktora robila to samo. Po chwili jednak wrocila od normalnosci i zaczela okladac mnie po glowie i ramionach sandalem, ktory zerwala z nogi z szybkoscia i zrecznoscia niezwykla u kobiety w jej wieku. – Siedemnascie lat cie nie bylo i nie mogles napisac? – Przeciez nie umiecie czytac. – Wiec nie mogles przyslac jakiejs wiadomosci, ty madralo?

Odbijalem ciosy, kierujac ich energie z dala od siebie, jak nauczylem sie w klasztorze, i po chwili glowny impet tego lania zaczeli brac na siebie dwaj nieznajomi chlopcy. W obawie przed procesem wytoczonym przez obcych maluchow, chwycilem matke za rece i przycisnalem je do jej bokow. Rownoczesnie spojrzalem na ojca, skinalem na tych dwoch i unioslem brwi, jakby pytajac: "Co to za petaki?". – To twoi bracia, Mojzesz i Jafet – wyjasnil, – Mojzesz ma szesc lat, Jafet piec.

Malcy sie usmiechneli. Obu brakowalo przednich zebow, ktore prawdopodobnie zlozyli w ofierze tej szarpiacej sie harpii, ktora przytrzymywalem. Ojciec rozpromienil sie, jakby mowil: "Potrafie jeszcze zbudowac akwedukt – i polozyc rure, jesli rozumiesz, co mam na mysli – kiedy trzeba".

Zmarszczylem czolo, jak gdybym mowil: "Wiesz, ledwie zdolalem zachowac dla ciebie szacunek, kiedy odkrylem, co zrobiles, zeby powolac do zycia nasza pierwsza trojke. Ci chlopcy dowodza, ze nie pamietasz o swych cierpieniach". – Mamo, jesli cie puszcze, uspokoisz sie? – Nad jej ramieniem przyjrzalem sie Mojzeszowi i Jafetowi. – Kiedys tlumaczylem ludziom, ze jest opetana przez demona. Wiedzieliscie o tym?

Mrugnalem do nich. Zachichotali, jakby chcieli powiedziec: "Prosimy, skroc nasze cierpienia i zabij nas, zabij od razu, albo zabij te suke, ktora dreczy nas niczym Hioba". No dobrze, moze tylko sobie wyobrazalem, ze tak mowia. Moze po prostu sie smiali. Puscilem matke, a ona sie wycofala. – Jafecie, Mojzeszu – powiedziala. – Chodzcie, poznacie Biffa. Slyszeliscie, jak wasz ojciec i ja rozmawiamy o naszym najstarszym rozczarowaniu… No wiec to on. Pobiegnijcie teraz i przy prowadzcie reszte braci. A ja przyszykuje cos dobrego. Moi bracia, Sem i Lucjusz, sprowadzili swoje rodziny i usiedli z nami do kolacji. Ulozylismy sie wszyscy wokol stolu, a mama podala cos smacznego. Nie wiem, co to bylo. (Pamietam, mowilem wczesniej, ze jestem najstarszy z trzech braci, a oczywiscie po doliczeniu tych dwoch, bylo nas pieciu. Ale kiedy spotkalem Mojzesza i Jafeta, bylem juz zbyt dorosly, zeby sie nad nimi znecac, a zatem jako bracia nigdy nie wypelnili swych obowiazkow. Byli raczej jak… bo ja wiem… jak domowe zwierzeta). – Mamo, przywiozlem ci prezent ze Wschodu – powiedzialem i pobieglem do wielblada, by przyniesc z bagazu pakunek. – Co to jest? – Hodowlana mangusta. – Stuknalem w klatke, a maly lobuz probowal odgryzc mi opuszek palca. – Byly dwie, ale druga uciekla. Atakuja weze dziesiec razy wieksze od siebie. – Wyglada jak szczur. Znizylem glos do szeptu. – W Indiach kobiety cwicza je, by siadaly im na glowach jako kapelusze. Bardzo modne. Oczywiscie, ta moda nie dotarla jeszcze do Galilei, ale w Antiochii zadna szanujaca sie kobieta nie wyjdzie z domu, jesli nie wlozy mangusty. – Naprawde?

Matka wyraznie zobaczyla manguste w nowym swietle. Wziela klatke i ustawila ja w kacie tak ostroznie, jakby miescila delikatne jajko, a nie zjadliwa miniature jej samej. – Jak widzisz – skinela na dwie synowe i pol tuzina maluchow, ktore krecily sie przy stole – twoi bracia pozenili sie i dali mi wnuki. – Bardzo sie ciesze, mamo.

Sem i Lucjusz skryli usmiechy za kawalkami macy – tak jak to robili, kiedy bylismy mali i matka urzadzala mi pieklo. – W tych wszystkich miejscach, ktore odwiedziles, czy nie znalazles jakiejs milej dziewczyny, z ktora moglbys sie ustatkowac? – Nie, mamo. – Wiesz, moglbys nawet ozenic sie z gojka. Zlamie mi to serce, ale z jakiej przyczyny nasze plemiona niemal starly Beniamitow, jesli nie po to, by zdesperowany chlopiec mogl poslubic gojke, gdyby zechcial? Nie Samarytanke, ale wiesz, jakas inna. Gdybys musial. – Dzieki, mamo. Bede o tym pamietal.

Mama udala, ze zauwazyla jakies nitki czy jeszcze cos na moim kolnierzu. Zbierala je przez chwile. – Wiec twoj przyjaciel Joszua tez sie nie ozenil? Slyszales o jego siostrzyczce Miriam, prawda? – W tym miejscu jej glos opadl do konspiracyjnego szeptu. – Zaczela nosic meskie ubrania i uciekla na wyspe Lesbos. – I dodala normalnym glosem: – To Grecja, wiesz? Wy, chlopcy, nie dotarliscie chyba do Grecji w swojej wedrowce, prawda? – Nie, mamo. A teraz naprawde musze isc. Probowalem wstac, ale mnie przytrzymala. – To dlatego, ze twoj ojciec ma rzymskie imie, tak? Mowilam ci, Alfeuszu, zmien imie, ale odpowiadales, ze jestes z niego bardzo dumny. No wiec mam nadzieje, ze wciaz jestes dumny. Co bedzie dalej? Ten oto Lucjusz zacznie wieszac Zydow na krzyzach, jak inni Rzymianie? – Nie jestem Rzymianinem, mamo – odparl ze znuzeniem Lucjusz. – Wielu dobrych Zydow nosi rzymskie imiona. – Co prawda, to nie ma znaczenia, mamo, ale myslisz, ze jak robia nowych Grekow?

Trzeba matce przyznac, ze przerwala, by sie zastanowic. Wykorzystalem te chwile spokoju do ucieczki. – Milo bylo was widziec. – Skinalem glowa dawnym i nowym krewnym. – Zajrze jeszcze z wizyta, nim wyjade. A teraz musze sprawdzic, co u Joszuy.

I wybieglem. Bez pukania otworzylem drzwi do starego domu Joszuy. Przy okazji o malo nie pozbawilem przytomnosci jego brata Judy. – Josh, musisz jak najszybciej sprowadzic Krolestwo, bo inaczej bede musial zabic swoja matke. – Wciaz drecza ja demony? – spytal Juda.

Wygladal dokladnie tak, jak wtedy, kiedy byl czterolatkiem, tyle ze teraz mial brode i zakola nad czolem, ale te same szeroko otwarte oczy i ten sam glupkowaty usmiech. – Nie. Mialem tylko nadzieje, kiedy to mowilem. – Zjesz z nami kolacje? – zaproponowala Maria.

Dzieki Bogu, ze sie postarzala; zrobila sie troche grubsza w talii i biodrach, w kacikach oczu i ust pojawily sie zmarszczki. Teraz byla zaledwie druga, moze trzecia najpiekniejsza istota na Ziemi. – Z przyjemnoscia – zapewnilem.

Jakub musial wrocic do domu razem z zona, podobnie – jak sie domyslalem – pozostali bracia i siostry, oprocz Miriam, ale poinformowano mnie juz, co sie z nia dzieje. Przy stole zostali tylko Maria, Joszua, Juda ze swoja piekna zona Rut i dwie male rudowlose dziewczynki, bardzo podobne do matki.

Wyrazilem kondolencje z powodu rodzinnej tragedii, a Joszua streścił mi czasowe nastepstwo wydarzen. Mniej wiecej w dniu, kiedy na scianie swiatyni w Nicobarze zauwazylem portret Marii, Jozef zarazil sie jakas choroba z wody. Zaczal siusiac krwia i po tygodniu musial juz lezec w lozu. Tydzien pozniej umarl. Spojrzalem na Joszue, kiedy Maria opowiadala nam ten fragment historii, ale tylko pokrecil glowa, co znaczylo: "Za dlugo w grobie, nic juz nie moge zrobic". Maria nic nie wiedziala o znaku, ktory wezwal nas do powrotu. – Nawet gdybyscie byli tylko w Damaszku, bardzo trudno byloby wam zdazyc na czas. Odszedl tak predko…

Byla silna i troche juz otrzasnela sie po tym wszystkim, ale Joszua wygladal, jakby wciaz byl w szoku. – Musicie odszukac kuzyna Joszuy, Jana – powiedziala Maria. – Glosi bliskie nadejscie Krolestwa Bozego i ze przygotowuje droge dla Mesjasza. – Tak slyszelismy – potwierdzilem. – Zostane tu z toba, mamo – oswiadczyl Joszua. – Jakub ma racje: mam swoje zobowiazania. Zbyt dlugo juz sie od nich uchylalem. Maria dotknela twarzy syna i popatrzyla mu w oczy. – Odjedziesz rano do Judei i odszukasz Jana Chrzciciela. Zrobisz to, co Bog ci przeznaczyl od chwili, kiedy umiescil cie w moim lonie. Masz zobowiazania, ale nie wobec zgorzknialego brata i starej kobiety. Joszua spojrzal na mnie. – Mozesz wyjechac rano? Wiem, ze dopiero co wrociles po wielu latach. – Szczerze mowiac, pomyslalem, ze chyba tu zostane, Josh. Ktos musi sie zaopiekowac twoja matka, a nadal jest bardzo atrakcyjna kobieta, Wiesz, mozna trafic gorzej.

Juda zakrztusil sie pestka oliwki i zaczal wsciekle kaszlec, dopoki Joszua nie uderzyl go w

kark. Pestka przeleciala przez pokoj, a Juda, dyszac ciezko, spogladal na mnie zalzawionymi, zaczerwienionymi oczami. Objalem za ramiona jego i Joszue. – Mysle, ze zdolam pokochac was obu jak synow. – Zwrocilem sie do pieknej ale wstydliwej Rut, ktora zajmowala sie dziewczynkami: – A ty, Rut, mam nadzieje, pokochasz mnie jak troche starszego, ale niesamowicie przystojnego wuja. Co do ciebie, Mario… – Pojedziesz z Joszua do Judei? – przerwala mi Maria. – Jasne, zaraz rano. Joszua i Juda nadal wpatrywali sie we mnie, jakby ktos dal im obu w twarz wielka ryba. – No co? – spytalem. – Jak dlugo mnie znacie, chlopaki? Mam poczucie humoru. – Nasz ojciec umarl – przypomnial Joszua. – Tak, ale nie dzisiaj – odparlem. – Spotkamy sie tutaj jutro rano.

Nastepnego ranka, kiedy przejezdzalismy przez rynek, minelismy wioskowego glupka, Bartlomieja. Po tylu latach nie wygladal gorzej i nie byl mniej brudny. Zdawalo sie, ze doszedl do jakiegos porozumienia ze swoimi psimi przyjaciolmi. Zamiast jak zawsze go obskakiwac, siedzialy spokojnie przed nim calym stadem, jakby sluchaly kazania. – Gdzie byliscie?! – zawolal do nas. – Na Wschodzie. – Po co tam pojechaliscie? – Szukalismy Boskiej Iskry – wyjasnil Joszua. – Ale nie wiedzielismy o tym, wyruszajac. – A dokad teraz jedziecie? – Do Judei, odszukac Jana Chrzciciela. – To powinno byl latwiejsze niz szukanie Iskry. Moge isc z wami? – Pewnie, Bart – powiedzialem. – Zabierz swoje rzeczy. – Nie mam zadnych rzeczy. – W takim razie zabierz swoj smrod. – Podazy za nami sam z siebie – zapewnil Bartlomiej. I tak bylo nas trzech.

Skonczylem wreszcie czytac te opowiesci Mateusza, Marka, Lukasza i Jana. Ci goscie przedstawiaja wszystko tak, jakby to byl przypadek, jakby piec tysiecy ludzi tak po prostu zjawilo sie pewnego ranka na gorze. Gdyby tak bylo… Zebranie tam ich wszystkich to byl prawdziwy cud, a co dopiero wykarmienie. Urabialismy sie po lokcie, zeby zorganizowac takie kazania, czasami musielismy nawet wsadzac Joszue do lodki i wyplywac, kiedy glosil swoje, zeby ludzie go nie stratowali. Ten chlopak byl koszmarem ochroniarzy.

To zreszta nie wszystko. Joszua mial dwie strony – te gloszaca kazania i te prywatna. Czlowiek, ktory stal przed tlumem i oskarzal faryzeuszy, nie byl tym samym, ktory siedzial i klul palcem niedotykalnych, bo go to smieszylo. Planowal swoje kazania i obmyslal przypowiesci, choc moze jako jedyny w naszej grupie je rozumial.

Chce powiedziec, ze ci goscie, Mateusz, Marek, Lukasz i Jan, czesc opowiedzieli poprawnie, te najwazniejsze sprawy, ale sporo omineli (trzydziesci lat, na przyklad). Probuje to uzupelnic i sadze, ze wlasnie z tego powodu aniol wskrzesil mnie z martwych.

A skoro juz mowa o aniele – jestem przekonany, ze stal sie psycholem. (Nie, za moich czasow nie mielismy takiego okreslenia, ale wystarczy pogapic sie w telewizor, a zyskuje sie calkiem nowe slownictwo. I ono ma zastosowanie. Uwazam na przyklad, ze "psychol" idealne pasuje do Jana Chrzciciela. Wiecej o nim opowiem pozniej). Dzisiaj aniol zabral mnie do miejsca, gdzie sie pierze ubrania. Nazywa sie pralnia samoobslugowa. Siedzielismy tam caly dzien. Chcial sie upewnic, ze wiem jak prac. Moze i nie jestem najostrzejsza strzala w kolczanie, ale na rany Chrystusa, to przeciez tylko pralnia… Przez godzine przepytywal mnie z

rozdzielania bieli i kolorow. Nigdy nie skoncze tej historii, jesli aniol stale bedzie mi chcial udzielac lekcji zycia. Na jutro zaplanowal minigolfa. Moge tylko zgadywac, ze Raziel usiluje mnie przygotowac do roli miedzynarodowego szpiega.

Bartlomiej ze swoim smrodem jechal na jednym wielbladzie, a Josh razem ze mna na drugim. Podazalismy szlakiem na poludnie od Jeruzalem, potem na wschod przez Gore Oliwna do Betanii, gdzie zobaczylismy zoltowlosego czlowieka siedzacego pod figowym drzewem. Nigdy jeszcze nie widzialem w Izraelu nikogo z zoltymi wlosami – poza aniolem, oczywiscie. Pokazalem go Joszui i przygladalismy sie dostatecznie dlugo, by miec pewnosc, ze nie jest to ktorys z niebianskiego hufca w przebraniu. Prawde mowiac, udawalismy, ze mu sie przygladamy. Patrzelismy na siebie nawzajem. – Cos sie stalo? – zapytal Bartlomiej. – Jestescie dziwnie powazni. – Ten chlopak z wlosami blond – wyjasnilem, usilujac zagladac na podworza mijanych domow. – Maggie mieszka tutaj ze swoim mezem – dodal Joszua, spogladajac na mnie. Wcale nie zmniejszyl tym napiecia. – Wiedzialem – zapewnil Bart. – On nalezy do Sanhedrynu. Wazny gosc, jak slyszalem.

Sanhedryn byl rada kaplanow i faryzeuszy i podejmowal wiekszosc decyzji dotyczacych zydowskiej spolecznosci, przynajmniej w takim zakresie, jaki dopuszczali Rzymianie. Po Herodach i Poncjuszu Pilacie, rzymskim gubernatorze, byli najpotezniejszymi ludzmi w Izraelu. – Naprawde mialem nadzieje, ze Akan umrze mlodo. – Nie maja dzieci – rzekl Joszua.

Tak naprawde chcial przez to powiedziec, ze to dziwne, ze Akan nie rozwiodl sie z Maggie z powodu jej bezplodnosci. – Brat mi mowil – odparlem. – Nie mozemy jej odwiedzic. – Wiem – zgodzilem sie, choc nie bardzo rozumialem dlaczego nie.

W koncu znalezlismy Jana na pustyni na polnoc od Jerycha; wyglaszal kazanie na brzegu rzeki Jordan. Wlosy mial rozwichrzone jak zawsze, a teraz dodatkowo brode, tak samo poza kontrola. Nosil szorstka tunike, przepasana rzemieniem z nie-wyprawionej skory wielblada. Stalo przed nim moze z pieciuset ludzi – w takim zarze, ze trzeba bylo sprawdzac drogowskazy, by sie upewnic, czy czlowiek przez pomylke nie skrecil do piekla.

Z daleka nie slyszelismy, o czym mowi Jan, ale kiedy podjechalismy blizej, zaczelismy rozrozniac slowa. – Nie, nie jestem nim. Ja tylko wszystko przygotowuje. On nadejdzie po mnie i nie do mnie nalezy noszenie jego suspensorium. – Co to jest suspensorium? – zdziwil sie Joszua. – To taki essenski wynalazek – odparl Bartlomiej. – Zakladaja je na swoja meskosc, by kontrolowac grzeszne zadze. Jan zauwazyl nas ponad tlumem (siedzielismy na wielbladach). – Tam! – zawolal, wyciagajac reke. – Pamietacie, jak mowi lem, ze nadejdzie wybrany? No wiec jest, o tam! Nie zartuje, to ten na wielbladzie, po lewej. Oto Baranek Bozy!

Ludzie obejrzeli sie na mnie i Josha, po czym zasmiali uprzejmie, jakby mowiac: "No jasne, akurat przypadkiem tedy jechal, kiedy o nim mowiles. Marne zagranie, od razu widac". Joszua zerknal nerwowo na mnie, potem na Barta, znow na mnie, i usmiechnal sie zbaranialy (jak mozna sie spodziewac po baranku) do tlumu. – Teraz powinienem oddac Janowi suspensorium, czy jak? – rzucil przez zacisniete zeby. – Pomachaj tylko i powiedz: "Idzcie z Bogiem" –

poradzil Bart. – Macham… Macham do was… – mamrotal Josh, caly czas usmiechniety. – Idzcie z Bogiem. Bardzo dziekuje. Idzcie z Bogiem. Milo bylo was poznac. Macham… Macham… – Glosniej, Josh. Tylko my dwaj cie slyszymy. Josh zwrocil sie ku nam tak, by nikt w tlumie nie widzial jego twarzy. – Nie wiedzialem, ze bede potrzebowal suspensorium! Nikt mnie nie uprzedzil! O rany… I tak zaczela sie posluga Joszuy bar Jozefa ish Nazaret, Baranka Bozego. – A kto to jest ten duzy? – zapytal Jan, kiedy wieczorem usiedlismy przy ognisku.

Noc czolgala sie przez pustynne niebo jak czarny kot z fosforyzujacym lupiezem. Bartlomiej tarzal sie ze swoimi psami na brzegu. – To Bartlomiej – wyjasnil Joszua. – Jest cynikiem. – I od trzydziestu lat wioskowym glupkiem w Nazarecie – dodalem. – Zrezygnowal ze stanowiska, by pojsc za Joszua. – Jest zdzira i jako pierwszy bedzie ochrzczony jutro rano. Smierdzi. Jeszcze szaranczy, Biff? – Nie, dzieki. Jestem juz pelny.

Patrzylem na swoja mise smazonej szaranczy i miodu. Nalezalo zanurzac szarancze w miodzie, otrzymujac slodki i pozywny smakolyk. Jan tylko tym sie zywil. – Wiec ta Boska Iskra… Przez tyle lat ja wlasnie odkryles? – Jest kluczem do Krolestwa, Janie. Tego sie nauczylem na Wschodzie i to powinienem przekazac naszemu ludowi: ze Bog jest w kazdym z nas. Wszyscy jestesmy bracmi w tej Boskiej Iskrze. Nie wiem tylko, jak glosic Slowo. – Po pierwsze, nie mozesz tego nazywac Boska Iskra. Ludzie nie zrozumieja. To cos jest w kazdym, jest trwale, jest czescia Boga? – Nie Boga Stworcy, mojego ojca, ale czescia Boga, ktory jest duchem. – Duch Swiety. – Jan wzruszyl ramionami. – Nazwij ja Duchem Swietym. Ludzie zrozumieja, ze jest w nich duch, zrozumieja, ze idzie za nimi, a ty musisz tylko sprawic, by uwierzyli, ze to Bog. – Doskonale. – Joszua sie usmiechnal. – Czyli, ten Duch Swiety… – Jan odgryzl polowke szaranczy. – Jest w kazdym Zydzie, ale goje go nie maja, tak? Ale wiesz, jaki to ma sens, kiedy juz nastanie Krolestwo? – Wlasnie mialem do tego przejsc – rzekl Josh.

Prawie cala noc trwalo, nim Jan pogodzil sie z faktem, ze Joszua zamierza wpuscic gojow do Krolestwa Bozego. W koncu uznal jego racje, ale caly czas szukal wyjatkow. – Nawet zdziry? – Nawet zdziry – zapewnil Joszua. – Zwlaszcza zdziry – wtracilem. – To przeciez ty oczyszczasz ludzi z grzechow, a zatem beda im wybaczone – dodal Joszua. – No wiem… Ale gojowskie zdziry w Krolestwie… Pokrecil glowa, przekonany teraz przez samego Mesjasza, ze swiat zmierza do piekla, i to w szybkim tempie. Co wlasciwie nie powinno go dziwic, gdyz to wlasnie glosil od dziesieciu lat. No i jeszcze wykrywal zdziry. – Pokaze wam, gdzie mozecie sie polozyc.

Wkrotce po naszym pierwszym spotkaniu na drodze do Jeruzalem Jan przystal do essenczykow. Nie mozna sie urodzic essenczykiem, poniewaz wszyscy zachowywali celibat, nawet w malzenstwie. Powstrzymywali sie tez przed napojami alkoholowymi, scisle przestrzegali zydowskich nakazow dotyczacych pozywienia, i byli absolutnymi maniakami w kwestii oczyszczania sie – fizycznego – z grzechu. Co okazalo sie wielka atrakcja dla Jana. Ich kwitnaca spolecznosc zamieszkiwala miasteczko Qumran na pustyni niedaleko Jerycha; skladalo sie ono z kamiennych i ceglanych domow, skryptorium do kopiowania zwojow oraz akweduktow, doprowadzajacych z gor wode do ich rytualnych lazni. Niektorzy zyli w jaskiniach nad Morzem Martwym, gdzie przechowywali naczynia ze zwojami, ale najbardziej gorliwi – w

tym Jan – nie pozwalali sobie nawet na luksus jaskini. Wskazal nam miejsce na nocleg w poblizu wlasnego. – To jest nora! – wrzasnalem.

Trzy nory, scislej mowiac. Mysle, ze posiadanie osobistej nory jest pewna zaleta – Bartlomiej z psimi kumplami rozkladal sie juz w swojej. – Aha, Janie – odezwal sie jeszcze Josh. – Przypomnij mi, ze bym ci opowiedzial o karmie.

I tak przez ponad rok Joszua uczyl sie od Jana, jak glosic slowa, ktore sprawia, ze ludzie za nim pojda. A ja mieszkalem w norze. Jesli sie zastanowic, to mialo sens. Przez siedemnascie lat Joszua glownie siedzial i milczal, wiec nie mial pojecia o sztuce komunikacji. Ostatnia wiadomosc, jaka otrzymal od ojca, skladala sie z dwoch slow, wiec raczej nie odziedziczyl talentu po tamtej galezi rodziny. Za to Jan glosil kazania przez te same siedemnascie lat, a trzeba przyznac, ze oslizly dran potrafil to robic. Stal zanurzony po pas w Jordanie, machal rekami, przewracal oczami i wstrzasal powietrze takim kazaniem, az czlowiek zaczynal wierzyc, ze chmury sie zaraz rozstapia i sam Bog siegnie reka, zlapie go za jaja i tak potrzasnie, ze cale zlo wypadnie z niego jak rozchwiane mleczne zeby. Godzina kazania, a czlowiek nie tylko ustawial sie w kolejce do chrztu, ale gotow byl sam wskoczyc do rzeki i oddychac mulem, byle uwolnic sie od swej niegodziwosci.

Joszua patrzyl na to, sluchal i sie uczyl. Jan gleboko wierzyl w to, kim jest Josh i co uczyni, ale mimo to zaczynal mnie niepokoic. Sciagal na siebie uwage Heroda Antypasa. Herod poslubil Herodie, zone swego brata Filipa, choc nie uzyskala wczesniej rozwodu. Bylo to zakazane przez zydowskie prawo i stanowilo potworna zbrodnie wedlug o wiele surowszych zasad essenczykow. Byl to rowniez temat, ktory dobrze pasowal do powracajacego u Jana motywu "zdzir". Zolnierze z osobistej gwardii Heroda pojawiali sie na kazaniach Jana i krazyli po obrzezach tlumu.

Starlem sie z Chrzcicielem pewnego dnia, kiedy wrocil z pustkowia ogarniety ewangelicznym szalem i przylapal mnie, Joszue, Bartlomieja i tego nowego, jak spokojnie pozywialismy sie szarancza. – Zdzira! – wrzasnal swym glosem typu "grom Eliasza" i pomachal palcem przed nosem Bartlomieja. – Rzeczywiscie, Janie, Bartlomiej czesto kladzie sie do loza w towarzystwie – stwierdzilem, probujac nawracac na sarkazm. – Prawie – wtracil Bart. – Chodzilo mi o towarzystwo innej ludzkiej istoty, Bart. – Aha. To przepraszam. Mniejsza z tym. Jan zwrocil sie do nowego, ktory uniosl rece. – Jestem nowy – powiedzial. Zawiedziony Jan stanal przed Joszua. – Zyje w celibacie – poinformowal go Josh. – Zawsze zylem, zawsze bede. Chociaz nie ciesze sie z tego. W koncu Jan zwrocil sie do mnie: – Zdzira! – Janie, jestem oczyszczony. Ochrzciles mnie wczoraj szesc razy. – Joszua szturchnal mnie pod zebro. – No co? Bylo goraco. Ale chodzi o to, ze naliczylem dzis w tlumie pietnastu zolnierzy, wiec moze daj sobie spokoj z tym gadaniem o zdzirach? Przyhamuj. Musisz sobie przemyslec ten caly ascetyzm, to "zadnego malzenstwa, zadnego seksu, zadnej zabawy". – I te szarancze w miodzie razem z mieszkaniem w norze – dodal nowy. – Przeciez nie rozni sie od Kaspra czy Melchiora – zauwazyl Joszua. – Obaj byli ascetami. – Melchior i Kasper nie biegali po okolicy i nie nazywali zdzira gubernatora prowincji, w dodatku przed setkami ludzi. To spora roznica i moze go kosztowac zycie. – Jestem oczyszczony z grzechow i nie czuje leku – oznajmil Jan.

Usiadl przy ogniu, juz spokojniejszy. – Aha, oczysciles sie z win? Bo kiedy Rzymianie przyjda po ciebie, bedziesz mial na rekach krew tysiecy. Gdybys przypadkiem nie zauwazyl, oni nie zabijaja tylko przywodcow ruchu. Przy drodze do Jeruzalem stoja tysiace krzyzy, na ktorych umierali zeloci, a nie wszyscy byli przywodcami. – Nie lekam sie – powtorzyl Jan i zwiesil glowe, az konce jego wlosow zanurzyly sie w miodzie. – Herodia i Herod to zdziry. Byl juz prawie zydowskim krolem i nie dostaniemy nic lepszego, a okazal sie zdzira. Joszua odgarnal wlosy z oczu kuzyna i scisnal wariata za ramie. – Jesli tak ma byc, niech bedzie. Jak przepowiedzial aniol, na rodziles sie, by glosic prawde. Wstalem i cisnalem swoje szarancze do ognia, zasypujac iskrami Jana i Joszue. – Znam tylko dwoch ludzi, ktorych narodziny zwiastowal aniol, a trzy czwarte z nich jest oblakanych. I odszedlem gniewnie do swojej nory. – Amen – powiedzial nowy.

Tej nocy, kiedy juz zasypialem, uslyszalem, jak Joszua wierci sie w swojej norze obok mojej, jak gdyby jakis robak albo mysl poderwaly go z poslania. – Hej! – rzucil szeptem. – Co? – Wlasnie to przeliczylem. Trzy czwarte z dwoch to… -…poltora – dokonczyl nowy, ktory zajal nore po drugiej stronie Josha. – Czyli albo Jan jest calkiem oblakany, a ty w polowie, albo ty jestes w trzech czwartych i Jan w trzech czwartych, albo… W kazdym razie suma jest stala. Bede musial ci narysowac wykres. – I co chcesz przez to powiedziec? – Nic – zapewnil nowy. – Jestem nowy.

Rankiem Joszua wyskoczyl ze swojej nory, strzasnal z siebie skorpiony i dlugo siusial. Potem kopnal do mojej nory kilka bryl ziemi, zeby wyrwac mnie z drzemki. – Juz mam – oznajmil. – Chodz nad rzeke, chce, zeby Jan mnie dzisiaj ochrzcil. – A czym bedzie sie to roznic od wczorajszego chrztu? – Zobaczysz. Mam przeczucie. I odszedl.

Nowy wyjrzal ze swojej nory jak piesek preriowy. Byl wysoki, a gdy sie rozgladal, poranne slonce odbijalo sie w jego lysinie. Zauwazyl kwiaty rosnace w miejscu, gdzie Joszua wlasnie sobie ulzyl – wielkie platki w wielu jaskrawych barwach, a dookola najbardziej martwy pejzaz na planecie. – Zaraz… Byly tu wczoraj? – Ciagle sie to zdarza – odpowiedzialem. – Nie rozmawiamy na ten temat. – Oj – mruknal nowy. – A moge isc z wami, chlopaki? – Pewno. I tak bylo nas czterech.

Nad rzeka Jan glosil swoje do niewielkiego zgromadzenia, a rownoczesnie zanurzal Joszue w wodzie. I kiedy tylko glowa Josha zniknela pod powierzchnia, na niebie otworzyla sie szczelina. Ze szczeliny wyfrunal ptak, ktory wygladal jak utworzony z czystego swiatla. Wszyscy na brzegu wykrzykneli "Ooch" albo "Aach", a z niebios zabrzmial potezny glos: – Ten jest moj Syn umilowany, w ktorym mam upodobanie.

I tak szybko, jak sie pojawil, duch zniknal. Ale zebrani nad brzegiem stali zdumieni z rozdziawionymi ustami, ciagle gapiac sie w niebo. Po chwili Jan opanowal sie, przypomnial sobie, co robi, i wyciagnal Joszue z wody. A Joszua otarl oczy, spojrzal na zdumiony tlum rozdziawiajacych usta ludzi i rzekl do nich: – No co? – Nie, powaznie, Josh. Tak wlasnie powiedzial glos: "Ten jest moj Syn umilowany, w ktorym mam upodobanie". Joszua potrzasnal glowa, przezuwajac sniadaniowa szarancze. – Nie moge uwierzyc, ze nie zaczekal, az sie

wynurze. Jestescie pewni, ze to byl moj ojciec? – Tak to brzmialo.

Nowy spojrzal na mnie, a ja wzruszylem ramionami. Prawde mowiac, glos brzmial jak Jamesa Earla Jonesa, ale wtedy jeszcze tego nie wiedzialem. – Mam dosyc – rzekl Joszua. – Ide na pustynie jak Mojzesz, na czterdziesci dni i czterdziesci nocy. – Wstal i ruszyl ku otwartej pustyni. – Od tej chwili poszcze, dopoki nie uslysze czegos od ojca. To byla moja ostatnia szarancza. – Tez chcialbym moc to powiedziec – westchnal nowy.

Gdy tylko Joszua zniknal z pola widzenia, pobieglem do swojej nory i zapakowalem sakwe. W pol dnia dotarlem do Betanii i dobra godzine rozpytywalem przechodniow, nim ktos skierowal mnie do domu Akana, waznego faryzeusza i czlonka Sanhedrynu. Dom byl zbudowany z charakterystycznego dla calego Jeruzalem wapienia o zlotawym zabarwieniu, a wokol dziedzinca wznosil sie wysoki mur. Akan niezle sie urzadzil, tuman jeden. Z dziesiec rodzin z Nazaretu mogloby wygodnie mieszkac w tak duzym domu. Zaplacilem dwom slepcom po szekli na kazdego, zeby pozwolili mi stanac na swoich ramionach. – Powiedzial, ze ile to jest? – Powiedzial, ze szekla. – W dotyku niepodobna do szekli. – Moze przestaniecie macac te swoje szekle i staniecie nieruchomo, bo zaraz spadne!

Wyjrzalem nad wierzcholkiem muru… i tam, w cieniu daszku, pracujac przy malym krosnie, siedziala Maggie. Jesli sie zmienila, to tylko w takim sensie, ze stala sie bardziej promienna, bardziej zmyslowa, bardziej kobieca, a mniej dziewczeca. Bylem oszolomiony. Chyba spodziewalem sie zawodu, sadzilem, ze czas rozstania i uczucie ukształtowaly we wspomnieniach obraz, ktoremu zywa kobieta nie zdola sprostac. A potem pomyslalem, ze zawod moze jeszcze nadejsc. Byla zona bardzo bogatego czlowieka; czlowieka, ktory – kiedy jeszcze go znalem – byl tchorzem i durniem. A tym, co zawsze wspominalem, byl przede wszystkim duch Maggie, jej odwaga, jej inteligencja. Nie wiedzialem, czy przetrwaly przez te lata u boku Akana. Zaczalem drzec – ze strachu albo zlego wyczucia rownowagi, sam nie wiem; oparlem dlon o wierzcholek muru i skaleczylem sie o jakies potluczone naczynia, umocowane zaprawa na szczycie. – Auc, niech to! – Biff? – zdziwila sie Maggie i spojrzala mi prosto w oczy, na moment przed moim upadkiem z ramion dwoch slepcow.

Wlasnie podnioslem sie na nogi, kiedy Maggie wybiegla zza rogu i wpadla na mnie – oszalamiajaca, rozpedzona kobiecosc z rozchylonymi ustami. Pocalowala mnie tak mocno, ze poczulem na jezyku krew z rozcietych warg, i to bylo wspaniale. Pachniala tak samo – cynamon, cytryna, dziewczecy pot – i byla jeszcze cudowniejsza niz we wspomnieniach. Kiedy wypuscila mnie w koncu z objec i odsunela na dlugosc reki, miala lzy w oczach. Ja tez. – Zabil sie? – zapytal jeden ze slepcow. – Chyba nie. Slysze, jak oddycha. – Ale pachnie lepiej niz przedtem. – Biff, twarz ci sie oczyscila – powiedziala Maggie. – Poznalas mnie z ta broda i wszystkim? – Z poczatku nie bylam pewna – odparla. – Ryzykowalam, skaczac tak na ciebie, ale potem poznalam to.

Wskazala miejsce, gdzie moja tunika wybrzuszala sie z przodu. Po czym zlapala tego zdradzieckiego drania przez plotno i pociagnela obok muru, do bramy. – Chodz. Nie mozesz zostac dlugo, ale nadrobimy to. Dobrze sie czujesz? – Tak, tak, probuje tylko wymyslic jakas

metafore. – Sciagnal sobie stamtad kobiete – uslyszalem glos ktoregos ze slepcow. – Tak, slyszalem, jak spadla. Podsadz mnie, sprobuje tam pomacac. Na dziedzincu, przy winie, z Maggie… – Naprawde mnie nie poznalas? – zapytalem. – Oczywiscie, ze poznalam. Nigdy wczesniej tego nie robilam. Mam nadzieje, ze nikt mnie nie widzial. Wciaz kamienuja kobiety za takie rzeczy. – Wiem. Och, Maggie, mam ci tyle do opowiedzenia… Wziela mnie za reke. – Wiem. Popatrzyla mi w oczy, glebiej, jej blekitne spojrzenie szukalo czegos poza mna… – Nic mu nie jest – powiedzialem w koncu. – Odszedl na pustynie, zeby poscic i czekac na wiadomosc od Pana. Usmiechnela sie. W kacikach ust miala slady mojej krwi. A moze to bylo tylko wino… – Czyli wrocil, by zajac swoje miejsce jako Mesjasz? – Tak. Ale chyba nie w taki sposob, jak ludziom sie wydaje. – Ludziom sie wydaje, ze to Jan moze byc Mesjaszem. – Jan jest… On… – On naprawde wkurza Heroda – podpowiedziala. – Wiem. – A ty i Josh zamierzacie z nim zostac? – Mam nadzieje, ze nie. Chce, zeby Joszua stad odszedl. Musze jakos odciagnac go od Jana na dluzej, zobaczyc, co sie dzieje. Moze ten post…

Zelazny zamek w bramie zaklekotal, a potem zatrzesly sie oba skrzydla. Maggie zamknela ja za nami, kiedy weszlismy. Meski glos zaklal – najwyrazniej Akan mial klopoty z kluczem. Maggie poderwala sie i postawila mnie na nogi. – Sluchaj, w przyszlym miesiacu, tydzien po Namiotach, jade z moja siostra Marta na wesele w Kanie. Akan nie moze, ma jakies spotkanie Sanhedrynu czy cos. Przyjedz do Kany. Przyprowadz Joszue. – Sprobuje. Podbiegla do muru i splotla dlonie w strzemie. – Wyskakuj. – Ale, Maggie… – Nie badz glupi. Na rece, potem na ramiona i przez mur. Tylko uwazaj na te odlamki na szczycie.

Wiec ucieklem. Dokladnie tak, jak mowila: jedna stopa na jej splecionych dloniach, druga na ramieniu, i gora, zanim Akan zdazyl otworzyc brame. – Mam jedna! – zawolal jeden ze slepcow, kiedy zwalilem sie na nich. – Trzymaj ja, a ja zrobie swoje.

Siedzialem na kamieniu i czekalem na Joszue, kiedy powrocil z pustyni. Wyciagnalem rece, by go objac, a on upadl do przodu i pozwolil mi sie zlapac. Usadowilem go na kamieniu, na ktorym sam niedawno siedzialem. Mial dosc rozsadku, zeby wszystkie odsloniete kawalki skory zasmarowac blotem, prawdopodobnie wymieszanym z wlasnym moczem, dla ochrony przed oparzeniami. Jednak w kilku miejscach na czole i rekach bloto sie wykruszylo; nie mial tam skory – slonce wypalilo ja do surowego miesa. Rece, chude jak u malej dziewczynki, ginely w szerokich rekawach tuniki. – Jak sie czujesz?

Kiwnal glowa. Podalem mu buklak, ktory trzymalem w cieniu, by woda sie nie zagrzala. Pil ja malymi lykami. – Szarancze? – zaproponowalem, podnoszac dwoma palcami chrupiaca obrzydliwosc. Myslalem, ze na ten widok zwymiotuje wszystko, co wypil. – Zartowalem – uspokoilem go.

Otworzylem sakwe, demonstrujac daktyle, swieze figi, oliwki, ser, kilka plaskich placków chleba i pelen buklak wina. Wczoraj wyslalem nowego do Jerycha, zeby przyniosl jedzenie. Joszua popatrzyl na wysypujace sie z sakwy smakolyki i usmiechnal sie szeroko. A potem natychmiast zakryl usta dlonia. – Au. Ouc. Oj. – Co sie stalo? – Wargi… popekaly. – Mirra. – Wyjalem z sakwy i wreczylem mu sloiczek masci. Godzine pozniej Syn Bozy siedzial

odswiezony i nakarmiony. Konczylismy reszte wina – pierwszego, jakie Joszua pil, odkad rok temu wrocilismy z Indii do domu. – No i co widziales na tej pustyni? – Diabla. – Diabla? – Tak. Kusil mnie. Wladza, bogactwo, seks i takie rzeczy. Odmowilem. – A jak wygladal? – Byl wysoki. – Wysoki? Ksiaze ciemnosci, waz pokusy, zrodlo wszelkiego zepsucia i zla, a ty mozesz o nim powiedziec tyle, ze byl wysoki? – Dosc wysoki. – No dobrze, bede na takich uwazal. Joszua wskazal palcem nowego. – On tez jest wysoki – powiedzial. Zrozumialem, ze Mesjasz jest troche oszolomiony winem. – To nie diabel, Josh. – A kto to jest? – Jestem Filip – przedstawil sie nowy. – Jutro pojade z toba do Kany. Joszua odwrocil sie do mnie tak gwaltownie, ze omal nie spadl z kamienia. – Jedziemy jutro do Kany? – Tak. Maggie tam jest, Josh. Ona umiera.

Filip, ktory byl nazywany nowym, poprosil, zebysmy poszli do Kany przez Betanie. Mial tam przyjaciela, ktorego chcial zwerbowac, zeby poszedl z nami. – Probowalem go namowic, zeby dolaczyl do Jana Chrzciciela – tlumaczyl Filip – ale nie odpowiadalo mu mieszkanie w norze i jedzenie szaranczy. Zreszta pochodzi z Kany i na pewno chetnie ja odwiedzi.

Kiedy przybylismy na rynek w Betanii, Filip przywolal siedzacego pod drzewem figowym jasnowlosego chlopaka. Byl to ten sam chlopak z zoltymi wlosami, ktorego z Joszua widzielismy ponad rok temu, kiedy pierwszy raz przejezdzalismy przez Betanie. – Hej, Natanielu! – zawolal Filip. – Chodz, przylacz sie do mnie i moich przyjaciol w drodze do Kany. Sa z Nazaretu. Ten tutaj Joszua moze byc Mesjaszem. – Moze byc? – powtorzylem.

Nataniel wyszedl na ulice, zeby sie nam przyjrzec, oslaniajac oczy od slonca. Mogl miec szesnascie, moze siedemnascie lat. Twarz porastal mu ledwie puszek brody. – Czyz moze byc cos dobrego z Nazaretu? – mruknal. – Joszua, Biff, Bartlomiej – przedstawil nas Filip. – A to moj przyjaciel Nataniel. – Znam cie – powiedzial Joszua. – Widzialem cie, kiedy przejezdzalismy tedy poprzednio.

Wtedy, z niewiadomych przyczyn, Nataniel padl na kolana przed wielbladem Joszuy i powiedzial: – Zaprawde, ty jestes Mesjaszem i Synem Bozym.

Joszua popatrzyl na mnie, potem na Filipa, wreszcie na chlopaka lezacego plackiem przed kopytami wielblada. – Dlatego ze widzialem cie wczesniej, uwierzyles, ze jestem Mesjaszem, chociaz jeszcze przed chwila uwazales, ze nic dobrego nie moze pochodzic z Nazaretu? – Pewnie. Dlaczego nie? – zdziwil sie Nataniel.

A Josh znowu spojrzal na mnie, jakbym mogl to jakos wytlumaczyc. Tymczasem Bartlomiej, ktory szedl pieszo razem ze stadem psich kolegow (ktorych irytujaco nazywal "uczniami"), podszedl do Nataniela i pomogl mu sie podniesc. – Wstawaj. Pojdziesz z nami. Nataniel padl na ziemie, tym razem przed Bartlomiejem. – Zaprawde, ty jestes Mesjaszem i Synem Bozym. – Nie, nie jestem. – Bartlomiej znowu postawil go na nogi. – On jest. Nataniel zerknal na mnie, jak gdyby z jakiegos powodu u mnie szukal potwierdzenia. – Zaprawde, jestes niczym dziecko w lesie – powiedzialem do Nataniela. – Grasz moze w kosci? – Biff! – upomnial mnie Joszua. Pokrecil glowa i wzruszyl ramionami. Po czym zwrocil sie do Nataniela: – Mozesz isc z nami.

Dzielimy sie wielbladami, pozywieniem i ta skromna suma pieniedzy, jaka mamy.

Tu Joszua skinal w strone Filipa, ktoremu powierzono wspolna sakiewke, poniewaz byl dobry w matematyce. – Dzieki – powiedzial Nataniel i ruszyl za nami. I tak bylo nas pieciu. – Josh – rzucilem chrapliwym szeptem. – Ten dzieciak jest glupi jak but. – Nie jest glupi, Biff. Po prostu ma talent do wiary. – Swietnie. – Obejrzalem sie na Filipa. – Nie dopuszczaj go blisko pieniedzy.

Kiedy z rynku skierowalismy sie w strone Gory Oliwnej, z rynsztoka zawolali do nas Abel i Crustus, dwaj slepcy, ktorzy pomogli mi przejsc przez mur domu Maggie. (Poznalem ich imiona, kiedy skorygowalem ich drobna pomylke w kwestii plci). – Ulituj sie nad nami, synu Dawida! Joszua sciagnal wodze swego wielblada. – Dlaczego tak mnie nazywacie? – zapytal. – Ty jestes Joszua z Nazaretu, mlody kaznodzieja, ktory pobieral nauki u Jana? – Tak, jestem Joszua. – Slyszelismy, jak Pan obwiescil, ze jestes Jego Synem, w ktorym ma upodobanie. – Slyszeliscie to? – Tak. Jakies piec czy szesc tygodni temu. Wprost z nieba. – Do licha, czy wszyscy to slyszeli oprocz mnie? – Ulituj sie nad nami, Joszuo – prosil jeden ze slepcow. – Tak, ulituj sie – wtorowal mu drugi. Joszua zsunal sie z wielblada, polozyl dlonie na oczach obu starcow i powiedzial: – Macie wiare w Pana i slyszeliscie, jak chyba wszyscy w Judei, ze jestem Jego Synem, w ktorym ma upodobanie. Cofnal rece, a oni sie rozejrzeli. – Powiedzcie, co widzicie – rzekl Joszua. Starcy wciaz patrzyli wokol siebie i milczeli. – No dalej, powiedzcie mi, co widzicie. Spojrzeli po sobie. – Cos nie tak? – zaniepokoil sie Joszua. – Widzicie, prawda? – Niby tak – przyznal Abel. – Ale myslalem, ze bedzie wiecej kolorow. – Wlasnie – zgodzil sie Crustus. – Takie to… jakby… nieciekawe. Podszedlem. – Stoicie na brzegu judejskiej pustyni, jednego z najbardziej martwych, niegoscinnych i wrogich miejsc na planecie. Czego sie spodziewaliscie? – Sam nie wiem. – Crustus wzruszyl ramionami. – Czegos wiecej. – Tak, wiecej – poparl go Abel. – Co to za kolor? – Brazowy. – A ten? – To tez bedzie chyba brazowy. – A ten tam? O tam? – Brazowy. – Jestes pewien, ze nie fioletoworozowy? – Nie. Brazowy. – A… – Brazowy – powiedzialem. Obaj byli slepcy wzruszyli ramionami i odeszli, mamroczac cos. – Znakomite uzdrowienie – pochwalil Nataniel. – Ja na przyklad nigdy jeszcze nie widzialem lepszego – oswiadczyl Filip. – Ale w koncu jestem nowy.

Krecac glowa, Joszua ruszyl w dalsza droge.Kiedy dotarlismy do Kany, bylismy zmeczeni, glodni i gotowi do uczty, przynajmniej wiekszosc z nas. Joszua nic nie wiedzial o uczcie.

Wesele odbywalo sie na dziedzincu bardzo duzego domu. Zblizajac sie do bramy, slyszelismy bebny i piesni, czulismy zapachy przypraw i pieczonego miesa. Na weselu bylo duzo gosci, wiec kilku chlopcow czekalo na zewnatrz, by odprowadzac wielblady. Byly to kedzierzawe, chude dzieciaki, mniej wiecej dziesiecioletnie. Przypominali mi zlosliwe wersje Josha i mnie w tym wieku. – To wyglada, jakby tam trwalo wesele – zdziwil sie Josh. – Zaparkowac wielblada, prosze pana? – zaproponowal chlopak z wielbladziego parkingu. – To wesele – stwierdzil Bart. – Myslalem, ze jedziemy tu, by pomoc Maggie. – Zaparkowac panu wielblada? – Drugi dzieciak chwycil mojego zwierzaka za uzde. Joszua spojrzal na mnie podejrzliwie. – Gdzie jest Maggie? Mowiles, ze choruje. – Jest na weselu – odparlem i wyrwalem dzieciakowi wodze. – Mowiles, ze umiera. – No… Jak my wszyscy, prawda? Wiesz, kiedy sie zastanowic. – Wyszczerzylem zeby.

– Nie moze pan tutaj parkowac. – Sluchaj, maly, nie mam drobnych. Idz sobie.

Nie znosze oddawania wielblada tym chlopakom z wielbladzich parkingow. To mnie irytuje. Zawsze mam uczucie, ze wiecej go nie zobacze, albo ze wroci z brakujacym zebem albo wydlubanym okiem. – Wiec Maggie naprawde nie umiera? – Czesc, chlopcy – powiedziala Maggie, wychodzac zza bramy. – Maggie…! – zawolal Josh i zaskoczony uniosl rece.

Klopot polegal na tym, ze tak sie w nia wpatrywal, az znowu sie zapomnial i spadl. Runal na ziemie twarza w dol, z gluchym stuknieciem i jekiem. Zeskoczylem ze swojego wielblada, psy Bartlomieja zaczely szczekac, Maggie podbiegla do Josha, odwrocila go i oparla jego glowe na kolanach, gdy on probowal zlapac oddech. Filip i Nataniel uspokajali gosci weselnych, ktorzy wygladali przez brame, zaciekawieni tym poruszeniem. Zanim zdazylem sie odwrocic, dwaj chlopcy wskoczyli na nasze wielblady i pogalopowali za rog, do Nodu, Poludniowej Dakoty czy innego miejsca, ktorego polozenia nie znalem. – Maggie – szepnal Joszua. – Nie jestes chora. – To zalezy – odparla – czy jest jakas szansa, ze polozysz na mnie dlonie. Zaczerwienil sie. – Tesknilem za toba. – Ja tez.

Pocalowala Joszue w usta i trzymala go tak dlugo i mocno, ze zaczalem sie wiercic, a pozostali uczniowie chrzakali dyskretnie i mruczeli: "Nie na ulicy". Maggie wstala i pomogla Joszui sie podniesc. – Wejdzcie, chlopcy – powiedziala. – Zadnych psow – dodala, zwracajac sie do Bartlomieja.

Wielki cynik wzruszyl ramionami i usiadl na ulicy miedzy swymi psimi uczniami. Wyciagalem szyje, by zobaczyc, gdzie zabrali nasze wielblady. – Zajezdza je na smierc i wiem, ze nie dadza im siana ani wody. – Kto? – Ci chlopcy z parkingu wielbladow. – Biff, to wesele mojego najmlodszego brata. Nie mogl sobie pozwolic nawet na wino. Na pewno nie wynajmowal chlopcow do obslugi parkingu. Bartlomiej wstal i skinal na swoich zolnierzy. – Ja ich znajde. I odszedl ciezkim krokiem.

Na przyjeciu podawano baranine i wolowine, wszelkiego rodzaju owoce i jarzyny, pasty z orzechow i fasoli, sery, chleb i oliwe z pierwszego tloczenia. Byly spiewy i tance, a gdyby nie paru marudnych starszych mezczyzn w kacie, nikt by sie nie domyslil, ze na stolach nie ma wina. Kiedy nasz lud tanczy, tanczy w duzych grupach, w rzedach i kregach, nie parami. Sa tance meskie i tance kobiece, i bardzo nieliczne tance, w ktorych moga uczestniczyc wszyscy. Dlatego wszyscy sie gapili na Maggie i Joszue, poniewaz oni bardzo wyraznie tanczyli razem.

Wycofalem sie do kata, gdzie siedziala Marta, siostra Maggie. Przygladala sie tanczacym, pogryzajac chleb z kozim serem. Byla dwudziestopiecioletnia, nizsza i bardziej krepa wersja Maggie, ale z tymi samymi kasztanowymi wlosami i niebieskimi oczami. Rzadziej sie smiala. Maz rozwiodl sie z nia z powodu "wysoce niemilego charakteru" i teraz mieszkala w Betanii ze swoim starszym bratem Szymonem. Poznalem ja, kiedy bylismy jeszcze mali, a ona nosila moje wiadomosci do Maggie. Dala mi ugryzc chleba z serem, wiec skorzystalem. – Sama doprowadzi do tego, ze ja ukamienuja – stwierdzila odrobine rozgoryczonym i odrobine zazdrosnym tonem mlodszej siostry. – Akan jest czlonkiem Sanhedrynu. – Nadal jest tchorzliwym dreczycielem? –

Gorzej. Jest teraz tchorzliwym dreczycielem, ktory ma wladze. Kaze ja ukamienowac, zeby tylko pokazac, ze moze. – Za taniec? Nawet faryzeusze… – Jesli ktos widzial, jak caluje Joszue, to… – A co u ciebie slychac? – spytalem, by zmienic temat. – Mieszkam teraz z moim bratem, Szymonem. – Slyszalem. – Jest tredowaty. – Ojej, tam siedzi matka Joszuy. Musze sie przywitac. – Na weselu nie ma wina – rzekla Maria. – Wiem. Dziwne, prawda? Jakub stal obok ze zmarszczonym czolem, kiedy objalem jego matke na powitanie. – Joszua tez tu jest? – Tak. – To dobrze. Balam sie, ze mogli was obu aresztowac razem z Janem. – Slucham?

Spojrzalem pytajaco na Jakuba. Wydal mi sie bardziej odpowiednim zwiastunem zlych wiesci. – Nie slyszales? Herod wtracil Jana do wiezienia za podzeganie do buntu. Zreszta to tylko pretekst. To zona Heroda chciala uciszyc Jana. Miala juz dosc tego, ze on i jego wyznawcy nazywaja ja "zdzira". Poklepalem Marie po ramieniu. – Powiem Joszui, ze tu jestes.

Znalazlem go w jakims katku, gdzie bawil sie z dziecmi. Jedna z dziewczynek przyniosla na wesele kroliczka, a Josh teraz trzymal go na kolanach i glaskal jego uszy. – Biff, chodz. Zobacz, jakie kroliczki sa miekkie. – Joszua, aresztowali Jana. Josh powoli oddal dziewczynce krolika i wstal. – Kiedy? – Nie jestem pewien. Chyba niedlugo po naszym wyjezdzie. – Nie powinienem go zostawiac. Nie uprzedzilem nawet, ze wyjezdzamy. – Musialo do tego dojsc, Josh. Mowilem mu, zeby zostawil w spokoju Heroda, ale nie chcial sluchac. Nic bys nie poradzil. – Jestem Synem Bozym. Moglem cos zrobic. – Tak. Mogles isc do wiezienia razem z nim. Twoja matka jest tutaj. Idz, porozmawiaj z nia. To od niej sie dowiedzialem. Joszua podszedl do Marii i ja usciskal. A ona powiedziala: – Musisz cos zrobic w sprawie wina. Gdzie jest wino? Jakub klepnal Josha w ramie. – Nie przywiozles ze soba wina z bujnych winnic Jerycha?

(Nie podobalo mi sie, ze Jakub wykorzystuje sarkazm przeciwko Joszui. Zawsze chcialem, by moj wynalazek sluzyl dobru, a przynajmniej przeciwko ludziom, ktorych nie lubie). Joszua delikatnie odsunal matke. – Dostaniesz swoje wino.

Przeszedl do bocznej czesci domu, gdzie w wielkich kamiennych kadziach trzymano wode do picia. Po kilku minutach wrocil z dzbanem wina i kubkami dla nas wszystkich. Wsrod gosci rozleglo sie wolanie i nagle zdalo sie, ze zabawa weszla na wyzszy poziom. Dzbany i kubki zostaly napelnione, oproznione i napelnione ponownie. Ci, ktorzy byli blisko kadzi, zaczeli tlumaczyc, ze dokonal sie cud, ze Joszua z Nazaretu zamienil wode w wino. Szukalem go, ale gdzies zniknal. Jako ktos przez cale zycie wolny od grzechu, Joszua nie radzil sobie z poczuciem winy. Dlatego zaszyl sie gdzies samotnie, by zagluszyc wyrzuty sumienia, jakie czul z powodu aresztowania Jana. Po kilku godzinach wybiegow i podstepow udalo mi sie wymknac z Maggie przez brame na tylach. – Maggie, chodz z nami. Rozmawialas z Joszua. Widzialas wino. On jest wybranym. – Zawsze wiedzialam, ze on jest wybranym, ale nie moge pojsc z wami. Jestem mezatka. – Myslalem, ze zostaniesz rybakiem. – A ja myslalam, ze zostaniesz wiejskim glupkiem. – Ciagle szukam odpowiedniej wioski. Sluchaj, sklon Akana, zeby sie z toba rozwiodl. – Kazdy powod wystarczajaco dobry do rozwodu wystarczy mu rowniez, zeby mnie zabic. Widzialam, jak wydaje wyroki na ludzi. Widzialam, jak prowadzi tlum na kamienowanie. Boje sie go. – Na Wschodzie nauczylem sie robic trucizny. – Unioslem brwi i usmiechnalem sie zachecajaco. – Co ty na to? – Nie otruje mojego meza. Westchnalem ciezko, w sposob, jakiego

nauczylem sie od matki. – W takim razie zostaw go i odejdz z nami daleko od Jeruzalem. Nie dosiegnie cie tam. Bedzie musial sie z toba rozwiesc, zeby zachowac twarz. – Ale dlaczego mam odejsc, Biff? Zeby podazyc za czlowiekiem, ktory mnie nie chce i ktory mnie nie wezmie, nawet gdyby chcial?

Nie wiedzialem co odpowiedziec. Czulem sie tak, jakby ktos wwiercal mi noze w swieze rany w piersi. Przygladalem sie wlasnym sandalom i udawalem, ze cos mi wpadlo do gardla. Maggie podeszla, objela mnie i zlozyla glowe na mojej piersi. – Przykro mi – powiedziala. – Wiem. – Tesknilam za wami oboma. – Wiem. – Nie bede z toba spala. – Wiem. – Prosze wiec, przestan sie o mnie ocierac. – Jasne.

Wtedy wlasnie przez brame chwiejnie wyszedl Joszua i wpadl na nas. Udalo sie nam odzyskac rownowage i przytrzymac go, zanim upadl. Mesjasz trzymal kroliczka i gladzil nim policzek; czarne lapki wisialy w powietrzu. Byl pijany. – Wiecie co? – powiedzial. – Kocham kroliczki. Nie pracuja ani nie szczekaja. A zatem od dzisiaj nakazuje, ze gdyby przydarzylo mi sie cos zlego, dookola maja byc kroliczki. Tak zostanie zapisane. Dalej, Biff, zapisz to. Pomachal do mnie pod kroliczkiem, a potem zawrocil do bramy. – Gdzie to nieszczesne wino? Mam tu wyschnietego kroliczka! – Widzisz – powiedzialem do Maggie. – Nie chcialabys tego stracic. Kroliczki. Rozesmiala sie – to byla moja ulubiona muzyka. – Odezwe sie do was – obiecala. – Gdzie bedziecie? – Nie mam pojecia. – Odezwe sie do was.

Nastala polnoc. Impreza dobiegla konca, a uczniowie i ja siedzielismy na ulicy przed domem. Joszua zasnal, a Bartlomiej ulozyl mu pod glowa malego pieska zamiast poduszki. Zanim odszedl, Jakub az nadto wyraznie dal nam do zrozumienia, ze nie bedziemy serdecznie witani w Nazarecie. – I co? – odezwal sie Filip. – Raczej nie mozemy wrocic do Jana. – Przykro mi, ze nie odnalazlem wielbladow – rzekl Bartlomiej. – Ludzie zartowali sobie z moich zoltych wlosow – poskarzyl sie Nataniel. – Myslalem, ze pochodzisz z Kany – powiedzialem. – Nie masz tu rodziny, u ktorej moglibysmy sie zatrzymac? – Zaraza – wyjasnil Nataniel. – Zaraza… – Wszyscy pokiwalismy glowami. Zdarza sie. – Mysle, ze wam sie przydadza – rozlegl sie glos w ciemnosci. Unieslismy glowy. Z mroku przed nami wynurzyl sie niski ale poteznie zbudowany mezczyzna, prowadzacy nasze wielblady. – Wielblady – ucieszyl sie Nataniel. – Bardzo mi przykro – rzekl mezczyzna. – Synowie mojego brata sprowadzili je do naszego domu w Kafarnaum. Przepraszam, ze tyle trwalo, by tu z nimi wrocic. Wstalem, a on podal mi lejce wielbladow. – Sa nakarmione i napojone. – Wskazal na Joszue. – Czy on zawsze tak pije? – Tylko wtedy, kiedy ktorys z wielkich prorokow trafia do wiezienia. Mezczyzna pokiwal glowa. – Slyszalem, co zrobil z winem. Mowia, ze dzis po poludniu uzdrowil tez chromego w Kanie. To prawda? Przytaknelismy wszyscy. – Jesli nie macie sie gdzie zatrzymac, to chodzcie ze mna do Kafarnaum. Zostaniecie dzien czy dwa. Jestesmy wam to winni za porwanie wielbladow. – Nie mamy pieniedzy – uprzedzilem. – Wiec bedziecie sie czuli jak u siebie – zapewnil mezczyzna. – Mam na imie Andrzej. I tak bylo nas szesciu.

Mozna przewedrowac swiat dookola, a zawsze znajdzie sie cos nowego do odkrycia. Na przyklad w drodze do Kafarnaum dowiedzialem sie, ze jesli wrzucic pijanego na wielblada, zeby sie bujal przez cztery godziny, to niemal wszystkie trucizny wyjda z niego jednym albo drugim

koncem. – Ktos powinien umyc tego wielblada, zanim wjedziemy do miasta – uznal Andrzej.

Szlismy brzegiem Jeziora Galilejskiego. Ksiezyc w pelni odbijal sie w wodzie jak plama rteci. Czyszczenie wielblada przypadlo Natanielowi, jako ze byl oficjalnym nowym (Joszua nie poznal jeszcze Andrzeja, a Andrzej wlasciwie nie zgodzil sie jeszcze isc z nami, wiec nie moglismy go oficjalnie za takiego uznac).

Nataniel tak sie popisal przy wielbladzie, ze pozwolilismy mu umyc tez Joszue. Kiedy tylko wsadzil Mesjasza do wody, Joszua ocknal sie dostatecznie, by wybelkotac cos w rodzaju: – Lisy maja nory, a ptaki gniazda, lecz Syn Czlowieczy nie ma miejsca, gdzie by mogl oprzec glowe. – To takie smutne – westchnal Nataniel. – Rzeczywiscie – zgodzilem sie. – Zanurz go jeszcze raz. Brode ma ciagle zarzygana.

I tak, oczyszczony, mokry i wrzucony na wielblada Joszua wjechal w swietle ksiezyca do Kafarnaum, gdzie mial byc powitany, jakby to byl jego dom rodzinny. – Wynocha! – wrzasnela starucha. – Wynoscie sie z tego domu, wynoscie sie z miasta, mozecie sie wyniesc i z Galilei, ale tutaj nie zostaniecie!

Nad jeziorem wstawal przepiekny swit. Niebo pokrylo sie zolta i pomaranczowa barwa, a fale pluskaly lagodnie o burty rybackich lodzi. Wioska lezala o rzut kamieniem od brzegu, a zlociste promienie slonca odbijaly sie od wody, padajac na czarne kamienne sciany domow, az zdawalo sie, ze swiatlo tanczy w rytm krzykow mew i ptakow spiewajacych. Domy staly w dwoch duzych grupach, czesto parami, dzielac wspolna sciane, z wejsciami ze wszystkich stron, a zaden nie byl wyzszy niz jedno pietro. Waska glowna droga biegla przez wioske miedzy dwiema grupami budynkow; wzdluz niej staly stragany kupcow i kuznia, a na niewielkim rynku synagoga, ktora wygladala, jakby mogla pomiescic o wiele wiecej niz trzystu mieszkancow wioski. Wioski jednak lezaly gesto wzdluz wybrzeza, niemal sie ze soba stykajac, wiec domyslilismy sie, ze synagoga sluzy mieszkancom kilku z nich. Nie bylo tu glownego placu wokol studni, jak to jest w zwyczaju w wiekszosci wiosek w glebi ladu, poniewaz miejscowi brali wode z jeziora albo pobliskiego zrodla, wyrzucajacego czysta wode w powietrze na wysokosc dwoch ludzi.

Andrzej umiescil nas w domu swego brata Piotra. Zasnelismy w duzym pokoju, posrod dzieci, a ledwie kilka godzin pozniej obudzila sie tesciowa Piotra i nas wypedzila. Joszua trzymal sie oburacz za glowe, jakby w obawie, ze spadnie mu z szyi. – Nie zycze sobie w swoim domu lobuzow i darmozjadow! – krzyczala kobieta, wyrzucajac za nami moja sakwe. – Au… – jeknal Joszua, cierpiacy od tych wrzaskow. – Jestesmy w Kafarnaum, Josh – powiedzialem. – Zaprosil nas tu czlowiek imieniem Andrzej, bo jego bratankowie ukradli nasze wielblady. – Mowiles, ze Maggie umiera – przypomnial sobie Joszua. – A opuscilbys Jana, gdybym ci powiedzial, ze Maggie chce cie zobaczyc? – Nie. – Usmiechnal sie z rozmarzeniem. – Chociaz dobrze bylo zobaczyc Maggie. – Jego usmiech zniknal i Josh groznie zmarszczyl czolo. – Zywa. – Jan nie chcial sluchac, Josh. Przez ostatni miesiac siedziales na pustyni, nie widziales tych wszystkich zolnierzy, nawet skrybow ukrytych w tlumie, ktorzy notowali wszystko, co Jan mowi. To sie musialo tak skonczyc. – Wiec powinienes go ostrzec! – Ostrzegalem go! Kazdego dnia go

ostrzegalem! Nie chcial sluchac glosu rozsadku, tak samo jak ty nie sluchasz! – Musimy wrocic do Judei. Wyznawcy Jana… -…stana sie twoimi wyznawcami. Koniec przygotowan, Josh. Joszua wpatrywal sie w ziemie. Kiwnal glowa. – Juz czas. Gdzie sa pozostali? – Filipa z Natanielem poslalem do Seforis, zeby sprzedali wielblady. Bartlomiej spi w trzcinach razem z psami. – Bedziemy potrzebowali wiecej uczniow – stwierdzil Joszua. – Jestesmy nedzarzami, Josh. Potrzebujemy uczniow, ktorzy maja prace.

Godzine pozniej stalismy na brzegu jeziora, niedaleko miejsca, gdzie Andrzej ze swoim bratem zarzucali sieci. Piotr byl wyzszy i szczuplejszy od Andrzeja, a siwe wlosy na glowie mial jeszcze bardziej splatane niz Jan Chrzciciel; Andrzej odgarnial swoje do tylu i sciagal rzemieniem, zeby nie opadaly mu na twarz, kiedy byl na wodzie. Obaj byli nadzy – w taki sposob lowilo sie ryby na jeziorze blisko brzegu.

Z kory drzewa przyrzadzilem Joshowi lekarstwo na bol glowy. Widzialem, ze dziala, choc moze nie dosc szybko. Pchnalem go w strone brzegu. – Nie jestem jeszcze gotow. Czuje sie potwornie. – Popros ich. – Andrzeju! – zawolal Joszua. – Dziekuje, ze przyprowadziles nas do domu. I tobie rowniez, Piotrze. – Moja tesciowa was wyrzucila? – zapytal Piotr.

Zarzucil siec i poczekal, az opadnie. Potem wskoczyl do wody i zebral ja w rece. Byla w niej tylko jedna mala rybka. Wyciagnal ja i wrzucil z powrotem do jeziora. – Rosnij – powiedzial. – Wiesz, kim jestem? – zapytal Joszua. – Slyszalem – odparl Piotr. – Andrzej mowil, ze zmieniles wode w wino. Ze uleczyles slepych i chromych. Uwaza, ze ty przyniesiesz nam Krolestwo. – A jak ty myslisz? – Mysle, ze moj braciszek jest madrzejszy ode mnie, wiec wierze w to, co mowi. – Chodzcie z nami. Musimy glosic ludziom o nadejsciu Krolestwa. Potrzebujemy pomocy. – A co mozemy zrobic? – zdziwil sie Andrzej. – Jestesmy tylko rybakami. – Pojdzcie za mna, a uczynie was rybakami ludzi.

Andrzej spojrzal na brata, ktory ciagle stal w wodzie. Piotr wzruszyl ramionami i pokrecil glowa. Andrzej popatrzyl na mnie, wzruszyl ramionami i pokrecil glowa. – Nie lapia tego – przekazalem Joszui.

Potem, kiedy Joszua cos zjadl i sie przespal, i wyjasnil, co, u licha, mial na mysli, mowiac o "rybakach ludzi", bylo nas siedmiu. – Ci goscie to nasi wspolnicy – tlumaczyl Piotr, prowadzac nas brzegiem. – Sa wlascicielami lodzi, na ktorych z Andrzejem lowimy. Nie mozemy isc glosic dobrej nowiny, jesli oni tez w to nie wejda.

Dotarlismy do kolejnej nieduzej wioski. Piotr wskazal nam dwoch braci, ktorzy montowali nowa dulke do burty lodzi. Jeden byl szczuply, koscisty, z kruczoczarnymi wlosami i broda przystrzyzona w rowne linie. Jakub. Drugi byl starszy, wiekszy, grubszy, mial potezne ramiona i piers, ale za to male dlonie i waskie przeguby; fredzla szpakowatych kasztanowych wlosow okalala mu opalona lysine. Jan. – Jedna uwaga – odezwal sie Piotr do Joszuy. – Nie mow nic o rybakach ludzi. Niedlugo zrobi sie ciemno. Nie ma czasu na tlumaczenie, jesli chcemy zdazyc do domu na kolacje. – Slusznie – zgodzilem sie. – Powiedz im o cudach, o Krolestwie, moze troche o tym Duchu Swietym, ale tylko ogolnie, dopoki nie zgodza sie do nas przystac. – Ja wciaz nie

bardzo rozumiem, co z tym Duchem Swietym – poskarzyl sie Piotr. – Nie szkodzi, omowimy to sobie jutro.

Kiedy szlismy brzegiem w strone braci, w pobliskich krzakach zaszelescily liscie i trzy stosy lachmanow wysunely sie na sciezke. – Ulituj sie nad nami, rabbi – odezwal sie jeden ze stosow. Tredowaci…

(Musze tu cos wyjasnic: Joszua uczyl mnie o potedze milosci i calej reszcie, i wiem, ze Boska Iskra jest w nich ta sama co we mnie, wiec obecnosc tredowatych nie powinna mnie niepokoic. Wiem, ze oglaszanie ich nieczystymi wedlug nakazow Prawa bylo rownie niesprawiedliwe, jak traktowanie niedotykalnych przez braminow. Wiem – bo ogladalem dostatecznie duzo programow w telewizji – ze teraz pewnie nie nazywa sie ich nawet tredowatymi, by nie ranic ich uczuc. Pewnie mowicie na nich "uposledzeni gubieniem kawalkow ciala" czy jakos podobnie. Wiem o tym wszystkim. Ale mimo to – niewazne, ile widzialem uzdrowien – na widok tredowatych dostaje tego, co my, Hebrajczycy, okreslamy "ciarkami". Nigdy mi to nie przeszlo). – Czego chcecie? – zapytal Joszua. – Bys ulzyl naszym cierpieniom – odpowiedzial stos glosem kobiety. – Pojde poogladac wode, Josh – rzucilem szybko. – Przyda mu sie pomoc – dodal Piotr. – Podejdzcie – rzekl Joszua.

Przesuneli sie blizej. Joszua polozyl na nich dlonie i mowil cos bardzo cicho. Przez kilka minut Piotr i ja niezwykle dokladnie przygladalismy sie zabie, ktora zauwazylismy na brzegu. Wreszcie uslyszelismy glos Joszuy: – Idzcie teraz i powiedzcie kaplanom, ze nie jestescie juz nieczysci i ze moga was wpuscic do Swiatyni. I powiedzcie im, kto was przysyla.

Tredowaci zrzucili lachmany i odeszli, wyslawiajac Joszue. Wygladali jak calkiem normalni ludzie, ktorzy tylko przypadkiem byli poowijani w postrzepione szmaty. Zanim ja i Piotr wrocilismy, Jakub i Jan stali juz przed Joszua. – Dotknalem tych, ktorzy mowili, ze sa nieczysci – ostrzegl ich Joszua.

Zgodnie z Prawem Mojzeszowym, Joszua takze byl teraz nieczysty. Jakub podszedl i chwycil go za przedramie, na modle Rzymian. – Jeden z tych ludzi byl kiedys naszym bratem. – Chodzcie z nami – powiedzialem. – A uczynimy was dulkarzami ludzi. – Co? – zdumial sie Joszua. – Przeciez tym sie zajmowali. Wstawiali dulke. Sam widzisz, jak glupio to brzmi. – To nie to samo. I tak bylo nas dziewieciu.

Wrocili Filip i Nataniel. Na sprzedazy wielbladow zarobili dosc pieniedzy, by nakarmic uczniow oraz cala rodzine Piotra, wiec jego tesciowa – miala na imie Estera – pozwolila nam zostac, pod warunkiem, ze Bartlomiej z psami beda spali na zewnatrz. Kafarnaum stalo sie nasza baza operacyjna. Stamtad urzadzalismy jedno – lub dwudniowe wycieczki, podczas ktorych Joszua glosil kazania i dokonywal uzdrowien. Wiesc o zblizaniu sie Krolestwa docierala do calej Galilei. Po zaledwie kilku miesiacach gromadzily sie prawdziwe tlumy, by sluchac Joszuy. Zawsze staralismy sie wracac na szabat do Kafarnaum, zeby Joszua mogl nauczac w synagodze. I ten jego zwyczaj zwrocil na nas niepozadana uwage.

Podczas krotkiego spaceru do synagogi w szabatowy ranek Jo-szue zatrzymal rzymski zolnierz. (Od zachodu slonca w piatek do zachodu slonca w sobote zadnemu Zydowi nie wolno podejmowac podrozy dluzszej niz tysiac krokow. To znaczy tysiac krokow na raz. W jedna strone. Nie trzeba dodawac krokow przez caly dzien i stawac w miejscu, kiedy dojdzie sie do tysiaca. Gdyby tak bylo, wszedzie staloby pelno Zydow, czekajacych na sobotni wieczor. To byloby krepujace. Wlasciwie jestem wdzieczny losowi, ze faryzeusze nigdy na to nie wpadli).

Rzymianin nie byl zwyklym legionista, ale centurionem, w pelnym helmie z pioropuszem i w napiersniku z orlem dowodcy legionu. Prowadzil za soba wielkiego bialego konia, ktory wygladal, jakby byl hodowany do walki. Rzymianin wydawal sie dosc stary jak na zolnierza – mial okolo szescdziesieciu lat; kiedy zdjal helm, zobaczylem, ze jego wlosy sa calkiem siwe. Mimo to byl silny, a krotki miecz o talii osy u jego boku robil grozne wrazenie. Nie poznalem go, dopoki nie odezwal sie do Joszuy w doskonalym aramejskim, bez zadnego obcego akcentu. – Joszuo z Nazaretu – powiedzial. – Pamietasz mnie? – Justus – rzekl Joszua. – Justus z Seforis. – Gajus Justus Gallicus – uzupelnil zolnierz. – Teraz stacjonuje w Tyberiadzie i nie jestem juz zastepca komendanta. Szosty Legion jest moj. Potrzebuje twej pomocy, Joszuo bar Jozef z Nazaretu. – Co moge zrobic? – Joszua sie rozejrzal.

Wszyscy uczniowie oprocz Bartlomieja i mnie umkneli dyskretnie, gdy tylko Rzymianin sie zblizyl. – Widzialem, jak sprawiles, ze martwy czlowiek chodzil i mowil. Slyszalem o wszystkim, czego dokonujesz w calej Galilei, o uzdrowieniach, o cudach. Mam sluge, ktory jest chory. Dreczy go epilepsja. Ledwie oddycha, a ja nie potrafie patrzec na jego cierpienia. Nie prosze, bys naruszyl szabat, wyruszajac do Tyberiady, ale wierze, ze zdolasz go uleczyc nawet stad.

Justus przykleknal przed Joszua na jedno kolano – nie widzialem, zeby jakikolwiek Rzymianin zachowal sie tak wobec jakiegokolwiek Zyda, wczesniej ani pozniej. – Ten czlowiek jest moim przyjacielem – powiedzial. – Wierzysz, ze tak jest, wiec tak bedzie – rzekl Joszua. – Stalo sie. Powstan, Gajusie Justusie Gallicusie. Zolnierz usmiechnal sie, wstal i spojrzal Joshowi w oczy. – Kazalbym ukrzyzowac twojego ojca, zeby znalezc morderce tamtego zolnierza. – Wiem – odparl Joszua. – Dziekuje ci – powiedzial Justus.

Centurion wlozyl helm i wskoczyl na konia. Dopiero wtedy po raz pierwszy spojrzal na mnie. – Co sie stalo z ta sliczna lamaczka serc, ktora wszedzie z wami chodzila? – Zlamala nam serca – odpowiedzialem. Justus sie rozesmial. – Badz ostrozny, Joszuo z Nazaretu – rzucil na pozegnanie. Zawrocil i odjechal. – Idz z Bogiem! – zawolal Joszua. – Rany, Josh, czy tak pokazujesz Rzymianom, co ich czeka po nadejsciu Krolestwa? – Zamknij sie, Biff. – Aha, czyli go nabrales? Wroci do domu i odkryje, ze jego przyjaciel nadal jest chory? – Pamietasz, Biff, co ci powiedzialem przed brama klasztoru Kaspra? Ze jesli ktos zapuka, wpuszcze go. – Ble! Przypowiesci! Nie cierpie przypowiesci.

Tyberiada byla oddalona od Kafarnaum o godzine szybkiej jazdy, wiec rankiem dotarly do nas wiesci z garnizonu: sluga Justusa zostal uleczony. Zanim jeszcze skonczylismy sniadanie, przed domem Piotra stanelo czterech faryzeuszy. Szukali Jo-szuy. – Czy dokonales uzdrowienia w szabat? – zapytal najstarszy z nich.

Mial siwa brode, nosil szal modlitewny i filakteria na ramieniu i czole. (Co za cwok… Jasne, wszyscy dostawalismy filakteria, kiedy konczylismy trzynascie lat, ale potem czlowiek udawal, ze po paru tygodniach gdzies je zgubil, i wiecej nie nosil. Rownie dobrze moglby zawiesic na szyi tabliczke "Jestem swietoszko-watym palantem". To, co faryzeusz mial na czole, bylo malym pudelkiem ze skory, mniej wiecej wielkosci piesci, zawierajacym pergaminy z wypisanymi modlitwami. Wygladal z tym jak… no, jak ktos, kto przyczepil sobie na glowie male pudelko ze skory. Czy musze mowic wiecej?). – Ladne filakteria – zauwazylem. Uczniowie parskneli smiechem. Nataniel doskonale nasladowal rzenie osla. – Naruszyles szabat – oswiadczyl faryzeusz. – Mnie wolno – odparl Josh. – Jestem Synem Bozym. – O, szlag… – mruknal Filip. – Delikatnie ich do tego przyzwyczajasz, Josh, nie ma co – stwierdzilem.

W nastepny szabat do synagogi przybyl czlowiek z uschnieta reka. Joszua nauczal w synagodze i po kazaniu – przy piecdziesieciu faryzeuszach, ktorzy zjawili sie w Kafarnaum wlasnie na wypadek, gdyby cos takiego sie wydarzylo – powiedzial mu, ze jego grzechy zostaly wybaczone. I uleczyl mu reke. Jak sepy do padliny zlecieli sie nastepnego ranka do domu Piotra. – Nikt procz Boga nie moze odpuszczac grzechow – oswiadczyl ten, ktorego wybrali na przedstawiciela. – Naprawde? – zdziwil sie Joszua. – To znaczy nie mozesz wybaczyc komus, kto grzeszy przeciwko tobie? – Nikt procz Boga. – Bede o tym pamietal – obiecal Joszua. – A teraz, jesli nie przyszliscie tu wysluchac dobrej nowiny, odejdzcie. Po czym wrocil do domu Piotra i zamknal drzwi. – Bluznisz, Joszuo bar Jozef! – wrzasnal faryzeusz. – Ty…

A ja stanalem przed nim i choc wiem, ze nie powinienem, to jednak mu przylozylem. Nie w usta ani nic takiego, tylko prosto w filakteria. Male pudelko rozlecialo sie od ciosu, a paski pergaminu powoli opadly na ziemie. Uderzylem tak szybko, ze chyba uznal to za zjawisko nadprzyrodzone. W grupie za nim podniosly sie krzyki i protesty, ze nie wolno tak robic, ze zasluzylem sobie na ukamienowanie albo biczowanie, i tak dalej, i temu podobne… A moja buddyjska tolerancja zaczela sie powoli wyczerpywac.

Dlatego przylozylem mu znowu. W nos.

Tym razem polecial do tylu. Dwaj kumple go podtrzymali, a trzeci, w pierwszym rzedzie, siegnal po cos do pasa. Wiedzialem, ze gdyby zechcieli, mogliby mnie powalic, ale nie sadzilem, by sprobowali. Tchorze. Chwycilem tego, ktory wyciagal noz, wyrwalem mu go, wbilem ostrze miedzy kamienie w scianie domu Piotra i zlamalem. Potem oddalem rekojesc. – Odejdz stad – powiedzialem bardzo cicho.

I odszedl, a jego kumple razem z nim. Wrocilem do srodka, by sprawdzic, jak sobie radza Joszua i pozostali. – Wiesz co, Josh – zaczalem – mysle, ze czas juz rozszerzyc nasza posluge. Tutaj masz juz wielu wyznawcow. Moze powinnismy wybrac sie na druga strone jeziora? Zniknac na jakis czas z Galilei? – Glosic Krolestwo gojom? – zapytal Nataniel. – Ma racje – uznal Joszua. – Biff ma racje. – Tak bedzie zapisane – rzeklem.

Jakub i Jan mieli tylko jedna tak duza lodz, by pomiescila nas wszystkich, razem z psami Bartlomieja. Stala na kotwicy w Magdali, dwie godziny piechota na poludnie od Kafarnaum.

Wyruszylismy wiec bardzo wczesnie, by nikt nas nie zatrzymywal w wioskach po drodze. Joszua postanowil zaniesc gojom dobra nowine, zamierzalismy wiec poplynac przez jezioro do miasta Gadaren w regionie Dekapolu. Tam trzymali gojow.

Gdy czekalismy na brzegu w Magdali, Joszue otoczyla grupa kobiet, ktore przyszly prac swoje rzeczy. Blagaly, by opowiedzial im o Krolestwie. Zauwazylem mlodego poborce podatkow, ktory siedzial niedaleko przy swoim stole, pod trzcinowym parasolem. Sluchal Joszuy, ale zauwazylem, ze wzrokiem podaza za tylkami kobiet. Podszedlem blizej. – Niesamowity jest, nie? – rzucilem. – Tak. Niesamowity – przyznal poborca.

Mial okolo dwudziestki, miekkie brazowe wlosy, jasna brode i jasnobrazowe oczy i byl chudy. – Jak sie nazywasz, celniku? – Mateusz – odparl. – Syn Alfeusza. – Powaznie? Moj ojciec tez mial tak na imie. Sluchaj no, Mateuszu, zakladam, ze umiesz czytac, pisac i takie rzeczy? – O tak. – Nie jestes chyba zonaty? – Nie. Bylem zareczony, ale zanim doszlo do slubu, rodzice wydali ja za bogatego wdowca. – To smutne. Pewnie masz zlamane serce. Widzisz te kobiety? Takie kobiety otaczaja Joszue przez caly czas. A najlepsze jest to, ze on zyje w celibacie. Nie chce zadnej z nich. Interesuje go wylacznie zbawienie ludzkosci i sprowadzenie na Ziemie Krolestwa Bozego… Tak samo jak nas wszystkich, oczywiscie. Ale kobiety, coz, sam chyba widzisz. – To musi byc cudowne. – Tak, swietne. Plyniemy do Dakapolu. Moze bys sie z nami wybral? – Nie moge. Powierzono mi zbieranie podatkow z calego wybrzeza. – On jest Mesjaszem, Mateuszu. Tym Mesjaszem. Pomysl tylko: ty i Mesjasz. – Sam nie wiem… – Kobiety. Krolestwo. Slyszales pewnie, ze zmienil wode w wino. – Naprawde musze… – Probowales kiedys bekonu, Mateuszu? – Bekon? To jest ze swin? Nieczystych? – Joszua jest Mesjaszem, Mateuszu. I Mesjasz mowi, ze to w porzadku. To najlepsze, co kiedykolwiek jadles, Mateuszu. Kobiety go uwielbiaja. Co rano jemy z kobietami bekon. Naprawde. – Bede musial najpierw tu skonczyc – powiedzial Mateusz. – Tak uczyn. Ale wiesz, chcialbym, zebys cos dla mnie odznaczyl. – Zajrzalem mu przez ramie w ksiege i wskazalem kilka imion. – Spotkamy sie przy lodzi, kiedy bedziesz gotow, Mateuszu.

Wrocilem na brzeg, gdzie Jakub i Jan przyciagneli lodz tak blisko, zeby dalo sie do niej przejsc. Joszua skonczyl blogoslawic kobiety i odeslal je do prania z przypowiescia o plamach. – Przepraszam na moment, panowie! – zawolalem. – Jakubie, Janie, ty tez, Piotrze, i Andrzeju. W tym roku nie musicie sie martwic podatkami. Zajalem sie nimi. – Co? – nie dowierzal Piotr. – Skad wziales pieniadze? Obejrzalem sie i pomachalem do biegnacego ku nam Mateusza. – Ten dobry czlowiek to celnik Mateusz. Chce sie do nas przylaczyc. Mateusz stanal obok mnie. Usmiechal sie idiotycznie, lapiac oddech. – Hej – powiedzial i pomachal uczniom. – Witaj, Mateuszu – odezwal sie Joszua. – W Krolestwie jest miejsce dla kazdego. – Lubi cie, maly – powiedzialem. – Naprawde cie lubi. I tak bylo nas dziesieciu.

Joszua zasnal na stosie sieci, zasloniwszy twarz szerokim rondem slomianego kapelusza Piotra. Zanim sam pozwolilem ukolysac sie do snu, poslalem Filipa na rufe, zeby opowiedzial Mateuszowi o Krolestwie i Duchu Swietym. (Pomyslalem, ze Filip zna sie na liczbach, co moze pomoc w rozmowie z poborca). Dwie pary braci prowadzily lodz; kadlub miala szeroki, zagiel maly i byla bardzo wolna. Mniej wiecej w polowie drogi przez jezioro uslyszalem glos Piotra: –

Nie podoba mi sie to. Wyglada na sztorm.

Usiadlem gwaltownie i spojrzalem na niebo. Rzeczywiscie, czarne chmury nadciagaly zza wzgorz na wschodzie, szybko i nisko, po drodze wyciagajac ku drzewom szpony blyskawic. Zanim zdazylem wstac, fala przelala sie nad niska burta i przemoczyla mnie do nitki. – Nie jest dobrze, powinnismy wracac – uznal Piotr, kiedy ogarnela nas sciana deszczu. – Lodz jest zbyt pelna, burty za niskie. Nie mozemy narazac sie na burze. – Niedobrze. Niedobrze. Niedobrze – podspiewywal Nataniel.

Psy Bartlomieja wyly i obszczekiwaly wiatr. Jakub i Andrzej zwineli zagiel i zalozyli wiosla. Piotr przeszedl na rufe, by pomoc Janowi przy dlugiej pletwie sterowej. Kolejna fala zalamala sie nad burta i zmyla jednego z uczniow Bartlomieja, sparszywialego teriera.

Na dnie lodzi woda siegala juz do pol lydki, wiec chwycilem wiadro i zaczalem ja wybierac. Machnalem na Filipa, zeby pomogl, ale ulegl najostrzejszemu atakowi morskiej choroby, jaki zdarzylo mi sie ogladac, i wymiotowal teraz przez burte.

Blyskawica trafila w maszt i wszystko rozblyslo fosforowa biela. Grzmot zahuczal od razu, pozostawiajac dzwonienie w uszach. Jeden sandal Joszuy przeplynal obok mnie na dnie lodzi. – Jestesmy zgubieni! – jeczal Bartlomiej. – Zgubieni! Joszua zsunal z twarzy kapelusz, wcisnal go na glowe i spojrzal na otaczajacy go chaos. – O, wy malej wiary – rzekl.

Machnal reka w gore i sztorm ucichl. Tak po prostu. Czarne chmury odplynely za wzgorza, fale sie uspokoily i zaczely lagodnie kolysac, a slonce zaswiecilo jasne i tak gorace, ze z naszych ubran uniosla sie para. Siegnalem za burte i wyjalem z wody plywajacego pieska. Joszua znow sie polozyl z kapeluszem na twarzy. – Czy ten nowy dzieciak to widzial? – zapytal mnie szeptem. – Tak – odparlem. – Zrobilo to na nim wrazenie? – Rozdziawil usta. Wyglada jak porazony. – Swietnie. Obudz mnie, kiedy bedziemy na miejscu.

Obudzilem go kawalek przed Gedarenem, poniewaz na brzegu stal oblakany wielkolud – z ust leciala mu piana, wrzeszczal, rzucal kamieniami i od czasu do czasu zjadal garsc ziemi. – Zatrzymaj sie, Piotrze – powiedzialem. Plynelismy na wioslach, z opuszczonym zaglem. – Powinienem obudzic nauczyciela – stwierdzil Piotr. – Nie, wszystko w porzadku, mam wladze powstrzymywania zapienionych szalencow. – Na wszelki wypadek delikatnie kopnalem Mesjasza. – Josh, moze warto, zebys rzucil okiem na tego goscia. – Patrz, Piotrze – powiedzial Andrzej, wskazujac szalenca palcem. – Ma wlosy takie jak ty. Joszua usiadl, zsunal kapelusz Piotra i spojrzal na brzeg. – Naprzod – polecil. – Jestes pewien? Kamienie zaczely ladowac w lodzi. – O tak. – Jest bardzo duzy – zauwazyl Mateusz, stwierdzajac oczywistosc. – I oblakany – dodal Nataniel, by nie dac sie wyprzedzic w wyglaszaniu oczywistosci. – On cierpi – oswiadczyl Joszua. – Naprzod. Kamien wielkosci glowy trafil w maszt, odbil sie i wpadl do wody. – Wyrwe wam nogi i bede kopal po glowach, kiedy bedziecie sie czolgac dookola i wykrwawiac na smierc – oznajmil szaleniec. – Na pewno nie chcesz podplynac z tego miejsca wplaw? – zaproponowal Piotr. – Mila odswiezajaca kapiel po drzemce? – dodal Jakub. Mateusz wyprostowal sie na rufie i odchrzaknal. – Czym jest jeden udreczony czlowiek w porownaniu z

uciszeniem sztormu? Czy na pewno wszyscy byliscie w tej samej lodzi co ja? – Naprzod – rozkazal Piotr.

I poplynelismy naprzod – wielka lodz pelna Joszuy, Mateusza i osmiu niewiernych dupkow, czyli pozostalych. Joszua wyskoczyl, gdy tylko dotarlismy do brzegu. Podszedl wprost do szalenca, ktory wygladal, jakby mogl jedna reka zgniesc Mesjaszowi glowe. Brudne lachmany wisialy na nim w strzepach, mial polamane zeby i krwawil od jedzenia ziemi.

Twarz wykrzywiala mu sie i zniekształcala, jakby wielkie robaki pod skora szukaly ucieczki. Zwichrzone siwe wlosy sterczaly poplatane i rzeczywiscie troche przypominaly wlosy Piotra. – Miej litosc nade mna – powiedzial szaleniec. Glos brzeczal mu w gardle niczym chor szaranczy. Wyskoczylem z lodzi, a inni ruszyli ostroznie za mna, do Joszuy. – Jakie jest twoje imie, demonie? – zapytal Joszua. – A jakie chcialbys, zeby bylo? – odparl demon. – A wiesz, zawsze podobalo mi sie imie Harvey. – Co za zbieg okolicznosci! – zawolal demon. – Tak sie sklada, ze mam na imie Harvey. – Nabierasz mnie, prawda? – Nabieram – przyznal demon, rozczarowany. – Imie moje Legion, bo jest nas tu cala banda. – Wynos sie, Legionie – nakazal Joszua. – Wynos sie z tego duzego goscia.

W poblizu paslo sie stado swin, zajetych swinskimi sprawami. (Nie wiem, co robily. Jestem Zydem i nie znam sie na swiniach. Tyle, ze lubie bekon). Swiecacy zielony oblok wysunal sie z ust Legiona, poplynal w powietrzu niczym dym, i jak chmura opadl na swinie. Gdy tylko wciagnely go przez nozdrza, natychmiast zaczely toczyc piane i wydawac dzwiek taki jak szarancza. – Odejdzcie – rzekl Joszua.

Wszystkie swinie pobiegly do jeziora, wciagnely w pluca wode i po krotkiej szamotaninie potonely. Jakies piecdziesiat swinskich trupow kolysalo sie na falach. – Jak moge ci sie odwdzieczyc? – zapytal wielki, toczacy piane typ, ktory przestal juz toczyc piane, ale nadal byl wielki. – Powiedz ludziom z twojej krainy, co sie tu stalo – poprosil Joszua. – Powiedz, ze Syn Bozy przybyl, by glosic im dobra nowine o Duchu Swietym. – Ale umyj sie troche, zanim im powiesz – dodalem.

I odszedl, czlapiac ciezko – prawdziwy olbrzym, wiekszy nawet od naszego Bartlomieja i bardziej cuchnacy, co uwazalem za niemozliwe. Usiedlismy na brzegu i pozywialismy sie winem i serem, kiedy zza wzniesienia uslyszelismy zblizajacy sie tlum. – Dobre wiesci szybko sie rozchodza – ucieszyl sie Mateusz. Jego mlodzienczy entuzjazm zaczynal mnie juz troche irytowac. – Kto zabil nasze swinie?

Ludzie niesli widly, grabie i kosy. Nie wygladali, jakby przyszli tu wysluchac dobrej nowiny. – Wy, dranie! – Zabic ich! – Do lodzi – rzucil Josh. – O, wy malej… – zaczal Mateusz, ale Bart przerwal mu, lapiac go za kolnierz i wlokac do lodzi.

Bracia odciagneli ja juz od brzegu i stali w wodzie zanurzeni po piersi. Wskoczyli. Jakub i Jan wysuneli wiosla, a Piotr z Andrzejem wciagali nas kolejno do srodka. Uczniow Barta wyjmowalismy z wody za skore na karku. Postawilismy zagiel, kiedy wokol zaczely spadac

kamienie. Wszyscy patrzylismy na Joszue. – No co? – powiedzial. – Gdyby byli Zydami, wszystko by sie udalo. Nie znam sie na gojach. Gdy dotarlismy do Magdali, czekal juz na nas poslaniec. Filip rozwinal zwoj i przeczytal. – To zaproszenie na kolacje w Betanii w tygodniu Paschy, Joszua. Wazny czlonek Sanhedrynu prosi o twoja obecnosc na kolacji w jego domu, bo chcialby podyskutowac o twej wspanialej posludze. Podpisal Akan bar Iban ish Nazaret. Maz Maggie. Ta menda. – Niezle jak na pierwszy dzien – powiedzialem. – Prawda, Mateuszu?

Wczoraj wieczorem po raz drugi ogladalismy z aniolem w telewizji Gwiezdne wojny. I po prostu musialem zapytac. – Przebywales w obecnosci Boga, Razielu, prawda? – Oczywiscie. – Czy On nie ma takiego glosu jak James Earl Jones? – Kto to taki? – Darth Vader. Raziel sluchal przez chwile, jak Vader komus grozi. – Rzeczywiscie, troche podobny. Ale nie oddycha tak ciezko. – I widziales oblicze Boga? – Tak. – Czy On jest czarny? – Nie wolno mi o tym mowic. – Jest czarny, tak? Gdyby nie byl, powiedzialbys po prostu, ze nie. – Nie wolno mi o tym mowic. – Jest. – Nie nosi takiego kapelusza – powiedzial Raziel. – Aha! – Mowie tylko, ze nie nosi kapelusza. Tylko tyle. – Wiedzialem. – Nie chce juz tego ogladac. – Raziel zmienil kanal. Bog (albo ktos z podobnym glosem) powiedzial: – Ogladacie CNN.

Przybylismy do Jeruzalem przez brame od Betsaidy, zwana Ucho Igielne, gdzie czlowiek musial sie schylac, by przejsc, i wyszlismy Zlota Brama, przez doline Cedronu i Gore Oliwna do Betanii. Braci i Mateusza zostawilismy, gdyz mieli prace, a Bartlomieja, bo smierdzial. Ostatnio jego niechec do higieny zaczela zwracac uwage faryzeuszy w Kafarnaum i nie chcielismy przeciagac struny, jako ze wchodzilismy do siedziby wroga. Filip i Nataniel towarzyszyli nam w podrozy, ale zostali na Gorze Oliwnej, na polanie zwanej Getsemani, gdzie znajdowala sie niewielka grota i prasa oliwna. Joszua probowal mnie namowic, zebym rowniez tu zostal, ale sie uparlem. – Nic mi nie grozi – przekonywal. – Moj czas jeszcze nie nadszedl. Akan nie bedzie niczego probowal, to tylko kolacja. – Nie martwie sie o twoje bezpieczenstwo, Josh. Po prostu chce zobaczyc Maggie.

Rzeczywiscie chcialem zobaczyc Maggie, ale tez martwilem sie o bezpieczenstwo Joszuy. Tak czy tak, nie mialem zamiaru tu siedziec. Akan wyszedl nam na spotkanie do bramy. Mial na sobie nowa biala tunike przepasana blekitna szarfa. Byl krepy, ale nie taki gruby, jak sie spodziewalem, i prawie dokladnie mojego wzrostu. Mial brode, dluga, przycieta rowno na wysokosci obojczyka, a na glowie popularna wsrod wielu faryzeuszy szpiczasta plocienna czapke, wiec nie moglem sprawdzic, czy lysieje. Wlosy, ktore wystawaly spod czapki, byly ciemnobrazowe, tak jak jego oczy. Najbardziej przerazajaca i moze najbardziej zaskakujaca u niego cecha byla plonaca w tych oczach iskra inteligencji. Nie dostrzeglem jej, kiedy bylismy dziecmi. Byc moze podzialalo tak na niego siedemnascie lat z Maggie. – Wejdzcie, bracia Nazarejczycy. Witajcie w moim domu. Jest tu kilku przyjaciol, ktorzy chcieliby was poznac.

Wprowadzil nas do duzego pokoju, chyba dostatecznie wielkiego, by pomiescic dowolne dwa domy, w ktorych bywalismy w Kafarnaum. Podloge wylozono turkusowymi plytkami z czerwonymi mozaikowymi spiralami w naroznikach (zadnych wizerunkow, oczywiscie). Stal tu dlugi stol w stylu rzymskim, a przy nim siedzialo pieciu mezczyzn, ubranych tak samo jak Akan. (W zydowskich domach stoiy sa niskie, a jedzacy leza na poduszkach albo na podlodze wokol

nich). Sluzaca podala nam duze dzbany z woda i misy do umycia rak. Nigdzie nie zauwazylem Maggie. – Niech ta woda pozostanie woda, Joszuo. – Akan sie usmiechnal. – Nie mozemy sie myc w winie. – A wiec – odezwal sie najstarszy z faryzeuszy – slyszalem, ze wypedzasz demony z nawiedzonych w Galilei. – Tak, mielismy naprawde wspanialy tydzien paschalny – odpowiedzialem. – A wy? Joszua kopnal mnie pod stolem. – Tak – rzekl. – Moca, dana mi przez mojego ojca, ulzylem cierpieniom niektorych, opetanych przez demony.

Kiedy Joszua wymowil slowa "mojego ojca", wszyscy sie otrzasneli. Zauwazylem ruch w drzwiach za plecami Akana – to Maggie dawala mi znaki i sygnaly; machala rekami jak oblakana, ale wtedy Akan zaczal mowic. Wszyscy spojrzeli na niego i Maggie sie schowala. Akan sie pochylil. – Niektorzy mowili, ze wypedzasz te demony moca Belzebuba. – A jak moglbym to zrobic? – Joszua troche sie zdenerwowal. – Jak moglbym zwrocic Belzebuba przeciwko niemu samemu? Jak moglbym Szatanem zwalczac Szatana? Dom wewnetrznie sklocony nie ostoi sie. – Rany, alez jestem glodny – wtracilem. – Niech juz podadza jedzenie. – Moca Ducha Bozego wypedzam demony i stad wiecie, ze nadeszlo Krolestwo.

Nie chcieli tego slyszec. Do diabla, ja sam nie chcialem tego slyszec. Nie tutaj. Skoro Joszua twierdzi, ze przynosi Krolestwo Boze, to znaczy, ze uwaza sie za Mesjasza. Wedlug ich sposobu myslenia to moze byc bluznierstwo – zbrodnia karana smiercia. Co innego slyszec o tym z drugiej reki, co innego, kiedy Joszua mowil im to prosto w twarz. Ale on sam – jak zwykle – nie czul leku. – Niektorzy mowia, ze Jan Chrzciciel jest Mesjaszem – oswiadczyl Akan. – Nie ma czlowieka lepszego od Jana. Ale Jan nie chrzci Duchem Swietym. Ja tak.

Wszyscy popatrzeli po sobie. Nie mieli pojecia, o czym on opowiada. Josh juz od dwoch lat glosil kazania o Boskiej Iskrze – Duchu Swietym – ale to bylo calkiem nowe spojrzenie na Boga i Krolestwo. To byla zmiana. Ci legalisci ciezko pracowali, by dostac sie na stanowisko dajace wladze. Zmiany ich nie interesowaly.

Jedzenie trafilo na stol i ponownie odmowiono modly, potem przez chwile jedlismy w milczeniu. Maggie znow sie pojawila w przejsciu za Akanem. Dawala znaki, przechodzac jedna reka po drugiej i formujac wargami slowa, ktore pewnie powinienem rozumiec. Mialem cos, co chcialem jej dac, ale musialem sie z nia zobaczyc na osobnosci. Bylo jasne, ze Akan zakazal jej wchodzic do pokoju. – Twoi uczniowie nie myja rak przed jedzeniem! – rzekl jeden z faryzeuszy, gruby mezczyzna ze szrama biegnaca przez oczy. Bart, pomyslalem. – Nie to, co wchodzi w czlowieka, czyni go nieczystym, ale to, co wychodzi. Joszua ulamal kawalek macy i zamoczyl w oliwie. – Chodzi mu o klamstwa – wyjasnilem. – Wiem – zapewnil stary faryzeusz. – Myslales o czyms obrzydliwym, nie o klamstwach. Faryzeusze wymienili spojrzenia mowiace "teraz twoja kolej"; "nie, twoja". Joszua spokojnie przezul mace. – Po co myc naczynie z zewnatrz, kiedy srodek pozera zgnilizna? – Tak, calkiem jak u was, zgnili hipokryci! – wtracilem z wiekszym entuzjazmem, niz bylby na miejscu. – Przestan pomagac – rzucil mi Joszua. – Przepraszam. Dobre wino. Manischewitz? Moj okrzyk najwyrazniej wyrwal ich z niepewnosci. – Przestajesz z demonami, Joszuo z Nazaretu. Widziano, jak ten oto Lewi sprawil, ze krew poplynela z nosa faryzeusza, a noz pekl sam z siebie. Nikt przy tym nie zauwazyl, by sie poruszyl. Joszua popatrzyl na mnie, potem na nich i znowu na mnie. –

Zapomniales mi o czyms powiedziec? – Zachowal sie jak emrod, wiec mu przylozylem. ("Emrod" to biblijny termin, oznaczajacy hemoroid. Z sasiedniego pokoju uslyszalem cichy chichot Maggie). Joszua znow zwrocil sie do tych dupkow. – Lewi, ktory jest nazywany Biffem, studiowal na Wschodzie sztuke zolnierza – wyjasnil. – Umie poruszac sie szybko, ale nie jest demonem. Wstalem. – Zaproszenie mowilo o kolacji, nie o procesie. – To nie jest proces – odpowiedzial spokojnie Akan. – Slyszelismy o cudach Joszuy i slyszelismy tez, ze lamie Prawo. Chcielismy po prostu zapytac, z czyjego upowaznienia to czyni. To kolacja, inaczej dlaczego bys tu byl?

Sam sie nad tym zastanawialem, ale Joszua pchnal mnie z powrotem na miejsce i odpowiedzial. I dalej przez dwie godziny odpowiadal na ich oskarzenia, snujac przypowiesci i rzucajac im w twarz ich falszywa pobozność. Kiedy Josh glosil Slowo Boze, ja wykonywalem magiczne sztuczki z chlebem i warzywami, zeby im troche przeszkadzac. Maggie stanela w drzwiach; zaczela goraczkowo pokazywac frontowe drzwi, wykonujac przy tym grozne gesty walenia po glowie. Uznalem, ze beda to konsekwencje mojego braku zrozumienia dla jej sygnalow. – Musze sie z kims zobaczyc w sprawie wielblada. Przepraszam bardzo.

Wyszedlem frontowymi drzwiami. Gdy tylko je za soba zamknalem, trafil mnie prysznic sliny nerwowo szepczacej kobiety. – Tyglupiitepyidiotopomyslaleszenibycoprobujecipowiedziec? Uderzyla mnie w ramie. Mocno. – A buzi? – szepnalem. – Gdzie moge sie z wami spotkac, pozniej? – Nie mozesz. Masz, wez to. – Wreczylem jej mala skorzana sakiewke. – W srodku jest pergamin, przeczytasz, co trzeba zrobic. – Chce sie z wami spotkac. – Spotkasz sie. Rob, co tam jest napisane. Musze juz wracac. – Ty draniu.

Znow cios w ramie. Mocny. Zapomnialem, co robie, i wszedlem do pokoju, wciaz rozcierajac obolale ramie. – Czyzbys sie gdzies zranil, Lewi? – Nie, Akanie. Czasem nadwyrezam miesnie ramienia, zwyczajnie strzasajac tego potwora.

Faryzeuszom to sie nie spodobalo. Zdalem sobie sprawe, ze czekaja, az poprosze o wode, zeby powtorzyc caly rytual mycia rak, zanim znowu siade do stolu. Stalem wiec, zastanawialem sie nad tym, rozcieralem ramie i czekalem. Ile czasu moze potrzebowac na przeczytanie tej notki? Wydawalo sie, ze bardzo dlugo mi sie przygladali, ale pewnie minelo ledwie pare minut. Wreszcie rozlegl sie krzyk. Maggie w sasiednim pokoju wydala dlugi, wysoki, glosny, prawdziwie wirtuozerski wrzask grozy, paniki i szalenstwa. Pochylilem sie. – Rob to co ja – szepnalem Joszui do ucha. – Nie, niczego nie probuj. Niczego. – Ale…

Faryzeusze mieli takie miny, jakby ktos rzucil im na kolana gorace wegle, a krzyk trwal i trwal, i trwal – Maggie potrafila go wytrzymac. Zanim Akan zdazyl wstac i sprawdzic, co sie stalo, moja dziewczyna wpadla do pokoju – wciaz krzyczac, musze zaznaczyc. Sliczna zielona piana splywala jej z ust, suknie miala podarta i wiszaca w strzepach na pokrwawionym ciele; krew sciekala z kacikow oczu. Przewracajac oczami, wrzasnela Akanowi w twarz, potem wskoczyla na stol, zawarczala i skopala na podloge wszystkie naczynia, ktore pieknie sie stlukly. Przybiegla sluzaca, krzyczac: – Demony ja opetaly! Demony ja opetaly!

Wyskoczyla przez frontowe drzwi. Maggie znow zaczela skrzeczec i przebiegla tam i z powrotem po stole. Przy okazji oddala mocz. (Niezle posuniecie, nie wpadlbym na to). Faryzeusze wycofali sie pod sciane, Akan takze. Maggie padla na plecy, rzucala sie, szarpala, wykrzykiwala sprosnosci, chlapala na ich biale szaty zielona piana, uryna i krwia. – Diably! Diably ja opetaly! Mnostwo! – krzyknalem. – Siedem – powiedziala Maggie miedzy jednym a drugim warknieciem. – Wyglada mi to na siedem – stwierdzilem. – Jak myslisz, Josh?

Zlapalem go z tylu za wlosy i zmusilem, by kiwnal glowa. Zreszta i tak nikt na niego nie patrzyl. Imponujace fontanny zielonej piany tryskaly teraz z ust i spomiedzy nog Maggie. (Kolejne niezle zagranie, ktorego bym nie wymyslil). Rzucala sie i dygotala rytmicznie, jako kontrapunkty dodajac warkniecia i przeklenstwa. – No coz, Akanie – odezwalem sie uprzejmie. – Dziekujemy ci za kolacje. Bylo naprawde milo, ale musimy juz isc.

Chwycilem Joszue za kolnierz i postawilem na nogi. Byl troche zaskoczony. Nie przerazony, jak nasz gospodarz, ale zaskoczony. – Czekajcie – powiedzial Akan. – Ropiejacy penis kundla! – warknela Maggie, nie zwracajac sie do nikogo konkretnego. Ale chyba wszyscy wiedzieli, o kogo jej chodzi. – No dobrze, sprobujemy jej pomoc – ustapilem. – Joszua, lap jej reke.

Pchnalem go do przodu, a Maggie chwycila za przegub. Obieglem stol i przytrzymalem jej druga reke. – Musimy ja zabrac z tego skalanego domostwa.

Paznokcie Maggie wbily mi sie w skore, kiedy ja podnosilem, a ona podciagala sie na przegubie Josha, udajac, ze sie wyrywa i szarpie. Powloklem ja przez frontowe drzwi na dziedziniec. – Postaraj sie, Joszuo, co? – szepnela. Akan i faryzeusze tloczyli sie w drzwiach. – Musimy zabrac ja na pustkowie, zeby bezpiecznie wypedzic demony! – zawolalem.

Wyciagnalem ja – i Joszue tez, prawde mowiac – na ulice i kopniakiem zatrzasnalem ciezkie skrzydla bramy. Maggie uspokoila sie i stanela prosto. Po piersi splywala jej gora zielonej piany. – Nie przestawaj jeszcze, Maggie. Dopoki nie odejdziemy dalej. – Wieprzozerny kozojebca! – Brawo. – Witaj, Maggie – powiedzial Joszua, ujal ja pod ramie i wreszcie zaczal pomagac. – Mysle, ze calkiem dobrze poszlo przy tak krotkich przygotowaniach – uznalem. – Wiesz, faryzeusze to najlepsi swiadkowie. – Chodzmy do domu mojego brata – szepnela. – Stamtad mozemy przeslac wiadomosc, ze jestem nieuleczalnie chora. – A glosno zawolala: – Idz molestowac szczury! – Juz dobrze, Maggie, jestesmy poza zasiegiem sluchu. – Wiem. Mowilam do ciebie. Dlaczego trzeba bylo az siedemnastu lat, zebys mnie stamtad wyciagnal? – Pieknie wygladasz w zielonym. Mowilem ci juz? – Nie moge pozbyc sie mysli, ze to bylo nieetyczne – oswiadczyl Joszua. – Josh, udawanie opetania przez demony jest jak ziarnko gorczycy. – W jakim sensie jest jak ziarnko gorczycy? – Nie wiesz, co? W ogole nie jest podobne do ziarnka gorczycy, prawda? No to teraz rozumiesz, jak sie wszyscy czujemy, kiedy porownujesz cos do ziarnka gorczycy. No, jak?

Przed domem Szymona Tredowatego Joszua podszedl do drzwi sam, aby wyglad Maggie nie przerazil jej brata i siostry. Otworzyla mu Marta. – Szalom, Marto. Jestem Joszua bar Jozef z Nazaretu. Pamietasz mnie z wesela w Kanie? Przyprowadzilem twoja siostre Maggie. – Niech

pomysle. – Marta stukala palcem w podbrodek i przeszukiwala pamiec, wpatrzona w nocne niebo. – Czy to nie ty zmieniles wode w wino? Syn Bozy, tak? – Naprawde nie musisz sie tak zachowywac. Wysunalem glowe nad ramieniem Josha. – Podalem twojej siostrze proszek, od ktorego tak jakby zapienila sie na zielono i czerwono. W tej chwili wyglada dosc paskudnie. – Na pewno jej z tym do twarzy. – Marta westchnela z rezygnacja. – No dobrze, wejdzcie.

Wprowadzila nas do srodka. Stanalem przy drzwiach, Joszua zas usiadl na podlodze obok stolu. Marta zabrala Maggie na tyl, zeby mogla sie oczyscic. Dom byl duzy wedlug wiejskich standardow, ale oczywiscie nie mogl sie rownac z domem Akana. Mimo to, Szymon niezle sie urzadzil jak na syna kowala. Nigdzie go nie zauwazylem. – Chodz, usiadz przy stole – zaproponowal Joszua. – Nie, calkiem mi dobrze przy drzwiach. – O co chodzi? – Wiesz chyba, czyj to dom? – Oczywiscie. Szymona, brata Maggie. Znizylem glos. – Ymon-Szak edowaty-Trak. – Chodz, siadaj. Bede na ciebie uwazal. – Nie. Postoje tutaj.

Wtedy wlasnie z sasiedniego pokoju wyszedl Szymon. W obandazowanych rekach niosl dzban wina. Biale plotno zaslanialo mu cala twarz procz oczu, ktore byly czyste i blekitne jak u Maggie. – Witajcie, Joszua, Lewi… To juz tyle czasu…

Znalismy Szymona jako chlopcy – przeciez tak czesto krecilismy sie przy kuzni ojca Maggie. Byl jednak starszy od nas i uczyl sie juz ojcowskiego rzemiosla. Byl o wiele za powazny, zeby zadawac sie z malymi chlopcami. Pamietalem go jako silnego i wysokiego, trad jednak przygial go do ziemi niczym stara kobiete. Postawil kubki i nalal wina dla nas trzech. Nie ruszylem sie ze swojego stanowiska przy drzwiach. – Marta nie lubi uslugiwac – wyjasnil Szymon, jakby sie usprawiedliwial. – Mowila, ze na weselu w Kanie zamieniles wode w wino. – Szymonie – rzekl Joszua. – Moge uleczyc twoja przypadlosc, jesli tylko mi pozwolisz. – Jaka przypadlosc? – Polozyl sie przy stole naprzeciwko. – Chodz, Biff, siadaj z nami. – Poklepal poduszke obok siebie, a ja schylilem sie odruchowo na wypadek, gdyby zaczely fruwac palce. – Rozumiem, ze Akan uzyl mojej siostry jako przynety, by zwabic was w pulapke. – Marna to byla pulapka – ocenil Joszua. – Spodziewales sie jej? – spytalem. – Myslalem, ze bedzie ich wiecej, moze nawet cala rada faryzeuszy. Chcialem odpowiedziec im bezposrednio, zeby moje slowa nie przechodzily przez dziesiatki szpiegow i plotkarzy. Chcialem sie tez przekonac, czy beda z nimi jacys saduceusze.

Wtedy zrozumialem cos, do czego Joszua juz doszedl: saduceusze, kaplani, nie uczestniczyli w tym niespodziewanym przesluchaniu. Oni rodzili sie, by sprawowac wladze, i nie czuli sie tak zagrozeni, jak faryzeusze, nalezacy do klasy pracujacej. A saduceusze stanowili potezniejsza czesc Sanhedrynu – to oni wydawali rozkazy strazy Swiatyni. Bez kaplanow, faryzeusze byli jak zmije pozbawione klow. Przynajmniej na razie. – Mam nadzieje, ze nie sciagniemy na twoj dom gniewu faryzeuszy, Szymonie – powiedzial Joszua.

Szymon machnal z lekcewazeniem reka. – Nie ma zmartwienia. Zadni faryzeusze tu nie przyjda. Akan sie mnie boi, a jezeli naprawde uwierzyl, ze Maggie jest opetana, jesli jego przyjaciele w to uwierza… no coz, zaloze sie, ze juz sie z nia rozwiodl. – Moze wiec wrocic z nami do Galilei – zaproponowalem. Patrzylem na Joszue, ktory patrzyl na Szymona, jakby go

pytal o zgode. – Moze robic, co tylko sobie zyczy. – Zycze sobie wyniesc sie z Betanii, zanim Akan odzyska rozsadek – oznajmila Maggie, wchodzac do pokoju. Miala na sobie prosta welniana sukienke. Jej wlosy wciaz byly mokre, a na sandalach zostaly slady zielonej mazi. Podeszla, przyklekla i uscisnela brata, po czym ucalowala go w brew. – Jesli tu zajrzy albo przysle kogos z pytaniem, odpowiesz mu, ze nadal tu przebywam. Wyczulem, ze Szymon usmiecha sie pod plotnem. – Nie sadzisz, ze zechce wejsc i sprawdzic? – To tchorz. – Maggie splunela. – Amen – rzeklem. – Jak wytrzymalas tyle lat z takim dupkiem? – Po pierwszym roku nie chcial sie juz do mnie zblizac. Nieczysta, rozumiesz? Mowilam mu, ze krwawie. – Przez tyle lat? – Pewnie. Myslisz, ze odwazylby sie pytac innych czlonkow rady faryzeuszy o ich zony? Joszua znow sie odezwal: – Moge uleczyc cie z tej przypadlosci, Maggie, jesli mi pozwolisz. – Jakiej przypadlosci? – Powinniscie ruszac – stwierdzil Szymon. – Zawiadomie was, co robi Akan, jak tylko sie czegos dowiem. Jesli jeszcze nie rozwiodl sie z Maggie, mam tam przyjaciela, ktory podsunie mu mysl, ze moze byc zagrozone jego miejsce w Sanhedrynie.

Szymon i Marta machali nam z progu – Marta wygladala jak krepy duch swojej starszej siostry, Szymon wygladal po prostu jak duch. I tak bylo nas jedenascioro.

Swiecil ksiezyc w pelni, a niebo bylo pelne gwiazd, kiedy wracalismy do Getsemani. Ze szczytu Gory Oliwnej moglismy spojrzec ponad Dolina Cedronu ku Swiatyni. Czarny dym unosil sie ku niebu ze stosow ofiarnych, w ktorych kaplani dzien i noc podtrzymywali ogien. Trzymalem Maggie za reke, kiedy szlismy przez zagajnik starych drzewek oliwnych, a potem na polane przy tloczni, gdzie zalozylismy oboz. Filip i Nataniel rozpalili ognisko, a obok nich siedzieli dwaj obcy. Wszyscy wstali, kiedy sie zblizylismy. Filip popatrzyl na mnie niechetnie, co mnie zaskoczylo… Dopiero po chwili przypomnialem sobie, ze byl z nami w Kanie i widzial, jak Joszua tanczy z Maggie na weselu. Myslal pewnie, ze chce ukrasc Joshowi dziewczyne. Puscilem dlon Maggie. – Nauczycielu – odezwal sie Nataniel, potrzasajac zoltymi wlosami. – Nowi uczniowie. To Tadeusz i Tomasz Blizniaki.

Tadeusz podszedl do Joszui. Byl mniej wiecej w moim wieku i mojego wzrostu, nosil podarta welniana tunike i byl bardzo wychudzony, jakby glodowal. Wlosy mial sciete krotko, jak Rzymianie, tylko u niego wygladaly, jakby ktos strzygl go tepym krzemieniem. Wydawal mi sie skads znajomy. – Rabbi, sluchalem twoich kazan, kiedy towarzyszyles Janowi. Ja sam bylem z nim przez dwa lata.

Wyznawca Jana… To stamtad go znalem, choc nie pamietam, zebysmy sie spotkali. Tlumaczylo to rowniez jego wyglodniale spojrzenie. – Witaj, Tadeuszu – powiedzial Joszua. – To sa Biff i Maria Magdalena, uczniowie i przyjaciele. – Nazywaj mnie Maggie – wtracila Maggie.

Joszua stanal przy Tomaszu, ktory byl tylko jednym facetem, mlodszym od nas, moze dwudziestoletnim, z broda jak delikatny puszek. Ubieral sie lepiej niz ktokolwiek z nas. – I Tomasz. – Stoj, stanales na Tomaszu Dwa – pisnal Tomasz. Nataniel odepchnal Joszue na bok i odrobine za glosno szepnal mu do ucha: – Widzi swojego blizniaka, gdzie nikt inny go nie widzi. Mowiles, by okazywac milosierdzie, wiec mu nie powiedzialem, ze jest oblakany. – A zatem i

tobie okazane bedzie milosierdzie, Natanielu – zapewnil Joszua. – I dlatego nie powie ci, ze jestes oferma – dodalem. – Witaj, Tomaszu. – Joszua objal chlopaka. – I Tomaszu Dwa – uzupelnil Tomasz. – Wybacz. Witaj i ty, Tomaszu Dwa – zwrocil sie Joszua do calkiem pustego miejsca. – Chodzcie do Galilei i pomozcie nam glosic dobra nowine. – On jest tam – oswiadczyl Tomasz, wskazujac inne, ale rowniez puste miejsce. I tak bylo nas trzynascioro.

W drodze do Kafarnaum Maggie opowiedziala nam o swoim zyciu, o marzeniach, ktore porzucila, o dziecku, ktore zmarlo w pierwszym roku jej malzenstwa. Widzialem, ze Joszua byl wstrzasniety. Zgadywalem, co mysli: gdybysmy nie wyruszyli na Wschod, bylby przy niej i zdolal ocalic to dziecko. – Potem Akan juz sie do mnie nie zblizal – mowila dalej Maggie. – Po smierci dziecka zaczely sie krwawienia, i jesli o niego chodzi, nigdy nie ustaly. Zawsze sie bal, by ktos nie pomyslal, ze nad jego domem ciazy klatwa. W efekcie moje malzenskie obowiazki pozostaly jedynie publiczne. Chociaz dla niego byl to obosieczny miecz. By uchodzic za sumienna, musialam uczeszczac do synagogi i na dziedziniec kobiet w Swiatyni. Ale gdyby uznali, ze chodze tam, krwawiac, przepedziliby mnie, moze nawet ukamienowali, Akan zas bylby pohanbiony. Kto wie, co teraz zrobi. – Rozwiedzie sie z toba – stwierdzilem. – Musi, jezeli chce zachowac twarz wobec faryzeuszy i w Sanhedrynie.

Dziwne, ale to Joszua nie mogl sie pogodzic z tragedia Maggie. Ona sama zyla z tym przez lata, plakala po utraconym dziecku i jesli to mozliwe, zaleczyla te rane. Ale dla Joszuy rana byla swieza. Wlokl sie daleko za nami i stronil od nowych uczniow, ktorzy biegali wokol jak podekscytowane szczeniaki. Widzialem, ze rozmawia z ojcem i domyslalem sie, ze rozmowa nie jest latwa. – Idz z nim pogadaj – szepnela Maggie. – To nie jego wina. To wola boza. – I dlatego czuje sie odpowiedzialny – odparlem.

Nie mowilismy jeszcze Maggie o Duchu Swietym, o Krolestwie i wszystkich zmianach, jakie Joszua zamierzal przyniesc ludzkosci, i jak te zmiany niekiedy klocily sie z Tora. – Idz z nim pogadaj – powtorzyla.

Zwolnilem. Mineli mnie Filip z Tadeuszem, ktorzy probowali tlumaczyc Natanielowi, ze kiedy zatka palcami uszy i sie odezwie, uslyszy swoj wlasny glos, nie glos Boga. A za nimi Tomasz, ktory prowadzil ozywiona dyskusje z powietrzem. Nim sie odezwalem, przez chwile szedlem obok Joszuy. Probowalem mowic rzeczowo. – Musiales wyruszyc na Wschod, Joszua. Wiesz przeciez. – Nie musialem odchodzic wlasnie wtedy. To bylo tchorzostwo. Czy naprawde nie moglem obejrzec wesela Maggie i Akana? Zobaczyc narodzin ich dziecka? – Nie, nie mogles. Nie mozesz wszystkich ocalic. – Czys ty przespal ostatnie dwadziescia lat? – A ty? Jesli nie mozesz zmienic przeszlosci, to marnujesz terazniejszosc na wyrzuty sumienia. Jesli nie wykorzystasz tego, czego sie nauczyles na Wschodzie, to moze nie powinnismy tam wyruszac. Moze rzeczywiscie tchorzostwem bylo opuszczenie Izraela.

Czulem, ze twarz mi dretwieje, jak gdyby odplynela z niej cala krew. Czy naprawde to powiedzialem? Przez dlugi czas szlismy w milczeniu, nie patrzac na siebie. Liczylem ptaki, nasluchiwalem szmeru glosow uczniow przed nami, przygladalem sie, jak w rytm krokow kolysze sie pod sukienka tylek Maggie, jednak elegancja tych ruchow wlasciwie do mnie nie

docierala. – No dobrze – odezwal sie w koncu Joszua. – Ja przynajmniej czuje sie juz lepiej. Dzieki za slowa pociechy. – Zawsze chetnie pomoge – zapewnilem.

Przybylismy do Kafarnaum rankiem piatego dnia od opuszczenia Betanii. Piotr i pozostali glosili dobra nowine na brzegu w Galilei; czekal juz na nas tlum okolo pieciuset ludzi. Napiecie miedzy mna a Joszua opadlo i reszta drogi uplynela dosc milo, zwlaszcza ze moglismy sluchac, jak Maggie sie smieje i jak sie z nami drazni. Powrocila zazdrosc o Joszue, ale nie byla juz gorzka. Przypominala raczej znajomy zal po dawnej stracie, nie ten miecz w piersi i cialo rozrywane agonia zlamanego serca. Potrafilem juz zostawic ich dwoje samych i rozmawiac z innymi – a nawet myslec o innych sprawach. Maggie kochala Joszue, to pewne, ale kochala i mnie; nikt nie mogl przewidziec, czym sie to objawi. Ruszajac za Joszua, uwolnilismy sie od zobowiazan normalnej egzystencji. Malzenstwo, dom i rodzina nie byly elementami zycia, jakie sobie wybralismy. Joszua tlumaczyl to wszystkim swoim uczniom. Owszem, niektorzy byli zonaci, niektorzy nawet glosili kazania, majac zony przy boku. Jednakze bylo cos, do odroznialo ich od tlumow, ktore mialy podazyc za Joszua: zeszli ze sciezki wlasnego zycia, by glosic Slowo. I to wlasnie Slowo odebralo mi Maggie, nie Joszua.

Choc byl zmeczony i glodny, Joszua wyglosil kazanie. Przeciez ludzie czekali na nas i Joszua nie chcial ich zawiesc. Wspial sie do jednej z lodzi Piotra, odplynal od brzegu dosc daleko, by caly tlum mogl go widziec, i przez dwie godziny opowiadal im o Krolestwie.

Gdy skonczyl i odeslal tlum, wsrod uczniow pozostali dwaj nowo przybyli – obaj krepi, mocno zbudowani, przed trzydziestka. Jeden byl gladko ogolony i mial krotko sciete wlosy, tak ze tworzyly helm kedziorow na glowie, drugi nosil dlugie wlosy, a brode zapleciona i ufryzowana, jak to widzialem czasem u Grekow. Nie mieli zadnych ozdob, ubrania zas nie bardziej wyszukane od naszych, roztaczali jednak wokol aure bogactwa. Moze to byla wladza, ale jesli nawet, to nie ta falszywie skromna wladza faryzeuszy. Obaj byli pewni siebie. Ten z dlugimi wlosami podszedl do Joszuy i ukleknal. – Rabbi, uslyszelismy, jak mowisz o nadejsciu Krolestwa. Chcemy sie do ciebie przylaczyc. Chcemy pomoc w gloszeniu Slowa.

Nim odpowiedzial, Joszua przygladal mu sie dlugo i usmiechal. Wreszcie chwycil przybysza za ramiona i postawil na nogi. – Wstan. Witajcie wsrod nas, przyjaciele. Obcy wydawal sie zaskoczony. – To jest Szymon. – Ruchem glowy wskazal swego towarzysza. – A ja jestem Judasz Iskariota. – Wiem, kim jestescie – odparl Joszua. – Czekalem na was.

I tak bylo nas pietnascioro: Joszua, Maggie i ja; cynik Bartlomiej; Piotr i Andrzej, Jan i Jakub, rybacy; Mateusz, poborca; Nataniel z Kany, mlody balwan; Filip i Tadeusz, ktorzy podazali kiedys za Janem Chrzcicielem; Tomasz Blizniak, ktory byl wariatem; oraz zeloci, Szymon Kananejczyk i Judasz Iskariota. Pietnascioro nas ruszylo przez Galilee, by glosic Ducha Swietego, nastanie Krolestwa i dobra nowine, ze oto pojawil sie Syn Bozy.

Posluga Joszuy trwala trzy lata, wtedy to glosil nauki niekiedy nawet po trzy razy dziennie. I chociaz mial lepsze i gorsze momenty, nigdy nie moglem tych kazan zapamietac doslownie. W zasadzie jednak sens kazdego byl taki: Powinienes byc mily dla ludzi, nawet dupkow. I jesli: a)

wierzysz, ze Joszua jest Synem Bozym (oraz) b) przybyl, aby zbawic cie od grzechu (oraz) c) uznasz w sobie Ducha Swietego (bedziesz jak dziecko, jak by on to powiedzial) (oraz) d) nie bedziesz bluznil przeciwko Duchowi Swietemu (patrz c) wtedy bedziesz e) zyl wiecznie f) w jakims milym miejscu g)zapewne w niebie. Jednakze, gdybys h) grzeszyl (i/lub) i) byl hipokryta (i/lub) j) cenil rzeczy doczesne ponad ludzi (i) k) nie przestrzegal a, b, c oraz d wtedy masz l) przepieprzone.

Taka wiadomosc wiele lat temu przekazal Joszui ojciec. Wtedy wydawala sie zwiezla az do granic niegrzecznosci, nabierala jednak sensu, kiedy czlowiek wysluchal paruset kazan.

Tego nauczal, tego sie nauczylismy, to przekazywalismy ludziom w miasteczkach Galilei. Nie wszystkim dobrze to szlo, a niektorzy chyba calkiem gubili podstawowy sens. Pewnego razu Joszua, ja i Maggie wrocilismy z nauczania w Kanie i znalezlismy Bartlomieja, jak glosil Ewangelie kregowi siedzacych wokol niego psow. Psy wydawaly sie zasluchane, ale tez Bart zamiast czapki mial na glowie porzadny stek. Tak ze nie jestem przekonany, czy to jego talent oratorski przyciagal ich uwage.

Joszua zerwal mu stek z glowy i rzucil na ulice, gdzie nagle z tuzin psow zobaczyl swiatlo wiary. – Bart, Bart, Bart… – rzekl Joszua i potrzasnal wielkoludem. – Nie dawaj psom tego co swiete. Nie rzucaj perel przed wieprze. Marnujesz Slowo. – Nie mam zadnych perel. Nie jestem niewolnikiem wlasnosci. – To metafora, Bart – wyjasnil z kamienna twarza Josh. – To znaczy, zebys nie nauczal Slowa tych, ktorzy nie sa jeszcze gotowi, by je przyjac. – Znaczy, to tak jak wtedy, kiedy potopiles te swinie w Dekapolu? Nie byly gotowe? Joszua zerknal na mnie, szukajac pomocy. Wzruszylem ramionami. – Dokladnie tak, Bartlomieju – zapewnila Maggie. – Doskonale zrozumiales. – Aha… Dlaczego od razu nie mowiliscie? Dobra, moi drodzy, ruszamy glosic Slowo w Magdali. Wstal i powiodl stado swych uczniow w strone jeziora. Joszua spojrzal na Maggie. – Wcale nie o to mi chodzilo. – Wlasnie ze o to – odparla.

I odeszla szukac Joanny i Zuzanny, dwoch kobiet, ktore przylaczyly sie do nas i uczyly sie glosic Ewangelie. – Zupelnie nie to mialem na mysli – zapewnil mnie Joszua. – A wygrales z nia kiedy w dyskusji? Pokrecil glowa. – Wiec powiedz "amen" i chodzmy zobaczyc, co nam ugotowala zona Piotra.

Przed domem Piotra zebrali sie uczniowie. Siedzieli na klockach, ktore ulozylismy w krag wokol paleniska. Wszyscy byli posepni i wydawalo sie, ze sa pograzeni w jakiejs smutnej modlitwie. Byl tu nawet Mateusz, chociaz powinien teraz pracowac i zbierac podatki w Magdali. – Co sie stalo? – zapytal Joszua. – Jan Chrzciciel nie zyje – oznajmil Filip. – Co? – Joszua usiadl i oparl sie o Piotra. – Przed chwila widzielismy Bartlomieja – stwierdzilem. – Nic nam nie mowil. – Wlasnie sie dowiedzielismy – wyjasnil Andrzej. – Mateusz przyniosl wiesci z Tyberiady.

Po raz pierwszy, odkad sie do nas przylaczyl, zobaczylem Mateusza bez blasku entuzjazmu na twarzy. Jakby w ciagu kilku godzin postarzal sie o dziesiec lat. – Herod kazal go sciac – powiedzial. – Myslalem, ze Herod boi sie Jana – zauwazylem. Chodzily sluchy, ze Herod

trzyma Jana przy zyciu, poniewaz naprawde wierzy, ze Jan jest Mesjaszem. I gdyby ow swiety czlowiek zginal, moglby na niego spasc gniew bozy. – Zrobil to na zadanie swojej pasierbicy – wyjasnil Mateusz. – Jan zginal na rozkaz nastoletniej zdziry. – O rany, gdyby nie byl juz martwy, zabilaby go ta ironia – mruknalem. Joszua siedzial wpatrzony w ziemie. Myslal albo sie modlil, trudno powiedziec. – Wyznawcy Jana beda teraz niczym dzieci na pustyni – oswiadczyl w koncu. – Spragnieni? – zgadywal Nataniel. – Glodni? – zgadywal Piotr. – Napaleni? – zgadywal Tomasz. – Nie, tumany! Zagubieni! – zirytowalem sie. – Beda zagubieni! Rany… Joszua wstal. – Filipie, Tadeuszu, ruszycie do Judei i powiecie wyznawcom Jana, ze beda tu mile widziani. Powiecie, ze dzielo Jana nie poszlo na marne. Sprowadzcie ich tutaj. – Alez, nauczycielu… – zaprotestowal Judasz. – Za Janem szly tysiace. Jesli tu przybeda, czym ich wykarmimy? – Jest nowy – wyjasnilem.

Nastepnego dnia przypadal szabat i rankiem wszyscy poszlismy do synagogi. Nagle zza krzakow wybiegl starszy mezczyzna w kosztownych szatach i rzucil sie Joszui do stop. – Rabbi – jeczal. – Jestem burmistrzem w Magdali. Moja najmlodsza corka umarla. Ludzie mowia, ze potrafisz uzdrawiac chorych i wskrzeszac umarlych. Czy zechcesz mi pomoc?

Joszua sie rozejrzal. Szesciu miejscowych faryzeuszy obserwowalo nas z roznych miejsc. Josh zwrocil sie do Piotra: – Dzis ty poniesiesz slowo do synagogi. Ja pomoge temu czlowiekowi. – Dzieki ci, rabbi – odparl bogacz. Ruszyl naprzod i kiwal na nas, by isc za nim. – Dokad nas prowadzisz? – spytalem. – Tylko do Magdali. – To dalej, niz wolno podrozowac w szabat – przypomnialem Joszui. – Wiem – odpowiedzial.

Kiedy po drodze mijalismy nadbrzezne wioski, ludzie wybiegali z domow i szli za nami tak daleko, jak tylko osmielali sie w szabat. Zauwazylem jednak rowniez starszych oraz faryzeuszy, przygladajacych sie nam z uwaga.

Dom burmistrza byl duzy jak na Magdale, a jego corka miala osobna sypialnie. Mezczyzna zaprowadzil tam Joszue. – Blagam, rabbi, uratuj ja. Joszua pochylil sie i obejrzal dziewczyne. – Wyjdz stad – nakazal jej ojcu. – Wyjdz z domu. A kiedy burmistrz odszedl, Josh zwrocil sie do mnie: – Ona nie jest martwa. – Co? – Ta dziewczyna spi. Moze dali jej mocnego wina albo jakis proszek na sen, ale nie jest martwa. – Czyli to pulapka? – Tez sie nie spodziewalem. Mysla pewnie, ze oglosze, ze wskrzesilem ja i uzdrowilem, a ona tylko zasnela. Bluznierstwo i uzdrowienie w szabat. – W takim razie mnie pozwol ja wskrzesic. Poradze sobie, skoro ona tylko usnela. – Beda mnie obwiniac takze za to, co ty zrobisz. Tez mozesz byc ich celem. To nie miejscowi faryzeusze wymyslili taki plan. – Akan? Josh skinal glowa. – Idz, sprowadz tego starca i zbierz jak najwiecej swiadkow, faryzeuszy takze. Narob zamieszania.

Kiedy mniej wiecej piecdziesieciu ludzi zgromadzilo sie w domu i wokol niego, Joszua obwiescil: – Ta dziewczyna nie umarla. Ona tylko spi, niemadry starcze. Potrzasnal ja za ramie, a ona usiadla, przecierajac oczy. – Lepiej pilnuj mocnego wina, starcze. Raduj sie, bo nie utraciles corki, ale placz, gdyz przez swa ignorancje naruszyles szabat.

Po czym wypadl z domu, a ja pobieglem za nim. Odeszlismy juz spory kawalek ulica, nim

zapytal: – Myslisz, ze to kupili? – Nie – odparlem. – Ja tez nie – przyznal Joszua.

Rankiem przybyl do domu Piotra rzymski zolnierz z listami. Spalem jeszcze, kiedy zbudzily mnie krzyki. – Moge rozmawiac tylko z Joszua z Nazaretu – mowil ktos po lacinie. – Bedziesz rozmawial ze mna, albo z nikim juz nigdy nie porozmawiasz – odpowiadal mu ktos inny (najwyrazniej nie mial ochoty na dlugie zycie).

Poderwalem sie w jednej chwili i wybieglem, powiewajac za soba nieprzepasana tunika. Za rogiem domu Piotra zobaczylem Judasza, stojacego przed legionista. Zolnierz wysunal czesciowo miecz. – Judaszu! – warknalem. – Cofnij sie.

Stanalem miedzy nimi. Wiedzialem, ze bez trudu moge rozbroic zolnierza, ale nie legion, ktory przyjdzie po nim, gdybym sprobowal. – Kto cie przysyla, zolnierzu? – spytalem. – Mam wiadomosc od Gajusa Justusa Gallicusa, dowodcy Szostego Legionu, do Joszuy bar Jozefa z Nazaretu. – Ponad moim ramieniem obrzucil gniewnym wzrokiem Judasza. – Ale rozkazy nie powstrzymuja mnie przed zabiciem tego psa, gdy bede ja przekazywal.

Obejrzalem sie na Judasza. Twarz mial czerwona z wscieklosci. Wiedzialem, ze nosi za pasem sztylet, choc nie mowilem o tym Joszui. – Justus jest przyjacielem, Judaszu. – Zaden Rzymianin nie jest przyjacielem Zyda. – Judasz nie staral sie nawet znizyc glosu.

Wtedy zrozumialem, ze Joszua nie dotarl jeszcze do naszego zelockiego rekruta z przekazem wybaczenia dla wszystkich ludzi i ze zaraz pozwoli sie zabic. Szybko siegnalem mu pod tunike, chwycilem za moszne i scisnalem raz, gwaltownie i bardzo mocno. Opryskal mi slina piers, przewrocil oczami i nieprzytomny osunal sie na kolana. Chwycilem go i ulozylem na ziemi, zeby nie rozbil sobie glowy. Potem zwrocilem sie do Rzymianina: – Miewa takie ataki – wyjasnilem. – Chodzmy poszukac Joszuy.

Justus przyslal nam trzy wiadomosci z Jeruzalem: Akan rzeczywiscie rozwiodl sie z Maggie; rada faryzeuszy spotkala sie w pelnym skladzie i knula, jak zabic Joszue; Herod Antypas uslyszal o cudach Joszuy i obawial sie, ze moze on byc reinkarnacja Jana Chrzciciela. Od siebie Justus dopisal tylko jedno slowo: "Uwazaj". – Musisz sie ukryc, Joszuo – uznala Maggie. – Opusc kraine Heroda, dopoki sprawy sie nie uspokoja. Pojedz do Dekapolu, glos Slowo gojom. Herod Filip nie kocha swojego brata, wiec jego zolnierze nie beda cie zaczepiac.

Maggie stala sie oddana kaznodziejka. Calkiem, jakby swoja osobista namietnosc do Joszuy przekula w namietnosc do Slowa.

–Jeszcze nie – odrzekl Josh. – Najpierw musza wrocic Filip i Tadeusz z wyznawcami Jana. Nie porzuce ich zagubionych. Potrzebne mi kazanie, ktore posluzy tak, jakby bylo ostatnim, ktore podtrzyma zblakanych, gdy mnie nie bedzie. Kiedy juz wyglosze je w Galilei, odejde na terytorium Filipa. Zerknalem na Maggie. Skinela glowa, jakby mowila: "Rob, co musisz, ale ochraniaj go". – No to bierzmy sie do pisania – powiedzialem.

Jak kazde wielkie przemowienie, Kazanie na Gorze brzmi tak, jakby wygloszono je

spontanicznie, ale w rzeczywistosci pracowalismy nad nim z Joszua ponad tydzien – on dyktowal, ja notowalem na pergaminie. (Wymyslilem metode mocowania cienkiego kawalka wegla drzewnego miedzy dwoma kawalkami oliwkowego drewna, dzieki czemu moglem pisac, nie noszac ze soba kalamarza i piora). Pracowalismy przed domem Piotra, w lodzi, a nawet na zboczu gory, skad mial wyglosic to kazanie. Joszua zamierzal duza jego czesc poswiecic cudzolostwu; teraz pojmuje, ze motywacja byly moje zwiazki z Maggie. Chociaz Maggie postanowila zyc w celibacie i glosic Slowo, mysle, ze Joszua chcial mocno podkreslic pewne kwestie. – Dopisz to – polecil. – "Jesli mezczyzna chocby spojrzy na kobiete z pozadaniem w sercu, popelnia cudzolostwo". – Naprawde chcesz o tym mowic? A to: "Jesli kobieta rozwiedziona ponownie wyjdzie za maz, popelnia cudzolostwo"? – Tez. – Brzmi dosc surowo. Tak troche faryzejsko. – Mialem na mysli pewne osoby. Co tam zapisales? – "Zaprawde powiadam wam…". Wiem, ze lubisz zaczynac od "zaprawde", kiedy mowisz o cudzolostwie… Ale do rzeczy. "Zaprawde powiadam wam, ze kiedy mezczyzna naklada olejek na nagie cialo kobiety i kaze jej biegac na czworakach i szczekac jak pies, kiedy jednoczesnie ja poznaje, wiecie, co mam na mysli, wtedy popelnia cudzolostwo, i z cala pewnoscia gdy kobieta to samo z nim czyni, takze wskakuje na wozek cudzolostwa. A jesli kobieta udaje, ze jest potezna krolowa, a mezczyzna jej nedznym niewolnikiem, i jesli nazywa go ponizajacymi imionami i kaze wylizywac swe cialo, wtedy bez watpienia grzesza oboje jak wielkie psy… A biada mezczyznie, ktory udaje, ze jest potezna krolowa i…". – Wystarczy, Biff. – Ale powinienes chyba mowic konkretnie, prawda? Nie chcesz przeciez, zeby ludzie lazili w kolko i sie zastanawiali: "Zaraz, a to cudzolostwo, czy jak? Moze lepiej sie odwroc?". – Nie jestem pewien, czy ten poziom szczegolow to dobry pomysl. – No dobra, co powiesz na to: "Jesli mezczyzna i kobieta podejma dowolne dzialanie wzajemne ze swymi czesciami wstydliwymi, wtedy istnieje spora szansa, ze popelniaja cudzolostwo, a przynajmniej powinni te mozliwosc rozwazyc"? – No nie, moze jednak bardziej konkretnie. – Wiesz, Josh, to nie jest takie proste, jak "Nie bedziesz zabijal". W takim przypadku zasadniczo, jak masz trupa, to masz grzech. Zgadza sie? – Tak, cudzolostwo moze byc sliskie. – No tak… Popatrz, mewa! – Biff, doceniam fakt, ze czujesz sie zobowiazany do obrony swojego ulubionego grzechu, ale nie tego w tej chwili potrzebuje. Potrzebna mi pomoc w pisaniu tego kazania. Jak nam ida Blogoslawienstwa? – Slucham? – No, ci, ktorzy sa blogoslawieni. – Mamy tak: "Blogoslawieni, ktorzy lakna i pragna sprawiedliwosci; blogoslawieni ubodzy duchem, czystego serca, jeczacy, cisi… – Czekaj, a co dajemy cichym? – Czekaj, sprawdze… O, mam. "Blogoslawieni cisi, do nich bowiem powiemy: Brawo, chlopcy!". – Troche slabe. – Fakt. – To pozwolmy cichym posiasc ziemie. – A nie mozesz oddac ziemi jeczacym? – Wiesz co? Wytnij jeczacych i oddajmy ziemie cichym. – No dobra, ziemia dla cichych. Dalej: "Blogoslawieni pokoj czyniacy, ktorzy sie smuca" i koniec. – Ile tego jest? – Siedem. – Nie wystarczy. Potrzebujemy jeszcze jednego. Co powiesz na przyglupow? – Nie, Josh, przyglupy nie. Dosc juz uczyniles dla przyglupow. Nataniel, Tomasz… – Blogoslawieni przyglupi, bo… nie wiem… nigdy nie doznaja zawodu. – Nie, na przyglupow sie nie zgadzam. Sluchaj, Josh, czemu nie mozemy miec po swojej stronie zadnych waznych gosci? Czemu to musza byc cisi, ubodzy, dreczeni i ogolnie olewani? Czemu przynajmniej raz nie mozemy blogoslawic wielkich, poteznych, bogatych facetow z mieczami? – Ponieważ oni nas nie potrzebuja. – No dobrze. Ale zadnego "Blogoslawieni przyglupi". – Wiec kto? – Zdziry? – Nie. – A moze trzepiacy gruche? Przychodzi mi do glowy pieciu czy szesciu

uczniow, ktorzy naprawde byliby blogoslawieni. – Trzepiacy gruche nie. Juz mam: "Blogoslawieni, ktorzy cierpia przesladowanie dla sprawiedliwosci". – Rzeczywiscie lepiej. A co chcesz im dac? – Kosz owocow. – Nie mozesz dawac cichym calej ziemi, a tym gosciom tylko kosza owocow, – To daj im Krolestwo Niebieskie. – Maja je juz ubodzy duchem. – Kazdy dostanie kawalek. – No dobrze, wiec "Dzielic beda Krolestwo Niebieskie". – Zapisalem to. – Kosz z owocami moglibysmy dac przyglupom. – ZADNYCH PRZYGLUPOW! – Przepraszam, ale zal mi ich. – Tobie kazdego jest zal, Joszua. Taki masz zawod. – No tak. Zapomnialem.

Skonczylismy pisac kazanie kilka godzin przed powrotem z Judei Filipa i Tadeusza. Przyprowadzili kilka tysiecy wyznawcow Jana. Joszua zebral ich wszystkich na zboczu powyzej Ka-farnaum, po czym wyslal w tlum swoich uczniow, by wyszukali i przyprowadzili mu chorych, a potem przez caly ranek dokonywal cudownych uzdrowien. Po poludniu zwolal nas wszystkich do zrodla u stop gory. – Na wzgorzu jest jeszcze przynajmniej tysiac ludzi z Galilei, Joszuo – powiedzial Piotr. – I wszyscy sa glodni. – Ile mamy jedzenia? Podszedl Judasz z koszem. – Piec chlebow i dwie ryby. – Wystarczy, ale potrzebujemy wiecej koszy. I kolo setki ochotnikow, zeby rozdawali zywnosc. Nataniel, ty, Bartlomiej i Tomasz przejdzcie sie wsrod tlumu i przyprowadzcie tu piecdziesieciu do stu ludzi z wlasnymi koszami. Zanim wrocicie, bedziemy mieli dla nich jedzenie. Judasz rzucil kosz na ziemie. – Mamy piec chlebow. Jak ci sie wydaje…? Joszua uniosl dlon i zelota sie zamknal. – Judaszu, widziales dzisiaj, jak chromi chodza, slepi widza i glusi slysza. – Nie wspominajac juz o tym, ze glusi widza i slepi slysza – dodalem. Joszua rzucil mi gniewne spojrzenie. – Niewiele wiecej trzeba, by wykarmic wiernych. – Ale to tylko piec chlebow! – krzyknal Judasz. – Judaszu, zyl kiedys czlowiek bogaty, ktory budowal wielkie stodoly i spichlerze, by zachowac owoce swego bogactwa do poznego wieku. Ale wlasnie tego dnia, kiedy stodoly byly ukonczone, rzekl Pan: "Hej, potrzebny nam jestes tutaj, na gorze". A ow bogacz powiedzial: "O, szlag! Jestem martwy". Wiec na co mu sie to wszystko przydalo? – Co? – Nie martw sie, co bedziesz jadl.

Nataniel, Bart i Tomasz ruszyli wypelnic polecenie, ale Mag-gie zlapala Nataniela i zatrzymala w miejscu. – Nie – powiedziala. – Nikt nic nie zrobi, dopoki nam nie obiecasz, ze po tym kazaniu sie ukryjesz. Joszua sie usmiechnal. – Jak moge sie ukrywac, Maggie? Kto bedzie glosil Slowo? Kto uzdrowi chorych? – My – odparla Maggie. – A teraz obiecaj. Odejdz na ziemie gojow, gdzie Herod cie nie dosiegnie. Dopoki wszystko sie nie uspokoi. Obiecaj, bo sie nie ruszymy.

Piotr i Andrzej staneli za Maggie, by pokazac, ze ja popieraja. Jan i Jakub kiwali glowami, gdy mowila. – Niech tak bedzie – ustapil Joszua. – Ale teraz mamy glodnych do nakarmienia.

I nakarmilismy ich. Chleby i ryby zostaly pomnozone, z okolicznych wiosek przyniesiono dzbany i napelnione woda dostarczono na zbocze. A przez caly czas miejscowi faryzeusze patrzyli, warczeli gniewnie i szpiegowali; nie przeoczyli uzdrowien i nie przeoczyli Kazania na Gorze, a wiadomosc o nim dotarla do Jeruzalem wraz z ich jadowitymi raportami. Potem, przy zrodle niedaleko brzegu, zebralem pozostale kawalki chleba, by zabrac je ze soba do domu. Joszua zszedl na brzeg z koszem na glowie; zdjal go, stajac przy mnie. – Kiedy mowilismy, ze powinienes sie ukrywac, chodzilo nam o cos mniej oczywistego. A przy okazji: swietne kazanie.

Joszua pomagal mi w zbieraniu rozrzuconego chleba. – Chcialem z toba porozmawiac, ale nie moglem sie wyrwac z tlumu. Dlatego schowalem sie pod koszem. Troche mi trudno mowic o pokorze. – Ale swietnie ci wychodzi. Ludzie ustawiaja sie w kolejce, zeby wysluchac kazania o pokorze. – Jak moge glosic, ze kto sie poniza, bedzie wywyzszonym, a kto sie wywyzsza, bedzie ponizony, kiedy rownoczesnie sam jestem wywyzszany przez cztery tysiace ludzi? – Bodhisattwa, Josh. Pamietaj, czego nauczal Kasper o byciu bodhisattwa. Nie musisz sie ponizac, poniewaz odrzucasz wlasne wywyzszenie, niosac dobra nowine innym. Wypadasz z obiegu pokory, ze tak powiem. – Ach, tak. – Usmiechnal sie. – Ale skoro juz o tym wspomniales, rzeczywiscie wydaje sie to troche obludne. – Nie jestem z tego dumny. – Aha, no to w porzadku.

Tego wieczoru, kiedy wrocilismy wszyscy do Kafarnaum, Joszua zebral nas w kregu wokol ogniska przed domem Piotra. Patrzylismy na ostatnie promienie slonca, odbijajace sie zlotem od powierzchni jeziora, a Joszua poprowadzil modly dziekczynne. A potem rzucil wezwanie: – No dobra, kto chce byc apostolem? – Ja chce, ja! – zawolal Nataniel. – A co to jest apostol? – To ktos, kto robi lekarstwa – wyjasnilem. – Ja, ja. – Natanie! ucieszyl sie. – Ja chce robic lekarstwa. – Moge sprobowac – rzucil Jan. – To aptekarz – poprawil mnie Mateusz. – Aptekarz miesza rozne proszki i robi lekarstwa. Apostol pochodzi od "posylac". – Ten dzieciak to jakis geniusz, czy jak? – spytalem, wskazujac Mateusza kciukiem. – Masz racje – zgodzil sie z nim Joszua. – Poslancy. Zostaniecie poslani z wiescia, ze nadeszlo Krolestwo. – Czy nie to wlasnie robimy? – zdziwil sie Piotr. – Nie. Teraz jestescie uczniami. Ale chce wyznaczyc apostolow, ktorzy rozniosa Slowo na Ziemi. Bedzie ich dwunastu, dla dwunastu plemion Izraela. Dam wam moc uzdrawiania i wladze nad duchami nieczystymi. Bedziecie jak ja, tylko w innym stroju. Nie zabierzecie ze soba niczego procz swych ubran. Zyc bedziecie z milosierdzia tych, ktorych nauczacie. Bedziecie samotni jak owce miedzy wilkami. Ludzie beda was przesladowac i opluwac, moze nawet biczowac, a jesli sie to zdarzy, no coz, to sie zdarzy. Strzasnijcie proch i idzcie dalej. No wiec, kto sie zglasza? Wsrod uczniow zapadla straszliwa cisza. – Moze ty, Maggie? – Nie jestem wedrowniczka, Josh. Dostaje mdlosci. Dobrze mi jako uczennicy. – A ty, Biff? – Mnie tu dobrze. Dzieki.

Joszua wstal wtedy i zwyczajnie ich odliczyl. – Nataniel, Piotr, Andrzej, Filip, Jakub, Jan, Tadeusz, Judasz, Mateusz, Tomasz, Bartlomiej i Szymon. Jestescie apostolami. A teraz idzcie i apostolujcie. Spojrzeli po sobie. – Rozglaszajcie dobra nowine, Syn Czlowieczy sie zjawil. Krolestwo jest blisko. No juz! Juz! Juz! Wstali i tak jakby krecili sie dookola. – Mozemy zabrac nasze zony? – zapytal Jakub. – Tak. – Albo jedna z uczennic? – zapytal Mateusz. – Tak. – Czy Tomasz Dwa tez moze isc? – Tak, Tomasz Dwa tez moze. Otrzymawszy odpowiedzi na swe pytania, pokrecili sie jeszcze troche. – Biff – zwrocil sie od mnie Joszua – moze przydzielisz im terytoria i poslesz w droge? – Oki-doki – odpowiedzialem. – Kto chce Samarie? Nikt? Dobrze. Piotrze, jest twoja. Doloz im. Cezarea? No dalej, mieczaki, ustawiac sie…

I tak dwunastu wyznaczono do swietej misji. Nastepnego dnia zjawilo sie przed Joszua siedemdziesieciu ludzi, ktorych wybralismy, by pomagali rozdzielac tlumom zywnosc. Slyszeli juz o wyznaczeniu apostolow. – Dlaczego tylko dwunastu? – zapytal ktorys z nich. – Wszyscy

chcecie zostawic to, co macie, opuscic rodziny, narazac sie na przesladowania i smierc, by glosic dobra nowine? – Tak! – krzykneli chorem. Joszua spojrzal na mnie, jakby nie mogl w to uwierzyc. – To bylo naprawde swietne kazanie – powiedzialem. – Niech tak bedzie – postanowil. – Biff i Mateusz, przydzielcie im tereny. Nikogo nie posylajcie do jego rodzinnego miasta. To nie wychodzi najlepiej.

1 tak zostalo poslanych dwunastu i siedemdziesieciu, a Joszua, Maggie i ja poplynelismy do Dekapolu, bedacego pod wladza Filipa, brata Heroda. Biwakowalismy tam, lowilismy ryby i ogolnie sie ukrywalismy. Joszua wyglaszal czasem kazania, ale dla niewielkich grup. I chociaz uzdrawial chorych, prosil ich, by nikomu nie opowiadali o cudach.

Po trzech miesiacach na terytorium rzadzonym przez Filipa, lodzia z drugiego brzegu dotarla do nas wiadomosc, ze ktos interweniowal w sprawie Joszuy. Wyrok smierci od faryzeuszy, ktorego nigdy oficjalnie nie wydano, zostal uchylony. Wrocilismy wiec do Kafarnaum i czekalismy na powrot apostolow. Ich entuzjazm opadl nieco po miesiacach pracy w terenie. – Wszystko do niczego. – Ludzie sa wredni. – Dreszcz przechodzi na widok tredowatych. Mateusz przybyl z Judei, niosac wiesci o tajemniczym dobroczyncy Joszui z Jeruzalem. – Nazywa sie Jozef z Arymatei – opowiadal. – Jest bogatym kupcem, ma statki, winnice i tlocznie oliwy. Faryzeusze chyba sie z nim licza, ale nie jest jednym z nich. Bogactwo dalo mu tez pewne wplywy u Rzymian. Rozwazaja, czy nie uczynic go obywatelem. Tak slyszalem. – A dlaczego chce nam pomoc? – spytalem. – Dlugo z nim rozmawialem o Krolestwie, o Duchu Swietym i reszcie przeslania Joszuy. On wierzy. – Mateusz usmiechnal sie szeroko, wyraznie dumny z nawrocenia bogacza. – Chce, Joszuo, zebys przybyl do jego domu na uczte. W Jeruzalem. – Jestes pewien, ze to bezpieczne? – upewnila sie Maggie. – Jozef wyslal ten list, gwarantujacy bezpieczenstwo Joszui i wszystkim, ktorzy beda mu towarzyszyc w Jeruzalem. Mateusz pokazal list. Maggie wziela go i rozwinela pergamin. – Jest tu tez moje imie. I BifFa. – Jozef wiedzial, ze przyjdziesz. A ja wytlumaczylem mu, ze Biff trzyma sie Joszuy jak pijawka. – Slucham? – To znaczy, ze towarzyszysz nauczycielowi w podrozach, dokadkolwiek by sie udawal – wyjasnil pospiesznie Mateusz. – Ale dlaczego ja? – dopytywala sie Maggie. – Twoj brat Szymon, ktory jest nazywany Lazarzem, ciezko choruje. Umiera. Pytal o ciebie. Jozef chcial, by ci przekazac, ze mozesz go bezpiecznie odwiedzic. Josh chwycil swoja sakwe i chcial natychmiast ruszac. – Idziemy – powiedzial. – Piotrze, ty mnie zastepujesz, dopoki nie wroce. BifF, Maggie, musimy przed zmrokiem dotrzec do Tyberiady. Moze uda sie tam wypozyczyc wielblady. Mateuszu, ty tez chodz, znasz tego Jozefa. I ty, Tomaszu, zabierz sie z nami, chce z toba porozmawiac.

I tak poszlismy; moim zdaniem prosto w pulapke. Po drodze Joszua przywolal Tomasza, by szedl obok niego. Maggie i ja maszerowalismy tylko kilka krokow za nimi, wiec slyszelismy cala rozmowe. Tomasz ciagle sie zatrzymywal, by sprawdzic, czy Tomasz Dwa za nimi nadaza. – Wszyscy uwazaja, ze jestem szalony – poskarzyl sie. – Smieja sie ze mnie za plecami. Tomasz Dwa mi mowil. – Tomaszu, wiesz przeciez, ze moge polozyc na tobie dlonie i zostaniesz uleczony. Tomasz Dwa nie bedzie sie wiecej odzywal. Inni nie beda z ciebie drwili.

Tomasz szedl przez chwile w milczeniu, ale kiedy spojrzal na Joszue, zobaczylem lzy na jego

policzku. – Jesli Tomasz Dwa odejdzie, zostane sam. – Nie bedziesz sam. Bedziesz mial mnie. – Nie na dlugo. Niewiele czasu zostalo ci miedzy nami. – Skad to wiesz? – Tomasz Dwa mi powiedzial. – Nie zdradzisz tego pozostalym, Tomaszu, prawda? Jeszcze nie. – Nie, jesli nie chcesz. Ale nie uleczysz mnie, dobrze? Nie sprawisz, by Tomasz Dwa odszedl? – Nie – zgodzil sie Joszua. – Niedlugo obaj mozemy potrzebowac przyjaciela. Poklepal Tomasza po ramieniu, po czym ruszyl szybciej, by dogonic Mateusza. – Ale nie nadeptuj na niego! – krzyknal Tomasz. – Przepraszam. Spojrzalem na Maggie. – Slyszalas to? Skinela glowa. – Nie mozesz do tego dopuscic, Biff. On chyba nie troszczy sie o wlasne zycie, ale ja sie troszcze, i ty tez, a jesli pozwolisz, zeby spotkalo go cos zlego, to nigdy ci nie wybacze. – Alez, Maggie, kazdemu przeciez bedzie wybaczone. – Nie tobie. Nie, jesli cos sie przydarzy Joshowi. – Niech tak bedzie. No wiec, kiedy Joszua juz uzdrowi twojego brata, masz na cos ochote? Jakis sok z granatow, falafel, moze malzenstwo albo co? Stanela jak wryta, wiec i ja sie zatrzymalem. – Czy ty w ogole zwracasz uwage na cokolwiek, co dzieje sie wokol ciebie? – Przepraszam, na chwile porwala mnie wiara. A co mowilas?

Kiedy dotarlismy do Betanii, Marta czekala na nas na ulicy przed domem Szymona. Podeszla do Joszuy, a on wyciagnal rece na powitanie, ale go odepchnela. – Moj brat nie zyje – oznajmila. – Gdzie byles? – Przyszlismy, jak tylko sie dowiedzialem.

Maggie objela Marte i obie sie rozplakaly. My zas stalismy zaklopotani dookola. Z drugiej strony ulicy podeszli Crustus i Abel, dwaj slepcy, ktorych Josh uzdrowil. – Umarl. Martwy i od czterech dni w grobie – powiedzial Crustus. – Pod koniec nabral barwy chartreuse. – Szmaragdowej – poprawil go Abel. – To byl szmaragd, nie chartreuse. – A wiec moj przyjaciel Szymon zasnal naprawde – rzekl Joszua. Podszedl Tomasz i polozyl mu dlon na ramieniu. – Nie, nauczycielu, on umarl. Tomasz Dwa sadzi, ze mogl sie zadlawic klaczkiem. Szymon byl tygrysem, wiesz? Nie moglem juz tego zniesc. – On byl TREDOWATY, ty idioto! Nie pregowany! – Ale jest martwy! – odkrzyknal Tomasz. – A nie spiacy! – Nie sadzicie, chlopcy, ze moglibyscie okazac troche wieksza wrazliwosc? – wtracil Mateusz, wskazujac dwie zaplakane siostry. – Sluchaj no, poborco, kiedy bede chcial twoich dwoch szekli, to poprosze… – Gdzie on jest? – Glos Joszuy zahuczal ponad szlochami i klotnia. Marta wyrwala sie z objec siostry. – Wykupil grob w Cedronie. – Zaprowadzcie mnie tam, chce obudzic mojego przyjaciela. Iskierka nadziei blysnela przez lzy w oczach Marty. – Obudzic go? – Martwy jak kolek. Martwy jak Mojzesz. Mmff… Mateusz zatkal Tomaszowi usta, co oszczedzilo mi wysilku pozbawienia go przytomnosci cegla. – Wierzysz, ze twoj brat Szymon zmartwychwstanie? – zapytal Joszua. – W dniu ostatecznym, kiedy nastanie Krolestwo i wszyscy zmartwychwstana… Tak, wierze. – Czy wierzysz, ze jestem tym, kim mowie, ze jestem? – Oczywiscie. – Wiec pokaz mi, gdzie lezy moj uspiony przyjaciel.

Marta poruszala sie jak lunatyczka; zmeczenie i bol zelzaly na tyle, by mogla poprowadzic nas droga przez Gore Oliwna, a potem w dol, w Doline Cedronu. Maggie takze byla wstrzasnieta wiescia o smierci brata. Mateusz i Tomasz podtrzymywali ja w marszu, a ja szedlem z Joszua. – Martwy od czterech dni, Josh. Cztery dni. Boska Iskra czy nie, cialo jest juz puste. – Szymon znow bedzie chodzil, chocby zostaly same kosci – zapewnil Joszua. – Oki-doki. Ale ten cud nigdy ci dobrze nie wychodzil.

Gdy dotarlismy do grobu, siedzial przy nim wysoki, szczuply, arystokratyczny mezczyzna. Jadl fige. Byl gladko ogolony, a siwe wlosy mial sciete krotko, jak Rzymianie. Gdyby nie nosil pasiastej tuniki Zyda, wzialbym go za obywatela Rzymu. – Odgadlem, ze sie tu zjawicie – rzekl. Uklakl przed Joszua. – Rabbi, jestem Jozef z Arymatei. Przez twego ucznia Mateusza przeslalem wiadomosc, ze chcialbym sie z toba spotkac. Jak moge ci sluzyc? – Wstan, Jozefie. Pomoz odsunac kamien.

Jak w licznych wiekszych grobach, wyrytych w zboczu, wejscie zaslanial plaski kamien. Pchnelismy go na bok, gdy tymczasem Joszua objal Marte i Maggie. Kiedy zostala zlamana pieczec, zalala mnie fala smrodu, od ktorego stracilem oddech. Tomasz zwrocil na piasek kolacje. – Cuchnie – stwierdzil Mateusz. – Myslalem, ze bedzie pachnial bardziej jak kot – wyznal Tomasz.

Odepchnelismy kamien ile sie dalo, a potem odbieglismy, dyszac ciezko i chwytajac powietrze. Joszua wzniosl rece, jakby chcial uscisnac przyjaciela. – Wyjdz, Szymonie Lazarzu! Wyjdz na zewnatrz! Ale z grobu wydobywal sie jedynie smrod. – Wyjdz, Szymonie. Wyjdz z tego grobu – rozkazal Joszua. Absolutnie nic sie nie stalo. Jozef z Arymatei przestepowal niepewnie z nogi na noge. – Chcialem z toba porozmawiac o przyjeciu w moim domu, Joszuo. Joszua uniosl reke, nakazujac milczenie. – Szymonie, do licha, wylaz stamtad! Z grobu dobiegl cichy, bardzo slaby glos: – Nie. – Co to znaczy "nie"? Zostales wskrzeszony, a teraz wychodz. Pokaz tym niedowiarkom, ze powstales z martwych. – Ja wierze – zapewnilem. – Mnie przekonales – dodal Mateusz. – Jezeli o mnie chodzi, to "nie" jest rownie dobre jak osobiste pojawienie – oswiadczyl Jozef z Arymatei.

Nie jestem pewien, czy ktokolwiek z nas, ktorzy poczuli smrod gnijacego ciala, chcialby ogladac jego zrodlo. Nawet Maggie i Marta chyba troche zwatpily w powrot brata. – Szymonie, zbierz swoj tredowaty tylek i wylaz! – rozkazal Joszua. – Ale ja… caly jestem kleisty. – Widzielismy juz kleistych. Wyjdz teraz na swiatlo dnia. – Skore mam zielona jak niedojrzala oliwka. – Oliwkowy! – wykrzyknal Crustus, ktory przyszedl za nami do Cedronu. – Mowilem ci, ze nie chartreuse. – Jest martwy. Co on moze wiedziec – odparl Abel. W koncu Joszua opuscil rece i wsciekly wmaszerowal do grobu. – Nie moge uwierzyc! Czlowiek przywoluje takiego z martwych, a on nie raczy nawet wyjsc z… OJEJ! SWIETA PIETA!

Joszua wyszedl z grobu tylem, na sztywnych nogach. Bardzo cicho, bardzo spokojnie, powiedzial: – Potrzebujemy czystego plotna, wody do plukania i bandazy, duzo bandazy. Moge go uzdrowic, ale najpierw musimy tak jakby poskladac razem wszystkie jego czesci. Odwrocil sie. – Czekaj, Szymonie! – krzyknal do wnetrza grobu. – Przyniesiemy troche materialow, a wtedy wejde i ulecze cie z twojej przypadlosci. – Jakiej przypadlosci? – zapytal Szymon.

Kiedy wszystko dobieglo konca, Szymon wygladal lepiej niz kiedykolwiek. Joszua nie tylko wskrzesil z martwych, ale uleczyl jego trad. Maggie i Marta byly uszczesliwione. Nowy, ulepszony Szymon zaprosil nas do domu, by uczcic te okazje. Niestety, swiadkami zmartwychwstania i uzdrowienia byli Abel i Crustus; mimo naszych ostrzezen, zaczeli rozpowiadac te historie w Betanii i Jeruzalem. Jozef z Arymatei towarzyszyl nam w domu

Szymona, ale nie byl w najlepszym nastroju. – To przyjecie nie jest wlasciwie pulapka – wyjasnil Joszui. – To raczej proba. – Bylem juz na jednej z ich prob przez kolacje – odparl Joszua. – Myslalem, ze wierzysz. – Wierze – zapewnil Jozef. – Zwlaszcza po tym, co dzisiaj widzialem. Ale wlasnie dlatego musisz przyjsc do mojego domu na kolacje z faryzeuszami z rady. Pokazac im, kim jestes. Wytlumaczyc na nieformalnym gruncie, co tak naprawde robisz. – Sam Szatan prosil mnie kiedys, bym sie wykazal. Jaki dowod jestem winien tym hipokrytom? – Prosze cie, Joszuo… Moga byc hipokrytami, ale maja wielkie wplywy wsrod ludzi. Poniewaz cie skazuja, ludzie boja sie sluchac Slowa. Znam Poncjusza Pilata, dlatego nie sadze, zeby ktos probowal cie skrzywdzic w moim domu i narazal sie na jego gniew. Przez chwile Joszua zastanawial sie, saczac wino. – A zatem udam sie do tego gniazda zmij. – Nie rob tego, Josh – zaprotestowalem. – Bedziesz musial przyjsc sam – dodal Jozef. – Nie wolno ci przyprowadzic zadnego apostola. – To nie problem – zapewnilem. – Jestem tylko uczniem. – Zwlaszcza nie jego. Akan bar Iban tam bedzie. – Widze, ze dla mnie rowniez to kolejna noc w domu. – Maggie westchnela.

Pozniej wszyscy machalismy na pozegnanie, patrzac, jak Jozef i Joszua wracaja do Jeruzalem na uczte w domu Jozefa. – Kiedy tylko znikna za rogiem, idz za nimi – nakazala Maggie. – Oczywiscie. – Trzymaj sie blisko, zebys uslyszal, gdyby cie potrzebowal. – Absolutnie. – Chodz.

Wciagnela mnie za drzwi, zeby inni nie widzieli, i obdarowala jednym z tych pocalunkow, po ktorych na kilka minut zapominam, jak sie nazywam, i zderzam sie ze scianami. Ten byl pierwszy od wielu miesiecy. Potem puscila mnie i odsunela na dlugosc reki. – Wiesz, ze gdyby nie bylo Joszuy, nie pokochalabym nikogo procz ciebie – powiedziala. – Nie musisz mnie przekupywac, Maggie, zebym go pilnowal. – Wiem. Miedzy innymi dlatego cie kocham. A teraz idz.

Dlugie lata podkradania sie do mnichow w klasztorze oplacily sie teraz, kiedy sledzilem Joszue i Jozefa na ulicach Jeruzalem. Nie mieli pojecia, ze za nimi ide. Przemykalem od cienia do cienia, od muru do drzewa, az w koncu dotarlismy do domu Jozefa, o rzut kamieniem od palacu arcykaplana Kajfasza. Dom Jozefa z Arymatei byl tylko troche mniejszy od palacu, jednak na dachu sasiedniego budynku udalo mi sie znalezc dogodny punkt obserwacyjny. Przez okno moglem stamtad widziec cale przyjecie, a jednoczesnie miec oko na drzwi frontowe.

Joszua i Jozef usiedli w jadalni i przez jakis czas popijali wino tylko we dwoch. Potem sluzba zaczela wprowadzac kolejnych gosci. Przybywali dwojkami i trojkami. Bylo ich dwunastu, kiedy podano kolacje – wszyscy faryzeusze, ktorzy uczestniczyli w kolacji w domu Akana, plus pieciu innych, ktorych jeszcze nie widzialem. Wszyscy jednak byli bardzo powazni; skrupulatnie umyli rece przed posilkiem i kontrolowali siebie nawzajem, czy wszystko jest w porzadku.

Nie slyszalem, o czym mowia, ale niespecjalnie mnie to obchodzilo. Wydawalo sie, ze Joszui nic bezposrednio nie zagraza, a tylko tym sie martwilem – w retorycznych utarczkach sam swietnie sobie radzil. I juz myslalem, ze wszystko skonczy sie bez niemilych incydentow, gdy

zobaczylem na ulicy wysoki kapelusz i biala szate kaplana, a za nim dwoch straznikow ze Swiatyni z ich dlugimi wloczniami o spizowych grotach. Zeskoczylem z dachu i obieglem dom z drugiej strony. Zdazylem akurat na czas, by zobaczyc, jak sluga wprowadza kaplana do srodka. Kiedy tylko Joszua przekroczyl prog domu Szymona, Marta i Maggie obsypaly go pocalunkami, jakby wracal z wojny. Potem posadzily go przy stole i zaczely wypytywac o przyjecie. – Najpierw krzyczeli na mnie, ze sie bawie, pije wino i ucztuje. Mowili, ze gdybym byl prawdziwym prorokiem, poscilbym. – I co im odpowiedziales? – spytalem, troche zdyszany, gdyz bieglem, by dotrzec do Szymona przed Joszua. – Powiedzialem, ze przeciez Jan nie jadl niczego procz owadow, nigdy nie sprobowal wina i z cala pewnoscia nigdy sie nie bawil, a jednak mu nie uwierzyli. Wiec niby jakie normy probuja ustanawiac? I prosze, czy ktos moglby mi przysunac tabuli? – I co oni na to? – Zaczeli na mnie wrzeszczec, ze siadam do stolu z poborcami podatkow i jawnogrzesznicami. – Zaraz… – odezwal sie Mateusz. – Zaraz… – odezwala sie Marta. – Nie chodzilo im o ciebie, Marto, tylko o Maggie. – Zaraz… – odezwala sie Maggie. – Odpowiedzialem, ze jawnogrzesznice i poborcy jeszcze przed nimi zobacza Krolestwo Boze. Potem wrzeszczeli, ze uzdrawiam w szabat, ze nie myje rak przed jedzeniem, ze jestem w przymierzu z diablem i ze bluznie, twierdzac, ze jestem Synem Bozym. – I co potem? – Potem podali deser. Ciasto z daktylami i miodem. Smakowalo mi. A potem do drzwi zapukal jakis typ w szatach kaplana. – Oj-oj – zmartwil sie Mateusz. – Tak, bylo niedobrze – zgodzil sie Joszua. – Krazyl i szeptal cos faryzeuszom do ucha. A potem Akan zapytal, jakim prawem wskrzesilem Szymona z martwych. – Co mu powiedziales? – Nic nie powiedzialem, nie przy tym saduceuszu. Ale Jozef wytlumaczyl, ze Szymon wcale nie byl martwy, tylko spal. – A oni jak zareagowali? – Zapytali mnie, jakim prawem go obudzilem. – A ty na to? – Wtedy sie rozzloscilem. Powiedzialem, ze prawem Boga i Ducha Swietego, prawem Mojzesza i Eliasza, prawem Dawida i Salomona, prawem gromu i blyskawicy, prawem morza i powietrza, i ognia na ziemi. Tak powiedzialem. – I co oni? – Powiedzieli, ze Szymon musi miec bardzo mocny sen. – Sarkazm sie marnuje u tych typow – uznalem. – Calkiem sie marnuje – zgodzil sie Joszua. – W kazdym razie wtedy wyszedlem i przed domem zobaczylem dwoch straznikow ze Swiatyni. Drzewca ich wloczni byly polamane, a oni sami nieprzytomni. Jeden mial krew na czaszce. No wiec uleczylem ich i kiedy zobaczylem, ze dochodza do siebie, wrocilem tutaj. – Nie pomysla, ze to ty napadles straznikow? – zaniepokoil sie Szymon. – Nie, ten kaplan schodzil zaraz za mna. Zauwazyl ich w tej samej chwili co ja. – A to uleczenie go nie przekonalo? – Niespecjalnie. – Wiec co teraz zrobimy? – Mysle, ze powinnismy wrocic do Galilei. Jozef przysle wiadomosc, jesli na spotkaniu rady cokolwiek postanowia. – Wiesz, co postanowia – oswiadczyla Maggie. – Zagrazasz im. A teraz wlaczyli w te sprawe kaplanow. Wiesz, co sie stanie. – Tak, wiem – przyznal Joszua. – Ale ty nie. Rankiem ruszamy do Kafarnaum.

Pozniej Maggie przyszla do mnie, do duzego pokoju w domu Szymona, gdzie wszyscy ulozylismy sie na noc. Wczolgala sie na moje poslanie i przysunela wargi do mojego ucha. Pachniala cytryna i cynamonem, jak zawsze. – Co zrobiles tym straznikom? – szepnela. – Zaskoczylem ich. Pomyslalem, ze moze przyszli aresztowac Joszue. – Moze teraz go aresztuja przez ciebie. – Sluchaj, robilas to juz kiedys? Bo jesli masz jakis plan, to prosze, wyjaw mi go. Osobiscie wymyslam wszystko na biezaco. – Dobrze zrobiles – szepnela. Pocalowala mnie w ucho. – Dziekuje. Siegnalem po nia, ale sie odsunela. – I nadal nie mam zamiaru z toba spac –

dodala.

Poslaniec musial jechac dniami i nocami, zeby nas wyprzedzic, ale kiedy dotarlismy do Kafarnaum, czekala juz na nas wiadomosc od Jozefa z Arymatei.

Joszuo, rada faryzeuszy skazala Cie na smierc za bluznierstwo. Herod sie zgodzil. Nie wydano oficjalnego wyroku, sugeruje jednak, bys zabral swoich uczniow na terytorium Heroda Filipa i zostal tam, dopoki sytuacja sie nie uspokoi. Na razie nic nie slychac od kaplanow – to dobrze. Bardzo przyjemnie bylo goscic Cie na kolacji, zajrzyj koniecznie, kiedy znow bedziesz w miescie.

Twoj przyjaciel Jozef z Arymatei

Joszua przeczytal nam glosno ten list, a potem wskazal na odludny szczyt gory na polnocnym brzegu jeziora, niedaleko Betsaidy. – Nim znow opuscimy Galilee, udam sie na te gore. Zostane tam, dopoki nie przyjda wszyscy Galilejczycy, ktorzy chca wysluchac dobrej nowiny. Dopiero wtedy przejde na terytoria rzadzone przez Filipa. Idzcie teraz i szukajcie wiernych. Powiedzcie im, gdzie mnie znajda. – Joszuo – rzekl Piotr. – Przy synagodze jest juz dwustu do trzystu chorych i chromych. Czekaja, bys ich uzdrowil. Przychodzili przez wszystkie te dni, gdy cie tu nie bylo. – Czemu nic nie mowiles? – Bartlomiej ich powital i zapisal imiona. Powiedzielismy, ze spotkasz sie z nimi, jak tylko bedziesz mial mozliwosc. Wszystko z nimi w porzadku. – Od czasu do czasu przeprowadzam obok nich swoje psy, tam i z powrotem, zeby widzieli, ze jestesmy zajeci.

Joszua popedzil do synagogi, wymachujac rekami, jakby pytal Boga, dlaczego pokaral go taka banda tepakow… Choc z drugiej strony moglem blednie odczytac znaczenie gestow. Rozeszlismy sie wiec po Galilei, by zapowiadac, ze Joszua wyglosi wielkie kazanie na gorze na polnoc od Kafarnaum. Maggie i ja wedrowalismy razem, wraz z Szymonem Kananej-czykiem i przyjaciolkami Maggie, Joanna i Zuzanna. Postanowilismy zrobic trzydniowa petle wokol polnocnej Galilei. Droga miala nas poprowadzic przez dziesiatki miasteczek i z powrotem pod gore, akurat na czas, bysmy zdazyli pomoc w organizowaniu przybywajacych pielgrzymow. Pierwszej nocy rozbilismy oboz w zacisznej dolinie pod miasteczkiem Jamnith. Zjedlismy przy ogniu chleb i ser, a potem Szymon i ja popijalismy wino, kobiety zas ulozyly sie do snu. Po raz pierwszy moglem porozmawiac z zelota bez krecacego sie w poblizu jego przyjaciela Judasza. – Mam nadzieje, ze teraz Joszua zwali im to Krolestwo na glowy – rzekl Szymon. – Inaczej bede musial znalezc innego proroka, zeby ofiarowac mu swoj miecz. Zakrztusilem sie winem. Oddalem mu buklak, probujac odzyskac oddech. – Szymonie – powiedzialem. – Czy ty wierzysz, ze on jest Synem Bozym? – Nie. – Nie wierzysz, a jednak podazasz za nim? – Nie twierdze przeciez, ze nie jest wielkim prorokiem. Ale Chrystusem? Synem Bozym? Nie wiem. – Wedrowales z nim. Slyszales, co mowi. Widziales jego wladze nad demonami i nad ludzmi. Patrzyles, jak uzdrawia. Jak karmi. I o co zawsze prosi? – O nic. O miejsce do spania. Troche jedzenia. Troche wina. – A gdybys ty potrafil to wszystko, co chcialbys miec? Szymon odchylil glowe, spojrzal w gwiazdy i pozwolil, by poniosla go wyobraznia. – Chcialbym miec liczne wioski i wiele kobiet w swoim lozu. Chcialbym piekny palac i niewolnikow, by mnie obmywali. Najwspanialsze potrawy i wina, i zeby krolowie przybywali z daleka, by chocby spojrzec na moje zloto. Bylbym wspanialy. – Ale Joszua ma tylko swoje sandaly i plaszcz. Szymon ocknal sie z rozmarzenia i nie byl tym zachwycony. – To, ze jestem slaby, jego nie czyni jeszcze Chrystusem. – Wlasnie to czyni go Chrystusem. – Moze jest zwyczajnie naiwny. – Mozesz w to wierzyc. – Oddalem mu buklak. – Dokoncz sam. Ja ide spac. Szymon uniosl brwi. – Ta Magdalena jest wspaniala kobieta. Mezczyzna moze calkiem w niej zatonac.

Nabralem tchu i pomyslalem o obronie honoru Maggie, a moze nawet ostrzezeniu Szymona przed podchodzeniem do niej, ale potem zrezygnowalem. Zelocie przyda sie lekcja, ktorej ja nie potrafilbym udzielic. Maggie potrafila. – Dobrej nocy, Szymonie – powiedzialem.

Rankiem zobaczylem Szymona siedzacego przy wystyglych popiolach ogniska, z glowa wsparta na rekach. – Szymonie…

Uniosl glowe i zobaczylem wielkiego fioletowego guza na czole, tuz ponizej granicy rzymskiej fryzury. Na samym srodku lsnila kropla krwi. Prawe oko spuchlo mu tak, ze ledwie mogl rozchylic powieke. – Auu – jeknalem. – Jak to sie stalo? Maggie wyszla akurat zza krzaka. – Przez pomylke chcial sie wczolgac na poslanie Zuzanny. Wzielam go za napastnika, wiec oczywiscie przylozylam kamieniem. – Oczywiscie – zgodzilem sie. – Przepraszam cie, Szymonie – powiedziala Maggie. Slyszalem, jak Zuzanna i Joanna chichocza za krzakami. – To byla pomylka – zapewnil Szymon. Nie wiedzialem, czy ma na mysli pomylke swoja, czy Maggie, ale tak czy tak, klamal. – Dobrze sie sklada, ze jestes apostolem – stwierdzilem. – Do poludnia wszystko uleczysz.

Zakonczylismy petle po polnocnej Galilei i rzeczywiscie, rany Szymona prawie sie zagoily, nim wrocilismy pod gore w poblizu Betsaidy. Joszua czekal juz na nas, a z nim piec tysiecy wiernych. – Nie moge sie im wyrwac, zeby poszukac koszy – narzekal Piotr. – Gdziekolwiek pojde, idzie za mna piecdziesieciu ludzi – oswiadczyl Judasz. – Jak niby mamy im dostarczyc jedzenie, skoro nie pozwalaja nam pracowac?

Podobne skargi slyszalem od Mateusza, Jakuba i Andrzeja, i nawet Tomasz jeczal, ze nadeptuja na Tomasza Dwa. Joszua pomnozyl siedem chlebow dostatecznie, by nakarmic te tlumy, ale nikt nie mogl sie przedostac do zywnosci, by ja rozdzielic. Maggie i ja w koncu przebilismy sie na szczyt gory i tam zobaczylismy, jak Joszua wyglasza kazanie. Dal ludziom znak, ze robi przerwe, po czym podszedl do nas. – To wspaniale – oswiadczyl. – Tylu wiernych… – Ehm, Josh… – Tak, wiem – rzekl. – Wy dwoje pojdziecie do Magdali. Znajdziecie duza lodz i przyprowadzicie tutaj. Kiedy juz nakarmimy wiernych, przysle do was uczniow. Wyplyncie na jezioro i czekajcie na mnie.

Udalo nam sie wyrwac z tlumu Jana. Zabralismy go ze soba, zeby pomogl w zeglowaniu. Ani Maggie, ani ja nie czulismy sie dostatecznie pewnie, by bez zadnego z rybakow na pokladzie poprowadzic duza lodz. Pol dnia pozniej zacumowalismy w Betsaidzie. Inni apostolowie juz na nas czekali. – Przeprowadzil ich na druga strone gory – wyjasnil Piotr. – Udzieli blogoslawienstwa, a potem posle ich swoja droga. Miejmy nadzieje, ze wroca do domow, a wtedy on spotka sie z nami. – Widzieliscie w tlumie jakichs zolnierzy? – spytalem. – Jeszcze nie, ale w tej chwili powinnismy juz byc u Heroda Filipa. Faryzeusze kreca sie na obrzezach tlumu, jakby wiedzieli, ze cos ma sie zdarzyc.

Sadzilismy, ze przyplynie do nas, albo powiosluje w jednej z mniejszych lodek, ale kiedy wreszcie zszedl na brzeg, wciaz szly za nim tlumy. A on po prostu szedl dalej, po powierzchni wody do lodzi. Wierni zatrzymali sie na brzegu i wiwatowali. Nawet nas zadziwil ten nowy cud, wiec siedzielismy w lodzi i rozdziawialismy usta. Joszua sie zblizal. – Co? – zapytal. – Co? Co? Co? – Nauczycielu, ty chodzisz po wodzie – powiedzial Piotr. – Niedawno jadlem. Przez godzine po jedzeniu nie wolno zanurzac sie w wodzie, bo moze zlapac kurcz. Co jest, zaden z was nie mial matki? – To cud! – wykrzyknal Piotr. – To nic trudnego. – Joszua machnieciem reki odrzucil teorie cudu. – Calkiem latwe. Naprawde, Piotrze, powinienes sprobowac. Piotr niepewnie stanal w lodzi. – Powaznie, sprobuj. Piotr zaczal ostroznie zdejmowac tunike. – Niczego nie zdejmuj – ponaglil go Joszua. – Sandalow tez nie. – Ale, Panie, to calkiem nowa

tunika. – A zatem nie mocz jej, Piotrze. Podejdz do mnie. Stan na wodzie. Piotr wysunal jedna noge za burte i do wody. – Zaufaj swej wierze, Piotrze! – wrzasnalem. – Jesli nie uwierzysz, pewno ci sie nie uda.

Piotr dotknal obiema stopami wody, i przez ulamek sekundy zdawalo sie, ze stoi na powierzchni. I wszyscy bylismy zdumieni. – Patrzcie, ja…

Zanurzyl sie jak kamien. Wyplynal, plujac woda. Wszyscy zwijalismy sie ze smiechu, nawet Josh, ktory smial sie tak glosno, ze zapadl sie w wodzie po kostki. – Nie moge uwierzyc, ze dales sie tak wkrecic – oswiadczyl. Przebiegl po wodzie i pomogl nam wciagnac Piotra do lodzi. – Piotrze, jestes tepy jak skrzynia skal. Ale niezwykle mocna masz wiare. Zbuduje wiec Kosciol na tej skrzyni skal. – Kazesz Piotrowi budowac Kosciol? – zaniepokoil sie Filip. – Bo on probowal chodzic po wodzie? – A czy ty bys sprobowal? – To oczywiste, ze nie. Nie umiem plywac. – Wiec czyja wiara jest mocniejsza?

Joszua wspial sie do lodzi i strzasnal z sandalow wode. Potem zmierzwil mokre wlosy Piotra. – Ktos musi kierowac Kosciolem, gdy ja odejde, a odejde wkrotce. Wiosna udamy sie do Jeruzalem na Pasche, a tam zostane osadzony przez kaplanow i uczonych w pismie, bede torturowany i zgladzony. Ale po trzech dniach od mojej smierci zmartwychwstane i znow bede wsrod was.

Kiedy Joszua mowil, Maggie sciskala mnie za ramie. Kiedy skonczyl, jej paznokcie wbily mi sie w biceps az do krwi. Cien bolu przemknal po twarzach uczniow. Spogladalismy nie po sobie, ani nie na dno lodzi, ale w miejsce o kilka stop przed twarzami – chyba tam, gdzie szuka sie jasnej odpowiedzi, by wynurzyla sie z chaosu. – Glupi pomysl – stwierdzil ktos.

Wyladowalismy w poblizu miasta Hippos, na wschodnim brzegu Jeziora Galilejskiego, dokladnie naprzeciw Tyberiady. Joszua byl tu juz, kiedy ukrywal sie po raz pierwszy. Zyli tu ludzie, ktorzy chetnie przyjma w swoich domach apostolow, dopoki Joszua znowu nie posle ich w swiat.

Przywiezlismy wiele koszy odlamkow chleba z Betsaidy, a Judasz i Szymon pomogli mi je wyladowac z lodzi – brodzilismy tam i z powrotem po plyciznie, gdzie rzucilismy kotwice, gdyz w Hippos nie bylo portu. – Chleb lezal w stosach jak male gory – mowil Judasz. – O wiele wiecej niz wtedy, kiedy nakarmilismy piec tysiecy. Zydowska armia moglaby walczyc wiele dni, majac takie zapasy. Jesli Rzymianie czegokolwiek nas nauczyli, to wlasnie tego, ze armia walczy brzuchami.

Zatrzymalem sie i spojrzalem na niego. Stojacy obok Szymon postawil kosz na ziemi i odchylil tunike, ukazujac rekojesc sztyletu. – Krolestwo bedzie nasze tylko wtedy, kiedy odbierzemy je mieczem. Nie mielismy oporow przed rozlewaniem rzymskiej krwi. Nie ma pana procz Boga. Siegnalem reka i delikatnie zaslonilem sztylet Szymona. – Slyszales kiedys, zeby Joszua mowil o krzywdzeniu kogokolwiek? Nawet wrogow? – Nie – przyznal Judasz. – Nie moze otwarcie mowic o odebraniu Krolestwa, dopoki nie jest gotow, by uderzyc. Dlatego

zawsze opowiada te swoje przypowiesci. – To garnek zjelczalego masla jaka – dobiegl glos z lodzi. Joszua usiadl; siec wisiala mu na glowie jak wystrzepiony szal modlitewny. Spal na rufie i zupelnie o nim zapomnielismy. – Biff, zbierz wszystkich tutaj, na plazy. Najwyrazniej nie wyrazalem sie dostatecznie zrozumiale dla kazdego.

Rzucilem kosz i pobieglem do miasta po reszte. W niecala godzine siedzielismy wszyscy na brzegu, a Joszua krazyl przed nami. – Krolestwo jest otwarte dla kazdego – oswiadczyl. – Kaz-de-go. Jasne? Wszyscy kiwneli glowami. – Nawet Rzymian. Przestali kiwac. – Krolestwo Boze nadejdzie, ale Rzymianie pozostana w Izraelu. Krolestwo Boze nie ma nic wspolnego z Krolestwem Izraela. Czy wszyscy to rozumiecie? – Ale Mesjasz mial przeciez poprowadzic nasz lud do wolnosci! – zawolal Judasz. – Nie ma pana procz Boga – dodal Szymon. – Zamknijcie sie – przerwal im Joszua. – Nie zostalem wyslany, by przynosic gniew. Trafimy do Krolestwa poprzez milosierdzie, nie podboj. Ludzie, przeciez juz o tym mowilismy. Nie zrozumieliscie? – A jak wyrzucimy Rzymian z Krolestwa Bozego?! – krzyknal Nataniel. – To przeciez powinienes rozumiec – odparl Joszua. – Ty zoltowlosy dziwolagu. Jeszcze raz: nie mozemy wyrzucic Rzymian z Krolestwa, bo Krolestwo jest otwarte dla wszystkich.

I wydaje mi sie, ze rozumieli. Rozumieli przynajmniej obaj zeloci, bo wygladali na bardzo rozczarowanych. Cale zycie czekali na Mesjasza, ktory przybedzie i miazdzac Rzymian, ustanowi Krolestwo, a teraz ow Mesjasz tlumaczyl im wlasnymi boskimi slowami, ze tak sie nie stanie. A potem Joszua zaczal z przypowiesciami. – Krolestwo jest niczym pole pszenicy z chwastami. Nie mozna wyrwac chwastu, nie niszczac przy tym pszenicy. Tepe spojrzenia. Podwojnie tepe u rybakow, ktorzy nic nie lapali z rolniczych metafor. – Chwast to rajgras – wyjasnil Joszua. – Splata swoje korzenie z korzeniami pszenicy i jeczmienia. Nie da sie go wyrwac, nie niszczac plonu. Nikt nie zrozumial. No dobra – podjal Joszua. – Dzieci Boze to dobrzy ludzie, a zli to chwasty. Trafiaja sie jedni i drudzy. A kiedy nadejdzie czas, anioly wyrwa niegodziwych i ich spala. – Nie chwytam – wyznal Piotr.

Potrzasnal glowa, az zafalowala siwa grzywa, jakby byl oszolomionym lwem, usilujacym wytrzasnac z glowy widok latajacej antylopy. – Jak wy w ogole glosicie Slowo, jesli nie rozumiecie takich rzeczy? Jeszcze raz: Krolestwo.Niebieskie jest jak… no, jak kupiec szukajacy perel. – Jak te przed wieprze? – upewnil sie Bartlomiej. – Tak, Bart! Tak! Tylko tym razem zadnych wieprzy. Ale perly takie same.

Trzy godziny pozniej Joszua nadal sie meczyl. Konczyly mu sie juz pomysly, do czego moglby porownac Krolestwo Niebieskie – jego ulubione ziarnko gorczycy zawiodlo przy trzech roznych probach. – No dobrze. Krolestwo jest jak malpa. – Mowil chrapliwie i glos mu sie lamal. – Niby jak? – Zydowska malpa, jasne? – Jest jak malpa zjadajaca ziarna gorczycy? Wstalem, podszedlem do Joszuy i objalem go. – Josh, zrob sobie przerwe. Odprowadzilem go brzegiem w strone wioski. Krecil glowa. – To najglupsze sukinsyny na Ziemi. – Sa jak male dzieci, tak jak im powiedziales. – Jak glupie dzieci – burknal Joszua.

Uslyszalem za nami kroki i Maggie zarzucila nam rece na szyje. Z glosnym cmokniecieem pocalowala Josha w czolo i zrobila ruch, jakby chciala to samo zrobic ze mna, wiec cofnalem sie

szybko. – To wy zachowujecie sie jak ciamajdy. Obaj sie wsciekacie i narzekacie na ich inteligencje, a przeciez nie z jej powodu sa tutaj. Czy w ogole slyszeliscie ich kazania? Ja tak. Piotr umie juz uzdrawiac chorych. Widzialam. Widzialam, jak Jakub sprawia, ze chromi chodza. Wiara nie jest aktem inteligencji, to akt wyobrazni. Za kazdym razem, kiedy podajesz im nowa metafore Krolestwa, widza te metafore: ziarno gorczycy, pole, ogrod, winnice… To jakby pokazywac cos kotu. Kot patrzy na palec, nie na to, co sie pokazuje. Oni nie musza niczego rozumiec, musza tylko wierzyc. I wierza. Wyobrazaja sobie Krolestwo takie, jakim by je chcieli widziec, nie musza go pojmowac, ono jest, moga je uznawac. Wyobraznia, nie intelekt.

Maggie puscila nas i stanela obok, usmiechajac sie jak oblakana. Joszua popatrzyl na nia, potem na mnie. Wzruszylem ramionami. – Mowilem ci, ze jest madrzejsza od nas obu. – Wiem. Chyba nie wytrzymuje, kiedy oboje macie racje tego samego dnia. Potrzebuje czasu, zeby pomyslec i sie pomodlic. – No to mysl. – Maggie mu pomachala.

Zatrzymalem sie i patrzylem, jak moj przyjaciel wchodzi do wioski. Nie mialem pojecia, co wlasciwie powinienem teraz zrobic. Obejrzalem sie na Maggie. – Slyszalas te przepowiednie o swiecie Paschy? Skinela glowa. – Zakladam, ze nie rozmawiales z nim na ten temat? – Nie wiem co powiedziec. – Musimy go namowic, zeby sie wycofal. Jesli wie, co go czeka w Jeruzalem, po co ma tam isc? Czemu sie nie wybierze do Fenicji albo Syrii? Moglby nawet zaniesc dobra nowine do Grecji, a bylby bezpieczny. Sa tam ludzie, ktorzy chodza po calym kraju i glosza rozmaite idee. Wez takiego Bartlomieja i jego Cynikow. – Kiedy bylismy w Indiach, widzielismy festiwal w miescie bogini Kali. To bogini zniszczenia, Maggie. I byla to najbardziej krwawa ceremonia, jaka widzialem: tysiace zarznietych zwierzat, setki scietych wiezniow. Caly swiat wydawal sie sliski od krwi. Joszua i ja uratowalismy przed zarabaniem grupke dzieci, ale kiedy wszystko sie skonczylo, powtarzal ciagle: "Dosc ofiar. Nigdy wiecej". Maggie spojrzala na mnie, jakby czekala na dalszy ciag. – I co? To bylo okropne. Co niby mial powiedziec? – On nie mowil do mnie, Maggie. Mowil do Boga. I nie wydaje mi sie, zeby to byla prosba. – Chcesz powiedziec, ze wydaje mu sie, ze ojciec planuje go zabic, bo Joszua chce wszystko zmienic, a Joszua nie moze tego uniknac, bo to wola Boga? – Nie. Chce powiedziec, ze pozwoli sie zabic, by pokazac ojcu, ze trzeba cos zmienic. I wcale nie ma zamiaru tego unikac.

Przez trzy miesiace blagalismy, prosilismy, przekonywalismy i plakalismy, ale nie potrafilismy sklonic Joszuy, by nie szedl do Jeruzalem na Pasche. Jozef z Arymatei przeslal wiadomosc, ze faryzeusze i saduceusze nadal spiskuja przeciwko niemu, ze Akan oskarza wyznawcow Joszuy na dziedzincu kobiet przed Swiatynia. Ale grozby tylko umacnialy Joszue w jego decyzji. Pare razy udalo sia nam z Maggie zwiazac go i wrzucic na dno lodzi; uzywalismy wezlow, ktorych nauczylismy sie od braci rybakow, Piotra i Andrzeja. Jednak zawsze wychodzil po kilku minutach, trzymajac krepujace go powrozy i mowiac cos w stylu: "Dobre wezly, ale jednak nie dosc dobre, prawda?". Nim wyruszylismy do Jeruzalem, Maggie i ja zamartwialismy sie calymi dniami. – Moze sie mylic co do tej egzekucji – stwierdzilem. – Tak, faktycznie moze – zgodzila sie Maggie. – A myslisz, ze tak? Znaczy, ze sie myli? – Mysle, ze dostane mdlosci. – Nie wydaje mi sie, zeby go to powstrzymalo.

I rzeczywiscie. Nastepnego dnia powedrowalismy do Jeruzalem. Po drodze zatrzymalismy sie w miasteczku nad Jordanem, zwanym Beth Shemesh. Siedzielismy tam, posepni i bezradni, obserwujac, jak wzdluz brzegu sunie kolumna pielgrzymow. Nagle z tlumu wyszla stara kobieta i laska zaczela torowac sobie droge miedzy wypoczywajacymi apostolami. – Odsuncie sie, musze porozmawiac z tym czlowiekiem. Rusz sie, niezdaro, powinienes sie umyc. – Przylozyla Bartlomiejowi w glowe, a jego psi kumple zaczeli na nia ujadac. – Cicho tam. Jestem stara kobieta i chce sie zobaczyc z tym Joszua z Nazaretu. – No nie, mamo… – jeknal Jan. Jakub probowal ja zatrzymac, ale pogrozila mu laska. – W czym moge ci pomoc, mateczko? – Jestem zona Zebedeusza, matka tych dwoch. – Laska wskazala Jana i Jakuba. – Slyszalam, ze juz niedlugo trafisz do Krolestwa. – Jesli tak ma byc, to bedzie – odparl Joszua. – No wiec moj maz, Zebedeusz, niech Bog ma w opiece jego dusze, zostawil tym chlopcom dobrze prosperujacy interes. Ale oni podazyli za toba i interes upadl ze szczetem. – Zwrocila sie do synow: – Ze szczetem!

Joszua polozyl dlon na jej ramieniu, ale nie splynelo na nia ukojenie, jakie ludzie odczuwali zwykle po takim dotknieciu. Pani Zebedeuszowa odsunela sie i machnela laska, o wlos chybiajac jego glowy. – Nie probuj ze mna takich sztuczek, panie Gladka Gadka. Moi chlopcy zrujnowali dla ciebie interes ojca, wiec obieaj mi, ze w zamian beda mogli siedziec po obu stronach tronu Krolestwa.

Tak bedzie uczciwie. To dobrzy chlopcy. – Spojrzala na nich. – Gdyby wasz ojciec jeszcze zyl, to umarlby, widzac, co zrobiliscie. – Ale, mateczko, nie ode mnie zalezy, kto bedzie siedzial obok tronu. – A od kogo? – Pan, ojciec moj, o tym decyduje. – No to idz i go zapytaj. – Oparla sie o laske i zaczela tupac noga. – Zaczekam. – Ale… – Chcesz odmowic umierajacej kobiecie spelnienia jej ostatniego zyczenia? – Przeciez nie umierasz. – Ty mnie tutaj zabijasz. Idz sprawdzic. No idz.

Josh spojrzal na nas oglupialy. Wszyscy tchorzliwie odwrocilismy wzrok. W koncu przeciez zaden z nas nie nauczyl sie dotad radzic sobie z zydowska matka. – Wejde na te gore i sprawdze. – Joszua wskazal najwyzszy wierzcholek w okolicy. – No to ruszaj. Chcesz, zebym sie spoznila na Pasche? – Dobrze. Swietnie. Pojde sprawdzic juz teraz.

Josh wycofal sie bardzo powoli i tak jakby bokiem sunal w strone gory. Nazywala sie chyba Tabor. Pani Zebedeuszowa popedzila synow, jakby wyganiala kury z ogrodu. – A wy co, zmieniliscie sie w slupy soli? Idzcie za nim.

Piotr zasmial sie, a ona odwrocila sie blyskawicznie i uniosla laske, gotowa rozlupac mu czaszke. Piotr udal, ze kaszle. – Moze lepiej tez pojde, gdyby potrzebowali swiadka. Pobiegl za Joszua i dwojka braci. Kobieta spojrzala na mnie groznie. – I czego sie gapisz? Myslisz, ze bole porodowe sie koncza, kiedy dzieci odchodza na swoje? Czy zlamane serce mniej boli w innym domu?

Nie bylo ich przez cala noc, bardzo dluga noc, kiedy to wszyscy moglismy posluchac opowiesci o ojcu Jana i Jakuba, Zebedeuszu, ktory najwyrazniej posiadl odwage Daniela, madrosc

Salomona, sile Samsona, oddanie Abrahama, urode Dawida i sprawnosc Goliata, niech Bog ma w opiece jego dusze. (Zabawne, ale Jakub zawsze opisywal ojca jako chudego, sepleniacego czlowieczka). Kiedy cala czworka wynurzyla sie zza wzniesienia, poderwalismy sie wszyscy i pobieglismy ich powitac. Osobiscie chetnie przenioslbym ich na wlasnym grzbiecie, byle tylko ta starucha sie zamknela. – I co? – zapytala. – To bylo zadziwiajace – oswiadczyl Piotr, nie zwracajac na nia uwagi. – Zobaczylismy trzy trony. Na jednym siedzial Mojzesz, na drugim Eliasz, a trzeci czekal przygotowany dla Joszuy. I potezny glos rozlegl sie z nieba, mowiac: "To jest moj Syn, w ktorym mam upodobanie". – A tak, mowil to juz wczesniej – stwierdzilem. – Ale tym razem slyszalem – odparl z usmiechem Josh. – Wiec tylko trzy trony? – mruknela pani Zebedeuszowa. Spojrzala na dwoch synow, ktorzy chowali sie za plecami Joszuy. – Oczywiscie, dla was miejsca juz nie ma. – Odeszla, trzymajac dlon na sercu. – Trzeba sie pewnie cieszyc szczesciem matek Mojzesza, Eliasza i tego chlopaczka z Nazaretu. One nie wiedza, co to znaczy miec ciern w sercu. Powlokla sie brzegiem w strone Jeruzalem. Joszua scisnal braci za ramiona. – Ja to zalatwie – rzucil i pobiegl za pania Zebedeuszowa. Maggie szturchnela mnie, a kiedy sie obejrzalem, zobaczylem, ze ma lzy w oczach. – On sie nie myli – powiedziala. – Fakt – zgodzilem sie. – Moze popros jego matke, zeby go przekonala. Nikt nie potrafi sie jej oprzec… To znaczy, ja nie potrafie. To znaczy, nie jest toba, ale… Patrz! Czy to nie mewa?

CZESC SZOSTA

PASJA

Nikt nie jest doskonaly… Chociaz nie, byl taki jeden gosc, ale go zabilismy. anonimowe

NIEDZIELA

Matka Joszuy i jego brat Jakub spotkali nas przed Zlota Brama Jeruzalem, gdzie czekalismy na Bartlomieja i Jana, ktorzy szukali Nataniela i Filipa, ktorzy mieli wrocic z Jakubem i Andrzejem, ktorzy poszli, by odnalezc Judasza i Tomasza, ktorych poslalismy do miasta, by poszukali Piotra i Maggie, ktorzy mieli sie rozejrzec za Tadeuszem i Szymonem, ktorzy wybrali sie po osiolka. – Mozna by sadzic, ze przez ten czas jakiegos znalezli – stwier dzila Maria.

Zgodnie z proroctwem, Joszua powinien wjechac do miasta na osiolku, zrebieciu oslicy. Oczywiscie, nikt nie zamierzal takiego znalezc. Taki byl plan. Nawet Jakub, brat Joszuy, zgodzil sie uczestniczyc w spisku – poszedl naprzod, by czekac w bramie, na wypadek gdyby ktorys z uczniow nie zrozumial idei i rzeczywiscie przyprowadzil zwierzaka.

Mniej wiecej tysiac wyznawcow Joszuy z Galilei zebral sie na drodze do Zlotej Bramy. Udekorowali szlak palmowymi liscmi, a czekajac na jego tryumfalny wjazd do miasta, przez cale popoludnie wiwatowali i spiewali hosanny. Gdy jednak popoludnie przeszlo w wieczor, rozeszli sie – wszyscy zglodnieli i poszli do miasta, szukac czegos do zjedzenia. Tylko matka Joszuy i ja wciaz czekalismy. – Mialem nadzieje, ze przemowisz mu do rozsadku – zwrocilem

sie do Marii. – Dawno juz zrozumialam, ze to nastapi – odparla. Miala na sobie swoja zwykla niebieska suknie i szal. Promieniejacy z jej twarzy blask przygasl, nie ze starosci, ale ze zgryzoty. – Myslisz, ze z jakiego powodu dwa lata temu po niego poslalam?

To prawda. Przyslala do synagogi w Kafarnaum mlodszych braci Joszuy, Jude i Jezusa. Mieli sprowadzic go do domu, twierdzac, ze jest oblakany, ale Joszua nawet nie wyszedl na zewnatrz, by sie z nimi spotkac. – Nie lubie, kiedy mowicie o mnie, jakby mnie tu nie bylo – wtracil Joszua. – Staramy sie przyzwyczajac – odpowiedzialem. – Jesli ci sie to nie podoba, to zrezygnuj z tego glupiego planu zlozenia samego siebie w ofierze. – Biff, a jak myslisz, do czego sie przygotowywalem przez te wszystkie lata? – Gdybym wiedzial, ze do tego, tobym ci nie pomagal. I dalej siedzialbys zaklinowany w tej amforze w Indiach. Zajrzal do bramy. – Gdzie sa wszyscy? Czy naprawde tak trudno jest znalezc zwyklego osla?

Zerknalem na matke Joszuy. Usmiechnela sie, chociaz w jej oczach dostrzeglem cierpienie. – Nie patrz tak na mnie – powiedziala. – Nikt z mojej rodziny by sie tak nie podlozyl. To bylo az nazbyt latwe, wiec dalem spokoj. – Wszyscy sa u Szymona w Betanii, Josh. Nie wroca dzisiaj. Joszua bez slowa wstal i pomaszerowal do Betanii. – Nic nie mozecie zrobic, zeby do tego nie dopuscic! – wrzeszczal Joszua na apostolow zebranych w duzym pokoju domu Szymona. Marta wybiegla z placzem, kiedy spojrzal na nia gniewnie. Szymon wbil wzrok w podloge, podobnie jak wszyscy pozostali. – Kaplani i uczeni w pismie schwytaja mnie i osadza. Beda mnie opluwali i biczowali, a potem zabija. Trzeciego dnia powstane z martwych i bede znow chodzil miedzy wami, ale nie moge powstrzymac tego, co sie stac musi. Jezeli mnie kochacie, pogodzicie sie z tym, co wam mowie.

Maggie zerwala sie i wybiegla z domu, po drodze wyrywajac Judaszowi nasza wspolna sakiewke. Zelota chcial sie podniesc i biec za nia, ale pchnalem go z powrotem na poduszke. – Niech idzie.

Siedzielismy w milczeniu, probujac wymyslic co robic, co powiedziec. Nie wiem, nad czym zastanawiali sie pozostali, ale ja wciaz usilowalem znalezc jakis sposob, by Joszua pokazal, o co mu chodzi, nie poswiecajac przy tym zycia. Marta wrocila z dzbanem wina i kubkami. Podala je nam kolejno; nie patrzyla na Joszue, gdy mu nalewala. Matka Joszuy wyszla za nia z pokoju, zapewne by przygotowac kolacje.

Po pewnym czasie do pokoju wsliznela sie Maggie. Od razu podeszla do Joszuy i usiadla u jego stop. Wyjela spod plaszcza wspolna sakiewke, a z niej alabastrowy flakonik – taki, w jakich trzymano kosztowne olejki, ktorymi kobiety namaszczaly zmarlych przed pogrzebem. Pusta sakiewke rzucila Judaszowi. Bez slowa zlamala pieczec na flakoniku i wylala olejek na nogi Joszuy. Rozpuscila wlosy i zaczela go nimi wycierac. Pokoj wypelnil mocny aromat przypraw i perfum. Judasz poderwal sie, przeskoczyl przez pokoj i zabral flakonik. – Pieniadze za cos takiego moglyby nakarmic setki ubogich! Joszua spojrzal ze lzami w oczach na zelote. – Zawsze bedziesz mial ubogich, Judaszu, ale ja bede tutaj jeszcze tylko przez chwile. Zostaw. – Ale… – Zostaw – powtorzyl Joszua.

Wyciagnal reke, a Judasz polozyl mu z rozmachem flakonik na dloni. Potem wybiegl z domu. Slyszalem, ze krzyczy cos na ulicy, ale nie rozumialem slow.

Reszte olejku Maggie wylala Joszui na glowe i palcem kreslila w nim wzory. Joszua sprobowal chwycic ja za reke, ale cofnela sie i wstala. Czekala, dopoki nie opuscil dloni. – Martwy nie moze kochac – oswiadczyla. – Nie ruszaj sie. Kiedy nastepnego ranka ruszylismy za Joszua do Swiatyni, Maggie nigdzie nie bylo.

PONIEDZIALEK

W poniedzialek Joszua wprowadzil nas przez Zlota Brame do Jeruzalem, lecz tym razem na drodze nie lezaly palmowe liscie i nikt nie spiewal hosanny. (No, byl taki jeden gosc, ale on zawsze wyspiewywal hosanny przy Zlotej Bramie. Jesli ktos dal mu monete, to na chwile przestawal). – Przyjemnie byloby kupic sobie cos na sniadanie – stwierdzil Judasz. – Gdyby Magdalena nie wydala wszystkich naszych pieniedzy. – Za to Joszua ladnie pachnie – zauwazyl Nataniel. – Nie sadzisz, ze Joszua ladnie pachnie?

Czasami czlowieka ogarnia wdziecznosc z najdziwniejszych powodow. W owej chwili, kiedy zobaczylem, jak Judasz zaciska zeby i zyla nabrzmiewa mu na czole, zmowilem krotka modlitwe dziekczynna za naiwnosc Nataniela. – Rzeczywiscie ladnie – przyznal Bartlomiej. – Az ma sie ochote zrewidowac wlasne poglady w kwestii materialnych wygod. – Dzieki, Bart – rzucil Joszua. – Tak, nie ma nic lepszego niz ladnie pachnacy mezczyzna – oswiadczyl z rozmarzeniem Jan.

Nagle wszyscy poczulismy sie zaklopotani, nastapily choralne chrzakniecia i pokaslywania, a potem wszyscy szlismy o kilka krokow dalej od siebie. (Nie mowilem wam o Janie, prawda?). Po chwili Jan zaczal dosc zalosne przedstawienie, udajac, ze zauwaza mijane kobiety. – O, ta jaloweczka moglaby dac mezczyznie silnych synow – oznajmial falszywie grubym meskim glosem. – A mezczyzna chetnie by tam posial nasienie, to pewne. – Zamknij sie, prosze – rzucil mu Jakub, jego brat. – A moze wezwalbys matke? Niech przyjdzie i poprosi te kobiete, zeby sie dla ciebie rozchylila? – zaproponowal Filip. Wszyscy parskneli smiechem, nawet Joszua. No, wszyscy oprocz Jakuba. – Widzisz? – strofowal brata. – Widzisz, do czego doprowadziles, ty cioto? – To ponetna dziewka! – wykrzyknal nieprzekonujaco Jan.

Wskazal kobiete wleczona przez grupe faryzeuszy ku miejskiej bramie. Ubranie wisialo na niej w strzepach, odslaniajac rzeczywiscie ponetne cialo (trzeba wiec pochwalic Jana, gdyz znalazl sie poza swoim zywiolem). – Zablokujcie przejscie – polecil Joszua. Faryzeusze dotarli do naszej ludzkiej barykady i zatrzymali sie. – Pozwol nam przejsc, rabbi – poprosil najstarszy z nich. – Te kobiete wlasnie pochwycono na cudzolostwie, wiec zabieramy ja poza miasto, by tam ukamienowac, jak nakazuje prawo.

Kobieta byla mloda, brudne wlosy opadaly jej kedziorami wokol glowy. Twarz miala wykrzywiona ze zgrozy, a oczy szalone i rozbiegane, ale godzine temu pewnie byla ladna. Joszua przykucnal i zaczal pisac w pyle u swych stop. – Jak ci na imie? – zapytal. – Jamal –

odparl przywodca. Patrzyl, jak Joszua wypisuje najpierw jego imie, a potem obok liste grzechow. – O rany, Jamalu. Ges? Nie wiedzialem nawet, ze to mozliwe. Jamal wypuscil cudzoloznice i sie cofnal. Joszua spojrzal na drugiego, ktory trzymal kobiete. – A twoje imie? – Ee… Steve – odpowiedzial zapytany. – Wcale nie ma na imie Steve – odezwal sie jakis czlowiek w tlumie. – Tylko Jakub. Joszua wypisal w pyle slowo "Jakub". – Nie – szepnal Jakub.

Potem wypuscil kobiete i pchnal ja mocno w nasza strone. Wtedy Joszua wstal i od najblizej stojacego wzial kamien. Ten oddal go bez oporu. Wpatrywal sie w skupieniu w spisana w kurzu liste grzechow. – A teraz ukamienujmy te jawnogrzesznice – zarzadzil Joszua. – Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nia kamieniem.

I podal im kamien. Cofali sie krok za krokiem, a po chwili wszyscy uciekli tam, skad przyszli. Cudzoloznica padla przed Joszua na ziemie i chwycila go za nogi. – Dziekuje ci, rabbi. Tak bardzo ci dziekuje. – Nie ma sprawy – odpowiedzial i postawil ja. – A teraz idz i nie grzesz wiecej. – Naprawde ladnie pachniesz, wiesz? – dodala. – Tak, dzieki. A teraz idz. Odeszla. – Powinienem chyba dopilnowac, zeby spokojnie wrocila do domu. Zgoda? – rzucilem. Ruszylem za nia, ale Joszua przytrzymal mnie za tunike. – "Nie grzesz wiecej". Przeoczyles te czesc mojej instrukcji? – Przeciez i tak juz cudzolozylem z nia w sercu swoim, zatem czemu nie miec z tego troche przyjemnosci? – Nie. – To ty ustanawiasz normy. Wedlug twoich zasad nawet Jan cudzolozyl juz z nia w sercu swoim, a przeciez nie lubi kobiet. – Nieprawda – oburzyl sie Jan. – Do Swiatyni – ponaglil nas Joszua.

Moim zdaniem marnujemy calkiem dobra cudzoloznice. Na zewnetrznym dziedzincu Swiatyni, gdzie dopuszczano kobiety i gojow, Joszua zebral nas wszystkich i zaczal glosic nadejscie Krolestwa. Ale za kazdym razem, gdy probowal zaczac, wcinal sie jakis handlarz. – Kupujcie golebice! Najlepsze golebice ofiarne! Biale jak snieg! Kazdemu sie przydadza! Joszua zaczynal znowu, i znowu przerywal mu inny. – Przasny chleb! Kupujcie przasny chleb! Tylko jedna szekla. Goraca maca, taka sama, jaka jadal Mojzesz w drodze z Egiptu, tylko swiezsza!

Przyprowadzono Joszui chroma dziewczynke; zaczal ja uzdrawiac i wypytywac o wiare, kiedy… – Denary wymieniam na szekle, na poczekaniu! Zadna kwota nie bedzie za wysoka czy za niska! Drahmy na talenty, talenty na szekle… Wszystkie pieniadze zamieniam na miejscu! – Czy wierzysz, ze nasz Pan cie kocha? – zapytal dziewczynke Joszua. – Gorzkie ziola! Kupujcie gorzkie ziola! – krzyczal handlarz. – Niech was diabli porwa! – wrzasnal zirytowany Joszua. – Jestes uzdrowiona, dziecinko, a teraz idz sobie stad.

Machnieciem odeslal mala, ktora wstala i po raz pierwszy w zyciu odeszla samodzielnie. A potem spoliczkowal sprzedawce golebi, zerwal pokrywe jego klatki i wypuscil chmure ptakow w niebo. – To jest dom modlitwy! Nie jaskinia zbojcow! – Nie, tylko nie zmieniajacych pieniadze… – szepnal Piotr. Joszua chwycil dlugi stoi, gdzie wymieniano kilkanascie walut na szekle (jedyna metoda dopuszczona w obrocie handlowym wewnatrz kompleksu swiatynnego) i przewrocil go. – No to koniec. Ma przerabane – stwierdzil Filip.

I rzeczywiscie. Kaplani dostawali znaczny procent od zmieniajacych pieniadze. Joshowi

moglo sie dotad udawac, ale teraz zaklocil im przyplyw gotowki. – Wynoscie sie, zmije! Wynocha!

Chwycil powroz od jednego ze sprzedawcow i uzywal go jak bata, by wypedzic za brame Swiatyni kupcow i zmieniajacych pieniadze. Porwani tyrada Nataniel i Tomasz kopali uciekajacych handlarzy, ale reszta z nas patrzyla nieruchomo albo zajmowala sie tymi, ktorzy przyszli posluchac kazania. – Powinnismy go powstrzymac – mruknalem do Piotra. – Myslisz, ze to tez zdolamy powstrzymac? – Ruchem glowy wskazal rog dziedzinca, gdzie przynajmniej dwudziestu kaplanow wyszlo z Wewnetrznej Swiatyni, by obserwowac zamieszanie. – Sciagnie na nas gniew kaplanow – stwierdzil Judasz. Patrzyl na straznikow, ktorzy przestali spacerowac po murze i przygladali sie wszystkiemu z gory. Trzeba Judaszowi przyznac, ze wraz z Szymonem i kilkoma innymi zdolal uspokoic grupe wiernych, ktora przybyla, by otrzymac blogoslawienstwa i uzdrowienia, zanim jeszcze Joszua sie wsciekl.

Poza murami Swiatyni widzielismy rzymskich zolnierzy, ktorzy gapili sie z blankow palacu Heroda Wielkiego, zajmowanego przez gubernatora w czasie Paschy, kiedy sprowadzal do Jeruzalem legiony. Rzymianie nie wkraczali do Swiatyni, chyba ze podejrzewali bunt. Gdyby jednak weszli, polalaby sie zydowska krew. Cale rzeki. – Nie wejda – uznal Piotr, choc w jego glosie zabrzmiala delikatna nutka zwatpienia. – Widza przeciez, ze to sprawa miedzy Zydami. Nie obchodzi ich, czy sie nawzajem pozabijamy. – Obserwuj Judasza i Szymona – poradzilem. – Jesli ktorys z nich zacznie to swoje "Nie ma pana procz Boga", Rzymianie spadna na nas jak topor kata.

Wreszcie Joszua sie zasapal – byl mokry od potu i ledwie machal powrozem – ale w Swiatyni nie zostal ani jeden kupiec. Spory tlum podazal za nim i pokrzykiwal gniewnie na wypedzanych. I chyba tylko ci ludzie (okolo osmiuset do tysiaca osob) powstrzymywali kaplanow przed wezwaniem strazy. Josh w koncu odrzucil powroz i wraz z wiernymi powrocil na dziedziniec, skad przygladalismy sie wszystkiemu ze zgroza. – Zlodzieje – rzucil bez tchu, gdy nas mijal. I podszedl do dziewczynki z uschnieta reka, ktora czekala obok Judasza. – Strasznie bylo, co? – zapytal. Mala kiwnela glowa. Joszua polozyl dlonie na jej uschnietej rece. – Czy ci ludzie w wysokich czapkach dalej tam stoja? Znowu przytaknela. – Patrz… Mozesz tak zrobic? – Pokazal jej, jak sie wystawia srodkowy palec. – Nie, nie ta reka. Druga.

Cofnal dlonie i mala pomachala palcami. Miesnie i sciegna nabrzmiewaly, az w koncu reka niczym sie nie roznila od zdrowej. – A teraz – rzekl Joszua – zrob ten znak. Swietnie. Teraz pokaz go tym typom w wysokich czapkach. No, grzeczna dziewczynka. – Kto dal ci prawo uzdrawiac? – zapytal jeden z kaplanow, najwyrazniej najstarszy ranga z calej grupy. – Nie ma pana…! – zaczal Szymon.

Jego okrzyk przerwal mocny cios w splot sloneczny, wyprowadzony przez Piotra, ktory zaraz potem powalil zelote na ziemie i usiadl na nim, szepczac mu cos do ucha. Andrzej stanal za Judaszem i chyba wyglaszal podobny wyklad, jednak bez pomocy fizycznych wstrzasow.

Joszua wzial z ramion matki malego chlopca. Nogi malca kolysaly sie w powietrzu, jakby

wcale nie mialy kosci. Nie odrywajac od niego wzroku, Joszua odpowiedzial: – Kto Janowi dal prawo chrzcic?

Kaplani spojrzeli po sobie. Wierni sie zblizyli. Bylismy w Judei, na obszarze dzialania Jana. Kaplani wiedzieli, ze nie warto podawac w watpliwosc danych przez Boga mocy Jana, zwlaszcza wobec tak licznego tlumu. Z pewnoscia jednak nie zamierzali ich potwierdzac dla korzysci Joszuy. – W tej chwili nie mozemy tego powiedziec – odparl kaplan. – Wiec i ja nie moge – oswiadczyl Josh.

Postawil i podtrzymal chlopca, ktorego nogi zapewne po raz pierwszy uniosly ciezar ciala. Maluch zachwial sie jak nowo narodzony zrebak, a Josh zlapal go ze smiechem, ujal za ramiona i popchnal ku matce. Potem zwrocil sie do kaplanow:

–Chcecie mnie wyprobowac? Probujcie. Pytajcie o co chcecie, zmije, ale bede uzdrawial tych ludzi i wbrew wam poznaja Slowo Boze. Filip przesunal sie za mnie. – Mozesz go powalic albo co? – szepnal. – Tymi swoimi technikami ze Wschodu? Musimy go stad wyprowadzic, zanim powie cos jeszcze. – Chyba juz za pozno. Nie pozwolcie, zeby tlum sie rozproszyl. Idzcie do miasta i sciagnijcie wiecej ludzi. Tlum jest teraz jego jedyna ochrona. I poszukajcie Jozefa z Arymatei. Moze potrafi pomoc, jesli wszystko tutaj wyrwie sie spod kontroli. – A jeszcze sie nie wyrwalo? – Wiesz, o co mi chodzi.

Przesluchanie ciagnelo sie przez dwie godziny. Kaplani zastawiali wszelkie werbalne pulapki, jakie tylko mogli wymyslic, a Jo-szua czasem sie wywijal, a czasem brnal na oslep. Rozgladalem sie, szukajac sposobu, by wyprowadzic go ze Swiatyni i uniknac aresztowania. Ale im dluzej patrzylem, tym wiekszej nabieralem pewnosci, ze straznicy zeszli z murow i czekaja za brama prowadzaca na dziedziniec. Tymczasem najwazniejszy z kaplanow mowil monotonnym glosem: – Mezczyzna umiera, nie pozostawiajac synow, ale zona poslubia jego brata, ktory ma trzech synow po pierwszej zonie… (i dalej). Trzech z nich wyrusza z Jerycha na poludnie, pokonujac trzy przecinek trzy furlonga na godzine, ale prowadza dwa osly, mogace uniesc dwa… (i dalej). Potem konczy sie szabat i moga podjac wedrowke, dodajac do tysiaca krokow dozwolonych przez Prawo… a wiatr wieje z poludniowego zachodu z predkoscia dwoch furlongow na godzine… (i dalej). Ile wody potrzebuja na te wyprawe? Odpowiedz podaj w barylkach. – Piec – odpowiedzial Joszua, gdy tylko skonczyli mowic. I wszyscy byli zdumieni. Tlum zakrzyknal. – Bez watpienia jest Mesjaszem! – zawolala jakas kobieta. – Syn Bozy przybyl – oznajmil ktos inny. – Nie pomagacie, ludzie! – krzyknalem na nich. – Nie pokazales obliczen, nie pokazales obliczen! – wyspiewywal najmlodszy kaplan.

Judasz i Mateusz notowali zadanie, wydrapujac je na kamieniach bruku, gdy kaplan recytowal, ale juz dawno sie zgubili. Wyprostowali sie i pokrecili glowami. – Piec – powtorzyl Joszua. Kaplani popatrzyli po sobie. – Zgadza sie, ale nie daje ci to prawa uzdrawiania w Swiatyni. – Za trzy dni nie bedzie juz Swiatyni, gdyz zniszcze ja i wasze gniazdo zmij tez. A trzy dni potem nowa Swiatynia powstanie dla chwaly mojego ojca.

Wtedy objalem go za piers i pociagnalem do bramy. Zgodnie z planem, pozostali apostolowie szli po obu stronach, ustawieni w klin. Dalej napieral tlum. Setki podazaly za nami. – Czekajcie, jeszcze nie skonczylem! – krzyczal Joszua. – Skonczyles. – Oto przybyl prawdziwy krol Izraela, by ustanowic swe Krolestwo! – zawolala jedna z kobiet. Piotr trzepnal ja po glowie. – Przestan pomagac.

Dzieki masie tlumu, udalo nam sie wyprowadzic Joszue ze Swiatyni i zaciagnac przez ulice do domu Jozefa z Arymatei.

Jozef wpuscil nas do pokoju na pietrze – mial piekne lukowe sklepienie, kosztowne dywany na podlodze i scianach, lezaly tam stosy poduszek i stal dlugi, niski stol. – Jestescie tu bezpieczni, ale nie wiem jak dlugo. Zwolali juz narade Sanhedrynu. – Przeciez dopiero co

wyszlismy ze Swiatyni – zdziwilem sie. – W jaki sposob? – Powinniscie im pozwolic mnie pojmac – oswiadczyl Joszua. – Stol bedzie nakryty na wieczerze paschalna essenczykow – powiedzial Jozef. – Zostancie na kolacji. – Mamy wczesniej obchodzic Pasche? Dlaczego? – zapytal Jan. – I dlaczego jak u essenczykow? Jozef staral sie nie patrzec na Joszue. – Bo na wieczerzy essenczykow nie zabijaja baranka.

WTOREK

Przespalismy noc w pokoju na pietrze domu Jozefa. Rankiem Joszua zszedl na dol. Nie bylo go przez chwile, po czym wrocil po schodach. – Nie pozwalaja mi wyjsc – oznajmil. – Oni? – Apostolowie. Moi wlasni apostolowie nie pozwalaja mi wyjsc. – Wrocil na schody. – Sprzeciwiacie sie woli bozej! – zawolal. Po czym zwrocil sie do mnie: – Czy to ty im powiedziales, zeby mnie nie wypuszczali? – Ja? Tak. – Nie mozesz tego czynic. – Poslalem Nataniela do Szymona, zeby sprowadzil Maggie. Wrocil sam. Maggie nie chciala z nim rozmawiac, ale Marta owszem. Zolnierze ze swiatyni juz tam byli, Josh. – I co? – Co to znaczy: i co? Przyszli cie aresztowac. – Niech aresztuja. – Josh, nie musisz sie poswiecac, zeby pokazac, o co ci chodzi. Cala noc sie nad tym zastanawialem. Mozesz negocjowac. – Z Bogiem? – Abraham to robil. Pamietasz? Chodzilo o zniszczenie Sodomy i Gomory. Zaczal od tego, ze Pan zgodzil sie oszczedzic miasta, jesli znajdzie sie w nich piecdziesieciu sprawiedliwych, ale on w koncu przekonal Boga, ze wystarczy dziesieciu. Tez mozesz sprobowac. – Nie calkiem o to mi chodzi, Biff. – Podszedl do mnie, ale nie potrafilem spojrzec mu w oczy. Stanalem wiec przy jednym z wysokich, lukowych okien wychodzacych na ulice. – Boje sie tego… tego, co ma sie zdarzyc. Przychodzi mi do glowy z dziesiec roznych rzeczy, ktorymi wolalbym sie zajac w tym tygodniu, zamiast zginac. Ale wiem, ze tak byc musi. Kiedy powiedzialem kaplanom, ze w ciagu trzech dni zburze Swiatynie, chodzilo mi o to, ze bedzie zniszczona cala ta korupcja, pozory, rytualy Swiatyni, ktore nie pozwalaja ludziom poznac Boga. A trzeciego dnia, kiedy powroce, wszystko bedzie nowe, a Krolestwo Boze nastanie wszedzie. Bo ja wroce, Biff. – Tak, wiem, mowiles. – No wiec uwierz we mnie. – Nie wychodza ci wskrzeszenia, Josh. Pamietasz te kobiete w Jafii? A zolnierz w Seforis ile wytrzymal? Trzy minuty? – Ale popatrz na Szymona, brata Maggie. Powrocil z martwych juz pare miesiecy temu. – Tak. I dziwnie pachnie. – Wcale nie. – Powaznie, jesli podejdziesz blizej, poczujesz, ze pachnie zgnilizna. – Skad mozesz wiedziec? Nie zblizasz sie do niego, bo kiedys byl tredowaty. – Tadeusz wspomnial o tym pare dni temu. Powiedzial: "Wiesz, Biff, mam wrazenie, ze ten Szymon Lazarz sie psuje". – Naprawde? No to chodzmy spytac Tadeusza. – Moze juz nie pamietac.

Joszua zszedl po schodach do niskiego pokoju z mozaika na podlodze i waskimi oknami pod sufitem. Jego matka i brat Jakub dolaczyli do apostolow i teraz wszyscy siedzieli pod scianami. Kiedy wszedl Josh, wszystkie twarze zwrocily sie w jego strone niczym kwiaty do slonca. Czekali, az powie cos, co da im nadzieje. – Umyje wam nogi – rzekl. I zwrocil sie do Jozefa z Arymatei: – Bedzie mi potrzebna miska z woda i gabka. Wysoki arystokrata sklonil sie i poszedl szukac sluzby. – Co za mila niespodzianka – powiedziala Maria. Jakub-brat przewrocil oczami i westchnal ciezko. – Wychodze – oswiadczylem.

I spojrzalem na Piotra, jakbym mowil: "Nie spuszczaj go z oka". Zrozumial i kiwnal glowa. – Wroc na seder – poprosil Joszua. – Chce nauczyc cie jeszcze kilku rzeczy w tym krotkim czasie, jaki mi pozostal.

W domu Szymona nikogo nie bylo. Przez dlugi czas pukalem do drzwi, az w koncu wszedlem. Nie znalazlem siadow porannego posilku, ale mykwa byla uzywana, wiec sie domyslilem, ze kazdy sie obmyl i poszedl do Swiatyni. Szedlem ulicami Jeruzalem, szukajac jakiegos' rozwiazania, ale wszystko, czego sie nauczylem, wydawalo sie bezuzyteczne. Gdy zapadl zmierzch, wrocilem do domu Jozefa – okrezna droga, zeby nie przechodzic obok palacu arcykaplana. Kiedy wszedlem, Joszua czekal na schodach do pokoju na gorze. Piotr i Andrzej siedzieli z obu stron, najwyrazniej pilnujac, zeby przypadkiem nie pobiegl do arcykaplana i nie kazal sie zamknac za bluznierstwo. – Gdzie byles? – zapytal Joszua. – Musze ci umyc stopy. – Masz pojecie, jak trudno jest znalezc szynke w Jeruzalem, w tygodniu Paschy? Pomyslalem, ze bylaby niezla. No wiesz, szynka na macy i odrobina gorzkich ziol. – Umyl nas wszystkich – wtracil Piotr. – Oczywiscie Barta musielismy przytrzymac, ale tez jest czysty. – A kiedy ich juz umylem, teraz oni pojda i umyja innych, by pokazac, ze im wybaczaja. – Aha, rozumiem – powiedzialem. – To taka przypowiesc. Slodkie. Zjedzmy cos.

Ulozylismy sie wokol stolu, z Joszua u szczytu. Matka Joszui przygotowala paschalna kolacje, tradycyjna z wyjatkiem baranka. Aby rozpoczac seder, Nataniel – ktory byl najmlodszy – musial zapytac: – Dlaczego ten wieczor rozni sie od wszystkich innych wieczorow w roku? – Bo Bart ma czyste nogi? – odpowiedzial Tomasz. – Jozef z Arymatei placi rachunek? – zgadywal Filip. Nataniel rozesmial sie i pokrecil glowa. – Nie. W inne wieczory jemy chleb i mace, a dzisiaj jemy tylko mace. Ha! Usmiechnal sie. Pewnie po raz pierwszy w zyciu poczul sie dowcipny. – A dlaczego tego wieczoru jemy tylko mace? – pytal dalej. – Przeskocz to, Nate – przerwalem. – Wszyscy tu jestesmy Zydami. Podsumujmy. Przasny chleb, bo nie mial czasu wyrosnac, kiedy zolnierze faraona nastepowali nam na piety, gorzkie ziola oznaczaja gorycz niewoli, z ktorej Bog wyprowadzil nas do Ziemi Obiecanej, znakomicie, mozemy juz jesc. – Amen – odpowiedzieli wszyscy. – To bylo marne – uznal Piotr. – Bylo. A co? – burknalem gniewnie. – Bo przeciez siedzimy tu sobie z Synem Bozym i czekamy, az ktos przyjdzie, zabierze go i zamorduje. I nikt z nas nawet palcem nie kiwnie w tej sprawie, Boga nie wylaczajac. No wiec wybaczcie, ze nie sikam po nogach na mysl o tym, ze wyzwolil nas z rak Egipcjan jakis milion lat temu. – Zostalo ci wybaczone – rzekl Joszua i wstal. – To, czym jestem, istnieje w was wszystkich. Jednoczy was Boska Iskra, Duch Swiety. To Bog, ktory jest w was. Rozumiecie? – Oczywiscie, ze Bog jest czescia ciebie – odparl Jakub, brat. – Jest twoim ojcem. – Nie, was wszystkich. Spojrzcie. Wezmy chleb. Wzial mace i polamal. Kazdemu dal kawalek i jeden zostawil dla siebie. Potem go zjadl. – Teraz ten chleb jest czescia mnie, jest mna. Niech kazdy z was zje swoj. Wszyscy patrzyli na niego. – JEDZCIE! – wrzasnal. Zjedlismy wiec. – Teraz jest czescia was. Ja jestem czescia was. Wszyscy mamy w sobie te sama czastke Boga. Sprobujemy jeszcze raz. Podajcie mi wino.

I tak to sie ciagnelo pare godzin. Mysle, ze kiedy wino juz sie skonczylo, apostolowie wreszcie zalapali, co Joszua im tlumaczy. Pozniej zaczely sie blagania – kazdy z nas prosil Joszue, by zrezygnowal z pomyslu, ze musi umrzec, by zbawic innych. – Zanim to wszystko sie

skonczy – powiedzial – musicie sie mnie wyprzec. – Nie wyprzemy sie – zapewnil Piotr. – Ty sam wyprzesz sie mnie trzy razy, Piotrze. Nie tylko spodziewam sie tego, ale nakazuje ci. Jesli zabiora was razem ze mna, nie zostanie nikt, kto poniosIby ludziom dobra nowine. Judaszu, moj przyjacielu, podejdz tutaj. Judasz sie zblizyl, a Joszua wyszeptal mu cos do ucha, po czym odeslal na miejsce. – Jeden z was zdradzi mnie tej nocy – rzekl Joszua. – Prawda, Judaszu? – Co?

Judasz popatrzyl na nas, ale kiedy zobaczyl, ze nikt nie staje w jego obronie, rzucil sie do schodow. Piotr chcial ruszyc za nim, lecz Joszua chwycil go za wlosy i szarpnieciem usadzil przy stole. – Pozwol mu odejsc. – Przeciez palac arcykaplana stoi niecaly furlong stad – przestraszyl sie Jozef z Arymatei. – Jesli pobiegnie tam od razu… Joszua uniosl dlon i uciszyl nas. – Biff, ruszaj prosto do domu Szymona i tam czekaj. Samotnie, przeslizniesz sie obok palacu i nikt cie nie zobaczy. Reszta z nas ruszy przez miasto i przez doline Ben-Hinnom, zebysmy nie musieli przechodzic obok palacu. Spotkamy sie z toba w Betanii. Spojrzalem na Piotra i Andrzeja. – Nie pozwolicie mu sie oddac w rece strazy? – Oczywiscie, ze nie.

Wyszedlem w noc. Biegnac, zastanawialem sie, czy moze Joszua zmienil zdanie i zamierza uciec z Betanii na Pustynie Judejska. Powinienem od razu zrozumiec, ze mnie wykiwal. Czlowiek wierzy, ze moze komus zaufac, a ten nagle zmienia front i go oklamuje. Szymon otworzyl drzwi i zaprosil mnie do srodka. Uniosl palec do warg, dajac znak, zebym byl cicho. – Maggie i Marta sa w domu. Gniewaja sie na ciebie. Na was wszystkich. A teraz beda zle na mnie, ze cie wpuscilem. – Przykro mi. Wzruszyl ramionami. – Co moga zrobic? To przeciez moj dom.

Przeszedlem prosto przez frontowy pokoj do nastepnego, z ktorego drzwi prowadzily do sypialni, do mykwy i na dziedziniec, gdzie przygotowywano posilki. Uslyszalem dobiegajace z sypialni glosy. Kiedy wszedlem, Maggie uniosla glowe znad zaplatanych wlosow Marty. – A wiec przyszedles nas zawiadomic, ze sie stalo – powiedziala.

Lzy wzbieraly w jej oczach i poczulem, ze jesli teraz zacznie szlochac, to chyba z nia zerwe. – Nie – uspokoilem ja. – On i pozostali sa w drodze tutaj. Przez Ben-Hinnom, wiec zajmie im to pare godzin. Ale mam plan. Wyjalem amulet yin-yang, ktory dostalem do Radosnej, i pomachalam nim tryumfalnie. – Chcesz przekupic Joszue brzydka bizuteria? – zdziwila sie Marta. Wskazalem malenkie zatyczki po obu stronach amuletu. – Nie. Moj plan polega na tym, zeby go otruc. Wyjasnilem im, jak dziala trucizna, a potem czekalismy, liczac w myslach czas, widzac oczyma duszy, jak apostolowie ida przez Jeruzalem, wychodza przez Brame Essenska miedzy strome brzegi doliny Ben-Hinnom, gdzie w skale wyryto tysiace grobow i gdzie kiedys' plynela rzeka, ale teraz rosly tylko szalwia, cyprysy i oset, mocno trzymajace sie szczelin w wapieniu. Po kilku godzinach wyszlismy, by zaczekac na ulicy, a kiedy ksiezyc zaczal opadac i noc ustapila porankowi, zobaczylismy samotna postac nadchodzaca od wschodu, nie z poludnia, jak sie spodziewalismy. Kiedy sie zblizyla, po poteznych ramionach i blasku ksiezyca na lysinie poznalismy Jana. – Zabrali go – oznajmil. – W Getsemani. Annasz i Kajfasz przyszli osobiscie, razem ze straza Swiatyni. I go zabrali.

Maggie rzucila mi sie w ramiona i wtulila twarz w moja piers. Siegnalem i przyciagnalem takze Marte. – Co on robil w Getsemani? – zdziwilem sie. – Mieliscie isc przez Ben-Hinnom. – On ci tylko tak powiedzial. – Ten bekart mnie oszukal! Czyli aresztowali wszystkich? – Nie, reszta ukrywa sie niedaleko stad. Piotr probowal walczyc ze straznikami, ale Joszua go powstrzymal. Umowil sie z kaplanami, ze nas wypuszcza. Jozef tez przyszedl i pomagal ich przekonac. – Jozef? Jozef go zdradzil? – Nie wiem – odparl Jan. – Ale to Judasz przyprowadzil ich do Getsemani. Wskazal straznikom Joszue. Jozef przyszedl pozniej, kiedy juz mieli aresztowac nas wszystkich. – Dokad go zabrali? – Do palacu arcykaplanow. Nic wiecej nie wiem, Biff, naprawde. Usiadl na srodku ulicy i zaplakal. Marta podeszla i objela go. Maggie spojrzala na mnie. – Wiedzial, ze bedziesz walczyl. Dlatego cie tutaj przyslal. – Plan sie nie zmienia – odparlem. – Musimy go tylko wydostac, a potem otruc. Jan uniosl glowe. – Czyzbys zmienil strony, kiedy mnie nie bylo?

Opierwszym brzasku Maggie i ja dobijalismy sie juz do drzwi domu Jozefa. Wpuscil nas sluzacy. Kiedy Jozef wyszedl z sypialni, musialem przytrzymac Maggie, zeby sie na niego nie rzucila. – Zdradziles go! – Nie zdradzilem – zapewnil Jozef. – Jan mowil, ze byles z kaplanami – powiedzialem. – Bylem. Szedlem za nimi, bo nie chcialem dopuscic, zeby zabili Joszue od razu w Getsemani, podczas proby ucieczki albo w obronie wlasnej. – Co masz na mysli, mowiac "w obronie wlasnej"? – Oni chca, zeby zginal, Maggie – oswiadczyl Jozef. – Chca, zeby zginal, ale nie maja dostatecznej wladzy, by go skazac. Nie rozumiesz tego? Gdyby nie ja, zamordowaliby go i powiedzieli, ze zaatakowal ich pierwszy. Tylko Rzymianie maja prawo kazac kogos zabic. – Herod kazal zabic Jana Chrzciciela – przypomnialem. – Zadni Rzymianie mu nie przeszkodzili. – Akan i jego zboje caly czas kamienuja ludzi – dodala Maggie. – Bez zgody Rzymian. – Pomyslcie oboje. To jest tydzien Paschy. W miescie roi sie od Rzymian szukajacych buntowniczych Zydow. Jest tutaj caly Szosty Legion plus osobista gwardia Pilata z Cezarei. Normalnie przebywa ich tu garstka. Arcykaplani, Sanhedryn, rada faryzeuszy, nawet sam Herod, dwa razy sie zastanowia, nim sprobuja czegos wykraczajacego poza litere rzymskiego prawa. Bez paniki. Nie bylo jeszcze nawet procesu przed Sanhedrynem. – A kiedy bedzie? – Mysle, ze dzisiaj po poludniu. Musza wszystkich sprowadzic. Oskarzenie zbiera swiadkow przeciwko Joszui. – A co ze swiadczacymi na jego korzysc? – To nie tak sie odbywa. Ja bede go bronil, a takze moj przyjaciel Nikodem, ale poza tym Joszua musi sam sobie radzic. – Swietnie – mruknela Maggie. – A kto go oskarza? – Myslalem, ze wiecie. – Jozef przygarbil sie nieco. – Ten, ktory juz dwa razy uknul w Sanhedrynie intryge przeciwko Joszui: Akan bar Iban. Maggie odwrocila sie w miejscu i rzucila mi gniewne spojrzenie. – Powinienes go zabic. – Ja? Mialas siedemnascie lat na to, zeby go zepchnac ze schodow albo co. – Jest jeszcze czas – przypomniala. – Teraz juz to nie pomoze – stwierdzil Jozef z Arymatei. – Miejmy nadzieje, ze Rzymianie nie zechca badac jego sprawy. – Mowisz tak, jakby juz byl skazany – zauwazylem. – Zrobie, co bede mogl. – Jozef wyraznie nie mial wielkich nadziei. – Postaraj sie, zebysmy mogli go zobaczyc. – I zeby mogli aresztowac was dwoje? Raczej nie. Zostancie tutaj. Mozecie zajac dla siebie pokoje na gorze. Wroce tu, albo przesle wiadomosc, jak tylko zdarzy cie cos waznego. Jozef objal Maggie, pocalowal ja w czubek glowy i wyszedl, zeby sie przebrac. – Ufasz mu? – zapytala Maggie. – Ostrzegl Joszue poprzednio, kiedy chcieli go zabic. – Ja mu nie ufam.

Razem z Maggie caly dzien czekalismy na gorze. Podskakiwalismy za kazdym razem, kiedy slyszelismy kroki na ulicy. Bylismy wyczerpani i roztrzesieni z niepokoju. Poprosilem jedna ze sluzacych, zeby poszla do palacu arcykaplana i sprawdzila, co sie tam dzieje. Wrocila po chwili z wiadomoscia, ze proces jeszcze sie nie skonczyl.

Pod wysokim oknem ulozylismy z Maggie gniazdo z poduszek, zeby slyszec nawet najlzejszy halas z ulicy, ale powoli zapadla noc, coraz rzadziej dobiegaly czyjes kroki, przycichl daleki spiew w Swiatyni. Objelismy sie i stalismy jedna bryla tepego, dreczacego zalu. Kiedy zrobilo sie ciemno, kochalismy sie po raz pierwszy od tej nocy przed wyprawa Joszuy i moja do Orientu. Minelo tyle lat, a jednak wszystko wydawalo sie znajome. Ten pierwszy raz, dawno temu, byl desperacka proba rozdzielenia bolu, bo kazde z nas tracilo kogos, kogo kochalo. Tym razem oboje tracilismy te sama osobe. Tym razem potem zasnelismy. Jozef z Arymatei nie przyszedl.

CZWARTEK

To Szymon i Andrzej wbiegli po schodach, by obudzic nas w czwartek rano. Nakrylem Maggie swoja tunika i zerwalem sie w samej przepasce biodrowej. Gdy tylko zobaczylem Szymona, krew naplynela mi do twarzy. – Ty zdradziecki sukinsynu! – Bylem za bardzo wsciekly, zeby go uderzyc. Stalem tylko i wrzeszczalem: – Ty tchorzu! – To nie on! – krzyknal mi Andrzej do ucha. – To nie ja – powiedzial Szymon. – Probowalismy walczyc ze straznikami, kiedy przyszli po Joszue. Piotr i ja. – Judasz byl twoim przyjacielem. Ty i twoje zelockie bzdury! – Byl tez twoim! Andrzej odepchnal mnie. – Dosc tego. To nie byl Szymon. Widzialem, jak staje przeciwko dwom straznikom z wloczniami. Daj mu spokoj. Nie mamy czasu na twoje wrzaski. BifF, Joszua jest biczowany w palacu arcykaplana. – Gdzie Jozef? – wtracila Maggie. Ubrala sie, kiedy ja sie wsciekalem na Szymona. – Poszedl do pretorium, ktore Pilat umiescil w Palacu Antonii kolo Swiatyni. – Co on tam robi, do diabla, kiedy bija Joszue w palacu na tym koncu miasta? – Tam zaprowadza Joszue zaraz potem. Zostal skazany za bluznierstwo, Biff. Chca wyroku smierci. Poncjusz Pilat jest zarzadca Judei. Jozef go zna, chce prosic o uwolnienie Joszuy. – Co mamy robic? Co robic?

Czulem, ze wpadam w histerie. Odkad pamietalem, przyjazn z Joszua byla dla mnie kotwica, sensem istnienia, moim zyciem; a teraz ono… on pedzil ku zniszczeniu jak statek gnany sztormem na rafy, a ja nie potrafilem wymyslic nic procz paniki. – Co robic? – dyszalem. Oddech nie wypelnial mi pluc. Maggie chwycila mnie za ramiona i potrzasnela mocno. – Masz plan, pamietasz? – Szarpnela za amulet na mojej szyi. – Tak. Tak. – Odetchnalem gleboko. – Slusznie. Plan. Wciagnalem przez glowe tunike. Maggie pomogla mi przepasac sie szarfa. – Przepraszam cie, Szymonie – powiedzialem. Na znak, ze mi wybacza, machnal reka. – Co mamy robic? – Zabieraja Joszue do pretorium, wiec my tez tam pojdziemy. Jesli Pilat go uwolni, musimy go stad szybko zabrac. Niewiadomo, co Joszua zrobi nastepnym razem, by ich zmusic, zeby go zabili.

Czekalismy w tlumie przed Palacem Antonii, kiedy straznicy Swiatyni przyprowadzili Joszue do bramy. Procesje prowadzil arcykaplan Kajfasz w swoich blekitnych szatach i wysadzanym

klejnotami napiersniku. Za nim szedl jego ojciec Annasz, ktory poprzednio pelnil funkcje arcykaplana. Kolumna straznikow otaczala Joszue w samym srodku pochodu. Widzielismy go – ktos wlozyl mu swieza tunike, ale na plecach krew przesaczala sie przez material. Wygladal, jakby byl w transie.

Straznicy wyprezali sie i pokrzykiwali przed brama, az ze srodka procesji wyszedl Akan i zaczal sie klocic z zolnierzami. Bylo jasne, ze Rzymianie nie wpuszcza strazy swiatynnej do pretorium, wiec przekazanie wieznia musi sie odbyc przed brama albo nigdzie. Ocenialem, czy zdolam przekrasc sie przez tlum, skrecic Akano-wi kark i zniknac, nie narazajac planu… I wtedy poczulem czyjas dlon na ramieniu. Obejrzalem sie i zobaczylem Jozefa z Arymatei. – Dobrze, ze to nie rzymskim batem go biczowali. Dostal trzydziesci dziewiec uderzen, ale to tylko skora, a nie obciazony olowiem rzymski pejcz. To by go zabilo. – Gdzie byles? Czemu to tak dlugo trwalo? – Oskarzenie nie moglo skonczyc. Akan gadal przez pol nocy i przesluchiwal swiadkow, ktorzy wyraznie nigdy nie slyszeli o Joszui, a tym bardziej nie widzieli zadnych jego wystepkow. – Co z obrona? – spytala Maggie. – No wiec staralem sie wyliczac jego dobre uczynki, ale oskarzycieli bylo tylu, ze zagluszyli mnie zupelnie. Sam Joszua nie powiedzial ani slowa na swoja obrone. Zapytali go, czy jest Synem Bozym, a on potwierdzil. To wykazalo zarzut bluznierstwa. Niczego wiecej juz nie potrzebowali. – Co sie stanie teraz? Rozmawiales z Pilatem? – Tak. – I? Jozef roztarl palcami grzbiet nosa, jakby probowal zwalczyc bol glowy. – Powiedzial, ze zobaczy, co sie da zrobic.

Patrzylismy, jak rzymscy zolnierze prowadza Joszue do srodka. Za nimi weszli kaplani. Faryzeusze – w oczach Rzymian ludzie z gminu – zostali przed brama. Legionista o malo co nie przycial Akanowi twarzy skrzydlem wrot, kiedy je zamykal.

Katem oka zauwazylem jakis ruch i podnioslem wzrok na wysoki, szeroki balkon, widoczny ponad palacowymi murami. Najwyrazniej zaprojektowali go architekci Heroda Wielkiego jako platforme, z ktorej krol mogl przemawiac do zgromadzonych w Swiatyni, nie narazajac swej osoby na niebezpieczenstwo. Wysoki Rzymianin w obfitej czerwonej todze spogladal z balkonu na tlum i chyba nie byl uszczesliwiony jego obecnoscia. – Czy to Pilat? – spytalem Jozefa, wskazujac na Rzymianina. Kiwnal glowa. – Za chwile zejdzie na dol, by osadzic Joszue.

Ale w tej chwili nie interesowalo mnie, co zamierza Pilat. Zainteresowal mnie stojacy za nim centurion, noszacy helm z pioropuszem i napiersnik dowodcy legionu. Nie minelo pol godziny, a otworzyly sie bramy palacu i oddzial rzymskich zolnierzy wyprowadzil Joszue w wiezach. Centurion nizszej rangi ciagnal go na powrozie oplatajacym przeguby. Kaplani wyszli za nim i natychmiast zostali zasypani pytaniami przez faryzeuszy, ktorzy czekali na zewnatrz. – Idz, dowiedz sie, co zaszlo – zwrocilem sie do Jozefa.

Przedarlismy sie do srodka procesji, ktora szla za Joszua. Wiekszosc krzyczala na niego i probowala opluwac. Zauwazylem jednak w tlumie kilku, o ktorych wiedzialem, ze sa jego wyznawcami – szli w milczeniu i rzucali nerwowe spojrzenia na boki, jakby w obawie, ze oni beda nastepni.

Szymon, Andrzej i ja podazalismy w pewnej odleglosci za tlumem; Maggie przeciskala sie blizej Joszuy. Widzialem, jak rzuca sie na swego eks-meza Akana, ktory trzymal sie blisko kaplanow, ale w tym skoku zatrzymal ja Jozef z Arymatei, chwyciwszy ja za wlosy i szarpnawszy do tylu. Ktos jeszcze pomagal ja obezwladnic, ale nosil kaptur i nie poznalem, kto to taki. Jozef przyciagnal Maggie do nas i przekazal mnie i Szymonowi. – Zaraz da sie zabic.

Maggie spojrzala na mnie dziko – nie wiedzialem, czy ma w oczach szalenstwo, czy wscieklosc. Objalem ja, przycisnawszy rece do ciala. Mezczyzna w kapturze szedl obok mnie i trzymal dlon na jej ramieniu, by ja uspokoic. Kiedy zwrocil ku mnie twarz, zobaczylem, ze to Piotr. Zylasty rybak postarzal sie chyba o dwadziescia lat, odkad widzialem go we wtorkowa noc. – Zabieraja go do Antypasa – powiedzial. – Kiedy Pilat sie dowiedzial, ze jest z Galilei, stwierdzil, ze nie podlega jego jurysdykcji, i odeslal do Heroda. – Maggie – szepnalem jej do ucha. – Przestan sie zachowywac jak oblakana. Moj plan wlasnie poszedl w diably i przyda mi sie odrobina krytycznego myslenia.

I znowu czekalismy przed palacem wzniesionym przez Heroda Wielkiego, ale tym razem – poniewaz byl urzedujacym zydowskim krolem – wpuszczono do srodka faryzeuszy, a Jozef z Arymatei wszedl razem z nimi. Po kilku minutach znowu znalazl sie na ulicy. – Probuje sklonic Joszue, by dokonal cudu – oznajmil. – Uwolni go, jesli Joszua dokona dla niego cudu. – A jesli Joszua tego nie zrobi? – Nie zrobi – stwierdzila Maggie. – Jesli tego nie zrobi – rzekl Jozef – to wracamy do punktu wyjscia. Pilat musi zdecydowac, czy wykonac wyrok Sanhedrynu, czy uwolnic Joszue. – Maggie, chodz ze mna. – Zaczalem sie wycofywac, ciagnac ja za suknie. – Dlaczego, dokad? – Plan znow jest mozliwy.

Biegiem wrocilem do pretorium, holujac ja za soba. Ukrylem sie za kolumna naprzeciwko Palacu Antonii. – Maggie, czy Piotr potrafi uzdrawiac? Ale naprawde? – Tak, mowilam przeciez. – Rany? Polamane kosci? – Rany tak. Nic nie wiem o kosciach. – Mam nadzieje, ze tak – powiedzialem.

Zostawilem ja tam i poszedlem do najwyzszego ranga centuriona, pelniacego sluzbe przed brama. – Chce sie zobaczyc z twoim dowodca. – Odejdz stad, Zydzie. – Jestem przyjacielem. Powiedz mu, ze to Lewi z Nazaretu. – Niczego mu nie powiem.

Podszedlem wiec, wyrwalem mu z pochwy miecz, uklulem go ostrzem pod broda, a potem z powrotem wsunalem do pochwy. Siegnal po bron, ale ta znalazla sie nagle w moim reku, a ostrze znow na jego szyi. Nim zdazyl krzyknac, miecz wrocil do pochwy. – Sam widzisz – stwierdzilem. – Dwukrotnie zawdzieczasz mi zycie. I zanim krzykniesz, zeby mnie aresztowali, znow bede mial twoj miecz, a ty nie tylko narobisz sobie wstydu, ale tez glowa bedzie ci sie chwiala z powodu poderznietego gardla. Albo tez mozesz mnie zaprowadzic do mojego przyjaciela, Gajusa Justusa Gallicusa, dowodcy Szostego Legionu.

Odetchnalem gleboko i czekalem. Wzrok centuriona przeskakiwal po stojacych najblizej zolnierzach, potem zatrzymal sie na mnie. – Zastanow sie, centurionie – powiedzialem. – Jesli mnie aresztujesz, to przed czyim obliczem stane i tak? Logika tej kwestii musiala dotrzec do

niego, mimo zmieszania. – Chodz ze mna – polecil.

Dalem znak Maggie, by czekala, i ruszylem za zolnierzem do fortecy Pilata. Justus chyba nie czul sie dobrze w bogatych komnatach, jakie przydzielono mu w palacu na kwatere. W roznych miejscach umiescil w pokoju tarcze i wlocznie, jakby kazdemu wchodzacemu chcial przypomniec, ze mieszka tu zolnierz. Stalem przy drzwiach, a on krazyl wokol; od czasu do czasu spogladal, jakby chcial mnie zabic. Starl pot z krotko obcietych siwych wlosow i strzepnal dlon tak, ze wyrysowal wilgotny pas na podlodze. – Nie moge powstrzymac wyroku, chocbym chcial. – Nie chce tylko, zeby byl ranny – powiedzialem. – Jesli Pilat go ukrzyzuje, to oczywiscie bedzie ranny, Biff. Tak jakby o to w tym chodzi. – Uszkodzony, chcialem powiedziec. Zadnych polamanych kosci, zadnych przecietych sciegien. Niech przywiaza mu rece do krzyza. – Musza uzyc gwozdzi. – Usta Justusa wykrzywil okrutny grymas. – Gwozdzie to zelazo. Sa spisane. Z kazdego trzeba sie wyliczyc. – Wy, Rzymianie, jestescie mistrzami zaopatrzenia. – Czego chcesz? – No dobrze, w takim razie przybijcie go, ale wbijcie gwozdzie miedzy kosci palcow u rak i nog. I przymocujcie do krzyza deske, zeby mogl podtrzymywac nogami ciezar ciala. – Nie ma milosierdzia w tym, co proponujesz. W ten sposob moze konac przez tydzien. – Ale nie bedzie – uspokoilem go. – Zamierzam podac mu trucizne. I chce dostac jego cialo, jak tylko umrze. Kiedy wymowilem slowo "trucizna", Justus zatrzymal sie, wyraznie zly. – Nie do mnie nalezy wydawanie ciala, ale jesli koniecznie chcesz, by pozostalo nieuszkodzone, musze do konca trzymac tam zolnierzy. Niekiedy wasi ludzie pomagaja ukrzyzowanym szybciej umrzec, rzucajac w nich kamieniami. Nie wiem, po co sie mecza. – Owszem, wiesz, Justusie. Ze wszystkich Rzymian, ty wiesz najlepiej. Mozesz sobie pluc ta swoja rzymska pogarda dla milosierdzia, ale wiesz. To przeciez ty szukales Joszuy, kiedy cierpial twoj przyjaciel. Ty sie ponizyles i blagales o litosc. I ja robie to samo. Niechec zniknela z jego twarzy, a pojawilo sie oslupienie. – Chcesz go sprowadzic z powrotem, tak? – Chce tylko pochowac cialo przyjaciela nieuszkodzone. – Chcesz go sprowadzic z martwych. Jak tego zolnierza w Se-foris, ktorego zabil sykariusz. Dlatego ci zalezy, by cialo nie mialo uszkodzen. – Cos w tym rodzaju – przytaknalem i spuscilem wzrok, by nie patrzec w oczy starego zolnierza. Justus pokiwal glowa, wyraznie wzburzony. – Pilat musi wyrazic zgode na zdjecie ciala. Ukrzyzowanie ma normalnie sluzyc jako przyklad dla innych. – Mam przyjaciela, ktory zdobedzie taka zgode. – Joszua moze jeszcze odzyskac wolnosc. Wiesz o tym? – zapytal. – Ale nie odzyska – odparlem. – Nie chce tego. Justus odwrocil sie tylem. – Wydam rozkazy. Zabij go szybko, a potem wez cialo i jeszcze szybciej wynies je poza moj teren. – Dzieki, Justusie. – I nie probuj wiecej zawstydzac moich oficerow, bo twoj przyjaciel bedzie musial prosic o dwa ciala. Kiedy wyszedlem z fortecy, Maggie rzucila mi sie w ramiona. – To potworne. Zalozyli mu na glowe cierniowa korone, a ludzie pluli na niego. Zolnierze go bili. Tlum przelewal sie wokol nas. – Gdzie jest teraz?

Tlum zaryczal. Ludzie wskazywali na balkon. Stal na nim Pilat, a obok Joszua, podtrzymywany przez dwoch zolnierzy. Joszua patrzyl prosto przed siebie i nadal wygladal, jakby byl w transie. Krew splywala mu do oczu. Pilat uniosl rece i tlum zamilkl. – Nie znajduje winy w tym czlowieku, ale wasi kaplani mo wia, ze popelnil bluznierstwo. Nie jest to zbrodnia wedlug prawa rzymskiego. Co chcecie, zebym z nim uczynil? – Ukrzyzuj go! – wrzasnal ktos

obok mnie. Spojrzalem i zobaczylem wymachujacego piescia Akana. – Ukrzyzuj go, ukrzyzuj go – zaintonowali inni faryzeusze.

I juz po chwili przylaczyl sie do nich caly tlum. Nieliczni wyznawcy Joszuy, ktorych zauwazylem miedzy ludzmi, zaczynali sie wycofywac, zanim powszechny gniew zwroci sie przeciw nim. Pilat wykonal gest, jakby umywal rece, po czym wrocil do srodka.

PIATEK

Jedenastu apostolow, Maggie, matka Joszuy i jego brat Jakub zebrali sie w pokoju na pietrze domu Jozefa z Arymatei. Kupiec widzial sie z Pilatem i gubernator dla uczczenia Paschy wyrazil zgode, by wydac cialo. Jozef tlumaczyl: – Rzymianie nie sa glupi. Wiedza, ze nasze kobiety zajmuja sie sie cialami umarlych, wiec nie mozemy wyslac po niego apostolow. Zolnierze oddadza cialo Maggie i Marii. Jakubie, poniewaz jestes jego bratem, pozwola ci przyjsc z nimi i pomagac niesc Joszuc. Pozostali powinni zakryc twarze. Faryzeusze beda szukac jego wyznawcow. Kaplani i tak poswiecili mu zbyt wiele czasu podczas tygodnia Paschy, wiec beda w Swiatyni. Kupilem grob niedaleko wzgorza, gdzie maja go ukrzyzowac. Piotrze, tam bedziesz czekal. – A jesli nie zdolam go uzdrowic? – niepokoil sie Piotr. – Nigdy nie probowalem wskrzeszac z martwych. – On nie bedzie martwy – powiedzialem. – Po prostu nie bedzie mogl sie ruszac. Nie znalazlem skladnikow, zeby przygotowac napoj usuwajacy bol, wiec bedzie wygladal na umarlego, ale bedzie czul wszystko. Wiem, jak to jest, kiedys bylem w takim stanie przez dlugie tygodnie. Piotrze, masz uleczyc jego rany od bicza i od gwozdzi, ale nie sa chyba smiertelne. Podam mu antidotum, kiedy tylko zniknie Rzymianom z oczu. Maggie, gdy juz ci go wydadza, zamknij mu oczy, jesli beda otwarte. Inaczej wyschna. – Nie moge tego ogladac – oswiadczyla Maggie. – Nie moge patrzec, jak przybijaja go do drewna. – Nie musisz. Czekaj przy grobie. Przysle kogos po ciebie, kiedy rzecz sie dokona. – Czy to sie uda? – zapytal Andrzej. – Potrafisz sprowadzic go znowu, Biff? – Znikad go nie sprowadze. On nie bedzie martwy, bedzie tylko poraniony. – Lepiej juz chodzmy. – Jozef podszedl do okna i spojrzal na niebo. – Wyprowadza go w poludnie.

Tlum zebral sie przed pretorium, ale skladal sie w wiekszosci z ciekawskich; bylo miedzy nimi tylko kilku faryzeuszy, w tym Akan, ktory przyszedl obejrzec ukrzyzowanie. Trzymalem sie z tylu, w polowie drogi do nastepnej przecznicy. Apostolowie rozproszyli sie; wszyscy mieli zakrywajace twarze szale albo turbany. Piotr wyslal Bartlomieja, zeby czekal z Maggie i Maria przy grobie. Zaden szal nie moglby zamaskowac jego rozmiarow ani fetoru.

Trzy ciezkie krzyze staly oparte o mur przed brama palacu, czekajac na ofiary. W poludnie przyprowadzono Joszue i dwoch zlodziei takze skazanych na smierc, a poprzeczne belki ulozono im na ramionach, Joszua krwawil z dziesiatkow ran na glowie i twarzy; chociaz wciaz mial na sobie purpurowa szate, ktora wlozyl na niego Herod, to jednak widzialem, ze krew po biczowaniu plynela obficie, pozostawiajac slady na nogach. Wciaz wygladal jak pograzony w transie, ale bez watpienia odczuwal bol z ran. Tlum otoczyl go, wykrzykujac obelgi i opluwajac, zauwazylem jednak, ze kiedy Joszua sie potykal, zawsze ktos pomagal mu wstac. Wsrod ludzi wciaz byli jego wyznawcy, bali sie jednak ujawnic.

Od czasu do czasu patrzylem na obrzeza tlumu i czesto spogladalem w oczy ktoregos z apostolow. Caly czas lsnily w nich lzy, caly czas wyrazaly bolesc i gniew. Tylko najwyzszym wysilkiem powstrzymywalem sie, by nie skoczyc miedzy zolnierzy, nie odebrac ktoremus miecza i nie zaczac siec. W obawie przed wybuchem wscieklosci cofalem sie powoli, az stanalem obok Szymona. – Ja tez nie dam rady – powiedzialem. – Nie moge patrzec, jak wieszaja go na krzyzu. – Musisz – odparl zelota. – Nie. Ty tam bedziesz, Szymonie. Niech zobaczy twoja twarz. Niech wie, ze jestes. Ja przyjde, kiedy juz ustawia krzyz.

Nigdy nie potrafilem sie przygladac ukrzyzowaniom, nawet jesli nie znalem skazancow. I wiedzialem, ze nie wytrzymam, kiedy beda to robic mojemu najlepszemu przyjacielowi. Strace kontrole nad soba, zaatakuje kogos, a wtedy obaj bedziemy zgubieni. Szymon byl zolnierzem – co prawda, zolnierzem tajnej armii, ale jednak. On to zniesie. Stanela mi przed oczyma potworna scena ze swiatyni Kali. – Szymonie, powtorz mu, ze powiedzialem "swiadomy oddech". Przekaz, ze nie ma zimna. – Jakiego zimna? – On bedzie wiedzial, o co mi chodzi. Jesli sobie przypomni, potrafi zablokowac bol. Nauczyl sie tego na Wschodzie. – Powtorze.

Nie moglbym sam mu tego powiedziec. Nie tak, by sie nie zdradzic. Z miejskich murow patrzylem, jak prowadza Joszue na droge biegnaca przez wzgorze zwane Golgota, piecset sazni od bramy Gannath. Odwrocilem sie, ale nawet z pieciuset sazni slyszalem jego krzyk, kiedy wbili gwozdzie.

Justus przyslal czterech zolnierzy, ktorzy mieli pilnowac tego, jak umiera Joszua. Po polgodzinie zostali sami, procz kilkunastu gapiow oraz rodzin dwoch zlodziei, ktore modlily sie i spiewaly u stop skazancow. Akan i inni faryzeusze zostali tylko, by zobaczyc, jak podnosza i ustawiaja krzyz Joszuy, a potem wrocili swietowac z rodzinami. – Zagramy? – zaproponowalem. Zblizylem sie do zolnierzy, podrzucajac dwie kostki. – Prosta gra.

Pozyczylem od Jozefa z Arymatei tunike i kosztowna szarfe. Dal mi tez swoja sakiewke, ktora brzeczaca pokazalem zolnierzom. – Zagramy, legionisto? Jeden z Rzymian parsknal smiechem. – A skad mielibysmy wziac pieniadze na gre? – Zagramy o te rzeczy za wami. Te purpurowa szate u stop krzyza.

Rzymianin podniosl szate wlocznia, potem spojrzal na Joszue, ktory szeroko otworzyloczy, gdy mnie poznal. – Pewnie. Wyglada na to, ze spedzimy tu troche czasu. Zagrajmy.

Najpierw musialem stracic dosc pieniedzy, by Rzymianie mieli co stawiac, potem odgrywac sie tak powoli, bym siedzial tu dostatecznie dlugo dla wykonania swej misji. (W duszy podziekowalem Radosnej za to, ze nauczyla mnie oszukiwac w grze). Podalem kosci najblizszemu zolnierzowi – byl moze piecdziesiecioletni, niski i mocno zbudowany, ale mial liczne blizny i powykrzywiane konczyny – dowod polamanych i zle zrosnietych kosci. Wydawal sie za stary na zolnierke tak daleko od Rzymu, a zarazem zbyt zniszczony zyciem, by pokonac droge do domu. Inni zolnierze byli mlodsi, mieli po dwadziescia kilka lat – wszyscy szczupli, sprawni i wyglodniali. Dwoch z tych mlodszych mialo typowe rzymskie wlocznie piechoty –

dlugie drzewce z waskim zelaznym grotem, dlugim jak meskie przedramie, zakonczonym zwartym troj graniastym ostrzem, przeznaczonym do przebijania zbroi. Dwaj pozostali nosili krotkie iberyjskie miecze z przewezeniem niby talia osy – wiele razy ogladalem taki u pasa Justusa. Musial zaimportowac je dla swojego legionu, zeby odpowiadaly jego preferencjom. (Wiekszosc Rzymian uzywala krotkich mieczy o prostej klindze).

Wreczylem wiec kosci staremu zolnierzowi i cisnalem na ziemie kilka monet. Kiedy rzucil kosci, a te odbily sie od podstawy krzyza, rozejrzalem sie dyskretnie i zobaczylem apostolow, obserwujacych nas zza drzew i glazow. Dalem sygnal, ktory zostal przekazany od jednego do drugiego, az dotarl do kobiety czekajacej na murach miasta. – Oj, bogowie chyba mi dzisiaj nie sprzyjaja – stwierdzilem, kiedy wyrzucilem przegrywajacy uklad. – Myslalem, ze wy, Zydzi, wierzycie tylko w jednego Boga. – Mowilem o twoich bogach, legionisto. Przegrywam.

Zolnierze sie rozesmieli, a ja uslyszalem nad glowa jek. Drgnalem; mialem uczucie, ze piers mi sie zapadnie od bolu w sercu. Zaryzykowalem rzut oka na Joszue – patrzyl prosto na mnie. – Nie musisz tego robic – powiedzial w sanskrycie. – Co tam mamrocze ten Zyd? – zainteresowal sie stary zolnierz. – Nie wiem, zolnierzu. Pewnie bredzi.

Dwie kobiety zblizyly sie do krzyza po lewej rece Joszuy. Niosly duza mise, dzban wody i dlugi kij. – Hej, wy tam! Wynoscie sie stad. – Chcemy tylko dac lyk wody skazancom. To nic zlego.

Kobieta wyjela z misy gabke i wycisnela ja. To byla Zuzanna, przyjaciolka Maggie z Galilei, a towarzyszyla jej Joanna. Przybyly tu w Pasche, by cieszyc sie wejsciem Joszuy do miasta, a teraz zamowilismy je, zeby pomogly go otruc. Zolnierze przygladali sie, jak kobiety mocza gabke, mocuja do kija i podsuwaja zlodziejowi, by sie napil. Musialem odwrocic wzrok. – Miej wiare, Biff – odezwal sie Joszua, znowu w sanskrycie. – Ty tam, zamknij sie i umieraj – warknal jeden z mlodszych Rzymian. Skrzywilem sie i spojrzalem z ukosa na kosci, zamiast zmiazdzyc zolnierzowi tchawice. – Dajcie siodemke. Dziecko potrzebuje nowych sandalow – rzekl drugi z mlodych Rzymian.

Nie moglem patrzec na Joszue, ale nie moglem tez patrzec, co robia kobiety. Plan byl taki, ze aby nie wzbudzac podejrzen, najpierw mialy napoic obu zlodziei, ale w tej chwili zalowalem swojej decyzji, by zwlekac. Wreszcie Zuzanna podeszla z misa do miejsca, gdzie gralismy. Postawila ja, a Joanna nalala wody na gabke. – Nie masz moze wina dla spragnionego zolnierza? – zapytal jeden z mlodszych. Klepnal Joanne w siedzenie. – A moze cos wiecej? Stary zolnierz chwycil mlodego za reke i odepchnal. – Bo trafisz na ten kij, a ona razem z toba, Marcusie. Ci Zydzi bardzo powaznie traktuja dotykanie swoich kobiet. Justus nie bedzie tolerowal takich rzeczy.

Zuzanna zaslonila twarz szalem. Byla ladna, szczupla, miala drobna twarz z wielkimi brazowymi oczami. Juz troche za stara, by nie byc mezatka, ale podejrzewalem, ze zostawila meza, by pojsc za Joszua. Tak samo bylo z Joanna, tyle ze jej maz przez jakis czas szedl za nia, ale potem sie rozwiodl, kiedy nie chciala wrocic z nim do domu. Miala bardziej krepa

budowe, a kiedy chodzila, kolysala sie jak woz. Podala mi gabke. – Napijesz sie, panie? Czas byl tu elementem krytycznym. – Ktos ma ochote na lyk wody? – spytalem, nim przyjalem gabke. W dloni trzymalem juz amulet yin-yang. – Pic po tym zydowskim psie? Raczej nie – odparl zolnierz.. – Mam takie wrazenie, ze moje zydowskie pieniadze skalaja wasze rzymskie sakiewki – powiedzialem. – Moze lepiej pojde. – Nie, twoje pieniadze sa calkiem dobre – zapewnil mlody zolnierz i przyjaznie klepnal mnie po ramieniu.

Mialem ochote uwolnic go od zebow. Udalem, ze pije. Ale kiedy podnioslem gabke, by wycisnac wode do ust, nalalem na nia trucizny i natychmiast oddalem Joannie. Nie zanurzajac jej ponownie, umocowala gabke do kija i podniosla do ust Joszuy. Glowa mu opadla, a jezyk wysunal sie z kacika, zlizujac wilgoc. – Pij – powiedziala Joanna, ale Joszua chyba jej nie uslyszal. Mocniej przycisnela mu gabke do warg, az woda kapnela na jednego z Rzymian. – Pij. – Odsun sie stamtad, Marcusie – powiedzial stary zolnierz. – Kiedy juz skona, wypusci z siebie wszystkie plyny. Nie chcesz siedziec za blisko. Rzymianin zasmial sie ochryple. – Wypij, Joszuo – powiedziala Zuzanna.

W koncu Joszua otworzyl oczy i przycisnal wargi do gabki. Wstrzymalem oddech, slyszac, jak wysysa z niej wilgoc. – Dosc – rzekl mlody zolnierz. Wytracil kij z rak Zuzanny. Gabka poleciala na ziemie. – On niedlugo umrze. – Ale nie dosc szybko z tym klockiem, na ktorym stoi – zauwazyl stary.

I wtedy czas zaczal plynac wolniej. Kiedy Radosna mnie otrula, minelo ledwie kilka sekund, a bylem sparalizowany. Potem, kiedy podalem trucizne czlowiekowi w Indiach, padl niemal natychmiast. Staralem sie udawac, ze koncentruje sie na grze, ale w rzeczywistosci czekalem na jakis znak, ze trucizna dziala. Kobiety odeszly i przygladaly sie z daleka, ale uslyszalem, ze jedna z nich syknela. Spojrzalem. Joszua przetoczyl glowe. Slina ciekla mu z otwartych ust. – Skad bedziecie wiedzieli, ze juz umarl? – spytalem. – A stad…

Mlody zolnierz imieniem Marcus uklul wlocznia Joszue w udo. Joszua jeknal i otworzyl oczy, a ja poczulem ucisk w zoladku. Slyszalem szloch Joanny i Zuzanny. Rzucilem koscmi i czekalem. Minela godzina, a Joszua ciagle jeczal. Mimo smiechu zolnierzy, od czasu do czasu slyszalem, jak sie modli. I kolejna godzina. Zaczynalem drzec. Kazdy glos z krzyza byl jak gorace zelazo wbijajace mi sie w kark. Nie moglem sie zmusic, zeby na niego spojrzec. Uczniowie przesuneli sie blizej, mniej dbajac o pozostawanie w ukryciu, ale Rzymianie zbyt sie skupili na grze, by cokolwiek zauwazyc. Niestety, ja nie bylem dostatecznie skupiony. – Dla ciebie to koniec gry – stwierdzil stary zolnierz. – Chyba ze chcesz postawic wlasny plaszcz. Bo twoja sakiewka jest juz pusta. – Czy ten dran w ogole ma zamiar umrzec? – zapytal jeden z mlodszych. – Trzeba mu troche pomoc – oswiadczyl drugi, imieniem Marcus.

Wstal i oparl sie o wlocznie. I zanim zdazylem sie poderwac, pchnal ta wlocznia w bok Joszuy. Ostrze wbilo sie pod zebra, a krew chlusnela po zelazie trzema obfitymi falami, a potem ciekla waska struzka. Marcus wyrwal wlocznie. Cale zbocze wzgorza zagrzmialo od krzyku, w czesci takze mojego. Stalem jak sparalizowany, drzac i patrzac na krew plynaca z boku Joszuy. Czyjes rece zlapaly mnie z obu stron i powlokly do tylu, dalej od krzyza.

Rzymianie zaczeli zbierac swoje rzeczy, by wrocic do pretorium. – Wariat – uznal stary zolnierz, patrzac na mnie. Joszua spojrzal na mnie po raz ostatni, po czym zamknal oczy i umarl. – Chodzmy stad, Biff – uslyszalem kobiecy glos przy uchu. – Chodzmy.

Odwrocili mnie i poprowadzili do miasta. Czulem, jak przenika mnie chlod. Dmuchnal wiatr i niebo pociemnialo – zblizala sie burza. Wciaz rozbrzmiewal krzyk, ale kiedy Joanna zaslonila mi usta dlonia, zrozumialem, ze to ja krzycze. Strzasnalem lzy z powiek, potem znowu, probujac w koncu zobaczyc, dokad mnie prowadza, ale kiedy tylko cos widzialem, kolejny szloch wstrzasal cialem i lzy przeslanialy widok.

Prowadzily mnie do bramy Gannath, tyle przynajmniej zrozumialem. Mroczna postac stala na murze ponad nia i obserwowala nas. Zamrugalem i w ciagu sekundy klarownosci poznalem, kto to jest. – Judasz! – wrzeszczalem, dopoki glos mi sie nie zalamal.

Wyrwalem sie kobietom i przebieglem przez brame, podciagnalem sie na skrzydlo ciezkich wrot i wskoczylem na mur. Judasz uciekal na poludnie, zerkajac na boki. Szukal miejsca, gdzie moglby zeskoczyc. Nie myslalem nad tym, co robie. Nie bylo we mnie nic procz cierpienia, ktore przeszlo w gniew, i milosci, ktora przeszla w nienawisc. Scigalem Judasza po dachach Jeruzalem, odrzucajac na bok kazdego, kto stanal mi na drodze, rozbijalem dachowki, lamalem stojace na dachach klatki drobiu, zrywalem sznury z rozwiszona bielizna. Kiedy Judasz dotarl na dach, z ktorego nie bylo juz drogi, zeskoczyl z wysokosci dwoch pieter, podniosl sie i utykajac pobiegl ulica w kierunku Bramy Essenskiej przy Ben-Hinnom. Zeskoczylem z dachu w pelnym biegu i wyladowalem, nie tracac tempa. Choc slyszalem, jak cos chrupnelo mi w kostce, nie czulem bolu.

Kolumna ludzi probowala wejsc do miasta przez Brame Essenska, zapewne szukajac schronienia przed nadchodzaca burza. Blyskawica rozciela niebo, a na ulicach zaczely sie rozpryskiwac wielkie jak zaby krople deszczu. Pozostawialy kratery w pyle i malowaly miasto cienka warstwa blota. Judasz przeciskal sie przez tlum, jakby plywal w smole, przeciagal za siebie ludzi z obu stron, przesuwal sie o krok do przodu, by zaraz dac sie poniesc o krok do tylu.

Zauwazylem drabine oparta o mur i wbieglem na gore. Rzymscy zolnierze pelnili warte na murze, a ja przemykalem miedzy nimi, uchylajac sie przed mieczami i wloczniami. Dotarlem do bramy, potem nad nia, potem po murze z drugiej strony… Ponizej widzialem Judasza – wyrwal sie z tlumu i pedzil wzdluz grzbietu, biegnacego rownolegle do muru. Pylem za wysoko, zeby skakac, wiec sledzilem go z gory, az znalazlem sie przy narozniku blankow. Mur byl w tym miejscu skosny, by podtrzymac wiekszy ciezar konstrukcji. Na stopach i dloniach zsunalem sie po mokrym wapieniu i wyladowalem na ziemi dziesiec krokow za zelota.

Nie wiedzial, ze tu jestem. Deszcz padal teraz strumieniami, a gromy uderzaly tak czesto i glosno, ze slyszalem tylko glosny puls gniewu we wlasnej glowie. Judasz dotarl do cyprysu sterczacego nad wysokim urwiskiem z setkami grobow. Sciezka biegla pomiedzy cyprysem a sciana grobow, za drzewem otwierala sie piecdziesieciostopowa przepasc. Judasz wyjal zza pasa sakiewke, z jednego z grobow wyciagnal nieduzy kamien, potem wepchnal do srodka

sakiewke. Kiedy chwycilem go za kark, krzyknal. – No dalej, wloz z powrotem ten kamien – powiedzialem.

Probowal sie odwrocic i uderzyc mnie kamieniem. Odebralem mu go i umiescilem w grobie. Potem podcialem mu nogi i powloklem na krawedz urwiska. Zacisnalem palce na jego gardle i trzymajac sie druga reka cyprysu, przechylilem go nad przepascia. – Nie szarp sie! – krzyknalem. – Jesli sie wyrwiesz, spadniesz! – Nie moglem pozwolic, zeby zyl – powiedzial Judasz. – Nie mozna dopuscic, zeby ktos taki jak on zyl na swiecie. Sciagnalem zelote na krawedz i zerwalem z talii szarfe. – Wiedzial, ze musi umrzec – tlumaczyl Judasz. – Jak myslisz, skad wiedzialem, ze bedzie w Getsemani, a nie u Szymona? Bo sam mi to powiedzial. – Nie musiales go wydawac! – wrzasnalem. Owinalem mu szarfe wokol szyi, a potem przerzucilem przez galaz cyprysu. – Nie. Nie rob tego. Musialem tak postapic. Ktos musial. On tylko by nam przypominal, kim nigdy nie bedziemy. – Tak – powiedzialem.

Zepchnalem go tylem z urwiska i chwycilem koniec szarfy, kiedy zacisnela sie na galezi. Brzeknela, przyjmujac ciezar ciala, a szyja Judasza pekla z takim odglosem, jakby ktos pstryknal palcami.

Puscilem szarfe i cialo Judasza upadlo w ciemnosc. Huk gromu zagluszyl glos uderzenia. Gniew opuscil mnie wtedy, pozostawiajac uczucie, jakby moje kosci staly sie miekkie. Spojrzalem przed siebie, ponad dolina Ben-Hinnom, w strumienie rozswietlanego blyskawicami deszczu. – Przykro mi – powiedzialem i zstapilem w przepasc. Poczulem rozblysk bolu, a potem nic. To wszystko, co pamietam.

EPILOG

Aniol odebral od niego ksiege, a potem wyszedl z pokoju na korytarz i zapukal do innych drzwi. – Skonczyl – powiedzial do kogos. – Co jest, odchodzisz? – zapytal go Lewi, ktory byl zwany Biffem.

Drzwi na drugim koncu korytarza otworzyly sie i stanal w nich inny aniol. Ten mial bardziej kobiecy wyglad niz Raziel. On… Ona… takze trzymala ksiege. Wyszla na korytarz, odslaniajac kobiete w dzinsach i zielonej bawelnianej bluzce. Kobieta miala dlugie i proste wlosy, brazowe z czerwonym polyskiem, oczy zas krystalicznie blekitne; wygladaly, jakby sie jarzyly na tle ciemnej skory. – Maggie – powiedzial Lewi. – Czesc, Biff. – Maggie skonczyla swoja Ewangelie juz pare tygodni temu. Magdalena sie usmiechnela. – Wiesz, nie mialam tak duzo do opisania, jak ty. Nie widzialam was szesnascie lat. – Zgadza sie. – Jest wola Syna, byscie wy dwoje razem wyszli w ten nowy swiat – oznajmil zenski aniol.

Lewi przeszedl przez korytarz i wzial Maggie w ramiona. Calowali sie dlugo, az anioly zaczely chrzakac dyskretnie i mruczec pod nosem: "Nie na korytarzu". Potem odsuneli sie od siebie. – Maggie – powiedzial Lewi. – Czy bedzie tak, jak zawsze bylo? No wiesz, jestes przy mnie i kochasz mnie, ale tylko dlate go, ze nie mozesz miec Josha? – Oczywiscie. – To takie zalosne. – Nie chcesz, zebysmy byli razem? – Alez chce. Tylko ze to zalosne. – Mam pieniadze

– powiedziala. – Dali mi pieniadze. – To dobrze. – Idzcie – wtracil Raziel, tracac cierpliwosc. – Juz, juz, juz. Idzcie stad.

Wskazal korytarz. Ruszyli przed siebie, ramie w ramie, niepewnie, co kilka krokow ogladajac sie na anioly, az w koncu, kiedy popatrzyli znowu, aniolow nie bylo. – Powinienes jednak zaczekac – oswiadczyla Magdalena. – Nie moglem. Za bardzo bolalo. – On wrocil. – Wiem. Czytalem o tym. – Byl zasmucony tym, co uczyniles. – Tak. Ja tez bylem. – Inni zloscili sie na ciebie. Twierdzili, ze miales najwiecej powodow, by wierzyc. – Dlatego wycieli mnie ze swoich Ewangelii? – Zgadles. Wsiedli do windy i Magdalena wcisnela przycisk lobby. – Przy okazji, to znaczy Swiecsie – powiedziala. – Co Swiecsie? – To S. Jego drugie imie. Swiecsie. To rodowe imie, pamietasz? "Ojcze nasz, ktorys jest w niebie, Swiecsie imie Twoje". – Niech to… Ja bym obstawial Steve – rzekl Biff.

POSLOWIE

UCZYC SLONIA JOGI

Jest ponadto wiele innych rzeczy, ktorych Jezus dokonal, i gdyby je szczegolowo opisac, to sadze, ze caly swiat nie pomiescilby ksiag, ktore by trzeba napisac. Jan 21:25

Czy naprawde potraficie nauczyc slonia jogi? No oczywiscie, wy nie, ale mowimy tu o Jezusie. Nikt nie wiedzial, do czego bylby zdolny.

Ksiazka, ktora wlasnie przeczytaliscie, to tylko opowiesc. Wymyslilem ja. Nie planowalem, by zmienila czyjes wierzenia czy podglad na swiat, chyba ze po przeczytaniu postanowicie byc lepszymi dla innych (i bardzo dobrze), albo naprawde chcecie sprobowac nauczyc slonia jogi, a w takim przypadku nie zapomnijcie, by nagrac to na wideo.

Staralem sie przed Barankiem przeprowadzic odpowiednie badania. Naprawde sie staralem. Ale bez watpienia moglbym na nie poswiecic dziesiatki lat i nadal byc niedokladny. (To moj talent, co jeszcze moge powiedziec?). Wprawdzie staralem sie nakreslic scisly obraz swiata, w jakim zyl Chrystus, jednakze dla wlasnej wygody zmienialem pewne fakty, a poza tym oczywiscie nie wiadomo, jakie warunki panowaly miedzy rokiem 1 a 33.

Dostepne dokumenty na temat klasy chlopskiej, spoleczenstwa i praktyk judaizmu w Galilei pierwszego wieku szybko ustepuja miejsca teoriom. Rola faryzeuszy w spoleczenstwie wiejskim, wplywy hellenskie, wplywy lezacego w poblizu miedzynarodowego miasta, takiego jak Jafa – kto wie, jak to wszystko moglo oddzialywac na Chrystusa jako chlopca? Niektorzy historycy uwazaja, ze Joszua z Nazaretu byl kims niewiele sie rozniacym od prowincjonalnego ignoranta, inni natomiast sadza, ze z powodu bliskosci Jafy i Seforis, od wczesnego wieku chlonal grecka i rzymska kulture. Wybralem te druga wersje, poniewaz daje podstawe bardziej interesujacej opowiesci.

Historycznie, zycie Jezusa – oprocz kilku odwolan u Josephusa, zydowskiego historyka z

pierwszego wieku, a czasem jakiegos wspomnienia u historykow rzymskich, pozostaje glownie domena spekulacji. To, co dzisiaj wiemy o zyciu Jezusa z Nazaretu, miesci sie w czterech cienkich Ewangeliach Nowego Testamentu: Mateusza, Marka, Lukasza i Jana. Dla tych czytelnikow, ktorzy znaja Ewangelie (zniesiecie to jakos): wiecie, ze tylko Mateusz i Lukasz pisza o narodzinach, natomiast Marek i Jan opisuja posluge Jezusa. Medrcy sa wspominani jedynie w krotkim fragmencie u Mateusza, pasterze zas tylko u Lukasza. Rzez niewiniatek i ucieczka do Egiptu pojawiaja sie tylko u Mateusza. Krotko mowiac, niemowlectwo Jezusa to prawdziwa zagadka, ale jego dziecinstwo jest jeszcze wieksza. Z czasow pomiedzy narodzinami i rozpoczeciem poslugi w wieku lat trzydziestu Biblia daje nam tylko jedna scene: Lukasz opisuje, jak Jezus nauczal w Swiatyni w Jeruzalem, kiedy mial dwanascie lat. Poza tym mamy trzydziestoletnia luke w zyciorysie najbardziej wplywowej istoty ludzkiej, jaka kiedykolwiek chodzila po ziemi. Barankiem staralem sie na swoj blazenski sposob wypelnic te luke, ale przeciez nie chce przedstawiac historii tak, jak moglaby przebiegac naprawde. Ja tylko spisuje opowiesc.

Niektore historyczne odwolania w Baranku sa dzisiaj trudne do zrozumienia. Na przyklad, szybkie dojrzewanie plciowe. To, ze Maggie byla zareczona jako dwunastolatka i zamezna rok pozniej, jest w zasadzie pewne wobec tego, co wiemy o zydowskim spoleczenstwie pierwszego wieku, podobnie jak to, ze zydowski chlopak zaczynal sie uczyc fachu w wieku lat dziesieciu, zareczal sie w wieku lat trzynastu, a zenil jako czternastolatek. Proba wzbudzenia empatii dla doroslych rol tych, ktorych dzisiaj uwazalibysmy za dzieci, sprawila mi wiele problemow. Ale mozliwe, ze to jedyna czesc, gdzie seksualnosc postaci jest historycznie umotywowana. Przecietny wiesniak w Galilei mial szczescie, jesli dozywal czterdziestych urodzin, wiec moze dzieci z koniecznosci osiagaly dojrzalosc plciowa wczesniej, niz dzialoby sie to w mniej surowych warunkach.

Jestem pewien, ze w ksiazce tej znalazly sie liczne historyczne niedokladnosci i nieprawdopodobienstwa. Najbardziej razacym, choc swiadomie umieszczonym fragmentem jest ten, gdy Joszua i Biff odwiedzaja Kaspra w gorach Chin. Rzeczywiscie, Gautama Budda zyl i nauczal jakies piecset lat przed narodzinami Chrystusa, a jego nauki byly rozpowszechnione w Indiach w okresie, kiedy nasi bohaterowie dotarli na Wschod, buddyzm jednak nie dotarl do Chin przez kolejne piecset lat od smierci Chrystusa. Sztuki walki mogly zostac stworzone przez buddyjskich mnichow dopiero potem, ale by zachowac historyczna scislosc, musialbym zrezygnowac z zasadniczej kwestii, ktora moim zdaniem wymagala omowienia: Co by bylo, gdyby Jezus znal kung-fu?

Zycie Kaspra, jak opisalem je w Baranku (dziewiec lat w jaskini itd.), opiera sie na legendach o zyciu buddyjskiego patriarchy Bodhidharmy – czlowieka, ktory podobno okolo roku 500. zaszczepil buddyzm w Chinach. Bodhidharmie (albo Darumie) przypisuje sie stworzenie odlamu buddyzmu, znanego dzisiaj jako zen. Buddyjskie legendy nie wspominaja o spotkaniu Bodhidharmy z yeti, ale mowia, ze obcial sobie powieki, by nie zasypiac; wyrosly z nich krzewy herbaty, ktora potem mnisi parzyli, by zachowac przytomnosc podczas medytacji (co opuscilem). Zamienilem wiec te powieki na historie o obrzydliwym czlowieku sniegu i na Biffowa teorie doboru naturalnego. Wydawalo sie to uczciwe. Bodhidharma podobno wymyslil i

nauczyl kung-fu slawnych mnichow z Shao-lin. Mialo ich przyzwyczajac do rygorystycznych zasad medytacji, jaka zalecal.

Wiekszosc szczegolow dotyczacych festiwalu Kali, w tym ofiar i okaleczen, pochodzi z ksiazki Josepha Campbella Oriental Mythology z jego cyklu Masks of God. Campbell cytuje naocznych swiadkow krwawych rytualow – dziewietnastowiecznych zolnierzy brytyjskich. Twierdzi, ze jeszcze dzisiaj ponad osiemset koz traci glowy przed festiwalem Kali w Kalkucie. (Kazdy, komu lektura tego fragmentu sprawila przykrosc, niech pisze do Campbella w jego obecnej inkarnacji).

Cytowane wersy Upaniszad i Bhagawad Gita to istotnie tlumaczenia z tych szacownych tekstow, natomiast wersy z Kamasu-try pochodza wylacznie z mojej wyobrazni – choc w prawdziwej ksiazce znajdziecie nawet dziwniejsze opisy.

Teologicznie, musialem przyjac pewne zalozenia do osoby Joszuy – glownie te, ze byl taki, jak opisuja go Ewangelie. Intensywnie korzystalem z Ewangelii jako zrodel, jest tez kilka odwolan do Dziejow Apostolskich (konkretnie chodzi mi o dar jezykow, bez ktorego BifF nie moglby opowiedziec tej historii wspolczesnym jezykiem i uzywajac wspolczesnych idiomow). Staralem sie nie czerpac z pozostalych czesci Nowego Testamentu, w szczegolnosci listow Pawla, Piotra, Jakuba i Jana, jak rowniez Apokalipsy – wszystkie powstaly wiele lat po Ukrzyzowaniu (podobnie jak Ewangelie). Te pisma okreslily ksztalt chrzescijanstwa, ale cokolwiek o nich sadzicie, musicie przyznac, ze Jo-szua nie wiedzial nic o ich istnieniu ani opisanych wydarzeniach, a z pewnoscia o konsekwencjach gloszonych tam nauk. Nie bylo wiec na nie miejsca w tej opowiesci. Jednakze Joszua i Biff, jako zydowscy chlopcy, na pewno znali ksiegi Starego Testamentu. Pierwsze piec tworzylo podstawe ich wiary, czyli Tore, pozostale ludzie z tamtych czasow okreslali jako Prorokow i Pisma. Odwolywalem sie wiec do nich, kiedy uznalem to za konieczne. Jak jednak rozumiem, Talmud i wieksza czesc Midraszu (opowiesci ilustrujace i wyjasniajace prawo boze) nie byly jeszcze sformulowane ani uzgodnione, wiec nie uzywalem ich jako tekstow zrodlowych dla Baranka.

Z Ewangelii Gnostykow (zbioru manuskryptow odnalezionych w Nag Hammadi w Egipcie, w 1945 r., ktore jednak mogly powstac nawet wczesniej niz kanoniczne Ewangelie) wykorzystalem troche Ewangelie Tomasza – ksiege powiedzen Chrystusa, poniewaz dobrze pasowaly do buddyjskiego punktu widzenia (wiele powiedzen z Ewangelii Tomasza mozna tez znalezc u Marka). Inne gnostyczne Ewangelie byly nazbyt fragmentaryczne, albo – szczerze mowiac – zwyczajnie oblakane (Ewangelia Niemowleca Tomasza opisuje, jak Jezus w wieku szesciu lat wykorzystuje swoje nadprzyrodzone moce, by zamordowac grupe dzieci, poniewaz sie z nim draznia. Cos w rodzaju Carrie trafia do Nazaretu. Nawet ja musialem zrezygnowac).

Baranek jest pelen odwolan biblijnych, zarowno rzeczywistych, jak i zmyslonych (np. Biff czesto cytuje nieistniejace ksiegi Biblii: Dalmacjan, Wydalania czy Ziemnowodnian). Redaktor i ja przedyskutowalismy kwestie zaznaczania tych odwolan, ale uznalismy, ze odnosniki zakloca plynny bieg opowiesci. Pojawia sie jednak problem: jesli czytelnik zna Biblie na tyle dobrze, by zauwazyc realne nawiazania, istnieje spora szansa, ze nie zechce czytac tej ksiazki. Nasza

ostateczna decyzja – wlasciwie moja ostateczna decyzja, redaktor nie byl konsultowany w tej sprawie – jest taka, by poradzic tym nieznajacym Biblii, by znalezli kogos, kto ja zna, usiedli z nim i czytali odpowiednie kwestie, pytajac: "Ten jest prawdziwy? A ten?". Jesli nie macie nikogo znajacego Biblie, czekajcie spokojnie, predzej czy pozniej ktos taki zapuka do waszych drzwi. Miejcie pod reka zapasowe egzemplarze Baranka, zeby dac mu na pozegnanie.

Nastepny klopot przy opowiadaniu historii juz tyle razy opowiedzianej polega na tym, ze ludzie szukaja w niej znanych sobie elementow. Choc przeskoczylem wiele zdarzen opisanych w Ewangeliach, istnieja rownie liczne, co do ktorych ludzie sadza, ze tam sa, chociaz ich nie ma. Jedna z nich to fakt, ze Maria Magdalena byla prostytutka. W filmach zawsze jest przedstawiana w taki sposob, ale w Biblii nigdzie nie jest to powiedziane. Jej imie pojawia sie jedenascie razy w Ewangeliach synoptycznych (Mateusza, Lukasza i Marka). Wiekszosc dotyczy jej przygotowan do pochowania Jezusa oraz tego, ze byla pierwszym swiadkiem zmartwychwstania. Napisane jest tez, ze Jezus uwolnil ja od zlych duchow. Ani slowa o prostytucji, kropka. Marie bez zadnych przydomkow wystepuja we wszystkich Ewangeliach, a niektore z nich, jak podejrzewam, moga byc Magdalena, zwlaszcza ta, ktora niedlugo przed smiercia Chrystusa namaszcza jego stopy kosztownymi olejkami i wyciera wlasnymi wlosami. To z pewnoscia jedna z najbardziej wzruszajacych scen w Ewangeliach i jedna z kluczowych dla stworzonej przeze mnie postaci Maggie. Wiemy z tekstow, ze wsrod przywodcow wczesnego Kosciola bylo wiele kobiet. Jednak w Izraelu pierwszego wieku kobieta niezalezna nie tylko byla uwazana za dziwactwo, ale czesto tez za nierzadnice (to samo grozilo kobietom rozwiedzionym). I pewnie to jest zrodlem tego mitu.

Inne bledne zalozenie, to ze trzech medrcow bylo krolami, a nawet ze bylo ich trzech. Przypuszczenie bierze sie stad, ze wymienione sa trzy dary wreczone malemu Chrystusowi. Nigdzie nie podaje sie ich imion. Imiona Melchiora, Kaspra i Baltazara dotarly do nas z tradycji chrzescijanskiej, powstalej setki lat po czasach Chrystusa. Zakladamy, ze Jozef z Nazaretu, ojczym Jo-szuy, umarl przed Ukrzyzowaniem, choc Ewangelie nic o tym nie mowia. Moze po prostu w niczym nie uczestniczyl. Dokonujemy takich zalozen w oparciu o to, co slyszelismy przez wiele lat chrzescijanskich ceremonii i jaselek. Jednakze czesto, choc zainspirowany wiara, material jest w zasadzie czyms takim, jak to, co wlasnie przeczytaliscie: produktem czyjejs wyobrazni. Ewangelie nie sa zgodne co do kolejnosci wydarzen, jakie zaszly w czasie poslugi, od ochrzczenia Jezusa przez Jana do Ukrzyzowania. Dlatego ulozylem je w porzadku, ktory wydal mi sie logiczny i uzasadniony, dodajac przy tym te elementy, ktore pozwalaja na uczestnictwo w akcji Biffa. Sa, naturalnie, pewne elementy, ktore usunalem dla wiekszej zwiezlosci, ale zawsze mozecie odszukac je w odpowiednich Ewangeliach.

Motywacja dla wedrowki Joszuy i Biffa na Wschod byly tylko wymagania fabuly, bez zadnych podstaw w Ewangeliach ani w przekazach historycznych. Istnieja zaskakujace podobienstwa miedzy nauczaniem Joszui i Buddy (nie wspominajac juz o Lao-tzu, Konfucjuszu i religii Hindu, z ktorych wszystkie zawieraja pewna wersje zasady Zlotego Srodka). Bardziej prawdopodobne, ze wszystkie pochodza z czegos, co uwazam za logiczne i moralne wnioski, do ktorych moze dojsc kazda osoba poszukujaca tego co sluszne. Na przyklad, ze najlepiej traktowac innych z miloscia i lagodnoscia; ze pogon za dobrami materialnym jest efekcie pusta,

kiedy sie ja postawi wobec wiecznosci, i ze w jakis sposob my wszyscy jestesmy polaczeni duchowo. Historycy i teolodzy nie wykluczaja mozliwosci, ze Chrystus powedrowal na Wschod, ale na ogol sie zgadzaja, ze mogl sformulowac nauki, jakie znajdujemy w Ewangeliach, bez innych wplywow niz tylko nauki rabinow w Galilei i Judei. Ale co by to byla za zabawa?

Wreszcie: opowiesc rozgrywa sie w czasach ponurych, czasach smiertelnie powaznych, kiedy swiat Zyda z pierwszego wieku, zyjacego pod wladza Rzymian, nie sklanial raczej do radosci. To raczej anachronizm, ze przedstawiam Joszue jako kogos, kto potrafi sie bawic i cieszyc. Jednakze chce wierzyc, ze realizujac swa swieta misje, Jezus z Nazaretu mogl doceniac wyczucie ironii oraz towarzystwo swego dowcipnego kumpla. Ta opowiesc nie jest i nigdy nie miala byc wyzwaniem dla czyjejkolwiek wiary. Jednakze, jezeli czyjas wiara moze doznac wstrzasu z powodu lektury zabawnej powiesci, to ten ktos powinien chyba czesciej sie modlic.

Chce podziekowac wielu ludziom, ktorzy pomogli mi w badaniach i tworzeniu tej ksiazki, zwlaszcza tym, ktorzy byli sklonni dzielic sie ze mna swoja wiara, bez osadzania i bez wyrokowania.

Wyrazy wdziecznosci naleza sie Neilowi Levy'emu, Markowi Josephowi, profesorowi Williamowi "Sundogowi" Bersleyowi, Rayowi Sandersowi i Johnowi "Heretykowi" Campbellowi za ich rady w dziedzinie religii, filozofii i historii. Charlee Rodgers za to, ze znosila hamowania i starty, jeki i zamieszanie w calym procesie, jak rowniez Dee Dee Leichtfuss za wyklady i komentarze. Na specjalne podziekowania zasluguje Orlu Elbez, ktory byl moim przewodnikiem w Izraelu i wykazal sie nieskonczona cierpliwoscia, odpowiadajac na moje niezliczone, szczegolowe pytania historyczne. Wdzieczny jestem mojemu agentowi, Nickowi Ellisonowi, oraz redaktorowi Tomowi Dupree, za ich cierpliwosc, tolerancje oraz porady. Christopher Moore Big Sur, Kalifornia Listopad 2000

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-11-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/

Table of Contents

Rozpocznij